

Jedyna ocalona

Dean Ray Koontz



calibre 0.9.27

Jedyna ocalona

4

Pamiêci Raya Mocka, mego wuja, który dawno temu przeniós³ siê do lepszego wiata. Za moich lat dziecinnych, gdy cierpia³em i rozpacza³em,
a tak²e poczucie humoru pozwoli³y mi zrozumieæ,

twoja przyzwoitoæ i czu³oæ,
czym powinien byæ cz³owiek.

5

Niebo jest g³êbi¹, niebo jest mrokiem,
wiat³o gwiazd tylko zimnym ob³okiem.
Gdy patrzê w górê, lêkam siê nieraz,
e wszystko, co jest, to tu i teraz,
Ów wiat samotny, ziemia zmêczona,
I gwiazdy martwe, i dal niezmiernona
Nie widzê powodu, by z losem siê zmagæ,
By miaæ siê radonie czy gorzko p³akaæ,
By spaæ czy te² czuwaæ wci¹ na nowo,
Obietnice spe³niaæ i dawaæ s³owo.
Wiêc noc¹ kierujê oczy z³aknione

Na niebo czyste, lecz nieprzeniknione.
Ten zimny jak kamień ³uk ponad nami.
Czy jeste tam, Boże? Czujemy tu sami?

KSIĘGA WSZELKICH SMUTKÓW

6

CZĘŚĆ PIERWSZA STRACENI NA ZAWSZE

7

8

1

Joe Carpenter obudzi³ się w swoim mieszkaniu w Los Angeles o wpo³ do trzeciej nad ranem w sobotê, przyciskaj¹c do piersi poduszkê i wo³aj¹c w ciemności imię utraconej żony. Smutek i

przerazenie brzmiące w jego własnym głosie wyrwało go ze snu, który opadał z wolna drżącymi zasłonami, tak jak z belek stropu opada kurz, gdy domem poruszy trzęsienie ziemi.

Kiedy uwiadomił sobie, że nie trzyma w objęciach Michelle, wtulił głowę w poduszkę. Obudził się, czując zapach jej włosów. Teraz bał się, że najsłabszy nawet ruch może zniszczyć to wspomnienie i pozostawić jedynie kwany zapach potu.

Bezruch nie mógł jednak ocalić tego wspomnienia w całym jego bogactwie. Woń włosów Michelle ulotniła się niczym powietrze z balonu i po chwili nie mógł już jej przywołać.

Czując pustkę, wstał i podszedł do okna. Całe umeblowanie stanowiło materac na podłodze, nie musiał się więc martwić, że wpadnie na coś w ciemności.

Mieszkanie przestronny pokój wyposażony z małą kuchenką, garderoba i ciasna sypialnia znajdowała się nad garażem na dwa samochody przy Laurel Canyon. Po sprzedaży domu w Studio City nie zabrakło mu mebli, gdyż martwi ludzie nie potrzebują takich rzeczy. Przybył tu, by umrzeć.

Od dziesięciu miesięcy pracował, czekając na poranek, kiedy się już nie obudzi.

Okno wychodziło na wysoką ścianę kanionu, na niewyrwane i czarne kształty wiecznie zielonych krzewów i eukaliptusów. Na zachodzie między drzewami przewitywały okrągłe, puchowate księżyc srebrzysta obietnica gdzieś za ponurymi lasami.

9

Dziwił się, że wciąż jeszcze nie jest martwy. Choć nie był też żywy. Tkwił gdzieś w drodze. Musiał znaleźć koniec tej drogi, gdyż powrotu do jej początku już dla niego nie było.

Wyjął z lodówki oszronioną butelkę piwa i wrócił na legowisko. Usiadł, opierając się plecami o ścianę.

Piwo o wpół do trzeciej w nocy. Powolne zsuwanie się po równi pochyłej.

Wino, że nie potrafił zapamiętać się na miarę. Gdyby mógł opuścić ten wiat w otępiającej mgłę alkoholu, nie musiałby się martwić, że trwa to tak długo. Jednakże zbyt duża ilość trunku wymazałaby nieodwracalnie wspomnienia, a wspomnienia były dla niego święte. Wypijał za jednym zamachem tylko kilka piw czy kieliszków wina.

Jedynym źródłem wiatu w pokoju, prócz niewyrwanego, przewitywanego przez drzewa blasku księżycy na szybie, były podświetlane cyferki telefonu stojącego obok materaca.

Znał tylko jednego człowieka, z którym mógł szczerze rozmawiać o swojej rozpaczliwej nieważności w drodze nocy czy też w blasku dnia. Choć miał dopiero trzydzieści siedem lat, jego ojciec i matka nie żyli już od dawna. Nie miał siostr ani braci. Przyjaciele próbowali go pocieszyć po tragedii, ale odczuwał zbyt wielki ból, by rozmawiać o tym, co się wydarzyło. Bronił się przed ich współczuciem tak agresywnie, że większość dawnych znajomych zraził.

Wziął telefon, położył go sobie na kolanach i zadzwonił do matki Michelle, Beth McKay.

W Wirginii, niemal trzy tysiące mil dalej, podniesiono słuchawkę po pierwszym sygnale.

Joe?

Obudziłem cię?

Znasz mnie, kochanie? Kiedyś się wczepiłem, a wstałem przed witem.

Henry? spytał. Był to ojciec Michelle.

Och, ten stary potwór przespałby koniec świata odparł z czułości.

Była mi i żagodziła kobiet, pełną współczucia dla Joego, choć musiała zmagać się też z własnym bólem. Odznaczała się niespotykaną siłą.

Zarówno Joe, jak i Henry podczas pogrzebu szukali pomocy u Beth, a ona była dla nich oparciem.

Kilka godzin po uroczystości, dobrze po północy, Joe znalazł ją na patio. Siedziała w piżamie, przygarbiona niczym staruszka i umęczona, kładła w poduszkę, którą przyniosła ze sobą z pokoju gościnnego, i starała się nie obciążać swym bólem matkę czy córkę. Joe usiadł obok niej, ale nie chciał, by trzymała go za rękę czy otaczała ramieniem. Cofnęła się przed jego dotykiem. Smutek, jaki odczuwała, był tak wielki, a jej nerwy tak napięte, że szepty pocieszenia brzmiały w jej uszach jak krzyk, a kochająca dłoń paliła jak rozpalone żelazo. Nie chciała zostawiać jej samej, Joe wziął siatkę na długi kij i zaczął oczyszczać basen: okręcał zbiornik o drugiej nad ranem, zbierał z czarnej powierzchni owady i liście, nie widział nawet tego, co robi. Po prostu chodził i chodził w kółko, machał kijem, podczas gdy Beth pakała w poduszkę; śmiała się tak, aż w końcu na

10

powierzchni wody pozostał tylko blask zimnych i obojętnych gwiazd. W końcu, wypakawszy wszystkie rzeczy, Beth podniosła się, podeszła do niego i wyjęła mu siatkę z ręki. Zaprowadziła go na górę i otuliła w łóżku jak dziecko. Zasnęła głęboko, po raz pierwszy od wielu dni.

Teraz, oddzielony od teciowej niewyobrażalnym dystansem, Joe odstawił nie dopite piwo, by z nią pomówić.

Czy u ciebie już wiatra, Beth?

Śmiała się wesoło dopiero przed chwilą.

Siedzisz pewnie przy kuchennym stole i patrzysz przez wielkie okno. Niebo jest ładne?

Na zachodzie jest wciąż czarne, trochę błękitne, a na wschodzie lśni cała paleta kolorów: różowy, koralowy i szafirowy, jak japoński jedwab.

Joe dzwoni do niej regularnie nie tylko po to, by czerpać od Beth siłę, ale również dlatego, że lubi szeptać, jak mówi. Specyficzne brzmienie jej głosu i miękki akcent Wirginii były takie same jak u Michelle.

Odebrała telefon, wymawiając moje imię zauważysz.

A kto inny mógłby dzwonić o tej porze, kochanie?

Czy tylko ja telefonuję tak wczynie?

Inni rzadko. Ale tego ranka to mogłoby być tylko ty.

Najgorsze wydarzyło się równo przed rokiem, na zawsze zmieniając ich życie. Była to pierwsza rocznica tragedii.

Mam nadzieję, że jadasz już lepiej, Joe. Wciąż chudniesz?

Nie skłamała.

W ciągu minionego roku przejawia tak obojętność wobec jedzenia, że zaczęła tracić na wadze. Schudła dziesięć kilo.

Zapowiada się u was gorący dzień? spytała.

Duszny i wilgotny. Jest trochę chmur, ale niestety nie zanoszą deszczu. Obłoki na wschodzie mają zórzę i różowy otoczek. Śmiała się już przebudziła się na dobre.

Trudno uwierzyć, że minął już rok, prawda, Beth?

Masz rację. Ale czasem wydaje się, że to już wieki.

Tak bardzo za nimi tęskniła powiedziała. Czuję się bez nich taki zagubiony.

Och, Joe, najdroższy, Henry i ja kochamy cię. Jesteś dla nas jak syn. Jesteś naszym synem.

Wiem, i też bardzo was kocham. Ale to za mało, Beth, za mało. Wziął głęboki oddech. Ten rok był dla mnie piekłem. Nie przeżyję następnego.

Z czasem będzie coraz lepiej.

Obawiam się, że nie. Boję się. Nie czuję się dobrze sam, Beth.

Czy myla³e o powrocie do pracy, Joe?

Przed katastrof¹ pracowa³ jako reporter kryminalny w Los Angeles Post. Jego dni jako dziennikarza dobieg³y jednak koñca.

Nie zniós³bym widoku zw³ok, Beth.

11

Nie potrafi³ patrzeæ na ofiary strzelaniny, bez wzglêdu na wiek i p³eæ, by nie widzieæ przed sob¹ Michelle czy Chrissie i Niny, zmasakrowanych i skrwawionych.

Móg³by zaj¹æ siê czym innym. Dobrze piszesz, Joe. Zaczynj pisae historie o zwyk³ych ludziach. Musisz pracowaæ, robiæ co, dziêki czemu znów poczujesz siê potrzebny.

Nie umiem ¿yæ ani pracowaæ w samotnoci. Chcê byæ z Michelle. Chcê byæ z Chrissie i Nin¹ odpar³ tylko.

Pewnego dnia je spotkasz zapewni³a go. Wbrew wszystkiemu, co siê wydarzy³o, pozosta³a kobiet¹ g³êbokiej wiary.

Chcê byæ z nimi teraz. G³os mu siê za³ama³, wiêc umilk³ na chwilê, by nad nim zapanowaæ. Nic mnie ju¿ tu nie czeka, ale nie mam odwagi po¿egnaæ siê z tym wiatem.

Nie mów tak, Joe.

Ba³ siê skoñczyæ z sob¹. Nie by³ pewien, co siê z nim stanie po mierci. Nie bardzo wierzy³, ¿e znajdzie ¿onê i córki w królestwie wiat³a i przyjaznych duchów. Ostatnio, gdy spogl¹da³ w niebo, widzia³ jedynie odleg³e s³oñca w bezsensownej pró¿ni, nie chcia³ jednak wyrażae g³ono swych w¹tpliwoci, gdy¿ znaczy³oby to, ¿e ¿ycie Michelle i dziewczynek te¿ by³o bezsensowne.

Wszyscy mamy tu jaki cel do spe³nienia powiedzia³a Beth.

One by³y moim celem. I nie ma ich.

A wiêc istnieje jaki inny cel, który jest ci przeznaczony. Znaleæ go, to teraz twoje zadanie. Musi byæ powód, dla którego wci¹¿ tu jeste.

Nie ma powodu zaprzeczy³. Opowiedz mi o niebie, Beth.

Po krótkim wahaniu zaczê³a mówiæ:

Chmury na wschodzie nie s¹ ju¿ poz³acane. Ró¿owy kolor te¿ znikn¹³. Maj¹ bia³¹ barwê i nie wró¿¹ deszczu. Nie s¹ gête, przypominaj¹ raczej bibu³kê na tle b³êkitu.

S³ucha³, jak opisuje poranek na drugim koñcu kontynentu. Potem rozmawiali o wietlikach, które razem z Henrym obserwowal³a minionej nocy z ganku. W po³udniowej Kalifornii nie by³o wietlików, ale Joe pamiêta³ je ze swego dzieciñstwa w Pensylwanii. Rozmawiali te¿ o ogrodzie Henrygo, w którym dojrzewa³y w³anie truskawki. Po jakim czasie Joe poczu³ sennoæ.

Ostatnie s³owa Beth brzmi³y: Jest ju¿ dzieñ. Ranek mija nas i zaczyna zmierzaæ w twoim kierunku, Joe. Daj mu szansê, przyniesie ci cel, którego potrzebujesz. Ka¿dy poranek przynosi cel.

Potem po³o¿y³ siê na boku, wpatruj¹c siê w okno, z którego znika³ srebrny blask. Ksiê¿yc schowa³ siê za chmurami. Joe pogr¹y³ siê w najczarniejszej otch³ani nocy.

Kiedy zasn¹³, ni³ nie o nadchodz¹cym wspania³ym celu, ale o niewidocznym, nieokrelonym, majacz¹cym gronie niebezpieczeñstwie. Przypomina³o wielki ciê¿ar, który lada chwila mo¿e spaæ mu z niebios na g³owê.

Póniej, jad¹c do Santa Monica, Joe Carpenter przeży³ atak lêku. Pocz³ taki ucisk w klatce piersiowej, że tylko z największym trudem mó³

oddycha^æ. Kiedy oderwa³ d³oń od kierownicy, palce dr³a³y mu jak u dotkniętego paraliżem starca.

Mia³ wrażenie, że spada z bardzo wysoka, jakby jego honda zjecha³a z trasy i run³a w niewyt³umaczaln¹ i bezdenn¹ przepa^æ. Przed mask¹ rozci¹ga³a siê prosta wstêga jezdni, a opony piewa³y cicho na asfalcie, lecz on nie mó³ odzyska^æ poczucia równowagi. Wrêcz przeciwnie, wrażenie spadania nasili³o siê, by³o tak realne i przerażaj¹ce, że zdj¹³ stopê z gazu i nacisn¹³ hamulec.

Rozdar³y siê klaksony i zapiszcza³y opony, kiedy jad¹ce z ty³u samochody zareagowa³y na jego gwa³towne hamowanie. Kierowcy innych wozów osobowych i ciêżarówek posy³ali Joemu mordercze spojrzenia albo rzucali przekleństwa i robili nieprzyzwoite gesty. To by³o Los Angeles w epoce prze³omu, rozsadzane przecuciem losu, z³aknione apokalipsy, gdzie niezamierzona obelga czy przypadkowe naruszenie czyjego terenu mog³o doprowadzi^æ do termonuklearnego wybuchu.

Drêcz¹ce poczucie spadania nie ustêpowa³o. Cz³, jak przewraca siê w nim ło³¹dek; mia³ wrażenie, że siedzi w kolejce górskiej w weso³ym miasteczku i w³anie zjeżdża w dó³ po stromym odcinku toru. Cho^æ by³ w wozie sam, s³ysza³ krzyki pasażerów, z pocz¹tku niewyrane, potem coraz g³oniejsze. Nie przypomina³y radosnych pisków z lunaparku brzmi³o w nich g³uche przerażenie.

S³ucha³ w³asnego szeptu, jakby dochodz¹cego gdzie z dali: Nie, nie, nie, nie.

Wykorzysta³ krótk¹ przerwê w ruchu, by zjecha^æ z drogi. Pobocze by³o w¹skie. Zatrzyma³ siê tuż przy balustradzie, za któr¹ majaczy³y bujne krzewy oleandra, niczym wielka, zielona fala o spienionym grzbiecie.

13

Wrzuci³ luz, nie gasz¹c silnika. Oblepia³ go zimny pot, ale nie wy³¹czy³ klimatyzacji. Ch³odny podmuch pozwala³ oddycha^æ. Ucisk w klatce piersiowej nasili³ siê. Wci¹ganie powietrza w p³uca by³o m¹ek¹, a gor¹cy oddech dobywa³ mu siê z piersi z przeraliwym wistem.

Cho^æ powietrze w hondzie by³o czyste, Joe wyczu³ dym. I zapach: gryz¹cy melanż p³on¹cego oleju, stopionego plastiku, tl¹cego siê winylu, przypalonego metalu.

Kiedy spojrze³ na g¹ste skupiska lici i ciemnoczerwone kwiaty oleandra napieraj¹ce na szybê po stronie pasażera, jego wyobrażenia zmieni³a je w wij¹ce siê k³êby t³ustego dymu. Okno samochodu sta³o siê prostok¹tnym iluminatorem o zaokr¹glonych rogach i grubej podwójnej szybie.

Joe mó³by pomyle^æ, że doznaje ob³êdu, ale w ci¹gu ostatniego roku przeżywa³ już podobne ataki lêku. Czasem up³ywa³y miêdzy nimi dwa tygodnie, ale czêsto zdarza³y siê dwa czy nawet trzy razy jednego dnia, a ka³dy trwa³ od dziesięciu minut do pó³ godziny.

Odwiedzi³ psychoterapeutê. Nie pomog³o.

Lekarz przepisa³ mu leki antydepresyjne. Joe nie przyj¹³ recepty. Chcia³ odczuwa^æ ból. Ból by³ wszystkim, co mia³.

Zamykaj¹c oczy, ukrywaj¹c twarz w lodowatych d³oniach, stara³ siê odzyska^æ panowanie nad sob¹, ale scena katastrofy, w której uczestniczy³, stawa³a siê coraz wyraniejsza. Wrażenie spadania narasta³o. Dym niemal wgryza³ siê w oczy i nozdrza. Krzyki niewidzialnych pasażerów by³y coraz g³oniejsze.

Wszystko drżało. Podłoga pod stopami. ściany kabiny. Sufit. A drżeniu, drżeniu, nieskończonemu drżeniu towarzyszyły zgrzyt, trzask, szum i brzęk przypominający przeraliwy gong.

Proszę biegać.

Nie otwieraj oczu, odjść od twarzy. Trzyma je teraz przy udach, zwinięte w pięci.

Po chwili poczuł, jak ciskają je rączki przestraszonych dzieci. Chwyć je mocno.

Dzieci nie siedziały w samochodzie, tylko w fotelach przekłêtego samolotu. Joe powrócił wyobraźni do katastrofy. Wiedzia, że znajduje się w dwu miejscach jednocześnie: w swoim samochodzie i w kabine 747 spadającej z bezpiecznej stratosfery przez zasnuwane nocne niebo na kł, równie bezlitosny jak stal.

To nie on, tylko Michelle siedziała między dziećmi. To jej dłoń, nie palce Joego, ciskały rączki Chrissie i Niny w ostatnich, długich minutach niewyobraźnego przerażenia.

Drżenie narastało, a w powietrzu zaczęły fruwać różne przedmioty. Książki w miękkich okładkach, laptopy, kieszonkowe kalkulatory, sztućce i talerze kiedy zaczęła się katastrofa kilku pasażerów jadło jeszcze kolację plastikowe kubeczki, butelki, ołówki i pióra objały się po całej kabine.

14

Kaszał z powodu dymu, Michelle na pewno kazała dziewczynkom pochylić głowy. Głowy do dołu. Osłaniajcie twarze.

Twarze. Ukochane twarze. Siedmioletnia Chrissie odziedziczyła po matce wydatne koci policzki i czyste, zielone oczy. Joe nigdy nie zapomni rumieńca radości na policzkach starszej córki, kiedy brała lekcje baletu, czy koncentracji widocznej w przymrużonych oczach, kiedy grała w szkolnej lidze baseballa. Nina, zaledwie czteroletnia, szkrab o perkaty nosku i oczach błękitnych jak dwa szafiry, który na widok psa czy kota marszczył się od buzi w grymasie niekomanego zachwytu. Zwierzęta lgnęły do niej a ona do zwierząt jakby była drugim wcieleniem w. Franciszka z Asyżu. Całkiem trafne porównanie, kiedy widział się, z jakim zdumieniem i miociną patrzy na brzydką, ogrodową jaszczurkę trzymaną ostrożnie w małych rękach.

Głowy do dołu. Osłaniajcie twarze.

W tych słowach kryła się nadzieja, założenie, że przeżyją i że najgorsze, co może im się przytrafić, to grona dla ich twarzyczek spotkanie z fruującym laptopem czy stuczonym szkłem.

Przerażająca turbulencja narastała. Kąt nachylenia samolotu zwiększał się. Joe wciskał się w siedzenie, nie mógł zgiąć się i osłonić twarzy.

Może maski tlenowe pospadały z górnych półek, a może uszkodzenia, jakim uległ samolot, sprawiły, że system ratunkowy nie zadziała, a masek zabrakło. Nie wiedział, czy Michelle, Chrissie albo Nina były w stanie oddychać, czy też, dusząc się wyziewami, na próżno próbowały zapaść haust więcej powietrza.

Przez kabinę pasażerską przepływały coraz gęstsze kłęby dymu. Zdawało się, że są gdzieś głęboko pod powierzchnią ziemi.

W olepiającej, tustej czerni, niczym węże, zaczęły pojawiać się ukryte języki ognia. Nie można było dojrzeć ich ródka, nikt też nie wiedział, czy za moment nie wybuchną ze zdwojoną siłą, co było równie przerażające jak niekontrolowany lot ku ziemi. Gdy napięcie wśród pasażerów doszło niemal do zenitu, przez kadłub przebiegły oguszające wibracje. Potężne skrzydła zaomotały, jakby za chwilę miały się oderwać. Stalowy szkielet jęknął niczym żywa bestia w agonii mniejsze złączenia pękały z hukiem broni palnej. Z przeraliwym wistem oderwało się kilka nitów.

Michelle, Chrissie i Nina pomyślały zapewne, że samolot rozpadnie się w powietrzu i że zostaną wyrzucone w czarne niebo, osobno, z dala od siebie, cinięte w objęcia trzech mierci, straszliwie

samotne w chwili wybuchu.

Ogromny 747 by³ jednak cudem techniki, genialnie pomyślanym i dobrze wykonanym triumfem sztuki inżynierskiej. Pomimo tajemniczej awarii systemów hydraulicznych, która pozbawiła samolot stabilności, skrzydła nie zostały oderwane, a kadłub się nie rozpadł. Potężne silniki wyżyły, jakby opierając się sile przyciągania ziemskiego, a 747 w swym ostatnim lądowaniu wciąż stanowił jedno.

15

W którym momencie Michelle uwiadomiła sobie, że nie ma już żadnej nadziei, że to miertelny lot w dół. Z typową dla siebie odwagą i bezinteresownością pomyślała wówczas o dzieciach, skupiła się tylko na tym, by je pocieszyć i zagłuszyć w nich myśl o śmierci. Nachyliła się z pewnością do Niny, przyciągnęła ją do siebie i pomimo dusznych wyziewów mówiła jej do ucha, tak by dziewczynka usłyszała: Wszystko OK, dziecinko, jesteśmy razem, kocham cię, przytul się do mamusi, kocham cię, jesteś najlepszą dziewczynką na świecie. Gdy tak spadali w rozkołysanym samolocie wciąż niżej i niżej przez niebo nad Colorado, z pewnością zwróciła się też do Chrissie, głosem pełnym miłości, bez cienia paniki: Wszystko w porządku, jestem z tobą, kochanie, trzymaj mnie za rękę, tak bardzo cię kocham, taka jestem z ciebie dumna, jesteśmy razem, wszystko w porządku, zawsze będziemy razem.

Siedząc w hondzie na poboczu drogi, Joe słyszał głos Michelle, jakby był przy niej wtedy, gdy pocieszała dzieci. Rozpaczliwie pragnął wierzyć, że córki czerpały od tej wyjątkowej kobiety, która była ich matką, siłą. Musiał wiedzieć, że ostatnią rzecz, jaką dziewczynki na tym świecie usłyszą, był głos Michelle o tym, jak bardzo się drogie, jak bardzo kochane.

Samolot uderzył w ścianę z tak straszliwą siłą, że huk usyszano na bezkresnych rolniczych terenach Colorado w promieniu ponad trzydziestu kilometrów. Przerazone jastrzębie, sowy i orły odfrunęły z drzew, wzbijając się w niebo, a zmęczeni farmerzy zerwali się z foteli i śmiejąc.

Joe Carpenter wydał zduszony krzyk. Zgiął się w sposób jak pod wpływem silnego ciosu w pier.

Uderzenie było potworne. Samolot eksplodował w zetknięciu z ziemią, a potem przewalała się bezładnie po śniegu, rozpadając się na tysiące zwęglonych i poskręcanych kawałków, rzygając pomarańczowymi falami paleniskowej paliwa, od którego zapalały się krzewy na skraju pola. Trzystu trzydziestu ludzi, pasażerowie i cała załoga, zginęli na miejscu.

Michelle, która nauczyła Joego Carpentera wszystkiego, co wiedział o miłości i współczuciu, zniknęła w tym bezlitosnym momencie. Chrissie, siedmioletnia baletnica i baseballistka, nigdy więcej nie miała już wykonać piruetu czy dobiec do bazy. I jeśli zwierzęta czuły tę samą psychiczną więź z Niną, jak ona czuła z nimi, to w tej chłodnej noc stworzenia żyjące na śniegach i zadrzewionych wzgórzach Colorado musiały kulić się w swoich norach.

Z całej rodziny ocalał tylko Joe Carpenter.

Nie był z nimi w samolocie. Każda dusza na pokładzie została zmiażdżona w zetknięciu z ziemskim kowadłem. Gdyby był z nimi, to i on zostałby zidentyfikowany tylko na podstawie użębienia i jednego czy dwu palców, z których dałoby się pobrać czytelny odcisk.

Reminiscencje z katastrofy nie były wspomnieniami, lecz męczącymi wybrykami wyobraźni, które nawiedzały go często podczas snu, a czasem przejawiały się w formie takich ataków lęku. Przepełniony poczuciem winy,

16

że nie zginął razem z żoną i córkami, Joe zdręczał się uczestnictwem w horrorze, którego one musiały doświadczyć.

Jednakże jego wyimaginowane podróże skazanym na zagładę samolotem nie przyniosły mu tak

upragnionego rozgrzeszenia. Wręcz przeciwnie, każdy koszmar senny i każdy przeżywany na jawie atak lęku czyni³y ranę jeszcze boleńsz¹.

Otworzy³ oczy i spojrze³ na przejeżdżaj¹ce obok samochodu. Gdyby wybra³ w³aciwy moment, mógł³by otworzyć drzwi, wyjść z samochodu, wkroczyć na jezdnię i dać się zmiąć jakiejś ciężarówce.

Pozosta³ w hondzie nie dlatego, że ba³ się umrzeć, ale z jakich powodów niejasnych nawet dla niego samego. Być może czu³, przynajmniej na razie, że musi ukarać samego siebie dalszym życiem.

Bujne krzewy oleandra napieraj¹ce na drzwi po drugiej stronie wozu ko³ysa³y się bezustannie w podmuchach wywo³ywanych pędem przejeżdżaj¹cych samochodów. Zielone liście, ocieraj¹c się o szybę, szepta³y upiornie niczym zagubione i smutne g³osy.

Już nie drża³.

Pot na twarzy w strumieniu zimnego powietrza zaczą¹³ wysychać. Uczucie spadania już go nie dręczy³o. Osi¹gn¹³ dno.

Przejeżdżaj¹ce samochody drga³y w sierpniowym upale i cieniutkiej mgie³ce smogu jak miraż, pędz¹c na zachód, ku czystszenmu powietrzu i koj¹cemu morzu. Joe poczeka³ na przerwę w sznurze samochodów, a potem znów wyruszy³ w stronę krawędzi kontynentu.

Piasek w blasku sierpniowego s³oñca by³ bia³y jak koœ. Z dali nap³ywa³o ch³odne, zielone, pofalowane morze, rozrzucaj¹c po brzegu maleñkie skorupki martwych i umieraj¹cych istot.

Pla¿a w Santa Monica by³a zat³oczona ludmi, którzy siê opalali, p³ywali, surfowali, grali w pi³kê albo jedli lunch na kocach i du¿ych rêcznikach. Choœ dzieñ w g³êbi l¹du wydawa³ siê pal¹cy, tutaj, w powiewach bryzy wiej¹cej znad Pacyfiku, by³o niemal przyjemnie ciep³o.

Kilku amatorów k¹pieli s³onecznych spogl¹da³o ciekawie na Joego, który zmierza³ przez t³um ludzi nasmarowanych olejkiem kokosowym bez stroju odpowiedniego na pla¿ê. By³ ubrany w bia³y podkoszulek, br¹zowe bawe³niane spodnie i sportowe buty do joggingu. Nie przyby³ tu, by siê opalaæ albo p³ywaæ.

Ratownicy obserwowali ludzi w morzu, a spaceruj¹ce po pla¿y m³ode kobiety w bikini obserwowa³y ratowników. Ten rytua³ odrywa³ ich uwagê od niezwyk³ych kszta³tów muszli, które spieniona woda wyrzuca³a na piasek.

Przy brzegu bawi³y siê dzieci, ale Joe nie móg³ znieæ tego widoku. Ich miech, krzyki i radosne piski dzia³a³y mu na nerwy i roznieca³y w nim iskrê irracjonalnego gniewu.

Z rêcznikiem w d³oni i podrêczn¹ lodówk¹ pod¹¿a³ na pó³noc, spogl¹daj¹c na widoczne za³ukiem zatoki wypalone wzgórze Malibu. W koñcu znalaz³ mniej zat³oczony kawa³ek pla¿y. Rozwin¹³ rêcznik, usiad³ twarz¹ do morza i wyci¹gn¹³ z lodówki butelkê piwa.

Gdyby móg³ sobie pozwoliæ na posiadanie domu z widokiem na ocean, dokoñczy³by ¿ywota na jakim brzegu. Nieustanny szmer morza, poz³acana s³oñcem i posrebrzana ksiê¿ycem nieustêpliwoæ fal, g³adki, p³ynny³uk wybrze¿a maluj¹cy siê na dalekim horyzoncie nie przynosi³y mu spokoju ani b³ogoci, ale upragnion¹ nieczu³oæ.

18

Rytm morza by³ wszystkim, co chcia³ wiedzieæ o Bogu i wiecznoci. Gdyby wypi³ jeszcze parê piw i pozwoli³ uwieæ siê terapeutycznemu widokowi Pacyfiku, to mo¿e uspoko³by siê na tyle, by pójæ na cmentarz. By stan¹æ na ziemi, która niczym ca³un kry³a cia³o jego ¿ony i córek. By dotkn¹æ kamienia z ich imionami.

Szczególnie tego w³anie dnia mia³ wobec zmar³ych d³ug.

Dwaj kilkunastoletni ch³opcy, nieprawdopodobnie chudzi, opaleni, ubrani w workowate k¹pielówki, które zwiesza³y siê nisko na ich w¹skich biodrach, nadeszli pla¿¹ od pó³nocy i stanêli obok jego rêcznika. Jeden mia³ d³ugie w³osy zwi¹zane w koñski ogon, drugi by³ ogolony na³yso. Odwrócili siê w stronê oceanu, plecami do niego, zas³aniaj¹c mu widok.

Gdy Joe mia³ ju¿ ich poprosiæ, ¿eby siê odsunêli, ch³opak z koñskim ogonem odezwa³ siê: Masz jaki towar, cz³owieku?

Joe nie odpowiedzia³, gdy¿ s¹dzi³, ¿e ch³opak zwraca siê do swojego towarzysza.

Masz towar? znów spyta³ ch³opak, wci¹¿ wpatruj¹c siê w ocean. Chcesz za³apaæ okazjê czy pozbyæ siê czego trefnego?

Nie mam nic oprócz piwa odpar³ niecierpliwie Joe, poprawiaj¹c okulary przeciws³oneczne, ¿eby lepiej ich widzieæ. Które nie jest na sprzeda¿.

No có¿ stwierdzi³ drugi ch³opak. Jak nie handlujesz wód¹, to muszê ci powiedzieæ, ¿e krêci siê tu dwu facetów, którzy wygl¹daj¹, jakby podejrzewali, ¿e co masz.

Gdzie?

Nie patrz teraz powiedzia³ ch³opiec z ogonem. Poczekaj, a²z odejdziemy kawa³ek. Widzielimy, jak ci²e obserwuj¹. mierz¹ na kilometr glinami, a²z dziw, ²ze si²e nie zorientowa³.

Ze dwadziecia metr³ow st¹d, na po³udnie, obok wie²zyczki ratownika rzuci³ drugi. Dwaj gocie w hawajskich koszulach, wygl¹daj¹ jak kaznodzieje na wakacjach.

Jeden ma lornetk²e. Drugi walkie-talkie.

Joe, zaskoczony, opuci³ okulary i powiedzia³:

Dzi²e ki.

Hej odpar³ ch³opak z ogonem to tylko przys³uga, cz³owieku. Nienawidzimy tych dupk³ow.

A drugi, z nihilistyczn¹ gorycz¹, kt³ora w ustach kogo tak m³odego wydawa³a si²e absurdalna, stwierdzi³:

Pieprzy²e system.

Pe³ni arogancji niczym dwa m³ode tygrysy, ch³opcy ruszyli wzd³u²z pla²zy, kieruj¹c si²e na po³udnie i obserwuj¹c dziewcz²eta. Joe nie zd¹u³y³ przyjrza²e im si²e dok³adnie.

Kilka minut p³oniej, kiedy sko³nczy³ pierwsze piwo, odwr³oci³ si²e, schowa³ pust¹ puszk²e i jakby mimochodem spojrze³ wzd³u²z brzegu. Dwaj m²e²zyczyni w hawajskich koszulach stali w cieniu wie²zyczki ratownika.

19

Wy²szly, w zielonej koszuli i bia³ych spodniach, przygl¹da³ si²e Joemu przez lornetk²e. Kiedy si²e zorientowa³, ²ze by²e mo²ze zosta³ dostrze²ony, odwr³oci³ si²e spokojnie i skupi³ uwag²e na grupce dziewcz²et w bikini.

Ni²szly mia³ koszul²e czerwono-pomara²nczow¹. Mankiety br¹zowych spodni by³y podwini²ete. Sta³ bosymi stopami na piachu, trzymaj¹c w lewej r²ece buty i skarpety. W prawej, przy boku, trzyma³ jaki przedmiot, kt³ory m³og³ by²e ma³ym radiem albo odtwarzaczem kompaktowym. Mog³o to te²z by²e walkie-talkie.

Wy²szly by³ mocno opalony i mia³ p³owe od s³o²ncza w³osy, ale ten ni²szly by³ blady i nie ulega³o w¹tpliwoci, ²ze rzadko zagl¹da na pla²z²e.

Otwieraj¹c nast²epn¹ puszk²e piwa i wdychaj¹c wonn¹ mgie³sk²e, kt³ora z niej trysn²e³a, Joe zn³ow obr³oci³ twarz ku morzu.

W²aden z m²e²zyczyn nie sprawia³ wra²zenia kogo, kto wyszed³ rano z domu, by uda²e si²e na pla²z²e, ale te²z nie wygl¹dali bardziej niezwykle ni²z Joe. Ch³opcy powiedzieli, ²ze mierz¹ na kilometr glinami, ale Joe nie odni³o³ takiego wra²zenia, cho²e przez czternacie lat by³ reporterem kryminalnym.

W ka²zdym razie nie widzia³ ²zadnego powodu, by gliny mia³y si²e nim interesowa²e. Bior¹c pod uwag²e fakt, ²ze liczba dokonywanych morderstw stale ros³a, ²ze gwa³t spowszednia³ jak flirt, a w³ama²ni by³o tyle, ²ze chyba po³owa populacji okrada³a drug¹ po³ow²e, policja traci³aby po prostu czas, cigaj¹c go za spo²zywanie alkoholu na pla²zy publicznej.

Wysoko, z rozpostartymi skrzyd³ami, po³yskuj¹c bia³o, od strony odleg³ego mola nadlecia³y trzy mewy, kieruj¹c si²e na p³oc. Z pocz¹tku sun²e³y wzd³u²z brzegu, potem wznios³y si²e nad po³yskliwymi wodami zatoki i zatoczy³y na niebie ko³o.

Joe zn³ow zerkn¹³ ku wie²zyczce. M²e²zyczyn ju²z tam nie by³o.

Odwr³oci³ twarz w stron²e morza.

Nadci¹gaj¹ca fala za³ama³a si²e, obryzguj¹c piasek drobinkami piany. Obserwowa³ morze z tak¹ sam¹ uwag¹, z jak¹ wpatrywa³by si²e w wisiorek hipnotyzera ko³ysz¹cy si²e na srebrnym ³a²ncuszk²u.

Jednak²ze widok fal nie poch³on¹³ go bez reszty, nie umia³ skupia²e myli na spokojnych wodach. Jak ksi²e²zyc przyci¹gany przez sw¹ planet²e, Joe powr³oci³ na orbit²e, kr¹u²z wok³ jednej daty: 15 sierpnia,

15 sierpnia, 15 sierpnia. Pierwsza rocznica katastrofy odznacza³a siê bezlitosn¹ si³¹ oddzia³ywania, przywali³a go wspomnieniami tragedii.

Po zakoñczeniu dochodzenia i starannym skatalogowaniu pozosta³ych po katastrofie resztek organicznych i nieorganicznych Joe otrzyma³ tylko fragmenty cia³ izony i dzieci. Zapieczêtowane trumny by³y niewielkie, odpowiednie dla noworodków. Przyj¹³ je niczym relikwiarze z koæmi wiêtych.

Choæ wiedzia³, ize samolot uderzy³ o ziemiê z potworn¹ si³¹ i ize przez jego wrak przetoczy³a siê fala niepowstrzymanego ognia, wydawa³o mu siê dziwne, ize doczesne szcz¹tki Michelle i dziewczynek s¹ tak niewielkie. One same zajmowa³y przecie¿ w jego izoniu tak wa¿ne miejsce.

Bez nich wiat wydawa³ mu siê obcy. Gdy siê budzi³, nie czu³, ize do niego nale¿y. Zdarza³y siê nawet dni, gdy planeta obraca³a siê wokó³ swej

20

osi, a Joe nie by³ w stanie powróciæ do codziennego izonia. Najwidoczniej by³ to w³anie jeden z takich dni.

Dopi³ drugie piwo i schowa³ pust¹ puszkê do lodówki. Nie by³ jeszcze gotów pojechaæ na cmentarz, czu³ natomiast potrzebê pójcia do toalety.

Wsta³, odwróci³ siê i dostrzeg³ wysokiego blondyna w zielonej hawajskiej koszuli. Mê¿czyzna akurat nie patrzy³ przez lornetkê, nie sta³ te¿ ju¿ przy wie¿yczce, ale siedzia³ samotnie na piasku jakie dwadziecia metrów dalej. By ukryæ siê przed Joem, usadowi³ siê za dwiema m³odymi parami na kocach i za meksykańsk¹ rodzin¹, która ogrodzi³a swe terytorium sk³adanymi krzes³ami i wielkimi parasolami pla¿owymi w izonie pasy.

Joe od niechcienia spenetrowa³ wzrokiem najbli¿szy fragment wybrze¿a. Ni¿szy z dwu domniemanych policjantów, ten w czerwonej koszuli, znikn¹³ z pola widzenia.

Mê¿czyzna w zielonej koszuli stara³ siê nie patrzeæ wprost na Joego. Przystawi³ d³oñ do prawego ucha, jakby nosi³ kiepsko dzia³aj¹cy aparat s³uchowy i odgradza³ siê od muzyki p³yn¹cej z radiodbiorników na pla¿y, by skupiæ siê na czym, co chcia³ us³yszeæ.

Z tej odleg³oci Joe nie móg³ byæ pewien, ale wydawa³o mu siê, ize wargi mê¿czyzny poruszaj¹ siê. Odnosi³o siê wra¿enie, ize jest pogr¹izony w rozmowie z niewidocznym towarzyszem.

Joe zostawi³ rêcznik i lodówkê i ruszy³ w kierunku toalet. Nie musia³ siê ogl¹daæ, by wiedzieæ, ize facet w zielonej koszuli go obserwuje.

Po namyśle zdecydowa³, ize upicie siê na pla¿y by³o prawdopodobnie nawet w obecnych czasach niezgodne z prawem. W koñcu spo³eczeñstwo, które toleruje korupcjê i przemoc, musi z ca³¹ surowoci¹ reagowaæ na drobniejsze wykroczenia, by przekonaæ samo siebie, ize wci¹¿ obowi¹zuj¹ w nim jakie moralne zasady.

W pobli¿u mola krêci³o siê teraz wiêcej ludzi. Od strony weso³ego miasteczka dochodzi³ stukot kolejki. Ludzie w wagonikach piszczeli z radoci.

Zdj¹³ okulary przeciws³oneczne i wszed³ do zape³nionej toalety.

Czêæ przeznaczona dla mê¿czyzn cuchnê³a uryn¹ i rodkiem odka¿aj¹cym. Na rodku pod³ogi, miêdzy kabinami a umywalkami, straciwszy wszelkie poczucie kierunku i celu swej wêdrówki, chodzi³ w kó³ko wielki karaluch, na wpó³ zdeptany, ale wci¹¿ izony. Wszyscy omijali go z daleka niektórzy z

rozbawieniem, inni z obrzydzeniem czy obojętności¹.

Myj¹c ręce, Joe przygl¹da³ się w lustrze pozosta³ym mężczyznom, szukaj¹c wśród nich konspiratora. Zatrzyma³ wzrok na d³ugow³osym czternastolatku w k¹pielówkach i sanda³ach.

Kiedy ch³opak podszed³ do automatu z papierowymi ręcznikami, Joe ruszy³ za nim, urwa³ kilka kawa³ków i powiedzia³:

21

Na zewn¹trz kręci się chyba dwóch gliniarzy, czekaj¹ na mnie.

Ch³opak napotka³ jego wzrok, ale nie odezwa³ się, po prostu dalej wyciera³ d³onie.

Joe doda³:

Dam ci dwadziecia dolców, jak się rozejrzysz, a potem wrócisz tu i powiesz mi, gdzie s¹.

Oczy ch³opaka mia³y fioletow¹ barwę więz¹ego siniaka, a spojrzenie bezporędnie jak cios.

Trzydzieci.

Joe nie przypomina³ sobie, by jako czternastolatek kiedykolwiek tak mia³o i wyzywaj¹co patrzy³ w oczy doros³emu. Gdyby kto zaproponowa³ mu co takiego, po prostu potrz¹sn¹³by g³ow¹ i szybko się oddali³.

Piętnacie teraz i piętnacie potem dorzuci³ ch³opak.

Mn¹c papierowe ręczniki i wrzucaj¹c je do kosza, Joe targowa³ się:

Dziesięć teraz, dwadziecia, jak wrócisz.

Stoi.

Jeden ma oko³o metra osiemdziesięciu wzrostu, jest opalony i ubrany w zielon¹ hawajsk¹ koszulę. Drugi ma jaki metr siedemdziesi¹t i kasztanowe w³osy, jest trochę¹ ysy i blady. Ubrany w czerwono-pomarańczow¹ koszulę.

Ch³opak wzi¹³ dziesięciodolarowy banknot, nie przestaj¹c patrzeć Joemu w twarz.

Może to tylko taka gadanina, może tam nikogo nie ma, a jak wrócę, pan każe mi iść ze sob¹ do kabiny, żeby dać mi resztę.

Joe by³ zak³opotany nie tyle podejrzeniem o pedofilię, ile faktem, że tak m³ody ch³opak musi wykazać się ponur¹ wiedz¹ i ulicznym sprytem.

adna gadanina.

Bo ja nie lecę na takie numery.

Jasne.

Co najmniej kilku z obecnych mężczyzn musia³o s³yszeć tę wymianę zdań, ale żaden nie zareagowa³. By³ to wiek, w którym obowi¹zywa³a zasada: żyj i daj żyć innym.

Kiedy ch³opak zwróci³ się do wyjścia, Joe powiedzia³:

Nie bę¹ czekać zaraz za drzwiami. Stoj¹ w pewnej odleg³oci, żeby obserwować teren, nie rzucaj¹c się w oczy.

Ch³opak nie odpowiedzia³, tylko podszed³ do drzwi, stukaj¹c sanda³ami o kafelki.

A spróbuj wzi¹ąć moje dziesięć dolców i nie wrócić ostrzeg³ Joe. Znajdę cię i skopię ty³ek.

Tak, pewnie stwierdzi³ ch³opak pogardliwie i znikn¹³.

Joe podszed³ do jednej z zardzewia³ych umywalek i jeszcze raz umy³ ręce, żeby nie wygl¹da³o, że szuka tu okazji.

Trzej dwudziestoparoletni mężczyźni skupili się nad kalekim karaluchem, który wci¹ż goni³ na niewielkim kawa³ku pod³ogi samego siebie. Pod¹ła³ kolistym torem o rednicy dwudziestu pięciu centymetrów. Drepta³ niezgrab

nie z owadzi¹ zawziêtoci¹, a mêtczyni z d³oñmi pe³nymi papierowych banknotów obstawiali, jak szybko pokona jedno okr¹lenie.

Schylaj^c siê nad umywalk¹, Joe spryska³ sobie twarz zimm¹ wod¹. Mia³a ostry smak i pachnia³a chlorem, ale poczucie czystoci, jakie dawa³a, szybko znika³o pod wp³ywem zastarza³ego, s³onego odoru dobywaj¹cego siê z otwartego ciekua.

Budynek nie mia³ dobrej klimatyzacji. Nieruchome powietrze by³o gorêtsze niê na zewn¹trz i cuchnê³o ury¹n¹, potem i rodkami odkaj¹cymi. By³o tak obrzydliwie gête, iê oddychanie nim zaczê³o przyprawiaæ Joego o md³oci.

Wydawa³o siê, iê sprawa zabiera ch³opakowi zbyt duêo czasu.

Joe chlapn¹³ sobie jeszcze trochê wody na twarz, po czym zacz¹³ wpatrywaæ siê w swoje pokryte kropelkami, ociekaj¹ce oblicze w brudnym lustrze. Pomimo opalenizny i zaró¹owienia wywo³anego przebywaniem przez kilka ostatnich godzin na s³oñcu, nie wygl¹da³ dobrze. Oczy mia³ szare, lecz juê nie b³yszcz¹ce, jak niegdy, niczym ielazo; teraz jego renice nabra³y miêkkiej, martwej szaroci popio³ów, za bia³ka podbieg³y krwi¹.

Do hazardzistów przy³czy³ siê czwarty mêtczynna. Mia³ ponad piêædziesi¹tkê, by³ wiêc o dobrych trzydziestu lat starszy od pozosta³ych, ale stara³ siê im dorównaæ w entuzjazmie wobec bezmylnego okrucieñstwa. Gracze przeszkadzali pozosta³ym u¹ytownikom toalety. Zachowywali siê ha³aliwie, miej¹c siê ze spazmatycznej wêdrówki insekta i ponaglaj¹c go jak konia wycigowego, który pêdzi w kierunku mety. Jazda, jazda, jazda, jazda! K³ócili siê g³ono, czy para drgaj¹cych czu³ek na g³owie s³u¹y mu do poruszania siê czy teê jest instrumentem, dziêki któremu wyczuwa jazdzenie i inne karaluchy, chêtne do kopulacji.

Staraj¹c siê za wszelk¹ cenê odgrodziæ od ha³aliwej grupki, Joe bada³ w lustrze swe popielate oczy, zastanawiaj¹c siê, co nim kierowa³o, kiedy wysy³a³ ch³opaka w poszukiwaniu mêtczyn w hawajskich koszulach. Jeli prowadzili jak¹ obserwacjê, to musieli go z kim pomyliæ. Wkrótce uwiadomi¹ sobie swój b³id, a on nigdy wiêcej ich nie zobaczy. Nie by³o powodu doprowadzaæ do konfrontacji czy teê zbieraæ na ich temat jakich informacji.

Musia³ przyjæ na plaê, by przygotowaæ siê do wizyty na cmentarzu. Czu³ potrzebê poddania siê prastaremu rytmowi wiecznego morza, które obmywa³o go jak ska³ê, wyg³adzaj¹c ostre krawêdzie niepokoju, który gniedzi³ siê w jego umyle, i drzazgi, które kry³y siê w jego sercu. Morze nios³o ze sob¹ przes³anie, iê iycie nie jest niczym wiêcej jak tylko pozbawion¹ sensu mechanik¹ i zimnymi si³ami ponure przes³anie beznadziejności, które koi³o ból w³anie dlatego, iê by³o brutalnie bezporednie, przemawia³o wprost. Potrzebowa³ teê jeszcze jednego czy dwu piw, by lekcja udzielona przez morze wci¹ê w nim trwa³a, gdy bêdzie szed³ przez miasto, zmierzaj¹c na cmentarz.

Nie potrzebowa³ natomiast niczego, co zajê³oby jego myli. Nie potrzebowa³ dzia³ania. Nie potrzebowa³ iadnej tajemnicy. iycie straci³o dla niego

wszelk¹ tajemnicê tej samej nocy, gdy straci³o swój sens, gdy cich¹ ³1k¹ w Colorado wstrz¹sn¹³ nag³y grzmot i wybuch ognia.

Pos³ysza³ tupot sanda³ów. Ch³opak wróci³ po swoje dwadziecia dolarów.

Nie widzia³em iadnego wysokiego faceta w zielonej koszuli, ale ten drugi tam jest i opala sobie ³ysinê.

Jeden z graczy za plecami Joego krzykn¹³ triumfalnie. Inni jêknêli, gdy umieraj¹cy karaluch pokona³ kolejne okr¹lenie kilka sekund szybciej albo wolniej niê poprzednie.

Ch³opak, zaciekawiony, wyci¹gn¹³ szyjê, żeby popatrzeæ, co siê dzieje.

Gdzie? spyta³ Joe, otwieraj¹c portfel.

Wci¹¿ próbuj¹c dostrzec co miêdzy graczami, którzy utworzyli wokó³ insekta szczelny kr¹g, ch³opak odpar³:

Przy palmie, tam, gdzie stoj¹ dwa sk³adane stoliki. Kilku Koreañców gra tam w szachy, mo¿e dwadziecia, mo¿e trzydzieci metrów st¹d.

Choæ wysoko umieszczone okna o matowych szybach przepuszcza³y twarde s³oneczne wiat³o, a przybrudzone neonówki na suficie rzuca³y siny blask, powietrze wydawa³o siê ¿ó³te jak mg³a unosz¹ca siê nad jakim kwasem.

Spójrz na mnie powiedzia³ Joe.

Ch³opak, zajêty karaluchem, nie zrozumia³.

Hê?

Spójrz na mnie.

Zaskoczony cich¹ furi¹ w g³osie Joego, ch³opak spojrze³ mu przelotnie w twarz. Po chwili niespokojne oczy o barwie siniaka skupi³y siê na dwudziestodolarowym banknocie.

Ten goæ, którego widzia³e, mia³ na sobie czerwon¹ hawajsk¹ koszulê? spyta³ Joe.

By³a kolorowa, ale g³ównie czerwona i pomarañczowa, no tak.

Jakie spodnie nosi³?

Spodnie?

Nie mówi³em, w co jeszcze jest ubrany, bo chcia³em ciê sprawdziæ. Wiêc jeli go widzia³e, to mi powiedz.

O rany, cz³owieku, nie wiem. Nosi³ szorty czy d³ugie spodnie, sk¹d mam wiedziæ?

Powiedz mi.

Bia³e? Br¹zowe? Nie jestem pewien. Nie wiedzia³em, ¿e mam zwracaæ uwagê na cholern¹ modê. Sta³ tam po prostu, rozumie pan, i wygl¹da³ dziwacznie, trzymaj¹c w ³apie buty ze zwiniêtymi skarpetkami.

By³ to ten sam cz³owiek z walkie-talkie, którego Joe widzia³ obok wie¿yczki ratownika.

Od strony hazardzistów dobieg³y g³one krzyki dopinguj¹ce karalucha, a tak¿e miech, przekleñstwa, propozycje stawek, przybijanie zak³adów. Mê¿czyzni zachowywali siê tak ha³aliwie, ¿e ich g³osy odbija³y siê od betonowych cian i wprawia³y w dr¿enie lustra. Joe by³ niemal pewien, ¿e srebrzyste powierzchnie lada moment popêkaj¹.

24

Naprawdê obserwowa³ tych Koreañczyków, którzy grali w szachy, czy tylko udawa³?

Patrzy³ tam i gada³ z dwiema kremówkami.

Kremówkami?

Sukami w bikini. Cz³owieku, szkoda ¿e nie widzia³e tej rudej w zielonym kostiumie. Na skali od jednego do dziesiêciu ona ma dwanacie. Musisz siê na ni¹ gapiæ, nie ma si³y, cz³owieku.

Mia³ na nie ochotê?

Nie wiem, co on sobie myli stwierdzi³ ch³opak. Kiepski jest, ¿adna z tych suk nie poleci z nim na numer.

Nie nazywaj ich sukami.

Co?

To s¹ kobiety.

W gniewnych oczach ch³opaka co b³ysnê³o, jak odbicie stalowych ostrzy.

Hej, a kto pan jeste, papieŹ?

Óte powietrze zdawa³o siê gêstnieæ. Joe niemal czu³, jak go oblepia.

Odg³os spuszczonej wody wywo³a³ w jego ³o³¹dku sensacje. Zwalczy³ nag³y atak md³oci.

Opisz te kobiety zwróci³ siê do ch³opca.

Ten, patrz¹c bardziej wyzywaj¹co niê przedtem, powiedzia³:

Cycate jak diabli. Zw³aszcza ta ruda. Ale brunetka teŹ niez³a. Przeczoz³ga³bym siê po t³uczonym szk³e, Źeby siê do niej dobraæ, nawet jak jest g³ucha.

G³ucha?

Musi byæ g³ucha czy co takiego odpar³ ch³opak. Wk³ada³a sobie co do uszu, chyba aparat s³uchowy, a potem wyci¹ga³a, jakby nie mog³a go dopasowaæ. Naprawdê niez³a suka.

Choæ by³ od ch³opaka wyŹszy o dobre piêtnacie centymetrów i ciêŹszy o dwadziecia kilo, Joe chocia³ chwyciæ go za gard³o i zacz¹æ dusiæ. Dusiæ, aŹ ch³opak przyrzeknie, Źe nie bêdzie wiêcej uŹywa³ tego s³owa bez zastanowienia. AŹ zrozumie, jak jest obrzydliwe i jak brudzi cz³owieka.

Joe by³ przestraszony gwa³townoci¹ swej ledwie t³umionej reakcji: obnaŹone zêby, pulsuj¹ce Źy³y na szyi i skroniach, krew uderzaj¹ca do g³owy i ograniczaj¹ca pole widzenia. Md³oci nasili³y siê, wzi¹³ wiêc g³êboki oddech, potem jeszcze jeden, by siê uspokoiæ.

Ch³opak najwidoczniej dostrzeg³ w oczach Joego co, co kaza³o mu zamilkn¹æ. Nie by³ juŹ taki napastliwy i znów skierowa³ spojrzenie na krzykliwych hazardzistów.

Daj pan dwadziecia dolców. Zarobi³em je.

Joe nie wypuszcza³ banknotu z d³oni.

Gdzie twoi starzy?

Te niby co?

Gdzie twoja matka?

A co to pana obchodzi?

25

Gdzie oni s¹?

Yj¹ po swojemu.

Gniew Joego zamieni³ siê w smutek.

Jak masz na imiê, dzieciaku?

A co to pana obchodzi? Myli pan sobie, Źe jestem niemowlak, Źe nie mogê sam chodziæ na plaŹê?

Pieprz siê pan, chodzê, gdzie mi siê podoba.

Chodzisz, gdzie ci siê podoba, ale nigdzie ciê nie ma.

Ch³opak znów spojrza³ mu w oczy. W jego wzroku mignê³o tyle bólu i samotnoci, Źe Joego ogarnê³o przeraŹenie. Nie móg³ poj¹æ, jak to moŹliwe, by Źycie dowiadczy³o tak g³êboko kogo, kto jeszcze nie skończy³ czternastu lat.

Nigdzie mnie nie ma? A co to niby znaczy?

Joe wyczu³, Źe uda³o mu siê nawi¹zaæ z ch³opcem kontakt na jakim g³êbszym poziomie, Źe niespodziewanie otworzy³y siê dla niego i dla tego zagubionego dzieciaka jakie drzwi, i Źe przyszoæ ich obu moŹe zmieniaæ siê na lepsze, gdyby tylko zrozumia³, dok¹d mog¹ pójæ, przekroczywszy ten próg. Ale jego w³asne Źycie i zasób m¹droci Źyciowej by³y równie puste jak wyrzucona na brzeg muszla. Nie mia³ wiary, któr¹ móg³by siê z kim podzieliæ, m¹droci, któr¹ móg³by przekazaæ, nadziei, któr¹ móg³by ofiarowaæ, nie mia³ doæ si³y dla samego siebie, a cóŹ dopiero dla kogo innego.

By³ stracony, a straceni ludzie nie mog¹ pe³niæ roli przewodników.

Chwila przeminê³a, ch³opak wyci¹gn¹³ mu z d³oni banknot dwudziestodolarowy. Na jego twarzy

widnia³ raczej szyderczy grymas niż umiech, kiedy przedrzenia³ Joego:

To s¹ kobiety. A na odchodnym doda³: Jak je rozgrzejesz, to wszystkie zmieniaj¹ s¹ w suki.

A my jesteśmy tylko psy? rzuci³ za nim Joe, ale ch³opak wymkn¹³ się z toalety, nim zd¹cy³ us³yszeæ pytanie.

Choæ Joe umy³ d³onie ju¿ dwa razy, wci¹¿ czu³ się brudny.

Znów obróci³ się w stronê umywalek, ale nie by³o ³atwo się do nich dostaæ. Teraz nad karaluchem pochyla³o się ju¿ szeciu mêtczyzn, a kilku innych przygl¹da³o się z boku.

W zat³oczonyj toalecie zrobi³o się tak duszno, że Joe ocieka³ potem. ^óte powietrze piek³o go w nozdrzach, z ka¿dym oddechem pali³o p³uca, dra¿ni³o oczy. Osiada³o na lustrach, zamazuj¹c odbicie podnieconych mêtczyzn, a¿ w koñcu przestali byæ istotami z krwi i koci, a zaczęli przypominaæ udrêczone duchy ogl¹dane przez ma³y, zaparowany siarczanymi wyziewami wizjer gdzie w najg³êbszych czeluciach królestwa potêpionych. Rozgor¹czkowani gracze wrzeszczeli na karalucha, wymachuj¹c garciami dolarów. Ich g³osy zla³y się w jeden przeraliwy lament, pozbawiony sensu, ob³1kañczy be³kot, który nasila³ się i nabiera³ coraz wy¿szego tonu, a¿ w koñcu zabrzmia³ w uszach Joego jak pisk na granicy ludzkiej wytrzyma³oci, wwiercaj¹c się w samo centrum jego mózgu i wzbudzaj¹c w ciele niebezpieczne wibracje.

Przepchn¹³ się miêdzy dwoma mêtczynami i rozgniót³ stop¹ karalucha.

26

W pe³nej zaskoczenia ciszy, jaka nast¹pi³a, Joe odwróci³ się od graczy, dr¿¹c niepowstrzymanie, wci¹¿ maj¹c w pamięci suchy trzask pod butem, wci¹¿ czuj¹c, jak przebiega mu przez koci. Skierowa³ się do wyjcia, chc¹c za wszelk¹ cenê wydostaæ się z tego miejsca, nim wybuchnie.

Gracze, jak na zawo³anie, wyrwali się z parali¿uj¹cych objêæ zaskoczenia. Krzyczeli gniewnie, oburzeni jak parafianie w kociele na widok brudnego i pijanego w³óczêgi, który wszed³by do ich przybytku w czasie mszy, opar³ się o balustradê przed o³tarzem i zwymiotowa³ na pod³ogê.

Jeden z mêtczyzn, o twarzy czerwonej jak kawa³ t³ustej szynki i spierzchniêtych od s³oñca wargach, które ods³ania³y teraz poplamione nikotyn¹ zêby, z³apa³ Joego za ramiê i szarpn¹³ gwa³townie.

Co ty, sobie, kurwa, mylisz, facet?

Puæ mnie.

Wygrywa³em forsê, facet.

Joe czu³ na ramieniu wilgotn¹ d³oñ mêtczyny, brudne, choæ têpe paznokcie wpija³y mu się w skórê.

Puæ.

Wygrywa³em forsê powtórzy³ mêtczynna. Jego usta wykrzywi³ tak gniewny grymas, że spierzchniête wargi rozci¹gnê³y się, a w ma³ych pêtniciach pokaza³a się krew.

Joe chwyci³ rozz³oszczonego gracza za rêkê i wygi¹³ mu jeden z brudnych palców do ty³u. Oczy mêtczynny rozszerzy³y się ze zdumienia i strachu, a gdy otwiera³ usta, by krzykn¹æ, Joe wykrêci³ mu rêkê na plecy, obróci³ nim gwa³townie i pchn¹³ na zamkniête drzwi kabiny.

Joe s¹dzi³, że jego dziwna wciek³oæ znalaz³a ujcie ju¿ wczeniej, w czasie rozmowy z ch³opcem, pozostawiaj¹c w nim jedynie rozpacz, ale teraz znów się ujawni³a, nieproporcjonalna do przyczyny, która j¹ wywo³a³a, gor¹ca jak przedtem. Nie bardzo wiedzia³, dlaczego to robi, dlaczego gruboskórnoæ tych mêtczyzn go irytuje, ale nim uwiadomi³ sobie, jak przesadna by³a jego reakcja, uderzy³ mêtczyn¹ o drzwi kabiny raz, potem drugi i trzeci.

Wciek³oæ nie ulotni³a się, wrêcz przeciwnie, pulsuj¹ca dziko krew przys³oni³a mu wzrok, a cia³o

przepe³nia³o prymitywne szaleństwo. Joe wiedzia³, że traci panowanie nad sob¹. Puci³ hazardzistê, a wtedy mêt³czynna osun¹³ siê na pod³ogê.

Trzes¹c siê z gniewu, a zarazem ze strachu, jaki wywo³a³ w nim w³asny napad wciek³oci, Joe zacz¹³ siê cofaæ, a³ natrafi³ na pisuary.

Pozostali mêt³czyni w toalecie odsunêli siê od niego. Nikt siê nie odzywa³.

Pobity hazardzista le³a³ na plecach poród jedno- i piêci dolarowych banknotów, które wygra³. Na brodzie mia³ krew z rozciêtých warg. Przyciska³ d³oñ do lewej strony twarzy, któr¹ uderzy³ o drzwi.

To by³ tylko karaluch, na litoæ bosk¹, tylko paskudny karaluch.

Joe próbowa³ powiedzieæ, że jest mu przykro. Nie mó³g³ jednak mówiaæ.

27

O ma³o nie z³ama³e mi nosa. Z powodu karalucha? Chcia³e mi z³amaæ nos z powodu karalucha?

̄a³uj¹c nie tego, co robi³ z mêt³czynn¹, który bez w¹tpienia wyrz¹dza³ innym jeszcze gorsze krzywdy, ale samego siebie, ³a³uj¹c, że sta³ siê chodz¹cym wrakiem, że jego niewybaczalne zachowanie obra³a³o pamiêæ ³ony i córek, Joe nie by³ jednak zdolny do jakichkolwiek przeprosin. D³awi¹c siê odraz¹ do samego siebie, tak jak d³awi³ siê obrzydliwym powietrzem toalety, wyszed³ z cuchn¹cego budynku na pla³ê owiewan¹ oceaniczn¹ bryz¹, która wcale nie odwie³a³, na wiat równie brudny co pomieszczenie za jego plecami.

Pomimo s³oñca wstrz¹sa³y nim dreszcze, w piersi wzbiera³a zimna fala wyrzutów sumienia.

Id¹c w stronê rêt³znika i lodówki z piwem, nie dostrzegaj¹c t³umu pla³owiczów, przez który siê przeciska³, przypomina³ sobie bladego mêt³czynnê w czerwono-pomarańczowej koszuli. Nie przystan¹³, nawet siê nie obejrza³, ale brn¹³ dalej po piasku.

Nie obchodzi³o go ju³, kto go obserwuje nawet jeli rzeczywiście tak by³o. Nie pojmowa³, dlaczego mia³by tych ludzi intrygowaa. Jeli byli z policji, to dzia³ali kiepsko, bior¹c go za kogo innego. Nie odgrywali w jego ³yciu ³adnej roli. Gdyby ch³opak z koñskim ogonem nie zwróci³ na nich jego uwagi, nawet by ich nie zauwa³y³. Wkrótce uwiadomi¹ sobie swój b³d i znaj¹d¹ w³aciw¹ osobê. A tymczasem do diab³a z nimi.

W miejscu, gdzie siedzia³ Joe, robi³o siê coraz t³oczniej. Rozwa³a³, czy siê nie spakowaæ i wynieæ stamt¹d, ale nie by³ jeszcze gotów iaæ na cmentarz. Incydent w toalecie uwolni³ zapasy adrenaliny, która zniszczy³a efekt wywo³any usypiaj¹cym odg³osem morza i dwoma piwami.

Znów po³o³y³ siê na rêt³zniku i wsun¹³ d³oñ do lodówki, po czym wyci¹gn¹³ z niej nie butelkê, ale kawa³ek lodu w kształcie pó³ksiêt³yca, który przycisn¹³ sobie do czo³a. Spogl¹da³ na morze. Szarzielony bezmiar wydawa³ siê nieskończonym szeregiem przek³adni jakiego ogromnego mechanizmu, a jasnosrebrne s³oneczne refleksy na jego powierzchni przypomina³y wy³adowania elektryczne. Fale nap³ywa³y i cofa³y siê monotennie jak korbowody poruszaj¹ce siê tam i z powrotem. Morze by³o maszyn¹ w wiecznym ruchu, maszyn¹, która nie mia³a innego celu jak tylko ci¹g³oæ w³asnego istnienia, maszyn¹ otoczon¹ romantycznym kultem i uwielbian¹ przez niezliczonych poetów, niezdoln¹ jednak do poznania ludzkiej pasji, bólu i nadziei.

Wierzy³, że musi zaakceptowaæ zimn¹ mechanikê Stworzenia, gdy³ nie ma sensu sprzeciwiaæ siê bezdusznej maszynie. W koñcu trudno winiaæ zegar za zbyt szybki up³yw czasu. Trudno obarczaæ krosna odpowiedzialności za to, że z materia³u, który na nich utkano, mia³ byæ uszyty kaptur katowski. ̄ywi³ nadziejê, że gdy pogodzi siê z mechanistyczn¹ obojêt³noci¹ wszechwiata, z

pozbawion¹ celu natur¹ życia i mierni, znajdzie w końcu spokój.

28

Taka akceptacja przynios³aby tylko ch³odn¹ pociechê, obumieranie serca. Ale teraz pragn¹³ tylko jednego by skończy³ się jego żal i noce pe³ne koszmarów. By nie trzeba się już by³o czymkolwiek przejmowaæ.

Zjawi³y się nowe plażowiczki i roz³oży³y bia³e przecierad³o k¹pielowe jakie siedem metrów od niego. Jedna by³a olniewaj¹c¹, rudow³os¹ dziewczyn¹ w zielonym bikini, tak sk¹pym, że wprawi³aby w zak³opotanie nawet striptizerkê. Druga by³a brunetk¹, niemal równie atrakcyjn¹ jak jej towarzyszka.

Ta ruda by³a obciêta na krótko. W³osy brunetki by³y d³ugie, by lepiej ukryæ aparat, który nosi³a w uchu.

Jak na kobiety po dwudziestce by³y zbyt rozchichotane i dziewczêce. Tryska³y dobrym humorem, co samo w sobie zwraca³o na nie powszechn¹ uwagê. Smarowa³y się powoli olejkiem do opalania, nat³uszcza³y sobie nawzajem plecy i dotyka³y się z leniw¹ przyjemnoci¹, jak na pierwszej scenie filmu dla doros³ych, przyci¹gaj¹c uwagê ka³dego heteroseksualnego mêt³czyzny na plaży.

Ich taktyka by³a przejrzysta. Nikt nie móg³ podejrzewaæ, że jest obserwowany przez kogo, kto nie tylko się nie os³ania, ale wrêcz robi wszystko, by rzuciæ się w oczy innym. Chcia³y byæ równie niezwyk³e jak mêt³czyjni w hawajskich koszulach. W przypadku napalonego ch³opaka, który za trzydzieci dolarów przeprowadza³ rekonesans, mog³o się to okazaæ skuteczne.

Opalone i d³ugonogie, ods³aniaj¹c rowek miêdzy piersiami i sprêt³yste, okr¹g³e poladki, zamierza³y wzbudziæ zainteresowanie Joego i nak³oniaæ go do rozmowy. Jeli takie mia³y zadanie, to zawiod³y. Ich wdziêki nie dzia³a³y na niego.

W ci¹gu minionego roku jakiegokolwiek erotyczne skojarzenie czy te³ myli by³y zdolne rozbudziæ go tylko na chwilê. Niemal natychmiast pojawia³y się bolesne wspomnienia Michelle, jej cudownego cia³a i zdrowego g³odu rozkoszy fizycznej. W takich chwilach niemal jednoczenie przypomina³ sobie straszne, d³ugie spadanie z gwiazd wprost na ziemiê Colorado, dym, ogieñ, w końcu mieræ. Po³danie nikt³o w bezkresie straty.

Te dwie kobiety zwraca³y jego uwagê tylko dlatego, że irytowa³o go, jak nieumiejêtnie bior¹ się do rzeczy. Zastanawia³ się, czy nie podejæ do nich i nie powiedziæ o pomy³ce, żeby się ich pozbyæ. Jednakże po starciu w toalecie perspektywa kolejnej konfrontacji nie by³a zachêcaj¹ca. Gniew się w nim wypali³, ale nie ufa³ już samemu sobie.

Up³yn¹³ rok, co do dnia.

Wspomnienia i groby.

Wiedzia³, że musi przez to przejæ.

Kolejna fala za³ama³a się, pozbiera³a swe spienione resztki i cofnê³a się, by znów rzuciæ je na brzeg. Patrz¹c cierpliwie na ten odwieczny rytua³, Joe stopniowo się uspokaja³.

Pó³ godziny póniej, już bez pomocy piwa, by³ gotów udaæ się na cmentarz. Strzepl¹³ z rêcznika piach, z³oży³ go na pó³, i starannie zwin¹³, podniós³ lodówkê.

29

G³adkie jak morska bryza, leniwe jak blask s³oneczny, m³ode, gibkie kobiety w sk¹pych bikini udawa³y, że s¹ bez reszty pogr¹zone w monosylabycznym dialogu, jaki prowadzi³y z dwoma podrywaczami prezentuj¹cymi napakowane sterydami cia³a.

Kryj¹c spojrzenie za ciemnymi szk³ami, dostrzeg³ jednak, że zainteresowanie kobiet tymi miêniakami by³o udawane. Nie nosi³y przeciws³onecznych okularów i gdy tak gawêdzi³y, mia³y się i

zachêca³y swych wielbicieli, moŹna by³o zauwaŹyæ, Źe ukradkiem zerkaj¹ na Joego.

Oddali³ siê, nie patrz¹c za siebie. Chcia³ zachowaæ obojêtnoæ oceanu.

Mimo wszystko zastanawia³ siê, jaka agencja moŹe pochwaliaæ siê tak olniewaj¹co piêknymi kobietami w swych szeregach. Zna³ kilka policjantek, które by³y równie urocze i sexy co gwiazdy filmowe, ale ta ruda i jej przyjaciółka przewyŹsza³y nawet celuloidowy standard.

Kiedy dotar³ na parking, by³ niemal pewien, Źe mêŹczyñni w hawajskich koszulach bêd¹ obserwowaaæ jego hondê. Jeli to robili, ich stanowisko by³o doskonale zamaskowane.

Joe wyjecha³ z parkingu i skrêci³ w prawo, w Pacific Coast Highway. Nikt za nim nie jecha³.

Byæ moŹe uwiadomili sobie swój b³id i teraz szukali gor¹czkowo w³aciwego cz³owieka.

Zjecha³ z Wilshire Boulevard na San Diego Freeway, nastêpnie skierowa³ siê na pó³noc, ku Ventura Freeway, i na wschód. Wydosta³ siê spod ch³odnych powiewów morskiej bryzy i zag³êbi³ w Źar San Francisco Valley. W blasku sierpniowego s³oñca przedmiecia przypomina³y ceramikê wypalan¹ w piecu, gor¹c¹ i tward¹.

Cmentarz obejmowa³ trzysta akrów ³agodnych pagórków, p³ytkich dolinek i rozleg³ych trawników miasto umar³ych, Los Angeles nieŹywych. By³ podzielony na kwatery ciêŹkami, które wi³y siê z wdziêkiem. TuŹ obok siebie, w intymnej równoci, jak¹ zapewnia tylko mieræ, spoczywali tu s³awni aktorzy i zwykli sprzedawcy, gwiazdy rocka i rodziny dziennikarzy.

Joe min¹³ po drodze dwa pogrzeby: samochody zaparkowane przy krawêŹniku, rzêdy rozk³adanych krzese³ na trawie, wzgórkii wykopanej ziemi przykryte miêkkim, zielonym brezentem. Przy grobach siedzieli przygarbieni Źa³obnicy, sztywni w swoich czarnych sukienkach i czarnych garniturach, osaczeni upa³em, ale teŹ przybici Źalem i poczuciem w³asnej miertelnoci.

Na cmentarzu moŹna by³o znaleæ kilka duŹych, rozbudowanych grobowców i otoczonych niskim murkiem rodzinnych poletek z mogi³ami, ale nie by³o tu granitowych lasów pos¹gów czy nagrobków. Niektórzy chowali swych bliskich w niszach wykutych w cianie mauzoleum. Inni woleli ³ono ziemi zaznaczali groby jedynie mosiêŹnymi tabliczkami na p³askich ka

30

miennych p³ytach, równo z gruntem, by nic nie zak³óca³o otoczenia przypominaj¹cego park miejski.

Joe z³oŹy³ szcz¹tki Michelle i dziewczynek na ³agodnym zboczii pagórka, ocienionym przez pinie i indiañskie wawrzyny. W pogodne dni po trawie skaka³y wiewiórki, za o zmroku zjawia³y siê tu dzikie króliki. Wierzy³, Źe drogie mu kobiety na pewno wola³yby to miejsce od kamiennego ch³odu mauzoleum, gdzie nawet w wietrzne noce nie dociera³ szum drzew.

Zaparkowa³ przy krawêŹniku, z dala od drugiego pogrzebu, zgasi³ silnik i wysiad³ z hondy. Sta³ przy wozie w zniewalaj¹cym upale, zbieraj¹c ca³¹ odwagê.

Ruszy³ pod górê, nie patrz¹c w stronê grobów. Gdyby ujrza³ to miejsce z daleka, nie mia³by juŹ ochoty tam iaæ i moŹe by zawróci³. Nawet po up³ywie roku kaŹda wizyta na cmentarzu kosztowa³a go wiele, jakby widzia³ tu nie groby, ale zmasakrowane cia³a w kostnicy. Zastanawiaj¹c siê, ile lat up³ynie, zanim ból z³agodnieje, wspina³ siê po zboczii ze spuszczon¹ g³ow¹, ze wzrokiem wbitym w ziemiê, przygarbiony, zmêczony upa³em, jak stary koñ poci¹gowy, który wraca do domu wci¹Ź t¹ sam¹ drog¹.

W³anie dlatego nie dostrzeg³ wczieniej stoj¹cej przy grobach kobiety. Zobaczy³ j¹ dopiero, gdy zbliŹy³ siê do niej na jakie trzy czy cztery metry. Zatrzyma³ siê zaskoczony.

Stała poza zasięgiem słonecznego blasku, w cieniu pinii. Odwrócona do niego plecami. Trzymała w dłoniach polaroid i robiła zdjęcia płyt nagrobnych.

Kim pani jest?

Nie usłyszała go, może dlatego, że mówi cicho, a może dlatego, że była zajęta fotografowaniem. Podchodzi bliżej, spyta:

Co pani robi?

Przestraszona, odwróciła się do niego.

Była drobna, około stu sześćdziesięciu centymetrów wzrostu, ale sprawiała wrażenie wysportowanej, robiła o wiele większe wrażenie, niż mogłoby to tłumaczyć jej wygląd czy sylwetka, jakby jej ciało nie zakrywało ubranie dżinsy i różowa, bawełniana bluzka ale jakie potężne pole magnetyczne, które natychmiast podporządkowywało wiat jej woli. Skóra o barwie mlecznej czekolady. Ogromne oczy ciemne jak osad na dnie filiżanki z mocną kawą, bardziej nieprzeniknione niż wyrocznia miały kształt migdałów, co sugerowało domieszkę krwi azjatyckiej. Włosy nie poskręcane na afro ani uplecione w cienkie warkoczyki, tylko równo przycięte, gęste, naturalnie proste i tak lśniące czarne, że prawie z odcieniem granatu, co również wskazywało na azjatyckie pochodzenie. Jednak budowa kości była afrykańska: grube, szerokie czoło, wydatne kości policzkowe, bezbłędnie zarysowane, mocne, dumne, lecz piękne. Była może o pięć lat starsza od Joego, po czterdziestce, ale cień niewinności widoczny w jej mrocznych oczach i leciutki ład dziecięcej wrażliwości na twarzy, która skądinąd wyrażała się, sprawiały, że wydawała się młodsza.

31

Kim pani jest, co pani tu robi? spyta ponownie.

Z rozchyłonymi ustami, jakby chciała coś powiedzieć, lecz zaskoczenie odebrało jej mowę, wpatrywała się w niego, jakby był duchem. Uniosła dłoń do jego twarzy i dotknęła policzka, a Joe się nie cofnął.

Z początku zdawało mu się, że dostrzeże w jej oczach zdumienie. Jednak niezwykła delikatność jej dotyku sprawiła, że przyjrzał się dokładniej i wtedy uwiadomił sobie, że to, co ujrzał w jej wzroku, nie było zdumieniem, tylko smutkiem i żalem.

Nie jestem jeszcze gotowa, by z panem rozmawiać.

Miała melodyjny głos.

Dlaczego robi pani zdjęcia ich grobów?

Ciskaj aparat obiema dłońmi, powiedziała:

Niebawem. Wróć, gdy nadejdzie czas. Proszę nie rozpaczaj. Ujrzy pan, tak jak inni.

Chwila wydawała się nierealna i Joe prawie wierzył, że ta kobieta jest duchem, a jej dotyk jest tak boleśnie delikatny w dotknięciu przez swą nierealność.

Jednakże obecność jego rozmówczyni narzucała się tak mocno, wyranie, że kobieta w żaden sposób nie mogłaby uchodzić za zjawę czy rezultat udaru słonecznego. Niewielka, ale pełna jakiejś siły. Bardziej realna niż cokolwiek w tym dniu. Bardziej realna niż niebo, drzewa i sierpniowe słońce, niż granit i miedziane płyty nagrobnych. Jej obecność była tak przemożna, że kobieta zdawała się kroczyć ku niemu, choć stała nieruchomo, zdawała się majaczyć nad nim gronie, choć była od niego o dwadzieścia centymetrów niższa. Mimo iż schowana w cieniu pinii, wydawała się dokładniej oświetlona niż on w blasku słońca.

Jak pan sobie radzi? spytała.

Zdezorientowany, zdołał jedynie odpowiedzieć przeczącym ruchem głowy.

Nie najlepiej wyszeptała.

Joe powiód³ spojrzeniem obok niej, ku granitowym i mosiężnym p³ytom. Us³ysza³ w³asny g³os, jakby dochodz¹cy gdzie z oddali.

Straceni na zawsze odnosi³o siê to zarówno do niego, jak i do żony i córek.

Kiedy znowu spojrze³ na kobietê, zorientowa³ siê, że patrzy gdzie w dal, sk¹d dobiega³ ha³as wyj¹cego silnika. W k¹cikach jej oczu i na czole pojawi³a siê troska.

Joe odwróci³ siê, by zobaczyæ, co j¹ zaniepokoi³o. Drog¹, któr¹ i on przyjecha³, nadję³dż³a z du¹ szybkości¹ bia³y ford, furgonetka.

Dranie mruknê³a.

Kiedy Joe znów siê obróci³ w stronê kobiety, ona ju¹ ucieka³a w górê zbocza, ku jego krawêdzi.

Hej, niech pani zaczeka zawo³a³.

Nie przystanê³a ani siê nie obejrza³a.

Ruszy³ za ni¹, ale by³ w gorszej kondycji. wietnie biega³a. Joe po kilku krokach przystan¹³. Pokonany przez dusz¹cy żar, nie potrafi³ jej dogoniaæ.

32

S³ońce odbija³o siê w szybie i miga³o w szk³ach reflektorów, gdy bia³a furgonetka minê³a go na pe³nym gazie. Zrówna³a siê z kobiet¹, gdy ta biega³a wzd³u¹ nagrobków.

Joe ruszy³ w dó³ wzgórze, w stronê swojego samochodu, ale nie bardzo wiedzia³, co robiæ. Mo¹je powinien w³czyæ siê do pocigu? Co tu siê dzia³o?

Furgonetka zatrzyma³a siê z piskiem hamulców, pozostawiaj¹c na asfalcie dwa blińcze lady opon, jakie piê¹dziesi¹t czy sze¹dziesi¹t metrów za hond¹. Drzwi po jednej i po drugiej stronie kabiny otworzy³y siê gwa³townie i ze rodka wyskoczyli mê¹czyni w hawajskich koszulach. Rzucili siê w pocig za kobiet¹.

Joe zatrzyma³ siê zaskoczony. Przecie¹ od Santa Monica nikt za nim nie jecha³. By³ tego pewien. A jednak wiedzieli, że przyjedzie na cmentarz.

Mê¹czyni nie okazali najmniejszego zainteresowania Joem, tylko jak dwa gończe psy rzucili siê w pocig za kobiet¹. Przypuszcza³, że na pla¹ży nie chodzi³o im o niego. Liczyli prawdopodobnie, że w jakim momencie doprowadzi ich do tej kobiety.

Chodzi³o im tylko o ni¹.

Do diab³a, musieli te¹ obserwowaæ jego mieszkanie, musieli iæ za nim na pla¹żê.

Zapewne ledzili go od wielu dni. Mo¹je nawet tygodni. Tak d³ugo tkwi³ w swojej mgle osamotnienia, pod¹żaj¹c przez życie jak lunatyk we nie, że nie zauwa¹ży³ tych ludzi, którzy skradali siê gdzie z boku.

Kim oni s¹, kim ona jest, dlaczego fotografowa³a groby?

Znalaz³szy siê niedaleko szczytu pagórka, co najmniej sto metrów dalej, kobieta schroni³a siê pod bujnymi konarami pinii, które porasta³y teren cmentarza. Bieg³a teraz po zacienionej trawie, tylko gdzieniegdzie nakrapianej s³onecznym wiat³em. Jej ciemna skóra zlewa³a siê z mrokiem panuj¹cym pod drzewami, lecz zdradza³a j¹ żó³ta bluzka.

Kierowa³a siê w stronê jakiego punktu na grzbiecie wzniesienia, jakby by³a obeznana z terenem. A ponieważ na tym odcinku cmentarnej drogi nie parkowa³y żadne samochody z wyj¹tkiem hondy Joego i bia³ej furgonetki, mo¹na by³o za³o¹żyæ, że nadesz³a na piechotê w³anie od tej strony.

Mê¹czyni z bia³ego forda, jeli chcieli j¹ z³apaæ, mieli spory kawa³ek do pokonania. Ten wysoki w zielonej koszuli zdawa³ siê byæ w lepszej formie ni¹ jego partner, poza tym by³ znacznie wy¹szy ni¹ kobieta, mia³ d³ugie nogi, wiêc zacz¹³ j¹ doganiaæ. Ale i ni¹szy nie zwolni³ ani na chwilê, choæ zostawa³ w tyle. Biegn¹c szaleńczo w górê d³ugiego, zalanego s³onecznym blaskiem wzniesienia,

potykaj¹c siê o tablice nagrobne, odzyskuj¹c jednak równowagê, par³ do przodu niczym uparte zwierzę, jakby pragn¹³ za wszelk¹ cenê znaleæ siê tam, gdzie kobieta zostanie powalona na ziemiê.

Za przystrzyżonymi i zadbanymi pagórkami cmentarza ci¹gnê³y siê wzgórze bardziej dziewicze: blada, piaszczysta gleba, po³acie sp³owia³ej trawy, chwasty, różnorodne krzewy, gdzieniegdzie niskie i poskręcane kar³owate dęby. Wypalone dolinki prowadzi³y na pe³ne grzechotników bezludzie, które

33 3 Jedyna ocalona

wznosi³o siê nad obserwatorium astronomicznym Griffitha i ogrodem zoologicznym zaroniête nieużytki w samym sercu wielkiego miasta.

Gdyby kobiecie uda³o siê tam dotrzeæ i gdyby zna³a drogê, mog³aby zgubiæ pociąg, klucz¹c miêdzy pagórkami.

Joe ruszy³ w stronê pustej furgonetki. Mia³ nadzieję, że czego siê dowie.

Kobieta mog³a mieæ na sumieniu jakie zbrodnie. Nie wygl¹da³a co prawda na kryminalistkê, jej sposób wyrażania siê teŹ na to nie wskazywa³. To by³o jednak Los Angeles, gdzie elegancko przystrzyżeni m³odzi ludzie zabijali brutalnie swoich rodziców, a potem, juŹ jako sieroty, ze ³zami w oczach b³agali przysiêg³ych o litoæ i ³askê. Nikt nie by³ tu taki, jaki siê na pierwszy rzut oka wydawa³.

A jednak delikatny dotyk jej palców na policzku Joego, smutek w oczach, ³agodnoæ w g³osie, wszystko to dowodzi³o, że bez wzglêdu na to, czy ucieka³a przed prawem czy teŹ nie jest kobiet¹ zdoln¹ do wespół³czucia. ¹yczy³ jej jak najlepiej.

Jaki okrutny dwiêk, twardy i p³aski, odbi³ siê g³onym echem na cmentarzu, pozostawiaj¹c w rozgrzanym bezruchu pulsuj¹c¹ ranê. Po nim rozleg³ siê nastêpny.

Kobieta niemal dotar³a na szczyt wzgórze. Mignê³a miêdzy dwoma ostatnimi drzewami. Niebieskie dŹinsy. ¹ó³ta bluzka. D³ugie kroki. Br¹zowe ramiona pracuj¹ce rytmicznie przy bokach.

NiŹszy mêŹczyzna, ten w czerwono-pomarańczowej koszuli, który wci¹Ź pozostawa³ w tyle, bieg³ nieco w bok od swego kompana, by nic mu nie zas³ania³o pola widzenia. Zatrzyma³ siê i podniós³ obie rêce, w których co trzyma³. Broń. Ten sukinsyn strzela³ do uciekaj¹cej kobiety.

Policjanci nie strzelali bezbronnym przestêpcom w plecy. W kaŹdym razie nie uczciwi policjanci.

Joe chcia³ jej pomóc. Nic mu jednak nie przychodzi³o do g³owy. Jeli byli gliniarzami, nie mia³ prawa ich oceniaæ. Jeli za nie mieli nic wspólnego z policj¹, a on by ich dogoni³, raczej by go zastrzelili, niŹ pozwolili siê wtr¹caæ.

Trzask.

Kobieta dotar³a do grzbietu wzgórze.

Biegnij ponagla³ j¹ Joe chrapliwym szeptem. Biegnij.

Nie mia³ w samochodzie telefonu komórkowego, nie móg³ wiêc zadzwoniaæ na policjê. Bêd¹c jeszcze reporterem, wozi³ aparat ze sob¹, ale ostatnio nawet z domu rzadko do kogo dzwoni³.

Ostry trzask kolejnego strza³u przeszy³ o³owiany Źar powietrza.

Jeli ci ludzie nie byli funkcjonariuszami policji, to musieli byæ zdesperowani albo szaleni, by zdecydowaæ siê na strzelaninê w miejscu publicznym chociaŹby w opustosza³ej czêci cmentarza. Odg³os strza³ów niós³ siê daleko i móg³ przyci¹gn¹æ uwagê pracowników, którzy bez trudu odciêliby strzelcowi drogê ucieczki, zamykaj¹c potêŹn¹, Źelazn¹ bramê.

Kobieta, najwidoczniej nie draniêta, zniknê³a w zarolach za grzbietem wzgórze.

Obaj mêŹczyzni w hawajskich koszulach ruszyli w lad za ni¹.

Joe Carpenter pobieg³ w stronê bia³ej furgonetki. Czu³, jak z ka³dy³m mocnym uderzeniem serca oczy zachodz¹ mu mg³¹.

Ford by³ zakryt¹ platform¹, z rodzaju tych, jakimi je³d¹ r³o³ni dostawcy. Ani ty³, ani boki samochodu nie nosi³y nazwy czy znaku jakiegokolwiek firmy.

Silnik pracowa³. Drzwi kabiny po obu stronach by³y otwarte.

Joe zbli³y³ siê do wozu od strony pasa³era, lizgaj¹c siê na grz¹skim trawniku zalanym wod¹ z popsutego spryskiwacza, po czym zajrza³ do kabiny, maj¹c nadziejê, *ze* znajdzie telefon komórkowy. Jeli by³ w samochodzie, to nie na wierzchu.

Mo³e w schowku. Otworzy³ go.

Kto siedz¹cy w czêci бага³owej za przednim siedzeniem, wzi¹wszy omy³kowo Joego za jednego z mê³czyzn w hawajskich koszulach, spyta³:

Macie Rose?

Cholera.

W schowku by³o kilka paczek z chusteczkami higienicznymi, które rozsypa³y siê na pod³odze, a miêdzy nimi koperta z Wydzia³u Komunikacji.

Wedle prawa, ka³dy pojazd poruszaj¹cy siê po drogach Kalifornii, musia³ byæ zaopatrzony w wa³ny dowód rejestracyjny i ubezpieczenie.

Hej, a ty kto jeste, do diab³a? spyta³ mê³czyzna w czêci бага³owej.

Joe chwyci³ kopertê i odwróci³ siê.

Nie by³o sensu uciekaæ. Ten cz³owiek zapewne strzela³ ludziom w plecy z tak¹ sam¹ ochot¹ jak tanci dwaj.

Drzwi z ty³u otworzy³y siê z trzaskiem i zgrzytem zawiasów i Joe ruszy³ ku nim. Zza samochodu ukaza³ siê osobnik o grubo ciosanej twarzy, ramionach marynarza i karku tak masywnym, *ze* móg³by oprzeæ na nim ma³y sa

mochód. Joe postanowi³ dzia³aæ przez zaskoczenie, zaatakowaæ bez dania racji, i z ca³ej si³y wpakowa³ mê³czyźnie kolano w krocze.

D³awi¹c siê i chwytaj¹c ze wistem powietrze, facet zacz¹³ siê pochylaæ, a wtedy Joe waln¹³ go g³ow¹ w twarz. Mê³czyzna run¹³ nieprzytomny na ziemiê, oddychaj¹c g³ono przez otwarte usta, gdy³ ze z³amanego nosa ciek³a krew.

Joe w dzieciñstwie czêsto siê bi³ i sprawia³ k³opoty. Jednak od czasu, gdy pozna³ Michelle i o³eni³ siê z ni¹, nie podniós³ na nikogo rêki. A³ do tego dnia. W ci¹gu ostatnich kilku godzin ju³ dwukrotnie uciek³ siê do przemocy, zaskakuj¹c tym samego siebie.

Jednak od zaskoczenia silniejszy by³ niesmak wywo³any w³asn¹ prymitywn¹ wciek³oci¹. Nigdy przedtem, nawet w czasie swej trudnej m³odoci nie wpada³ w taki gniew, a jednak znów musia³ siê z nim zmagaa, tak jak w toalecie na pla³y. Katastrofa samolotu wywo³a³a w nim nieopisane

przygnębienie i żal, ale stopniowo zaczyna³ sobie uwiadamiać, że te uczucia, jak warstwy ziemi, skrywa³y inne, głębsze emocje, do istnienia których nie chcia³ się przyznać; jego serce wypełnia³ po brzegi gniew.

Jeli wszechwiat by³ tylko zimnym mechanizmem, jeli życie by³o tylko podróż¹ z jednej pustej otch³ani do drugiej, to w żaden sposób nie mógł³ mieć pretensji do Boga. By³oby to równie bezsensowne jak wzywanie pomocy w próżni, która nie przenosi dźwięku, albo jak zaczerpnięcie oddechu pod wod¹. Dlatego, gdy tylko nadarzy³a się okazja, by wy³adować wciek³ość na innych ludziach, wykorzysty³ j¹ z niepokoju¹ cym entuzjazmem.

Pocieraj¹c czo³o, które bola³o go od zadanego ciosu, patrz¹c na nieprzytomnego cz³owieka z rozkrwawionym nosem, Joe odczuwa³ satysfakcję, której się wstydz³. Ta dzika radość podnieca³a go i jednocześnie napawa³a obrzydzeniem.

Leż¹cy na ziemi cz³owiek, ubrany w podkoszulek reklamuj¹cy jak¹ grę komputerow¹, obszerne czarne spodnie i czerwone adidas, mógł³ mieć pod trzydziestką, by³ więc co najmniej o dziesięć lat m³odszy od swoich współników. Mia³ ręce dostatecznie umięnione, by żonglować melonami, a na palcach obu d³oni, z wyj¹tkiem kciuków, wytatuowane litery. Wszystkie razem uk³ada³y się w napis ANABOLIC.

Przemoc nie by³a obca temu cz³owiekowi.

Jednakże choć samoobrona usprawiedliwia³a szybkie i bezwzględne dział³anie, Joe by³ zaniepokojony prymitywn¹ przyjemności¹, jak¹ czerpa³ ze swej brutalności. Mę¹czyzna z pewnością nie wygl¹da³ na przedstawiciela prawa, ale mimo to mógł³ być policjantem, a w takim przypadku napad na niego oznacza³a poważne konsekwencje. A przecie¹ż ku zaskoczeniu Joego, nawet perspektywa więzienia nie umniejsza³a tej dziwacznej satysfakcji, jak¹ czerpa³ ze swej dzikoci. Czuj³ md³oci i jednocześnie euforię, ożywienie większe niż kiedykolwiek w ci¹gu minionego roku.

Podniecony, choć zaniepokojony rozmiarami swego ożywczego gniewu, rozejrza³ się po cmentarnej alei. Ani z jednej, ani z drugiej strony nie nadjeżdża³ żaden samochód. Joe uklękn¹³ ko³o swojej ofiary.

36

Z gard³a mę¹czyzny dobywa³ się wisch¹cy, wilgotny oddech. Westchn¹³ cicho jak dziecko. Zadrza³y mu powieki, ale nie odzyska³ przytomności, gdy Joe przeszukiwa³ mu kieszenie.

Nie by³o w nich niczego prócz kilku monet, obcinacza do paznokci, kompletu kluczy i portfela ze zwyk³ymi dokumentami i kartami kredytowymi. Mę¹czyzna nazywa³ się Wallace Morton Blick. Nie miał przy sobie odznaki policyjnej ani żadnej legitymacji. Joe zatrzyma³ tylko prawo jazdy, a portfel wsadzi³ mu z powrotem do kieszeni.

Dwaj strzelcy nie wy³onili się jeszcze zza cmentarnego wzgórza. Zniknęli za jego grzbietem, wci¹ż w pogoni za kobiet¹, jak¹ minutę wcześniej; nawet jeli szybko się od nich oddala³a, nie wydawa³o się, by mieli zrezygnować z pocigu i po krótkiej penetracji terenu wrócić do samochodu.

Zdumiony w³asn¹ odwag¹, Joe odci¹gn¹³ szybko Wallacea Blicka od ty³u furgonetki. U³oży³ go przy bocznej cianie wozu, niewidocznej od strony alei. Przekręci³ mę¹czyznę na bok, by nie ud³awi³ się krwi¹ ciekaj¹c¹ do gard³a.

Potem podszed³ do tylnych drzwi i wspi¹³ się do rodka. Pod³oga wibrowa³a cichym pomrukiem silnika pracuj¹cego na niskich obrotach.

Ciasne w¹nętrze częci bagażowej by³o wypełnione elektronicznymi urz¹dzeniami s³u¹cymi do komunikacji, pods³uchu i obserwacji. Do pod³ogi przymocowano dwa obrotowe fotele.

Joe precyzyjnie¹³ się obok pierwszego z krzes³ i usadowi³ się w drugim, przed w³1czonym ekranem

komputera. Wnętrze furgonetki było klimatyzowane, ale siedzenie pozostało jeszcze ciepłe, gdy Blick opuścił je przed niespełna minutą.

Na ekranie widniała mapa. Ulice nosiły nazwy, które miały wywoływać poczucie bezpieczeństwa i spokoju. Joe rozpoznał w nich alejki przecinające cmentarz. Jego uwagę przyciągnęło małe, migoczące wiaterko. Było zielone i tkwiło w miejscu, które w przybliżeniu pokrywało się z tym, gdzie zaparkowano ciężarówkę.

Drugie migające wiaterko, tym razem czerwone, ale także nieruchome, znajdowało się na tej samej uliczce, ale w pewnej odległości przed fordem. Był pewien, że to jego honda.

System obserwacji obejmował bez wątpienia CD-ROM ze szczegółowymi mapami okolic Los Angeles, może nawet całej Kalifornii, albo i całego kraju, od wybrzeża do wybrzeża. Pojedynczy dysk miał dostatecznie dużą pojemność, by pomieścić dokładne plany wszystkich siedmiu stanów i Kanady.

Kto przymocował do wozu Joego niezwykle silny nadajnik. Emitował on sygnał mikrofalowy, który można było wyłapać ze znacznej odległości. Komputer wykorzystywał satelitarne, by przetworzyć ten sygnał, a następnie zaznaczał na mapie położenie hondy w stosunku do furgonetki, mogli więc go ledwie nawet z dużej odległości.

Opuszczając Santa Monica, a potem jadąc San Francisco Valley, Joe nie zauważył w lusterku wstecznym żadnego podejrzanego wozu. Ludzie w fur-

37

gonetce mogli go jednak bez trudu wytropić, choć znajdowali się całe ulice, a może nawet kilometry dalej, całkowicie dla niego niewidoczni.

Jako reporter towarzyszył raz w takiej obserwacji agentom federalnym, napalonym chłopakom z Biura Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej, którzy poszukiwali się podobnym, choć mniej wyrafinowanym sprzętem.

Zdając sobie sprawę, że jeśli pozostanie tu zbyt długo, Blick albo który z dwu pozostałych mężczyzn może go dopaść, Joe obrócił się na swoim fotelu, by spenetrować wnętrze samochodu i poszukać jakiej wskazówki, która pozwoliłaby mu zidentyfikować agencję zaangażowaną w tę operację. Działali jednak umiejętnie. Nie znalazł niczego.

Obok komputera, przy którym pracował Blick, leżały dwa magazyny: wydanie Wired z kolejnym artykułem o wizjonerskim geniuszu Billa Gatesa i jakieś pismo dla byłych żołnierzy sił specjalnych, którzy zamierzali wyjść z wojska i zasilić szeregi płatnych najemników. To drugie było otwarte na artykule o nożach dostatecznie ostrych, by wypatroszyć przeciwnika albo przeciwną kość. Najwidoczniej Blick lekturę uprzyjemniał sobie przerwy w obserwacji, na przykład wtedy, gdy czekał, aż Joe zmoczy się kontemplacją morza z plaży w Santa Monica.

Pan Wallace Blick, z wytatuowanym na palcach słowem ANABOLIC, był specjalistą od elektroniki i odznaczał się zdrowym krzepem.

Kiedy Joe wygramolił się z furgonetki, Blick jęczał, choć wcięż był nieprzytomny. Poruszył gwałtownie nogami, jak pies niecy pogoń za królikiem, a jego niesamowicie czerwone adidas wyrwały kilka grudek darni.

Od strony nieużytków za cmentarnym wzgórzem nie pojawił się jeszcze żaden z mężczyzn w hawajskich koszulach.

Joe nie s³ysza³ ju¿ strza³ów, choœ nierównoci terenu mog³y przyt³umiaæ ich odg³os. Ruszy³ pêdem do swojego samochodu. Klamka drzwi parzy³a i Joe sykn¹³ z bólu, gdy jej dotkn¹³.

Wnêtrze wozu by³o nagrzane do granic wytrzyma³oci, wydawa³o siê, ¿e samochód siê zapali. Joe czym prêdziej opuci³ szybê.

Uruchamiaj¹c silnik, zerkn¹³ w lusterko wsteczne i zobaczy³ ciê¿arówkê z ods³oniêt¹ skrzyni¹, która zbli¿a³a siê od wschodniej strony cmentarza. Nale¿a³a prawdopodobnie do w³aciciela terenu, którego przyci¹gn¹³ tu odg³os strzelaniny albo po prostu zwyk³e obowi¹zki.

Joe móg³ pod¹¿yæ w stronê zachodniego krańca cmentarza, a potem zatoczyæ³uk i dotrzeæ do wschodniej bramy, ale spieszy³ siê i pragn¹³ wróciæ dok³adnie tam, sk¹d przyby³. Nie mog¹c opêdziaæ siê od myli, ¿e nadu¿ywa swojego szczêcia, s³ysza³ niemal tykanie, jak w bombie zegarowej. Ruszy³, próbuj¹c zawróciæ za jednym zamachem, ale mu siê to nie uda³o.

38

Wrzuci³ wsteczny bieg i wcisn¹³ peda³ gazu tak mocno, ¿e opony zapiszcza³y na rozgrzanym asfalcie. Honda wystrzeli³a do ty³u. Zahamowa³ i wrzuci³ bieg do przodu.

Cyk, cyk, cyk.

Okaza³o siê, ¿e post¹pi³ s³uszenie, ufaj¹c instynktowi. Gdy zbli¿a³ siê do ciê¿arówki, szyba przy tylnych drzwiach, po jego stronie, pêk³a z hukiem, a siedzenie zasypa³y od³amki szk³a.

Nie s³ysza³ strza³u, ale wiedzia³, co siê sta³o.

Spojrza³ w lewo i zauwa¿y³ mê¿czyznê w czerwonej koszuli, który zatrzyma³ siê w po³owie zbrocza, w pozycji strzeleckiej. Facet by³ blady jak wskrzeszony trup, który wybiera siê na upiorny koktajl.

Kto kl¹³ gard³owo i be³kotliwie. Blick. Oddala³ siê na czworakach od furgonetki, potrzebuj¹c p³óprzytomnie g³ow¹ jak ranny w walce bulterier i tocz¹c z ust krwaw¹ pianê.

Nastêpny pocisk uderzy³ w karoseriê wozu z g³onym³omotem, któremu towarzyszy³ krótki gwizd.

Z gwa³townym pêdem gor¹cego, gadaj¹cego przy st³uczonych szybach wiatru, honda wywioz³a Joego poza zasiêg broni palnej. mign¹³ obok ciê¿arówki z tak¹ prêdkoci¹, ¿e skrêci³a gwa³townie, by siê z nim nie zderzyæ, choœ do kolizji sporo jeszcze brakowa³o.

Min¹³ jeden pogrzeb ubrani na czarno ¿a³obnicy oddalali siê, niczym niepocieszone duchy, od otwartego grobu potem drugi, którego uczestnicy garbili siê na krzes³ach, jakby szykuj¹c siê do pozostania na zawsze ze zmar³ym, potem jeszcze jak¹ azjatyck¹ rodzinê, która k³ad³a na wie¿ym grobie tackê z owocami i ciastem. Ca³y czas pêdzi³ na z³amanie karku. Przejecha³ obok nienaturalnie bia³ego, rzucaj¹cego w s³oñcu wczesnego popo³udnia kar³owaty cieñ kocio³a strzelista wie¿yczka z kopu³¹ wspart¹ na kolumnach, a te z kolei na ni¿szej wie¿yczce z zegarem. Min¹³ dom pogrzebowy w stylu po³udniowokolonialnym, który choœ p³on¹³ w kalifornijskim powietrzu niczym alabaster, to jednak têskni³ za bagnistymi stanami po³udnia. Joe jecha³ szaleñczo, spodziewaj¹c siê bezlitosnego pocigu, choœ nikt go jeszcze nie goni³. By³ pewien, ¿e rój wozów policyjnych zablokuje mu drogê. Kiedy przeje¿d¿a³ na pe³nym gazie przez otwart¹ bramê cmentarza, nie dostrzeg³ jednak nikogo.

Wjecha³ pod Ventura Freeway, uciekaj¹c w labirynt przedmieæ San Francisco Valley.

Na skrzy¿owaniu, dr¿¹c z napiêcia, obserwowa³ kawalkadê starych samochodów prowadzonych przez cz³onków klubu automobilowego na niedzielnej przeja¿d¿ce: Buick Roadmaster, model 1941, czarny Ford Sportsman Woodie z 1947 o bokach w kolorze miodu, Ford Roadster z 1937 w stylu art

dem z³o¿onym samochodowi jako dzie³u sztuki: rozebrane na kawa³ki i ponownie z³o¿one, ozdobione listwami, wzbogacone dodatkami, niektóre nisko osadzone, sun¹ce tu¿ nad asfaltem, ze specjalnie wykonanymi atrapami ch³odnic, przerobionymi maskami, o zmienionym kszt³cie reflektorów, b³yszcz¹cych deklach, rêcznie formowanych krawêdziach b³otników. Pomalowane, pokryte paskami, wypolerowane przedmiot czyjej pasji.

Obserwuj¹c te wozy, poczu³ w piersi co dziwnego, jakby pierwszy od roku swobodniejszy oddech i jednoczenie napiêcie, bolesne, ale i podniecaj¹ce.

Przecznicê dalej by³ park, w którym jaka m³oda para z trojgiem rozemianych dzieci bawi³a siê pomimo upa³u ze z³otym retrieverem, rzucaj¹c mu plastikowy kr¹¿ek.

Czu³, jak wali mu serce, i zwolni³. Niemal podjecha³ do krawê¿nika, ¿eby popatrzeæ.

Na rogu, czekaj¹c na przejcie przez ulicê, sta³y jakie dwie urocze blondynki z collegeu, najwidoczniej bliñaczki, ubrane w bia³e szorty i czyste bia³e bluzki. Trzyma³y siê za rêce i by³y orzewiaj¹ce niczym woda w straszliwym upale. Dziewczyny jak mira¿. Nieziemskie w tym zasnutym smogiem miejskim krajobrazie. Czyste, g³adkie i promieniste jak anio³y.

Za ich plecami, wzd³u¿ budynku mieszkalnego w stylu hiszpañskim rós³ ogromny krzew uginaj¹cy siê pod ciê¿arem cylindrycznych kwiatów o szkar³atnej barwie. Michelle kocha³a te krzewy. Posadzi³a takie same na podwórzu ich domu w Studio City.

Dzieñ siê zmieni³. W jaki nieokrelony sposób, ale jednak siê zmieni³.

Nie. Nie dzieñ, nie miasto. To Joe siê zmieni³, zmienia³ siê ca³y czas, wrêcz czu³, jak dotyka go i ogarnia co nowego, niepowstrzymanie niczym fala oceanu.

Teraz, w blasku s³oñca, ¿al by³ równie wielki jak w strasznej samotnoci nocy, rozpacz tak g³êboka jak zwykle. Lecz choæ Joe zacz¹³ ten dzieñ pogr¹¿ony w melancholii, têsni¹c za mierci¹, nagle zapragn¹³ za wszelk¹ cenê ¿yæ. Musia³ ¿yæ.

Nie mia³o to nic wspólnego z bliskoci¹ mierci. To nie fakt, ¿e do niego strzelano i omal go nie zabito, otworzy³ mu oczy na piêkno i niezwyk³oæ ¿ycia. To nie by³o takie proste.

Motorem zmiany, jaka siê w nim dokonywa³a, by³ gniew. Czu³ pe³n¹ gorzycy z³oæ, ¿e Michelle nie mo¿e ogl¹daæ razem z nim kawalkady wspania³ych samochodów albo masy czerwonych kwiatów na krzewach, albo teraz i tutaj tej wielobarwnej mnogoci liliowych i czerwonych bugenwilli opadaj¹cych kaskad¹ z dachu jakiego domu. By³ wciekle, nieprzytomnie z³y, ¿e Chrissie i Nina nigdy nie bêd¹ bawiæ siê z psem, nigdy nie dorosn¹, by oczarowaæ swym piêknem wiat, nigdy nie zaznaj¹ dreszczu zadowolenia, jaki daje sukces, ani radoci z udanego ma³¿eñstwa, ani mi³oci dzieci, które by urodzi³y. To wciek³oæ go zmieni³a, wgryz³a siê w niego dostatecznie g³êboko, by wyrwaæ go z rozpacz¹ i u¿alania siê nad sob¹.

Jak pan sobie radzi? spyta³a kobieta fotografuj¹ca groby.

Nie jestem jeszcze gotowa, by z panem rozmawiaæ powiedzia³a.

Niebawem. Wrócê, gdy nadejdzie czas obieca³a, jakby mia³a jakie rewelacje do przekazania, jakie prawdy do ujawnienia.

Mê¿czyñni w hawajskich koszulkach. Obeznan¹y z komputerami drañ w podkoszulku. Ruda i brunetka w sk¹pym bikini. Zespo³y funkcjonariuszy prowadz¹cych obserwacjê Joego i najwidoczniej czekaj¹cych, a¿ ta kobieta siê z nim skontaktuje. Furgonetka nafaszerowana sprzêtem obserwacyjnym

wspomagany przez ³¹cznoæ satelitarn¹, mikrofonami kierunkowymi, komputerami, kamerami o wysokiej rozdzielczoci. Zabójcy gotowi zastrzeliæ go z zimn¹ krwi¹, poniewa¿
Dlaczego?

Poniewa¿ s¹dz¹, ¿e czarna kobieta przy grobach powiedzia³a mu co, czego nie powinien wiedzieæ? Poniewa¿ ju¿ to, ¿e wie o jej istnieniu, czyni go dla nich niebezpiecznym? Poniewa¿ uwa¿aj¹, ¿e przeszukanie furgonetki pomo¿e mu ich zidentyfikowaæ i poznaæ zamiary?

Oczywicie nie wiedzia³ prawie nic ani kim byli, ani czego chcieli od tej kobiety. Ale nasuwa³ mu siê jeden nieodparty wniosek: to, co, jak s¹dzi³, wiedzia³ o mierci swojej ¿ony i córek, by³o albo b³êdne, albo niekompletne. Historia katastrofy wydawa³a siê teraz niejasna.

Nie potrzebowa³ nawet dziennikarskiego instynktu, by zrozumieæ tê mro¿¹c¹ krew w ¿y³ach prawdê. Poj¹³ j¹ w chwili, gdy ujrza³ kobietê przy grobach. Obserwowa³, jak robi zdjêcia mogli³y, patrzy³ jej w oczy, s³ysza³ w jej cichym g³osie wspó³czucie, poruszy³a go tajemnica kryj¹ca siê w jej s³owach Nie jestem jeszcze gotowa, by z panem rozmawiaæ i zdrowy rozs¹dek podpowiada³ mu, ¿e co jest nie tak.

A teraz, jad¹c przez spokojn¹ okolicê Burbank, czu³, jak wzbiera w nim poczucie niesprawiedliwoci, zdrady. Gdzie poza obojêtnym, mechanicznym okrucieñstwem wiata czai³o siê nienawistne z³o. Oszustwo. Podstêp. K³amstwo. Spisek.

Jeszcze niedawno przekonywa³ samego siebie, ¿e odczuwanie gniewu wobec Stworzenia jest bezsensowne, ¿e tylko rezygnacja i obojêtnoæ mog¹ przynieæ mu ulgê, z³agodziaæ smutek. I mia³ racjê. Miotanie przekleñstw na jak¹ wymaginowan¹ istotê zasiadaj¹c¹ na niebiañskim tronie by³o daremnym wysi³kiem, podobnie jak ciskanie kamieniami w gwiazdy, by zgas³y.

Lecz ¿ywi ludzie stanowili dobry cel dla jego gniewu. Ludzie, którzy ukryli albo przeinaczyli fakty zwi¹zane z katastrof¹ samolotu.

Michelle, Chrissie i Nina nigdy nie powróc¹. Jego ¿ycie nigdy nie bêdzie takie jak przedtem. Rany w sercu ju¿ siê nie zagoj¹. Bez wzglêdu na to, jaka prawda czeka³a na ujawnienie, poznanie jej nie zapewni mu spokojnej przysz³oci. Jego ¿ycie dobieg³o koñca i nic nie mog³o tego zmieniaæ, nic, ale mia³ prawo wiedzieæ, jak i dlaczego Michelle, Chrissie i Nina umar³y. Mia³ wobec nich wiêty d³ug do sp³acenia dowiedzieæ siê, co siê naprawdê sta³o z nieszczêsnym 747.

41

Jego gorycz by³a punktem oparcia, a gniew dwigni¹, która pomo¿e mu poruszyæ wiat, ca³y cholerny wiat, by dowiedzieæ siê prawdy i to bez wzglêdu na to, jakie móg³by po drodze wyrz¹dziaæ szkody i kogo móg³by zniszczyæ.

Podjecha³ do krawê¿nika trzypasmowej ulicy, która prowadzi³a przez osiedle domów jednorodzinnych. Zgasi³ silnik i wysiad³ z samochodu. Byæ mo¿e pozosta³o mu ju¿ niewiele czasu, nim Blick i inni go dopadn¹.

W nieruchomym, gor¹cym powietrzu bezw³adnie i cicho zwiesza³y siê ga³êzie królewskich palm. Zdawa³o siê, ¿e lej¹cy siê z nieba ¿ar jest obdarzony moc¹ balsamowania, jak kawa³ek bursztynu z zatopionym w rodku owadem.

Joe zajrza³ wpiêr w maskê, ale nie znalaz³ tam nadajnika. Kucn¹³ przed samochodem i pomaca³ pod zderzakiem. Nic.

Gdzie z oddali dobiega³ warkot helikoptera, z ka¿d¹ chwil¹ coraz g³oniejszy.

Macaj¹c na lepo wewn¹trz b³otnika po stronie pasa¿era, a potem przy wahaczu, Joe znalaz³ tylko brud i smar. W kole tej niczego nie by³o.

Helikopter wystrzeli³ jak pocisk od pó³nocy, przelatuj¹c niezwykle nisko, nie wiêcej ni¿

dwadziecia metrów nad domami. D³ugie, smuk³e liche palm zadr³a³y i zaczê³y smagaæ wokó³ siebie powietrze, poruszone gwa³townym powiewem.

Joe spojrz³ przestraszony w górê, zastanawiaj¹c siê, czy za³oga helikoptera szuka w³anie jego, ale ten lêk by³ czyst¹, niczym nie usprawiedliwion¹ paranoj¹. Helikopter, kieruj¹c siê na po³udnie, polecia³ z hukiem migie³ dalej.

Joe nie dostrzeg³ na nim policyjnych znaków, ¿adnych liter ani insygniów.

Palmy zadr³a³y, otrz¹snê³y siê i znów znieruchomia³y.

Joe kontynuowa³ poszukiwania nadajnika. Znalaz³ go w koñcu, urz¹dzenie by³o przymocowane do amortyzatora, za tylnym zderzakiem hondy. Ca³y pakunek, razem z bateriami, mia³ rozmiary pude³ka papierosów. Sygna³, który wysy³a³, by³ nies³yszalny. Wygl¹da³ nieszkodliwie.

Po³o¿y³ urz¹dzenie na jezdni, zamierzaj¹c roztrzaskaæ je na kawa³ki ³y³k¹ do opon. Kiedy jednak nadjecha³ wóz zieleni miejskiej, ci¹gn¹cy przyczepê z pachn¹cym ³adunkiem wie¿y³ych cinek i trawiastej darni, Joe postanowi³ wrzuciæ wci¹¿ dzia³aj¹cy nadajnik na stos zielonych ga³¹zek. Mo¿e dranie straci¹ trochê czasu i energii, pod¹aj¹c za tym wozem na wysypisko mieci.

Ju¿ w samochodzie, kilka kilometrów przed sob¹ zauwa¿y³ helikopter. Zatacza³ niewielkie kó³ka. Potem zawis³ w powietrzu i znów zacz¹³ kr¹¿yæ.

A wiêc jego obawy nie by³y bezpodstawne. Helikopter by³ teraz albo nad cmentarzem, albo, co bardziej prawdopodobne, nad nieu¿ytkami na pó³noc od obserwatorium Griffitha, a jego za³oga wypatrywa³a zbiegê³ej kobiety.

Sprzê³, jakim dysponowali, budzi³ respekt.

CZÊÆ DRUGA SYNDROM POSZUKIWANIA

Los Angeles Times zamieszcza³ wiêcej reklam i og³oszeñ ni¿, jakakolwiek gazeta w Stanach, przynosz¹c jego w³acicielom fortunê nawet w czasach, gdy wiêkszoæ prasy znajdowa³a siê w do³ku.

Jego siedziba wielki wie¿owiec w centrum zajmowa³a ca³y kwadrat ulic.

Natomiast redakcja Los Angeles Post, mówi¹c cile, nie mieci³a siê nawet w Los Angeles, lecz w starym, czterokondygnacyjnym budynku w Sun Valley, niedaleko lotniska Burbank, ju¿ poza granicami miasta.

Zamiast wielopoziomowego parkingu podziemnego, Post oferowa³ miejsca na terenie ogrodzonym siatk¹ zwieñczon¹ drutem kolczastym. Wjazdu nie pilnowa³ umiechniêty stra¿nik w mundurze i z plastikowym identyfikatorem, tylko ponury m³ody cz³owiek, mniej wiêcej dziwiêtnastoletni. Siedzia³ na sk³adanym krzese³ku pod brudnym parasolem kawiarnianym z wymalowanym znakiem firmowym Cinzano. S³ucha³ radia, z którego dobiega³y dwiêki rapu. Z ogolon¹ g³ow¹, z³otym kolczykiem w lewym nozdrzu i pomalowanymi na czarno paznokciami, ubrany w workowate, czarne d¿insy, starannie przeciête i postrzêpione na kolanie, i luny, czarny podkoszulek z czerwonym napisem NIE MA STRACHU, wygl¹da³, jakby ocenia³ wartoæ ka¿dego samochodu i zastanawia³ siê, ile by za niego dosta³ na gie³dzie. W rzeczywistoci sprawdza³ nalepki identyfikacyjne na przedniej szybie, by kierowaæ goci na parking przy ulicy.

Nalepki wymieniano co dwa lata, wiêc ta na szybie hondy by³a wci¹¿ wa¿na. W dwa miesi¹ce po katastrofie Joe zawiadomi³ redakcjê, ¿e rezygnuje z pracy, ale jego wydawca, Caesar Santos, nie przyj¹³ próby o zwolnienie i pos³a³ go na urlop bezp³atny, gwarantuj¹c mu powrót do pracy, gdy bêdzie gotów.

Nie by³ jeszcze gotów. Nigdy nie bêdzie gotów. Ale teraz musia³ skorzystaæ z redakcyjnych komputerów i znajomoci.

Przy urz¹dzaniu holu dla interesantów nie szastano pieniêdźmi: obowi¹zkowy be¿ na cianach, stalowe krzes³a wycie³ane niebieskim winylem, stolik do kawy na metalowych nówkach, z blatem ze sztucznego marmuru, wreszcie dwa egzemplarze największego wydania gazety.

Na cianach wisia³y proste, oprawione w ramki czarno-bia³e zdjêcia wykonane przez Billa Hannetta, legendarnego fotografa. Obrazy zamieszek, miasto w p³omieniach, umiechniêci szabrownicy biegaj¹cy po ulicach. Aleje o popêkanej na skutek trzêsienia ziemi nawierzchni, domy w gruzach. M³oda Latynoska wyskakuj¹ca z szóstego piêtra p³on¹cego budynku, wprost w objêcia mierci. Ciê¿kie, o³owiane niebo i nadmorska rezydencja na granicy ruiny, stoj¹ca na podmytym przez deszcze, osuwaj¹cym siê zboczcu. Ąadne dziennikarskie medium, czy to elektroniczne, czy prasowe, nie zbudowa³o swej potêgi i reputacji na przekazywaniu dobrych wiadomoci.

Za biurkiem sta³ Dewey Beemis, pe³ni¹cy rolê zarówno recepcjonisty, jak i stra¿nika; pracowa³ w gazecie od dwudziestu lat, od chwili, gdy jaki ob³1kañczo egoistyczny milioner, wiedziony naiwnym i beznadziejnym zamiarem pozbawienia Timesa jego potêgi i presti¿u, za³o¿y³ nowe pismo o

zbliżonym profilu politycznym. Poczłtkowo redakcja mieci³a siê w nowym budynku w Century City, urzdżdzonym przez superprojektanta Stevena Chasea, a Dewey by³ tylko jednym z wielu strażników. Lecz nawet megalomański milioner, dla którego duma jest wszystkim, zaczyna siê w końcu martwiæ odp³ywem gotówki. Tak wiêc personel zosta³ zredukowany, a Dewey osta³ siê dziêki temu, ¿e by³ jedynym strażnikiem o wzrocie stu dziewiêædziesiêciu centymetrów, byczym karku i szerokich barach, który potrafi³ pisaæ na maszynie z prêdkoci¹ osiemdziesiêciu s³ów na minutê i odznacza³ siê niezwyk³ymi umiejêtnociami komputerowca.

Z up³ywem czasu Post zacz¹³ wychodziæ na swoje. Geniusz i wizjoner, pan Chase, zaprojektowa³ kilka niezwyk³ych wnêtrz, które zyska³y bardzo pochlebne recenzje w Architectural Digest i innych pismach, a potem pomimo swego geniuszu i talentu umar³, tak jak pewnego dnia umrze milioner, pomimo swego maj¹tku, i jak umrze Dewey Beemis, pomimo ró¿norodnych uzdolnieñ i zaraliwego umiechu.

Joe! zawo³a³ Dewey, szczerz¹c radonie zêby i podnosz¹c siê z krzes³a.

Joe ucisn¹³ wyci¹gniêt¹ ku sobie d³oñ.

Jak leci, Dewey?

Carver i Martin ukoñczyli w czerwcu college summa cum laude, jeden idzie na prawo, drugi na medycynê wypali³ Dewey, jakby ta wiadomoæ by³a znana dopiero od paru godzin i mia³a w³anie trafiæ na pierwsz¹ stronê jutrzejszego wydania. W przeciwieñstwie do milionera, który go zatrudnia³, Dewey czerpa³ dumê nie z w³asnych osi¹gniêæ, ale z dokonañ swoich dzieci. A Julie ukoñczy³a drugi rok w Yale. Dostaje stypendium, ma wysok¹

46

redni¹ i na jesieni zostanie redaktorem literackiego magazynu studenckiego. Chce byæ pisark¹, jak ta Annie Proulx, któr¹ w kó³ko czyta

W oczach Deweya, niczym ciemna chmura zakrywaj¹ca jasny ksiê¿yc, pojawi³o siê nag³e wspomnienie lotu 353. Umilk³ zawstydzony, ¿e chwali siê osi¹gniêciami swoich pociech przed cz³owiekiem, który straci³ dzieci na zawsze.

Jak tam Lena? spyta³ Joe. Lena to by³a ¿ona Deweya.

Dobrze OK, tak, OK.

Dewey umiechn¹³ siê i przytackn¹³, by ukryæ zak³opotanie, ale po chwili znów promienia³ wrodzonym entuzjazmem dla rodziny.

Joe nienawidzi³ w swoich przyjacio³ach tego za¿enowania, tej litoci. Nawet po roku mo¿na by³o j¹ wyczuæ. Dlatego miêdzy innymi unika³ dawnych znajomych. To, co dostrzega³ w ich oczach, by³o niek³amanym wspó³czuciem, ale Joemu zdawa³o siê niesprawiedliwie, wiedzia³ o tym ¿e patrz¹ na niego ze smutkiem jak na kogo, kto nie potrafi u³o¿yæ sobie na nowo ¿ycia.

Muszê iæ na górê, Dewey, spêdziæ tam trochê czasu, pogrzebaæ w materia³ach, jeli nie masz nic przeciwko temu.

Oblicze Deweya rozjani³o siê.

Wracasz, Joe?

Mo¿e sk³ama³.

Znów w zespole?

Mylê o tym.

Pan Santos siê ucieszy.

Jest dzisiaj?

Nie. Wyjecha³ na wakacje, a mówi¹c dok³adniej jest na rybach w Vancouver.

Ciesz'c siê, że nie bêdzie musia³ ok³amywaæ Caesara, by ukryæ swe prawdziwe motywy, Joe powiedzia³:

Chodzi mi po g³owie taka niezwyk³a historia o ludziach, co, czym siê rzadko zajmowa³em. Pomyla³em, że przyjdê tu i przejrê sobie materia³y.

Pan Santos na pewno chcia³by, żeby czu³ siê jak u siebie w domu. Wal na górê. Dziêki, Dewey.

Joe pchn¹³ drzwi wahad³owe i znalaz³ siê w d³ugim holu. Na pod³odze le³a zielony, wytarty dywan, ciany wyp³owia³y ze staroci, a sufit by³ wy³o³ony bezbarwnymi p³ytkami dwiêkoszczelnymi. Luksus typowy dla lat w Century City znikn¹³ i teraz obowi¹zywa³ styl dziennikarstwa partyzanckiego: przanego, lecz uczciwego.

Na lewo znajdowa³y siê dwie windy. Ich drzwi by³y podrapane i powyginane.

Parter w wiêkszoci przeznaczony na kartoteki, dzia³ reklamy i kolporta³u wype³nia³a sobotnia cisza. Joe czu³ siê w tej martwocie jak intruz. Wyobra³a sobie, że ka³dy, kto go tu spotka, od razu siê zorientuje, że powrót do pracy to tylko pretekst, by siê tu zjawiaæ.

47

Gdy czeka³ na windê, przybieg³ z recepcji Dewey, by daæ mu bia³¹, zaklejon¹ kopertê.

W³anie sobie przypomn³em. Kilka dni temu przysz³a jaka kobieta i powiedzia³a, że ma dla ciebie informacje dotycz¹ce pewnej historii.

Jakiej historii?

Nie powiedzia³a. Doda³a tylko, że bêdziesz wiedzia³, o co chodzi.

Joe wzi¹³ kopertê, gdy drzwi windy siê rozsunê³y.

Mówi³em jej, że nie pracujesz tu ju³ od dziesiêciu miesiêcy, a ona chcia³a twój numer telefonu ci¹gn¹³ Dewey. Powiedzia³em oczywicie, że nie wolno mi go podawaæ. Ani twojego adresu.

Dziêki, Dewey odpar³ Joe, wchodz¹c do windy.

Obieca³em, że przelê ci ten list albo zadzwoniê do ciebie. Potem dowiedzia³em siê, że siê przeprowadzi³e i że masz nowy telefon. Nikt go nie zna³.

To nie mo³e byæ nic wa³znego zapewni³ go Joe, pokazuj¹c kopertê. W koñcu nie zamierza³ wracaæ do dziennikarstwa.

Kiedy drzwi windy zaczê³y siê zamykaæ, Dewey je zablokowa³. Marszcz¹c brwi powiedzia³:

Widzisz, nie chodzi tylko o to, że brakowa³o informacji w twoich dokumentach. Nikt tutaj, ³aden z twoich przyjació³, nie mia³ pojęcia, gdzie siê podziewasz.

Wiem.

Dewey zawaha³ siê, potem spyta³:

By³e na dnie, prawda?

Niewiele brakowa³o przyzna³ Joe. Ale powoli siê odbijam.

Przyjaciele mog¹ przytrzymaæ drabinê, bêdzie ci ³atwiej siê wspinaæ.

Joe, wzruszony, przytakn¹³.

Po prostu pamiêtaj powiedzia³ Dewey.

Dziêki.

Dewey cofn¹³ siê, a wtedy drzwi siê zamknê³y. Winda ruszy³a w górê.

Prawie ca³e drugie piêtro zajmowa³ newsroom, który dzieli³ siê na labirynt ciasnych, mog¹cych przyprawia^æ o klaustrofobiê klitek, które zas³ania³y widok na ca³e pomieszczenie. Ka³de stanowisko wyposa³ono w komputer, telefon, krzes³o o ergonomicznym kszta³cie i inne nieod³1czne sk³adniki dziennikarskiego fachu.

Pomieszczenie przypomina³o znacznie wiêkszy newsroom w Timesie. Ró³nica polega³a tylko na tym, ³e meble i przesuwane cianki by³y tam nowsze i ³adniejsze ni³ tutaj, a wyposa³enie pozbawione domieszek azbestu i formaldehydu, które rozsiewa³y w powietrzu ostr¹ woñ. Poza tym w Timesie nawet w sobotnie popo³udnie panowa³by znacznie wiêkszy ruch.

48

Joemu dwukrotnie proponowano pracê w Timesie, ale za ka³dym razem odmawia³. Cho^æ Szara Dama, jak w niektórych krêgach nazywano konkurencjê, by³a du³ gazet¹, uchodzi³a równie³ za gruby od reklam g³os w obronie status quo. Joe wierzy³, ³e w Post mia³ szansê uprawia^æ lepsze i bardziej agresywne dziennikarstwo. Jego gazeta wydawa³a siê czasem istn¹ oaz¹ spokoju, ale zawsze sk³ania³a siê ku nieprzejednanej postawie i ostremu, nieszablonowemu stylowi. Cieszy³a siê te³ reputacj¹ dziennika, który nigdy nie wierzy³ do końca wypowiedziom polityków i z góry zak³ada³, ³e ka³dy urzêdник pañstwowy jest skorumpowany albo niekompetentny, zwariowany na punkcie seksu albo w³adzy.

Kilka lat wczniej, po trzêsieniu ziemi, sejsmolodzy odkryli zwi¹zek miêdzy uskokiem przebiegaj¹cym pod samym sercem Los Angeles i tym, który znajdowa³ siê pod trasami przecinaj¹cymi dolinê San Fernando. Redakcjê obie³ wtedy dowcip mówi¹cy o tym, jakie straty ponios³oby miasto, gdyby wstrz¹s zniszczy³ w tej samej chwili Timesa w centrum miasta i Post w Sun Valley. Mieszkañcy Los Angeles, pozbawieni tej drugiej gazety, nie wiedzieliby, którzy politycy i urzêdnicy pañstwowi ich oszukuj¹, przyjmuj¹ ³apówki od znanych handlarzy narkotyków i uprawiaj¹ seks ze zwierzêtami. Jednak³e znacznie wiêksz¹ tragedi¹ by³aby strata trzykilogramowego wydania niedzielnego Timesa, bez którego nikt nie mia³by pojêcia, które sklepy s¹ otwarte.

Nawet jeli Post by³ równie uparty i zawziêty jak przyuczony do ³apania szczurów terier, którego zapach gryzoni doprowadza do sza³u a w gruncie rzeczy by³ czym takim to w oczach Joego usprawiedliwia³ go bezinteresowny charakter takiej dziennikarskiej wciek³oci. Poza tym wiele sporód opisywanych osób by³o rzeczywiście tak skorumpowanych, jak chcia³a o tym przekona^æ czytelników gazeta.

Liczy³o siê te³ to, ³e Michelle by³a felietonistk¹ w Post. Tutaj j¹ pozna³, zaleca³ siê do niej, tutaj razem pracowali. Przez tyle dni przychodzi³a tu, nosz¹c w sobie ich dzieci.

Teraz ten budynek by³ przepe³niony jej obecno¹. Nawet gdyby Joe zdo³a³ odzyska^æ równowagê i wmówia^æ sobie, ³e ³ycie ma cel, dla którego warto siê powiêcia^æ, zawsze by j¹ tu widzia³. Nigdy nie móg³by ju³ tu pracowa^æ.

Podszed³ wprost do swego stanowiska, cieszc¹ siê, ³e nie zauwa³ go ³aden z dawnych przyjació³. Na jego miejscu posadzono Randyego Colwaya, porz¹dnego faceta, który z pewno¹ nie mia³by pretensji, gdyby zasta³ Joego na swoim krzele.

Na korkowej tablicy wisia³y zdjêcia ³ony Randyego, ich dziewiêcioletniego syna Bena i szecioletniej Lisbeth. Joe przygl¹da³ im siê przez d³u³sz¹ chwilê potem ju³ na nie nie spojrze³.

W³czy³ komputer i wyci¹gn¹³ z kieszeni kopertê, któr¹ znalaz³ w skrytce bia³ej furgonetki na cmentarzu. Zawiera³a wa³ny dowód rejestracyjny. Ku swemu zdziwieniu stwierdzi³, ³e jego w³aciciel nie ma nic wspólnego z rz¹dem czy policj¹; okaza³a siê nim instytucja o nazwie Medsped, Inc.

49 4 Jedyna ocalona

Na litoæ bosk¹, nie spodziewa³ siê, że to wszystko jest dzia³aniem jakiej korporacji! Wallace Blick i jego porywczy kompani w hawajskich koszulach nie wygl¹dali mo³że na policjantów ani agentów federalnych, ale na pewno wyczuwa³o siê w nich bardziej gliniarzy ni³ szefów wielkich firm, z jakimi Joe kiedykolwiek mia³ do czynienia.

Nastêpnie wszed³ w wykaz poprzednich wyda³ gazet. Mia³ dostêp do ka³dego s³owa wszystkich egzemplarzy Post od czasu jego powstania z wyj¹tkiem rysunków, horoskopów, krzy³ówek i temu podobnych. Fotografie te³ tam by³y.

Da³ polecenie wyszukania has³a Medsped i znalaz³ szeæ wzmianek. Drobne rzeczy ze szpalt powiêconych biznesowi. Przeczyta³ wszystko do ko³ca.

Medsped, korporacja z New Jersey, zaczyna³a od medycznych us³ug lotniczych w wiêkszych miastach. Potem rozszerzy³a zakres dzia³alnoci o ekspresowe dostawy medyczne, na przyk³ad krwi i tkanek, jak równie³ drogiego i delikatnego sprzêtu naukowego. Firma podejmowa³a siê nawet przewo³zenia próbek wysoce zakanych bakterii i wirusów miêdzy wspó³pracuj¹cymi ze sob¹ laboratoriami, zarówno cywilnymi, jak i wojskowymi. W tym celu utrzymywa³a skromn¹ eskadrê samolotów i helikopterów.

Helikoptery.

Nie oznakowane bia³e furgonetki?

Osiem lat temu Medsped zosta³ zakupiony przez Teknologik, Inc., korporacjê z Delaware posiadaj¹c¹ na w³asnoæ mnóstwo firm w przemyśle medycznym i komputerowym. Holdingi komputerowe zajmowa³y siê opracowywaniem produktów, g³ównie oprogramowania, dla ró³nych orodków medycznych i medyczno-badawczych.

Kiedy Joe zabra³ siê za Teknologik, komputer podsun¹³ mu w nagrodê czterdzieci jeden artyku³ów, g³ównie ze stron powiêconych biznesowi. Dwa pierwsze by³y jednak tak suche, tak naszpikowane ³argonem dotycz¹cym inwestowania i ksiêgowoci, że nagroda szybko zaczê³a przypominaæ karê.

Poleci³ komputerowi wydrukowaæ kopie czterech najd³u³szych artyku³ów. Zamierza³ przejrzeæ je pó³niej.

Kiedy z drukarki zaczê³y wychodziaæ pierwsze stronic, poprosi³ o wszystko, co Post opublikowa³ na temat katastrofy samolotu. Na ekranie ukaza³a siê lista nag³ówków wraz z datami.

Joe musia³ siê wpiêrwy przygotowaæ na przejrzanie zawartoci tego pliku. Siedzia³ przez minutê czy dwie z zamkniêtymi oczami, oddychaj¹c g³êboko i staraj¹c siê przywo³aaæ w mylach obraz za³amuj¹cej siê fali na pla³ży w Santa Monica.

Wreszcie, zaciskaj¹c zêby tak mocno, że drga³y mu szczêki, wywo³ywa³ po kolei materia³, przegl¹daj¹c jego zawartoæ. Chcia³ znaleæ komunikat zawieraj¹c¹ pe³n¹ listê pasa³erów.

Przelecia³ szybko zdjêcia z miejsca katastrofy, które ukazywa³y szcz¹tki maszyny, tak ma³e i surrealistycznie powyginane, że oko nie potrafi³oby zre

konstruowaæ z tej ruiny samolotu. Na fotografiach w ponurym brzasku zza zas³ony deszczu, który zacz¹³ padaæ w dwie godziny po katastrofie, wy³aniali siê pracownicy Komisji Bezpiecze³stwa Transportu kr¹ê¹cy po miejscu zag³ady w strojach ochronnych i kapturach z maskami. W tle majaczy³y popalone drzewa, ich sêkate, czarne konary rozcapierza³y siê ku niebu.

Odszuka³ nazwisko szefa zespo³u Komisji Barbara Christman i czternastu specjalistów

pracuj¹cych pod jej kierownictwem.

Kilka artyku³ów uzupe³niono zdjêciami cz³onków za³ogi i pasażerów. Nie wszyscy z trzystu trzydziestu ludzi na pok³adzie samolotu zostali pokazani. Uwagê skupiono na ofiarach, które pochodzi³y z po³udniowej Kalifornii i wraca³y w³anie do domu, mieszkańcy wschodnich stanów zostali pominiêci. Michelle i dziewczynki, należ¹ce do dziennikarskiej rodziny, jak¹ stanowi³ Post, by³y szczególnie wyeksponowane.

Osiem miesiêcy wczniej, w czasie przeprowadzki do nowego mieszkania, walcz¹c z chorobliw¹ i obsesyjn¹ trosk¹ o rodzinne albumy i zdjêcia, Joe schowa³ je do wielkiego kartonu, uważ³a bowiem, że rozdieranie ran nie sprzyja ich gojeniu. Zaklei³ pud³o tam¹ i umieci³ w k¹cie garderoby.

Teraz, podczas przegl¹dania materia³u, kiedy na ekranie ukaza³y siê ich twarze, prawie nie móg³ oddychaæ, choæ pocz¹tkowo s¹dzi³, że przygotowa³ siê na tê chwilê dostatecznie dobrze. Zdjęcie Michelle, zrobione przez fotoreportera Post, uchwyci³o jej piêkno, ale nie delikatnoæ, nie inteligencjê, nie urok, nie miech. Wydawa³o siê boleśnie zubożone, ale mimo wszystko to by³a Michelle. Chrissie zosta³a uwieczniona podczas bożonarodzeniowego przyjêcia w redakcji zorganizowanego dla dzieci pracowników gazety. Umiecha³a siê szeroko, oczy jej b³yszcza³y. Tak bardzo b³yszcza³y. I ma³a Nina, która czasem chcia³a, by jej imiê wymawiano Nina, a czasem Najna, umiecha³a siê lekko swym tajemniczym pó³umiechem, który zdawa³ siê mówiaæ, że dziewczynka zna magiczne sekrety.

Umiech dziecka na zdjêciu przypomni³ Joemu piosenkê, któr¹ czasem piewa³, kiedy k³ad³ córeczkê do ³ółka. Nim zd¹ły³ siê zorientowaæ, co robi, us³ysza³ w³asny szept: Naj-na, Ni-na, czy j¹ widzia³? Ni-na, Naj-na, taka fajna.

Co siê w nim za³ama³o. Ba³ siê, że straci panowanie nad sob¹.

Klikn¹³ mysz¹, by usun¹æ obraz z ekranu. Ale nie zdo³a³ wymazaæ z myli tych ukochanych twarzy, tkwi³y tam teraz jeszcze wyraniejsze niż na zdjêciach, które chowa³ do pud³a.

Wychylaj¹c siê na krzele, zakrywaj¹c twarz d³oñmi, drż¹c, powtarza³ st³umionym g³osem: Do diab³a, do diab³a.

Fala rozbijaj¹ca siê na piasku, teraz tak jak przedtem, jutro jak dzisiaj. Zegary i krosna. Zachody i wschody s³oñca, fazy ksiê¹ycy. Maszyny, które terkocz¹ i tykaj¹. Wieczny rytm, bezsensowny ruch. Jedyn¹ normaln¹ reakcj¹ jest obojêtnoæ.

Opuci³ d³onie. Znów siê wyprostowa³. Próbowa³ skupiaæ siê na ekranie komputera.

51

Ba³ siê, że zwróci na siebie czyj¹ uwagê. Gdyby jaki dawny znajomy zajrza³ do jego os³oniêtego trzema ciankami stanowiska, by sprawdziæ, co siê sta³o, Joe musia³by wyjaniaæ, co tu robi, albo nawet siliæ siê na grzecznoæ.

Znalaz³ wykaz pasażerów, którego szuka³. Post oszczêdzi³ mu czasu i wysi³ku, sporz¹dzaj¹c osobn¹ listê ofiar z po³udniowej Kalifornii. Wydrukowa³ ich nazwiska i adresy.

Nie jestem jeszcze gotowa, by z panem rozmawiaæ, powiedzia³a kobieta fotografuj¹ca groby, z czego wywnioskowa³, że przekaże mu pewne rzeczy póniej.

Proszê nie rozpaczaæ. Ujrzy pan, tak jak inni.

Co ujrzy? Nie mia³ pojêcia.

Cóż mog³a mu powiedziaæ, by z³agodziæ jego rozpacz? Nic. Nic.

jak inni. Ujrzy pan, tak jak inni.

Jacy inni?

Narzuca³a mu siê tylko jedna odpowiedz: inni ludzie, którzy utracili swych bliskich w katastrofie,

którzy byli tak samotni jak on, ludzie, z którymi ta kobieta już rozmawia³a.

Nie zamierza³ czekać bezczynnie, a już znów się z nim skontaktuje. Maj¹c na karku Wallacea Blicka i jego kompanów, mog³aby już nie zd¹ł^yæ. Nigdy nie z³o^lyæ mu wizyty i nie zaspokoia^æ jego ciekawoci.

Kiedy skończy³ porz¹dkowaæ i spinaæ wydruki, zauwa^ly³ bia³¹ kopertê, któr¹ odda³ mu Dewey Beemis. Przedtem opar³ j¹ o pude³ko z chusteczkami higienicznymi, które sta³o obok komputera, i zapomnia³ o niej.

Jako reporter kryminalny, którego nazwisko czêsto widnia³o w gazecie, dostawa³ od czasu do czasu informacje od czytelników, maj¹cych, mówi¹c ³agodnie, nie po kolei w g³owie. Twierdzili, że s¹ przeladowani przez tajemn¹ sektê satanistów, która dzia³a w miejskich parkach, albo że wiedz¹ o z³ych bossach przemys³u tytoniowego planuj¹cych zatrucie od^lywki dla niemowl¹t nikotyn¹, albo że mieszkaj¹ naprzeciwko gniazda paj¹kowatych przybyszy z kosmosu, którzy próbuj¹ uchodziæ za mi³¹ rodzinê koreańskich imigrantów.

Raz, gdy już nie móg³ w ^laden sposób odczepia^æ się od pewnego orygina³a o dzikich oczach, który utrzymywa³, że burmistrz Los Angeles nie jest cz³owiekiem, tylko robotem kontrolowanym przez audioanimatroniczny wydzia³ w Disneylandzie, Joe zni^ly³ g³os i powiedzia³ z lêkliw¹ szczeroci¹: Tak, wiemy o tym od lat. Ale jeli wydrukujemy na ten temat choæ s³owo, ludzie w Disneylandzie zabij¹ nas wszystkich. Mówi³ z takim przekonaniem, że wariat odskoczy³ od niego jak oparzony i zwia³.

Teraz te^l spodziewa³ się nabazgranej kredkami informacji o z³ych, ob³¹kanych Marsjanach udaj¹cych mormonów czy czego w tym rodzaju. Otworzy³ kopertê. Zawiera³a jedn¹ potrójnie z³o^lon¹ kartkê bia³ego papieru.

52

Trzy równo napisane na maszynie zdania zrobi³y na nim wrażenie wyj¹tkowo okrutnego wytworu mózgu jakiego wariata, paranoidalnego krzyku: Próbowa³am się z tob¹ skontaktowaæ, Joe. Moje ^lycie zależy od twojej dyskrekcji. By³am na pok³adzie «747», lot 353.

Wszyscy na pok³adzie samolotu zginêli, a Joe nie wierzy³ w mo^lliwoæ przesys³ki z Tamtego wiata, co prawdopodobnie wyró^lnia³o go spośród mieszkańc³ów miasta anio³ów epoki New Age.

U do³u kartki widnia³o imiê: Rose Tucker. Poni^lej numer telefonu z kodem Los Angeles. Nie by³o ^ladnego adresu.

W przyp³ywie gniewu, który już trochê przygas³, ale bez trudu móg³ znów przerodziæ się w wielki ogieñ, Joe niemal z³apa³ za s³uchawkê telefonu, żeby zadzwonia^æ do pani Tucker. Chcia³ jej powiedzia^æ, że jest niebezpieczn¹ wariatk¹, która ^lyje w wiecie schizofrenicznych fantazji, psychicznym wampirem ^lywi¹cym się nieszczêciem innych ludzi, pragn¹cym zaspokoia^æ jakie swoje chore potrzeby

I wtedy w pamiêci zabrzmia³y mu s³owa Wallacea Blicka na cmentarzu. Nie wiedz¹c, że kto jest w furgonie, Joe nachyli³ się przez otwarte drzwi po stronie pasażera i w poszukiwaniu telefonu komórkowego otworzy³ skrytkê. Blick, bior¹c go za jednego z mê^lczyzn w hawajskich koszulach, spyta³: Macie Rose?

Rose.

Poniewa^l Joe wystraszy³ się uzbrojonych mê^lczyzn, poniewa^l lêka³ się o kobietê, któr¹ cigali i

ponieważ by³ zaskoczony czyj¹ obecno¹ w furgonetce, s³owa Blicka jako mu umknê³y. Wszystko dzia³o siê tak szybko. Dopiero teraz przypomniam³ sobie, co tamten powiedzia³.

Rose Tucker musia³a byæ kobiet¹ z polaroidem, t¹, która robi³a zdjêcia grobów.

Gdyby by³a tylko wariatk¹ ¿yj¹c¹ w jakim schizofrenicznym wiecie, Medsped czy Teknologik czy co to u diab³a by³o nie angażowa³yby tylu ludzi i rodków, by j¹ z³apaæ.

Przypomniam³ sobie niezwyk³¹ osobowoæ kobiety na cmentarzu. Jej bezporednioæ. Opanowanie i nadzwyczajny spokój. Si³ê spojrzenia.

Nie wygl¹da³a na wariatkê. Wrêcz przeciwnie.

Próbowa³am siê z tob¹ skontaktowaæ, Joe. Moje ¿ycie zale¿y od twojej dyskrecji. By³am na pok³adzie 747, lot 353.

Joe, nie wiedz¹c, co robi, zerwa³ siê z krzes³a i tkwi³ przez chwilê nieruchomo w miejscu. Serce wali³o mu jak m³otem, a kartka dr¿a³a w d³oniach.

Wyszed³ z biurka i stan¹³ w przejciu miêdzy stanowiskami, rozgl¹daj¹c siê po newsroomie i szukaj¹c wzrokiem kogo, z kim móg³by podzieliæ siê t¹ rewelacj¹.

Spójrz tutaj. Czytaj, czytaj. To co straszego, Jezu, co straszego, zupe³nie inaczej, ni¿ nam mówili. Kto oddali³ siê z miejsca katastrofy, kto j¹ prze¿y³. Musimy co z tym zrobiaæ, dowiedzieæ siê prawdy. Nikt nie prze¿y³, powiedzieli, nikt, apokaliptyczna kraksa, katastrofa absolutna. W czym jesz

53

cze nas ok³amali? Jak ci ludzie w samolocie umarli? Dlaczego umarli? D l a c z e g o u m a r l i ?

Nim ktokolwiek zd¹¿y³ zobaczyæ go w tym stanie, pe³nego wciek³oci i zdumienia, nim Joe poszuka³ wzrokiem jakiej znanej mu twarzy, by podzieliæ siê z kim t¹ rewelacj¹, zawaha³ siê. Rose Tucker pisa³a wyranie, ¿e jej ¿ycie zale¿y od jego dyskrecji.

Poza tym przeladowa³o go wariackie przecucie, tym silniejsze przez swoj¹ absurdalnoæ, ¿e gdyby pokaza³ tê kartkê innym, okaza³aby siê czysta i nie zapisana, ¿e gdyby wcisn¹³ im do r¹k prawo jazdy Blicka, zamieni³oby siê w jego w³asne, ¿e gdyby zabra³ kogo ze sob¹ na cmentarz, nie znalaz³by³ usek po nabojach w trawie ani ladów opon bia³ego forda na asfalcie, i stwierdzono by, ¿e nikt nie widzia³ furgonetki ani nie s³ysza³ strza³ów.

To by³a tajemnica, która zosta³a przekazana tylko jemu, nikomu wiêcej, tylko jemu, i nagle poj¹³, ¿e szukanie odpowiedzi nie jest zwyk³ym obowi¹zkiem, ale wiêt¹ powinno¹. Rozwi¹zanie tajemnicy stanowi³o jego misjê, jego cel i byæ mo¿e nie znane jeszcze odkupienie.

Nie wiedzia³ nawet dok³adnie, co to wszystko mo¿e znaczyæ. Czu³ po prostu do g³êbi, ¿e kryje siê w tym jaka prawda.

Dr¿¹c usiad³ z powrotem na krzele.

Zastanawia³ siê, czy nie traci rozumu.

Joe zadzwoni³ na dó³, do recepcji, i spyta³ Deweya Beemisa o kobietê, która zostawi³a kopertê.
Taka niewielka babeczka odpar³ Dewey.

Jednak strażnik by³ olbrzymem i nawet lic¹ca metr osiemdziesi¹t Amazonka mog³a mu siê wydawaæ ma³a.

Powiedzmy, sto szeædziesi¹t piêæ centymetrów, czy ni¹jsza?

Mo¹ze ze sto piêædziesi¹t trzy, sto piêædziesi¹t piêæ. Ale silna. Jedna z tych panienek, co to wygl¹daj¹ przez ca³e Źycie jak dziewczynki, ale gdy tylko trochê podrosn¹, potrafi¹ przesuwaæ góry. Czarna? spyta³ Joe.

Tak, zgadza siê.

Ile mia³a lat?

Mo¹ze ze czterdzieci. Ładna. W³osy jak krucze skrzyd³a. Co ciê niepokoi, Joe?

Nie, nie. Wszystko w porz¹dku.

Masz dziwny g³os. Czy z t¹ kobiet¹ wi¹Ź siê jakie k³opoty?

Nie, jest OK. Dziêki, Dewey.

Joe od³o¹Źy³ s³uchawkê.

Czu³ na karku gêsi¹ skórkê. Rozmasowa³ sobie szyjê.

D³onie mia³ mokre od potu. Wytar³ je o d¹Źinsy.

Podenerwowany, wzi¹³ do rêki wydruk z list¹ pasażerów lotu 353. Pos³uguj¹c siê linijk¹, zmierza³ w dó³ kartki, nazwisko za nazwiskiem, a¹ doszed³ do doktor Rose Marii Tucker.

Doktor.

Mog³a byæ doktorem medycyny albo literatury, biologiem albo socjologiem, muzykologiem albo dentyst¹, ale w przekonaniu Joego fakt, Źe zapra

kowa³a sobie na tytu³ naukowy, potwierdza³ jej wiarygodnoæ. Nieszczêliwi ludzie, którzy wierzyli, Źe burmistrz jest robotem, nadawali siê na pacjentów szpitali psychiatrycznych bardziej ni¹ doktorzy jakichkolwiek nauk.

Wed³ug listy Rose Tucker mia³a czterdzieci trzy lata i mieszka³a w Manassas, w Wirginii. Joe nigdy nie by³ w Manassas, ale kilka razy przeje¹d¹ obok tego miasta, które stanowi³o dalekie peryferie Waszyngtonu i le¹Źa³o niedaleko od miejsca, gdzie Źyli rodzice Michelle.

Obróci³ siê w stronê komputera i zacz¹³ jeszcze raz przegl¹daæ relacje z katastrofy, szukaj¹c

trzydziestu czy czterdziestu zdjęć przedstawiających pasażerów. Liczy, że fotografia Rose Tucker też tam będzie. Nie było.

Siedząc po opisie Deweya, kobieta, która zostawiła dla niego kartkę i ta na cmentarzu której Blick nazwa Rose to jedna i ta sama osoba. Jeśli owa Rose była naprawdę doktor Rose Marie Tucker z Manassas, w stanie Wirginia czego nie można by potwierdzić bez fotografii to w takim razie naprawdę znajdowała się na pokładzie samolotu.

I przeżyła.

Joe powrócił z niechęcią do dwóch największych fotografii z miejsca katastrofy. Pierwsza niesamowite ujęcie przedstawia burzowe niebo, spalone na węgiel drzewa, zmiażdżone i powykręcane jak surrealistyczne rzeźby szczątki samolotu, a także ludzi z komisji, którzy, w kombinezonach chroniących przed skażeniem biologicznym i kapturach, wydawali się pozbawieni twarzy, przypominali zatopionych w modlitwie mnichów albo złowieszcze duchy w zimnej i wygasłej komnacie zapomnianych gębi piekła. Druga fotografia została wykonana z lotu ptaka i ukazywała szczątki samolotu, roztrzaskane i porzucane w tak wielkim promieniu, że określenie katastrofa wydawało się już nieadekwatne do rozmiarów zniszczenia.

Nikt nie mógł przeżyć tego kataklizmu.

A jednak Rose Tucker, jeśli była tą samą Rose Tucker, która tamtej nocy weszła na pokład samolotu, nie tylko przeżyła, ale też oddaliła się z miejsca katastrofy o własnych siłach. Bez poważniejszych obrażeń. Nie była przecież zszpecona bliznami ani kaleka.

Niemożliwe. Spadając przez ponad sześć tysięcy kilometrów, pędząc coraz szybciej ku twardej ziemi i skale, 747 nie tyle się rozbił, ile rozpłynął się jak kawałek plasteliny, którym rzucono o kamienny mur, a potem eksplodował, i jeszcze przewalała się bezwładnie w straszliwym szaleństwie promieni. Uciec ze zniszczonej przez Boga Sodomy, wyjść z ognistego pieca Nabuchodonozora jak Szadrak, wstać po czterech dniach z martwych jak Łazarz wszystko byłoby cudem o wiele mniejszym niż ocalenie z katastrofy tego samolotu.

Gdyby jednak naprawdę wierzył, że to niemożliwe, jego umysł nie ogarnąłby gniew i niepokój, dziwna groza, nieopanowana ciekawość. Czuję w sobie szaloną potrzebę zrozumienia czego niepojętego, oswajania cudu.

56

Zadzwoń do informacji w Manassas, by zdobyć telefon doktor Rose Tucker. Spodziewa się usłyszeć, że nie ma takiego numeru albo że został odwołany. W końcu, przynajmniej oficjalnie, Rose Tucker była martwa.

Podano mu jednak numer.

Nie mógł przecież oddalić się z miejsca katastrofy, wrócić do domu i żyć sobie dalej, nie wzbudzając sensacji. Poza tym cigali już niebezpieczni ludzie. Gdyby powrócił do Manassas, na pewno by ją znaleźli.

Może jej rodzina wciąż mieszka pod tym samym adresem. Niewykluczone, że z jakich powodów zachowali numer telefonu pod jej nazwiskiem.

Joe wystuka³ cyfry.

Podniesiono s³uchawkê po drugim sygnale.

Tak?

Czy to mieszkanie państwa Tucker? spyta³ Joe.

Tak, zgadza siê odpowiedzia³ mu mêski g³os, rzeki i pozbawiony lokalnego akcentu.

Czy mogê mówiæ z doktor Tucker?

A kto prosi?

Intuicja nakaza³a Joemu zataiaæ nazwisko.

Wally Blick.

Przepraszam, kto?

Wallace Blick.

Mê¿czyzna po drugiej stronie milcza³. Po chwili spyta³:

A o co chodzi?

Jego g³os ledwie siê zmieni³, ale wyczuwa³o siê w nim lekki niepokój, cieñ ostro¿noci.

Joe pomyła³, ¿e chce byæ za sprytny, i od³o¿y³ s³uchawkê.

Znów otar³ d³onie o d¿insy.

Jaki reporter, przechodz¹c obok stanowiska Joego i przegl¹daj¹c notatki nabazgrane na kartce, przywita³ go nie podnosz¹c g³owy:

Hej, Randy.

Joe obejrza³ napisan¹ na maszynie wiadomoæ od Rose i zadzwoni³ na numer w Los Angeles, który poda³a.

Po pi¹tym sygnale odezwa³a siê jaka kobieta:

Halo?

Czy mogê mówiæ z Rose Tucker?

Nie ma tu nikogo o takim nazwisku odpar³a. Mia³a akcent g³êbokiego po³udnia. Dzwoni pan pod z³y numer.

Nie od³o¿y³a jednak s³uchawki.

Sama mi da³a ten numer nie ustêpowa³ Joe.

Niech zgadnê, z³otko. To by³a dama, któr¹ pozna³e na przyjêciu. Udawa³a mi³¹, ¿eby ciê sp³awiaæ.

57

Nie s¹dzê, by chcia³a to zrobiaæ.

Och, nie chcê przez to powiedzieæ, ¿e jeste brzydki, kochanie powiedzia³a g³osem, który przywodzi³ na myl kwiaty magnolii, miêtówkê i wilgotne, ciê¿kie od woni jaminu noce. Po prostu nie by³e w jej typie. Zdarza siê najlepszym.

Nazywam siê Joe Carpenter.

Ładnie. Dobrze, przyzwoite nazwisko.

A jak ty siê nazywasz?

A jak ci siê wydaje? spyta³a, dra¿ni¹c siê z nim.

Jak mi siê wydaje?

Mo¿e Oktawia albo Juliette?

Bardziej Demi.

Jak Demi Moore, gwiazda filmowa? spyta³a niedowierzaj¹co.

Masz w g³osie co sexy, co ognistego.

Kochanie, mój g³os to zgrzyt piachu i ostre ig³y.

Pod piachem i igłami kryje się ogień.

Miała wspaniały, optymistyczny miech.

Pan Joe Carpenter, przydomek Gładki. OK, podoba mi się Demi.

Posuchaj, naprawdę chciałbym rozmawiać z Rose.

Zapomnij o tej Rose. Nie tęsknij za nią, daj ci fałszywy numer. Morze jest wielkie, ryb w nim dużo.

Joe był pewien, że ta kobieta zna Rose i że spodziewała się jego telefonu. Biorąc jednak pod uwagę determinację ludzi cigajcych enigmatyczny doktor Tucker, ostrożność Demi wydawała się zrozumiała.

A jak wyglądasz, kochanie?

Sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, kasztanowe włosy, szare oczy.

Przystojny?

W miarę.

A ile masz lat, Przystojniaku Joe?

Więcej od ciebie. Trzydzieci siedem.

Masz siodki głoś. Chodzisz na randki w ciemno?

Demi mimo wszystko zamierzała się umówić.

Randki w ciemno? spyta. Nie mam nic przeciwko.

No to co powiesz na spotkanie z sexy-ognistymi kobietkami? zaproponowała ze miechem.

Pewnie. Kiedy?

Jesteś wolny jutro wieczór?

Liczyłem na wczynie.

Nie spiesz się tak, Przystojniaku Joe. W tych sprawach potrzeba czasu, wtedy jest szansa, że wszystko zadziała jak należy, że nikt nie poczuje się skrzywdzony i że nie będzie złamanych serc.

Według Joego Demi dawała do zrozumienia, że chce dobrze przygotować spotkanie, że teren musi być należycie zbadany i zabezpieczony, tak by

58

Rose nic się nie stało. Niewykluczone też, że nie mogła skontaktować się z nią w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin.

Poza tym, kochanie, jeśli będziesz nalegać, dziewczyna zacznie się zastanawiać, dlaczego tak się napalasz, skoro jesteś taki atrakcyjny.

W porządku. Gdzie się jutro spotkamy?

Dam ci adres pewnego lokalu w Westwood. Spotkamy się pod nim o szóstej, wejdziemy i napijemy się kawy. Przy okazji będziemy mogli się przekonać, czy sobie odpowiadamy. Jeśli uważasz, że naprawdę jesteś atrakcyjny i że ja jestem sexy-ognista jak mój głoś, to no cóż, zanoszę się na wieczór pełen złotych wspomnień. Masz coś do pisania?

Tak odparł i zapisał nazwę i adres kawiarni.

A teraz wywiadczy mi przysługę, trochę. Masz tam kartkę z numerem telefonu. Podrzyj ją na kawałeczki i wrzuć do kibelka. A kiedy się nie odzywa, dodaj: Numer i tak już nie będzie aktualny.

Odłożyła suchawkę.

Trzy napisane na maszynie zdania nie stanowiły dowodu, że doktor Rose Tucker przeżyła lot 353 albo że istniały jakieś wątpliwości co do przyczyn katastrofy. Mógł sam to napisać. Nazwisko doktor

Tucker też by³o wystukane na maszynie, nie dysponowa³ wiêc jej autentycznym podpisem.

Mimo to nie chcia³ pozbywaæ siê kartki. Choæ nie stanowi³aby dla nikogo ¿adnego dowodu, wszystkie te fantastyczne wydarzenia wydawa³y mu siê dziêki niej bardziej realne.

Zadzwo³ jeszcze raz pod numer Demi, by sprawdziæ, czy pomimo swoich zapewnieñ podniesie s³uchawkê.

Ku swemu zaskoczeniu us³ysza³ nagrany na tamê komunikat agencji telefonicznej, ¿e numer jest ju¿ nieaktualny. A tak¿e radê, by siê upewni³, ¿e prawid³owo wykrêci³ cyfry, a potem skontaktowa³ siê z informacj¹. Spróbowa³ jeszcze raz, z identycznym rezultatem.

Sprytne. Zastanawia³ siê, jak to zosta³o zrobione. Demi najwidoczniej by³a bardziej wyrafinowana ni¿ jej chrapliwy g³os.

Gdy Joe od³o¿y³ s³uchawkê, telefon zadzwoni³. Tak siê wystraszy³, ¿e cofn¹³ d³oñ jak oparzony. Zak³opotany w³asn¹ nerwowoci¹ odebra³ po trzecim sygnale.

Halo?

Los Angeles Post? spyta³ jaki mê¿czyzna.

Tak.

Czy to linia bezporednia do Randyego Colwaya?

Zgadza siê.

Czy to pan Colway?

Zdenerwowanie i rozmowa z Demi sprawi³y, ¿e by³ rozkojarzony. Dopiero teraz rozpozna³ bezbarwny g³os mê¿czyzny, który odebra³ telefon w domu Rose Marie Tucker w Manassas, w Wirginii.

Czy to pan Colway? spyta³ ponownie tamten.

Jestem Wallace Blick odpar³ Joe.

59

Pan Carpenter?

Joe poczu³, jak po krêgos³upie, krêg za krêgiem, pe³nie mu lodowaty dreszcz. Od³o¿y³ z trzaskiem s³uchawkê.

Wiedzieli, gdzie jest.

Niezliczone stanowiska pracy w newsroomie przesta³y przypominaæ szereg anonimowych dziupli. Zmieni³y siê w labirynt o niezliczonych lepych korytarzach.

Szybko zebra³ wydruki i kartkê, któr¹ pozostawi³a dla niego Rose Tucker. Kiedy wstawa³ z krzes³a, telefon znów zadzwoni³. Tym razem Joe nie podniós³ s³uchawki.

W drodze na dó³ spotka³ Dana Shaversa, który wraca³ z dzia³u fotokopii z plikiem papierów w lewej d³oni i ze zgaszon¹ fajk¹ w prawej. Ca³kowicie ³ysy, z bujn¹ brod¹, by³ ubrany w czarne spodnie od dresu, czerwono-czarne szelki, koszulkê w bia³e i szare paski i ¿ó³t¹ muszkê. Na szyi nosi³ okulary do czytania, zawieszzone na czarnej tasiemce.

Shavers, reporter i felietonista zajmuj¹cy siê sprawami gospodarczymi, by³ podczas zwyk³ej rozmowy równie pompatyczny i pozbawiony wyczucia co, jak mu siê zdawa³o, czaruj¹cy; wydawa³ siê jednak nieszkodliwy i wzruszaj¹cy w swoim b³êdnym przekonaniu, ¿e jest uroczym gawêdziarzem. Powiedzia³ bez ¿adnych wstêpów:

Joseph, drogi ch³opcze, pos³uchaj, w zesz³ym tygodniu otworzy³em skrzynkê Caberneta rocznik siedemdziesi¹t cztery, jedn¹ z dwudziestu. Kiedy j¹ kupowa³em, to by³a inwestycja, akurat wyprodukowali to wino, co prawda przebywa³em wówczas w Napa nie po to, by penetrowaæ sklepy z winami, tylko nabyæ zabytkowy zegar, i pos³uchaj, to wino dojrza³o tak znakomicie, ¿e Przerwa³, uwiadamiaj¹c sobie, ¿e Joe nie pracuje w gazecie ju¿ od d³u¿szego czasu. Próbowa³ niezgrabnie przekazaæ swoje kondolencje dotycz¹ce tego strasznego wydarzenia, tej tragedii, ci wszyscy biedni ludzie, twoja ¿ona i dzieci

Zdaj¹c sobie sprawê, ¿e telefon Randyego Cowlaya znów dzwoni gdzie w g³êbi sali, Joe przerwa³ Shaversowi. Pocz¹tkowo zamierza³ go sp³awiaæ, ale w końcu spyta³:

Pos³uchaj, Dan, znasz firmê o nazwie Teknologik?

Czy ja ich znam? Shavers uniós³ do góry brwi. Bardzo zabawne, Joe.

Znasz ich? Co to za historia, Dan? Czy to jaki du¿y koncern? Chodzi mi o to, czy siê liczy na rynku.

Och, przynosi ogromne zyski, Joseph, oni s¹ absolutnie niesamowici, potrafi¹ wyw¹chaæ firmy, które maj¹ niez³e osi¹gniêcia, a potem je przejmuj¹. Wspomagaj¹ te¿ ludzi, którzy potrzebuj¹ gotówki, ¿eby realizowaæ swoje pomys³y. Chodzi g³ównie o technologie zwi¹zane z medycyn¹, ale nie za

60

wsze. Szefowie Teknologik to niepoprawni autoreklamianie, uwa¿aj¹ siê za co w rodzaju arystokracji biznesu, a wcale nie s¹ lepsi od nas. Oni te¿ s¹ odpowiedzialni przed Tym, Którego Nale¿y S³uchaæ. Joe, nie rozumiej¹c, spyta³:

Ten, Którego Nale¿y S³uchaæ?

Jak my wszyscy, jak my wszyscy powiedzia³ Shavers, umiechaj¹c siê i kiwaj¹c g³ow¹, po czym podniós³ do ust fajkê.

Telefon Colwaya zamilk³. Cisza denerwowa³a Joego bardziej ni¿ uparty dzwonek. Wiedzieli, gdzie jest.

Muszê iæ powiedzia³ odchodz¹c, podczas gdy Shavers zacz¹³ go przekonywaæ o korzyściach p³yn¹cych z posiadania akcji Teknologik.

Uda³ siê wprost do najbli¿szej mêskiej toalety. Na szczêcie nie by³o tam nikogo, ¿adnego znajomego z dawnych czasów.

W jednej z kabin Joe podar³ kartkê od Rose. Wrzuci³ strzêpki do muszli klozetowej i spuci³ wodê, jak prosi³a go Demi. Zaczeka³, a¿ zniknie ostatni kawa³ek i ponownie spuci³ wodê, by siê upweniaæ, ¿e nic nie utknê³o w sp³uczce.

Medsped. Teknologik. Wielkie firmy prowadz¹ce icie policyjn¹ akcjê. D³ugie rêce, wyci¹gaj¹ce siê od Los Angeles do Manassas, i budz¹ca grozê wszechwiedza tych, co prowadzili operacjê, sugerowa³y, ¿e s¹ to korporacje o potê¿nych powi¹zaniach wykraczaj¹cych poza wiat biznesu, siêgaj¹cych byæ mo¿e armii.

Niemniej jednak, bez wzglêdu na stawkê, wydawa³o siê bezsensowne, by jaka korporacja chroni³a swe interesy przy pomocy siepaczy zdecydowanych strzelaæ do ludzi w miejscach publicznych czy gdziekolwiek indziej. Niezale¿nie od tego, jakie zyski przynosi³ Teknologik, wielkie czarne cyfry w wykazie dochodów nie zwalnia³y jego szefów od przestrzegania prawa, nawet w Los Angeles, gdzie w³anie brak pieniêdzy by³ uwa¿any za korzenie wszelkiego z³a.

Bior¹c pod uwagê to, jak bardzo byli przekonani o swej bezkarnoci i jak chêtnie siêgali po broñ, ludzie, których spotka³ na cmentarzu, musieli byæ wojskowymi albo agentami federalnymi. Joe dysponowa³ zbyt sk¹pymi informacjami, by chocia¿by domylaæ siê roli, jak¹ w tej operacji

odgrywa³y Medsped i Technologik.

Ca³y czas, zmierzaj¹c korytarzem drugiego piêtra w stronê wind, spodziewa³ siê, że kto go zawo³a albo ka³e mu siê zatrzymaæ. Byæ mo³e jeden z mê¹czyzn w hawajskich koszulach. Albo Wallace Blick. Albo jaki funkcjonariusz policji.

Jeli ludzie cigaj¹cy Rose Tucker byli agentami federalnymi, to mogli liczyæ na pomoc lokalnej policji. Joe zrozumia³, że przez jaki czas musi uwa³aaæ ka³dego cz³owieka w mundurze za potencjalnego wroga.

Kiedy drzwi windy siê rozsuniê³y, zeszywnia³, spodziewaj¹c siê nag³ego ataku. Wnêtrze kabiny by³o jednak puste.

61

Zje¹daj¹c na dó³, zastanawia³ siê, kiedy zostanie odciêty dop³yw pr¹du. Gdy winda w koñcu zatrzyma³a siê na ni³szej kondygnacji, stwierdzi³ ze zdumieniem, że nikogo tam nie ma.

W ci¹gu ca³ego Źycia nigdy nie dowiadczy³ czego równie absurdalnego, ob³¹kanego. Wydarzenia wczesnego przedpo³udnia i to, czego siê dowiedzia³ w redakcji, sprawi³y, że robi³ siê nerwowo.

Zastanawia³ siê, czy jego przesadne reakcje napady skrajnej z³oci, narastaj¹ca spirala strachu nie by³y czasem odpowiedzi¹ na za³amanie, jakie prze¹cy³ w minionym roku. Ani na chwilê nie traci³ straszliwej wiadomoci niepojêtej straty, nie pozwala³ sobie jednak na Źadne uczucia z wyj¹tkiem Źalu i litoci nad samym sob¹. W gruncie rzeczy robi³ wszystko, by nawet tego nie odczuwaæ. Próbow³ otrz¹sn¹æ siê z bólu, podnieæ siê z popio³ów niczym Feniks, pozbawiony jakiegokolwiek nadziei z wyj¹tkiem zimnego spokoju, jaki daje obojêtnoæ. A teraz, gdy pod wp³ywem tych wszystkich wydarzeñ ponownie otworzy³ siê na wiat, poczu³ ozdrowieñcz¹ si³ê emocji, tak jak pocz¹tkuj¹cy surfista cieszy siê z ka³dej spienionej fali, która go wynosi w górê.

Kiedy Joe wszed³ do recepcji, Dewey Beemis rozmawia³ przez telefon. S³ucha³ tak uwa³nie, że jego zazwyczaj g³adka twarz pokry³a siê bruzdami. Mamrota³: Tak, uhm, uhm, tak.

Zmierzaj¹c w stronê wyjcia, Joe pomacha³ mu na po¹egnanie.

Dewey zawo³a³:

Joe, poczekaj, poczekaj chwilê.

Joe przystan¹³ i odwróci³ siê.

Choæ Dewey znów s³ucha³ swojego rozmówcy, jego wzrok spoczywa³ na Joem.

By pokazaæ, że siê spieszy, Joe postuka³ palcem o tarczê zegarka.

Proszê poczekaæ rzuci³ Dewey w s³uchawkê, a zwracaj¹c siê do Joego powiedzia³: Dzwoni jaki cz³owiek w twojej sprawie.

Joe potrz¹sn¹³ z niechêci¹ g³ow¹.

Chce z tob¹ mówiaæ wyjani³ Dewey.

Joe znów ruszy³ w stronê wyjcia.

Joe, poczekaj, on mówi, że jest z FBI.

Ju¹ przy drzwiach Joe zawaha³ siê i popatrzy³ na Deweya. FBI nie mog³o mieæ nic wspólnego z ludmi w hawajskich koszulach, nie z osobnikami, którzy bez zadawania pytañ strzelali do niewinnych ludzi, nie z takimi jak Wallace Blick. A mo³e jednak? Czy znów ulega³ strachowi, poddawa³ siê halucynacjom? Przecie¹ ze strony FBI móg³ oczekiwaæ wyjanieñ i ochrony.

Mê¹czyzna, który chcia³ z nim rozmawiaæ, móg³ oczywicie k³amaæ. Wcale nie musia³ byæ z Biura. Prawdopodobnie liczy³ na to, że uda mu siê zatrzymaæ Joego do czasu, a¹ Blick i jego kumple czy jacy inni zd¹ê do niego dotrzeæ.

Potrzsaj¹c przecz¹co g³ow¹, Joe odwróci³ siê od Deweya. Precyjn¹³ siê przez drzwi i wyszed³ na

Joe? zawo³a³ za jego plecami Dewey.

Joe ruszy³ w stronê wozu. Zwalczy³ pokusê, by pobic.

Po drugiej stronie parkingu, przy otwartej bramie, m³ody stra¿nik o ogolonej g³owie i ze z³otym kolczykiem w nosie obserwowo³ go bacznie. W tym miecie, gdzie czasem pieni¹dze znaczy³y wiêcej ni¿ lojalnoæ, honor czy zas³ugi, styl znaczy³ wiêcej ni¿ pieni¹dze; mody pojawia³y siê i przemija³y jeszcze szybciej ni¿ zasady i przekonania, niezmienione pozostawa³y jedynie barwy m³odocianych gangów, wieczna odzie¿owa tradycja. Wygl¹d nastolatka, ów styl, punk-grunge-neopunk, czy cokolwiek innego, by³ ju¿ tak nieaktualny jak krój butów, przez co ch³opak wygl¹da³ mniej gronie, ni¿ mu siê wydawa³o, i ¿a³oniej, ni¿ kiedykolwiek mu przysz³o do g³owy. Jednak w tych okolicznosciach jego zainteresowanie Joem by³o z³owieszcze.

Twarde rytmy rapu, nawet przyciszone, pulsowa³y w nabrzmia³ym od upa³u powietrzu. Wnêtrze hondy by³o gor¹ce, ale mo¿na by³o w nim wytrzymaæ. Boczna szyba, rozbita pociskiem wystrzelonym na cmentarzu, zapewnia³a wentylacjê. Stra¿nik zauwa¿y³ uszkodzenie, gdy Joe wjecha³ na parking. Mo¿e go to zastanowi³o.

I co z tego? To tylko st³uczona szyba.

By³ przekonany, ¿e silnik nie zapali, ale zapali³.

Kiedy Joe wyje¿d¿a³ ze swojej zatoczki, Dewey Beemis otworzy³ drzwi od holu recepcji i wyszed³ na niewielki, betonowy podest pod daszkiem ozdobionym logo Post. Wielki mê¿czyzna nie wygl¹da³ na poruszonego, by³ tylko lekko zdziwiony.

Dewey na pewno nie próbowa³by go zatrzymaæ. Byli w koñcu przyjació³mi, albo przynajmniej byli nimi nigdy, a mê¿czyzna dzwoni¹cy do redakcji to tylko anonimowy g³os.

Joe wrzuci³ bieg.

Dewey, zstêpuj¹c ze schodów, co wo³a³. W jego g³osie nie by³o niczego niepokoju¹cego. Raczej zmieszanie, troska.

Ignoruj¹c go mimo wszystko, Joe zmierza³ w stronê bramy. Stra¿nik siedz¹cy pod brudnym parasolem ze znakiem Cinzano podniós³ siê ze sk³adanego krzes³a. Znajdowa³ siê zaledwie dwa kroki od przesuwanej bramy. Zwoje drutu kolczastego na ogrodzeniu z siatki po³yskiwa³y srebrnymi refleksami popo³udniowego s³oñca.

Joe zerkn¹³ w lusterko wsteczne. Dewey sta³ z rêkami na biodrach. Kiedy Joe przeje¿d¿a³ obok parasola, stra¿nik nie wyszed³ nawet spod cienia. Spogl¹daj¹c leniwie, oczami równie pozbawionymi wyrazu co lepia iguany, otar³ pot z czo³a. Czarne paznokcie lni³y w s³oñcu.

Joe zbyt szybko min¹³ bramê i skrêci³ w ulicê. Opony piszcza³y i mlaska³y na rozmiêkczonym przez upa³ asfalcie, ale nie zwolni³. Zmierza³ na zachód wzd³u¿ Strathern Street i nim zd¹¿y³ skrêciæ na po³udnie, w Lankershim Boulevard, us³ysza³ syreny policyjne. Nale¿a³y do muzyki tego miasta, w dzieñ i w nocy; wcale nie musia³o chodziæ o niego. Mimo to, jad¹c w stronê Ventura Freeway, potem pod wiaduktem, a w koñcu skrêcaj¹c na zachód w

Moopark, raz po raz zerka³ w lusterko, szukaj¹c wzrokiem cigaj¹cych go wozów, oznakowanych i nie oznakowanych.

Nie by³ przestêpc¹. Powinien bezzw³ocznie poinformowaæ w³adze o ludziach na cmentarzu, opowiedziæ im o Rose Tucker i zg³osiæ swoje w¹tpliwoci co do przyczyn katastrofy.

Z drugiej jednak strony, pomimo zagrożenia życia Rose najwyraźniej nie szukała pomocy u policji, może dlatego, że nie było na to szans. Moje życie zależy od twojej dyskrekcji.

Pracowaś długi czas jako reporter kryminalny i znaś co najmniej kilka przypadków, kiedy to ofiary poniosły śmierć nie dlatego, że coś zrobiły, nie z powodu pieniędzy czy fortuny, którą pragnęły zdobyć zabójca, ale ponieważ za dużo wiedziały. Człowiek, który wie za dużo, mógł być niebezpieczniejszy od człowieka z bronią w ręku.

Jednakże informacje Joego na temat lotu 353 były już nieubogie. Jeśli stanowił cel ataków tylko dlatego, że wiedział o istnieniu Rose Tucker i o tym, że rzekomo przeżył katastrofę, to sekrety, jakie posiadał, musiały mieć straszliwie silny wpływ.

Gdy jechał na zachód, w stronę Studio City, pomyślał o czerwonych literach na podkoszulku dozorczy parking: NIE MA STRACHU. Była to filozofia, której Joe nigdy nie mógłby wyznawać. Tak bardzo się lękał!

Ponad wszystko dręczyła go myśl, że katastrofa nie była nieszczęśliwym wypadkiem, że Michelle, Chrissie i Nina nie zginęły przez kaprys losu, lecz z ręki człowieka. Choć komisji nie udało się ustalić prawdopodobnej przyczyny katastrofy, brano pod uwagę awarię hydraulicznych systemów sterowania, której skutki spotęgowała ludzka błąd i Joe mógł to zaakceptować, gdyby orzeczenie to było tak bezosobowe, mechaniczne i zimne jak sam wszechwiat. Nie zniósłby jednak faktu, że umarły w rezultacie tchórzliwego aktu terroryzmu albo jednostkowej zbrodni, że poświęcono ich życie dla czyjejś chciwości, zazdrości czy nienawici.

Lękał się, że takie odkrycie będzie miało dla niego straszne skutki. Lękał się tego, czym mógłby się stać, swej zdolności do przemocy, przerażającej arogancji, z jaką dokonałby zemsty i nazwał ją sprawiedliwością.

rzy panującej w tych czasach konkurencji kalifornijscy bankierzy pracowali także w sobotę, niektórzy nawet do piątej po południu. Joe zja

wił się w filii swego banku w Studio City dwadzieścia minut przed zamknięciem.

Kiedy sprzedał tu swój dom, nie zawracał sobie głowy przenoszeniem konta do oddziału znajdującego się bliżej jego jednopokojowego mieszkania w Laurel Canyon. Wygoda nie miała dla niego żadnego znaczenia, gdy czas przestał się liczyć.

Podszedł do okienka, w którym kobieta o imieniu Heather, czekała na ostatniego klienta,

zajmowa³a siê papierkow¹ robot¹. Pracowa³a w tym banku od dziesiêciu lat, to znaczy od chwili, kiedy Joe otworzy³ tu konto.

Muszê wycofaæ gotówkê wyjani³ po krótkiej pogawêdce. Ale nie mam przy sobie ksi¹¿eczki czekowej.

Aden problem zapewni³a go.

Kiedy jednak Joe poprosi³ o dwadziecia tysiêcy dolarów w banknotach studolarowych, pojawi³ siê niewielki problem. Heather posz³a na drugi koniec sali i wda³a siê w dyskusjê z g³ównym kasjerem, który z kolei skonsultowa³ siê z zastêpc¹ kierownika. By³ to m³ody cz³owiek, nie mniej przystojny ni¿ najmodniejszy amant filmowy; byæ mo¿e zalicza³ siê do legionu niedosz³ych gwiazd i pracowa³ w realnym wiecie, by przetrwaæ, dopóki nie pojawi siê s³awa. Wszyscy zerkali na Joego, jakby jego to¿samoæ budzi³a teraz w¹tpliwoçi.

Jeli chodzi³o o pobieranie pieniêdzy, banki przypomina³y odkurzacze. W przypadku wydawania tych¿e pieniêdzy, zamienia³y siê w zapchane krany.

Heather wróci³a z min¹ królowny i informacj¹, ¿e bank z radoci¹ spe³ni jego probê, ale obowi¹zuj¹ oczywicie pewne procedury, których nie mo¿na omin¹æ.

65 5 Jedyna ocalona

Na drugim koñcu sali zastêpca kierownika rozmawia³ przez telefon. Joe podejrzewa³, ¿e to jego osoba jest tematem konwersacji. Zdawa³ sobie sprawê, ¿e znów ulega paranoi, ale w ustach mu zasch³o, a serce zabi³o szybciej.

Pieni¹dze nale¿a³y do niego. Potrzebowa³ ich.

To, ¿e Heather zna³a Joego od lat prawdê mówi¹c uczêszcza³a do tego samego luterañskiego kocio³a, do którego Michelle zabiera³a dziewczynki na lekcje szkó³ki niedzielnej i nabo¿eñstwa nie zwolni³o jej z obowi¹zku przyjrzenia siê jego prawu jazdy. Dni, kiedy ludzie powszechnie sobie ufali i odznaczali siê zdrowym rozs¹dkiem, nale¿a³y do tak odleg³ej przesz³oci, ¿e wydawa³y siê zamierzch³¹ histori¹, i to histori¹ obcego kraju.

Nie okazywa³ zniecierpliwienia. Wszystko, co posiada³, w³¹cznie z szecioma tysi¹cami dolarów w akcjach ze sprzeda¿y domu, le¿a³o w depozycie, nie mogli wiêc odmówiaæ mu wydania pieniêdzy, których potrzebowa³ na pokrycie codziennych potrzeb. Jeli cigali go ci sami ludzie, którzy cigali te¿ Rose Tucker, to nie móg³ wróciæ do swojego mieszkania. Wiedzia³, ¿e przez jaki czas bêdzie musia³ ukrywaæ siê w motelach.

Zastêpca kierownika skoñczy³ rozmawiaæ. Stukaj¹c o³ówkiem, wpatrywa³ siê teraz w bloczek na swoim biurku.

Pocz¹tkowo Joe zastanawia³ siê, czy nie korzystaæ przy zakupach z kart kredytowych, uzupe³nianych drobnymi sumami z automatów. Ale w³adze, id¹c tym tropem, mog³y go znaleæ i siedzieæ mu bezustannie na karku. Niewykluczone, ¿e jaki sprzedawca zosta³by zmuszony do zatrzymania jego karty w momencie zakupów.

Na biurku zastêpcy kierownika zadzwoni³ telefon. Mê¿czyzna podniós³ s³uchawkê, zerkn¹³ na Joego i obróci³ siê w swoim krêconym fotelu, jakby w obawie, ¿e bêdzie mo¿na czytaæ z ruchu jego warg.

Gdy ca³a rzecz odby³a siê wreszcie zgodnie z procedur¹ i wszyscy byli zadowoleni, ¿e Joe nie okaza³ siê ani w³asnym z³ym bratem bliñakiem, ani bezczelnym oszustem w gumowej masce, zastêpca kierownika, po skoñczonej rozmowie, pobra³ z kas przy kilku stanowiskach i z sejfu studolarowe banknoty. Przyniós³ ¿¹dan¹ sumê Heather, a potem ze sztucznym i niespokojnym

umiechem przygl¹da³ siê, jak kobieta przelicza ca³¹ gotówkê.

Byæ mo¿e dzia³a tylko jego wyobrañia, ale Joe wyczuwa³ dezaprobatê tych ludzi. Nie chodzi³o im o to, ¿e noszenie przy sobie du¿ej sumy pieniêdzy jest niebezpieczne. Problem w tym, ¿e ludzie z wiêksz¹ gotówk¹ byli jak napiêtnowani. Rz¹d, pod pretekstem walki z procederem prania brudnych pieniêdzy, domaga³ siê, by banki informowa³y w³adze o transakcjach przekraczaj¹cych piêæ tysiêcy dolarów. Prawo to nie utrudni³o ¿ycia handlarzom narkotyków, natomiast operacje finansowe dokonywane przez zwyk³ych obywateli by³y teraz znacznie skuteczniej kontrolowane.

Gotówka czy te¿ jej odpowiednik diamenty lub z³oto stanowi³y od wieków gwarancjê wolności i swobody podró¿owania. I tak te¿ traktowa³ je Joe. Jednak¿e podejmuj¹c w³asne pieni¹dze, nara¿a³ siê na bezustann¹, ukradkow¹ obserwacjê Heather i jej szefów, jakby podejrzewali go o udzia³ w

66

jakim przestêpstwie albo, w najlepszym razie, o zamiar spêdzenia kilku szalonych dni w Las Vegas.

Kiedy Heather wsunê³a banknoty do szarej koperty, na biurku zastêpcy kierownika zadzwoni³ telefon. Mê¿czyzna, mruzc¹c co w s³uchawkê, wci¹¿ okazywa³ zainteresowanie osob¹ Joego.

Kiedy Joe, jako ostatni klient, opuszcza³ bank piêæ minut przed zamkniêciem, ze zdenerwowania ugina³y siê pod nim nogi.

Upa³ jeszcze nie zel¹a³, a popo³udniowe niebo by³o wci¹¿ bezchmurne i niebieskie, choæ jego b³êkit wydawa³ siê ju¿ mniej intensywny, jakby nie mia³ g³êbi. Wywo³a³o to przelotne skojarzenie. Dopiero gdy wsiad³ do samochodu i zapali³ silnik, przypomni³ sobie martwoniebieskie oczy trupa, którego widzia³ kiedy na stole w kostnicy. Tamtej nocy skoñczy³ na zawsze z zawodem reportera kryminalnego.

Wyje¿d¿aj¹c z parkingu, zauwa¿y³, ¿e zastêpca kierownika stoi za szklanymi drzwiami banku, prawie niewidoczny w miedzianym blasku zachodz¹cego s³oñca. Mo¿e chcia³ przyjrzeæ siê hondzie, by zapamiêtaæ numer rejestracyjny i przekazaæ policji jak najwiêcej szczegó³ów. Albo po prostu zamyka³ drzwi.

Wielkie miasto po³yskiwa³o wiat³ami pod lepym niebieskim okiem martwego nieba.

Przeje¿d¿aj¹c obok niewielkiego centrum handlowego, po drugiej stronie trzypasmowej jezdni Joe dostrzeg³ kobietê o d³ugich, kasztanowych w³osach, która wysiada³a z forda explorera. Wóz sta³ przed sklepem garmazeryjnym. Drzwi po stronie pasa¿era te¿ siê otworzy³y i na chodnik wyskoczy³a ma³a dziewczynka z grzyw¹ zmierzwionych, jasnych w³osów. Joe nie widzia³ jej twarzy.

Skrêci³ gwa³townie i przeci¹³ bez zastanowienia jezdniê. Zderzy³ siê niemal z szarym mercedesem, prowadzonym przez starszego mê¿czyznê. Na skrzy¿owaniu, gdy wiat³a zmieni³y siê z ¿ó³tych na czerwone, zawróci³ wbrew zakazowi.

Ju¿ ¿a³owa³ tego, co zamierza³ robiæ. Ale nie móg³ siê powstrzymaæ, tak jak nie móg³by przyspieszyæ nadejcia zmroku, rozkazuj¹c s³oñcu, by zasz³o. Znalaz³ siê w kleszczach dziwnego przymusu.

Poruszony w³asnym brakiem samokontroli, zaparkowa³ obok forda. Wsiad³ z samochodu. Nogi mia³ jak z waty.

Sta³ i patrzy³ na witrynê sklepu. Kobieta z dzieckiem by³a w rodku, ale nie móg³ ich widzieæ. Zas³ania³y je plakaty na szybie i towary na wystawie.

Odwróci³ siê i opar³ o hondê, staraj¹c siê nad sob¹ zapanowaæ.

Po katastrofie Beth McKay skontaktowa³a go z ogólnokrajow¹ organizacj¹ zrzeszaj¹c¹ ludzi, którzy stracili dzieci. Organizacja nazywa³a siê Po

67

ciecha Przyjació³. Beth, dziêki sesjom terapeutycznym, w których uczestniczy³a, powoli godzi³a siê ze mierci¹ córki, wiêc Joe poszed³ na kilka spotkań lokalnej grupy, szybko jednak da³ sobie spokój. Pod tym wzglêdem nie róŹni³ siê od innych mêŹczyzn w podobnej sytuacji; matki chodzi³y regularnie na spotkania i znajdowa³y pociechê w rozmowie z kobietami, którym los zabra³ dzieci, ale niemal wszyscy ojcowie zamykali siê w sobie i skrywali swój ból. Joe pragn¹³ siê otworzyæ i znaleæ w tym ratunek, ale mêska biologia czy psychika albo moŹe zwyk³y upór czy litoæ nad samym sob¹ skazywa³y go na wynios³¹ samotnoæ.

Ze spotkań terapeutycznych pamiêta³, Źe ten dziwny przymus, który go teraz ogarn¹³, nie by³ niczym wyj¹tkowym. Wrêcz przeciwnie, by³ tak powszechny, Źe nadano mu nazwê: syndrom poszukiwania. KaŹdy, kto straci³ ukochan¹ osobê, w mniejszym lub wiêkszym stopniu odczuwa³ ów przymus, a najbardziej ci, którzy stracili dzieci. Joe odczuwa³ go wyj¹tkowo silnie.

Potrafi³ zaakceptowaæ intelektualnie fakt, Źe martwi odeszli na zawsze. Emocjonalnie, na bardziej pierwotnym poziomie, wci¹Ź by³ przekonany, Źe znów ich ujrzy. Czasem spodziewa³ siê, Źe jego Źona i córki pojawi¹ siê w drzwiach albo zadzwoni¹ do niego. Czasem, gdy jecha³ samochodem, ogarnia³a go pewnoæ, Źe Chrissie i Nina siedz¹ z ty³u, i odwraca³ siê wstrzymuj¹c oddech. Gdyby stwierdzi³, Źe dziewczynki naprawdê Źyj¹ i jad¹ z nim samochodem, by³by mniej zaskoczony niŹ widz¹c pustkê na tylnym siedzeniu.

Czasem dostrzega³ je na ulicy. Na placu zabaw. W parku. Na plaŹy. Zawsze znajdowa³y siê w pewnej odleg³oci i oddala³y siê od niego. Niekiedy pozwala³ im odejæ, ale zdarza³o siê, Źe co kaza³o mu pod¹Źaæ za nimi, spojrzeæ na ich twarze, mówiæ: Poczekajcie na mnie, idê z wami. Podeszed³ do drzwi sklepu.

Zawaha³ siê. Czu³, jak bardzo siê zadrêcza. Wiedzia³, Źe jeli ta kobieta nie jest Michelle, a dziecko to nie Nina, dozna wstrz¹su, który bêdzie jak uderzenie w samo serce.

Wydarzenia dnia spotkanie z Rose Tucker na cmentarzu, jej s³owa, szokuj¹ca wiadomoæ, która czeka³a na niego w redakcji by³y tak niezwyk³e, Źe zacz¹³ przejawiaæ g³êbok¹ wiarê w to, co dot¹d uwaŹa³ za niemoŹliwe. Jeli Rose mog³a spaæ z wysokoci siedmiu kilometrów, uderzyæ w skalist¹ glebê Colorado, i wyjæ z tego bez szwanku Bezsens wzi¹³ górê nad faktami i logik¹. Krótkotrwa³y, s³odki ob³êd zdar³ z niego pancierz obojêtnoci, jakim siê otacza³ z tak¹ determinacj¹, a serce wype³ni³a nadzieja.

Wszed³ do sklepu.

Lada znajdowa³a siê z lewej strony. Ładna Koreanka po trzydziestce uk³ada³a na stojaku paczki parówek. Umiechnê³a siê i skinê³a g³ow¹.

Koreańczyk, byæ moŹe jej m¹Ź, sta³ przy kasie. Przywita³ Joego jak¹ uwag¹ na temat upa³u.

Ignoruj¹c ich, Joe min¹³ pierwszy szereg pó³ek, potem drugi. Przy koŹcu trzeciego dostrzeg³ kobietê o kasztanowych w³osach i dziecko. Sta³y przy lodówce z napojami, plecami do niego. Czeka³ przez chwilê, aŹ siê odwróc¹.

68

Kobieta mia³a na sobie bia³e, wi¹zane na kostce sanda³y, bia³e bawe³niane spodnie i zielon¹ bluzkê. Michelle teŹ mia³a podobne sanda³y i podobne spodnie. Ale nie bluzkê. W kaŹdym razie nie

przypomina³ sobie u niej takiej bluzki.

Ma³a dziewczynka w wieku Niny, o wzrocie Niny, mia³a na nogach bia³e sanda³y, tak jak matka, różowe szorty i bia³y podkoszulek. Sta³a z przekrzywion¹ g³ow¹, machaj¹c szczup³ymi r¹czkami, jak czasem robi³a to Nina.

Naj-na, Ni-na, czy j¹ widzia³?

Joe, nim siê zorientowa³, ju¹ by³ w po³owie tego rzêdu pó³ek.

Pos³ysza³, jak dziewczynka mówi: Piwo korzenne, dobrze?

Potem pos³ysza³ samego siebie: Nina?, poniewa¹ piwo korzenne by³o ulubionym napojem Niny.

Nina? Michelle?

Kobieta i dziecko odwróci³y siê w jego stronê. To nie by³a Michelle i Nina.

Od pocz¹tku wiedzia³, że to nie ta kobieta i nie ta dziewczynka, które kocha³. Kierowa³ siê nie rozs¹dkiem, lecz szalonym impulsem serca. Wiedzia³ o tym, wiedzia³ bardzo dobrze. Mimo to kiedy zobaczy³, że to nieznajome, mia³ wra¹zenie, że kto uderzy³ go w pier.

Og³upia³y, wykrztusi³:

Pani Myla³em Jak pani sta³a

Tak? spyta³a kobieta, zaintrygowana i zaniepokojona.

Proszê nie pozwolaiê jej odejæ j¹ka³ siê, zdziwiony chrapliwoci¹ w³asnego g³osu. Niech pani nie pozwoli jej odejæ, niech pani nie spuszcza jej z oka, one znikaj¹, odchodz¹, jeli nie trzyma siê ich przy sobie.

Po twarzy kobiety przemkn¹³ cieñ przera¹zenia.

Z niewinn¹ szczeroci¹ czterolatki, przybieraj¹c zatroskany ton, dziewczynka powiedzia³a:

Proszê pana, musi pan kupiæ sobie myd³o. Brzydko pan pachnie. Myd³o jest tam, poka¹ê panu.

Matka szybko ujê³a d³oñ dziecka i przyci¹gnê³a córkê do siebie.

Joe uwiadomi³ sobie, że naprawdê musi cuchn¹æ. Siedzia³ przez kilka godzin na pla¹ży, w pe³nym s³oñcu, póniej by³ na cmentarzu, nie mówi¹c ju¹ o tym, że kilkakrotnie tego dnia obla³ siê ze strachu potem. Nie jad³ od rana, wiêc jego oddech musia³ zaje¹d¹æ piwem, które wypi³ nad morzem.

Dziêkujê, kochanie powiedzia³. Masz racjê. Brzydko pachnê. Lepiej kupiê sobie myd³o.

Czy wszystko w porz¹dku? odezwa³ siê z ty³u jaki g³os.

Joe odwróci³ siê i zobaczy³ Koreańczyka. Pogodna dot¹d twarz mê¹czyzny by³a teraz zatroskana.

Wydawa³o mi siê, że to kto znajomy wyjani³ Joe. Ludzie, których zna³em kiedy.

Uwiadomi³ sobie, że wyszed³ rano z domu nie ogolony. Z zarostem, lni¹cy od zastarza³ego potu, w pogniecionym ubraniu, o niewie¹zym i cuch

n¹cym piwem oddechu, musia³ stanowiæ nieciekawy widok. Teraz ju¹ lepiej rozumia³ ludzi w banku.

Wszystko w porz¹dku? zwróci³ siê w³aciciel do kobiety.

Nie by³a pewna.

Chyba tak.

Ju¹ wychodzê uspokoi³ ich Joe. Mia³ wra¹zenie, że ło³¹dek podje¹d¹æ mu do gard³a, a serce gdzie siê zapada. OK, OK, to tylko pomy³ka, ju¹ wychodzê.

Min¹³ w³aciciela i ruszy³ szybko w stronê wyjcia.

Kiedy przechodzi³ obok lady, Koreanka spyta³a zaniepokojona:

Wszystko w porz¹dku?

Nic, nic odpar³ Joe i wyszed³ pospiesznie, pogr¹aj¹c siê w upale dnia, który dobiega³ ju¹ koñca.

Kiedy wsiad³ do hondy, zobaczy³ na siedzeniu pasażera szar¹ kopertê. Zostawi³ w otwartym

samochodzie dwadzieścia tysięcy dolarów. Choć w sklepie nie dokona³ się cud, cudem by³o to, że pieni¹dze wci¹¿ le¿a³y na swoim miejscu.

Dręczone md³ociami, czuj¹c w piersiach ucisk, który przeszkadza³ mu oddychaæ, Joe nie by³ pewien, czy zdo³a z nale¿yt¹ uwag¹ poprowadziæ wóz. Nie chcia³ jednak, by kobieta pomy³a³a sobie, że czeka na ni¹, że siê na ni¹ zaczai³. Uruchomi³ silnik i odjecha³ spod centrum handlowego.

W³czy³ klimatyzacjê i skierowa³ wyloty nawiewu ku twarzy, staraj¹c siê z³apaæ oddech. Mia³ wrazenie, że p³uca przesta³y mu funkcjonowaæ i że oddycha tylko si³¹ woli. Powietrze, które wci¹ga³, dusi³o jak gêstniej¹cy p³yn.

To by³a jeszcze jedna rzecz, o jakiej dowiedzia³ siê na spotkaniach terapeutycznych: ci, którzy stracili swe dzieci, nie tylko on, odczuwali czasem wrêcz og³uszaj¹cy ból fizyczny.

Prowadzi³ zgiêty wpó³ nad kierownic¹ jak ciê¿ko ranny cz³owiek, dysz¹c astmatycznie.

Pomy³a³ o gniewnym lubowaniu, jakie z³o¿y³ że zniszczy ludzi odpowiedzialnych za katastrofê i rozemia³ siê gorzko z g³upoty, która kaza³a mu widzieæ siebie w roli bezlitosnego mciciela. By³ chodz¹cym wrakiem. Nie móg³ nikomu zagroziæ.

Gdyby nawet dowiedzia³ siê, co naprawdê zasz³o na pok³adzie 747, gdyby istotnie w grê wchodzi³o oszustwo i gdyby odkry³, kto jest odpowiedzialny za katastrofê, sprawcy zabiliby go, nim zd¹¿y³by podnieæ na nich rêkê. Byli potê¿ni i dysponowali niew¹tpliwie ogromnym potencja³em. Nie mia³ szans, by wymierzyæ im sprawiedliwoæ.

Mimo wszystko postanowi³ próbowaæ. Nie móg³ zrezygnowaæ z polowania, wybór nie nale¿a³ ju¿ do niego. Kierowa³ nim przymus. Syndrom poszukiwania.

70

W domu towarowym kupi³ maszynkê elektryczn¹ i butelkê wody po goleniu. A tak¿e szczoteczkê do zêbów, pastê i przybory toaletowe.

Blask lamp fluorescencyjnych k³u³ go w oczy. Jedno z kó³ek przy wózku na zakupy klekota³o ha³aliwie, a ból g³owy jeszcze potêgowa³ ten ha³as.

Kupi³ tak¿e walizkê, dwie pary d¿insów, szar¹ sportow¹ marynarkê ze sztruksu, gdy¿ ju¿ w sierpniu mo¿na by³o kupiæ jesienne rzeczy bieliznê, podkoszulki, skarpetki i parê adidasów. Dobiera³ wszystko na oko, niczego nie przymierzaj¹c.

Po wyjciu z supermarketu znalaz³ skromny, czysty motel w Malibu, nad samym oceanem, gdzie móg³by zasypiaæ przy szumie fal. Ogoli³ siê, wzi¹³ prysznic i za³o¿y³ wiêze ubranie.

Przed siódm¹ trzydzieci, gdy do zmroku pozosta³a jeszcze godzina, ruszy³ na wschód, do Culvar City, gdzie mieszka³a wdowa po Thomasie Lee Vadance. Thomas znajdowa³ siê na licy pasażerów lotu 353, a jego ¿ona, Nora, udzieli³a wywiadu Post.

W McDonaldsie kupi³ dwa cheeseburgery i colê. Przy telefonie le¿a³a zabezpieczona ³ańcuchem ksi¹¿ka telefoniczna. Odszuka³ w niej numer i adres Nory Vadance.

Z czasów, gdy by³ jeszcze reporterem, pozosta³ mu Thomas Brothers Guide, nieoceniona ksi¹¿ka zawieraj¹ca wykaz ulic okrêgu Los Angeles, wydawa³o mu siê jednak, że dostatecznie zna okolicê, w której mieszka³a pani Vadance.

Po drodze zjad³ oba hamburgery i popi³ col¹. By³ zdziwiony g³odem, jaki nagle zaczą¹³ odczuwaæ.

Jednopoziomowy dom mia³ dach kryty cedrowymi p³ytkami, podobne ciany, bia³y gzyms i bia³e okiennice. Stanowi³ dziwne po³czenie kalifornijskiego ranczo i nadmorskiej chaty z okolic Nowej Anglii, ale ze swoj¹ kamienn¹ cie¹k¹ i starannie utrzymanymi grz¹dkami niecierpków by³ uroczy. Dzieñ wci¹¿ promieniowa³ ciep³em. Od kamiennych p³yt bi³ ¿ar.

Kiedy zachód jania³ coraz intensywniej pomarańczoworó¿owym blaskiem, a wschód chowa³ siê powoli za zas³on¹ liliowego zmierzchu, Joe wszed³ po dwóch stopniach na ganek i nacisn¹³ dzwonek.

Kobieta, która otworzy³a drzwi, mia³a oko³o trzydziestki. Ładna, wie¿a twarz. Choæ by³a brunetk¹, odznacza³a siê jasn¹ cer¹ osoby rudow³osej. By³a piegowata i zielonooka. Mia³a na sobie szorty w kolorze khaki i wytart¹, mêsk¹ koszulê z podwiniêtymi rêkawami. W³osy w nie³adzie i wilgotne od potu, na lewym policzku smuga brudu.

Wygl¹da³a, jakby w³anie zajmowa³a siê porz¹dkami. I p³aka³a.

Pani Vadance? spyta³ Joe.

Tak.

Choæ jako reporter nigdy nie mia³ problemu z uzyskaniem wywiadu, teraz czu³ siê nieswojo. Nie by³ odpowiednio ubrany jak na powa¿ne pytania,

71

które zamierza³ zadaæ. D¿insy, za lune, ci¹gn¹³ w talii paskiem, a poniewa¿ by³o gor¹co, zostawi³ marynarkê w samochodzie. ¯a³owa³, ¿e zamiast T-shirta nie kupi³ sobie koszuli.

Pani Vadance, chcia³bym z pani¹ porozmawiaæ

Jestem w tej chwili bardzo zajêta

Nazywam siê Joe Carpenter. Moja ¿ona zginê³a w katastrofie samolotu. I moje dwie córeczki.

Zabrak³o jej tchu. Po chwili powiedzia³a:

Rok temu.

Tak. Dzi wieczór przypada rocznica.

Cofnê³a siê.

Proszê wejæ.

Wszed³ za ni¹ do jasnego, pomalowanego na bia³o i ¿ó³to salonu z perkalowymi zas³onami i poduszkami na kanapie. W k¹cie sta³a szklana komoda z porcelan¹.

Poprosi³a, ¿eby usiad³. Kiedy sadowi³ siê w fotelu, podesz³a do drzwi i zawo³a³a:

Bob? Bob, mamy gocia.

Przepraszam, ¿e niepokoje³ pañstwa w sobotni wieczór zaczą¹³ t³umaczyæ siê Joe.

Wracaj¹c od drzwi i siadaj¹c na sofie, kobieta odpar³a:

Nic nie szkodzi. Ale obawiam siê, ¿e to nie ze mn¹ chcia³ siê pan spotkaæ. Nie jestem Nora. Mam na imiê Clarise. To moja teciowa straci³a mê¿a w tym wypadku.

Z g³êbi domu nadszed³ mê¿czyzna, którego Clarise przedstawi³a jako swojego mê¿a. By³ mo¿e ze dwa lata starszy od niej, wysoki, chudy, krótko ostrzy¿ony, o przyjemnym, pewnym siebie sposobie bycia. Ucisk d³oni mia³ mocny, a umiech niewymuszony, choæ pod opalenizn¹ mo¿na by³o dostrzec bladoæ, a w niebieskich oczach smutek.

Kiedy Bob Vadance siada³ na sofie obok ¿ony, Clarise wyjani³a mu, ¿e rodzina Joego zginê³a w katastrofie. Zwracaj¹c siê za do gocia, doda³a:

To w³anie ojciec Boba zgin¹³ przed rokiem. Wraca³ z podró¿y w interesach.

Nawi¹zali niæ porozumienia w bardzo prosty sposób, mówi¹c o tym, jak dotar³y do nich straszliwe wieci z Colorado.

Clarise i Bob, pilot wojskowy s³u¿¹cy w bazie w Miramar le¿¹cej na pó³noc od San Diego, byli akurat na kolacji z dwoma innymi pilotami i ich ¿onami. Siedzieli sobie w przytulnej w³oskiej restauracji. Póniej przenie³i siê do baru, gdzie znajdowa³ siê telewizor. Przerwano mecz baseballa, by podae komunikat o katastrofie samolotu linii Nationwide, numer lotu 353. Bob wiedzia³, ¿e jego ojciec leci tej nocy z Nowego Jorku do L.A. i ¿e czêsto korzysta³ z tej w³anie linii, ale nie pamiêta³ numeru lotu. Zadzwonil³ z baru do filii Nationwide na lotnisku w Los Angeles. Po³¹czono go szybko z pracownikiem informacji lotniska, który potwierdzi³, ¿e Thomas Lee Vadance

72

znajduje siê na licy pasażerów. Bob i Clarise pokonali trasê z Miramar do Culver City w rekordowym czasie, przybywaj¹c na miejsce krótko po jedenastej. Nie zadzwonili do Nory, matki Boba, gdy¿ nie wiedzieli, czy s³ysza³a komunikat. Jeli wci¹¿ by³a niewiadoma tragedii, woleli jej powiedzieæ o wszystkim osobicie ni¿ przez telefon. Kiedy zjawili siê u niej po pó³nocy, w ca³ym domu pali³o siê wiat³o, drzwi wejciowe by³y otwarte. Nora siedzia³a w kuchni i przyrz¹dza³a du¿¹ porcjê potrawy z kukurydzy, a tak¿e piek³a czekoladowe pierniki, gdy¿ Tom je uwielbia³. Wiedzia³a ju¿ o katastrofie, wiedzia³a, ¿e jej m¹¿ le¿y martwy na wschód od Gór Skalistych, ale musia³a co dla niego zrobiaæ. Pobrali siê, kiedy Nora mia³a osiemnacie lat, a Tom dwadziecia, byli ma¿¿eñstwem przez trzydzieci piêæ lat, wiêc musia³a co dla niego zrobiaæ.

Jeli o mnie chodzi, nic nie wiedzia³em, dopóki nie dotar³em po ¿onê i córki na lotnisko opowiada³ Joe. Pojecha³y do Wirginii odwiedziæ rodziców Michelle, a potem spêdzi³y trzy dni w Nowym Jorku, ¿eby dziewczynki mog³y poznaæ ciociê Deliê. Oczywiście zjawi³em siê na lotnisku wczyniej, i kiedy wszed³em do terminalu, spojrze³em na monitory, ¿eby siê zorientowaæ, czy lot siê nie opónia. Wci¹¿ pokazywali, ¿e samolot wyl¹duje o czasie, ale kiedy skierowa³em siê do w³aciwego wyjcia, zobaczy³em, ¿e pracownicy lotniska podchodz¹ do ludzi, którzy siê tam zbli¿ali, i mówi¹ co do nich cicho, a potem prowadz¹ do osobnego pomieszczenia. Do mnie te¿ podszed³ jaki m³ody cz³owiek, ale zanim zd¹y³ otworzyæ usta, ju¿ wiedzia³em, co zamierza mi zakomunikowaæ. Nie dopuci³em go do g³osu. Powiedzia³em: Nie, niech pan tego nie mówi, niech siê pan nie wa¿y tego mówiæ. Kiedy mimo wszystko próbowa³ siê do mnie odezwaæ, odwróci³em siê od niego, a gdy po³o¿y³ mi d³oñ na ramieniu, str¹ci³em j¹. Chyba bym go uderzy³, by nie dopuciaæ go do g³osu, ale wtedy by³o ich ju¿ troje, on i dwie kobiety, stali blisko mnie, otaczali mnie ze wszystkich stron. Nie chcia³em, ¿eby to powiedzieli, rozumiecie, wydawa³o mi siê, ¿e jak wypowiedz¹ te s³owa, to wszystko siê urzeczywistni. Wierzy³em, ¿e dopóki nic nie mówi¹, wszystko jest w porz¹dku.

Milczeli, ws³uchani w zapamiêtane z minionego roku g³osy, g³osy nieznanomych przekazuj¹cych straszliwe wieci.

Mama przez d³ugi czas strasznie to prze¿ywa³a odezwa³a siê w koñcu Clarise, mówi¹c o swojej teciowej tak ciep³o, jakby Nora by³a jej matk¹. Mia³a tylko piêædziesi¹t trzy lata, ale nie chcia³a ¿yæ bez Toma. Byli

tak blisko dokoñczy³ Bob. Ale w zesz³ym tygodniu, kiedy pojechalimy j¹ odwiedziæ, czu³a siê o niebo lepiej, wrêcz doskonale. Przedtem by³a taka zgorzknia³a, przybita i zgorzknia³a, a teraz znów wyda³a nam siê pe³na ¿ycia. Przed katastrof¹ zawsze by³a pogodna, prawdziwie

towarzyska, taka otwarta ci¹gnê³a za niego Clarise, jakby ich myli bieg³y zawsze tym samym torem. I nagle, w zesz³ym tygodniu, znów ujrzelimy przed sob¹ tê sam¹ kobietê, któr¹ zawsze znalazimy i za któr¹ têsknilimy przez miniony rok.

73

Joe z przerażeniem uwiadomi³ sobie, że mówi¹ o Norze jak o zmar³ej osobie.

Co siê sta³o?

Clarise wyci¹gnê³a z kieszeni szortów chusteczki higieniczne. Otar³a oczy.

W zesz³ym tygodniu powiedzia³a, że Tom nie oszed³ na zawsze, że nikt nie odchodzi na zawsze, i że ona o tym wie. Wydawa³a siê taka szczêliwa. By³a

rozpromieniona powiedzia³ Bob, ujmuj¹c d³oñ çony. Pos³uchaj, Joe, naprawdê nie wiemy, dlaczego to zrobi³a, przecieç depresja ust¹pi³a, a mama po raz pierwszy od roku zaczę³a snuæ plany ale cztery dni temu pope³ni³a samobójstwo.

Pogrzeb odby³ siê poprzedniego dnia. Bob i Clarise nie mieszkali w tym domu. Zamierzali pozostaæ tylko do wtorku, pakuj¹c rzeczy i osobiste drobiazgi Nory, by przekazaæ je krewnym i sklepom Armii Zbawienia.

To takie trudne powiedzia³a Clarise, mechanicznie spuszcza¹c i podwijaj¹c prawy rêkaw bia³ej koszuli. By³a taka urocza.

Nie powinienem dzi was nachodziæ rzek³ przepaszaj¹co Joe, podnosz¹c siê z fotela. To nie jest dobry czas.

Wstaj¹c czym prêdzej i wyci¹gaj¹c d³oñ niemal b³agalnym gestem, Bob Vadance zatrzyma³ go;

Nie, proszê, usi¹d. Proszê. Musimy siê na chwilê oderwaæ od tego pakowania. A rozmowa z tob¹ no Wzruszy³ ramionami. Mia³ d³ugie rêce i nogi. Musia³ byæ kiedy zgrabny. Wiemy wszyscy, jak to jest. Wydaje siê to ³atwiejsze, poniewaç

poniewaç wszyscy wiemy, jak to jest dokończy³a Clarise.

Joe po krótkiej chwili wahania usiad³ z powrotem w fotelu.

Mia³em tylko kilka pytañ a wasza matka by³a chyba jedyn¹ osob¹, która mog³aby na nie odpowiedzieæ.

Gdy Clarise podci¹gnê³a juç jak naleçy prawy rêkaw, zajê³a siê lewym. Musia³a co robiæ, kiedy mówi³a. Moçe obawia³a siê, że jej rêce, niczym nie zajête, sprowokuj¹ j¹ do wyrażenia smutku, nad którym stara³a siê zapanowaæ moçe ukry³aby w d³oniach twarz albo zaczę³a sobie szarpaæ w³osy, albo uderzy³a w co piêci¹.

Joe ten upa³ chcia³by co zimnego do picia?

Nie, dziêki. Nied³ugo sobie pójdê. Chcia³em tylko spytaæ wasz¹ matkê, czy kto jej ostatnio nie odwiedzi³. Kobieta, która przedstawia siê jako Rose.

Bob i Clarise wymienili spojrzenia. Mêçczyzna upewni³ siê:

Czarna?

Joe poczu³ dreszcz.

Tak. Niewysoka, jakie sto piêædziesi¹t centymetrów wzrostu, ale silna osobowoæ.

Mama niewiele o niej mówi³a odpar³a Clarise ale ta Rose przysz³a kiedy i potem rozmawia³y, i wydawa³o siê, że w³anie pod wp³ywem tego, co ta kobieta mamie powiedzia³a, zasz³a w niej ta ogromna zmiana. Pomylelimy, że by³a czym w rodzaju

duchowego doradcy dokończy³ Bob. Z pocz¹tku niezbyt nam siê to podoba³o, mylelimy, że po prostu wykorzystuje mamê, kiedy jest taka przybita i bezbronna. Mylelimy, że moçe to jaka

zwariowana wyznawczyni New Age albo

naci¹gaczka mówi³a dalej Clarise, wychylaj¹c siê teraz na sofie, by poprawiaæ jedwabne kwiaty leż¹ce na stoliku. Ąe próbuje j¹ oskubaæ albo namieszaæ jej w g³owie.

Ale kiedy mama mówi³a o tej Rose, by³a taka

pe³na spokoju. Wiêc w koñcu pomylelimy, że to nic z³ego, chociażby dlatego, że mama poczu³a siê o wiele lepiej. Jednak

powiedzia³a, że ta kobieta nie wróci wpa³d jej w s³owo Bob. Mama doda³a, że dziêki Rose wie, iż tata przebywa gdzie bezpiecznie. Ąe po prostu nie umar³. Ąe nic mu nie grozi i czuje siê wietnie.

Nie powiedzia³a nam, sk¹d czerpie tê wiarê. Nigdy przedtem nie chodzi³a nawet do kocio³a dorzuci³a Clarise. Nie powiedzia³a też, kim ta Rose jest ani z czym konkretnie do niej przysz³a.

W ogóle niewiele nam o tej kobiecie opowiada³a potwierdzi³ Bob. Tyle że przez jaki czas wszystko musi pozostaæ w tajemnicy, aż w koñcu wszyscy siê dowiedz¹.

W koñcu wszyscy dowiedz¹ siê czego? spyta³ Joe.

Ąe tata przebywa gdzie bezpiecznie, jak s¹dzê, i że jest mu dobrze.

Nie zaprzeczy³a Clarise, przestaj¹c siê zajmowaæ jedwabnymi kwiatami i siadaj¹c z powrotem na sofie z d³oñmi na udach. Mylê, że chodzi³o jej o co wiêcej. O to, że nikt tak naprawdê nie umiera, że wszyscy dok¹d siê udajemy.

Bob westchn¹³.

Bêdê z tob¹ szczerzy, Joe. Trochê nas to niepokoi³o, te nadprzyrodzone historie w ustach naszej matki, która zawsze st¹pa³a twardo po ziemi. Ale czu³a siê szczêliwa, a po tej tragedii zesz³ego roku nie widzielimy w tym nic z³ego.

Joe spodziewa³ siê czego wiêcej niż historyjek o duchach. By³ zaskoczony, jeli nie rozczarowany. S¹dzi³, że doktor Rose Tucker wie, co naprawdê wydarzy³o siê podczas lotu 353, i jest gotowa wskazaæ winnych. Nigdy nie przysz³o mu do g³owy, że ma do zaoferowania tylko jaki mistycyzm, duchow¹ poradê.

Czy mylicie, że wasza matka mia³a adres tej Rose, może telefon?

Nie odpar³a Clarise. Nie s¹dzê. Mama zachowywa³a siê doæ tajemniczo. Zwróci³a siê do mêt³a: Pokaź mu zdjêcie.

75

Jest wci¹ż w sypialni powiedzia³ Bob, podnosz¹c siê z sofy. Przyniosê je.

Jakie zdjêcie? spyta³ Joe, kiedy Bob wyszed³ z pokoju.

Dziwne. Rose przynios³a je Norze. Jest takie niesamowite, ale mama czerpa³a z niego pociechê. Przedstawia grób Toma.

Fotografia by³a standardow¹, barwn¹ odbitk¹ polaroida. Ukazywa³a nagrobek nad mogi³¹ Thomasa Lee Vadancea: jego imiê i nazwisko, data urodzin i mierci, s³owa: Kochany m¹ż i drogi ojciec.

Joe znów ujrza³ Rose Tucker na cmentarzu: Nie jestem jeszcze gotowa, by z panem rozmawiaæ.

Mama wysz³a z domu i kupi³a ramkê powiedzia³a Clarise. Chcia³a trzymaæ to zdjêcie za szk³em. Ba³a siê, że siê zniszczy.

Jak bylimy tu w zesz³ym tygodniu, ca³e trzy dni, nosi³a je wszêdzie ze sob¹ doda³ Bob. W kuchni,

w pokoju przy telewizji, na patio, kiedy pieklimy kurczaka w grillu. Ani na chwilę się z nim nie rozstawa³a.

Nawet jak poszlimy na kolację powiedzia³a Clarise. Schowa³a je wtedy do torebki.

To tylko zdjęcie zauważy³ zdziwiony Joe.

Tylko zdjęcie zgodzi³ się Bob Vadance. Mog³a sama je zrobić ale z jakich powodów znaczy³o dla niej więcej, gdyż dosta³a je w³anie od Rose.

Joe przesuwa³ palcem po g³adkiej, posrebrzanej ramce i szkle, jakby by³ wróżyć i mógł odczytać znaczenie fotografii, wch³aniając zaklęta w niej energię.

Kiedy po raz pierwszy nam je pokaza³a powiedzia³a Clarise patrzy³a na nas z takim oczekiwaniem. Jakby myla³a

że zareagujemy na to w jaki szczególny sposób dokończy³ Bob.

Odk³adając zdjęcie na stół, Joe zmarszczył brwi.

Szczególny sposób? Na przykład?

Nie mogliśmy tego zrozumieć odpar³a ze smutkiem Clarise. Podnios³a fotografię i zaczę³a pocierać ramkę i szkło. Kiedy nie zareagowaliśmy tak, jak na to liczy³a, spyta³a nas, co widzimy patrząc na to zdjęcie.

Nagrobek stwierdzi³ Joe.

Grób taty zgodzi³ się Bob.

Clarise potrzebna g³owa.

Zdawa³o się, że mama widzi co więcej.

Więcej? Co na przykład?

Nie chcia³a zdradzić, ale

powiedzia³a nam, że nadejdzie dzień, kiedy spojrzymy na tę fotografię inaczej dokończy³ Bob.

76

Joe znów przypomni³ sobie Rose. Sta³a na cmentarzu, ciska³a obiema d³oñmi aparat i patrzy³a na niego: Ujrzy pan, tak jak inni.

Czy wiesz, kim jest ta Rose? Dlaczego nas o ni¹ pyta³e? zainteresowa³a się Clarise.

Joe opowiedzia³ im o spotkaniu na cmentarzu, ale nie wspomni³ nawet słowem o męczelnym w furgonetce. W jego okrojonej wersji Rose odjecha³a samochodem, a on nie mógł jej zatrzymać.

Ale z tego, co mi mówi³a wywnioskowa³em, że by³a może odwiedzi³a rodziny innych ofiar katastrofy. Powiedzia³a mi, bym nie rozpacza³, że zobaczę, tak jak zobaczyli inni, ale że jeszcze nie jest gotowa mówić. K³opot w tym, że nie mog³em się doczekać, kiedy będzie gotowa. Jeli rozmawia³a z innymi, chcę wiedzieć, co im przekaza³a, co chcia³a im pokazać.

Cokolwiek to by³o powtórzy³a Clarise mama czu³a się dzięki temu lepiej.

Ale czy naprawdę? zastanawia³ się Bob.

Przez tydzień, na pewno upiera³a się Clarise. Przez tydzień by³a szczęliwa.

Ale to doprowadzi³o do tragedii zauważy³ jej mł.

Gdyby Joe nie by³ reporterem i nie miał za sobą d³ugoletniego doświadczenia w zadawaniu pytań ofiarom i ich rodzinom, mógłby uznać, że posuwa się za daleko, zmuszając Boba i Clarise do

roztr'iania kolejnej tragedii i narażaj'c ich znów na rozpacz. Ale ponieważ pamięta³ o wydarzeniach tego dnia, musia³ zadać to pytanie.

Jestecie absolutnie pewni, że to by³o samobójstwo?

Bob zaczą¹³ mówić, zaj¹kn¹³ się, a potem odwróci³ gł³owę, by ukryć³ ży.

Ujmuj¹ c mę¹ za rękę, Clarise zwróci³ a się do Joego:

Nie ma w¹tpliwoci. Nora odebra³ a sobie życie.

Czy zostawi³ a jak¹ kartkę?

Nie odpar³ a Clarise. Nic, co pomog³ oby nam zrozumieć.

Mówilicie, że by³ a taka szczęliwa. Promienna. Jeli

Pozostawi³ a tamę wideo przerwa³ a mu Clarise.

To znaczy tak¹ z nagrany po¹żegnaniem?

Nie. Tam jest ten straszny Potrz¹snę³ a gł³ow¹, jej twarz, gdy szuka³ a odpowiednich s³ów, wykrzywi³ grymas wstrętu. Tam jest to nagrane.

Bob puci³ d³oń swojej żony i wsta³.

Rzadko piję, Joe, ale teraz muszę sobie nalać.

Zaskoczony, Joe t³umaczy³ się:

Nie chcę przysparzać wam nowych

Nie, wszystko w porz¹dku zapewni³ go Bob. My, których dotknę³ a ta katastrofa, ci, którzy ocaleli, jesteśmy jak rodzina, a przed rodzin¹ nie powinno się niczego ukrywać. Chcesz się napić?

77

Pewnie.

Clarise, nie opowiadaj mu o tamie, dopóki nie wrócę. Wiem, że wed³ug ciebie by³oby mi³ atwiej, gdybyście rozmawiali o tym podczas mojej nieobecności, ale nie róbcie tego.

Bob Vadance spojrz³ a na swój¹ żonę z czu³oci¹, a gdy odpowiedzia³ a mu: Poczekam, jej mi³ość do niego by³ a tak oczywista, że Joe musia³ odwrócić wzrok. Zbyt brutalnie przypomniano mu, co straci³.

Kiedy Bob wyszed³ z pokoju, Clarise znów zaczę³ a uk³adać kwiaty na stoliku. Potem usiad³ a, opieraj¹ c³ okcie na kolanach i kryj¹ c twarz w d³oniach.

Kiedy w końcu znów popatrzy³ a na Joego, powiedzia³ a:

To dobry cz³owiek.

Lubię go.

Dobry m¹ż, dobry ojciec. Ludzie go nie znaj¹ widz¹ tylko pilota wojskowego, weterana wojny w Zatoce, twardego faceta. Ale w gruncie rzeczy jest delikatny. Ma w sobie dużo sentymentalizmu. Jego tata by³ taki sam.

Joe czeka³ na to, co naprawdę zamierza³ a mu powiedzieć.

D³ugo nie mogliśmy zdecydować się na dzieci. Ja mam trzydzieci lat, Bob trzydzieci dwa. Wydawa³ o nam się, że jest jeszcze tyle czasu, tyle rzeczy, które trzeba w¹pierw zrobić. Teraz dzieciaki dorosn¹, nie znaj¹ c w ogóle rodziców Boba, a oni byli takimi dobrymi ludmi.

To nie twoja wina próbowa³ j¹ pocieszyć Joe. Nie mamy na to wp³ywu. Jesteśmy tylko pasażerami w tym poci¹gu, nie kierujemy nim, choć czasem mocno w to wierzymy.

Osi¹gn¹³ e już ten stopień akceptacji?

Staram się.

Zbli¹ż³ e się choć trochę?

Nie, do cholery.

Rozemia³ a się cicho.

Joe już od roku nikogo nie rozmieszy³ z wy¹tkiem przyjació³ki Rose, z któr¹ rozmawia³ przez telefon. Cho^æ krótki miech Clarise zabarwia³y ból i ironia, s³ycha^æ w nim te³ by³o ulg^ê. Joe na nowo poczu³ zwi¹zek z ³yciem, który tak d³ugo mu umyka³.

Po chwili milczenia Clarise spyta³a:

S³uchaj Joe, czy uważasz, że ta Rose to kto z³y, niebezpieczny?

Nie. Wr^êcz przeciwnie.

Po jej piegowatej twarzy, z natury tak otwartej i ufnej, przesun¹³ si^ê cieñ.

Wydaje si^ê, że jeste tego pewien.

Te³ by by³a pewna, gdyby j¹ spotka³a.

Bob Vadance wróci³ z trzema szklankami, miseczk¹ pe³n¹ kawa³ków lodu, litrow¹ butelk¹ 7UP i Seagrams 7 Crown.

Niestety, nie mam wiele do zaproponowania t³umaczy³ si^ê. Nikt w tej rodzinie du³o nie pije, a kiedy już si^êgamy po kieliszek, lubimy prostot^ê.

W porz¹dku Joe wzi¹³ szklank^ê z drinkiem.

78

Napili si^ê Bob przyrz¹dzi³ mocne trunki i przez chwil^ê s³ycha^æ by³o tylko brz^êk lodu.

Wiemy, że to samobójstwo, ponieważ nagra³a to na tamie powiedzia³a Clarise.

Joe, pewien że niew³aciwie zrozumia³, spyta³:

Kto to nagra³?

Nora, matka Boba wyjani³a Clarise. Nagra³a na tamie swoj¹ w³asn¹ mier^æ.

Zmierzch umyka³ wraz ze strumieniem karmazynowego i liliowego wiat³a, z neonowej mg³y wy³ania³a si^ê noc, napieraj¹c na okna ³ó³to-bia³ego pokoju.

Clarise szybko i zwi^êle, nie trac¹c panowania nad sob¹, poinformowa³a Joego o wszystkim, co wiedzia³a na temat strasznej mierci swej teciowej. Mówi³a przyciszonym g³osem, a jednak ka³de s³owo brzmi³o wyranie i zdawa³o si^ê pulsowa^æ w jego mylach. W koñcu zacz¹³ dr³e^æ.

Bob Vadance nie koñczy³ już zdañ wypowiedzianych przez ³on^ê. Milcza³, kiedy mówi³a, nie patrz¹c ani na Clarise, ani na Joego. Wpatrywa³ si^ê w swoj¹ szklank^ê, z której co chwila poci¹ga³.

Niewielka kamera wideo Sony 8 mm, która zarejestrowa³a t^ê mier^æ, nale³a do Toma Vadancea. Od czasu katastrofy by³a schowana w jego gabinecie.

Kamera by³a ³atwa w obs³udze. Pr^êdko^æ przes³ony i poziom bieli dostraja³y si^ê automatycznie. Cho^æ Nora nie mia³a dowiadczenia z tego rodzaju sprz^êtem, w ci¹gu paru minut nauczy³a si^ê nim pos³ugiwa^æ.

Po roku nieu³ywania akumulator by³ s³aby. Dlatego Nora Vadance na³adowa³a go, wykazuj¹c przy tym mro¹cy krew w ³y³ach spokój. Policja znalaz³a regulator pr¹du zmiennego i prostownik akumulatora na blacie szafki kuchennej, pod³¹czone do gniazdka.

W miniony wtorek Nora wysz³a na ty³y domu i ustawi³a kamer^ê na stoliku patio. U³y³a jako podpórek dwóch ksi¹z^{ek} w mi^êkkich ok³adkach, potem j¹ w³¹czy³a.

Gdy tama już si^ê przesuw³a, w odleg³oci trzech metrów od obiektywu kamery ustawi³a plastikowe krzes³o. Podesz³a od drugiej strony, by zajrze^æ w wizjer i upewnia^æ si^ê, że krzes³o znajduje si^ê we w³aciwym miejscu, nieznacznie poprawi³a jego ustawienie, po czym rozebra³a si^ê przed obiektywem do naga. Nie przypomina³o to striptizu, raczej przygotowanie do k¹pieli. Z³o³y³a

starannie bluzkê, spodnie i bieliznê, a nastêpnie umieci³a je na kamiennej pod³odze patio.

Naga, wysz³a na chwilê poza pole widzenia obiektywu, przypuszczalnie do domu, do kuchni. Wróci³a po czterdziestu sekundach z no¿em rzenickim w d³oni. Usiad³a na krzele, twarz¹ do kamery.

79

Wed³ug raportu lekarza medycyny s¹dowej, mniej wiêcej dziesiêæ minut po ósmej, we wtorek rano, Nora Vadance, która cieszy³a siê dobrym zdrowiem i, jak uprzednio s¹dzono, nie cierpia³a na ¿adne zaburzenia psychiczne, co wiêcej ostatnio otrz¹snê³a siê z depresji po stracie mê¿a, odebra³a sobie ¿ycie. ciskaj¹c rêkojeæ rzenickiego no¿a w obu rêkach, wepchnê³a sobie ostrze z ogromn¹ si³¹ w brzuch. Wyci¹gnê³a je i znów siê ugodzi³a. Za trzecim razem poci¹gnê³a ostrzem od lewej do prawej strony, rozpruwaj¹c sobie cia³o. Upuci³a nó¿ i osunê³a siê bezw³adnie na krzele, gdzie wykrwawi³a siê na mieræ w czasie krótszym ni¿ jedna minuta.

Kamera rejestrowa³a obraz martwej kobiety do koñca dwudziestominutowej kasety.

Dwie godziny póniej, o dziesi¹tej trzydzieci, Takashi Mishima, szeædziesiêcioszecioletni ogrodnik, odkry³ cia³o i bezzw³ocznie powiadomi³ policjê.

Kiedy Clarise skoñczy³a, Joe zdo³a³ tylko powiedzieæ: Jezu.

Bob dola³ im whiskey. D³onie mu dr¿a³y, a butelka stuka³a o brzegi szklanek.

Przypuszczam, ¿e tamê ma policja odezwa³ siê w koñcu Joe.

Tak odpar³ Bob. Do chwili zakoñczenia ledztwa czy ustalenia przyczyn zgonu. Albo czego tam jeszcze.

Mam wiêc nadziejê, ¿e o tym, co jest na kasecie, dowiedzielicie siê od kogo. ¯e nie musicie jej ogl¹daæ.

Ja jej nie ogl¹da³em powiedzia³ Bob. Ale Clarise tak.

Wpatrywa³a siê w swojego drinka.

Powiedzieli nam, co na niej jest ale ani ja, ani Bob nie mogliemy w to uwierzyæ, choæ ci ludzie byli z policji i nie mieli ¿adnego powodu, by nas ok³amywaæ. W pi¹tek rano, przed pogrzebem, posz³am na posterunek i obejrza³am ten film. Musielimy wiedzieæ. I teraz wiemy. Kiedy nam oddadz¹ tê tamê, zniszczê j¹. Bob nigdy nie powinien jej ogl¹daæ. Nigdy.

Choæ Joe zd¹¿y³ ju¿ nabraæ do tej kobiety ogromnego szacunku, teraz jeszcze bardziej uros³a w jego oczach.

Jest kilka spraw, które mnie zastanawiaj¹ podj¹³ po chwili. Jeli nie macie nic przeciwko temu, zadam wam kilka pytañ.

Wal zgodzi³ siê Bob. My te¿ mamy w tej sprawie mnóstwo pytañ, tysi¹c cholernych pytañ.

Przede wszystkim nie wydaje siê, by dzia³a³ tu jakikolwiek przymus?

Clarise potrz¹snê³a g³ow¹.

Nie mo¿na cz³owieka zmusiaæ do czego takiego, prawda? Na pewno nie naciskiem psychologicznym albo grobami. Poza tym w polu widzenia kamery nie by³o nikogo, nawet cienia drugiej osoby. Wzrok Nory ani na moment nie spocz¹³ na nikim, kto móg³by staæ gdzie dalej. By³a sama.

80

Kiedy opowiada³a, co by³o na tamie, Clarise, odnios³em wra¿enie, ¿e Nora robi³a wszystko jak

automat.

Tak w³anie przez wiêkszoœ czasu siê zachowywa³a. Twarz pozbawiona wyrazu, po prostu obojêtna.

Powiedzia³a: przez wiêkszoœ czasu? A wiêc by³a chwila, gdy okaza³a choœ cieñ emocji?

Dwukrotnie. Jak ju¿ by³a prawie ca³kiem rozebrana, zawaha³a siê przed zdjêciem majtek. By³a skromn¹ kobiet¹, Joe. To jeszcze jedna dziwna rzecz w tym wszystkim.

Siedz¹c z zamkniêtymi oczami i przyciniêt¹ do czo³a szklank¹, Bob wtr¹ci³:

Nawet jeli nawet jeli przyjmiemy, ¿e by³a na tyle niezrównowa¿ona umys³owo, by zrobiæ co takiego, to i tak nie mieli siê w g³owie, by mog³a filmowaæ siê nago albo ¿eby chcia³a, by kto póniej znalaz³ j¹ w takim stanie.

Dom od ty³u zas³ania wysokie ogrodzenie, poroniête gêst¹ bugenwill¹. S¹siedzi nie mogliby nic zobaczyæ. Ale Bob ma racjê nigdy by nie chcia³a, ¿eby tak j¹ znaleziono. W ka¿dym razie, kiedy mia³a zdjæ majtki, zawaha³a siê. Obojêtny, martwy wyraz twarzy znikn¹³. Pojawi³ siê na niej straszny grymas, ale trwa³o to zaledwie chwilê.

Co rozumiesz przez straszny? spyta³ Joe.

Krzywi¹c siê na wspomnienie makabrycznej sceny, Clarise opisa³a to tak, jakby znów ogl¹da³a tamê:

Jej oczy s¹ pozbawione wyrazu, puste, powieki wydaj¹ siê ciê¿kie nagle otwieraj¹ siê szeroko i pojawia siê w nich g³êbia, jak w oczach normalnego cz³owieka. Przez jej twarz przebiega skurcz. Najpierw tak obojêtna, teraz jest wykrzywiona emocj¹. Szokiem. Nora sprawia wra¿enie przera¿onej. Na jej obliczu maluje siê takie zagubienie, ¿e serce pêka z ¿alu. Ale to trwa tylko sekundê czy dwie, mo¿e trzy, po chwili siê otrz¹sa, a wtedy ten wyraz twarzy znika, po prostu znika, i kobieta znów jest spokojna jak maszyna. Zdejmuje majtki, zwiija starannie i odk³ada na bok.

Czy za¿ywa³a leki? spyta³ Joe. Czy mog³a przedawkowaæ jaki rodek, który wywo³a³ stan otêpienia albo powa¿ne zaburzenia osobowoci?

Jej lekarz powiedzia³ nam, ¿e nie przepisywa³ matce ¿adnych leków wyjani³a Clarise. Ale policja podejrzewa narkotyki. S¹dówka przeprowadza testy toksykologiczne.

To po prostu mieszne stwierdzi³ stanowczo Bob. Moja matka nigdy by nie za¿y³a nielegalnych rodków. Nie lubi³a braæ nawet aspiryny. By³a tak niewinna, Joe, jakby nie uwiadamia³a sobie tych wszystkich zmian na gorsze, jakie zasz³y w ci¹gu ostatnich trzydziestu lat na wiecie, jakby ¿y³a dziesi¹tki lat wczesniej i by³a z tego zadowolona.

Dokonano sekcji zw³ok powiedzia³a Clarise. Nie stwierdzono guza ani ¿adnych innych zmian w mózgu, ¿adnego schorzenia, które pomog³oby wyjaniaæ to, co zrobi³a.

81 6 Jedyna ocalona

Wspomnia³a, ¿e okaza³a jakie uczucia dwa razy. Jak to by³o za drugim razem?

To nast¹pi³o chwilê przed tym, jak siê zadga³a. Trwa³o mgnienie oka, jeszcze krócej ni¿ poprzednio. Jak spazm. Wykrzywi³a twarz, wydawa³o siê, ¿e zaraz krzyknie. Potem to minê³o i do koñca pozosta³a ju¿ obojêtna.

Joe, wstrz¹niêty, uwiadomi³ sobie pewien fakt, na który nie zwróci³ uwagi, gdy Clarise po raz pierwszy opowiada³a o tamie. Spyta³:

Chcesz powiedzieæ, ¿e ani razu nie krzyknê³a, nie zawo³a³a g³ono?

Nie. Ani razu.

To niemo¿liwe.

Pod sam koniec, kiedy upuszcza nóż s³ychaæ cichy dwiêk, który byæ może wydar³ jej siê z ust, niewiele g³oniejszy od westchnienia.

Ból Joe nie by³ w stanie wydusiæ z siebie, że ból Nory Vadance musia³ byæ rozdzieraj¹cy. Ani razu nie krzyknê³a upiera³a siê Clarise.

Nawet niewiadoma reakcja

Milcza³a. Ca³y czas milcza³a.

Mikrofon dzia³a³?

Tak. Jest wbudowany na sta³e, wielokierunkowy wyjani³ Bob.

S³ychaæ na tamie inne odg³osy. Szuranie krzes³a o betonow¹ posadzkê patio, kiedy je przesuwa³a. Piew ptaków. Smutne szczekanie jakiego psa w oddali. Ale ani s³owa z jej ust.

Wychodz¹c z domu, Joe zbada³ wzrokiem nocny mrok, niemal pewien, że ujrzy przed posesj¹ Vadanceów bia³¹ furgonetkê albo inny podejrzenie wygl¹daj¹cy samochód. Z s¹siedniego domu dobiega³y s³abe takty Beethovena. Powietrze by³o ciep³e, ale z zachodu nap³ywa³a cicha bryza, nios¹c ze sob¹ zapach kwitn¹cego noc¹ jaminu. Nie dostrzeg³ niczego gronego w tej wspania³ej nocy. Kiedy Clarise i Bob wyszli z nim na ganek, Joe spyta³:

Czy Nora mia³a przy sobie zdjęcie grobu Toma, kiedy j¹ znaleli?

Nie odpar³ Bob. Leża³o na stole kuchennym. Nie wziê³a go ze sob¹ w tym ostatecznym momencie.

Kiedy przyjechalimy z San Diego, znalelimy je na stole przypomni³a sobie Clarise. Obok talerza ze niadaniem.

Joe by³ zdumiony.

Zjad³a wczeniej niadanie?

Wiem, o czym mylisz powiedzia³a Clarise. Jeli zamierza³a siê zabiæ, to po co zawraca³a sobie g³owê niadaniem? Ale to jeszcze nie wszystko, Joe. Zrobi³a sobie omlet z cheddarem, posiekan¹ cebulk¹ i szynk¹. Do tego szklankê soku z pomarańczy. By³a w trakcie jedzenia, kiedy wsta³a i wziê³a kamerê.

82

Kobieta na tamie, s¹dz¹c po tym, jak nam j¹ opisa³e, znajdowa³a siê w g³êbokiej depresji albo mia³a zachwian¹ równowagê psychiczn¹. Aby przyrz¹dziæ takie niadanie, trzeba odznaczaæ siê jasnoci¹ umys³u i cierpliwoci¹.

I wyobra sobie, obok talerza leża³ roz³ożony Los Angeles Times

czyta³a komiks dokończy³ Bob.

Milczeli przez chwilê, zastanawiaj¹c siê nad tym wszystkim.

W końcu Bob odezwa³ siê:

Rozumiesz teraz, co mia³em na myli, kiedy mówi³em o tysi¹cu pytañ.

Clarise objê³a Joego i uciska³a jak starego przyjaciela.

Mam nadzieję, że ta Rose to kto dobry, tak jak mylisz. Wierzê, że j¹ znajdziesz. Oby jej s³owa przynios³y ci ukojenie, Joe.

Wzruszony, odwzajemni³ jej ucisk.

Dziêkujê, Clarise.

Bob zapisa³ na kartce ich adres w Miramar i numer telefonu.

Na wypadek, gdyby mia³ jeszcze jakie pytania albo dowiedzia³ siê czego, co pozwoli³oby nam to wszystko zrozumieæ.

Ucisnêli sobie d³onie. Potem objêli siê po bratersku.

Co teraz zrobisz, Joe? spyta³a Clarise.

Spojrza³ na fosforyzuj¹c¹ tarczê zegarka.

Jest dopiero piêæ po dziewi¹tej. Spróbujê spotkaæ siê z jeszcze jedn¹ rodzin¹.

B¹d ostro¿ny powiedzia³a.

Bêdê.

W tym wszystkim jest co z³ego, Joe. Co naprawdê z³ego.

Wiem.

Bob i Clarise stali obok siebie na ganku i patrzyli, jak Joe odjeżdża sprzed ich domu.

Choæ sporo wypi³, nie czu³ efektów dzia³ania alkoholu. Nigdy nie widzia³ zdjêcia Nory Vadance; a jednak obraz kobiety bez twarzy, usadowionej na krzele z no¿em rzenickim w d³oni, móg³ otrzewiaæ ka¿dego.

Miasto jarzy³o siê blaskiem, jak wietlisty grzyb, który ropieje nad brzegiem morza. Pod niebo, niczym chmura zarodników, unosi³a siê chorobliwie ¿ó³ta jasnoæ. Widaæ by³o tylko nieliczne gwiazdy: lodowate, dalekie wiat³o.

Jeszcze przed minut¹ noc wydawa³a mu siê przyjazna i Joe nie dostrzega³ nic, co mog³oby wzbudzaæ lêk. Teraz majaczy³a wokó³ gronie. Co chwila zerka³ w lusterko wsteczne.

83

8

Charles i Georgine Delmann mieszkali w ogromnym domu z ceg³y na licz¹cej pó³ akra posesji w Hancock Park. Wejcia strzeg³y dwie ma

gnolie, a po obu stronach cie¿ki bieg³ ¿ywop³ot, przystrzy¿ony tak starannie, jakby dba³ o niego legion ogrodników pos³uguj¹cych siê c¹¿kami do paznokci. Precyzyjna geometria domu i przyleg³ego doñ terenu zdradza³a zami³owanie do porz¹dku, wiarê w wy¿szoæ ludzkiego dzia³ania nad chaosem natury.

Delmannowie byli lekarzami. On specjalizowa³ siê w kardiologii, ona w oftalmologii. Szanowano ich powszechnie, gdy¿ oprócz zawodowej praktyki prowadzili bezp³atn¹ klinikê dla dzieci w Los Angeles, a drug¹ w South Central.

Kiedy 747 run¹³ na ziemiê, Delmannowie stracili osiemnastoletni¹ córkê, Angelê, która powraca³a z szcietotygodniowych warsztatów malarskich. Zosta³a na nie zaproszona przez uniwersytet nowojorski w ramach przygotowañ do pierwszego roku szko³y artystycznej w San Francisco. Zapowiada³a siê na utalentowan¹ malarkê o obiecuj¹cej przysz³oci.

Georgine Delmann otworzy³a drzwi osobicze. Joe rozpozna³ j¹ z fotografii zamieszczonej w Post przy okazji artyku³u o katastrofie. By³a dobrze po czterdziestce, wysoka i szczup³a, o g³êboko po³yskliwej, niadej skórze, bujnych, krêconych, ciemnych w³osach i ¿ywych oczach, tak ciemnofioletowych jak liwki. Prezentowa³a sob¹ nieposkromione piêkno, które pracowicie stara³a siê ujarzmiæ, nosz¹c szare spodnie, mêsk¹ w kroju bia³¹ koszulê i okulary w stalowej oprawce zamiast szkie³ kontaktowych. Nie mia³a ¿adnego makija¿u.

Joe przedstawi³ siê, ale nim zd¹¿y³ powiedzieæ, ¿e jego rodzina zginê³a na pok³adzie samolotu, Georgine, ku jego zdumieniu wykrzyknê³a:

84

Mój Bo¿e, w³anie o panu rozmawialimy!
O mnie?

Chwyci³a go za rêkê i poci¹gnê³a przez próg do wy³o¿onego marmurem holu, a potem zatrzasnê³a biodrem drzwi. Ca³y czas nie spuszcza³a z niego zdumionego spojrzenia.

Lisa opowiada³a nam o pana ¿onie i córkach, o tym, jak pan oszed³, przesta³ spotykaæ siê z przyjació³mi. I oto pan jest.

Lisa? spyta³ os³upia³y.

Przynajmniej tej nocy Georgine Delmann nie mog³a ukryæ wrodzonej ¿ywio³owoci za zas³on¹ nijakiego ubioru i okularów w stalowych oprawkach. Zarzuci³a Joemu rêce na szyjê i poca³owa³a go w policzek tak mocno, ¿e siê zachwia³. Potem, stoj¹c przed nim i szukaj¹c w jego oczach potwierdzenia, spyta³a podniecona:

Ona odwiedzi³a równie¿ pana, prawda?

Lisa?

Nie, nie, nie Lisa. Rose.

Poczuz³ muniêcie niezrozumia³ej nadziei, jakby po lustrzanej powierzchni wody skaka³ kamyczek.
Tak. Ale

Proszê, proszê ze mn¹. Znów chwytaj¹c go za rêkê i ci¹gn¹c w g³¹b domu, wyjani³a: Siedzimy w kuchni, przy stole. Ja, Charlie i Lisa.

Podczas zajêæ grupy terapeutycznej Joe nie spotka³ ani jednego rodzica zdolnego do takiej ¿ywio³owoci. Nigdy te¿ o nikim takim nie s³ysza³. Rodzice, którzy stracili ma³e dzieci, przez piêæ, szeæ, dziesiêæ lat starali siê nieraz na pró¿no pozbyæ przekonania, ¿e to oni powinni umrzeæ, ¿e prze¿ycie w³asných dzieci jest czym grzesznym i egoistycznym albo nawet niebywale pod³ym. Nie inaczej by³o te¿ w przypadku Delmannów, którzy stracili osiemnastolatkê. Prawdê mówi¹c tak samo by³o, gdy czyj syn lub córka mieli trzydzieci lat. Wiek nie mia³ tu nic do rzeczy. mieræ dziecka niewa¿ne w jakim wieku jest czym tak nienaturalnym i niew³aciwym, ¿e po takiej tragedii trudno na nowo odszukaæ sens ¿ycia. Nawet gdy zaakceptuje siê ten fakt i osi¹gnie w jakim stopniu równowagê, radoæ na zawsze pozostaje niedostêpna, jak wspomnienie wody w wyschniêtej studni, niegdy pe³nej po brzegi, ale teraz skrywaj¹cej jedynie g³êboki, wilgotny zapach dawnej obfitoci.

I oto Joe mia³ przed sob¹ Georgine Delmann, zarumienion¹ i o¿ywion¹, po dziewczêcemu podniecon¹. Poci¹gnê³a go na koniec holu, a potem przez wahad³owe drzwi. Wydawa³o siê, ¿e w ci¹gu roku nie tylko otrz¹snê³a siê po stracie córki, ale wrêcz przezwyciê¿y³a ból.

Poczuz³, jak jego s³abiutka nadzieja gdzie ulatuje, gdy¿ wyda³o mu siê, ¿e Georgine Delmann musi byæ albo niespe³na rozumu, albo dziwnie p³ytka. Jej niek³amana radoæ wprawi³a go w os³upienie.

Pomimo przyæmionego wiat³a móg³ dostrzec, ¿e kuchnia, choæ sporych rozmiarów, jest przytulna klonowa pod³oga, klonowe szafki i blaty z br¹zo

wego granitu. Wysoko, na hakach, niczym dzwony kocielne czekaj¹ce na godzinê niesporów, wisia³y lni¹ce miedziane garnki, patelnie i róŹne naczynia.

Prowadz¹c Joego w stronê sto³u, który znajdowa³ siê w aneksie jadalnym z duŹym oknem, Georgine Delmann zawo³a³a:

Charlie, Lisa, spójrzcie, kto przyszed³! Prawda, Źe to niemal cud?

Za szyb¹ widaæ by³o podwórko i basen, który w wietle latarni pal¹cych siê na zewn¹trz przypomina³ bajkow¹ scenê pe³n¹ iskierek i b³ysków. Na owalnym stole sta³y trzy ozdobne lampy naftowe, w których tańczy³y p³omienie.

Obok sto³u Joe zobaczy³ wysokiego, przystojnego mêŹczyznê o gêstych, posrebrzanych w³osach. By³ to doktor Charles Delmann.

Georgine, wci¹Ź ci¹gn¹c za sob¹ Joego, podesz³a bliŹej i powiedzia³a:

Charlie, to jest Joe Carpenter. T e n Joe Carpenter.

Przygl¹daj¹c siê Joemu z niejakim zdumieniem, Charlie Delmann post¹pi³ do przodu i ucisn¹³ mu energicznie d³oñ.

Co siê tu dzieje, synu?

Sam chcia³by³m wiedzieæ stwierdzi³ Joe.

Co dziwnego i wspania³ego odpowiedzia³ za niego Delmann, równie podniecony jak jego Źona.

Zza sto³u podnios³a siê Lisa, o której mówi³a Georgine. Jej blond w³osy z³oci³ migotliwy blask lamp naftowych. Mia³a ponad czterdzieci lat, g³adk¹ twarz dziewczyny z collegeu i oczy w kolorze wyp³owia³ego b³êkitu, które widzia³y w Źyciu juŹ niejedno.

Joe zna³ j¹ dobrze. Lisa Peccatone. Pracowa³a dla Post. Dawna koleŹanka z pracy. Reporterka specjalizuj¹ca siê w historiach o szczególnie odraŹaj¹cych przestêpcach seryjnych mordercach, pedofilach, gwa³cicielach masakruj¹cych swoje ofiary. Wiedziona obsesj¹, której Joe nigdy w pe³ni nie poj¹³, skrada³a siê po najciemniejszych komnatach ludzkiego serca i zanurza³a siê w opowieciach o krwi i szaleñstwie, szukaj¹c sensu w najbardziej bezsensownych aktach ludzkiego barbarzyñstwa. Domyla³ siê, Źe dawno temu musia³a doznaæ niewypowiedzianych krzywd, Źe wynios³a z dzieciñstwa niczym bestiê uczepion¹ jej pleców jaki straszliwy uraz, i Źe nie mog³a uwolniaæ siê od demona pamieci inaczej, jak tylko próbuj¹c za wszelk¹ cenê zrozumieæ to, czego zrozumieæ siê nie da³o. By³a jedn¹ z najmilszych osób, jakie kiedykolwiek zna³, ale teŹ jedn¹ z najbardziej gniewnych, genialnych i jednocześnie g³êboko skrzywdzonych, kobiet¹ nieustraszon¹, choæ przeladowan¹ przez lêki, a przy tym pisz¹c¹ tak doskonale, Źe jej proza mog³aby porwaæ serce anio³a albo wzbudziaæ przeraŹenie w piersi diab³a. Joe j¹ podziwia³. By³a jednym z jego najlepszych przyjació³, a jednak porzuci³ j¹ tak jak innych, kiedy odprowadzi³ sw¹ zmar³¹ rodzinê na cmentarzysko serca.

Joey przywita³a go ty sukinsynu, wracasz do pracy czy teŹ zjawi³e siê tu, bo odgrywasz jak¹ rolê w tej historii?

Wracam do pracy, bo odgrywam rolê w tej historii. Ale juŹ nie piszê. Nie wierzê zbytnio w potêgê s³ów.

Ja nie wierzê w nic.

A co tu robisz? spyta³.

Zadzwonilimy po ni¹ przed paru godzinami wyjani³a Georgine. Poprosilimy, Źeby przysz³a.

Bez obrazy wtr¹ci³ Charlie, k³ad¹c d³oñ na ramieniu Joego ale Lisa jest jedynym znanym nam

reporterem, którego szanujemy.

Prawie od dziesięciu lat dorzuci³a Georgine przez osiem godzin tygodniowo pracuje dobrowolnie w jednej z naszych klinik dla biednych dzieci.

Joe nie wiedzia³ o tym i nigdy by nie podejrzewa³ Lisy o co podobnego.

Nie potrafi³a ukryć ironicznego umiechu zak³opotania.

Tak, Joey, jestem drug¹ Matk¹ Teres¹. Ale żeby mi się nie waży³, draniu, niszczy³ mojej reputacji, mówi¹c o tym ludziom w Post.

Chc³e wina. Kto jeszcze chce wina? Dobry Chardonnay, może Cakebred albo Grgich Hills promienia³ Charlie. Zarazi³ się niestosownym humorem swojej żony, jakby zebrali się w tę najsmutniejsz¹ z wszystkich nocy roku, by uczcić katastrofę samolotu.

Ja dziękuj³e potrz¹sn¹³ g³ow¹ Joe, coraz bardziej zdezorientowany.

A ja się napij³e stwierdzi³a Lisa.

I ja doda³a Georgine. Przynios³e kieliszki.

Sied, kochanie, zostań tu z Joem i Lis¹ zatrzyma³ j¹ Charlie. Ja się wszystkim zajm³e.

Joe usiad³ z kobietami przy stole, a Charlie poszed³ po drinki.

Twarz Georgine jania³a w blasku lamp naftowych.

To niewiarygodne, po prostu niewiarygodne. S³uchaj, Liso, do niego Rose też przysz³a.

Twarz Lisy by³a cz³eciowo skryta w cieniu.

Kiedy, Joe?

Dzi na cmentarzu. Robi³a zdjęc¹a grobów Michelle i dziewczynek. Powiedzia³a, że nie jest jeszcze gotowa, by ze mn¹ rozmawiać i odesz³a.

Joe postanowi³ zachowa³ resztę w tajemnicy, dopóki nie us³yszy, co maj¹ mu do przekazania. Chcia³ jak najprędzej us³ysze³ ich rewelacje, poza tym obawia³ się, że nie b³ed¹ obiektywni, kiedy us³ysz¹ jego histori³e.

To nie może być ona nie dowierza³a Lisa. Zgin³e³a w katastrofie.

To oficjalna wersja.

Opisz tę kobietę poprosi³a Lisa.

Joe wyliczy³ charakterystyczne cechy jej wygl¹du fizycznego, staraj¹c się również przekaza³ć niezwyk³1 osobowo³ść tej czarnoskórej kobiety, jej magnetyzm, który, jak mu się zdawa³o, niemal nagina³ otoczenie do jej woli.

Jedno oko Lisy by³o w p³smroku niewidoczne, ale drugie, to na które pada³o wiat³o lampy, zdradza³o podniecenie.

Rosie zawsze by³a charyzmatyczna, nawet w collegeu.

Znasz j¹? spyta³ zaskoczony Joe.

Ze wspólnych lat na uniwersytecie kalifornijskim. By³o to tak dawno temu, że trudno w to uwierzy³ć. Mieszka³ymy w tym samym pokoju i przyjani³ymy się ze sob¹.

Dlatego Charlie i ja postanowiliśmy przed chwil¹ zadzwoni³ć do Lisy wyjani³a Georgine. Wiedzieliśmy, że straci³a jak¹ przyjació³kę w tej katastrofie. Ale dopiero w rodku nocy, kilka godzin po wyjściu Rose, Charlie przypomni³ sobie, że przyjació³ka Lisy mia³a tak samo na imię. Doszl³imy do wniosku, że to jedna i ta sama osoba. Ca³y dzień się zastanawialiśmy, czy zawiadomi³ć Lisę, czy nie.

Kiedy Rose tu by³a? spyta³ Joe.

Wczoraj wieczorem odpar³a Georgine. Zjawi³a się, kiedy wychodziliśmy na kolację. Kaza³a nam

obiecaæ, że nie powiemy nikomu o tym, co ma nam do przekazania w kaźdym razie dopóki nie będzie mia³a okazji spotkaæ siê jeszcze z paroma rodzinami ofiar, tu, w Los Angeles. Ale Lisa by³a w zesz³ym roku tak przybita wiadomoci¹ o katastrofie, poza tym chodzi³o o jej przyjació³kê, uznalimy wiêc, że mo¿emy jej powiedzieæ.

Nie jestem tu w charakterze reporterki wtr¹ci³a Lisa, zwracaj¹c siê do Joego.

Zawsze jeste reporterk¹.

Rose nam to da³a Georgine wyci¹gnê³a z kieszeni koszuli fotografiê i po³o¿y³a j¹ na stole. By³o to zdjêcie grobu Angeli Delmann.

Co tu widzisz, Joe? spyta³a z b³yskiem oczekiwania w oku.

Mylê, że chodzi o to, co ty tu widzisz.

W g³êbi kuchni Charlie Delmann otwiera³ szuflady i grzeba³ w nich, pobrzêkuj¹c sztuæcami. Najwidoczniej szuka³ korkoci¹ga.

Ju¿ mówlimy o tym Lisie. Georgine spojrze³a na mê¿a. Poczekamy chwilê. Niech Charlie ci powie, Joe.

To cholernie dziwne, Joey, i nie jestem pewna, jak mam to wszystko rozumieæ stwierdzi³a Lisa. Wiem tylko, że jestem miertelnie wystraszona.

Wystraszona? Georgine nie kry³a zdumienia. Liso, kochanie, jak na Boga mo¿esz tak mówiaæ?

Sam zobaczysz Lisa nadal zwraca³a siê do Joego. Ta kobieta, która zwykle odznacza³a siê ¿elazn¹ wol¹, teraz dr¿a³a jak trzcina. Ale dajê ci s³owo, że Charlie i Georgine to najbardziej zrównowa¿eni ludzie, jakich znam. Miej to na uwadze, kiedy bêdziesz ich s³ucha³.

Georgine podnios³a do oczu odbitkê polaroida i wpatrywa³a siê w ni¹ zamy³ona, jakby chcia³a nie tylko odcisn¹æ ten obraz w swojej pamieci, ale wrêcz go poch³on¹æ, wessaæ, pozostawiaj¹c na fotografii pustkê.

Lisa westchnê³a:

Mogê co dorzuciæ do tej zagadki, Joey. Rok temu by³am na lotnisku i czeka³am na samolot, którym lecia³a Rose.

Georgine podnios³a wzrok znad fotografii.

88

Nie mówi³a nam o tym.

Mia³am to w³anie zrobiaæ, kiedy zadzwoni³ Joe wyjani³a Lisa.

W drugim koñcu kuchni rozleg³o siê ciche pyk, gdy uparty korek wysun¹³ siê wreszcie z butelki. Charlie Delmann mrukn¹³ z zadowoleniem.

Nie widzia³em ciê na lotnisku tamtej nocy, Liso powiedzia³ Joe.

Nie chcia³am rzucaæ siê w oczy. By³am wstrz¹niêta z powodu Rose, ale i miertelnie wystraszona. Pojecha³a tam, ¿eby j¹ odwieæ do domu?

Rosie zadzwoni³a do mnie z Nowego Jorku i poprosi³a, ¿ebym by³a na lotnisku z Billem Hanneltem.

To jego zdjêcia wisia³y w recepcji Post.

Bladob³êkitne oczy Lisy przygasi³ smutek.

Rosie pragnê³a za wszelk¹ cenê pomówiaæ z jakim reporterem, a ja by³am jedyn¹ osob¹ z prasy, któr¹ zna³a i której mog³a zaufaæ.

Charlie zawo³a³a Georgine do mê¿a chod tu i pos³uchaj.

S³yszê, s³yszê zapewni³ j¹ Charlie. W³anie nalewam. Minutkê.

Rosie da³a mi listê z nazwiskami szeciu ludzi, których równie¿ chcia³a widzieæ na lotnisku

ci¹gnê³a Lisa. Byli to przyjaciele z dawnych lat. Uda³o mi siê odszukaæ w krótkim czasie piêæ osób. Tamtej nocy zabra³am ich wszystkich ze sob¹ na lotnisko. Mieli byæ wiadkami.

wiadkami czego? spyta³ podekscytowany Joe.

Nie wiem. Rose by³a taka tajemnicza. Powiedzia³a, że przywiezie ze sob¹ co, co zmieni nas na zawsze, zmieni ca³y wiat.

Zmieni wiat? spyta³ Joe. W dzisiejszych czasach byle polityk, który ma jaki program, albo aktor uważa, że może to zrobić.

Ale Rose mówi³a prawdê Georgine nie dawa³a siê zbiaæ z tropu. W jej oczach, gdy znów pokaza³a zdjęcie nagrobka, lni³y ledwie skrywane ³zy podniecenia albo radoci. To wspania³e.

Joe mia³ wrażenie, że wpad³ do jamy Bia³ego Królika z Alicji w Krainie Czarów. Nie odczu³ co prawda skutków upadku, ale wydawa³o mu siê, że wyl¹dowa³ na jakim surrealistycznym terytorium.

P³omienie lamp, dotychczas nieruchome, teraz jania³y i wi³y siê w d³ugich szklanych kloszach, o³zywione podmuchem powietrza, którego Joe nie wyczuwa³.

Dojrza³ na twarzy Lisy salamandry ó³tego wiat³a. Kiedy patrzy³a na lampy, jej oczy by³y ó³te jak ksiê³yc zwieszaj¹cy siê nisko nad horyzontem. P³omienie po chwili przygas³y, a Lisa mówi³a dalej:

Przyznajê, że brzmia³o to doæ melodramatycznie. Ale Rosie nie by³a jak¹ postrzelon¹ artystk¹. Przez szeæ czy siedem lat pracowa³a nad czym niezwykle wa³nym. Uwierz³am jej.

Wahad³owe drzwi miêdzy kuchni¹ a holem poruszy³y siê z charakterystycznym dwiêkiem. Charlie Delmann wyszed³ bez s³owa wyjanienia.

Charlie? Georgine podnios³a siê z krzes³a. Gdzie on polaz³? Nie mogê uwierzyæ, że nie chce s³uchaæ.

89

Kiedy rozmawia³am z ni¹ przez telefon na kilka godzin przed startem samolotu, Rosie powiedzia³a, że jej szukaj¹ kontynuowa³a Lisa. Nie s¹dzi³a, by spodziewali siê jej w Los Angeles. Ale na wypadek, gdyby siê zorientowali, którym samolotem leci, i gdyby ju³ na ni¹ czekali, mieliby byæ na lotnisku i zaraz po wyjciu z samolotu otoczyæ j¹, chroni¹c przed ludmi, którzy chcieli j¹ uciszyæ. Zamierza³a opowiedzieæ o wszystkim ju³ tam na miejscu, przy wejciu do sali przylotów.

Oni? spyta³ Joe.

Georgine ruszy³a za Charliem, żeby sprawdziæ, dok¹d poszed³, ale ciekawoæ wziê³a górê, więc wróci³a na swoje miejsce.

Rosie mówi³a o ludziach, dla których pracowa³a wyjani³a Lisa.

Teknologik.

Widzê, że nie pró³nowa³e, Joey.

Po prostu próbowa³em zrozumieæ odpar³, podczas gdy jego umys³ b³1dzi³ poród przera³aj¹cych teorii.

Ty, ja i Rosie, wszyscy powi¹zani ze sob¹. wiat jest ma³y, co?

Joe poczu³ md³oci na myl, że istnieje¹ ludzie zdolni zabiaæ trzysta dwadziecia dziewiêæ niewinnych osób, by siê upewniaæ, że zlikwidowano w³aciwego cz³owika.

Lisa, na Boga, nie wmawiaj mi, że samolot run¹³ na ziemiê dlatego, że na jego pok³adzie znajdowa³a siê Rose Tucker wci¹ nie chcia³ w to uwierzyæ.

Lisa wpatrywa³a siê w migotliwy, niebieski prostok¹t basenu, zastanawiaj¹c siê nad odpowiedzi¹.

Tamtej nocy by³am tego pewna. Ale potem ledztwo nie wykaza³o nawet ladu pod³o³onej bomby. Niczego nie stwierdzono. Najwy³ej jak¹ drobn¹ usterkê techniczn¹ i b³1d ze strony pilotów.

Tak nam przynajmniej powiedziano.

Przygl³dam si³e przez jaki czas Komisji Bezpiecze³stwa Transportu, nie jej dzia³niom dotycz³ym tej katastrofy, ale tak w og³le. Jej cz³onkowie s¹ bez skazy, Joey. To dobrzy ludzie. ³adnej korupcji. Poza uk³adami politycznymi.

Ale odnosz³e wra³enie, ³e Rose obarcza si³e odpowiedzialnosc¹ za to, co si³e sta³o zauwa³yla Georgine. Jest przekonana, ³e to jej obecno³ na pok³adzie samolotu by³a przyczyn¹ tragedii.

Jeli jest winna mierci twojej c³rki, cho³by tylko porednio wtr¹ci³ Joe to co w tym takiego wspania³ego?

Twarz Georgine zn³ow rozjani³ umiech, jakim go przywita³a i oczarowa³a przy drzwiach wejsciowych. Jednak³e Joemu, kt³ory odczuwa³ coraz wi³eksz¹ dezorientacj³e, wydawa³ si³e on rownie dziwny i niepokoju¹cy jak grymas na obliczu klowna spotkanego w zamglonej alejce po p³nocy, tak bardzo by³ nie na miejscu. Odpowiedzia³a mu, nie przestaj¹c si³e umiecha³:

Chcesz wiedzie³a, Joe? Poniewa³ jest to koniec wiata, jaki znamy.

Joe, zdesperowany, chca³ dowiedzie³a si³e czego wi³ecej od Lisy:

90

Kim jest Rose Tucker i co robi dla Technologik?

Jest genetykiem, i to genialnym.

Specjalizuje si³e w badaniach nad rekombinacj¹ DNA.

Georgine zn³ow wzia³a do r³eki zdj³ecie, jakby chca³a, by Joe od razu uchwyci³ zwi¹zek mi³ędzy obrazem nagrobka a in³ynieri¹ genetyczn¹.

Co dok³adnie robi³a dla Technologik, tego nie wiem podj³e³a przerwany w¹tek Lisa. Nigdy nie wiedzia³am. W³anie to chca³a mi powiedzie³a na lotnisku w Los Angeles rok temu. Gdyby dolecia³a. Ale teraz, dzie³ki temu, o czym rozmawia³a wczoraj z Georgine i Charliem sama mog³e sporo wywnioskowa³a. Nie wiem tylko, jak w to uwierzy³a.

Joe zastanawia³ si³e nad tym dziwnym stwierdzeniem: nie chodzi³o jej o to, czy uwierzy³a, tylko jak uwierzy³a.

Czym jest Technologik, pr³ocz tego, czym si³e wydaje na pierwszy rzut oka? spyta³.

Lisa umiechn³e³a si³e leciutko.

Masz dobrego nosa, Joe. Rok na bocznym torze nie st³epi³ twojego w³chu. S¹dz¹c po tym, co Rose zdradzi³a, z tych wszystkich jej p³o³s³owek mo³na wywnioskowa³a, ³e to istny wyj¹tek w kapitalistycznym wiecie firma, kt³ora nie mo³e zbankrutowa³a.

Nie mo³e zbankrutowa³a? zdziwi³a si³e Georgine.

Poniewa³ stoi za ni¹ hojny partner, kt³ory pokrywa wszystkie straty.

Armia? zastanawia³ si³e Joe.

Albo jaka agenda rz¹dowa. Organizacja bogatsza od najbogatszego cz³owieka na wiecie. Rosie da³a mi do zrozumienia, ³e na ten tajemniczy projekt przeznaczono wi³ecej ni³ setki milion³ dolar³ow. Niewyobra³alnie du³ly kapita³. Miliardy.

Z g³ory dobieg³ huk strza³u.

Dwiek, cho³ przyt³umiony przez ciany i przestrze³ni, nie budzi³ w¹tpliwoci.

Wszyscy troje zerwali si³e na rowne nogi. Georgine zawo³a³a:

Charlie?

By³a mo³e dlatego, ³e tak niedawno siedzia³ z Bobem i Clarise w mi³ym, ³o³tym pokoju w Culver City, Joe od razu pomysla³ o Norze Vadance nagiej kobiecie na patio, kt³ora ciska³a w d³oniach no³ rzeniczny i kierowa³a ostrze ku brzuchowi.

Cisza rozlewaj¹ca si³e po domu, kiedy ju³ przebrzmia³o echo strza³u, wydawa³a si³e rownie grona

jak niewidzialny i pozbawiony ciężaru deszcz radioaktywny spadający w grobowym milczeniu po nuklearnym grzmocie.

Georgine, coraz bardziej przerażona, krzyknęła:

Charlie!

Kiedy chciała pójść na górę, Joe ją powstrzymał.

Nie, zaczekaj. Zadzwoń po policję, ja tam pójdę.

Joe zaczął Lisa.

Wiem, co się stało powiedz ostro, uczyn jakkolwiek dyskuj.

91

Miała nadzieję, że się myli, że wcale nie wie, co się tu dzieje, że nie ma to nic wspólnego z tym, co zrobiła z sobą Nora Vadance. Ale jeśli jego podejrzenia były słuszne, nie mógł dopuścić, by Georgine jako pierwsza pojawiła się na miejscu tragedii. Wiedziała doskonale, że nie powinna niczego oglądać, ani teraz, ani potem.

Wiem, co się stało. Dzwonił po policję powtarzał Joe, przemierzając kuchnię i przeciskając się przez wahadłowe drzwi prowadzące do holu.

Wyrandol przygasa i rozbyskiwa, przygasa i rozbyskiwa, jak wiatr na jednym z tych starych filmów więziennych, kiedy to gubernator dzwoni za północ, by uratować skazańca, który smaży się już na krzele elektrycznym.

Joe podbiegł do podnóża schodów, ale pod wpływem strachu zwolnił. Wspinał się na pierwsze piętro, myśląc z przerażeniem, że znajdzie to, czego się spodziewał.

Plaga samobójstw była równie irracjonalna jak rojenia ludzi, którzy uważali, że burmistrz jest robotem lub że obserwują ich li kosmici. Joe nie potrafił zrozumieć, jak Charlie Delmann w ciągu zaledwie dwu minut mógł przejść od niemal euforii do rozpaczy tak jak Nora, która wstała od smakowitego niadania i komiksu w gazecie, a w chwilę później rozpruła sobie brzuch, nie zadając sobie nawet trudu, by pozostawić kartkę z wyjanieniami.

Jeśli jednak nawet Joe się nie mylił, jeśli doktor naprawdę chciał popełnić samobójstwo, to być może istniała jakaś szansa, że jeszcze żyje. Może nie zdołał się zabić jednym strzałem. Może wciąż dałoby się go uratować.

Możliwość ocalenia kogoś po tylu innych, którzy przesunęli się obok niego niczym woda, przeciekając przez palce pchała Joego do przodu pomimo strachu, jaki odczuwał. Pokonywał po dwa stopnie naraz.

Dotarł na pierwsze piętro, po czym minął nie oświetlone pokoje i zamknięte drzwi, ledwie rzucił na nie okiem. Przy końcu korytarza zza uchylonych drzwi docierało czerwone światło.

Niewielki przedpokój prowadzi do głównej sypialni wyłożonej tapetą w kolorze koci słońce. Na szklanych półkach stała chińska porcelana o krągłych, bladezielonych podstawkach, która nadawała pomieszczeniu przytulny, miły wygląd.

Doktor Charles Delmann leżał rozciągnięty na łóżku. Na jego piersi spoczywał Mossberg strzelba o uchwycie pistoletowym. Dzięki krótkiej lufie mógł wsunąć jej koniec między zęby i bez trudu pociągnąć za spust. Nawet w półmroku Joe widział wyranie, że nie ma sensu badać pulsu.

Jedynym źródłem światła w pokoju była seledynowa lampa na jednym z dwu nocnych stolików. Jej blask miał rdzawy odcień, ponieważ klosz był zachlapany krwią.

Pewnej soboty, dziesięć miesięcy wcześniej, pracując nad jakimś artykułem, Joe odwiedził kostnicę miejską. Leżały w niej ciała, zapakowane w worki albo nagie, w oczekiwaniu na sekcję. Nagle opanowała go irracjonalne przekonanie, że te otaczające go zewsząd zwłoki to jego żona i córki:

były Michelle i dziewczynkami, jakby Joe wkroczył nagle w scenę filmu sf o klonach. Z wnętrza szuflad stalowych chłodzi, gdzie też spoczywały zwłoki w drodze ku swemu przeznaczeniu, docierały przytłumione głosy Michelle, Chrissie i matki Niny, które brągały go, by je wpucił z powrotem do wiata żywych. Tuż obok asystent koronera rozpiął zamek błyskawiczny jakiego worka. Joe spojrzał na białym niczym zima twarz martwej kobiety, na jej pomalowane usta przypominające zwinięty na niego kwiat poinsecji, i ujrzał Michelle, Chrissie, Ninę. Niewidzialne, niebieskie oczy martwej kobiety były lustrami jego obłędu, który narastał z każdą chwilą. Wyszedł z kostnicy i przedłożył Cesare Santosowi, swemu szefowi, prośbę o zwolnienie.

Teraz szybko odwrócił się od ścian, nim w obliczu martwego lekarza zmaterializowała się ukochana twarz.

Jego uwagę zwrócił dziwny, niesamowity wist. Przez moment sidił, że to Delmann próbuje wciągnąć powietrze przez rozerwane usta. Dopiero po chwili uwiadomił sobie, że syczy swój własny, urywany oddech.

Podświetlane, zielone cyfry elektornicznego zegarka na stoliku pulsowały rytmicznie. Zmiana czasu dokonywała się w icie szaleńczym tempie: z każdą sekundą dziesięć minut godziny cofały się przez wczesny wieczór z powrotem do popołudnia.

Joemu przysłała do głowy absurdalna myśl, że zepsuty zegar, w który musiały trafić odłamki pocisku, może w magiczny sposób odwrócić to, co się stało, że Delmann wstanie z martwych, kawałki rutu wpadną z grzechotem do lufy, a rozszarpane ciało zronie się, że za chwilę on sam, Joe, znów znajdzie się na słonecznej plaży w Santa Monica, a potem w jednopokojowym mieszkaniu, znów będzie rozmawiał przez telefon z Beth. Czas będzie się cofał i cofał aż do chwili, zanim samolot runął na ziemię Colorado.

Z dołu dobiegł krzyk, który zniszczył jego fantazję. Potem jeszcze jeden.

Przypuszcza, że to Lisa. Była twarda i pewnie nigdy w życiu tak nie krzyczała, lecz teraz sychała było głos najwyższego przerażenia.

Nie było go w kuchni najwyższej przez minutę. Co mogło się wydarzyć w tak krótkim czasie?

Sięgnął po strzelbę, zamierzając ciągnąć ją z trupa. Magazynek mógł jeszcze zawierać pociski.

Nie. Teraz to jest scena samobójstwa. Jeli przesunie broń, zmieni się w scenę morderstwa. A on będzie głównym podejrzanym.

Pozostawił strzelbę na miejscu.

Wybiegł z kręgu niewyranego, przefiltrowanego krwi wiatra na korytarz, gdzie straż trzymała miertelnie nieruchome cienie. Nad schodami w bezustannym, kryształowym deszczu zwisał ogromny żyrandol.

Strzelba była bezużyteczna. Nie mógłby do nikogo strzelać. Poza tym czy w domu był kto jeszcze prócz Georgine i Lisy? Nie było nikogo. Nikogo.

Rzucił się na dół, po dwa, trzy stopnie naraz, pod kryształową kaskadą w kształcie żez, trzymając się poręczy, by nie stracił równowagi. Jego dłoń, mokra od zimnego potu, lizgała się po mahoniowym drewnie.

Biegnąc z tupotem przez dolny korytarz, posłyszał dziką muzykę i gdy wtargnął przez wahadkowe drzwi do kuchni, zobaczył, że zawieszona na cianie miedziane patelnie i garnki uderzają o siebie.

Pomieszczenie by³o pogr¹żone w p³omroku, tak jak poprzednio. Halogenowe reflektorki na suficie pali³y si³abiutko, niemal wcale nie daj¹c wiat³a.

Na drugim końcu kuchni, na tle drgaj¹cych p³omieni lamp naftowych sta³a Lisa i przyciska³a do skroni pi³ci, jakby próbowa³a nie dopucia³, by cinienie rozsadi³o jej czaszk³e. Nie krzycza³a ju³, tylko ³ka³a, j³cza³a, wyrzuca³a z siebie st³umione s³owa, które mog³y znaczy³a: O Bo³że, o Bo³że. Georgine znikn³e.

Gdy dwi³ek miedzianych dzwonów zamiera³ powoli niczym odleg³a, cicha muzyka z koszmarne go snu, Joe podbieg³ do Lisy, dostrzegaj¹c k¹tem oka otwart¹ butelk³e, któr¹ Charlie Delmann pozostawi³ na blacie szafki. Obok niej sta³y kieliszki z Chardonnay. Drgaj¹ca powierzchnia wina po³yškiwa³a jak drogocenne kamienie i Joemu w u³amku sekundy przemkn³e przez myl, czy trunek nie zawiera³ jakiej trucizny, chemikaliów czy narkotyku.

Ujrzawszy Joego, Lisa opuci³a i rozwar³a pi³ci. By³y mokre i czerwone. Palce wygl¹da³y jakby ocieka³y ros¹. Z jej ust wydar³ si³e bolenie przenikliwy, zwierzęcy dwi³ek bardziej przepe³niony smutkiem i bardziej rozpalony przera³eniem ni³ jakiegokolwiek s³owa.

Na rodku kuchni, u st³óp Lisy, Joe dostrzeg³ Georgine Delmann. Le³a³a na boku, w pozycji embrionalnej, skulona ju³ nie w oczekiwaniu na narodziny, lecz w obj³ciach mierci; obie d³onie zaciska³a na r³ekojeci no³ża, który by³ teraz jej zimn¹ p³powin¹. Usta wykrzywia³ jej krzyk, który nigdy si³e nie rozleg³. Oczy mia³a szeroko otwarte, pe³ne ³ez agonii, ale puste.

Joe poczu³ silny odór rozp³atanych trzewi. Zn³ów znalaz³ si³e na kraw³ędzi swego l³ku: pojawi³o si³e znajome uczucie spadania, jakby z ogromnej wysokości. Wiedzia³, że jeli mu ulegnie, nie b³dzie umia³ nikomu pomóc, ani Lisie ani sobie.

Zmusi³ si³e, by oderwa³e wzrok od tej makabry. Znacznie trudniej by³o mu uciec znad kraw³ędzi emocjonalnego za³amania. Obróci³ si³e w stron³e Lisy, by j¹ obj¹æ, pocieszy³a, oderwa³e od widoku martwej przyjaci³ki, ale sta³a teraz do niego plecami.

Joe drgn¹³ na dwi³ek t³uczonego szk³a. Pomyla³ w panice, że kto wdar³ si³e przez okno do kuchni.

Ale to nie by³ odg³os p³ekaj¹cej szyby, tylko dwi³ek t³uczonych lamp naftowych, które Lisa trzyma³a za wysokie klosze, jak butelki. Uderzy³a p³ekatymi naczyniami o siebie, a wtedy wytrysn¹³ z nich lepki strumień nafty. Po stole rozbieg³y si³e jasne kwiaty p³omieni, by po chwili zmienia³ si³e w olepiaj¹ce rozlewiska ognia. Joe chwyci³ Lis³e i próbowa³ odci¹gn¹æ j¹ od rozprzestrzeniaj¹cego si³e po³aru, ale wyrwa³a mu si³e bez s³owa i chwyci³a trzeci¹ lamp³e.

Lisa!

Granit i br¹z na zdj³ciu grobu Angeli Delmann zap³on³y, fotografia i uwieczniony przez ni¹ obraz zwin³y si³e niczym czarny, spalony li³e. Lisa

przewróci³a trzeci¹ lamp³e, rozpryskuj¹c naft³e z p³on¹cym knotem na swoim ubraniu.

Przez chwil³e Joe by³ sparali³owany szokiem.

Nafta obla³a j¹, sp³ywaj¹c w d³o³, ale mimo to wij¹cy si³e ognik jakim cudem zsun¹³ si³e po piersiach i talii Lisy, po czym zgas³ na sp³ódnicy.

P³on¹ce rozlewiska na stole zacz³y ³icy³a si³e ze sob¹, ogniste strumyki rozp³ywa³y si³e ku kraw³ędziom blatu. Na pod³og³e zacz¹³ skapywa³e z sykiem promienisty deszcz.

Joe zn³ów wyci¹gn¹³ do niej r³ce, ale ona, jakby pochylaj¹c si³e nad misk¹, zaczerpn³a d³o³mi p³on¹c¹ ciecz ze sto³u i chlapn³a sobie na piersi. Gdy jej przesi¹kni³e naft¹ ubranie buchn³e ogniem, Joe cofn¹³ si³e i zawo³a³: Nie!

Bez krzyku, który jej si³e wyrwa³, gdy widzia³a samob³stwo Georgine, bez j³ku czy chocia³by

cichego westchnienia, wznios³a do góry rêce, w których wirowa³y kule ognia. Sta³a przez chwilê niczym bogini Diana, wa¿¹c w d³oniach ogniste ksiê¿yce, po czym przysunê³a je sobie do twarzy i w³osów.

Joe odskoczy³ od p³on¹cej kobiety, od tego widoku, który rozdziera³ mu serce, od straszliwego sw¹du, który go skrêca³, od nieodgadnionej tajemnicy, która pozbawia³a go wszelkiej nadziei. Wpad³ z rozpêdu na szafkê.

Lisa jeszcze utrzymywa³a siê na nogach, spokojna niczym w strugach ch³odnego deszczu. Odwróci³a siê, jakby chcia³a popatrzeæ na Joego przez swój p³omienisty welon. Na szczêcie nie widzia³ jej twarzy, odbijaj¹cej siê w szybie wielkiego okna.

Sparali¿owany przera¿eniem, pomyla³, ¿e teraz on umrze, nie od p³omieni li¿¹cych ju¿ drewnian¹ pod³ogê wokó³ jego butów, ale z w³asnej rêki, ¿e zada sobie jak¹ straszn¹ mieraê zastrzeli siê, rozp³ata sobie brzuch albo dokona samospalenia. Jeszcze nie uleg³ tej zaraliwej pladze samobójstw, ale wiedzia³, ¿e to robi, gdy Lisa, martwa, runie bezw³adnie na pod³ogê. Wci¹¿ nie by³ zdolny siê poruszyæ.

Ogarniêta wirem piekielnych p³omieni rzuca³a wokó³ fantomy wiat³a i cienia, które pe³z³y po cianach i t³oczy³y siê na suficie niektóre by³y rzeczywicie cieniami, inne rozwijaj¹cymi siê wstêgami sadzy.

Przeraliwe wycie instalacji przeciwpo¿arowej prze³ama³o lód cinaj¹cy koñczyny Joego i wyrwa³o go z transu. Ruszy³ biegiem z tego piek³a, cigany przez zjawy i duchy, obok miedzianych garnków na cianach, które w wietle ognia przypomina³y jasne, obojêtné twarze, obok trzech kieliszków z winem w kolorze krwi, po³yskuj¹cym refleksami p³omieni.

Wypad³ przez drzwi i pobieg³ holem do przedpokoju. Przez ca³y czas czu³, ¿e ciga go nie tylko zawrozenie instalacji alarmowej - jakby w ciemnym k¹cie kuchni, stoj¹c bez ruchu, niezauwa¿alny, kry³ siê morderca. Kiedy Joe dopad³ drzwi wejciowych i z³apa³ za ga³kê, niemal siê spodziewa³, ¿e lada moment poczuje na ramieniu czyj¹ d³oñ, ¿e zostanie brutalnie odwrócony i spotka siê twarz¹ w twarz z umiechniêtym zabójc¹.

Nikt go jednak nie z³apa³, nie poczu³ te¿ podmuchu gor¹ca, ale sycz¹ce zimno, które zak³u³o go w kark, a potem przeniknê³o podstawê czaszki a¿ do

szczytu krêgos³upa. Ogarnê³a go taka panika, ¿e nie zdawa³ sobie sprawy, kiedy otworzy³ drzwi i wyrwa³ siê na zewn¹trz. Stwierdzi³ nagle, ¿e biegnie przez ganek, ¿e uwolni³ siê od straszliwego ch³odu.

Pêdzi³ po kamiennej cie¿ce miêdzy idealnie przystrzy¿onymi cianami ¿ywop³otu. Kiedy dotar³ do magnolii o srebrzystych liciach, spomiêdzy których, niczym bia³e pyski ma³p, wyziera³y kwiaty, odwróci³ siê. Nikt go nie ciga³.

Na ulicy panowa³a cisza, s³ychaæ by³o tylko st³umione wycie alarmu w domu Delmannów. Nie przeje¿d¿a³ akurat ¿aden samochód, nikt te¿ nie wybra³ siê na wieczorn¹ przechadzkê w tê ciep¹, sierpniow¹ noc. Na gankach i trawnikach okolicznych domów nie pojawili siê jeszcze zwabieni ha³asem ich mieszkañcy. Posesje by³y tak wielkie, a okaza³e domy mia³y tak grube ciany, ¿e nawet huk strza³u na ulicy brzmia³ w nich jak trzaniêcie drzwiami samochodowymi albo warkot ciê¿arówki.

Zastanawia³ siê, czy nie zaczekaæ na stra¿ po¿arn¹ i policjê, ale nie mia³ pojêcia, jak móg³by przekonuj¹co opowiedzieæ o tym, co wydarzy³o siê w tym domu w ci¹gu trzech czy czterech piekielnych minut. Wydawa³o siê to owocem halucynacji, pocz¹wszy od samobójczego strza³u a¿ do chwili, gdy Lisa pogr¹¿y³a siê w p³omieniach; teraz przypomina³o fragmenty jakiego koszmaru.

Ogień zniszczy³ zapewne wiêkszoæ dowodów wiadczy¹cych o samobójstwie Delmannów i Lisy, a policja zechcia³aby go przes³uchaæ, a potem zatrzymaæ jako podejrzanego o zabójstwo. Funkcjonariusze prowadz¹cy ledztwo zobaczyliby w nim przygnêbionego mê¹czyznê, który zagubi³ siê po stracie rodziny, który nie mia³ pracy, ¹zy³ w jednopokojowym mieszkaniu nad gara¹em, straci³ na wadze, wyg¹da³ na nawiedzonego, a w dodatku przechowywa³ dwadziecia tysiêcy dolarów w zapasowym kole w бага¹niku swojego samochodu. Okolicznoci i portret psychologiczny nie uwiarygodni³yby jego zeznañ, nawet gdyby ju¹ sama ta historia nie wykracza³a poza granice rozumu.

Nim Joe odzyska³by wolnoæ, ci z Teknologik dawno by go znaleli. Ju¹ próbowali go zastrzeliæ tylko dlatego, ¹ze Rose mog³a mu powiedzieæ co, co chcieli utrzymaæ w tajemnicy a przecie¹ teraz wiedzia³ wiêcej ni¹ przedtem, nawet jeli nie mia³ zielonego pojêcia, jak ma to rozumieæ. Bior¹c pod uwagê domniemane powi¹zania Teknologik z politykami i wojskowymi, Joe najprawdopodobniej zosta³by zamordowany w wiêzieniu podczas starannie zaplanowanej bójki z op³aconymi zabójcami. Gdyby mimo wszystko uda³o mu siê prze¹ycæ, wykoñczyliby go na wolnoci przy pierwszej okazji.

Stara³ siê opanowaæ. Zwalczy³ pokusê, by pobiec, czym móg³by zwróciæ na siebie czyj¹ uwagê, po czym ruszy³ spokojnym krokiem w stronê hondy zaparkowanej po drugiej stronie ulicy.

Okna kuchni w domu Delmannów wylecia³y w powietrze. Rozleg³ siê krótki brzêk pêkaj¹cego szk³a, a potem alarm czujników reaguj¹cych na dym, teraz znacznie dononiejszy. Joe obejrza³ siê i zobaczy³ ogieñ dobywaj¹cy

96

siê z wnêtrza domu. Nafta z lamp robi³a swoje: tu¹ za drzwiami wejciowymi, których nie zamkn¹³ za sob¹, jêzyki ognia ju¹ liza³y ciany korytarza.

Wsiad³ do samochodu. Zatrzasn¹³ drzwi.

Na prawym rêku mia³ krew. Czyj¹ krew.

Dr¹c otworzy³ skrytkê miêdzy siedzeniami i wyszarpn¹³ z pude³ka kilka chusteczek higienicznych.

Otar³ sobie d³oñ. Wepchn¹³ papierowy zwitek do torby z burgerami, które kupi³ u McDonalda.

Dowody, pomyla³, choæ nie pope³ni³ ¹adnej zbrodni.

wiat wywróci³ siê na opak. K³amstwa by³y prawd¹, prawda k³amstwem, fakty fikcj¹, niemo¹liwe sta³o siê mo¹liwe, a niewinnoæ win¹.

Poszuka³ w kieszeni kluczyków. Uruchomi³ silnik.

Przez wybit¹ tyln¹ szybê s³ysza³ teraz nie tylko dwiêk alarmu, i to niejednego, ale i g³osy nawo³uj¹cych siê s¹siadów, krzyki strachu. Mia³ nadziejê, ¹ze uwaga skupia siê na domu Delmannów i ¹ze nikt nie zauwa¹zy jego odjazdu. W³czy³ wiat³a i ruszy³.

Uroczy, stary dom z ceg³y by³ teraz królestwem smoków po jego pokojach kr¹zy³y wietliste istoty o ognistym oddechu. Gdy martwi le¹eli w ca³unach p³omieni, z dali dobieg³ dwiêk niezliczonych syren.

Joe odjecha³ w noc zbyt niezwyk³¹, by mo¹na by³o j¹ poj¹æ, w wiat inny ni¹ ten, w którym ¹zy³ dotychczas.

97 7

98

CZÊÆ TRZECIA
PUNKT ZERO

99
100

promieniach dziwnego wiat³a, równie pomarańczowego jak blask dyniowych lamp w wiêto Halloween, tyle ðe dobywaj¹cego siê z

do³ów wykopanych w piasku, nawet niewinni ludzie wygl¹dali jak obarczeni grzechem poganie.

Na plaży, tam gdzie wolno by³o rozpalaa ogniska, p³onê³o ich dziesiêæ. Siedzia³y przy nich duże rodziny, grupki nastolatków i uczniów collegeu.

Joe kr¹ÿ³ miêdzy nimi. Lubi³ przychodziæ na plażê noc¹, w poszukiwaniu oceanicznej terapii, choæ zwykle trzyma³ siê z dala od ognisk.

Rozmowy by³y g³one, a bosonomie pary tańczy³y w takt starych przebojów Beach Boysów, ko³ysz¹c siê w miejscu. Tuż obok siedzia³o kilkunastu zauroczonych s³uchaczy, a krêpy mêt¹czyzna z grzyw¹ bia³ych w³osów opowiada³ wibruj¹cym g³osem jak¹ historiê o duchach.

Wydarzenia ostatniego dnia sprawi³y, ðe percepcja Joego uleg³a ca³kowitej zmianie. Wydawa³o mu siê, ðe patrzy na wiat przez niezwyk³e okulary, które wygra³ na loterii w jakim dziwnym, wêdrownym weso³ym miasteczku przenosz¹cym siê z miejsca na miejsce w czarnych, milcz¹cych wozach, okulary obdarzone przedziwn¹ moc¹ ujawniania tego, co niewidoczne, zimne i budz¹ce lêt.

Tancerze w kostiumach k¹pielowych p³omienie ognisk nadawa³y ich skôrce barwê roztopionego br¹zu potrz¹sali ramionami i zataczali biodrami ko³a, kucali i ko³ysali siê, machali gibkimi rêkami jak skrzyd³ami albo chwyтали palcami rozwietlone powietrze. Joemu zdawa³o siê, ðe kaźdy z bawi¹cych siê jest jednocześnie realn¹ postaci¹ i marionetk¹ porusz¹ przez niewidzialnego mistrza. Dziêki ukrytym sznurkom marionetki wyraźa³y radoæ, mruga³y szklanymi oczami, umiecha³y siê drewnianymi ustami, wybuch³y miechem niewidocznych brzuchomówców, a wszystko po to, by

101

oszukaæ Joego, by zwiedziony uwierzy³, ðe to dobry, przyjazny wiat, który wzbudza zachwyty.

Min¹³ grupê dziesiêciu czy dwunastu m³odych ludzi w spodenkach k¹pielowych. Ich leź¹ce bez³adnie kombinezony po³yskiwa³y niczym stos foczych skór albo wypatroszonych wêgorzy czy innych morskich stworów. Wbite w piasek deski surfingowe rzuca³y cieñ, jak kamienny kr¹g Stonehenge. Cia³a m³odzieñców wydawa³y siê wype³nione testosteronem. Nie byli nawet zdolni zachowywaæ siê ha³aliwie, funkcjonowali na zwolnionych obrotach mrukliwi, niemal upieni mêt¹skimi fantazjami.

Tancerze, gawêdziarz i jego s³uchacze, surfici i wszyscy inni, których Joe mija³, przypatrywali mu siê z uwag¹. To nie by³a tylko jego wyobrazenia. Czuz³ na sobie rzucane ukradkiem spojrzeŃia.

Nie zdziwi³oby go, gdyby wszyscy pracowali dla Teknologik, czy teź dla tego, kto nim rz¹dzi³.

Z drugiej strony, choæ zdawa³oby siê pogr¹ony w szaleŃstwie, by³ na tyle przytomny, by zdawaæ sobie sprawê, ðe straszliwe wydarzenia, których wiadkiem by³ u Delmannów, odcisnê³y na nim swe piêt¹no. Horror, który wci¹ÿ przeÿywa³ na nowo, uwidacznia³ siê w brzdach na twarzy, nadawa³ oczom matow¹ barwê osamotnienia, przyt³acza³ barki, nape³nia³ go gniewem i przerażeniem. Kiedy tak szed³ po plaży, mijani ludzie widzieli w nim udrêczonego cz³owieka, a bêt¹c mieszkańcami wielkiego miasta, doskonale zdawali sobie sprawê z zagroźenia, jakie stanowi udrêczony cz³owiek.

Natkn¹³ siê na ognisko, wokó³ którego siedzia³a spora grupa pogr¹onych w milczeniu m³odych mêt¹czyzn i kobiet o ogolonych g³owach. Mieli na sobie szafirowoniebieskie szaty i bia³e tenisówki, w lewym albo prawym uchu z³oty kolczyk. Mêt¹czyni byli bez zarostu. Kobiety nie umalowane.

Niektórzy, bez wzglêdu na p³eæ, wydawali siê tak uderzaj¹co atrakcyjni i tak doskonałe prezentowali siê w swoich odzieniach, ¿e Joe od razu ujrza³ w mylach sektê Dzieci z Beverly Hills.

Przygl¹da³ im siê przez kilka minut, podczas gdy oni, pogr¹¿eni w medytacyjnym milczeniu, wpatrywali siê w ogieñ. Kiedy w koñcu zwrócili na niego uwagê, przestraszyli siê tego, co w nim dostrzegli. Ich oczy przypomina³y spokojne rozlewiska, w których dojrza³ niczym blask ksiê¿yca na wodzie pokorn¹ g³êbiê akceptacji, byæ mo¿e dlatego, ¿e w³anie to pragn¹³ zobaczyæ.

Trzyma³ w rêku torebkê od MacDonalda, która kry³a papierowe opakowania po cheeseburgerach, pusty kubek po coli i chusteczki higieniczne, którymi star³ sobie z d³oni krew. Dowody. Cisn¹³ torebkê w ogieñ, a potem jeszcze przez chwilê przygl¹da³ siê ludziom z sekty, którzy patrzyli, jak papier gwa³townie siê zajmuje, czernieje i znika.

Odchodz¹c zastanawia³ siê, co wed³ug nich stanowi sens bytu. Wyobrazi³ sobie, ¿e w szalonej spirali i bezustannym pêdzie w dó³, jakim jest ¿ycie, ci wyznawcy w b³êkitnych szatach znaleli prawdê i osi¹gnêli stan owieczności, który nadawa³ ich egzystencji jaki sens. Nie pyta³ ich o to, gdy¿ ba³ siê,

102

¿e us³yszy jeszcze jedn¹ wersjê tego samego, przepe³nionego smutkiem pobo¿nego mylenia, na którym tylu innych opiera³o sw¹ nadzieje.

Gdy znalaz³ siê z dala od ognisk, tam, gdzie rz¹dzi³a noc, przykucn¹³ na krawêdzi szemrz¹cej fali i obmy³ rêce w p³ytkiej, s³onej wodzie. Nabra³ trochê mokrego piachu i tar³ nim d³onie, usuwaj¹c z wg³êbieñ miêdzy k³ykciami i spod paznokci lady krwi.

Kiedy ju¿ skoñczy³, nie zdejmuj¹c adidasów i nie podwijaj¹c nogawek d¿insów, wszed³ w morze. Zatrzyma³ siê w miejscu, gdzie woda siêga³a mu kolan.

Łagodne fale przykrywa³ jedynie cienki i postrzêpiony ko³nierz fosforyzuj¹cej piany. Choæ noc by³a jasna i przewietlna ksiê¿ycowymi promieniami, sto metrów dalej morze grzmia³o nagie, czarne, niewidzialne.

Pozbawiony uspokajaj¹cego widoku, który przyci¹gn¹³ go na sam brzeg, Joe znalaz³ pociechê w falach napieraj¹cych na jego nogi i w g³uchym, têpym pomruku wodnej maszyny. Odwieczny rytm, bezsensowny ruch, spokój obojêtności.

Stara³ siê nie myleæ o tym, co wydarzy³o siê w domu Delmannów. Nie rozumia³ tego. Mylenie nie mog³o podsun¹æ rozwi¹zania.

Stwierdzi³ zaskoczony, ¿e nie czuje ¿alu z powodu mierci Delmannów i Lisy, lecz tylko nieznaczny smutek. Podczas zajêæ grupy terapeutycznej dowiedzia³ siê, ¿e wielu rodziców po stracie dziecka odczuwa dziwn¹ obojêtnoæ wobec cierpienia innych. Siedzieli przed telewizorami, nieporuszeni i bez emocji, ogl¹daj¹c sceny katastrof, po¿ary, odra¿aj¹ce zbrodnie. Muzyka, która niegdy chwyt³a za serce, sztuka, która niegdy dotyka³a samej duszy, teraz nie robi³y na nich ¿adnego wra¿enia. Niektórzy przewyciê¿ali ten stan braku wra¿liwoci po roku czy dwu, inni po piêciu czy dziesiêciu latach, a jeszcze inni nie wychodzili z niego nigdy.

Delmannowie wydawali siê wspania³ymi ludmi, ale tak naprawdê wcale ich nie zna³. Lisa by³a jego przyjacielem. A teraz le¿a³a martwa. I co z tego? Ka¿dy prêdziej czy póniej umiera. Twoje dzieci. Kobieta, która by³a mi³oci¹ twojego ¿ycia. Ka¿dy.

Ch³ód w³asnego serca przerazi³ go. Pocz³ wstrêt do samego siebie, ale nie móg³ zmusiæ siê do odczuwania bólu innych. Czu³ tylko w³asny ból.

W morzu szuka³ tej obojêtności wobec straty bliskich, jak¹ odczuwa³ wobec straty obcych, choæ równoczenie zastanawia³ siê, czy gdyby mieraæ Michelle, Chrissie i Niny nic ju¿ dla niego nie

znaczy³y, nie zmieni³by siê w bestiê. Po raz pierwszy przysz³o mu do g³owy, ÷e ca³kowita obojêtnoæ mo¿e przynieæ nie wewnêtrzny spokój, lecz niepowstrzymane pragnienie z³a.

Stacja benzynowa ze sklepem czynnym przez ca³¹ dobê znajdowa³a siê zaledwie trzy przecznice od jego motelu. Na zewn¹trz, obok toalet, zainstalowano dwa automaty telefoniczne.

103

T³uste æmy, bia³e jak p³atki niegu, kr¹ÿy³y pod okapem dachu wokó³ sto¿kowatych lamp. Powiêkszone i zmniejsza³czone cienie ich skrzyde³ migota³y na jasnym tynku ciany.

Joe nie zada³ sobie trudu, by zwróciæ kartê kredytow¹ swojej agencji telefonicznej. Pos³uguj¹c siê ni¹, odby³ teraz kilka zamiejscowych rozmów, których nie omieli³ siê przeprowadzaæ z pokoju hotelowego. Mia³ nadzieję, ÷e pomieszka tam jaki czas bezpiecznie.

Chcia³ rozmawiaæ z Barbar¹ Christman, g³ównym inspektorem nadzoruj¹cym ledztwo w sprawie katastrofy samolotu. Tutaj, na Zachodnim Wybrze¿u, by³a jedenasta wieczorem, a w Waszyngtonie ju¿ niedziela, druga nad ranem. Nie zasta³by jej w biurze i choæ nawet o tej porze móg³ skontaktowaæ siê z dy¿urnym Rady Bezpieczeñstwa Transportu, nie uda³oby mu siê zdobyæ prywatnego numeru tej kobiety.

Mimo wszystko uzyska³ w informacji numer Rady i zadzwoni³. Za porednictwem nowego, automatycznego systemu móg³ przekazaæ ustn¹ wiadomoæ jakiemukolwiek cz³onkowi Rady, starszemu inspektorowi od katastrof czy te¿ urzêdnikowi szczebla kierowniczego. Wystarczy³o podaæ inicja³ imienia i cztery pierwsze litery nazwiska osoby, z któr¹ chcia³ siê skontaktowaæ. Choæ wystuka³ uwa¿nie B-C-H-R-I, uzyska³ tylko nagrany na tamê informację, ÷e takie po³¹czenie nie istnieje. Spróbowa³ ponownie, z identycznym rezultatem.

Albo Barbara Christman nie by³a ju¿ pracownikiem Rady, albo g³osowa poczta nie dzia³a³a prawid³owo.

Choæ ka¿de ledztwo nadzorowa³ zawsze starszy Rady w Waszyngtonie, pozostali cz³onkowie komisji mogli byæ wybierani sporód specjalistów w biurach terenowych: Anchorage, Atlanta, Chicago, Denver, Forth Worth, Los Angeles, Miami, Kansas City, New York City i Seattle. Joe otrzyma³ z komputera w Post listê niemal wszystkich cz³onków Rady, ale nie wiedzia³, gdzie który z nich mieszka.

Poniewa¿ miejsce katastrofy znajdowa³o siê nieco ponad sto szeædziesi¹t kilometrów na po³udnie od Denver, doszed³ do wniosku, ÷e kilku cz³onków komisji zajmuj¹cej siê katastrof¹ musia³o pracowaæ w tamtejszym biurze. Pos³uguj¹c siê list¹ z jedenastoma nazwiskami zacz¹³ wyszukiwaæ numery telefonów w informacji w Denver.

Dosta³ trzy numery. Pozosta³a ósemka albo mia³a zastrze¿one telefony, albo mieszka³a poza rejonem Denver.

Niezmiennie migotliwy cieñ æmy na bia³ej cianie stacji benzynowej dra¿ni³ jego pamiêæ. Co mu przypomina³, i wspomnienie to coraz silniej narzuca³o siê Joemu, wydawa³o siê równie istotne jak nieuchwytnie. Wpatrywa³ siê przez chwilê z uwag¹ w roztañczone, bezkszta³ne jak p³ylna lawa cienie, ale nie móg³ niczego skojarzyæ.

Choæ w Denver by³o ju¿ po pó³nocy, Joe zadzwoni³ do trzech specjalistów, których numery uda³o mu siê zdobyæ. Pierwszym by³ meteorolog badaj¹cy warunki pogodowe w czasie katastrofy. Odezwa³a siê automatyczna sekretarka, ale Joe nie pozostawi³ ¿adnej wiadomoci. Drugim by³

nadzoruj¹cy selekcję szcz¹tków samolotu przeznaczonych do badań metalurgicznych. Wyrwany najwidoczniej ze snu, zachowywa³ się gburowato i nie przejawia³ zbytnej chęci do współ³pracy. Ale dzięki trzeciemu Joe zdoby³ ogniwo, którego tak bardzo potrzebowa³.

Nazywa³ się Mario Oliveri. Zajmowa³ się w komisji ustalaniem możliwych b³ędów pope³nionych przez za³ogę samolotu albo obs³ugę naziem¹. Pomimo pónej godziny Oliveri by³ nastawiony raczej przyja³nie. Stwierdzi³, że jest nocnym markiem i że nigdy nie k³adzie się przed pierwsz¹.

Ale oczywiście rozumie pan, panie Carpenter, że nie rozmawiam z reporterami o wewnętrznych sprawach Rady ani o szczegó³ach jakiegokolwiek ledztwa. To sprawy poufne.

Nie o to mi chodzi, panie Oliveri. Nie mogę skontaktowa^æ się z jednym z waszych starszych inspektorów, a muszę z nim niezw³ocznie pomówia^æ. Mam nadzieję, że mi pan to umożliwi. Nie mogę uzyska^æ po³1czenia z ni¹ w Waszyngtonie.

Z ni¹? Nie ma obecnie starszych inspektorów-kobiet. Ca³a szóstka to mę¹czyźni.

Barbara Christman.

Zgadza się powiedzia³ Oliveri. Ale kilka miesięcy temu przesz³a na wcześniejsz¹ emeryturę.

Ma pan jej numer telefonu?

Oliveri zawaha³ się. Po chwili zaprzeczy³:

Obawiam się, że nie.

A może orientuje się pan, czy mieszka w samym Waszyngtonie czy też na przedmieciach? Gdybym zna³ jej adres, może uda³oby mi się zdoby^æ numer telefonu

S³ysza³em, że wróci³a do siebie, do Colorado odpar³ Oliveri. Wiele lat temu zaczyna³a pracę w biurze terenowym w Denver, potem zosta³a przeniesiona do Waszyngtonu, gdzie osi¹gnę³a stanowisko starszego inspektora.

A więc jest teraz w Denver?

Oliveri znów milcza³, jakby sama wzmianka o Barbarze Christman wprawi³a go w zak³opotanie. W końcu się zdecydowa³:

Wydaje mi się, że mieszka obecnie w Colorado Springs. To jakie sto kilometrów na po³udnie od Denver.

I mniej niż sześćdziesiąt od ³1ki, na któr¹ run¹³ z hukiem skazany na zag³adę 747.

Jest pan tego pewien? spyta³ Joe.

Nie.

Jeli jest zamę¹na, numer telefonu może być na nazwisko mę¹za.

Jest rozwiedziona od wielu lat. Panie Carpenter zastanawiam się, czy

Po kilku d³ugich sekundach, kiedy Oliveri nie zdo³a³ dokończy^æ myśli, Joe ponagli³ go ³agodnie: Panie Oliveri?

Czy ma to zwi¹zek z lotem 353 linii Nationwide?

Tak. Dzi wieczór min¹³ okr¹g³y rok.

Oliveri znów milcza³.

Czy w tej historii z samolotem zauważy³ pan co co niezwyk³ego?

ledztwo jest objęte tajemnic¹, mówi³em już panu.

Nie o to mi chodzi.

Po drugiej stronie linii trwa³a tak g³êboka cisza, ¿e Joe mia³ wra¿enie, jakby by³ po³¹czony nie z Denver, ale z odleg³¹ stron¹ ksiê¿yca.

Panie Oliveri?

Nie mam panu wiele do powiedzenia, panie Carpenter. Ale jeli przyjdzie mi co do g³owy poda mi pan jaki numer, pod którym móg³bym pana z³apaæ?

Zamiast wdawaæ siê w wyjanienia, Joe powiedzia³:

Jeli jest pan uczciwym cz³owiekiem, to dzwoni¹c do mnie narazi siê pan na niebezpieczeñstwo. Znam niezbyt sympatycznych ludzi, którzy zainteresowaliby siê panem, gdyby siê dowiedzieli o naszych kontaktach.

Jakich ludzi?

Ignoruj¹c pytanie, ci¹gn¹³:

Jeli co nie daje panu spokoju albo drêczy pana sumienie, proszê to spokojnie przemyleæ. Zg³oszê siê za dzieñ lub dwa.

Joe od³o¿y³ s³uchawkê.

Æmy znów przyfrunê³y. Przyfrunê³y. Uderza³y w lampy pod dachem. Jaka klisza, co, co ju¿ widzia³: jak æmy do ognia. Nieuchwytnie skojarzenie znów mu umknê³o.

Zadzwoni³ do informacji w Colorado Springs. Telefonistka poda³a mu numer Barbary Christman.

Odebra³a po drugim sygnale. Nie sprawia³a wra¿enia osoby wyrwanej ze snu. Byæ mo¿e ludzie, którzy napatrzyl¹ siê w ¿yciu na niewyobra¿alne masakry, mieli k³opoty z zaniêciem.

Joe przedstawi³ siê i powiedzia³, gdzie przed rokiem znajdowa³a siê jego rodzina, daj¹c przy okazji do zrozumienia, ¿e wci¹¿ jest czynnym reporterem.

Jej pocz¹tkowe milczenie by³o równie lodowate i wynios³e jak milczenie Oliveriego. Potem spyta³a:

Jest pan tutaj?

Przepraszam?

Sk¹d pan dzwoni? St¹d, z Colorado Springs?

Nie. Z Los Angeles.

Och westchê³a tylko, a Joemu zdawa³o siê, ¿e dos³ysza³ w tym mrukniêciu ledwie wyczuwalne tchnienie smutku.

Pani Christman, mam kilka pytañ dotycz¹cych lotu 353, które zacz¹³.

Przykro mi przerwa³a mu. Wiem, ¿e strasznie pan cierpi, panie Carpenter. Nie jestem nawet w stanie poj¹æ g³êbi pañskiego ¿alu, wiem te¿,

¿e rodzinom ofiar trudno nieraz zaakceptowaæ utratê bliskich w tych strasznych katastrofach, nie przychodzi mi jednak do g³owy nic, co pomog³oby panu pogodziæ siê z

Nie próbujê siê z niczym pogodziæ, pani Christman. Chcê tylko ustaliaæ, co naprawdê sta³o siê z tym samolotem.

Nie ma niczego niezwyk³ego w tym, ¿e ludzie pañskiego fachu szukaj¹ pociechy w teoriach spiskowych, panie Carpenter, tym bardziej ¿e ta tragedia wydaje siê taka bezsensowna, taka przypadkowa i niewyt³umaczalna. Niektórzy ludzie s¹dz¹, ¿e tuszujemy niekompetencjê linii lotniczych albo ¿e zostalimy przekupieni przez zwi¹zek pilotów i ukrylimy dowody wiadcz¹ce o winie za³ogi. Nie, panie Carpenter, za³oga nie by³a pijana ani pod wp³ywem narkotyków. To by³ po prostu wypadek. Nawet gdybym stara³a siê za wszelk¹ cenê wyperswadowaæ panu inn¹ ocenê faktów, to i tak nie przekona³abym pana, wrêcz przeciwnie, utwierdzi³abym pana tylko w pañskim

fantastycznym przypuszczeniu. Głęboko panu współczuję, naprawdę, ale musi pan porozmawiać z terapeutą, nie ze mną.

Nim Joe zdoła odpowiedzieć, odżyła się szychawką.

Zadzwoń ponownie. Choć odczeka czterdzieci sygnałów, nie odezwa się.

Zdawa sobie sprawę, że przez telefon nie zdoła się dowiedzieć niczego więcej.

Idź w stronę hony, przystan. Odwróć się i znów zacząj patrzeć na cianej stacji, gdzie powiększone i niesamowicie zniekształcone cienie owadów przesuwały się po białym tynku niczym koszmarnie fantomy kręgle w bladej mgłę snu.

Amerykanie przyciągnęli do ognia. Trzy punkciki ognia w trzech lampach naftowych. Wysokie, szklane klosze.

Ujrzał w pamięci trzy promienie podskakujące w cylindrycznych osłonach. Na posępnej twarzy Lisy zamigotał wiatł lamp, a po cianach kuchni Delmannów zaczął skakać cień.

Joe pomyślał wtedy, że to jakiś zbłąd podmuch odżywił promienie lamp, choć powietrze w pomieszczeniu było nieruchome. Teraz, gdy wraca do tego momentu pamięci, wężowaty ogień promieniujący ku górze, kilkanacie centymetrów nad knotami, wydawał mu się czym znacznie ważniejszym, niż początkowo sądził.

Ten szczegół musiał mieć jakie znaczenie.

Obserwował Amerykanów, ale myślał o naszczonych naftnymi knotami. Stał obok stacji, ale widział wokół siebie kuchnię z drewnianymi szafkami i granitowymi, brązowymi blatami.

Nie doznał jednak olnienia, gdy widział w myślach promienie, które na krótką chwilę się rozjaśniały. Choć starała się wyteżać pamięć, nie potrafiła odkryć znaczenia, które intuicyjnie wyczuwała.

Był znużony, wyczerpany, przybity wydarzeniami dnia. Wiedziała, że dopóki nie wypocznie, nie może ufać swoim zmysłom czy przeczuciom.

107

Leżąc na łóżku z głową wspartą o poduszkę, myślami i sercem wciąż obecny w przeszłości, która zamykała przed nim swój sens, niedostępna jak skała, Joe zjadł czekoladowego batona, którego kupił na stacji. Dopóki go nie skończył, nic nie czuł. Wraz z ostatnim kąsem usta wypełnił mu smak krwi, jakby ugryzł się w język.

Wcale się nie skaleczył. Po prostu nawiedziło go znajome poczucie winy. Skończył się kolejny dzień, a on wciąż żył, choć nie umiał tego usprawiedliwić, nadał temu wszystkiemu jakiego znaczenia.

Prócz blasku księżyca w otwartych drzwiach balkonowych i zielonych cyferek na budziku elektronicznym, w pokoju było ciemno. Wpatrywał się w lampę pod sufitem widział ją tylko dzięki temu, że wypukły dysk klosza srebrzył wiatł księżyca. Tkwiła nad nim niczym upiorny gość.

Pomyślał o poślisliwym winie w trzech kieliszkach stojących na blacie szafki w kuchni u Delmannów. Tu też nie znalazł wyjaśnienia. Choć Charlie mógł przed rozlaniem skosztować Chardonnaya, Georgine i Lisa ani razu nie tknęły trunku.

Przez głowę przelatywały mu myśli, jak niespokojne Amerykanie szukające w ciemności wiatła. Tęskniła, że nie może porozmawiać z Beth w Wirginii. Bała się, że zażyli jej podsłuch, by go wytropić, a poza tym nie chciała narażać teciów na niebezpieczeństwo, opowiadając im o wszystkim, co działo się na

plaży i później.

Ukośysany macierzyńskim rytmem fal, przygnieciony zmęczeniem, zastanawia³ się, dlaczego unikn¹³ plagi samobójstw w domu Delmannów, dopóki nie pogr¹zy³ się w pe³nym koszmarów nie.

Później ockn¹³ się w ciemności. Leża³ na boku, twarz¹ do budzika na nocnym stoliku. wiec¹ce cyfry przypomni³y mu o zegarze w zakrwawionej sypialni Charlesa Delmanna: czas pędz¹cy do ty³u w dziesięciominutowych skokach.

Joe w pierwszej chwili podejrzewa³, że to od³amki pocisku uszkodzi³y zegar. Teraz, na wpó³ przytomny, poj¹³, że wyjanienie by³o inne o wiele bardziej tajemnicze i znac¹ce.

Zegar i lampy naftowe.

Migaj¹ce cyfry, skacz¹ce p³omienie.

Powi¹zania.

Ukryty sens.

Wkrótce znów pogr¹zy³ się w snach, jednak budzik zadzwoni³ jeszcze przed witem. Spa³ nieca³e trzy i pó³ godziny, ale po roku niespokojnych nocy nawet tak krótki odpoczynek sprawi³ mu ulgę.

Wzi¹³ prysznic, a potem się ubra³, ci¹gle obserwuj¹c elektroniczny budzik. Nie dozna³ jednak olnienia ani wczynie, gdy by³ nieprzytomny od snu, ani teraz.

108

Joe jecha³ na lotnisko, gdy wybrzeże wci¹ż czeka³o na wit.

Kupi³ bilet w obie strony powrót tego samego dnia do Denver. Dzięki temu mó³g przylecieć do Los Angeles dostatecznie wcześnie, by zd¹żyć na spotkanie z Demi, kobiet¹ o chrapliwym, podniecaj¹cy m³osie, przed kawiarni¹ w Westwood o szóstej.

Gdy zbliża³ się do wyjścia, za którym już podstawiano jego samolot, dostrzeg³ dwóch m³odych m³ężczyzn w niebieskich szatach, stoj¹cych przy stanowisku lotu do Houston. Mieli ogolone g³owy, z³ote kolczyki w lewym uchu i bia³e tenisówki. Rozpozna³ w nich ludzi z tej samej sekty, któr¹ zaledwie przed paroma godzinami napotka³ przy ogniskach na plaży.

Jeden z m³ężczyzn by³ czarny, drugi bia³y. Obaj trzymali laptopy. Czarny spojrze³ na zegarek rolexa. Bez względu na religijne wierzenia, z pewnością nie sk³adali lubów ubóstwa ani też nie mieli wiele wspólnego z Hare Kriszn¹.

Choć Joe znalaz³ się na pok³adzie samolotu po raz pierwszy od chwili, kiedy dowiedzia³ się o mierci Michelle i dziewczynek, a więc od roku, nie denerwowa³ się podczas lotu do Denver. Poczt¹kowo obawia³ się, że może mu się przytrafić atak l³ku i że znów zacznie przeżywać w wyobrani spądanie 747, ale po paru minutach już wiedzia³, że wszystko b³dzie dobrze.

Nie ba³ się mierci w katastrofie lotniczej. Ogarn³ęa go przewrotna myśl, że gdyby mia³ zgin¹ć w ten sam sposób co jego żona i córki, to zniós³by d³ugi lot ku ziemi ze spokojem i bez strachu, ponieważ taki los wydawa³ się d³ugo oczekiwanym powrotem do równowagi we wszechwiecie, zamknięciem otwartego kręgu, naprawieniem b³ędu.

Wi¹ksz¹ trosk¹ napawa³o go to, czego może się dowiedzieć u kresu swej podróży od Barbary Christman.

By³ przekonany, że nie bardzo wierzy³a w prywatność rozmowy telefonicznej, ale że z pewnością

pomówi z nim w cztery oczy. Naprawdę dosłyszała nutę rozczarowania w jej głosie, gdy się dowiedziała, że nie dzwoni do niej z Colorado Springs. Odniósł też wrażenie, że jej przemowa o teorii spiskowej i potrzebie terapii, choć pełna współczucia i szczerą, brzmiała tak, jakby była przeznaczona bardziej dla uszu kogoś poduchujcego niż dla niego.

Jeli Barbara Christman dwigała jakiś ciężar, który pragnęła z siebie zrzucić, to rozwiązanie tajemnicy związanej z lotem 353 było coraz bliżej.

Joe chciał znać całą prawdę, musiał ją znać, ale jednocześnie się jej obawiał. Gdyby dowiedział się, że to ludzie, nie los, byli odpowiedzialni za śmierć jego rodziny, spokój obojętności stałby się dla niego już na zawsze nieosiągalny. Poznając tę prawdę nie wzniesłby się ku wspaniałemu wiatrowi, lecz runął w otchłan mroku, chaosu, wiecznej burzy.

Wziął ze sobą kopie czterech artykułów o Teknologik, które wydrukował z komputera Randyego Colwaya. Jednakże styl kolumn poświęconych

biznesowi był tak suchy, a jego uwaga po trzech godzinach snu tak rozkojarzona, że nie potrafił się skoncentrować.

W czasie lotu nad pustynią Mohave i Górą Skalistymi drzemał niespokojnie: dwie i pół godziny enigmatycznych koszmarów, pełnych blasku lamp naftowych i elektronicznych zegarów, nie przyniosły mu zrozumienia. Wciąż budził się, spragniony odpowiedzi.

Wilgotność w Denver była niezwykle wysoka, a niebo zachmurzone. Na zachodzie wznosiły się góry, przykryte powolnymi lawinami rannej mgły.

By wypożyczyć samochód, musiał, prócz prawa jazdy, posiadać kartę kredytową jako dowód tożsamości. Dlatego zdecydował się na kaucję w gotówce, by uniknąć pozostawiania za sobą widocznego ladu.

Choć Joe nie zauważył w samolocie czy w terminalu nikogo, kto byłby nim w widoczny sposób zainteresowany, zaparkował samochód w centrum handlowym niedaleko lotniska i przeszukał go wewnątrz i na zewnątrz, pod maską i w bagażniku, chcąc znaleźć nadajnik podobny do tego, jaki poprzedniego dnia odkrył w Hondzie. Wypożyczony Ford był jednak czysty.

Oddalił się od centrum handlowego krótką trasą, sprawdzając w lusterku, czy nikt za nim nie jedzie. Przekonany, że nikogo nie zauważył, wjechał w końcu na trasę międzystanową numer 25 i ruszył na południe.

Z każdym przejechanym milą Joe, ignorując ograniczenie szybkości, coraz mocniej wciskał pedał gazu, ponieważ ogarniał go coraz silniejsze przekonanie, że jeśli nie dotrze do domu Barbary Christman na czas, znajdzie ją martwą. Z rozpatanym brzuchem. Związał. Albo z głową roztrzaskaną strzałem z pistoletu.

Kiedy dotar³ do Colorado Springs, poszuka³ adresu Barbary Christman w ksi¹żce telefonicznej. Mieszka³a w maleńkim, przypominaj¹cym skarbonkê domku z czerwonej ceg³y i z mnóstwem ozdóbek. Otworzy³a drzwi i nim Joe zd¹ły³ siê przedstawia^æ, powiedzia³a:

Zjawi³ siê pan wczynie, ni^ż siê spodziewa³am.

Pani Barbara Christman?

Nie rozmawiajmy tutaj.

Nie jestem pewien, czy wie pani, kim

Tak, wiem. Ale nie tutaj.

Gdzie?

Czy to pański samochód? spyta³a.

Ten ford? Tak.

Niech pan zaparkuje przy nastêpnej ulicy. Albo dwie ulice dalej. Proszê czeka^æ, podjadê po pana. Zamknê³a drzwi.

Joe sta³ jeszcze chwilê na ganku, zastanawiaj¹c siê, czy nie nacisn¹æ znów dzwonka. Doszed³ jednak do wniosku, że jest ma³o prawdopodobne, by chcia³a mu umkn¹æ.

Zaparkowa³ dwie przecznice dalej, na po³udnie od domu Barbary Christman, obok szkolnego boiska. Hutawki, karuzele i drabinki wieci³y w ten niedzielny poranek pustk¹. Gdyby dzieci siê tutaj bawi³y, zatrzyma³by siê gdzie indziej, by nie s³ysze^æ ich perlistego miechu.

Wysiad³ z samochodu i spojrze³ na p³noc. Barbary Christman nie by³o jeszcze wida^æ.

Joe spojrze³ na zegarek. Dziewi¹ta piê^ædziesi¹t czasu Wschodniego Wybrze^ża, tutaj godzina p³niej.

Za osiem godzin powinien by^æ z powrotem w Westwood, by spotka^æ siê z Demi i z Rose.

pi¹c¹ ulicê omi³ót³ bezg³ony niczym st¹panie kota powiew ciep³ego wiatru, szukaj¹cego w ga³êziach drzew ukrytych ptaków. Zaszleci³ liami pobliskich brzóz o pniach tak jaskrawo bia³ych jak kom³e ch³opców z kocielnego chóru.

Dzień, przyt³oczony szarobia³ym, zamglonym niebem, które na wschodzie by³o jeszcze bardziej ponure, zdawa³ siê dwiga^æ ciê^żar nadchodz¹cych wydarze^ñ. Joe poczu³ dreszcz na karku. Mia³ wra^żenie, że jest ods³oniêty jak tarcza strzelnicza.

Od po³udnia nadjecha³ chevrolet, w którym Joe dostrzeg³ trzech mê^żczyzn. Obszed³ swój samochód i na wszelki wypadek stan¹³ po stronie pasażera, kryj¹c siê w ten sposób przed

spodziewanym ogniem broni palnej. Minęli go, nie spojrzawszy nawet w jego stronę.

W minutę później szmaragdowozielonym fordem explorerem podjechała Barbara Christman. Pachniała lekko proszkiem do prania i mydłem. Zapewne kiedy zadzwoniła do jej drzwi, właśnie robiła pranie.

Kiedy odjechali sprzed szkoły, kierując się na południe, Joe spytał:

Zastanawiam się, pani Christman, gdzie pani widziała moje zdjęcie.

Nigdy nie widziałam odparcia. I proszę mi mówić po imieniu.

A więc, Barbaro skąd wiedziałam, kim jestem, kiedy otworzyła drzwi?

Już dawno nie odwiedzi mnie żaden nieznajomy. Przecież zeszłej nocy, kiedy zadzwoniła ponownie, a ja nie podniosłam słuchawki, odczekała ze trzydziestu sygnałów.

Czterdzięci.

Nawet wyjątkowo uparty człowiek dałby sobie spokój po dwudziestu. Kiedy telefon dzwonił i dzwonił, zrozumiałam, że jesteście nie tylko uparty, ale wręcz opętany. Byłam pewna, że wkrótce się zjawisz.

Miała około pięćdziesiątki i była ubrana w wypłowiałe dżinsy i białą koszulę. Na nogach sportowe buty. Gęste, jasne włosy wyglądały, jakby zajmował się nimi dobry fryzjer, ale nie stylistka. Opalona, o szerokiej, otwartej twarzy niczym złote pole pszenicy i szczerym spojrzeniu, wydawała się osobą uczciwą i godną zaufania. Joe polubił ją za profesjonalizm, jaki się w niej wyczuwał, i za pewność siebie pobrzmiewającą w jej głosie.

Kogo się boisz, Barbaro?

Nie wiem, kim są.

I tak zamierzam znaleźć odpowiedź ostrzegając ją.

Mówię ci prawdę, Joe. Nigdy nie wiedziałam, kim są. Ale pocierając za sznurki, chociaż wcześniej wydawało mi się to niemożliwe.

Chyba manipulowałam wynikami ledztwa?

Słusznie, że Rada jest wciąż godna zaufania. Ale ci ludzie sprawili, że zniknęły niektóre dowody.

Jakie dowody?

Zatrzymaj się na czerwonym świetle, odpowiedziałam pytaniem:

112

Dlaczego po tak długim czasie zaczął się co podejrzawać, Joe? Co w tej historii wydało ci się nieprawdziwe?

Wszystko wydawało się prawdziwe, dopóki nie spotkałam osoby, która przeżyła.

Wpatrywała się w niego tępo, jakby przemawiała w obcym języku.

Rose Tucker wyjaniła.

W jej piwnych oczach nie było ładnego fałszu, a głos przepełniał najczystsze zdumienie, gdy spytała:

Kto to jest?

Była na pokładzie samolotu. Wczoraj odwiedziła grób mojej żony i córek, kiedy pojechałam na cmentarz.

Niemożliwe. Nikt nie przeżył. Nikt nie zdołałby przeżyć.

Była na liście pasażerów.

Wpatrywała się w niego, oniemiała.

Poluj na nią, a teraz i na mnie, jacy niebezpieczni ludzie mówią dalej. Może ci sami, którzy ukryli dowody.

Z tyłu rozdarł się klakson. światła zmieniły się na zielone.

Barbara sięgnęła do deski rozdzielczej i zredukowała nawiew chłodnego powietrza, jakby zrobiła jej się nagle zimno.

Nikt nie przeżył upiera się. To nie była zwykła katastrofa, kiedy samolot przez jakiś czas sunie po ziemi. Na ogół istnieje większa lub mniejsza szansa, że kto przeżyje, choć zależy to od kłta uderzenia i mnóstwa innych czynników. Ale ta maszyna runęła w dół, nosem ku ziemi, prawdziwa apokalipsa.

Nosem ku ziemi? Zawsze myślałem, że się najpierw przewróciła, a dopiero później rozpadła na kawałki.

Nie czyta gazet?

Potrzebujesz głównie.

Nie mogę. Wyobrażałem sobie

Maszyna nie sunęła po ziemi, jak dzieje się zwykle w takich wypadkach powtórzyła. Spadła niemal pionowo w dół. Podobnie było w Hopwell we wrzeniu dziewięćdziesiątego czwartego. Samolot linii USAir spadł w Hopwell Township podczas rejsu do Pittsburga i został po prostu skasowany. Znalazła się na pokładzie tamtego 747 to było tak jak przykro mi, Joe, ale to tak jak stała w samym centrum wybuchu bomby. Wielkiej bomby.

Niektórych szczątków nigdy nie udało się zidentyfikować.

Nie było co identyfikować. W takich wypadkach pozostaje tylko to co gorszego, niż możesz sobie wyobrazić, Joe. Co gorszego, niż chciałby wiedzieć, uwierz mi.

Przypomniał sobie małe trumny, w których przekazano mu szczątki rodziny, a siła tego wspomnienia sprawiła, że serce w nim zamarzło i skurczyło się. Został mu w piersi tylko niewielki kamyczek.

Chodzi mi o to, że w przypadku pewnej liczby pasażerów nie znaleziono nawet szczątków. Ludzie w jednej chwili przestali istnieć. Zniknęli.

113 8 Jedyna ocalona

Nie znaleziono szczątków większości pasażerów skorygowała, skręcając w drogę stanowiącą 115 i kierując się ciśnieciem na podudnie. Niebo nad ich głowami było twarde jak stal.

Może tej Rose Tucker nie rozerwało w momencie uderzenia, jak innych. Może po prostu oddaliła się z miejsca katastrofy.

Oddaliła się?

Kobieta, którą spotkałem, nie miała żadnych widocznych uszkodzeń ciała czy blizn, nie była też kaleką. Wyglądała tak, jakby wyszła z tego bez szwanku.

Kiwając przecząco głową, Barbara upiera się:

Ona cię okłamuje, Joe. Po prostu okłamuje. Nie było jej w samolocie. Prowadzi jak obłąkaną grę. Ja jej wierzę.

Dlaczego?

Bo widziałem pewne rzeczy.

Jakie rzeczy?

Słuchaj, że nie powinienem ci tego mówić. W przeciwnym razie znajdziesz się w tarapatkach. Tak jak ja. Nie chcę narażać cię bardziej, niż to jest konieczne. Już tylko przez to, że tu przyjechałem, narobiłem ci trochę kłopotów.

Po chwili milczenia przyznała:

Musiałeś widzieć coś niezwykłego, skoro wierzysz w to, że ktoś ocalał.

To było dziwniejsze, niż możesz sobie wyobrazić.

Mimo to ja nie wierzę stwierdziła.

To dobrze. Tak jest bezpieczniej.

Wyjechali z Colorado Springs. Minęli przedmieścia i znaleli się w wiejskiej okolicy. Wszędzie widać było rancza. Na wschodzie wysokie równiny przechodziły w jałowe piaszczyzny. Na zachodzie pola i lasy podnosiły się stopniowo ku podnóżom przysłoniętych szarymi wzgórz.

Jedziemy dokąd, prawda? spyta.

Jeli chcesz w pełni zrozumieć to, co zamierzam ci powiedzieć, musisz co zobaczyć. Oderwała wzrok od drogi, by na niego spojrzeć. W jej oczach można było dostrzec niepokój i troskę. Słyszysz, że dasz radę, Joe?

Jedziemy tam.

Tak. Jeli dasz radę.

Joe zamknął oczy, starał się stłumić narastający lęk. Słyszał w wyobraniu wycie samolotowych silników.

Miejsce katastrofy znajdowało się sześćdziesiąt kilometrów na południe i nieco na wschód od Colorado Springs.

Barbara Christman wiozła go na miejsce, gdzie 747 rozbił się niczym szklane naczynie.

Jeli dasz radę powtórzysz to agodnie.

Miał wrażenie, że w jego piersi otwiera się czarna dziura.

Samochód zwolnił. Zamierzała zjechać na pobocze.

114

Joe otworzył oczy. Wiatr, nawet przefiltrowane przez burzowe chmury, wciąż jeszcze go olepiało. Się woli ogłuchnąć na ryk silników, który rozsadza mu czaszkę.

Nie poprosi. Nie zatrzymuj się. Jedmy. Nic mi nie będzie. Nie mam już nic do stracenia.

Skręcili z trasy stanowej i wjechali na szutrową drogę, a zaraz potem na polny trakt, który wiodł ku zachodowi między wysokimi topolami o gałęziach wystrzelających pionowo w niebo niczym zielony ogień. Topole ustąpiły wkrótce miejsca modrzewiom i brzoitom, a te z kolei białym sosnom. Trakt się zwężał, a las wkoło gęstniał.

Droga, pełna dziur i kolein, biegła między drzewami, jakby zmęczona i zagubiona, a w końcu przykryła się kobiercem chwastów i udała na spoczynek pod baldachimem wiecznie zielonych konarów.

Zatrzymaj wóz i gasz silnik, Barbara powiedziała:

Pójdziemy dalej piechotą. To niecały kilometr, a zarola nie jest zbyt rozroniona.

Choć las nie był tu tak gęsty i dziki jak rozległe skupiska sosen, wierków i modrzewi na otulonych szarymi wzgórzach, które majaczyły na zachodzie, cywilizacja została daleko. Posępna cisza przywodziła na myśl wnętrza katedry. Zakłócany jedynie trzaskiem gałęzi i cichym chrzęstem suchych igieł pod stopami, ten modlitewny spokój wydawał się jednak Joemu równie nieznośny jak słyszany podczas ataków lęku w wyobraniu ryk silników odrzutowych. Był to bezruch pełen niesamowitego, niepokojącego wyczekiwania.

Joe podjął za Barbarą między kolumnami drzew, pod zielonym sklepieniem. Nawet o tak późnej godzinie poranka cienie były głębokie jak w klasztornych krużgankach.

Powietrze wypełniały wiejący aromat sosen, a także spleniały zapach muchomorów i cioci leniej.

Czu³, jak przy kaźdym kroku jego cia³o g³owê, kark, grzbiet przenika aź do koci lodowaty ch³ód. Dzień by³ ciep³y, ale jemu by³o zimno.

W końcu zauważy³, że szeregi drzew zaczynaj¹ się przersedzaæ, a dalej, za ostatnimi brzozi, wy³ania się otwarta przestrzeń. Choæ las dzia³a³ na niego przyt³aczaj¹co, z niechêci¹ myla³ o porzuceniu zielonej gêstwiny, by doznaæ objawienia, które na niego czeka³o.

Roztrêsiony, pod¹aża³ za Barbar¹, mijaj¹c ostatnie drzewa i wychodz¹c na skraj ³agodnie wznosz¹cej się ³ki. Przesieka mia³a trzysta metrów z pó³nocy na po³udnie i dwa razy tyle ze wschodu na zachód, od miejsca, w którym wyszli z lasu, aź do zadrzewionego grzbietu wzgórza.

Wrak samolotu juź znikn¹³, ale miejsce wci¹ż by³o nawiedzone.

Roztopiony nieg minionej zimy i ulewne wiosenne deszcze rozpostar³y na poszarpanym, spalonym gruncie opatrunek trawy. Zielone db³a i dzikie

115

Łó³te kwiaty nie mog³y jednakże ukryæ straszliwej rany w ziemi: owalnego zag³êbienia o nierównej krawêdzi, jakie dziewięædziesi¹t na szeædziesi¹t metrów. Ten potêżny krater znajdowa³ się powyżej miejsca, w którym stali, w pó³nocnozachodniej czêci ³ki.

Miejsce uderzenia wskaza³a w tamtym kierunku Barbara Christman.

Ruszyli przed siebie, ramiê w ramiê, zmierzaj¹c ku miejscu, w którym niewyobraźalny ciêżar run¹³ ze straszliwym krzykiem z nocnego nieba wprost na ziemiê, ale Joe szybko zosta³ w tyle, a po chwili przystan¹³. Jego dusza by³a tak zraniona i przeorana bólem jak ta ³ka.

Barbara zawróci³a i bez s³owa wzię³a go za rêkê. Przyłgn¹³ do niej mocno i znów wyruszyli razem.

Gdy zbliżali się do miejsca katastrofy, zobaczy³ poczernia³e od ognia drzewa rosn¹ce wzd³uż pó³nocnego krańca ³ki, który widnia³ w tle zdjêæ zamieszczonych w Post. Niektóre sosny zosta³y odarte przez p³omienie z wszystkich igie³, ich ga³êzie przypomina³y spalone kikuty. Osiki, kruche niczym wêgiel drzewny, rysowa³y na posêpnym niebie proste, surowe wzory.

Zatrzymali się przy krawêdzi krateru; nierówne dno by³o miejscami g³êbokie na dwa piêtra. Ze stromych cian stercza³a kêpami trawa; na samym dole spod cienkiej warstwy ziemi i br¹zowych lici naniesionych przez wiatr wyziera³y kawa³ki potrzaskanego, szarego kamienia.

Uderzy³ z tak¹ si³1, że zdar³ ziemiê nagromadzon¹ przez tysi¹ce lat i naruszy³ ska³ê pod spodem.

Wstrz¹niêty moc¹ tego upadku bardziej, niź się obawia³, Joe skierowa³ wzrok na posêpne niebo. Oddycha³ z wysi³kiem.

Z mg³y nad górami wynurzy³ się orze³, lec¹c na wschód po torze tak nieub³aganie prostym jak linia na mapie. Na tle szarobia³ych chmur wydawa³ się czarny jak kruk z wiersza Poego, ale gdy przelatywa³ pod niebieskoczarnym, burzowym niebem, by³ blydy jak duch.

Joe odwróci³ się, by nie zgubiæ ptaka z oczu. Orze³ przelacia³ nad ich g³owami, a potem znikn¹³ w dali.

Samolot powiedzia³a Barbara jeszcze kiedy mija³ radiolatarniê w Goodland, mniej wiêcej sto siedemdziesi¹t mil powietrznych na wschód od Colorado Springs, trzyma³ się kursu i nie mia³ żadnych problemów. Nim skończy³ w tym miejscu lot, zd¹ży³ zboczyæ z kursu dwadziecia osiem mil.

Barbara doda³a Joemu odwagi, by towarzyszy³ jej w powolnym spacerze wokó³ krawêdzi krateru, a potem przytacza³a znane jej szczegó³y katastrofy, pocz¹wszy od startu aź do przedwczesnego końca.

Po starcie z lotniska Johna F. Kennedyego w Nowym Jorku maszyna lec¹ca do Los Angeles lot numer 353 powinna trzymać się korytarza bardziej wysuniętego na po³udnie niż ten, który obra³a tamtej sierpniowej

116

nocy. Ze względu na burze z wy³adowaniami nad Po³udniem i ostrzeżenia przed tornado szalej¹cym nad po³udniowym rodkowym Zachodem, ustalono jednak inn¹ trasę. Co ważniejsze, wiatry czo³owe w pó³nocnym korytarzu by³y znacznie ³agodniejsze niż w po³udniowym; wybór trasy o najmniejszym oporze powietrza oznacza³ skrócenie czasu lotu i oszczędno^æ paliwa. W konsekwencji pracownik nadzoruj¹cy planowanie tras lotów skierowa³ 747 na Trasę 146.

Opuciwszy lotnisko Kennedyego z zaledwie czterominutowym opó³nieniem, w czasie lotu do Los Angeles maszyna żeglowa³a wysoko nad pó³nocn¹ Pensylwani¹, Cleveland, po³udniowym brzegiem jeziora Erie i po³udniowym Michigan. Kieruj¹c się na po³udnie od Chicago, przelecia³a nad rzek¹ Missisipi, i nad Illinois, by pojawiać się nad Iow¹ na wysokości miasta Davenport. W Nebrascie, min¹wszy radiolatarnię, samolot skierowa³ się na po³udniowy zachód, ku następnej, która znajdowa³a się w Goodland, w pó³nocno-zachodnim zak¹tku Kansas.

Pognieciona czarna skrzynka, ocalona z katastrofy, ujawni³a, że mi^êdy Goodland a Blue Mesa w Colorado, gdzie znajdowa³a się następna radiolatarnia, pilot dokona³ prawidł³owej korekty lotu. Ale sto dziesięć mil za Goodland zaczę³o dzieć się co niedobrego. Cho^æ maszyna nie utraci³a wysokości ani prędkości, zaczę³a zbaczać z ustalonego kursu, lec¹c teraz na zachód po³udniowy zachód przy siedemdziesięciopięciostopniowym odchyleniu od Trasy 146.

Przez kolejne dwie minuty nic się nie wydarzy³o, a potem samolot wykona³ nag³¹ zmianę kursu o trzy stopnie w prawo, jakby pilot zacz¹³ sobie uwiadamiać, że zboczy³ z trasy. Ale w trzy sekundy później maszyna wykona³a równie gwa³towny skręt o cztery stopnie, tym razem w lewo.

Analiza wszystkich trzydziestu parametrów rejestrowanych przez czarn¹ skrzynkę zdawa³a się potwierdzać, że zmiany kursu by³y wywo³ane niestabilności¹ lotu. Ogonem zarzuci³o najpierw w lewo, potem w prawo samolot lizga³ się w powietrzu niemal jak samochód, który tańczy na oblodzonej nawierzchni.

Analiza danych po katastrofie nasunę³a też przypuszczenie, że pilot, zmieniaj¹c gwa³townie kurs, ucy³ samego steru co nie mia³o sensu. Wszystkie bez wyj¹tku prawidł³owo wykonane skręty samolotu s¹ rezultatem ruchu steru kierunku oraz lotek. Gwa³towny skręt bez ucy³cia lotek wywo³uje boczne przyspieszenie, które sprawia, że stoj¹cy akurat pasażerowie lec¹ na pod³ogę, ze stolików spada jedzenie, rozlewaj¹ się drinki, a wszystkich ogarnia panika.

Kapitan Delroy Blane i drugi pilot, Victor Santorelli, byli weteranami o wieloletnim doświadczeniu w pilotażu cywilnym. W takim wypadku skorzystaliby raczej z lotek ruchomych p³aszczyzn na tylnej krawędzi skrzyde³ które umożliwiają¹ ³agodne skręty. Ucy³liby steru tylko w przypadku awarii silnika podczas startu albo podczas l¹dowania przy silnym wietrze.

Czarna skrzynka ujawni³a też, że w osiem sekund po pierwszym incydencie samolot znów wykona³ gwa³towny skręt o trzy stopnie w lewo, a w

117

dwie sekundy później nast¹pi³ jeszcze gwa³towniejszy skręt w tę sam¹ stronę, tym razem o siedem stopni. Oba silniki dzia³ały bez zarzutu i nie spowodowały skrętów ani późniejszej katastrofy.

Gdy dziobem samolotu szarpnę³o ostro w prawo, pęd powietrza poderwa³ skrzyd³o po tej samej stronie w górę. W konsekwencji lewe skrzyd³o posz³o w dół. Podczas kolejnych z³owieszczych

dwudziestu dwu sekund samolot skręci³ o czterdzieci sześć stopni w bok, podczas gdy nachylenie dziobu osi¹gnę³o osiemdziesiąt cztery stopnie.

W niewiarygodnie krótkim czasie 747 przeszed³ od idealnie poziomego lotu do tragicznego, dos³ownie pionowego pędu ku ziemi.

Piloci o takim dowiadczeniu jak Blane i Santorelli powinni byli bezzw³ocznie skorygować skręty, nim zd¹ł³y doprowadzi^æ do miernego korkoci¹gu. A nawet jeszcze wtedy powinni bez problemu wyprowadzi^æ samolot z gromego po³ożenia, nim zamieni³o si^ê ono w nieunikniony pęd ku ziemi. W ka¹dej nieprzewidzianej sytuacji, jaka tylko przychodzi³a do g³owy psychologom, kapitan obróci³by sterem zdecydowanie w prawo i u¹ł³yby lotek, by wyrówna^æ maszynę do poziomu.

Jednakże by^æ mo¹że z powodu jakiej szczególnej awarii systemów hydraulicznych samolot run¹³ lotem nurkuj¹cym w dół. Przy w³¹czonych obu silnikach uderzy³ w ³¹k^ê niczym rakietą, wzbijaj¹c pod niebo niezliczone grudki ziemi, jakby to by³a woda, i wwierci³ si^ê w ska³ę z ogromn¹ si³¹ i z hukiem, który sprawi³, że z drzew porastaj¹cych wzgórza odleg³ego Pikes Peak zerwali si^ê ze strachem skrzydlaci mieszkańcy konarów.

Kiedy Joe i Barbara dotarli do przeciwleg³ego końca krateru, zatrzymali si^ê, stoj¹c teraz twarz¹ do pierzastych chmur na wschodzie. Nie myleli jednak o nadchodz¹cej burzy, lecz o krótkim grzmocie, który rozleg³ si^ê w tym miejscu przed rokiem.

W trzy godziny po katastrofie z lotniska w Waszyngtonie wylecieli cz³onkowie komisji specjalnej. Odbyli podró¹ż na pok³adzie odrzutowca nale¹ż¹cego do Federalnej Administracji Lotnictwa.

Tej samej nocy straż¹acy i policjanci z Pueblo County upewnili si^ê, że nikt nie ocala³, po czym zabezpieczywszy miejsce tragedii, wycofali si^ê, by nie naruszy^æ niczego, co pomog³oby cz³onkom komisji ustali^æ przyczynę katastrofy.

Przed witem komisja zjawi³a si^ê w Pueblo, które le¹ż¹a³o bli¹żej miejsca katastrofy niż Colorado Springs. Jej cz³onkowie spotkali si^ê tam z przedstawicielami FAL, którzy byli ju¹ż w posiadaniu czarnej skrzynki i magnetofonu z nagraniem g³osami za³ogi. Oba urz¹dzenia emitowa³y sygna³ pozwalaj¹cy je zlokalizowa^æ, dlatego pomimo panuj¹cej ciemności i znacznego obszaru katastrofy szybko je odnaleziono.

118

Rejestratory zapakowano do odrzutowca i odes³ano do laboratorium w Waszyngtonie wyjani³a Barbara. Os³ony stalowe by³y powa¹żnie uszkodzone, nawet podziurawione, ale mielimy nadzieję, że uzyskamy jakie informacje.

Cz³onkowie komisji zostali przewiezieni wozami terenowymi na miejsce katastrofy w celu wst^êpnych ogl^êdzin. Zabezpieczony teren si^êga³ ł¹wirowej drogi, która odchodzi³a od trasy stanowej 115. Niedaleko, po obu stronach asfaltowej drogi, sta³y wozy stra¹żackie i policyjne, ambulanse, nie odznaczaj¹ce si^ê niczym szczególnym samochody agencji federalnych i stanowych, furgonetki koronerów, a tak¹że dziesi¹tki aut i pikapów nale¹ż¹cych do r^óżnych ludzi przej^êtych tragedi¹, ciekawskich albo lubuj¹cych si^ê w makabrze.

W takich sytuacjach zawsze panuje chaos opowiada³a Barbara. Mnóstwo wozów telewizyjnych z antenami satelitarnymi. Prawie stu pi^êćdziesiątciu dziennikarzy. Jak tylko nas zobaczyli, zaczęli si^ê przepycha^æ, żeby us³ysze^æ komunikat, ale nie mielimy jeszcze nic do powiedzenia i od razu

podeszliśmy tutaj.

Jej głos nagle ucichł. Wsunęła dłoń w kieszenie dżinsów.

Nie odczuwało się nawet najmniejszych powiewów wiatru. Nad kwiatami polnymi nie unosiły się pszczoły. Otaczający polanę las był pełen nieruchomych drzew młoczków, którzy lubowali milczenie.

Joe przeniósł wzrok z cichych, czarnych od tłumionego grzmotu chmur, na krater, gdzie eksplozja uderzającego w ziemię 747 była jedynie wspomnieniem przechowywanym w głębiach pękniętej skały.

Nic mi nie jest zapewniła Barbaro, choć głos miał chrapliwy. Mów dalej. Muszę wiedzieć, jak to było.

Milczała przez kilkadziesiąt sekund, zbierając myśli i zastanawiając się, ile mu zdradzić. W końcu powiedziała:

Kiedy zjawiasz się w takim miejscu, pierwsze wrażenie jest zawsze takie samo. Zawsze. To zapach. Nie można zapomnieć tego odoru. Paliwo odrzutowe. Tłusty olej i plastik – nawet najnowsze mieszanki termoplastyczne w pewnych ekstremalnych warunkach się pali. Czuć woń zwęglonej izolacji, roztopionej gumy i spalonego ciała. Ekskrementy z rozbitych ubikacji i zwłok.

Joe, zmagając się z sobą, spojrzał w dół krateru, ponieważ wiedział, że musi stąd odejść wzmocniony, by móc szukać sprawiedliwości wbrew wszystkiemu, bez względu na potęgę przeciwników.

Zwykle mówiła dalej Barbara – nawet w największych katastrofach widzi się dostatecznie duże fragmenty samolotu, by móc na ich podstawie odtworzyć sobie jego wygląd. Skrzydło. Ogon. Długi fragment kadłuba. W zależności od kąta uderzenia spotyka się czasem nietknięty dziób samolotu i kabinę załogi.

A w tym przypadku?

Szczelki były tak drobne, tak poskręcane, tak zgniecione, że na pierwszy rzut oka nikt by nie uwierzył, iż kiedy to był samolot. Wydawało nam

119

się, że sporej części wraku po prostu brakuje. Ale wszystko leżało na tej ścieżce albo było porzucane w pewnej odległości, między drzewami na zboczu, po zachodniej i północnej stronie. Trudno jednak było znaleźć cokolwiek większego od drzwi samochodu. Wszystko, co zdołałem zidentyfikować na pierwszy rzut oka, to części silnika i trzyosobowy rząd foteli.

Czy to była najgorsza katastrofa, z jaką się zetknęła? spytał Joe.

Nigdy nie widziałem gorszej. Tylko dwie mogłyby się z nią równać – w tym katastrofa w Pensylwanii w dziewięćdziesiątym czwartym, Hopwell, samolot linii USAir, lot 427 do Pittsburga. Ta, o której ci wspominałem. Nie byłem wtedy w komisji, ale widziałem to.

A ciało? Jak wyglądały, gdy się zjawiliście?

Joe

Powiedziała, że nikt nie zdołałby przeżyć. Dlaczego jesteś taka pewna?

Wcale nie chcesz wiedzieć dlaczego. Odwróciła wzrok, kiedy spojrzał jej w oczy. Te obrazy nawiedzają cię we snach, Joe. Złóż ci duszę.

Ciała powtórzy nieustępliwie.

Odsunęła jasne włosy z twarzy. Potrząsnęła głową. Znow wsunęła dłoń do kieszeni.

Joe wciął głowę głębiej w puch powietrza, odetchnął niepewnie i powtórzył pytanie:

Ciała? Muszę wiedzieć wszystko, co tylko uda się ustalić. Każdy szczegół jest ważny. Nawet jeśli nic mi to nie da będzie podsycać mój gniew. A ja, Barbaro, potrzebuję teraz gniewu, by żyć.

Nie znalezione cia³, które by³yby nie uszkodzone.

Ani jednego?

Ani jednego, które można by okreliæ choæ w przybliæeniu jako nieuszkodzone.

Ilu pasażerów spośród trzystu trzydziestu można by³o zidentyfikowaæ znaleæ choæby parê zębów, czêci cia³, co, co pozwoli³oby stwierdzaæ, kim s¹?

Mówi³a ledwie s³yszalnym szeptem, g³osem bezbarwnym, celowo beznamiêtным.

S¹dzê, æe niewielu ponad stu.

Poprzetr¹cani, porozdzierani, poszarpani torturowa³ siê tymi okrutnymi s³owami.

Znacznie gorzej. Ca³a ta straszliwa energia uwolniona w jednej sekundzie trudno by³o nawet uznaæ te szcz¹tki za ludzkie. Istnia³o wysokie ryzyko zaraæzenia siê jak¹ chorob¹ od krwi i tkanki, musielimy wiêc siê wycofaæ i powróciæ na miejsce w odzieæy ochronnej. Kaædy fragment wraku musia³ byæ oczywicie zabrany z miejsca katastrofy i sklasyfikowany przez specjalistów wiêc aby ich ochroniaæ przed infekcj¹, zorganizowalimy przy tej æwirowej drodze cztery punkty odkaæania. Fragmenty samolotu przed odes³aniem do Pueblo teæ musia³y byæ poddane odkaæaniu.

Joe, jakby chc¹c z ca³¹ brutalnoci¹ udowodniæ sobie, æe dopóki nie do

120

wie siê prawdy, jego gniew nie bêdzie doæ silny, by wzi¹æ górê nad æalem, powiedzia³:

Ci ludzie wygl¹dali jak przepuszczeni przez maszynki do miêsa.

Dosyæ, Joe. Nie s³uchaj dalszych szczegó³ów. To ci naprawdê nie pomoæe.

Na ³¹ce panowa³a absolutna cisza. Mog³oby siê wydawaæ, æe miejsce to stanowi pocz¹tek wszelkiego Stworzenia, punkt, z którego Boæa energia, dawno temu, pop³ynê³a ku najdalszym zak¹tkom wszechwiata, pozostawiaj¹c tu jedynie milcz¹c¹ próæniê.

Dorodne pszczo³y, os³abione sierpniowym upa³em, który nie ³agodzi³ ch³odu, jaki odczuwa³ Joe, kr¹æy³y leniwie nad ³¹k¹ z kwiatu na kwiat, jakby pogr¹æone w zbiorowym nie o zbieraniu nektaru. Nie s³ysza³ bzyczenia towarzyszc¹cego zwykle tym apatycznym teraz robotnikom.

A wiêc przyczyn¹ katastrofy by³a awaria hydraulicznych systemów sterowania, ta historia ze sterem, skrêt i korkoci¹g?

Naprawdê nie czyta³e o tym?

Nie mog³em.

Moæliwoæ wybuchu bomby, anomalie pogodowe, wir wywo³any przez jaki samolot, a takæe inne czynniki zosta³y szybko wykluczone powiedzia³a. Dwudziestu dziewięciu specjalistów od budowy samolotów przez osiem miesiêcy bada³o wrak w hangarze w Pueblo, nie mog¹c ustaliæ prawdopodobnej przyczyny. Podejrzewali mnóstwo róænych rzeczy. Przede wszystkim awariê systemu komputerowego albo wadliwe zabezpieczenie drzwi. Przez jaki czas sk³aniali siê ku awarii silnika lub odwracacza ci¹gu. Ale w koñcu wyeliminowali wszystkie moæliwoci i nie podali prawdopodobnej przyczyny.

Czy to co niezwyk³ego?

Tak. Ale czasem nie jesteśmy w stanie niczego ustaliæ. Jak w przypadku Hopwell w dziewięædziesi¹tych czwartym. W dziewięædziesi¹tych pierwszym, w Colorado Springs run¹³ przy podchodzeniu do l¹dowania inny 737. Zginêli wszyscy na pok³adzie. Zdarza siê, æe nie potrafimy niczego dociec.

Joe uwiadomi³ sobie, że w tym, co powiedzia³a, jest co niepokoj¹cego: brak prawdopodobnej przyczyny.

Po chwili uderzy³a go druga myl.

Zrezygnowa³a z pracy w Radzie siedem miesiêcy temu. Tak mi powiedzia³ Mario Oliveri.

Mario. Dobry cz³owiek. Nadzorowa³ specjalistów zajmuj¹cych siê zachowaniami ludzkimi. Ale minê³o juź prawie dziewiêæ miesiêcy, jak zrezygnowa³am.

Jeli jeszcze osiem miesiêcy po katastrofie dokumentowano fragmenty samolotu to znaczy, że nie czeka³a na wyniki ledztwa, choæ by³a g³ównym inspektorem nadzoruj¹cym.

121

Nie wytrzyma³am, nie mia³am doæ si³y przyzna³a. Kiedy wszystko zaczê³o cuchn¹æ, kiedy poznika³y dowody, a ja zaczê³am robiæ wokó³ tego trochê szumu przycisnêli mnie. Z pocz¹tku chcia³am pozostae, ale nie mog³am uczestniczyæ w oszustwie. Nie mog³am teź robiæ tego, co należa³o, to znaczy podae wszystkiego do publicznej wiadomoci, wiêc siê wycofa³am. Nie jestem z tego powodu specjalnie dumna. Ale muszê o kim myleæ, Joe.

O kim myleæ? O dziecku?

O Denny. Ma teraz dwadziecia trzy lata, nie jest juź ma³y, ale gdybym go kiedykolwiek straci³a Joe wiedzia³ aź za dobrze, co chcia³a powiedzieæ.

Grozili twojemu synowi?

Choæ Barbara wpatrywa³a siê w krater, widzia³a tragediê, która mog³aby siê wydarzyæ, a nie tê, która siê tu rzeczywiście dokona³a, wyobraża³a sobie swoj¹ osobist¹ katastrofê, a nie tê, która zabra³a trzysta trzydziêci istnieñ ludzkich.

To sta³o siê dwa tygodnie po katastrofie powiedzia³a. By³am w San Francisco, gdzie przed mierci¹ mieszka³ Delroy Blane, kapitan 747. Nadzorowa³am intensywne ledztwo dotycz¹ce jego życia osobistego. Staralimy siê ustaliaæ, czy nie mia³ jakich problemów ze sob¹.

Znalelicie co?

Nie. Wygl¹da³ na faceta twardego jak ska³a. W³anie wtedy zaczê³am naciskaæ, żeby poinformowaæ opiniê publiczn¹ o znikniêciu pewnych dowodów. By³am w hotelu. Mam czujny sen. O drugiej trzydziêci nad ranem kto w³czy³ lampkê nocn¹ i przystawi³ mi do twarzy lufê rewolweru.

Po latach bezustannego czekania na wezwanie, Barbara juź dawno siê nauczy³a, jak szybko otrz¹sn¹æ siê ze snu. Obudzi³a siê na pstrykniêcie lampy i nag³y strumieñ wiat³a, tak jak obudzi³aby siê na dzwonek telefonu: od razu przytomna i czujna.

Mog³a krzykn¹æ na widok intruza, ale szok odebra³ jej mowê i st³umi³ oddech.

Uzbrojony mêt¹czyzna, oko³o czterdziestki, mia³ wielkie smutne oczy psa goñczego, czerwony od na³ogowego picia nos i zmys³owe usta, zawsze pó³otwarte, jakby w oczekiwaniu na kolejn¹ przyjemnoæ, której nie umia³y siê oprzeæ papierosa, whiskey, ciastko albo kobiec¹ pier.

Mówi³ g³osem cichym i pe³nym wspó³czucia jak w³aciciel zak³adu pogrzebowego ale pozbawionym ob³udy. Wyjani³, że do lufy pistoletu dokrêcony jest t³umik, i zapewni³ Barbarê, że jeli zechce wezwae pomocy, on przestrzeli jej mózg bez obawy, że kto móg³by to us³yszeæ.

Próbow³a spytaæ, kim jest, czego chce.

Uciszy³ j¹ i przysiad³ na brzegu ³óka.

Powiedzia³, że osobicie nic przeciwko niej nie ma i że by³oby dla niego przygnębiaj¹ce, gdyby musiał³ j¹ zabiæ. Poza tym gdyby znaleziono martwego inspektora zajmuj¹cego się katastrof¹ 747, od razu zaczęto by zadawaæ k³opotliwe pytania. A jego szefowie, kimkolwiek byli, nie życzyli sobie k³opotliwych pytañ nie teraz i nie w tej sprawie.

Barbara uwiadomi³a sobie, że w pokoju znajduje się jeszcze jeden męczyzna. Sta³ w k¹cie obok drzwi do ³azienki, po drugiej stronie ³ółka.

By³ o dziesięt lat m³odszy od tego pierwszego. G³adka, różowa twarz i oczy ministranta sprawia³y, że roztacza³ wokó³ siebie aurę niewinności, jednak niepokoj¹cy umiech, który pojawia³ się i nikn¹³ niczym drgaj¹cy język wê¹za, zadawa³ k³am pierwszemu wrażeńiu.

Starszy męczyzna ci¹gn¹³ z Barbary pociel i poprosi³ grzecznie, by wsta³a z ³ółka. Powiedzia³, że jest kilka spraw, które musz¹ jej wyjaniaæ. Chc¹ byæ pewni, że jest dostatecznie czujna i uważna, gdyż od tego, czy ich zrozumie i uwierzy im, zależy ludzkie życie.

Ubrana w piżamę, sta³a pos³usznie, podczas gdy m³odszy, umiechaj¹c się co chwila, podszed³ do biurka, odsun¹³ krzes³o i postawi³ je przed ³ółkiem. Usiad³a, tak jak jej kazano.

Zastanawia³a się, jak dostali się do rodka, ponieważ zamknę³a się na zamek i ³añcuch. Spostrzeg³a jednak, że drzwi między jej pokojem a s¹siednim oba pomieszczenia w razie potrzeby mogą by³o po³czyæ w jeden apartament s¹ otwarte. Zagadka pozosta³a jednak nie rozwi¹zana, gdyż Barbara mog³aby przysi¹c, że kiedy k³ad³a się spaæ, drzwi od strony jej pokoju by³y zamknięte na zasuwkê.

Starszy na skinienie m³odszego wyci¹gn¹³ rolkê tamy klej¹cej i nożyczki. Przywi¹za³ nadgarstki Barbary do poręczy fotela, omotuj¹c je kilkakrotnie.

Choæ unieruchomiona i bezradna ba³a się, jednak nie stawia³a oporu, gdyż by³a przekonana, że jeli spróbuje to uczyniaæ, męczyzna o smutnych oczach spe³ni sw¹ grobê i strzeli jej prosto w g³owê. Smakowa³ zmys³owymi ustami s³owa: przestrzeliaæ mózg, jak czekoladki z bombonierki.

Kiedy m³odszy zaklei³ jej usta tam¹, któr¹ dodatkowo obwin¹³ dwukrotnie wokó³ g³owy, czu³a przez chwilê panikê, ale szybko odzyska³a panowanie nad sob¹. Nie zamierzali zas³oniaæ jej nosa, przez co mog³aby się udusiaæ. Gdyby zjawili się tu po to, by j¹ zabiæ, ju¹ dawno by nie ży³a.

Z gasn¹cym co chwila umiechem na twarzy m³odszy powróci³ do swojego k¹ta, a starszy usiad³ na ³ółku naprzeciwko Barbary. Ich kolana dzieli³o od siebie nie wiêcej ni¹ kilka centymetrów.

Od³oży³ na zmiêt¹ pociel pistolet i wyj¹³ z kieszeni nó¹ sprê¹zynowy. Otworzy³ go.

Znów czuj¹c strach, Barbara mog³a tylko oddychaæ, oddychaæ p³ytko i szybko. wist dobywaj¹cy się z jej nosa rozbawi³ męczyznê, który przy niej siedzia³. Z drugiej kieszeni wyci¹gn¹³ okr¹g³y kawa³ek goudy. Pos³uguj¹c się no¹zem, usun¹³ celofanowe opakowanie, a nastêpnie ci¹gn¹³ czerwony wosk chroni¹cy ser przed pleni¹. Bior¹c ostro¹nie ustami cienkie, żó³te pla

stry wprost z ostrej jak brzytwa stali, powiedzia³ Barbarze, że wie, gdzie mieszka i pracuje jej syn, Denny. Poda³ adres.

Wiedzia³ te¹, że Denny jest od trzynastu miesiêcy, dziesięciu dni i tu spojrz³ na zegarek, obliczaj¹c co piêtnastu godzin żonaty z Rebek¹. Wiedzia³, że Rebeka jest w szóstym miesi¹cu ci¹ży, swojej pierwszej ci¹ży, że ma się urodziæ dziewczynka i że zamierzaj¹ daæ jej na imiê Felicja.

By zapobiec nieszczêciom, jakie mog¹ przydarzyæ się Dennyemu i Rebecce, Barbara mia³a zaakceptowaæ oficjaln¹ wersjê ustaleñ komisji dotycz¹cych tamy z nagranyimi g³osami za³ogi wersjê, któr¹ w dyskusjach z kolegami odrzuci³a i któr¹ zamierza³a publicznie zdyskredytowaæ. Mia³a te¹

zapomnieæ o tym, co us³ysza³a w tych nagraniach.

Gdyby jednak nadal szuka³a prawdy albo próbowa³a przekazaæ swe w¹tpliwoçi prasie czy opinii publicznej, Denny i Rebeka by zniknêli. W jakim g³êbokm schronie, dwiêkoszczelnym i wyposażonym we wszystko, co jest potrzebne do prowadzenia d³ugich i ¼mudnych przes³uchañ, ten starszy wraz ze swymi wspólnikami zakuliby Dennyego w kajdanki i zmusili ch³opaka do patrzenia, jak bêd¹ zabijaæ Rebekê i nie narodzone dziecko.

Nastêpnie obcinaliby mu po jednym palcu dziennie przez dziesiêæ dni zapobiegaj¹c krwawieniu, szokowi i infekcji. Nie pozwoliliby mu straciæ przytomności. Jedenastego i dwunastego dnia obciêliby mu uszy.

Plan chirurgicznych zabiegów obejmowa³ ca³y miesi¹c.

Ka¿dego dnia, odejmuj¹c Dennyemu po kawa³ku cia³a, przysiêgaliby, ¼e go uwolni¹ bez dalszej szkody, jeli tylko jego matka zgodzi siê dochowaæ milczenia, które, jak by nie by³o, le¿y w interesie narodowym, chodzi bowiem o niezwykle wa¿ne sprawy obronności.

Wiedzia³a, ¼e nie mo¿e im wierzyæ bez zastrze¿eñ. Uwaga o interesie narodowym by³a z pewności prawdziwa, przynajmniej z ich punktu widzenia, choæ oczywicie nie mogli jej wyjaniaæ, w jakim stopniu wiedza, któr¹ posiada³a, mo¿e zagroziæ pañstwu. Na pewno natomiast nie by³o prawd¹, ¼e jej wspó³praca doprowadzi³aby do uwolnienia Dennyego. Gdyby choæ raz z³ama³a lub milczenia, nie dano by jej ju¿ drugiej szansy, i straci³aby syna na zawsze. Oszukiwaliby Dennyego tylko po to, by spêdzi³ ostatni miesi¹c ¼ycia zastanawiaj¹c siê, dlaczego jego matka skazuje go na straszliwe cierpienia i przera¿aj¹ce kalectwo. Tu¿ przed koñcem, na wpó³ ob³1kany, przekl¹³by j¹ ¼arliwie i b³aga³ Boga, by pozwoli³ zgniaæ jej w piekle.

Starszy mê¼czyzna, wycinaj¹c nieprzerwanie z kawa³ka goudy ma³e kr¹¼ki, a potem zjadaj¹c je z niebezpiecznego ostrza, zapewni³ j¹, ¼e nikt ani policja, ani m¹dre w powszechnej opinii FBI, ani nawet potê¿na Armia Stanów Zjednoczonych nikt nie mo¿e bez koñca ochraniaæ Dennyego i Rebeki, nie mo¿e zapewniaæ im bezpieczeñstwa. Zatrudnia³a go, jak utrzymywa³, organizacja o nieprzebranych zasobach i rozleg³ych powi¹zaniach, zdolna skompromitowaæ i obaliaæ jak¹kolwiek instytucjê czy agencjê, federaln¹ b¹d stanów¹.

Poprosi³, by skinê³a g³ow¹, jeli mu wierzy.

Wierzy³a mu. Bez zastrze¿eñ. Jego uwodzicielski g³os, którym zdawa³ siê wrêcz smakowaæ ka¿d¹ z tych odra¿aj¹cych grób, by³ przepojony pewności siebie i zarozumia³oci¹ megalomana nosz¹cego odznakê jakiej tajnej s³u¿by, otrzymuj¹cego wysok¹ pensjê plus liczne dodatki i wiedz¹cego, ¼e na staroæ bêdzie korzysta³ z dobrodziejstwa hojnej, pañstwowej emerytury.

Spyta³ nastêpnie, czy Barbara zamierza z nimi wspó³pracowaæ.

Przepe³niona poczuciem winy i poni¿ona, skinê³a g³ow¹. Tak. Zamierza wspó³pracowaæ. Tak.

Studiuj¹c uwa¿nie blady i owalny kawa³ek sera, który przypomina³ maleñki filet rybny, stwierdzi³, ¼e chce przekonaæ j¹ o swej determinacji, by dochowa³a przyrzeczenia, które w³anie z³o¿y³a. A zatem on i jego partner, wychodz¹c z hotelu, wybior¹ na chybi³ trafi³ jakiego pracownika albo mo¿e gocia kogo, kto przypadkiem znajdzie siê na ich drodze i zabij¹ go na miejscu. Trzema strza³ami dwoma w pier i jednym w g³owê.

Barbara, og³uszona, zaprotestowa³a wykrzywiaj¹c twarz, by pozbyæ siê tamy. Ale tama by³a mocno zaciniêta, a wargi klei³y siê do samoprzylepnego materia³u, mog³a wiêc tylko wydaæ z siebie pe³en udrêki, zduszony, niezrozumia³y jêk b³agania. Nie chcia³a byæ winna niczyjej mierci. Zamierza³a wspó³pracowaæ. Nie ma potrzeby jej przekonywaæ. Nie ma potrzeby. Wierzy³a g³êboko

w ich s³owa.

Ani na chwilê nie spuszcza¹c z niej oczu, mê¹czyzna ko³ńczy³ powoli i w milczeniu swój kawa³ek sera.

Jego niewzruszone spojrzenie zdawa³o siê posiadaæ moc przyci¹gania, która pozbawia³a j¹ wszelkiej energii. Nie potrafi³a odwróciæ oczu.

Kiedy zjad³ ostatni kawa³ek, otar³ ostrze no¹ża o przeciera³o i z³o¹czy³ je, po czym wsadzi³ broń z powrotem do kieszeni.

Cmokaj¹c przez zêby i przesuwaj¹c powoli jêzykiem po ustach, pozbiera³ dziurawe kawa³ki celofanu i resztki czerwonego wosku. Podniós³ siê z ³ó¹łka i wrzuci³ miêci do kosza stoj¹cego przy biurku.

M³odszy mê¹czyzna wynurzy³ siê z ciemnego k¹ta. Jego nieznaczny, lecz ¹zywy umiech nie znika³ ju¹, jak poprzednio; teraz goci³ na jego wargach bezustannie.

Barbara mimo zaklejonych ust znów próbowa³a zaprotestowaæ przeciwko zamordowaniu niewinnego cz³owieka, gdy starszy podszed³ do niej i uderzy³ j¹ kantem d³oni w szyjê.

Przed oczami rozla³a jej siê roziskrzona ciemnoæ. Zaczê³a pochylaæ siê do przodu. Poczua³ chybotanie fotela. Nim runê³a na dywan, by³a ju¹ nieprzytomna.

Przez jakie dwadziecia minut ni³a o odciêtych palcach zakonserwowanych w czerwonym wosku od sera. Twarze o barwie krewetek wykrzywia³ s³aby umiech, jasne jak per³y zêby toczy³y siê i podskakiwa³y po pod³odze, ale w czarnej, przypominaj¹cej sierp czeluci miêdzy wygiêtymi wargami pojawia³y siê nowe per³y, a oczy niewinnego ch³opca-ministranta mruga³y niebiesko. By³y te¹ oczy psów go¹nczych, czarne i lni¹ce niczym pijawki, w

których ujrza³a nie swoje w³asne odbicie, lecz wykrzywion¹ w krzyku twarz Dennyego. Jej syn by³ pozbawiony uszu.

Kiedy odzyska³a przytomnoæ, siedzia³a bezw³adnie na fotelu, który znów sta³ prosto. Który z mê¹czyzn, m³odszy albo starszy, ulitowa³ siê nad ni¹.

Jej nadgarstki by³y przymocowane do porêczy w taki sposób, by mog³a siê wyswobodziæ. Potrzebowa³a niespe³na dziesiêciu minut, by uwolniæ praw¹ rêkê, i znacznie mniej, by wysun¹æ spod wiêzów lew¹.

No¹zyczkami do paznokci przeciê³a tamê oklejaj¹c jej g³owê. ci¹gnê³a j¹ ostro¹cznie z ust. Ba³a siê, ¹e zerwie sobie skórê na wargach. Niepotrzebnie, jak siê okaza³o.

Uwolniona z wiêzów, mog¹c swobodnie mówiaæ, po chwili sta³a przy telefonie ze s³uchawk¹ w rêku. Ale nie bardzo wiedzia³a, do kogo mog³aby zadzwoniaæ, wiêc da³a sobie spokój.

Nie by³o sensu powiadamiaæ szefa nocnej zmiany w hotelu, ¹e jeden z jego podw³adnych albo goci jest w niebezpieczeństwie. Jeli tamten, chc¹c postraszyæ j¹ bezmylnym, przypadkowym mordem, wprowadzi³ grobê w czyn, to zd¹czy³ ju¹ poci¹gn¹æ za spust i wraz ze swym kompanem opu³ci hotel co najmniej pó³ godziny wczyniej.

Krzywi¹c siê z powodu pulsuj¹cego bólu w szyi, podesz³a do drzwi, które ³czy³y jej pokój z s¹siednim. Otworzy³a je i obejrza³a dok³adnie. Specjalne urz¹dzenie umo¹żliwia³o dostêp do mechanizmu zasuwki od zewn¹tr. Lni¹ca, miedziana blaszka wygl¹da³a jak nowa. Barbara by³a pewna, ¹e mê¹czyzna z pistoletem i jego kompan przymocowali j¹ do drzwi krótko przed jej przybyciem do hotelu. Zrobili to sami albo przy pomocy pracownika hotelu. Recepcjonista na dole zosta³ zapewne przekupiony albo nak³oniony, by daæ jej w³anie ten pokój.

Barbara nigdy nie pi³a zbyt du¹o, ale teraz znalaz³a w barku dwie miniaturowe buteleczki z wódk¹

i butelkê soku pomarańczowego. Rêce drżają jej tak bardzo, że z trudem zdoła nalać alkohol i sok do szklanki. Wypiła mieszankę jednym haustem, otworzyła drugą buteleczkę, przyrządziła sobie jeszcze jednego drinka, yknęła po czym pobiegła do azienki i zwymiotowała.

Czuła się brudna. Do witu pozostała niecała godzina, wzięła więc długi prysznic, nacierała się energicznie w strugach gorącej wody. W końcu skóra jej poczerwieniała i zaczęła piec nieznośnie.

Choć wiedziała, że to bezsensowne zmieniać hotel, że jeśli tylko zechce, znajdzie ją bardzo szybko, nie mogła zostać dłużej w tym miejscu. Spakowała się i w godzinę po pierwszych promieniach brzasku zeszła do recepcji, żeby zapłacić rachunek.

Elegancki hol był pełen policjantów z San Francisco funkcjonariuszy w mundurach i detektywów po cywilnemu. Od zdumionego pracownika dowiedziała się, że kilka minut po trzeciej nad ranem w przejściu służbowym obok kuchni zastrzelono młodego kelnera. Dostał dwa razy w pierś i raz w głowę. Ciało znaleziono dopiero po pewnym czasie, gdy, o dziwo, nikt nie słyszał strzałów.

126

Pod wpływem strachu, który popychał ją niczym brutalna dłoń, wymeldowała się. Wzięła taksówkę i pojechała do innego hotelu.

Dzień był jasny, a niebo błękitne. Słynna, typowa dla tego miasta mgła cofała się znad zatoki w stronę mostu Golden Gate. Barbara widziała jego fragment z okna swego pokoju.

Była inżynierem, specjalistką od aeronautyki, i pilotem. Uzyskała też dyplom z zarządzania na uniwersytecie Columbia. Pracowała ciężko, by zostać jedyną kobietą-inspektorem współpracującą z Radą Bezpieczeństwa. Odkąd przed siedemnastu laty porzuciła ją matka, sama wychowywała Dennego, i to wychowywała dobrze. A teraz zdawała się, że wszystko, co osiagnęła, tkwi w ręku mężczyzny o smutnych oczach, wepchnięte w celofan między kawami czerwonego wosku, by w końcu znaleźć się w koszu.

Odwoławszy wszystkie spotkania tego dnia, Barbara powiesiła na klamce od drzwi tabliczkę z napisem Nie przeszkadzać. Zacięła zasłony i skuliła się na łóżku.

Porażający strach przemieniła się po chwili w smutek. Myślała o zabitym kelnerze, którego imienia nie znała, o Dennym, Rebecce i nie narodzonej Felicji, których życie wisiało na włosku, nie mogła powstrzymać łez. Płakała, myślała o utraconej niewinności i szacunku wobec samej siebie, a także o trzystu trzydziestu ludziach na pokładzie 747, o niespełnionej nadziei i o tym, że sprawiedliwoci nie stanie się zadość.

Nad głowę zawył niespodziewanie wiatr, bawiła się starymi, suchymi liśćmi osiki jak diabeł, który liczy dusze, by potem cisnąć je do piekła.

Nie mogła się na to zgodzić powiedział Joe. Nie mogła się zgodzić, by mi zdradził, co jest na tamie z kabiny pilotów, jeśli istnieje choć cień ryzyka, że twój syn i jego rodzina wpadną w ręce tych ludzi.

Decyzja nie zależy od ciebie, Joe.

Ważnie jest tak.

Kiedy zadzwoniła z Los Angeles, udawała głupią, ponieważ zakładałam, że mój telefon jest na podsłuchu, że nagrywa się każde słowo. Prawdę mówiłam jednak, nie bardzo w to wierzę. Nie sładzę, by uważali to za konieczne, skoro wiedzą, że mnie już uciszeli.

Jeli istnieje choćby cień ryzyka

Wiem na pewno, że nie jestem ledzona. Mój dom nie znajduje się pod obserwacją¹. Dawno już bym zauważyła. Kiedy wycofałam się ze ledztwa, przeszłam na wcześniejszą emeryturę, sprzedałam dom w Bethesda i wróciłam do Colorado Springs, po prostu mnie skrelili, Joe. Byłam zaangażowana i oni o tym wiedzieli.

Nie sprawiasz wrażenia zaangażowanej.

Poklepała go po ramieniu, wdzięczna za komplement.

127

Jako się pozbierałam. W każdym razie, jeli cię nie ledzili

Nie ledzili. Zgubiłam ich wczoraj i dziś rano nikt się za mną nie przywłókł na lotnisko.

Więc nikt nie wie, że tu jesteśmy i że mówi ci to wszystko. Proszę tylko, żeby nigdy się nie przyznawała, że usłyszała to ode mnie.

Nie zrobiłbym ci tego. Ale mimo wszystko podejmujesz ogromne ryzyko martwi się.

Miałam dość czasu, żeby to sobie przemyśleć, żeby nauczyć się z tym żyć i wydaje mi się Pewnie myślę, że powiedziałam co Dennyemu, by zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa i był ostrożny.

A powiedziałam mu?

Ani słowa. Jakie by były ich życie, gdyby wiedzieli?

Nie mieliby ani chwili spokoju.

Ale i teraz dopóki wszystko pozostaje w tajemnicy, życie Dennyego, Rebeki, Felicji i moje wisi na włosku. Nasza jedyna nadzieja w tym, że kto inny to rozdmucha, a wtedy to, że wiem cokolwiek, nie będzie już miało znaczenia.

Chmury burzowe widać było teraz nie tylko na wschodzie. Niczym armada statków kosmicznych w filmie o futurystycznej wojnie, z białej mgły nad ich głowami wyłaniały się powoli złowieszcze czarne obłoki.

W przeciwnym razie cięgnęła Barbara za rok albo dwa, nawet jeli zachowam milczenie, postanowiła zaangażować wszystko raz na zawsze. Szum wokół katastrofy ucichnie i nikt nie skojarzy z nią mojej śmierci. Albo śmierci Dennyego czy paru innych. Nikt nie będzie niczego podejrzewał, jeli co się przytrafi tym, którzy dysponują jakimiś informacjami. Ci ludzie, kimkolwiek są zabezpieczą się, pozorując wypadek samochodowy albo pożar. Lipne zaangażowanie, które będzie przykrywką dla morderstwa. Samobójstwo.

Joemu mignęły przed oczami koszarne obrazy Lisy w promieniach, martwej Georgine na podłodze kuchni, Charliego w blasku krwawoczerwonego wiatra.

Nie mógł się nie zgodzić z Barbarą. Prawdopodobnie miała rację.

Na zachmurzonym niebie, które lada chwila miało zagrznieć, ukazywały się grone oblicza: lepe i rozdziawione, dawały się gniwem.

Barbara uczyniła pierwszy, nieuchronny krok ku prawdzie, gdy zaczęła mówić:

Czarna skrzynka i magnetofon z nagraniem głosami pilotów przetransportowano na pokładzie odrzutowca do Waszyngtonu i dostarczono do laboratorium przed trzecim czasem wschodniego następnego dnia po katastrofie.

A ty wciąż byś tutaj?

Zgadza się. Minh Tran, inżynier elektronik, wraz z kilkoma kolegami otworzyli rejestrator. To urządzenie wielkości pudełka po butach jest schowane w obudowie z nierdzewnej stali o grubości centymetra. Przecielił je ostrożnie za pomocą specjalnej piły. Pod wpływem uderzenia stal zgniotła się jak tektura, a jeden z rogów uległ zmianie, co doprowadziło do przebicia osłony i uszkodzenia.

Ale wciąż działa?

Nie. Urządzenie zostało całkowicie uszkodzone. Ale wewnątrz większego pudełka znajduje się stalowy moduł pamięciowy, który zawiera taśmę. On także został przedziurawiony. Do środka przedostała się niewielka ilość wilgoci, ale taśma nie uległa całkowitemu zniszczeniu. Trzeba było ją wysuszyć, poddać obróbce. Nie trwało to długo i Minh wraz z kilkoma innymi zebrali się w dwukioszelnym pokoju, żeby ją przesłuchać. Były tam nagrane trzy godziny rozmów załogi poprzedzających katastrofę

Czy w takich wypadkach nie przewija się taśma do samego końca, żeby wysłuchać paru ostatnich minut?

Nie. Wszystko, co wydarzyło się wcześniej, nawet jeśli pilotom wydawało się bez znaczenia, może dostarczyć wskazówki, które pozwolą lepiej zrozumieć materiał nagrany bezpośrednio przed katastrofą samolotu.

Wciąż nasilają się ciepły wiatr przeszkadza sennym pszczołom w ich leniwej wędrówce po kwiatkach. Oddają się nieuchronnej burzy i ruszą ku ukrytym w lesie gniazdom.

Czasem dostajemy taśmę, która jest prawie bezużyteczna cięgnęła Barbara. Jakość nagrania bywa z takiego czy innego powodu kiepska. Zdarza się też, że taśma jest stara albo pocierana. Trafiają się mikrofony starego typu, takie trzymane w ręku, które w warunkach zbyt silnych wibracji nie działają jak należy. Albo głośnica magnetofonu jest starta i powoduje zniekształcenia.

Zawsze się dba o te urządzenia na bieżąco, wymienia co tydzień. To dość ważne.

Pamiętaj, że samoloty spadają stosunkowo rzadko, jeśli wzięte pod uwagę częstotliwość lotów. W grę wchodzi opóźnienia startów i inne koszty. Pasażerski ruch lotniczy to rezultat ludzkiej działalności, Joe. A jaka ludzka działalność jest bliska ideałowi?

Rozumiem.

Tym razem było dobrze i le powiedziała. Obaj, Delroy Blane i Santorelli, mieli tuż przy ustach naprawdę dobre mikrofony. Był jeszcze mikrofon stacjonarny zainstalowany w kabinie, nad głośnikami pilotów. Mielimy więc potrójny materiał do analizy. Po stronie minusów trzeba zapisać to, że taśma nie była nowa. Wielokrotnie nagrywana i bardziej zniszczona, niż się spodziewaliśmy. Co gorsza, wilgoć, która przedostała się do magnetofonu, spowodowała uszkodzenia. Wycięgnęła z tylnej kieszeni spodni złoconą kartkę, ale nie od razu dała ją Joemu. Podczas przesłuchiwania taśmy Minh Tran i inni stwierdzili, że chwilami nagranie jest wyrwane, a chwilami

129 9 Jedyna ocalona

pełne szumów i zakłóceń, tak że dawało się zrozumieć zaledwie jedno na cztery czy pięć słów.

A ostatnia minuta?

To fragment z najsilniejszymi zakłóceniami. Postanowiono oczyścić i zrekonstruować taśmę. Nagranie miało być poddane obróbce elektronicznej, by wyciągnąć z niego, co się da. Bruce Laceroth, szef Wydziału ledczego, też przesłuchał taśmę, a potem zadzwonił do mnie, do Pueblo, o siódmej piętnacie czasu wschodniego, żeby powiedzieć mi o jakości nagrania. Przerwali słuchanie wieczorem i odwołali je do rana. To była zbyt przygnębiająca robota.

Wysoko w górze, wracaj¹c od wschodu, znów pojawi³ siê orze³, blady na tle brzemiennych ob³oków. Wci¹¿ lecia³ prosto jak strza³a, jego skrzyd³a przygniata³ zwiastun nadci¹gaj¹cej burzy.

Ca³y ten dzieñ by³ oczywicie przygnêbiaj¹cy mówi³a Barbara. ci¹gnêlimy z Denver furgonetki-
ch³odnie, by pozbieraæ z miejsca katastrofy wszystkie szcz¹tki ludzkie, co nale³za³o zrobiaæ przed
przyst¹pieniem do badania samej maszyny. Odby³o siê zwyk³e w takich sytuacjach spotkanie
organizacyjne, zawsze doæ wyczerpuj¹ce, gdy¹ ka¹dy z uczestników przedstawiciele linii lotniczych,
producenta samolotu, dostawcy jednostek napêdowych, zwi¹zku pilotów i mnóstwo innych osób
pragnie za wszelk¹ cenê nagi¹æ procedurê do swoich potrzeb. Taka ju¹ jest natura ludzka, ¿e w
podobnych sytuacjach prezentuje siê z nie najlepszej strony. Trzeba siê wiêc wykazaæ odrobin¹
dyplomacji, ale i stanowczoci¹, by wszystko odby³o siê w mo¹liwie bezstronny sposób.

By³y te¹ media doda³, by nie musia³a wyrażaæ siê niepochlebnie o jego kolegach po fachu.

Wszêdzie. W ka¹dym razie poprzedniej nocy przespa³am nieca³e trzy godziny, kiedy zbudzi³ mnie
telefon z informacj¹ o katastrofie, w czasie lotu do Pueblo te¹ nie mia³am okazji siê zdrzemn¹æ.
Czu³am siê kompletnie wypluta, kiedy krótko przed pó³noc¹ zwali³am siê na ³ó¹ko, ale Minh Tran,
który by³ z powrotem w Waszyngtonie, wci¹¿ pracowa³.

Ten in¹żynier, który zajmowa³ siê nagraniami?

Wpatruj¹c siê w zwiniê¹ kartkê, któr¹ wyci¹gnê³a z kieszeni, i obracaj¹c j¹ w d³oniach, Barbara
powiedzia³a:

Powiniene co o nim wiedziaæ. Jego rodzina to uciekinierzy z Wietnamu. Prze¹żyli rz¹dy
komunistów po upadku Sajgonu i atak piratów na morzu, nawet tajfun. Mia³ wtedy dziesiê¹æ lat, wiêc
stosunkowo wczesne zrozumia³, ¿e ¿ycie to twarda walka. Te aby przetrwaæ i co osi¹gn¹æ, trzeba
dawaæ z siebie wszystko.

Mam przyjació³ mia³em przyjació³, którzy pochodzili z Wietnamu powiedzia³ Joe. Ich kultura
budzi szacunek. Wielu z nich ma bardzo wysokie pojêcie o etyce pracy, haruj¹ tak, ¿e wykoñczyliby
konia poci¹gowego.

Zgadza siê. Kiedy wszyscy inni po siódmej poszli do domu, mieli ju¹ za sob¹ bardzo d³ugi dzieñ.
Ludzie z Rady s¹ oddani swojej pracy ale daleko im do Minha. Nie przerwa³ roboty. Upichci³ sobie
jak¹ kolacjê i za

bra³ siê za czyszczenie tamy i analizê ka¹dej nagranej minuty. Dokona³ cyfrowej obróbki nagrania,
wprowadzi³ dane do komputera, a nastêpnie stara³ siê wyeliminowaæ szумы i inne zak³ócenia, by
uzyskaæ zapis g³osów pilotów i autentycznych dwiêków s³yszanych na pok³adzie samolotu. Okaza³o
siê, ¿e komputer mo¹¿e szybko usun¹æ wszystko, co niepotrzebne. Poniewa¹¿ mikrofony przekazywa³y
bardzo silny sygna³, Minh zdo³a³ wyodrêbniæ z szumów g³osy pilotów. To, co us³ysza³, by³o
niezwyk³e. Niesamowite.

Poda³a Joemu z³o¹on¹ kartkê papieru.

Wzi¹³ j¹, ale nie rozwin¹³. Ba³ siê poznaæ jej treæ.

O trzeciej piêædziesi¹t rano czasu waszyngtoñskiego, czyli o pierwszej piêædziesi¹t w Pueblo,
Minh zadzwoni³ do mnie opowiada³a Barbara. Uprzedzi³am wczesniej telefonistkê z hotelu, ¿eby
mnie z nikim nie ³¹czy³a, strasznie potrzebowa³am snu, ale Minh zdo³a³ j¹ jako przekonaæ. Odtworzy³
mi tamê i przedyskutowalimy jej zawartoæ. Zawsze mam przy sobie magnetofon, bo lubiê nagrywaæ
ró¹ne spotkania i potem wszystko spisywaæ. Przystawi³am wiêc mikrofon do s³uchawki. Nie
chcia³am czekaæ, a¹ Minh przyle mi tamê przez kuriera. Kiedy Minh siê wy³¹czy³, usiad³am przy
biurku i wys³ucha³am ostatniej rozmowy miêdzy pilotami z dziesiê¹æ albo dwanacie razy. Potem

zapisa³am wszystko, gdy¿ pewne rzeczy wygl¹daj¹ inaczej, kiedy siê je czyta, a inaczej, kiedy siê ich s³ucha. Zdarza siê, ¿e oczy dostrzegaj¹ pewne niuanse, które umykaj¹ uszom.

Joe ju¿ wie³, co trzyma w rêku. Zapiski Barbary liczy³y trzy kartki papieru.

By³am pierwsz¹ osob¹, do której Minh zadzwoni³ powiedzia³a Barbara. Zamierza³ zatelefonowaæ do Brucea Lacertha, potem do przewodnicz¹cego i wiceprzewodnicz¹cego Rady, a mo¿e nawet do wszystkich piêciu jej cz³onków, ¿eby ka¿dy móg³ wys³uchaæ tamy osobicie. Nie by³o to zgodne ze standardow¹ procedur¹, ale mielimy do czynienia z dziwn¹ i bezprecedensow¹ sytuacj¹. Jestem pewna, ¿e Minh po³¹czy³ siê przynajmniej z jedn¹ z tych osób, choæ wszyscy zaprzeczali, jakoby siê z nimi kontaktowa³. Nigdy siê nie dowiemy, jak by³o, gdy¿ Minh Tran zgin¹³ w po¿arze, jaki wybuch³ w laboratoriach tu¿ przed szóst¹ rano, mniej wiêcej dwie godziny po tym, jak zadzwoni³ do mnie, do Pueblo.

Jezu.

To by³ wielki po¿ar. Nieprawdopodobnie du¿y.

Wodz¹c wzrokiem po drzewach otaczaj¹cych s¹kê, Joe spodziewa³ siê dostrzec blade twarze obserwatorów ukrytych w g³êbokich cieniach lasu. Na pocz¹tku, kiedy siê tu zjawili, miejsce wyda³o mu siê dziwnie samotne, ale teraz czu³ siê ods³oniêty i bezbronny jak na rodku skrzy¿owania w Los Angeles.

131

Niech zgadnê: oryginalna tama z kabiny pilotów uleg³a w po¿arze zniszczeniu? domyli³ siê Joe.

Przypuszczalnie spali³a siê na popió³, w ka¿dym razie zniknê³a bez ladu, nie ma jej, do widzenia odpar³a Barbara.

A komputer, który przetwarza³ wersjê cyfrow¹?

Zwêglona masa. Nie da³o siê uratowaæ nawet kawa³ka.

Ale wci¹¿ masz swoj¹ kopiê.

Potrz¹snê³a g³ow¹.

Zostawi³am kasetê w hotelu, kiedy posz³am na niadanie z innymi cz³onkami komisji. Treæ tamy z kabiny pilotów by³a tak zaskakuj¹ca mog³a przestawiaæ ledztwo na nowe tory, nie chcia³am wiêc od razu dzieliæ siê ni¹ z ka¿dym. Trzeba by³o wszystko dok³adnie przemyleæ. Musielimy byæ bardzo ostro¿ni i zastanowiæ siê, kiedy i jak j¹ ujawniaæ.

Dlaczego?

Pilot zgin¹³, ale zagro¿ona by³a jego reputacja. Rodzina by³aby zdruzgotana, gdyby obarczono go win¹. Musielimy byæ absolutnie pewni naszych ustaleñ. Gdyby katastrofê spowodowa³ kapitan Blane, poci¹gnê³oby to za sob¹ rozprawê s¹dow¹ o odszkodowanie warte setki milionów dolarów. Musielimy dzia³aæ z rozwag¹. Zamierza³am po niadaniu sprowadziæ do mojego pokoju Maria i wys³uchaæ nagrania tylko z nim.

Mario Oliveri Joe przypomniam³ sobie cz³owieka w Denver, który poprzedniej nocy powiedzia³ mu, ¿e Barbara wycofa³a siê i wróci³a do Colorado Springs.

Tak. Poniewa¿ by³ szefem grupy badaj¹cej zachowania ludzkie, jego zdanie w tym momencie liczy³o siê dla mnie najbardziej. Ale gdy mielimy ju¿ wstawaa od sto³u, dotar³a do nas wiadomoæ o po¿arze w laboratorium i o biednym Minhu. Zanim zd¹¿y³am wróciæ z Mariem do pokoju, kopia

tamy, któr¹ nagra³am przez telefon, by³a czysta.

Skradziono j¹ i pod³ożono¹ inn¹ kasetê.

Albo po prostu skasowano zapis. Mylê, że Minh powiedzia³ jeszcze komu o tym nagraniu.

Musia³a już wtedy zacz¹æ co podejrzewaæ.

Skinê³a g³ow¹.

Co by³o nie tak. Co mierzdia³o.

Grzywa jej w³osów by³a bia³a jak pióra or³a, który lecia³ nad nimi, ale mimo to Barbara wygl¹da³a m³odo. Teraz, nagle, wyda³a siê znacznie starsza.

Co nie tak powtórzy³. Nie mog³a jednak w to uwierzyæ.

Rada Bezpieczeństwa stanowi³a ca³e moje życie. By³am dumna, że do niej należê. I wci¹ż jestem dumna, Joe. To cholernie dobrzy ludzie.

Powiedzia³a Mariowi, co by³o na tamie?

Tak.

Jak zareagowa³?

By³ zdumiony. Pe³en niedowierzania, jak s¹dzê.

Pokaza³a mu kopiê?

132

Milcza³a przez chwilê. Potem przyzna³a:

Nie.

Dlaczego?

By³am wciek³a.

Nie ufa³a nikomu.

Ten pożar, tak gwa³towny kto wznieci³ go celowo.

Podpalenie Joe nazwa³ rzecz po imieniu.

Ale nikt nawet nie wspomnia³ o takiej moŹliwoci. Oprócz mnie. Nie wierzê, by ledztwo w sprawie tego poŹaru by³o prowadzone uczciwie. Ani trochê.

Co wykaza³a sekcja zw³ok Minha? Jeli zosta³ zamordowany, a ogieñ pod³ożono, by to zatuszowaæ

Nawet jeli tak by³o, to i tak nie da³oby siê niczego udowodniaæ. Niewiele z niego pozosta³o, niemal ca³kowicie siê spali³. Rzecz w tym, Joe że to by³ naprawdê mi³y facet. Uroczy. Kocha³ pracê, bo wierzy³, że ratuje ludziom życie, że zapobiega kolejnym katastrofom. Nienawidzê tych drani, kimkolwiek s¹.

Miêdzy bia³ymi sosnami na skraju ³¹ki, tam, gdzie Joe i Barbara wyszli z lasu, co siê poruszy³o: cieñ przemykaj¹cy miêdzy jeszcze g³êbszymi cieniami, br¹z na tle fioletu.

Joe wstrzyma³ oddech. Wytêż³ wzrok, ale nie potrafi³ niczego dostrzec.

To by³a chyba sarna uspokoi³a go Barbara.

A jeli nie?

To jesteśmy martwi, bez wzglêdu na to, czy nasza rozmowa dobieg³a koñca odpar³a rzeczowym tonem, co dowodzi³o, w jak ponurym i ob³¹kanym wiecie ży³a od czasu katastrofy.

Fakt, że twoja kasetka zosta³a skasowana, nie wzbudzi³ niczyich podejrzeñ? spyta³.

Wszyscy zgodnie twierdzili, że by³am przemêczona. Trzy godziny snu w noc katastrofy, po dniu ciêżkiej pracy niewiele wiêcej, nim zadzwoni³ Minh i mnie zbudzi³. Biedna Barbara, ma podkr¹żone oczy. Siedzia³a pewnie do póna w nocy, s³uchaj¹c tamy wci¹ż od nowa, od nowa i od nowa, w koñcu musia³a wcisn¹æ niew³aciwy guzik. Rozumiesz? Rzekomo sama niechc¹cy wszystko skasowa³am. Jej twarz wykrzywi³ grymas sarkazmu. UwaŹali, że tak w³anie by³o.

Mog³o tak byæ.

Wykluczone.

Joe, choæ zd¹u³ ju³ rozwin¹æ trzy kartki papieru, nie zacz¹³ jeszcze czytaæ.

Dlaczego ci nie uwierzyli, kiedy im powiedzia³a, co by³o na tamie? To byli twoi koledzy. Znali ciê jako osobê odpowiedzialn¹.

Mo³je kilku z nich uwierzy³o, a mo³je nie chcia³o uwierzyæ. Kilku przypisa³o wszystko zmêczeniu. Od paru tygodni lecz³am siê na zapalenie ucha, dokucza³o mi to jeszcze przed Pueblo. Mo³je tym to t³umaczyli. Nie wiem.

133

Poza tym jedna czy dwie osoby po prostu mnie nie lubi³y. Kto jest kochany przez wszystkich? Nie ja. Za bardzo siê rozpycham, mam w³asne zdanie. W ka³dy razie by³o po wszystkim, bez tamy nie ma dowodu, ζ e miêdzy Blaneem a Santorellim toczy³a siê jaka wymiana zdañ.

Powiedzia³a w koñcu komu, ζ e sporz¹dzi³a pisemn¹ kopiê nagrania, s³owo po s³owie?

Zwleka³am z tym. Czeka³am na w³aciwy moment, na odpowiedni kontekst, w którym mog³abym o tym wspomnieæ. Mia³am nadziejê, ζ e ledztwo ujawni dodatkowe szczegó³y, potwierdzaj¹ce to, co by³o na tamie.

Sama kopia nie jest ζ adnym dowodem.

Zgadza siê. Oczywiście to lepsze ni³ nic, lepsze ni³ sama pamiêæ, ale potrzebowa³am czego wiêcej, jakiego potwierdzenia. A potem zbudzili mnie w pokoju w San Franciso ci dwaj dranie No có³, nie bawi³am siê ju³ wiêcej w ζ adne samotne krucjaty.

Z lasu po wschodniej stronie wyskoczy³y na ³¹kê dwa jelenie, samiec i ³ania. Przebieg³y niewielki odcinek i zniknê³y miêdzy drzewami.

Joe poczu³ na karku nerwowe drganie miêni.

Podejrzewa³, ζ e w³anie te zwierzêta musia³ wczniej zauwa³u³æ. Pojawi³y siê tak niespodziewanie, jakby co je sp³oszy³o. Co albo kto.

Zastanawia³ siê, czy istnieje na wiecie miejsce, w którym czu³by siê teraz bezpiecznie. Zna³ odpowied, jeszcze nim to pytanie pojawi³o siê w jego mylach.

Nie by³o takiego miejsca. Nigdzie.

I wiedzia³, ζ e nigdy nie bêdzie.

Kto sporód cz³onków Rady wydaje ci siê podejrzany? spyta³. Do kogo Minh zadzwoni³ po rozmowie z tob¹? Ten kto najprawdopodobniej poradzi³ mu, ζ eby nikomu nic ju³ nie mówi³, a potem kaza³ go zabiaæ i spaliaæ wszelkie dowody.

Podejrzany jest ka³dy, do kogo zamierza³ zadzwoniaæ. Byli jego zwierzchnikami, pos³ucha³by ich. Wolê nie mylaæ, ζ e to Bruce Laceroth, bo jest twardy jak g³az. Zaczyna³ od samego do³u, jak ka³dy z nas, zaszed³ wysoko o w³asnych si³ach. Z drugiej strony piêciu cz³onków Rady jest mianowanych przez prezydenta i zaaprobowanych przez senat na piêcioletni¹ kadencjê.

Polityczne marionetki.

Niezupe³nie. Prawdê mówi¹c, w Radzie zasiadali zazwyczaj ludzie pe³ni powiêcenia. Wiêkszoæ dobrze s³u³u³ agencji, innych trzeba by³o po prostu przetrzymaæ. Czasem trafia siê jaki dureñ w garniturze.

A co z obecnym przewodnicz¹cym i wiceprzewodnicz¹cym? Mówi³a, ζ e Minh Tran próbowa³ siê

z nimi skontaktowaæ, zak³adaj¹c, ¿e nie zdo³a³ dotrzeæ do Lacerotha.

134

Nie uzna³by ich za idealnych urzêdników pañstwowych. Przewodnicz¹c¹ jest Maxine Wulce. M³oda prawniczka o politycznych ambicjach, chce byæ numerem jeden, wyj¹tkowo antypatyczna. Nie da³abym za ni¹ nawet dwóch centów.

Wice?

Hunter Parkman. Ma polityczne poparcie i pieni¹dze, nie potrzebuje wiêc tej roboty, ale lubi byæ nominowany przez prezydenta i popisywaæ siê na przyjêciach gadk¹ o katastrofach. Da³abym za niego piêtnacie centów.

Joe, choæ nadal obserwowa³ las na skraju ³¹ki, nie dostrzeg³ ju¿ miêdzy drzewami ¿adnego ruchu.

Daleko na wschodzie zajania³a ¿y³ka b³yskawicy, pulsuj¹c na mrocznym ciebie burzy.

Liczy³ sekundy miêdzy srebrnym b³yskiem a grzmotem, przek³adaj¹c czas na miarê odleg³oci, i oceni³, ¿e od deszczu dzieli ich jakie dziesiêæ kilometrów.

Da³am ci ksero tej kopii, któr¹ sporz¹dzi³am tamtej nocy. Orygina³ schowa³am. Bóg jeden wie dlaczego, skoro nigdy go nie wykorzystam.

Joe by³ rozdarty miêdzy chêci¹ poznania prawdy a strachem przed tym, czego siê dowie. Wyczuwa³, ¿e rozmowa kapitana Blanea i drugiego pilota Santorellego zawiera co, co pozwoli odkryæ nie znany mu wymiar horroru, jaki sta³ siê udziałem jego ¿ony i córek.

W koñcu skupi³ uwagê na pierwszej stronie. Barbara zagl¹da³a mu przez ramiê, a on wodzi³ po teckie palcem, by pokazaæ jej, w którym miejscu akurat czyta.

Odg³osy wiadczy¹ce o tym, ¿e pierwszy oficer Santorelli wraca z toalety na swoje miejsce. Pocz¹tkowo jego s³owa wy³apuje górny mikrofon, potem pilot nak³ada s³uchawki.

SANTORELLI: Pojadê do L.A. (niezrozumia³e), tak siê napcham hummusa, tabbouleh, lebane z serem, a do tego jeszcze kibby, ¿e chyba pêknê. Jest tam taka ormiañska knajpa, najlepsza na wiecie. Lubisz kuchniê rodkowego wschodu?

Trzy sekundy ciszy.

SANTORELLI: Roy? Co nie tak?

Trzy sekundy ciszy.

SANTORELLI: Co to jest? Co my Roy, wy³¹czy³e autopilota?

BLANE: Jeden z nich to doktor Louis Blom.

SANTORELLI: Co?

BLANE: Jeden z nich to doktor Keith Ramlock.

SANTORELLI: (z wyranym niepokojem) Co jest na McDoo? Jeste w FMC, Roy?

135

Barbara wyjani³a:

747-400s korzystaj¹ z techniki cyfrowej. Tablica rozdzielcza sk³ada siê g³ównie z szeciu ekranów wywietlaj¹cych dane. A McDoo oznacza MCDU, czyli multifunction control and display unit. System ten sprawia, ¿e obaj piloci mog¹ kontrolowaæ parametry lotu jeli jeden z nich wprowadzi jakie korekty, drugi obserwuje to na swoim monitorze. Honeywell/Sperry FMC to komputer zawiaduj¹cy lotem. Piloci wprowadzaj¹ dane dotycz¹ce trasy i planu lotu na klawiaturach MCDU. Wszelkie zmiany podczas lotu s¹ sygnalizowane te¿ przez McDoo.

A więc Santorelli wraca z ubikacji i widzi, że Blane wprowadzi³ zmiany do planu lotu. Czy to się zdarza?

Zależy od pogody, turbulencji, innych lotów, problemów na lotnisku docelowym

Ale akurat w tym momencie, w po³owie trasy, przy ca³kiem dobrej pogodzie, kiedy wszystko dzie³a jak nale³y?

Barbara skin³a g³ow¹.

Tak, Santorelli musia³ się zdziwiæ, dlaczego w takich okolicznościach dokonuje się zmian w planie lotu. Ale wydaje mi się, że niepokój w jego g³osie jest wywo³any raczej brakiem kontaktu z Blaneem i tym, co dostrzeg³ na ekranie McDoo, jakimi korektami, które nie mia³y sensu.

Na przyk³ad?

Mówi³am ci ju³, zbczyli z kursu o siedem stopni.

Santorelli nie zorientowa³by się, b³ed¹c jeszcze w toalecie?

Wszystko zacz³o się krótko po tym, jak wyszed³ z kabiny, poza tym skr³êt by³ stopniowy, naprawd³e ³agodny. Móg³ co wyczuæ, ale prawdopodobnie nie zorientowa³ się, że zmiana kursu jest tak znaczna.

Kim s¹ ci doktorzy, Blom i Ramlock?

Nie mam poj³ęcia. Ale czytaj dalej. To naprawd³e niesamowite.

BLANE: Robi¹ mi z³e rzeczy.

SANTORELLI: Kapitanie, o co chodzi?

BLANE: S¹ dla mnie niedobrzy.

SANTORELLI: Hej, s³yszy mnie pan?

BLANE: Niech przestan¹.

W tym miejscu g³os Blanea się zmienia komentowa³a dalej Barbara. Przez ca³y czas jest jakiś dziwny, ale kiedy kapitan mówi: Niech przestan¹, s³ychaæ dr³enie, s³aboæ, jakby Blane doznawa³ nie tyle fizycznego bólu, ile emocjonalnego za³amania.

SANTORELLI: Kapitanie Roy, przejmuj³ stery. BLANE: Nagrywamy?

136

SANTORELLI: Co?

BLANE: Niech przestan¹ mnie krzywdziæ.

SANTORELLI: (zaniepokojony) Wszystko b³edzie

BLANE: Czy nagrywamy?

SANTORELLI: Wszystko b³edzie dobrze

Ci³ki odg³os przypominaj¹cy uderzenie. J³ek, najprawdopodobniej Santorellego. Jeszcze jedno uderzenie. Santorelli milknie.

Gdy na wschodzie grzmot rozpocz¹³ uwertur³ burzy, Joe spyta³:

Waln¹³ pi³eci¹ drugiego pilota?

Albo uderzy³ jakim t³epym narz³edziem, które wyj¹³ ze swojej torby lotniczej i schowa³ za fotelem, kiedy Santorelli by³ w toalecie, w ka³dym razie czym, co mia³ pod r³ek¹.

Dzia³a³ z premedytacj¹? O co u diab³a tu chodzi?

Przypuszczalnie uderzy³ go w twarz, poniewa³ Santorelli od razu zemdla³. Drugi pilot nie odzywa

się przez następne dziesięć czy dwanaście sekund, a potem wskazała zapis s³yszmy, jak jęczy.

Dobry Boże.

W g³osie Blanea nie s³ychaę ju¿ drżenia ani s³aboci. Pojawia się w nim gorycz, która sprawia, że cz³owiekowi cierpnie skóra.

BLANE: Niech przestan¹, bo jak się trafi okazja jak się trafi okazja, to wszystkich pozabijam. Wszystkich. Tak. Zrobię to. Zabiję wszystkich i bêdę mia³ ubaw.

Kartka drża³a w d³oni Joego.

Pomyla³ o pasażerach na pok³adzie samolotu: niektórzy drzemali w fotelach, inni czytali ksi¹¿ki, pracowali na laptopach, przegl¹dali magazyny, szyde³kowali, ogl¹dali film, pili, robili plany na przysz³ość, zadowoleni i niewiadomi horroru, jaki rozgrywa³ się w kabinie pilotów.

Mo¿e Nina siedzia³a przy oknie, spogl¹daj¹c na gwiazdy albo na chmurę w dole; lubi³a siadać przy oknie. Michelle i Chrissie pewnie w co gra³y; zawsze zabiera³y w podró¿ ró¿ne plansze.

Zadręcza³ się. Zadręcza³ się z bolesn¹ satysfakcj¹, bo jak¹ cz¹stk¹ swojej istoty wierzy³, że w pe³ni na to zas³uguje.

St³umi³ te myli i spyta³:

Co się dzia³o z Blaneem, na litość bosk¹? Narkotyki? A mo¿e dozna³ ob³ędu?

Nie. Wykluczono to.

Jak?

Najpierw szuka się szcz¹tków pilotów, by poddać je badaniom na obecność narkotyków i alkoholu. W tym wypadku zabra³o to trochę czasu zato

137

czy³a d³oni¹ wskazyw¹c spalone sosny i osiki poniewa¿ resztki organiczne by³y rozrzucone na przestrzeni kilkuset metrów na zachód i pó³noc od miejsca upadku.

Joe poczu³, że oczy przes³ania mu ciemność, a¿ w koñcu zdawa³o mu się, że spogl¹da na wiat przez tunel. Zagryz³ język niemal do krwi, oddycha³ powoli i g³ęboko i stara³ się nie okazywaæ, jak bardzo jest poruszony tymi szczegó³ami.

Barbara wsunę³a rękę do kieszeni. Kopnę³a kamyk, który potoczy³ się w g³¹b krateru.

Naprawdê chcesz tego s³uchaæ, Joe?

Tak.

Westchnę³a.

Znalelimy fragment ręki nale¿¹cej, jak podejrzewaliśmy, do Blanea, gdy¿ do palca przywar³a na wpó³ stopiona obr¹czka, doæ nietypowa. Pobralimy te¿ tkankę. Dziękujemy temu zidentyfikowaliśmy

A odciski palców?

Nie, palce by³y zbyt spalone. Ale jego ojciec wci¹¿ żyje, wiêc laboratorium Si³ Powietrznych zajmuj¹ce się identyfikacj¹ na podstawie DNA mog³o stwierdziæ, przez porównanie zebranego materia³u z próbk¹ krwi pobran¹ od ojca Blanea, że tkanki nale¿¹ do pierwszego pilota.

To wiarygodne badanie?

W stu procentach. Potem szcz¹tki przekazano toksykologom. W cia³ach obu pilotów stwierdzono ladowe iloci etanolu, ale by³o to rezultatem procesów gnilnych. Ręka Blanea le¿a³a w zarolach ponad siedemdziesi¹t dwie godziny, zanim j¹ znalelimy. Szcz¹tki Santorellego cztery dni. Mo¿na się by³o spodziewaæ pewnej iloci etanolu, co mia³o zwi¹zek z rozk³adem tkanki. Poza tym jednak zachowane szcz¹tki by³y czyste jak³a.

Joe próbowa³ pogodzić jako s³owa na kartce z wynikami badań. Nie uda³o mu się.

A inne możliwości? spyta³. Wylew?

Nie, zapis na tamie nie potwierdza niczego takiego zaprzeczy³a Barbara. Blane mówi wyranie, ani przez chwilę nie be³kocze. I choć brzmi to dziwacznie, jest mimo wszystko spójne sk³adnia w³aciwa, dobór s³ów prawidł³owy.

Więc co, u diab³a? zastanawia³ się skonsternowany Joe. Za³amanie nerwowe, krótkotrwa³y atak ob³ędu?

Barbara pokiwa³a z pow¹tpiewniem g³ow¹.

Z jakiej przyczyny? Kapitan Delroy Michael Blane by³ najbardziej zrównoważonym cz³owikiem, jakiego mógłby spotkać. Doskonale opanowanym.

Niezupe³nie.

Doskonale opanowanym upiera³a się. Przeszed³ wszystkie testy psychologiczne wymagane przez firmę. Lojalny ojciec rodziny. Wierny m¹ę. Mormon, aktywny w swoim kociele. Ąadnego alkoholu, narkotyków, hazard

138

du. Joe, nie znajdziesz nikogo, kto choć raz dostrzeg³by u niego zachowanie odbiegaj¹ce od normy. Wed³ug wszystkich relacji, by³ cz³owikiem nie tylko dobrym i solidnym, ale również szczęliwym.

Zalni³a b³yskawica. Gdzie wysoko na wschodzie po stalowych szynach przetoczy³y się ko³a grzmotu.

Wskazuj¹c zapis rozmowy, Barbara pokaza³a Joemu, gdzie 747 po raz pierwszy wykona³ nag³y skręt o trzy stopnie, kieruj¹c dziób w prawo.

W tym momencie Santorelli jęcza³, ale nie by³ jeszcze ca³kiem przytomny. A tuż przed tym manewrem kapitan Blane powiedzia³: Fajnie. S³ychaę jeszcze inne odg³osy o, tutaj, brzęk i stukot niewielkich przedmiotów wprawionych w ruch przez si³ę odrodkow¹.

Fajnie.

Joe nie mógł³ oderwać wzroku od tych s³ów.

Barbara obróci³a za niego kartkę.

Trzy sekundy później samolot wykona³ kolejny gwa³towny skręt, o cztery stopnie dziobem w lewo. Oprócz wcześniejszych odg³osów, teraz docieraj¹ z samolotu nowe dźwięki uderzenie i niski, rozedrgany ha³as. A kapitan Blane wybucha miechem.

Wybucha miechem powtórzy³ Joe z niedowierzaniem. Zamierza³ run¹æ w dó³, a mimo to mia³ się?

Ale nie by³ to miech, jak mógł³by s¹dziać, szalony. To by³ miech radosny, jakby ten cz³owiek doskonale się bawi³.

Fajnie.

W osiem sekund po pierwszym skręcie nast¹pi³a druga raptowna zmiana o trzy stopnie, tym razem w lewo, w dwie sekundy później ostry skręt o siedem stopni znów w prawo. Wykonuj¹c pierwszy manewr Blane mia³ się, przy drugim zawo³a³: O rany!

W tym w³anie momencie prawe skrzyd³o posz³o w górę, co sprawi³o, że lewe się opuści³o stwierdzi³a Barbara. W ci¹gu dwudziestu dwu sekund samolot przechyli³ się o sto czterdzieci sześć stopni, nurkuj¹c dziobem nachylonym pod k¹tem osiemdziesięciu czterech stopni.

Byli za³atwieni.

Sytuacja wygl¹da³a poważnie, ale nie beznadziejnie. Wci¹ę istnia³a szansa, że z tego wyjd¹. Pamiętaj, że znajdowali się na wysokości siedmiu tysięcy metrów. Mieli mnóstwo czasu i miejsca, by

wyrównaæ lot.

Poniewa¿ Joe nigdy nie czyta³ o tej katastrofie, ani te¿ nie ogl¹da³ sprawozdañ telewizyjnych, zawsze wyobra¿a³ sobie ogieñ i dym wype³niaj¹ce wñêtrze samolotu. Kiedy uwiadomi³ sobie, ¿e zosta³o to pasa¿erom zaoszczêdzone, przez chwilê zaw³adnê³a nim nadzieja, ¿e d³uga podró¿ ku ziemi by³a mniej przera¿aj¹ca od tego wymagowanego spadania, jakie prze¿ywa³ podczas ataków lêku. Jednak¿e teraz zastanawia³ siê, co by³oby gorsze: nag³y wybuch dymu i gwa³towna wiadomoœæ nadchodz¹cego koñca czy te¿ czyste powietrze i straszliwa, fa³szywa nadzieja na zmianê kursu, na zbawienie w ostatniej minucie.

139

Zapis mówi³ o odg³osach alarmu rozbrzmiewaj¹cego w kabinie pilotów i informuj¹cego o utracie wysokości. Nagrany na tamê g³os powtarza³ ostrze¿enie, gdy¿ opadali przez korytarze wyznaczone dla innych samolotów.

Co znaczy stick-shaker?

To g³one brzêczenie, przeraliwy dwiêk, którego nie sposób nie us³yszeæ, ostrzegaj¹cy pilotów, ¿e samolot traci pu³ap. W tym momencie zaczêli wpadaæ w korkoci¹g.

Dotkniêty d³oni¹ przeznaczenia, które pcha³o ich ku ziemi, pierwszy oficer Victor Santorelli przesta³ nagle mamrotaæ. Odzyska³ przytomnoœæ. Byæ mo¿e ujrza³ za szyb¹ kabiny migaj¹ce w szaleñczym pêdnie chmury. Albo mo¿e 747 by³ ju¿ poni¿ej ob³oków i pilot ujrza³ widmow¹ panoramê Colorado, lekko po³yskuj¹c¹ i pogr¹¿on¹ w szaroci o róz¹nym odcieniu, od per³owego do czarnego, ze z³otym blaskiem na po³udniu migocz¹cymi wiat³ami Pueblo. A mo¿e kakofonia alarmów i cyfry na szeci u ogromnych ekranach powiedzia³y mu w sekundzie wszystko, co musia³ wiedzieæ. Krzykn¹³: O Jezu!

Mówi³ przez nos doda³a Barbara. Mog³o to oznaczaæ, ¿e Blane mu go z³ama³.

Joe niemal s³ysza³ przera¿enie w g³osie pilota i jego rozpaczliwe pragnienie ¿ycia.

SANTORELLI: O, Jezu. Nie, Jezu, nie.

BLANE: (miech) O rany. No to jazda, doktorze Ramlock. No to jazda, doktorze Blom.

SANTORELLI: Ci¹gnij w górê!

BLANE: (miech) O rany. (miech) Nagrywamy?

SANTORELLI: Ci¹gnij!

Santorelli odдыcha szybko, chrapliwie. Jêczy, zmaga siê z czym, mo¿e z Blaneem, ale s¹dz¹c po odg³osach chyba mocuje siê z dr¹¿kiem ste rowniczym. Jeli oddech Blanea jest przyspieszony, to na tamie tego nie s³ychaæ.

SANTORELLI: Cholera, cholera!

BLANE: Nagrywamy?

Dlaczego wci¹¿ siê dopytuje, czy siê nagrywa? spyta³ zdumiony Joe. Barbara potrz¹snê³a g³ow¹. Nie wiem.

Jak d³ugo by³ pilotem?

Ponad dwadziecia lat.

Wiedzia³by, ¿e magnetofon w kabinie pilotów jest zawsze w³¹czony. Zgadza siê?

Powinien wiedzieæ. Owszem. Ale chyba nie jest przy zdrowych zmys³ach, prawda?

140

Joe przeczyta³ ostatnie s³owa obu m^êczyzn.

SANTORELLI: Ci¹gnij w gór^ê!

BLANE: O rany!

SANTORELLI: Matko Boska

BLANE: O tak.

SANTORELLI: Nie.

BLANE: (z dzieci^êcym podnieceniem) O tak.

SANTORELLI: Susan.

BLANE: Teraz. Patrz.

Santorelli zaczyna krzyczeæ.

BLANE: Ekstra.

Krzyk Santorellego trwa trzy i pó³ sekundy, do koñca nagrania, które przerywa uderzenie samolotu o ziemi^ê.

Trawiast¹ ³¹k^ê omiata³ wiatr. Niebo by³o nabrzmia³e nadchodz¹c¹ ulew¹. Natura szykowa³a si^ê do obrz^êdu oczyszczenia.

Joe z³o³y³ trzy kartki papieru. Wsun¹³ je do kieszeni marynarki.

Przez chwil^ê nie móg³ wydobyæ z siebie s³owa.

Odleg³a b³yskawica. Grzmot. [~]egluj¹ce chmury.

Wreszcie, wpatruj¹c si^ê w g³¹b krateru, powiedzia³:

Ostatnim s³owem Santorellego by³o imi^ê.

Susan.

Kto to jest?

Jego ³ona.

Tak myla³em.

A zatem u kresu nie ma ju³ ³adnych modlitw do Boga, ³adnych b³agañ o Boskie mi³osierdzie. Jest tylko pos^êpna akceptacja. Imi^ê wypowiedziane z mi³oci¹, ze smutkiem i straszliw¹ t^êsknot¹, ale byæ mo³e i z odrobin¹ nadziei. A przed oczyma duszy nie okrutna ziemia, która zbli³a si^ê w p^êdzie, czy ciemnoæ, która p^ónziej nast¹pi, lecz ukochana twarz.

Znów nie móg³ mówiæ.

Barbara Christman poprowadzi³a Joego na pó³noc, ku oddalonemu od krateru wzgórz, w stronê miejsca odleg³ego o zaledwie dwadziecia metrów od zagajnika martwych, spalonych osik.

To chyba gdzie tutaj, jeli sobie dobrze przypominam powiedzia³a. Ale jakie to ma znaczenie?

Kiedy Barbara po raz pierwszy zjawi³a siê na ³¹ce, tamtego ranka po katastrofie, potrzaskane i porozrzucane szcz¹tki 747-400 nie przypominaj¹y w ogóle czêci samolotu. Tylko dwie rzeczy mo¿na by³o od razu rozpoznaæ: fragment silnika i trzyosobowy fotel.

Trzyosobowy, jedno miejsce przy drugim? spyta³.

Tak.

W pozycji pionowej?

Tak. A o co chodzi?

Czy zorientowa³a siê, z której czêci samolotu pochodzi³y te siedzenia?

Joe

Z której czêci samolotu? powtórzy³ cierpliwie.

Nie z pierwszej klasy, ani te¿ z klasy biznes na g³ównym czy górnym pok³adzie, poniewa¿ tam instaluje siê tylko dwuosobowe fotele. rodkowe rzêdy w klasie ekonomicznej maj¹ po cztery miejsca, a wiêc te, o których mówimy, musia³y pochodziæ z prawego lub lewego rzêdu w tej czêci.

Zniszczone?

Oczywicie.

Bardzo?

Nie tak bardzo, jak mo¿na by siê spodziewaæ.

Spalone?

142

Nie ca³kiem.

W ogóle nie spalone?

O ile pamietam widaæ by³o tylko kilka czarnych plam, trochê sadzy.

Czyli, innymi s³owy, tapicerka by³a nie naruszona.

Jej szeroka, szczera twarz wyra¿a³a teraz g³êboki smutek.

Joe, nikt nie prze¿y³ tej katastrofy.

Tapicerka by³a nie naruszona? nalega³.

O ile pamietam by³a trochê rozdarta. Nic powa¿nego.

Krew?

Nie przypominam sobie.

Jakie cia³a na siedzeniach?

Nie.

Czêci cia³?

Nie.

Pasy wci¹¿ siê trzyma³y?

Nie pamietam. Tak przypuszczam.

Jeli pasy nie by³y zerwane

Pos³uchaj, to mieszne s¹dziaæ

Michelle i dziewczynki siedzia³y w klasie ekonomicznej powiedzia³.

Barbara zagryz³a wargê, odwróci³a wzrok i spojrz³a w stronê nadci¹gaj¹cej burzy.

Joe, twoja rodzina nie siedzia³a na tych fotelach.

Wiem zapewni³ j¹. Wiem.

Ale jak¿e pragn¹³, by by³o inaczej.

Znów spojrz³a mu w oczy.

Nie ¿yj¹ powiedzia³. Odesz³y. Nie zaprzeczam temu, Barbaro.

Wiêc wracamy do Rose Tucker.

Jeli zdo³am ustaliæ, gdzie dok³adnie siedzia³a, po lewej czy po prawej stronie w klasie ekonomicznej, zyskam przynajmniej potwierdzenie.

Czego?

Jej wersji.

Potwierdzenie powtórzy³a z niedowierzaniem Barbara.

̄e prze¿y³a.

Barbara potrz¹snê³a g³ow¹.

Nie spotka³a Rose przekonywa³ j¹. To nie jest wariatka. I nie s¹dzê, by k³ama³a. Ma tak¹ moc, osobowoæ.

Wiatr przyniós³ ze sob¹ ze wschodu, gdzie niebo rozerwa³a b³yskawica, zapach ozonu woñ, która unosi siê niczym kurtyna teatralna nad scen¹, poprzedzaj¹c deszcz.

Spadali przez prawie siedem kilometrów w g³osie Barbary brzmia³o zniecierpliwienie. Prosto jak strza³a, dziobem w dół, nie sunêli po ziemi, ca³y cholerny samolot rozpad³ siê wokół Rose Tucker w kawa³ki, niewyobra¿alna si³a eksplozji

Rozumiem to.

143

Bóg mi wiadkiem, naprawdê nie chcê byæ okrutna, Joe ale czy naprawdê rozumiesz? Po tym wszystkim, co tu us³ysza³e, czy rozumiesz? Potworna si³a wybuchu otaczaj¹ca Rose Tucker z wszystkich stron. Moc uderzenia tak wielka, ¿e star³a na proch ska³ê. Inni pasażerowie i za³oga cia³a zosta³y w wiêkszości dos³ownie oddarte od koci, oddarte tak dok³adnie, ¿e nie zosta³ na nich nawet kawa³eczek. Poszatkwane. Rozpuszczone. Pokawa³kowane. A koci pêka³y i kruszy³y siê jak wyka³aczki. Zaraz potem, gdy samolot wci¹¿ wbija³ siê w³kê, wybuch³a fala paliwa lotniczego, rozdrobniona jak mgie³ka aerozolu. Ogieñ by³ wszêdzie. Gejzery ognia, rzeki ognia, przewalaj¹ce siê ba³wany ognia, przed którymi nie mo¿na uciec. Rose Tucker nie pofrunê³a na swoim fotelu jak drobinka dmuchawca, by w chwilê póniej przejæ spacerkiem przez to straszliwe piek³o.

Joe spojrz³ na niebo, potem na ziemiê pod stopami, ziemiê, która by³a janiejsza od nieba.

Widywa³a przecie¿ zdjêcia, filmy pokazuj¹ce miasta, które nawiedzi³o tornado: wszystko zmiãd¿one, zosta³y tylko szcz¹tki tak ma³e, ¿e mo¿na by je niemal przesiewaæ przez sito a porodku tego zniszczenia stoi sobie dom, nietkniêty albo prawie nietkniêty.

Mówisz o fenomenie pogody, o kaprysie wiatru. Ale tutaj dzia³a prosta fizyka, Joe. Obowi¹zuj¹ prawa materii i ruchu. Kaprys nie odgrywa w fizyce najmniejszej roli. Gdyby ca³e miasto runê³o z wysokoci siedmiu kilometrów, to ten jeden dom te¿ zamieni³by siê w kupê gruzu.

Niektóre rodziny tych z samolotu Rose pokaza³a im co, co podnios³o je na duchu.

Co?

Nie wiem, Barbaro. Ale chcê to zobaczyæ. Chcê, ¿eby i mnie to pokaza³a. Rzecz w tym oni jej wierz¹, kiedy im mówi, ¿e by³a na pok³adzie tego samolotu. To co wiêcej ni¿ tylko wiara. Przypomnia³ sobie b³yszcz¹ce oczy Georgine Delmann. To g³êbokie przekonanie.

Więc jest genialn¹ oszustk¹, nie maj¹c¹ sobie równych.

Joe tylko wzruszy³ ramionami.

Kilka kilometrów dalej na niebie zadrza³ język b³yskawicy, rozrywaj¹c chmury burzowe. Na wschodzie pojawi³y się fale szarego deszczu.

Nie wiem dlaczego, ale nie wygl¹dasz na szczególnie religijnego cz³owieka zauważy³a Barbara.

Bo nim nie jestem. Michelle co tydzień zabiera³a dzieci do szkó³ki niedzielnej i na nabożeństwo, ale ja z nimi nie chodzi³em. By³a to jedyna rzecz, której z nimi nie dzieli³em.

Masz wrogi stosunek do religii?

Nie. Po prostu nie budzi we mnie żadnych uczuć, żadnego zainteresowania. Zawsze by³em wobec Boga obojętny, tak jak On wydawa³ się obojętny wobec mnie. Po tej katastrofie zrobi³em ten jeden krok, jaki mi pozosta³, krok od braku zainteresowania do zupełnej niewiary. Nie można pogodzić idei mi³osiernego Boga z tym, co spotka³o tych trzystu trzydziestu ludzi w

144

samolocie i tych z nas, którzy musz¹ przeżywać resztę życia, tęskni¹c za bliskimi.

Więc jeli jeste ateist¹, to dlaczego z uporem wierzysz w cud?

Nie mówię, że ocalenie Rose Tucker by³o cudem.

Niech mnie diabli, jeli uzna³abym to za co innego. Nikt z wyjątkiem Boga we własnej osobie i oddzia³u ratowniczego anio³ów nie wydoby³by jej z tej katastrofy w jednym kawa³ku upiera³a się Barbara z nut¹ sarkazmu w głosie.

Nie ma mowy o Boskiej interwencji. Na pewno istnieje inne wyt³umaczenie, zdumiewaj¹ce, ale logiczne.

Nieprawdopodobne upiera³a się.

Nieprawdopodobne? Zgadza się, tylko że nieprawdopodobne by³o też wszystko, co dzia³o się z kapitanem Blaneem.

Wytrzyma³a jego spojrzenie, szukaj¹c odpowiedzi. Nie znalaz³a jej.

Jeli w nic nie wierzysz, to co spodziewasz się us³yszeć od Rose Tucker? spyta³a w końcu. Mówisz, że jej s³owa podnosz¹ ich na duchu. Nie s¹dzisz, że jest w tym coś metafizycznego?

Niekoniecznie.

A co innego?

Nie wiem.

Co zdumiewaj¹cego, ale logicznego powtórzy³a z wyczuwalnym zniecierpliwieniem jego s³owa.

Spojrza³ w stronę lasu porastaj¹cego północny skraj ³¹ki i uwiadomi³ sobie, że w zagajniku ogarniętych fal¹ ognia osik zachowa³o się jedno nietknięte przez p³omienie drzewo, teraz odziane w listowie. Zamiast charakterystycznego, g³adkiego i bladego pnia mia³o nierówn¹, czarn¹ korę, która jesieni¹ stanowi³aby olepiaj¹cy kontrast z jaskrawo żółtymi liśćmi.

Co zdumiewaj¹cego, lecz logicznego zgodzi³ się.

Po drabinie nieba, bliżej niż kiedykolwiek, zaczę³a zstępować b³yskawica. Towarzyszy³ jej grzmot.

Lepiej st¹d chodmy powiedzia³a Barbara. Niczego więcej tu nie znajdziemy.

Joe ruszy³ za nią przez ³¹kę, ale nad krawędzi¹ krateru przystan¹³.

Na spotkaniach grupy terapeutycznej kilkakrotnie s³ysza³, jak pogr¹żeni w żalu rodzice mówili o Punkcie Zero. Punkt Zero to by³a chwila mierci dziecka, od której mia³y się datować wszystkie późniejsze wydarzenia, mgnienie oka, kiedy to przerażaj¹ca strata ustawia wewnętrzny licznik cz³owieka na cyfrze zero. W tym momencie podniszczone, stare pud³o nadziei i pragnień które

niegdy wydawało się tak wspania³¹ skarbnie¹ jasnych snów wywraca³o się do góry nogami, a jego zawartość l¹dowa³a w otch³ani, sprawiaj¹c, że człowiek przestawa³ czegokolwiek oczekiwać. Przyszło nie być już królestwem możliwości i cudowności, ale jarzmem obowiązku i tylko niedostępna przeszłość oferowała przyjazne schronienie.

145 10 Jedyna ocalona

Tkwi³ w Punkcie Zero ponad rok. Czas p³yn¹³ w obie strony, a on nie należa³ ani do dni, które miał przed sobą, ani do tych, które minęły. Mia³ wrażenie, że unosi się w jakim zbiorniku z p³ynnym azotem, pogr¹żony w hibernacyjnym nie.

Teraz sta³ w innym Punkcie Zero, w punkcie fizycznym, gdzie zginęła jego żona i córki. Tak bardzo pragn¹³ je odzyskać, że to pragnienie szarpa³o mu wnętrza jak szpony or³a. Ale w końcu zapagn¹³ czego jeszcze: sprawiedliwoci dla nich, sprawiedliwoci, która nada³aby sens nie ich, lecz jego mierci.

Musia³ podnieść się ze swego ³oż³a, przerwać stan hibernacyjnego upienia, strz¹sn¹æ z koci i ³y³ lód i nie k³ać się, dopóki nie wydobędzie prawdy z grobu, w którym j¹ zakopano. W imię swych utraconych kobiet zamierza³ trawiać ogniem pa³ace, obalać imperia, zniszczyć nawet ca³y wiat, gdyby okaza³o się, że prawda tego wymaga.

Teraz rozumia³ już różnicę między sprawiedliwoci¹ i zwyk³¹ zemst¹: sprawiedliwością, w swej czystej postaci, nie uwolni go od bólu, nie natchnie poczuciem triumfu; pozwoli mu tylko wyjść z Punktu Zero. A potem, po wykonaniu zadania, będzie mógł umrzeć spokojnie.

Z góry, przez sklepienie ga³ęzi, dotar³o drgaj¹ce wiat³o burzy, potem znów i znów, jakby rozdarte niebo p³onę³o fosforyzuj¹c¹ jasności. Grzmot i szum wiatru przypominały Joemu ³opot skrzyde³: tysi¹ce pierzastych cieni czai³o się między pniami drzew i skaka³o po lenym poszyciu.

Kiedy dotarli do samochodu stojącego na końcu poronionej chwastami, w¹skiej drogi, pomiędzy sosen spad³ z szumem i hukiem rzęsi³ deszcz. Wsiadli czym prędzej do jeepa. Ich twarze i w³osy lni³y kropelkami wody, a niebieska bluzka Barbary była upstrzona mokrymi, ciemnymi jak liwki plamkami.

Nie napotkali niczego, co mog³oby wyp³oszyć z kryjówek sarny, ale Joe był przekonany, że przestraszy³o je jakie zwierzę. Kiedy ucieka³ przed deszczem, wyczuwa³ obecność dzikich stworzeń, przycupniętych gdzie w gęstwinie ale nie śmiertelne zagrożenie, jakie stanowi człowiek.

Mimo wszystko las stanowi³ idealne otoczenie dla zabójców. Sekretne altanki, prowadzące nie wiadomo dok¹d cieki, kryjówki, ciemnozielone siedliska.

Kiedy Barbara uruchomiła silnik i ruszyła w drogę powrotną, Joe był spięty. Obserwował zarola. Czeka³ na wystrzał.

Gdy dotarli do drogi żwirowej, znów nawi¹za³ rozmowę:

Ci dwaj ludzie, których nazwiska wymieni³ Blane

Doktor Blom i doktor Ramlock.

Próbowała dowiedzieć się, kim s¹, odnaleźć ich?

trapi³y go jakie problemy natury osobistej, które mog³y doprowadziæ do tak niebezpiecznego zachowania. Pyta³am cz³onków jego rodziny i przyjació³, czy co im mówi¹ te nazwiska. Nikt ich nie s³ysza³.

Sprawdzi³a dane osobowe Blanea, notatniki z zaznaczonymi spotkaniami, ksi¹¿eczkê czekow¹?

Tak. I nic nie znalaz³am. Lekarz rodzinny Blaneów twierdzi, ¿e nigdy nie kierowa³ swojego pacjenta do specjalistów o takich nazwiskach. Tyle uda³o mi siê ustaliæ, zanim ci dwaj dranie obudzili mnie w pokoju hotelowym i gro¼¹c rewolwerem kazali siê wycofaæ.

A¿ do koñca ¿wirowanej drogi, i póniej, gdy wjechali na szosê, po której tañczy³ spieniony deszcz, Barbara zachowywa³a pe³ne niepokoju milczenie. Marszczy³a czo³o, ale Joe wyczuwa³, ¿e nie by³o to tylko objawem koncentracji, jakiej wymaga³o w tych warunkach prowadzenie wozu.

B³yskawice i grzmoty przeminê³y. Teraz ca³a energia burzy skupi³a siê w wietrze i deszczu.

Joe ws³uchiwa³ siê w monotony szum wycieraczek i w odg³os ciê¿kich kropel stukaj¹cych o szybê, co pocz¹tkowo wydawa³o siê pozbawionym znaczenia i harmonii dwiêkiem; stopniowo jednak, nawet w rytmie deszczu zacz¹³ dostrzegaæ jaki tajemniczy wzór.

Barbara za znalaz³a mo¿e nie wzór, ale intryguj¹cy fragment uk³adanki, który wczeniej przeoczy³a. Przypominam sobie co szczególnego, ale Joe czeka³.

ale nie chcê robiæ ci nadziei i utwierdzaæ w tym twoim dziwnym urojeniu.

Urojeniu?

Zerknê³a na niego.

—e kto prze¿y³.

Natchnij mnie nadziej¹. Brakowa³o mi jej w zesz³ym roku.

Zawaha³a siê, a potem westchnê³a.

Niedaleko st¹d mieszka w³aciciel rancza. Kiedy samolot run¹³ na ziemiê, ju¿ spa³. Ludzie w tych stronach k³ad¹ siê do s³ózek wzenie. Obudzi³a go eksplozja. A potem kto zapuka³ do jego drzwi.

Kto?

Nastêpnego dnia zadzwoni³ do szeryfa okrêgu, a biuro szeryfa skontaktowa³o go z centrum dowodzenia akcj¹. Niewiele uda³o siê ustaliæ.

Kto zjawi³ siê na jego progu w rodku nocy?

wiadek odpar³a Barbara.

wiadek katastrofy?

147

Przypuszczalnie.

Spojrza³a na niego, ale szybko skierowa³a uwagê na omiatan¹ deszczem drogê.

W wietle wszystkiego, co powiedzia³ jej Joe, ten fakt, do którego dot¹d nie przywi¹zywa³a szczególnej uwagi, z ka¿d¹ chwil¹ wydawa³ siê Barbarze coraz bardziej niepokoj¹cy. Zmru¿y³a oczy, jakby próbowa³a przebiæ wzrokiem nie ulewê, lecz zas³onê przesz³oci, i zacisnê³a wargi, zastanawiaj¹c siê, czy powiedzieæ co wiêcej.

wiadek katastrofy naciska³ Joe.

Nie pamiêtam, dlaczego posz³a akurat na to ranczo ani czego tam szuka³a.

Posz³a?

Kobieta, która twierdzi³a, że widzia³a spadaj¹cy samolot.

To nie wszystko powiedzia³ Joe.

Tak. O ile sobie przypominam by³a czarnoskóra.

Joe poczu³ ucisk w piersiach, ale w koñcu odetchn¹³ i powiedzia³:

Czy poda³a w³acicielowi rancza nazwisko?

Nie wiem.

Jeli tak, to zastanawiam siê, czy je zapamiêta³.

Po obu stronach wjazdu na drogê prowadz¹c¹ do rancza sta³y dwa wysokie, bia³e s³upy, które podtrzymywa³y tablicê ze zgrabnymi, zielonymi literami na bia³ym tle: LOOSE CHANGE RANCH. Ni¿ej, mniejszymi literami, napisano odrêcznie: Jeff i Mercy Ealing. Brama by³a szeroko otwarta.

Wysypana ¿wirem cie¿ka bieg³a miêdzy bia³ymi p³otkami, które dzieli³y pole na mniejsze pastwiska. Minêli du¿¹ uje¿d¿alniê, place æwiczeñ i niezliczone stajnie pomalowane na bia³o, z zielonym paskiem.

Nie by³am tutaj w zesz³ym roku, ale jeden z moich ludzi da³ mi raport wyjani³a Barbara. Teraz sobie przypominam Hoduj¹ tu i szkol¹ konie do biegów na æwieræ mili. Maj¹ te¿ hodowlê i sprzedaj¹ araby, jak mi siê wydaje.

Po trawistach pastwiskach, na przemian mierzwionych przez wiatr i przyg³adzanych przez deszcz, nie st¹pa³y jednak konie. Uje¿d¿alnia i place æwiczeñ te¿ by³y puste.

Górne drzwi w kilku boksach by³y otwarte. Konie wychyla³y siê z przytulnych kwater, patrz¹c na burzê. Niektóre by³y tak ciemne jak boksy, w których sta³y, ale inne mia³y maê blad¹ albo jab³kowitz¹.

W cieniu drzew sta³ du¿y i ³adny dom kryty bia³ymi deskami. Mia³ zielone okiennice i najg³êbszy ganek, jaki Joe kiedykolwiek widzia³. Pod ciê¿k¹ zas³on¹ chmur niektóre okna wype³nia³ ¿ó³ty blask, ciep³y jak ogieñ paleniska.

148

Barbara zaparkowa³a na podjedzie. Pobiegli przez deszcz który z pocz¹tku by³ ciep³y jak woda do k¹pieli, ale teraz wydawa³ siê zimniejszy i wpadli na kryty ganek. Drzwi otworzy³y siê z jêkiem zawiasów i piewem starych sprê¿yn, a dwiêk ten mia³ dziwnie harmonijny i przyjemny ton; mówi³ o p³yn¹cym leniwie czasie, bardziej o zaniedbaniu ni¿ o zniszczeniu.

Na ganku sta³y wiklinowe meble wy³o¿one zielonymi poduszkami, a z ¿elaznych stojaków sp³ywa³y kaskadami paprocie.

Drzwi prowadz¹ce do domu by³y otwarte, a przed nimi, nieco z boku, czeka³ jaki mê¿czyzna oko³o szeædziesi¹tki, w czarnym, plastikowym p³aszczu przeciwdeszczowym. Ogorza³a od s³oñca twarz by³a pobru¿d¿ona i pokryta patyn¹ czasu jak skóra starego siod³a. Niebieskie oczy p³onê³y ¿ywo i by³y przyjazne jak jego umiech. Podniós³ g³os, ¿eby nie zag³usza³ go deszcz uderzaj¹cy o dach.

Dzieñ dobry. Niez³a pora na kaczk¹.

Czy pan Ealing? spyta³a Barbara.

To ja powiedzia³ inny mê¿czyzna w czarnym p³aszczu przeciwdeszczowym, staj¹c w otwartych drzwiach.

By³ o piêtnacie centymetrów wy¿szy i dwadziecia lat m³odszy od tego, który wyg³osi³ uwagê o

pogodzie. Lecz życie w siodle, w blasku gorącego słońca, w powiewach suchego wiatru i na zimowym mrozie już zaczęło cierać rysy młodzieńczości i znaczą jej twarz ładami miłej i sympatycznej starości wiadczycej o wielkim doświadczeniu i wiejskiej młodości.

Barbara przedstawiła ich oboje, dając do zrozumienia, że wciąż pracuje dla Rady Bezpieczeństwa i że Joe jest jej współpracownikiem.

Jeszcze się w tym grzebiecie, choć minie cały rok? spyta Ealing.

Nie możemy ustalić przyczyny katastrofy – wyjaniła Barbara. Nigdy nie zamykamy ledztwa, dopóki nie wiemy, co się stało. A przyjechalimy tu, żeby spytać o kobietę, która zapukała tamtej nocy do waszych drzwi.

Pewnie, pamiętam.

Czy mógłby pan ją opisać? poprosił Joe.

Niewysoka. Około czterdziestki czy coś takiego. Ładna.

Czarna?

Owszem, zgadza się. Ale miała i odrobinę innej krwi. Może meksykańskiej. Albo bardziej chińskiej. A może wietnamskiej.

Joe przypominał sobie skone oczy Rose Tucker.

Czy powiedziała panu, jak się nazywa?

Pewnie tak odparł Ealing. Ale nie pamiętam.

Jak szybko po katastrofie zjawiła się tutaj? spytała Barbara.

Niedługo. Ealing trzymał w ręku skórzaną torbę, podobną do lekarskiej. Przełożył ją z prawej do lewej. Obudził nas wycie spadającego samolotu, jeszcze zanim maszyna rębnieła o ziemię. Nic takiego przedtem tu nie słyszeliśmy, ale od razu było wiadomo, co się stało. Wstałem z łóżka, a Mercy zapaliła światło. Powiedziałem: O, Panie, i potem to usłyszeliśmy, jak jakiś potężny, odległy huk w kamieniołomach. Cały dom się zatrzęsł.

149

Starszy mężczyzna przestępował niecierpliwie z nogi na nogę.

Jak ona się miewa, Ned? Ealing przerwał opowiadanie.

Nie najlepiej odparł Ned. Bardzo niedobrze.

Spoglądając w stronę drugiego podjazdu, który niknął gdzieś w strugach deszczu, Jeff Ealing mruzczył do siebie:

Gdzie u licha jest Doc Sheely?

Przesunął dłoń po pociągłej twarzy, przez co wydała się jeszcze dłużej.

Jeli zjawiliby się nie w porę zaczęła Barbara.

Mamy tu chorą kobietę, ale chwilę mogę wam powieścić – powiedziała Ealing. Wrócił do tamtej nocy. Mercy zadzwoniła do okręgowej stacji ratownictwa, a ja się szybko ubrałem, wyprowadziłem pikapa na główną drogę i ruszyłem na południe. Próbowałem się zorientować, gdzie ten samolot spadł i czy będę mógł coś pomóc. Na niebie było widać ogień, ale nie płomień, tylko blask. Zanim się zorientowałem, gdzie to jest, i podjechałem bliżej, zjazd z drogi stanowej był już zablokowany przez samochód szeryfa. Po chwili zjawił się jeszcze jeden radiowóz. Odgradzali teren i czekali na ekipy ratunkowe. Powiedzieli, że to nie jest robota dla ochotników-amatorów. Wróciłem więc do domu.

Jak długo pana nie było? spytał Joe.

Nie dłużej niż czterdzieci pięć minut. Potem jakieś pół godziny siedziałem razem z Mercy w kuchni i piłem kawę bezkofeinową z odrobiną likieru. Nie chciało mi się spać, więc suchałem

wiadomości przez radio. W³anie siê zastanawia³em, czy warto siê jeszcze k³aæ, kiedy us³yszeli³my pukanie do drzwi.

Wiêc pojawi³a siê w godzinê i piêtnacie minut po katastrofie? spyta³ Joe.

Mniej wiêcej.

Nie zauważyli nadjeżdżającego samochodu odg³os silnika zag³usza³a ulewa i niesamowity chór wstrz³anych wiatrem drzew dopóki nie pojawi³ siê tuż przed nimi. Jeep Cherokee. Kiedy skręci³ pod gankiem, jego wiat³a, niczym srebrne miecze, przeciê³y strugi deszczu.

Dziêki Bogu! zawo³a³ Ned, zak³adaj¹c na g³owê kaptur. Drzwi zapiewa³y, gdy pchn¹³ je i wyszed³ na deszcz.

Doc Sheely wyjani³ Jeff Ealing. Muszê mu pomóc przy koniu. Ale Mercy i tak wie o tej kobiecie wiêcej ni¿ ja. Wejdzie do rodka i pogadajcie z ni¹.

Siwiej¹ce w³osy Mercy Ealing by³y zaczesane do góry i spiête z ty³u g³owy trzema spinkami w kszt³acie motyli. Kobieta zajmowa³a siê akurat wypiekami. Przy zaczerwienionych policzkach ko³ysa³o siê kilka niesfornych, przypominaj¹cych spiralki loków.

150

Wycieraj¹c d³onie najpierw w fartuch, a potem, ju¿ staranniej, w cierkê do naczyñ, nalega³a, by Barbara i Joe usiedli przy stole. Nala³a kawy i postawi³a przed nimi kopiasty talerz wiêzo upieczonych ciasteczek.

Drzwi by³y uchylone. W g³êbi widaæ by³o ganek. Rytmiczny odg³os deszczu wydawa³ siê tu przyt³umiony niczym werble ¿a³obne s³yszane gdzie z oddali. Powietrze by³o ciep³e i pachnia³o ciastem z m¹ki owsianej, czekolad¹ i palonymi orzechami. Kawa smakowa³a wybornie, ciasteczka te¿.

Na cianie wisia³ kalendarz z religijn¹ scen¹. Obrazek na sierpniê przedstawia³ Jezusa na brzegu morza, przemawiaj¹cego do dwu braci-rybaków, Szymona i Andrzeja, którzy zamierzali porzuciæ swe sieci i pod¹¿yæ za Nim, by staæ siê rybakami ludzi.

Joe poczu³ siê tak, jakby znalaz³ siê nagle w zupe³nie innej rzeczywistości ni¿ ta, w której ¿y³ od roku, jakby wydosta³ siê z obcego, zimnego miejsca i wkroczy³ do normalnego wiata ze zwyk³ymi ma³ymi, codziennymi k³opotami, koj¹co powszednimi obowi¹zkami i prost¹ wiar¹ w s³usznosc wszelkich rzeczy.

Mercy, zagl¹daj¹c do piekarników, wspomina³a noc katastrofy.

Nie, nie Rose. Nazywa³a siê Rachel Thomas.

Te same inicja³y, uwiadomi³ sobie Joe. Mo¿e Rose, oddalaj¹c siê od miejsca tragedii, podejrzewa³a, ¿e samolot run¹³ na ziemiê, bo ona znajdowa³a siê na jego pok³adzie. Mo¿e chcia³a, by jej wrogowie uwa¿ali j¹ za martw¹. A dziêki identycznym inicja³om pewnie ³atwiej jej by³o zapamiêtaæ fa³szywe imiê i nazwisko, które poda³a tym ludziom.

Jecha³a samochodem z Colorado Springs do Pueblo, kiedy zobaczy³a tuż nad g³ow¹ spadaj¹cy samolot opowiada³a Mercy. Biedaczka tak siê wystraszy³a, ¿e zahamowa³a gwa³townie, a wtedy samochód wpad³ w polizg. Dziêki Bogu mia³a pasy. Zjecha³a z drogi do rowu i samochód przewróci³ siê.

By³a ranna? wypytywa³a Barbara.

Nak³adaj¹c bry³ki ciasta na nat³uszczone blachy do pieczenia, Mercy odpar³a:

Nie, by³y ca³e i zdrowe, tylko trochê roztrzêsione. Ten rów nie by³ g³êboki. Rachel mia³a brudne ubranie, przyczepi³o siê do niej trochê trawy i chwastów, ale poza tym by³a OK. Rozdygotana jak lia na wietrze, ale OK. Urocze stworzonko, tak mi jej by³o ¿al.

A wiêc ju¿ wtedy twierdzi³a, ¿e jest wiadkiem katastrofy Barbara zwróci³a siê znacz¹co do Joego.

Och, nie s¹dzê, ¿eby to sobie zmyli³a stwierdzi³a Mercy. Na pewno wszystko widzia³a. By³a tym wstrz¹niêta.

Rozleg³ siê dwiêk minutnika. Mercy, odwrócona, wsunê³a d³oñ w rêkawicê kucharsk¹. Wyci¹gnê³a z piekarnika blachê pe³n¹ pachn¹cych, br¹zowych pierników.

Ta kobieta zjawi³a siê tutaj po pomoc?

Odstawiwszy blachê, ¿eby wystyg³a, Mercy wyjani³a:

151

Chcia³a zadzwoniæ po taksówkê z Pueblo, ale powiedzia³am jej, ¿e ¿adna taksówka tu nie przyjedzie.

Nie chcia³a wezwaæ wozu holowniczego do swojego samochodu? wtr¹ci³ pytanie Joe.

Nie wierzy³a, ¿e uda jej siê co za³atwiaæ o tej porze, i to w dodatku tak daleko od Pueblo. Chcia³a wróciæ nastêpnego dnia z kierowc¹.

Co zrobi³a, kiedy jej pani powiedzia³a, ¿e nie da siê wezwaæ taksówki? Barbara znów kierowa³a rozmow¹.

Och, sama odwioz³am je do Pueblo odpar³a Mercy, wsuwaj¹c do piekarnika blachê ze wielkim ciastem.

A¿ do samego Pueblo?

No có¿, Jeff musia³ wstaæ wczesniej ode mnie. Rachel nie chcia³a tu pozostaæ, a ja daj¹c gazu mog³am dowieæ j¹ na miejsce w godzinê wyjani³a Mercy, zamykaj¹c drzwiczki piekarnika.

To by³o bardzo mi³e z pani strony zauwa¿y³ Joe.

Naprawdê? To chyba nic takiego. Nasz Pan oczekuje, ¿e bêdziemy zachowywaæ siê jak Samarytanie. Po to jesteśmy na tej ziemi. Kiedy siê widzi, ¿e ludzie maj¹ k³opoty, trzeba im pomóc. A ta pani by³a bardzo mi³a. Przez ca³¹ drogê do Pueblo mówi³a o tych biednych ludziach z samolotu. By³a taka poruszona. Prawie jakby to by³a jej wina, to, co siê z nimi sta³o, tylko dlatego, ¿e widzia³a, jak maszyna spad³a na ziemiê. W ka¿dym razie nie robi³am nic wielkiego, odwo¿¹c j¹ do Pueblo Choæ z powrotem by³o okropnie, tyle samochodów jecha³o na miejsce katastrofy. Radiowozy, karetki, wozy stra¿ackie. I mnóstwo gapiów. Stali wzdu¿ drogi przy swoich samochodach i pikapach. Chcieli chyba zobaczyæ krew. Ciarki mi chodzi³y po plecach. Takie tragedie wyzwalaj¹ w ludziach najlepsze, ale i najgorsze cechy.

A w drodze do Pueblo, czy pokaza³a pani, gdzie dok³adnie jej wóz zjecha³ z szosy? dopytywa³ siê Joe.

By³a zbyt roztrzêsiona, ¿eby rozpoznaæ to miejsce po ciemku. A nie mog³ymy zatrzymywaæ siê co pó³ mili, ¿eby sprawdziæ, czy to akurat tutaj wyl¹dowa³ jej samochód, bo nigdy nie dowioz³ybyśmy biednej dziewczynki do domu.

Znowu zabrzcêcza³ minutnik.

Ponownie nak³adaj¹c rêkawice i otwieraj¹c piekarnik, Mercy powiedzia³a:

By³a taka zmêczona, oczy jej siê klei³y. Nie myla³a o ¿adnym holowaniu, tylko o tym ¿eby wróciæ do domu i pójæ do³ka.

Joe mógłby przysięc, że nie było żadnego samochodu. Rose oddaliła się od pionowej ściany i zniknęła w lesie, niemal leżąca w tej ciemności od blasku promieni, ale zdecydowana uciec, nim ktoś odkryje, że przeżyła. Była pewna, że 747 runa na ziemię z jej powodu. Przerazona, w stanie szoku, wstrząśnięta masakrą, zagubiona w leśnej dżungli, wolała narazić się na śmierć z wyczerpania i głodu niż zostać znaleziona przez ekipę ratunkową i wpaść w ręce wszechpotężnych wrogów. Wkrótce jednak, dzięki wielkiemu szczęściu, dotarła do krawędzi wzniesienia, skąd dojrzała między drzewami odległe wiaty Loose Change Ranch.

152

Proszę posłuchać, Mercy, dokąd zawiozła pani te kobiety, jak już dotarłyście do Pueblo? Pamiętaj pani adres? zainteresowała się Barbara, odsuwając pusty kubek po kawie.

Nie podała adresu, tylko pokazywała mi drogę, ulica po ulicy, aż zajechaliśmy pod sam dom Mercy wysunęła blachę, żeby sprawdzić, czy pierniki są wystarczająco wyronione i rumiane.

Rose bez wątplenia wybrała dom na chybił trafił, gdy wydawało się mało prawdopodobne, by znała kogokolwiek w Pueblo.

Widziała pani, jak weszła do rodka? nie ustępował Joe.

Chciałam poczekać, aż otworzy drzwi i przejdzie przez próg. Ale mi podziękowała i powiedziała: Niech cię Bóg błogosławi, a ja już muszę wracać.

Czy potrafiłaby pani odszukać to miejsce? spytała Barbara.

Mercy zdecydowała, że pierniki nie są jeszcze gotowe, wsunęła więc blachę z powrotem do piekarnika, cięgnęła z droni rękawicę i powiedziała:

Pewnie. Ładny, duży dom, miła okolica. Ale nie należała do Racheli, tylko do drugiego lekarza, z którym prowadziła praktykę. Mówię wam, że ona pracuje jako doktor w Pueblo?

Ale tak naprawdę nie widziała pani, żeby Rachel tam wchodziła? upewnił się Joe. Zakłada, że Rose poczekała, aż Mercy odjedzie, a następnie oddaliła się stamtąd i znalazła jakiś rodek lokomocji, którym wyjechała z Pueblo.

Twarz Mercy była czerwona i spocona od żaru piekarnika. Oderwała dwa kawałki z rolki papierowego ręcznika i wytarła sobie czoło.

Nie. Jak wam mówię, wysadziłem je przed domem, a one poszły ciężej do drzwi. One?

To biedne, zaspane małżeństwo. Takie kochane. Córeczka tego współnika Racheli.

Barbara, poruszona, spojrzała na Joego, a potem pochyliła się do przodu.

Było tam dziecko?

Taki mały aniołek. Chciało jej się spać, a wcale nie kaprysiła.

Joe przypominał sobie, że Mercy używała czasem liczby mnogiej i mówiła jeszcze inne rzeczy, na które powinien zwrócić baczniejszą uwagę.

Chce pani powiedzieć, że Rose i Rachel miały ze sobą dziecko?

No, mówię przecię, prawda? Mercy sprawiała wrażenie zaskoczonej. Wrzuciła papierowe ręczniki do mebli.

Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że było tam dziecko przyznała Barbara.

Mówię wam zapewniła Mercy, zdumiona ich konsternacją. Rok temu, jak zjawił się tutaj facet z tej waszej Rady, opowiedziałam mu o Racheli i tej małej dziewczynce, o tym, że Rachel była wiadkiem katastrofy.

Nie przypominam sobie, by co o tym było w raporcie przyznała Barbara, patrząc na Joego.

Joe poczu³ uk³ucie, serce drgn³o w nim na podobieństwo ko³a, które od wieków tkwi³o nieruchomo na zardzewia³ej osi, a teraz z wolna rusza.

Niewiadoma wstrz¹saj¹cego wrażenia, jakie jej s³owa wywar³y na rozmówcy, Mercy znów otworzy³a drzwiczki piekarnika.

Ile lat mia³a ta dziewczynka? spyta³.

Och, jakie cztery czy pięć odpar³a Mercy.

Joe niemal ba³ si³e odetchn¹æ, by nie sp³oszyæ przeczucia, jakie nagle go nawiedzi³o. Zamkn¹³ oczy i ujrza³ ciemnoæ pe³n¹ mo³liwoci, które l³ka³ si³e rozwa³æ.

Czy mo³e czy mo³e pani j¹ opisa³æ?

Takie maleńkie stworzonko. Wdzi³czne jak anio³ek, ale w końcu dziewczynki w tym wieku zawsze s¹ wdzi³czne, prawda? umiechn³a si³e Mercy.

Kiedy Joe znów spojrze³ przed siebie, Barbara przygl¹da³a mu si³e, a jej oczy przepe³nia³o wespół³czucie.

Ostro³nie, Joe. Nie doszukuj si³e w tym nadziei ostrzeg³a go.

Mercy odstawi³a gor¹c¹ blach³e z piernikami na suszark³e.

Jakiego koloru mia³a w³osy? Joe z trudem wydoby³ z siebie g³os.

By³a blondyneczk¹.

Zd¹ÿ³ okr¹ÿ³æ stó³, zanim sobie uwiadomi³, ðe w ogóle wsta³ z krzes³a.

Mercy, z³opatk¹ w d³oni, zdejmowa³a z blachy pierniczki i k³ad³a je na du³ym pó³misku.

Joe stan¹³ z boku.

Prosz³e mi powiedzie³æ, Mercy, jakiego koloru ta dziewczynka mia³a oczy?

Nie powiem, ðebym pami³ta³a.

Prosz³e sobie przypomnie³æ.

Chyba niebieskie odrzek³a niepewnie, wsuwaj¹c³ opatk³e pod piernik.

Chyba?

No, mia³a blond w³oski.

Zaskoczy³ j¹, wyjmuj¹c jej z d³oni opatk³e i odk³adaj¹c na blat szafki.

Spójrz na mnie, Mercy. To bardzo wa³ne.

Spokojnie, Joe, spokojnie ponownie ostrzeg³a go siedz¹ca przy stole Barbara.

Wiedzia³, ðe powinien jej pos³ucha³æ. Oboj³etnoæ by³a jego jedyn¹ broni¹. Oboj³etnoæ by³a jego przyjació³k¹ i pocieszycielk¹. Nadziej³a to ptak, który zawsze odfruwa, wiat³o, które zawsze umiera, kamieñ, który rozpada si³e w py³, gdy nie sposób ju³ dwiga³æ go dalej. A jednak, z przera³aj¹c¹ nawet dla niego samego oczywistoci¹, czu³ ci³ÿ³ar tego kamienia na swych barkach, czu³ blask tego wiat³a, bliskoæ skrzyde³.

Pos³uchaj, Mercy cierpliwie j¹ przekonywa³ nie wszystkie blondynki maj¹ niebieskie oczy, prawda?

Patrz¹c mu prosto w twarz, przeje³ta jego napi³ciem, Mercy Ealing przyzna³a:

No chyba nie.

Niektóre maj¹ oczy zielone, prawda?

Tak.

Jeli si³e zastanowisz, to, jestem tego pewien, przyznasz, ðe widzia³a nawet blondynki z piwnymi oczami.

Niezbyt wiele.

Ale kilka na pewno nalega³.

Znów narasta³o w nim przeczucie. Serce wali³o mu o łebra jak oszala³y koń bij¹cy żelaznymi podkowami o ciany stajni.

Ta ma³a dziewczynka upiera³ się. Jeste pewna, że mia³a niebieskie oczy?

Nie. Wcale nie jestem pewna.

Czy mog³a mieć szare oczy?

Nie wiem.

Pomył. Spróbuj sobie przypomnieć.

Oczy Mercy patrzy³y gdzie nad nim, gdy wróci³a wyobrani¹ do przesz³oci, ale po chwili potrz¹snę³a przecz¹co g³ow¹.

Nie mog³abym też powiedzieć, że by³y szare.

Spójrz na moje oczy, Mercy.

Przyjrza³a mu się z uwag¹.

S¹ szare powiedzia³.

Tak.

Maj¹ niespotykany odcień szaroci.

Tak.

Z leciutkim munięciem fioletu.

Widzę przyzna³a.

Czy ta dziewczynka mog³a Mercy, czy to dziecko mog³o mieć takie oczy jak moje?

Zdawa³o się, że Mercy wie, jak¹ odpowiedź Joe pragnie us³yszeć, choć nie mia³a pojęcia dlaczego. By³a kobiet¹ o dobrym sercu i pragnę³a sprawić mu przyjemność. Jednakże w końcu odpar³a:

Naprawdę nie wiem. Nie umiem powiedzieć z ca³¹ pewnością¹.

Joe miał³ wrażenie, że tonie, ale serce wci¹ł wali³o mu jak oszala³e.

Staraj¹c się panować nad g³osem, prosi³:

Wyobra sobie twarz tej dziewczynki. Po³o¹ły³ d³onie na ramionach Mercy. Zamknij oczy i spróbuj znów j¹ zobaczyć.

Zamknę³a oczy.

Na lewym policzku ci¹gn¹³ Joe. Obok ucha. Tylko dwa centymetry od ucha. Ma³y pieprzyk. renice Mercy poruszy³y się pod g³adkimi powiekami, gdy próbowa³a wejrzeć w sw¹ pamięć.

To by³o bardziej zamię niż pieprzyk nie ustępowa³ Joe. Bez czubka, p³askie. W kształcie p³księ¹yca.

Po d³ugiej chwili wahania powiedzia³a:

Mog³a mieć taki znak, ale nie pamiętam dok³adnie.

Jej umiech. Trochę skrzywiony, trochę nieregularny, lewy k¹cik ust podniesiony.

Nie przypominam sobie, żeby się umiecha³a. By³a taka senna i trochę oszo³omiona. S³odka, ale zamknięta w sobie.

Joemu nie przychodzi³o już do g³owy nic, co mog³oby poruszyć pamięć Mercy. Móg³by raczej j¹ bez końca opowieciami o wdzięku córki, jej uroku, radosnym usposobieniu i melodyjnym miechu. Móg³by mówić godzinami o jej pięknie: g³adkiej p³aszczynie czo³a, miedzianoz³otych brwiach i r³êsach, zabawianym nosku, uszkach jak muszelki, o twarzyczce, na której malowa³a się kruchość i

jednoczenie uparta si³a, co sprawia³o, że gdy dziewczynka spa³a, patrzy³ na ni¹ ze cini³ym sercem; móg³by zachwyca^æ si³e ciekawoci¹ i niezaprzeczaln¹ inteligencj¹, towarzyszy¹cymi ka³demu spojrzaniu. By³y to jednak tylko jego subiektywne spostrze³enia i bez wzgl³du na to, jak szczegó³owo by o nich opowiada³, to i tak nie uzyska³by od Mercy odpowiedzi, której z tak¹ nadziej¹ oczekiwa³. Zdj¹³ d³onie z jej ramion. Mercy otworzy³a oczy.

Joe wzi¹³ do r³eki ³opatk³e, któr¹ jej odebra³. Po chwili od³o³y³ j¹ na bok. Nie zdawa³ sobie sprawy, co robi.

Przykro mi powiedzia³a.

W porz¹dku. Mia³em nadziej³e myla³em nie wiem. Nie jestem w³aciwie pewien, o czym myla³em.

Nie potrafi³ oszukiwa^æ samego siebie, ten strój do niego nie pasowa³. Ok³amuj¹c Mercy Ealing czu³ si³e nagi i bolenie wiadomy swych p³onnych nadziei i oczekiwa³ñ. Znów ogarn¹³ go syndrom poszukiwania, i cho^æ tym razem nie ciga³ nikogo w sklepie, nie skrada³ si³e za urojon¹ Michelle przez centrum handlowe, nie podbiega³ do siatki okalaj¹cej szkolny dziedziniec, by zerkn¹æ z bliska na Chrissie, która by³a kim zupe³nie obcym jeszcze raz odda³ si³e ca³ym sercem beznadziejnym poszukiwaniom. Wystarczy³a zbie³no^æ wieku i barwy oczu u tajemniczego dziecka i jego utraconej córki, by znów, nie bacz¹c na nic, zacz¹³ rozpaczliwie cigaa^æ fa³szyw¹ nadziej³e.

Przykro mi powtórzy³a Mercy, najwyraniej wyczuwaj¹c jego za³amanie. Jej oczy, ten pieprzyk, umiech nie przypominam sobie. Ale pamiętam jej imię. Rachela nazywa³a j¹ Nin¹.

Barbara, która wci¹ż siedzia³a przy stole, za plecami Joego, zerwa³a si³e tak gwa³townie, że przewróci³a krzes³o.

156

12

Woda sp³ywaj¹ca rynn¹ w k¹cie ganku szemra³a niesamowitymi g³osami by³y pe³ne ³ycia i k³ótlive, gard³owe i szepcz¹ce i zadawa³a pytania w nieznanym j³zyku.

Joe mia³ nogi jak z waty. Opar³ si³e obiema d³o³ni o mokr¹ por³ecz. Pod okapem daszku szala³ deszcz, ch³oszcz¹c go po twarzy.

Barbara wskaza³a niskie wzgórza i lasy na po³udniowym zachodzie.

W³anie tam spad³ samolot.

Jak to daleko?

W otwartych drzwiach kuchni stan³a Mercy.

Mo³e z kilometr w linii prostej. Mo³e troch³e dalej.

Uciekaj¹c z rozdartej ³ki do lasu, gdzie ogień szybko zamar³, gdy³ lato tamtego roku by³o wilgotne, wchodz¹c g³ębiej w ciemno^æ mi³ędzy drzewami, przedzieraj¹c si³e przez rzadkie poszycie, z trudem

przyzwyczajaj¹c oczy do mroku, wkraczaj¹c by³może na szlak jeleni, który u³atwia³ wêdrówkê, może przechodz¹c przez jeszcze jedn¹ ³¹kê, a¹ do wzniesienia, z którego wida³e by³o wiat³a rancza Rose mog³a prowadzi³e, czy te¹z nie³e, dziewczynkê. Jaki kilometr w linii prostej, ale dwa czy nawet trzy razy wiêcej, kiedy napotyka³o siê nierównoci terenu i pod¹u³a³o jelenim szlakiem.

Oko³o dwóch kilometrów na piechotê stwierdzi³ Joe.

Niemo¹żliwe odpar³a Barbara.

Bardzo mo¹żliwe. Mog³a tego dokona³e.

Ale nie mówimy tu o spacerku dla przyjemności. Zwróci³a siê do Mercy: Pani Ealing, okaza³a nam pani ogromn¹ pomoc, ale musimy przedyskutowa³e pewn¹ poufn¹ sprawê. Czy możemy przeprosi³e pani¹ na chwilê?

157

Ale¹ oczywiście. Rozmawiajcie, jak tylko d³ugo chcecie powiedzia³a Mercy, zaintrygowana. Nie chcia³a jednak przeszkadza³e, wiêc wycofa³a siê za próg, zamykaj¹c za sob¹ drzwi kuchni.

Tylko kilometr powtórzy³ Joe.

W linii prostej skorygowa³a Barbara, przysuwaj¹c siê bli¹żej i k³ad¹c mu d³oń na ramieniu. Tylko kilometr w poziomie, ale w pionie siedem kilometrów, prosto w dó³, z nieba na ziemiê. W³anie tego nie mogê zaakceptowa³e, Joe.

Zmaga³ siê z samym sob¹. Przekonanie, że kto to prze¹ży³, wymaga³o g³êbokiej wiary, a on jej nie mia³ nie móg³ i nie chcia³ mie³e. Pok³adanie wiary w Bogu by³oby równoznaczne z uznaniem, że w cierpieniu, które stanowi istotê ludzkiego dowiadczenia, zawiera siê sens, a on nie dostrzega³ takiego sensu. Z drugiej jednak strony przekonanie, że ten cud przetrwania by³ wynikiem badañ naukowych, w które zaangażowa³a siê Rose, że ludzko³e siêgnê³a z powodzeniem po Bosk¹ moc Szadrak ratuj¹cy sam siebie z ognistego pieca, łazarz wskrzeszaj¹cy z grobu łazarza wymaga³o od niego wiary w nadprzyrodzone w³aciwoci ludzkiego ducha. W jego dobro. W dobroczynny geniusz. Po czternastu latach pracy w charakterze reportera kryminalnego zna³ ludzi zbyt dobrze, by klêkn¹æ przed o³tarzem Pierwszego Kocio³a pod wezwaniem Ludzkiej Boskoci. Ludzie odznaczeni siê geniuszem samozniszczenia, ale tylko nieliczni, jeli w ogóle tacy istnieli, byli zdolni zapewni³e sobie ocalenie.

Barbara, wci¹u¹ trzymaj¹c mu d³oń na ramieniu, powiedzia³a twardo, cho³e tonem siostrzanej troski:

Najpierw chcesz, bym uwierzy³a, że kto jeden prze¹ży³ tê straszliw¹ katastrofê. Teraz mamy ju¹ dwie osoby. Sta³am porodka tych dymi¹cych szcz¹tków, porodka tej masakry, i wiem, że szansę, by kto wyszed³ z tego ca³o na w³asn¹ych nogach, s¹ jak jeden do miliarda.

Zgadza³m siê.

Nie, nie jak jeden do miliarda. Jak jeden do niewyobra¹zalnej, astronomicznej liczby.

W porz¹dku.

A zatem nie ma w ogóle szans, by prze¹ży³y to a¹ dwie osoby, szans nawet nieskończenie ma³ych.

Nie powiedzia³em ci jeszcze wielu rzeczy stwierdzi³ Joe. I nadal nie zamierzam ich mówi³e dla twego w³asnego dobra. Ale jedno mogê ci zdradzi³e Ta Rose Tucker jest naukowcem i przez ostatnie lata pracowa³a nad czym wa¹żnym, finansowanym przez wojsko albo rz¹d, nad czym tajnym i diabelnie du¹żym.

Nad czym?

Nie wiem. Ale zanim wesz³a na pok³ad samolotu w Nowym Jorku, zadzwoni³a do reporterki w L.A., swojej starej przyjació³ki, i umówi³a siê z ni¹ na wywiad w obecności zaufanych wiadków zaraz przy zejściu z p³yty lotniska. Powiedzia³a, że przywiezie ze sob¹ co, co na zawsze odmieni wiat.

Barbara patrzy³a mu uważnie w oczy, jak gdyby szukaj¹c potwierdzenia, że nie mówi poważnie. By³a kobiet¹, która wierzy w potęgê logiki i rozumu, kim, do kogo przemawiaj¹ jedynie fakty i szczegó³y, i kto z dowiadczania wie, że do prawdy dochodzi siê bardzo powoli, krok po kroku. Jako inspektor ca³e lata zajmowa³a siê zagadkami sk³adaj¹cymi siê dos³ownie z milionów elementów, zagadkami, które by³y o wiele bardziej z³ozone ni¿ najbardziej niezwyk³y przypadek zbrodni, z jakim mia³ do czynienia policyjny detektyw z tajemnicami ludzkiego dzia³ania i awarii mechanizmów, które nale¿a³o rozwik³aæ, nie odwo³uj¹c siê do cudu, lecz na drodze mozolnych badañ.

Joe rozumia³ jej spojrzenie, gdy¿ zawód reportera nie ró¿ni³ siê tak bardzo od jej pracy.

Wiêc co chcesz mi wmówiaæ? atakowa³a go Barbara. – e kiedy samolot wali³ siê w dó³, Rose wyci¹gnê³a z torebki butelkê zawieraj¹c¹ jaki fantastyczny rodek, który zapewnia chwilow¹ niemiertelnoæ, co w rodzaju emulsji przeciws³onecznej, i czym prêdziej siê nim spryska³a?

Joe niemal wybuchn¹³ miechem. Po raz pierwszy od niepamiêtnych czasów mia³ ochotê na miech.

Nie, oczywicie, że nie.

Wiêc co?

Nie wiem. Co.

Brzmi to jak wielkie nic.

Co upiera³ siê.

Gdy zniknê³y poszarpane b³yskawice i umilk³ trzask piorunów, sk³êbione chmury mia³y w sobie posêpne piêkno.

Widoczne w oddali niskie, zadrzewione wzgórze te same, którymi wêdrowa³a cudem ocalona z ognia i zniszczenia Rose Tucker przykrywa³a teraz mg³a.

Zawodz¹cy wiatr zmusza³ osiki i topole do tañca. Nad polami, niczym spódnice, wirowa³y fale deszczu.

Znów przepe³nia³a go nadzieja. By³o mu dobrze. I weso³o. Dlatego nadzieja by³a niebezpieczna. Ten cudowny lot w górê, s³odkie poczucie uniesienia, zawsze zbyt krótkie, nios³y ze sob¹ straszny upadek, tak druzgoc¹cy, jak cudowna by³a wysokoæ, z jakiej nastêpowa³.

Ale mo¿e brak nadziei by³ czym jeszcze gorszym?

Wype³nia³o go poczucie niezwyk³oci i oczekiwania.

Ale i lêku.

Co powtórzy³.

Zdj¹³ d³oñ z porêczy. Znów sta³ twardo na nogach. Otar³ rêce o d¿insy. Osuszy³ mokr¹ od deszczu twarz rêkawem marynarki.

Jakim cudem wyl¹dowa³a na ³¹ce ca³a i zdrowa, potem pokona³a dwa kilometry dziel¹ce j¹ od rancza. Dwa kilometry w godzinê i piêtnacie minut,

nic niezwyk³ego, w ciemności i z ma³ym dzieckiem, które trzeba nieæ albo prowadziaæ.

Bardzo nie lubiê ci¹gaæ ciê na ziemiê

Wiêc nie ci¹gaj.

ale jest co, co musisz wzi¹æ pod uwagê.

S³ucham.

Barbara zawaha³a siê. Po chwili powiedzia³a:

Za³ó³my teoretycznie, że kto siê uratowa³. Tę ta kobieta rzeczywiście lecia³a samolotem. Nazywa siê Rose Tucker ale mówi Mercy i Jeffowi, że nazywa siê Rachel Thomas.

Więc?

Jeli nie podaje im prawdziwego nazwiska, to dlaczego zdradza prawdziwe imię dziecka?

Ci ludzie, którzy cigaj¹ Rose im nie chodzi o Ninê, Nina ich nie interesuje.

Jeli dowiedzieli siê, że Rose zdo³a³a jako ocaliæ dziecko, i jeli ocali³a je ze wzglêdu na tã rewelacjê, z któr¹ zamierza³a wyst¹piæ na konferencji prasowej w Los Angeles, to mo³e i dziewczynka stanowi dla nich równie du³e zagro³enie jak sama Rose.

Mo³e. Nie wiem. Nie mylê o tym w tej chwili.

Widzisz, chodzi mi o to, że pos³u³ly³aby siê zmylonym imieniem.

Niekoniecznie.

Zrobi³aby to nie ustêpowa³a Barbara.

Więc w czym rzecz?

Mo³e to Nina jest fa³szywym imieniem.

Poczu³ siê tak, jakby kto go spoliczkowa³. Milcza³.

Mo³e dziecko, które zjawi³o siê tamtej nocy na ranczo, nazywa³o siê naprawdê Sara albo Mary, czy te³ Jennifer

Nie stwierdzi³ twardo Joe.

Rachel Thomas to przecie³ tak³e fa³szywe imię i nazwisko.

Jeli dziecko nie by³o Nin¹, to có³ to za niesamowity zbieg okolicznoci, że Rose wybra³a na chybi³ trafi³ akurat imię mojej córki. Szansa jedna na miliard!

Tym samolotem mog³o lecieæ dwoje dzieci w wieku oko³o piêciu lat.

Dwie dziewczynki o imieniu Nina? Barbaro, na litoæ bosk¹!

Jeli ktokolwiek prze³ly³, jeli prze³ly³a to ma³a dziewczynka o jasnych w³osach Barbara rozwa³a³a i tak¹ mo³liwoæ powiniene mimo wszystko przygotowaæ siê na rozczarowanie. To nie musia³a byæ twoja Nina.

Wiem odpar³, choæ by³ z³y, że zmusi³a go do tego wyznania. Wiem.

Naprawdê?

Oczywiście.

Martwiê siê o ciebie, Joe.

Dziêkujê odpar³ sarkastycznie.

160

Masz z³amane serce.

Nic mi nie jest.

Móg³by tak ³atwo siê pogr¹lyæ.

Wzruszy³ ramionami.

Nie powiedzia³a. Spójrz na siebie.

Czujê siê lepiej ni³ przedtem.

To nie musi byæ Nina.

To nie musi byæ Nina przyzna³, czuj¹c do Barbary nienawiæ za tã bezwzglêdn¹ nieustêpliwoæ, choæ wiedzia³, że kieruje siê tylko trosk¹ o niego, że daje mu tã gorzk¹ pigu³kê, by uczyniæ go silniejszym, ochroniæ przed ca³kowitym za³amaniem, gdyby jego nadzieje okaza³y siê w ko³cu p³onne. Jestem gotów przyj¹æ do wiadomoci, że ta dziewczynka mo³e okazaæ siê kim innym. OK?

Czujesz siê teraz lepiej? Poradzê sobie, jeli siê okaże, że mia³a racjê.

Mówisz tak, ale to nieprawda.

Spojrza³ na ni¹ ze z³oci¹.

To prawda.

Może jaka cz¹stka wiadomoci mówi ci, że to nie musi byæ Nina, ale serce bije ci jak oszala³e, dos³ownie pulsuje przekonaniem, że to w³anie ona.

Czu³ niemal, jak oczekiwanie cudownego spotkania sprawia, że jego oczy b³yszcz¹ i piek¹.

Jednak oczy Barbary by³y pe³ne smutku, który doprowadza³ go do takiej wciek³oci, że by³ prawie gotów j¹ uderzyæ.

Mercy zabra³a siê teraz do pieczenia p¹czków. W jej spojrzeniu pojawi³a siê ciekawoæ ale i troska. Widzia³a przez okno, z jakim o¿ywieniem rozmawia tych dwoje na ganku. Może us³ysza³a nawet kilka s³ów, zupe³nie niechc¹cy, gdy¿ nie zamierza³a pods³uchiwaæ.

By³a jednak urodzon¹ Samarytank¹, a obrazek na sierpniowej stronie kalendarza, przedstawiaj¹cy Jezusa, Andrzeja i Szymona Piotra, przypomina³ jej o obowi¹zkach chrzecijanina, stara³a siê wiêc za wszelk¹ cenê pomóc.

Nie, nie s³ysza³am, żeby dziewczynka choæ raz wymówi³a swoje imiê. To Rachel powiedzia³a, jak siê nazywa. Biedne dziecko w ogóle siê nie odzywa³o. Wiecie, by³a taka zmêczona, taka pi¹ca. I chyba trochê zszokowana po tym, jak samochód wjecha³ do rowu. Co prawda nic jej siê nie sta³o. Ale buziê mia³a blad¹ i b³yszcz¹c¹ jak wosk. Opada³y jej powieki i by³a lekko nieprzytomna. Jakby w transie. Niepokoi³am siê o ni¹, ale Rachel powiedzia³a, że nic jej nie jest, a to przecie¿ lekarka, wiêc ju¿ siê wiêcej nie martwi³am. Maleñstwo ca³¹ drogê do Pueblo spa³o.

161 11 Jedyna ocalona

Mercy formowa³a w d³oniach p¹czka. Po³o¿y³a blad¹ kulkê na blasze i sp³aszczy³a delikatnie kciukiem.

Rachel przyjecha³a do Colorado Springs na weekend, żeby odwiedziæ rodzinê, i zabra³a ze sob¹ Ninê, bo jej rodzice wybrali siê w rocznicê lubu w podró¿. Tyle przynajmniej zrozumia³am. Zaczê³a pakowaæ do papierowej torby pierniki, które ju¿ ostyg³y na pó³misku. To doæ niezwyk³e w tych stronach, to znaczy czarny i bia³y doktor, którzy razem prowadz¹ praktykê, tak samo jak czarna kobieta, która chodzi z bia³ym dzieckiem. Ale to chyba znaczy, że wiat idzie ku lepszemu, że jest wiêcej tolerancji i mi³oci.

Zawinê³a torbê i wrêczy³a j¹ Barbarze.

Dziêkujê, Mercy Barbara przyjê³a podarunek.

Mercy zwróci³a siê do Joego.

Przykro mi, że nie mogê w czym jeszcze pomóc.

Bardzo nam pomog³a zapewni³ j¹ i umiechn¹³ siê. I dziêki za pierniki.

Zerknê³a w stronê okna, które wychodzi³o gdzie na bok. Za zas³on¹ deszczu widaæ by³o stajniê.

Dobre pierniki podnosz¹ na duchu, prawda? Ale Bóg mi wiadkiem, że chcia³abym dzi zrobiæ dla Jeffa co wiêcej. On tak kocha tê klacz rzek³a ze smutkiem.

Patrz¹c na kalendarz, Joe spyta³:

Jak udaje ci siê zachowaæ wiarê, Mercy? Kiedy na wiecie jest tyle mierci, samoloty spadaj¹ na

ziemiê, a ukochane konie zdychaj¹ bez powodu?

Nie wydawa³a siê zaskoczona ani ura¹ona tym pytaniem.

Nie wiem. Czasem jest ciê¹ko, prawda? Kiedy siê gniewa³am, że nie możemy mieæ dzieci. Tyle razy roni³am, że pobi³am chyba rekord, a potem siê podda³am. S¹ dni, kiedy chce siê krzyczeæ w niebo. I s¹ noce, kiedy nie można spaæ. Ale mylê sobie, że w życiu ma siê te¹ radoci. I w końcu trzeba przejeæ przez to wszystko w drodze do jakiego lepszego miejsca. Jeli czeka nas wiecznoæ, to nie ma a¹ tak wielkiego znaczenia, co siê z nami tu dzieje.

Joe mia³ nadzieje us³yszeæ bardziej interesuj¹c¹ odpowied. Wnikliw¹. Dok³adn¹. Zrodzon¹ z ludowej m¹droci. Co, w co móg³by uwierzyæ.

Ale ta klacz znaczy dla Jeffa tak du¹o! I dla ciebie te¹, bo jest wa¹na dla niego.

Wziê³a w d³onie nastêpn¹ bry³kê ciasta, utoczy³a z niej blady ksiê¹yc, potem umiechnê³a siê i powiedzia³a:

Och, gdybym to rozumia³a, Joe, to bym chyba nie by³a sob¹. By³abym Panem Bogiem. A tej posady wola³abym nie obejmowaæ.

Jak to rozumiesz?

Stamt¹d wszystko wygl¹da chyba jeszcze smutniej ni¹ st¹d, nie uwa¹asz? On zna nasze mo¹liwoci, ale wci¹ musi patrzeæ, jak nam nic nie wychodzi, jak siê nawzajem krzywdzimy, musi patrzeæ na nienawiaæ i k³am

162

stwa, zazdroæ, chciwoæ i nieskończon¹ po¹dliwoæ. My widzimy tylko to, co robi¹ ludzie wokó³ nas, ale On widzi wszystko. Z tronu, na którym siedzi, roztacza siê o wiele smutniejszy widok ni¹ st¹d, z ziemi.

Po³o¹y³a na blasze kulkê ciasta i naznaczy³a j¹ kciukiem: chwila radoci pieczenie, jedzenie, co, co podnosi na duchu.

Jeep weterynarza wci¹ sta³ na podjedzie obok forda. Na tylnym siedzeniu le¹a³ wy¹e³ weimarski. Kiedy Joe i Barbara wsiedli do swego wozu i zatrzasnêli drzwi, pies podniós³ szlachetn¹, szarosrebrn¹ g³owê i zacz¹³ im siê przygl¹daæ przez szybê.

Zanim Barbara zd¹o¹y³a w³o¹yæ kluczyk do stacyjki i uruchomiæ silnik, wilgotne powietrze w samochodzie wype³ni³ aromat pierników i zapach mokrego d¹insu. Przednia szyba pokry³a siê szybko par¹ oddechów.

Jeli to Nina, twoja Nina mówi³a Barbara, czekaj¹c, a¹ nawiew usunie mg³ê z szyby to gdzie by³a przez ca³y ten rok?

Gdzie z Rose Tucker.

A dlaczego Rose mia³aby przetrzymywaæ córkê z dala od ojca? Przecie¹ to okrucieństwo. Wcale nie. Pozna³a odpowied. Tam, na ganku.

Dlaczego wci¹ odnoszê wra¹enie, że s³uchasz mnie tylko wtedy, kiedy wygadujê bzdury?

Nina prze¹y³a razem z Rose, prze¹y³a dziêki Rose. Dlatego wrogowie Rose chc¹ te¹ z³apaæ moj¹ córkê. Gdyby Nina wróci³a do domu, grozi³oby jej niebezpieczeństwo. Rose j¹ chroni.

Perlista para cofa³a siê ku naro¹nikom szyby. Barbara w³¹czy³a wycieraczki.

Wy¹e³ wci¹ obserwowa³ ich ze swojego miejsca, nie podnosz¹c siê. Jego oczy przypomina³y dwa

Ini¹ce bursztyny.

Rose j¹ chroni powtórzy³. Dlatego muszê dowiedziæ siê wszystkiego o tym nieszczęsnym locie i utrzymaæ siê przy Ÿyciu dostatecznie d³ugo, Ÿeby ujawniæ tê historiê. A kiedy juŸ wszystko bêdzie wiadomo, kiedy ci dranie wyl¹duj¹ w wiêzieniu albo komorze gazowej, wówczas Rose znów bêdzie bezpieczna, a Nina powróci do mnie.

Jeli ta Nina to twoja Nina przypomni³a mu Barbara.

Tak, jeli to ona.

Odprawdzani smutnym spojrzeniem Ÿó³tych oczu psa minêli samochód weterynarza i objechali owaln¹ grz¹dkê liliowych ostróŸek na rodku kolistego podjazdu.

Nie uwaŸasz, Ÿe powinni³my poprosiæ Mercy, Ÿeby nam pomog³a znaleæ ten dom w Pueblo, pod który zawioz³a tamtej nocy Rose i dziewczynkê? spyta³a Barbara.

163

To bez sensu. Nic tam po nas. Nie wesz³y do rodka. Jak tylko Mercy odjecha³a, ruszy³y w dalsz¹ drogê. Rose skorzysta³a tylko z uczynności Mercy, by dotrzeæ do najbliŸszego miasta, gdzie mog³a znaleæ jaki rodek lokomocji, moŸe zadzwoniæ do zaufanych przyjació³ w Los Angeles czy gdzie indziej. Jak duŸe jest Pueblo?

Okó³o stu tysiêcy mieszkañców.

Spore miasto. MoŸna skorzystaæ z autobusu albo poci¹gu. WypoŸyczyæ samochód czy polecieæ samolotem.

Kiedy jechali Ÿwirow¹ drog¹ w stronê szosy, Joe zobaczy³ trzech mêŸczyzn w p³aszczach przeciwdeszczowych z kapturami, którzy wychodzili ze stajni za placem æwiczeñ. Jeff Ealing, Ned i weterynarz.

Nie zamknêli za sob¹ drzwi od boksu. Nie wychyli³ siê w lad za nimi Ÿaden koñ.

Kul¹c siê pod uderzeniami deszczu i pochylaj¹c g³owy, niczym procesja zakonników ruszyli w stronê domu. Nie trzeba by³o szczególnej przenikliwoci, by siê domyliæ, Ÿe ramiona przygniata³ im ciêŸar nie tylko burzy, ale i poraŸki.

Teraz pozostawa³o tylko zadzwoniæ do rzeni. Ukochana klacz zostanie zabrana i poæwiartowana. Jeszcze jedno letnie popo³udnie na ranczo Loose Change popo³udnie, jakiego siê nigdy nie zapomina.

Joe mia³ nadziejê, Ÿe up³yw lat, codzienny znój i poronienia nie rozdzieli³y Jeffa i Mercy Ealingów. Mia³ nadziejê, Ÿe noc¹ wci¹Ÿ trzymaj¹ siê w objêciach.

Szary blask burzowego nieba by³ tak przyæmiony, Ÿe Barbara w³¹czy³a wiat³a. Kiedy dotarli do szosy, srebrzysty deszcz po³yskiwa³ w bliñaczych snopach reflektorów.

Na dziedziñcu szko³y podstawowej w Colorado Springs, obok której Joe zaparkowa³ wypoŸyczony samochód, powsta³o rozlewisko p³ytkich jezior. W przesyconym szaroci¹ wietle drabinki i hutawki nad pomarszczonymi ka³uŸami wygl¹da³y dziwnie. Przypomina³y Stonehenge ze stalowych rur, jeszcze bardziej tajemnicze niŸ ów starodawny kr¹g megalitycznych ska³ na angielskiej równinie Salisbury.

Gdziekolwiek kierowa³ teraz wzrok, wiat wydawa³ mu siê inny od tego, w którym spêdzi³ ca³e Ÿycie. Wszystko zaczê³o siê poprzedniego dnia, kiedy uda³ siê na cmentarz. Mia³ wraŸenie, Ÿe od

tamtej pory metamorfoza dokonuje się coraz szybciej i z coraz większą siłą, jakby wiat einsteinowskich praw pochłaniał się z przestrzeni, w której obowiązują odmienne zasady energii i materii.

Ta nowa rzeczywistość była w jakiś przejmujący sposób o wiele piękniejsza i bardziej przerażająca niż ta dawna. Wiedziała, że zmiana jest subiek-

164

tywna i nieodwracalna, że nic już po tej stronie śmierci nie będzie mu się wydawało proste, najgadsze paszczyzny kryły nieznane góry i złoconoci.

Barbara zatrzymała się za jego wypożyczonym wozem, dwie przecznice od swojego domu. No cóż. Tu chyba się kończy nasza podróż.

Dzięki, Barbaro. Podjęła takie ryzyko

Nie chcę, byś się o mnie martwiła. Słyszysz? To była moja własna decyzja.

Gdyby nie twoja serdeczność i odwaga, nigdy bym nie dotarł do sedna tej tragedii. Dziś otworzył przedem drzwi.

Ale dokąd one prowadzą? zatroskała się.

Może do Niny.

Barbara wyglądała na zmęczoną, przestraszona i smutna. Przesunęła dłoń po twarzy. Znużenie zniknęło i była już tylko przestraszona i smutna.

Joe, zapamiętaj, co ci mówię. Gdziekolwiek pójdiesz, słuchaj mnie. Będzie jak stara żona, która stale powtarza, że nawet jeśli ktoś jakim cudem wyszedł z tej katastrofy cało, to jest cholernie mało prawdopodobne, by to była twoja Nina. Nie zawieszaj sam nad sobą tego miecza, który może cię przeciąć na pół.

Skin gotów.

Obiecuj mi prosiła.

Obiecuję.

Ona odeszła, Joe.

Może.

Uzbrój się, otocz serce pancierzem, bądź silny.

Zobaczymy.

Lepiej już jedź poradziła.

Otworzył drzwi i wysiadł na deszcz.

Powodzenia rzuciła na pożegnanie Barbara.

Dzięki.

Zatrzasnął drzwi, a ona odjechała.

Otwierając swój samochód, usłyszał pisk hamulców, forda niecałkowicie przecznicę dalej. Kiedy podniósł wzrok, jeep cofał się w jego stronę. Czerwone tylne światła poślizgiwały się na mokrym asfalcie.

Wysiadł, podszedł do niego, otoczył go ramionami i przytulił mocno.

Jesteś kochanym człowiekiem, Joe Carpenter.

On też ją uciskał, choć nie przychodziły mu do głowy żadne słowa. Przypomniał sobie, jak bardzo chciał ją uderzyć, kiedy nalegała, by wyrzekł się wiary, że Nina żyje. Wstydzili się teraz nienawici, jak wówczas odczuwał, wstydzili się i był zmieszany, ale też wzruszony jej przyjaciółką, która w tej chwili znaczyła dla niego więcej, niż mógł sobie wyobrazić, kiedy dzwonił do jej drzwi.

Jak to się dzieje, że znam cię zaledwie parę godzin, zapytała, a mam wrażenie, jakby był moim synem?

Pozostawi³a go po raz drugi.

Wsiad³ do samochodu, gdy odje¿d¿a³a.

Obserwowa³ w lusterku wstecznym forda, dopóki nie skrêci³ pod jej domem, dwie przecznice dalej, znikaj¹c w gara¿u.

Bia³e pnie brzóz po drugiej stronie ulicy lni³y jak wie¿o pomalowane ramy, a g³êbokie, ponure cienie miêdzy nimi by³y jak otwarte drzwi prowadz¹ce w przysz³oœæ, której lepiej nie odwiedzaæ.

Wraca³ do Denver przemoczony, nie przejmuj¹c siê ograniczeniem szybkoœci. W³¹cza³ na przemian ogrzewanie i klimatyzacjê, by wysuszyæ na sobie ubranie.

By³ podekscytowany szans¹ odzyskania Niny.

Wbrew temu, co mówi³ Barbarze, wbrew temu, co jej obieca³, wiedzia³, ¿e Nina ¿yje. Tylko jedna rzecz wydawa³a siê w tym dziwacznie odmienionym wiecie absolutnie pewna i prawid³owa: ¿ywa Nina, Nina, która gdzie tam jest. By³a jak promieñ ciep³ego wiat³a na jego skórze: choæ nie móg³ jej dostrzec, jak nie widzi siê podczerwieni czy ultrafioletu, czu³ przecie¿ jej dotyk i blask.

Nie mia³o to nic wspólnego z tamtym z³owieszczym z³udzeniem, które tak czêsto kaza³o mu ulegæe syndromowi poszukiwania i gonieæ za duchami. Nadzieja, jak¹ ¿ywi³ teraz, by³a jak ska³a, nie jak ulotna mgie³ka.

Czu³ siê niemal tak szczêliwy jak przed ponad rokiem, ale ilekroæ podniecone serce zaczyna³o mu biaæ szybciej, nagle pojawia³y siê wyrzuty sumienia. Nawet gdyby znalaz³ Ninê i kiedy by j¹ znalaz³ nie odzyska³by jednoczenie Michelle i Chrissie. Odesz³y na zawsze, a radoœæ z powrotu tylko tej jednej, a nie ca³ej trójki, wydawa³a mu siê niestosowna.

Jednak¿e pragnienie poznania prawdy, które kaza³o mu udaæ siê do Colorado, wydawa³o siê niczym w porównaniu z drêcz¹c¹ potrzeb¹ odnalezienia m³odszej córeczki, potrzeb¹, która by³a czym wiêcej ni¿ przymusem czy obsesj¹.

Po przyjeździe na lotnisko zwróci³ samochód i zap³aci³ gotówk¹. Piêædziesi¹t minut przed odlotem samolotu siedzia³ ju¿ w poczekalni.

By³ g³odny. Oprócz dwóch pierniczków Mercy nie mia³ nic w ustach od poprzedniego wieczoru, kiedy to w drodze do domu Vadanceów zjad³ dwa cheeseburgery, a póniej czekoladowego batona.

W najbli¿szej restauracji zamówi³ potrójnego sandwicha z frytkami i butelkê Heinekena.

Bekon smakowa³ mu jak nigdy. Obliza³ palce z majonezu. Frytki by³y chrupi¹ce jak nale¿y, a marynaty z koperkiem soczyste. Po raz pierwszy od tamtego sierpnia nie tylko poch³ania³ jedzenie, ale siê nim delectowa³.

Kiedy zmierza³ do w³aciwego wyjcia, maj¹c wci¹¿ w zapasie dwadziecia minut, nagle skrêci³ do toalety. Czu³, ¿e za chwilê zrobi mu siê niedobrze.

Nim wszed³ do kabiny i zamkn¹³ siê, atak md³oci min¹³. Zamiast wymiotowaæ, opar³ siê plecami o drzwi i zap³aka³.

Nie zdarzy³o mu siê to od wielu miesiêcy i teraz nie wiedzia³, dlaczego p³acze. Mo¿e dlatego, ¿e dr¿a³ ze szczêcia na myl o ponownym spotkaniu z Nin¹. A mo¿e ze strachu, ¿e jej nie znajdzie albo

straci po raz drugi. Może odczuwa³ na nowo żal po stracie Michelle i Chrissie. A może pozna³ zbyt wiele przerażaj¹cych szczegółów dotyczących samolotu i ludzi na jego pok³adzie.

A może wszystko to naraz.

Nios³a go niepowstrzymana fala emocji i dlatego musia³ odzyskać panowanie nad sob¹. Wiedzia³, że nie uda mu się znaleźć Rose i Niny, jeśli będzie ulega³ na przemian euforii i rozpacz.

Już opanowany, choć z zaczerwienionymi oczami, wszed³ na pok³ad samolotu lecącego do Los Angeles już po trzecim wezwaniu.

Kiedy 737 startowa³, Joe, ku swemu zaskoczeniu, poczu³ w uszach g³uchy rytm pulsu niczym kroki człowieka zbiegaj¹cego po schodach. Przytrzyma³ się poręczy fotela, jakby w obawie, że może polecieć g³ow¹ do przodu.

Podczas lotu do Denver nie ba³ się, ale teraz ogarnę³o go przerażenie. Gdyby wtedy, w drodze na wschód, napotka³ kogoś, przyj¹³by j¹ z radości, gdyż ci¹ły³a mu straszliwie mył, że przeży³ swój rodzinę i że jest w tym co z³ego – ale teraz, kiedy zmierza³ z powrotem na zachód, miał powody, by żyć dalej.

Nawet gdy osi¹gnęli odpowiedni¹ wysokość i wyrównali lot, nie przesta³ się denerwować. Zbyt³ łatwo mógł³ sobie wyobrazić, że jeden z pilotów zwraca się do drugiego i pyta: Nagrywamy?

Joe doszed³ do wniosku, że nie przestanie myśleć o kapitanie Delroyu Blane, wyci¹gn¹³ więc z wewnętrznej kieszeni marynarki trzy z³ożone kartki z zapisem rozmowy pilotów. S¹dzi³, że być może teraz uda mu się zauważyć co, co wcześniej przeoczy³, a poza tym musia³ zająć czym umysł – choćby i tym.

W samolocie nie było kompletu pasażerów, jedna trzecia miejsc była wolna. Joe siedział przy oknie, fotel obok był pusty, co gwarantowało minimum spokoju.

Na jego prośbę stewardessa przyniosła mu drugopis i plik kartek.

Przede wszystkim spisał po kolei to, co mówił Blane. Bez naznaczonych narastaj¹c¹ panik wypowiedzi Victora Santorellego i bez komentarza Barbary dotyczącego odg³osów i pauz, słowa kapitana mogły ujawniać pewne niuanse, uprzednio niedostrzegalne.

167

Kiedy Joe skończył, z³ożył zapis Barbary i schował z powrotem do kieszeni. Następnie odczytał ze swojej kartki:

Jeden z nich to doktor Louis Blom.

Jeden z nich to doktor Keith Ramlock.

Robi¹ mi z³e rzeczy.

S¹ dla mnie niedobry.

Niech przestanie.

Nagrywamy?

Niech przestan¹ mnie krzywdziæ.

Czy nagrywamy?

Czy nagrywamy?

Niech przestan¹, bo jak siê trafi okazja jak siê trafi okazja, to wszystkich pozabijam. Wszystkich. Tak. Zrobiê to. Zabijê wszystkich i bêdê mia³ ubaw.

Fajnie.

O rany. No to jazda, doktorze Ramlock. No to jazda, doktorze Blom.

O rany. Nagrywamy?

Nagrywamy?

O rany.

O tak.

O tak.

Teraz. Patrz.

Ekstra.

168

Joe nie dostrzeg³ w tym zapisie niczego nowego. Jednak ju¿ wczniej zauwa¿y³ pewn¹ rzecz, która teraz, kiedy czyta³ o siê te s³owa wyodrêbnione, rzuca³a siê w oczy. Choæ kapitan przemawia³ g³osem doros³ego, sprawia³ chwilami wra¿enie dziecka.

Robi¹ mi z³e rzeczy. S¹ dla mnie niedobrzy. Niech przestan¹. Niech przestan¹ mnie krzywdziæ.

Nie by³y to s³owa czy zwroty, jakich u¿y³aby wiêkszoæ doros³ych, by oskar¿yæ swych przeladowców czy prosiæ o pomoc.

Najd³u¿sza wypowied, groba pozabijania wszystkich (i bêdê mia³ ubaw), te¿ brzmi³a jak s³owa rozkapryszonego dziecka zw³aszcz³a ¿e zaraz pojawia³o siê okrelenie: fajnie.

O rany. No to jazda O rany. O tak.

Reakcja Blanea na przechy³ i spadanie 747 przypomina³a reakcjê ch³opca siedz¹cego w wagoniku kolejki w weso³ym miasteczku, która w³anie podje¿d¿a na szczyt pierwszego odcinka toru, by po chwili run¹æ w dó³. Wed³ug Barbary kapitan nie sprawia³ wra¿enia kogo, kto siê boi; w jego s³owach, tak jak w tonie g³osu, nie wyczuwa³o siê przera¿enia.

Teraz. Patrz.

Te s³owa zosta³y wypowiedziane trzy i pó³ sekundy przed uderzeniem, kiedy Blane wpatrywa³ siê w nocny krajobraz rozkwitaj¹cy za szyb¹ samolotu. Wydawa³o siê, że ogarn¹³ go nie strach, ale jakie zdumienie.

Ekstra.

Joe wpatrywa³ siê w to ostatnie s³owo d³uższy czas, czekaj¹c aż minie wywo³any przez nie dreszcz, aż bêdzie w stanie zanalizowaæ je z pewnym dystansem.

Ekstra.

Blane do samego końca reagowa³ jak ch³opiec w weso³ym miasteczku. Traktowa³ pasażerów i za³ogê jak insekty, które bezmylny i zarozumia³y dzieciak drêczy zapa³kami.

Ekstra.

Lecz nawet bezmylne dziecko, tak egoistyczne, jak potrafi¹ byæ tylko bardzo m³odzi i beznadziejnie niedojrzali ludzie, okaza³oby jednak odrobinê lêku o siebie. Nawet samobójca, rzuciwszy siê z wysoka, spadaj¹c na chodnik, krzykn¹³by jeli nie z żalu, to ze miernego strachu. A mimo to kapitan obserwowa³ zbliżaj¹cy siê koniec bez widocznej troski, a nawet z zadowoleniem, jakby nie uwiadamia³ sobie, co mu grozi.

Ekstra.

Delroy Blane. G³owa rodziny. Lojalny m¹ż. Pobożny mormon. Stateczny, kochaj¹cy, mi³y, zdolny do współczucia. Zadowolony z pracy, szczêliwy, zdrowy. Wszystko, czego można pragn^{1æ}. Toksykologiczne testy negatywne.

Gdzie jest rysa na tym idealnym obrazie?

Ekstra.

Joe czu³, jak rodzi siê w nim bezzasadny gniew. Nie by³ on wymierzony w Blanea, równie¿ ofiarê, choæ z pocz¹tku wydawa³o siê inaczej. To by³

169

kipi¹cy gniew z czasów jego dzieciństwa i wczesnej m³odoci nieukierunkowany, a zatem narastaj¹cy niczym cinienie pary w kotle bez ujcia.

Wepchn¹³ kartkê do kieszeni.

Zacisn¹³ piêci. Z trudem rozprostowa³ palce. Chcia³ w co uderzyæ. W cokolwiek. Waliaæ tak d³ugo, aż by pêk³o. Aż w końcu rozkrwawi³by sobie k³ykie.

Ten lepy gniew zawsze przypomina³ mu ojca.

Frank Carpenter nie należa³ do osób, które czêsto wpada³y w gniew. Wrêcz przeciwnie. Nigdy nie podnosi³ g³osu, chyba że w chwili rozbawienia, zdziwienia albo szczêcia. By³ dobrym cz³owiekiem niepojęcie dobrym i zdumiewaj¹co pogodnym, jeli pamiêtaæ o cierpieniu, które zgotowa³ mu los.

Joe odczuwa³ jednak gniew za niego, i to bezustannie.

Nie pamiêta³ ojca w pe³ni sprawnego, bez kul. Frank straci³ lew¹ nogê, kiedy w jego wóz uderzy³ samochód prowadzony przez pijanego dziewiętnastolatka z lipnym ubezpieczeniem. Joe nie mia³ wtedy nawet trzech lat.

Frank i Donna, matka Joego, pobrali siê, maj¹c niewiele wiêcej ni¿ dwie pensje i robocze ubrania. By zaoszczêdziaæ pieni¹dze, op³acili tylko sk³adkê od odpowiedzialności cywilnej. Pijany kierowca

nie mia³ pieniędzy, nie otrzymali więc od towarzystwa ubezpieczeniowego żadnego odszkodowania za kalectwo Franka.

Nogę amputowano między kolanem a biodrem. W owych czasach nie było jeszcze dobrych protez. Te, które były, kosztowały bardzo drogo, zwłaszcza jeśli zginały się w kolanie. Frank jednak doszedł do wielkiej wprawy w chodzeniu o kulach i żartował, że zgłosi się do maratonu.

Joe nigdy nie odczuwał wstydu z powodu inności ojca. Znał go nie jako jednonogiego człowieka poruszającego się o kulach, ale gawędziarza opowiadającego do poduszki różne historie, niezmordowanego partnera w różnych zabawach i cierpliwego trenera baseballa.

Pierwszy poważny bójkę stoczył w wieku szcziu lat, w pierwszej klasie. Pewien dzieciak, Les Olnier, nazwał Franka grupą kalek. Choć Olnier uchodził za rozrabiakę i był większy od Joego, przewaga wzrostu okazała się niewystarczająca w starciu z dzikim, zwierzęciem furi. Joe stukał go na kwane jabłko. Zamierzał wybić Olnierowi prawe oko, by ten poznał na własnej skórze, jak to jest, kiedy się łyje tylko z jednym, ale nauczyciel odciągnął go od pokonanego przeciwnika, nim zdążył go na wpół olepić.

Nie miał później żadnych wyrzutów sumienia. I teraz też ich nie miał. Nie był jednak z tego powodu dumny. Tak po prostu musiał zareagować.

Donna wiedziała, że jej mężowi pęknie serce, jeśli się dowie, że to z jego powodu chłopak napotykał sobie biedy. Sama obmyślała i wygzekwowała karę, oboje jednak ani ona, ani syn niczego Frankowi nie powiedzieli.

170

Tak się zaczęło sekretne życie Joego, wypełnione milczącą wciekociną i sporadycznymi aktami przemocy. Dorastał, szukał okazji do bójk, i zazwyczaj je znajdował, ale tak dobierał moment i miejsce konfrontacji, by ojciec o niczym się nie dowiedział.

Frank był kiedyś dekarzem, ale w owym czasie nie produkowano specjalnych drabin ani sprzętu pozwalającego na wspinaczkę z jedną nogą. Przez jakiś czas niechętnie pobierał państwowy rentę, dopóki nie uczynił z talentu stolarskiego źródła utrzymania.

Robił szkatułki, podstawki lamp i różne przedmioty z inkrustacją. Znalazł sklepy, które sprzedawały jego wyroby. Zdobywał w ten sposób parę dolarów więcej, niż dawała mu renta, z której zrezygnował.

Donna, zatrudniona w zakładzie wiadczyły usługi krawieckie i pralnicze, wracała każdego dnia do domu z włosami pozlepianymi od pary, przesiąknięta zapachem benzenu i innych rozpuszczalników. Joe jeszcze teraz, ilekroć wchodził do zakładu pralniczego, wraz z pierwszym oddechem przypominał sobie włosy matki i jej miodowobrzowe oczy, które wówczas, w dzieciństwie, wydawały mu się wypłowiałe od pary i chemikaliów.

Trzy lata po stracie nogi Frank zaczął odczuwać ból w kciukach, a potem nadgarstkach. Diagnoza brzmiała: artretyzm.

Straszna rzecz, taka choroba. W przypadku Franka postępowała niespotykanie szybko, istny ogień, który rozprzestrzenił się po całym ciele, po wszystkich stawach: kręgi szyjne, biodra, jedyne kolano.

Zamknął swój stolarski interes. Utrzymywał się dzięki programom pomocy społecznej, choć niezbyt skutecznym i narażającym człowieka na poniżenie, które urzędnicy dawkowali z przerażeniem częstokroć niewiadomą hojnością.

Kości też pomagał. Wsparcie lokalnej parafii było udzielane dyskretnie, łatwiej więc było je zaakceptować. Frank i Donna byli katolikami. Joe uczęszczał z nimi na mszę regularnie, choć bez przekonania.

Frank, już i tak dotknięty kalectwem, po dwóch latach wyl¹dowa³ na wózku inwalidzkim.

Wiedza medyczna poczyni³a w ostatnich trzydziestu latach ogromne postępy, ale w owych czasach metody leczenia by³y znacznie mniej skuteczne, zw³aszcza w przypadkach tak ciężkich jak Franka. Niesterydowe leki przeciwzapalne, zastrzyki z p³ynnego z³ota, a znacznie później penicylamina. Mimo to osteoporoza pog³ębia³a się. Przewlek³e zapalenie doprowadza³o do ubytków chrz¹stki i tkanek cięgna. Mięnie zanika³y. Stawy bola³y i puch³y. Dostępne wówczas kortykosterydy zahamowa³y w jakim stopniu, ale nie zatrzyma³y deformacji stawów i przera¹aj¹cej utraty sprawności fizycznej.

Nim Joe skończy³ trzynacie lat, do jego codziennych obowi¹zków nale¹za³a, pod nieobecno^æ matki, pomoc ojcu przy ubieraniu się i k¹pieli. Od samego pocz¹tku wzi¹³ to wszystko na siebie bez najmniejszego sprzeciwu, a nawet, ku swemu zdumieniu, znalaz³ w sobie jak¹ czu³o^æ, stanowi¹c¹ by^æ mo¹że równowag^ê dla bezustannego gniewu, który kierowa³ ku Bogu, ale który

171

wy³adowywa³ bezsensownie na swych nieszcz^êsnych rywalach. Przez d³ugi czas Frank odczuwa³ g³ęboki wstyd, ¹e przy tak osobistych czynnościach jest uzale¹niony od syna, ale w końcu wspólny trud, jakim by³a k¹piel, czesanie i toaleta, zbli¹y³ ich do siebie i pog³ębi³ wzajemne uczucia.

Nim Joe ukończy³ szesnacie lat, jego ojciec zacz¹³ cierpie^æ na zw³óknienie chrz¹stek stawowych. Na stawach zaczę³y formowa^æ się ogromne reumatoidalne guzki, czasem wielkości niemal pi³ki golfowej. Prawy nadgarstek i lewy ³okie^æ zosta³y zdeformowane przez guzki prawie tak duże jak pi³ka, któr¹ Frank tyle razy rzuca³ na podwórku za domem, kiedy Joe maj¹c sze^æ lat zaczyna³ gra^æ w lidze m³odzie¹owej.

Teraz ojciec ¹y³ tylko osi¹gnięciami syna, wi^êc Joe kontynuowa³ nauk^ê i jendoczenie pracowa³ na p³ etatu u McDonalda. By³ te¹ zawodnikiem w dru¹ynie szko³y redniej. Frank nigdy nie ¹da³ od niego nadzwyczajnych wyników. To synowska mi³o^æ motywowa³a Joego.

Pewnego roku, latem, przyst¹pi³ do m³odzie¹owego programu sportowego organizowanego przez YMCA. Wybra³ boks. Szybko robi³ postępy, a trener go lubi³ i mówi³, ¹e ma talent. Jednak podczas dwu pierwszych sparingów Joe wali³ przeciwników bez końca, cho^æ pokonani i bezbronni opierali się już o liny. Trzeba go by³o odc¹ga^æ. Dla nich boks by³ rozrywk¹ i metod¹ samoobrony, dla niego wy³adowaniem wciek³oci, swoist¹ terapi¹. Nie chcia³ nikogo skrzywdzia^æ, nikogo konkretnego, ale jednak krzywdzi³ przeciwników; w rezultacie zakazano mu wyst^êpów w lidze.

Chroniczne zapalenie osierdzia wynikaj¹ce z artretyzmu doprowadzi³o do ostrej infekcji. W końcu Frank zmar³ na zawa³ serca. By³o to dwa dni przed osiemnastymi urodzinami Joego.

W tydzień po nabo¹eństwie ¹a³obnym Joe uda³ się do kocio³a po p³no¹cy, kiedy nikogo już tam nie by³o. Wypi³ za du¹o piwa. Spryska³ czarnym sprayem wszystkie stacje drogi krzy¹owej. Przewróci³ kamienny pos¹g Matki Boskiej i str¹ci³ kilka szklanych zniczy z o³tarza wotywnego.

Dokona³by znacznie wi^êkszych spustoszeń, gdyby szybko nie opanowa³o go poczucie daremnoci. Nie móg³ przecie¹ zmusia^æ Boga do wyrzutów sumienia. Nie móg³ wyrazi^æ swego bólu na tyle mocno, by przenikn¹æ stalow¹ zas³on^ê oddzielaj¹c¹ ten wiat od innego jeli ten drugi w ogóle istnia³. Usiad³ w pierwszej ³awce i zap³aka³.

Trwa³o to nieca³¹ minut^ê, gdy¹ nagle poczu³, ¹e p³acz w kociele to przyznanie się do bezsilności. mieszne, ale zale¹za³o mu na tym, by jego ³zy nie zosta³y wzięte za dowód akceptacji okrutnych zasad, jakie rz¹dzi³y wiatem.

Wszed³ z kocio³a i wróci³ do domu. Nigdy nie zosta³ oskar¹ony o wyrz¹dzenie zniszczeń. Nie czu³ się winny z powodu tego, co zrobi³, ale i nie by³ dumny, jak zwykle.

Przez jaki czas zachowywa³ się nieobliczalnie, a potem poszed³ do collegeu, gdzie czu³ się jak

ryba w wodzie, gdyż po³owa studentów i wyk³adowców też by³a stukniêta.

172

Matka zmar³a trzy lata póniej, w wieku czterdziestu siedmiu lat. Rak p³uc atakuj¹cy system limfatyczny. Nigdy nie pali³a, podobnie jak jego ojciec. Może chorobê wywo³a³y opary benzenu i innych rozpuszczalników u³zywanych w pralni. A może wyczerpanie, samotnoæ albo po prostu chêa ucieczki.

Tej nocy, kiedy umar³a, Joe siedzia³ przy jej szpitalnym ³ó³ku i trzyma³ j¹ za rêkê, przyk³ada³ do czo³a kompresy albo wsuwa³ w¹skie kawa³ki lodu w spêkane usta, kiedy o to prosi³a. Odzywa³a siê rzadko, by³a na wpó³ przytomna. Wspomina³a bal, na który Frank zabra³ j¹ rok przed wypadkiem i amputacj¹ nogi, kiedy Joe mia³ tylko dwa lata. Du³a, osiemnastoosobowa orkiestra gra³a nie tylko rock and rolla, ale i zwyk³1 muzykê tanecz¹. Frank i Donna byli samoukami, ale w fokstrocie, swingu albo cza-czy sz³o im niele. Znali nawzajem swoje ruchy. Bo³e, jak siê wtedy mieli. By³y też baloniki, setki baloników w sieci zawieszanej pod sufitem. Na rodku ka³dego sto³u sta³ bia³y, plastikowy ³abêd z grub¹ wiec¹ otocz¹ czerwonymi chryzantemami. Na deser podano lody w cukrowych ³abêdziach. Prawdziwa ³abêdzia noc. Balony by³y czerwone i bia³e, ca³e setki. Tul¹c ³onê w tańcu, szepta³ jej na ucho, ³e jest najpiêkniejsz¹ kobiet¹ na sali och, jak bardzo j¹ kocha³. Obracaj¹cy siê ³yrandol rzuca³ wko³ ostrza kolorowego wiat³a, czerwone i bia³e baloniki zje³d³a³y z góry, a cukrowy ³abêd smakowa³ migda³ami, kiedy siê go chrupa³o. Mia³a tamtej nocy dwadziecia dziewiêæ lat, i teraz, w ostatniej godzinie swego ³ycia, radowa³a siê tylko tym wspomnieniem, ³adnym innym, jakby to by³a jedyna szczêliwa chwila, jak¹ zdo³a³a sobie przypomnieæ.

Joe pochowa³ j¹ przy tym samym kocie, który dwa lata wczniej zdemolowa³. Naprawiono ju³ stacje drogi krzy³owej. Na wotywnie znicze spogl¹da³a nowa figura Matki Boskiej. Nie uspokoi³ siê, dopóki nie spotka³ Michelle.

Na pierwszej randce, kiedy odprowadzi³ j¹ do domu, powiedzia³a, ³e dostrzega w nim ukryte szaleństwo. Kiedy wzi¹³ to za komplement, zauwa³y³a, ³e tylko osio³, ma³pa w zoo albo rozsadzany hormonami ch³opak w okresie dojrzewania s¹ tak bezrozumne, by czerpaæ z tego faktu dumê.

Nauczy³a go wszystkiego, co mia³o ukszta³towaæ jego przysz³oæ. ³e mi³oæ jest warta ryzyka. ³e gniew dotyka najbardziej tego, kto go odczuwa. ³e zarówno gorycz, jak i prawdziwe szczêcie staj¹ siê naszym udzia³em za spraw¹ wolnego wyboru, ³e nie s¹ zsy³ane przez los. ³e spokój ducha odnajduje siê w akceptacji tego, czego nie sposób zmieniaæ. ³e przyjaciele i rodzina s¹ krwi¹ ³ycia i ³e sensem istnienia jest troska o innych i powiêcenie.

Szeæ dni przed swoim lubem, wieczorem, Joe poszed³ do kocio³a, w którym pochowa³ rodziców. Wczniej obliczy³ koszt zniszczeñ, jakich dokona³, po czym wetkn¹³ do skarbonki plik studolarowych banknotów.

Nie robi³ tego ani z poczucia winy, ani za spraw¹ odzyskanej wiary. Zrobi³ to dla Michelle, choæ nigdy nie mia³a siê dowiedzieæ ani o tym, co kiedy zrobi³, ani o tym akcie skruchy.

173

Potem jego ³ycie zaczê³o siê od nowa. A przed rokiem dobieg³o koñca.

Teraz Nina znów by³a na wiecie i czeka³a, a¿ j¹ znajdzie i zabierze do domu.

Joe, dla którego nadzieja odszukania dziecka by³a jak balsam, potrafi³ ostudziæ swój gniew. Wiedzia³, ¿e aby odzyskaæ Ninê, musi nad sob¹ w pe³ni panowaæ.

Gniew dotyka najbardziej tego, kto go odczuwa.

Napawa³o go wstydem, ¿e tak szybko zapomnia³ o wszystkim, czego nauczy³a go Michelle. Run¹³ wraz z samolotem, spad³ z nieba, do którego zabra³a go na skrzyd³ach swojej mi³oci, i wyl¹dowa³ w b³ocie, które zwie siê gorycz¹. Swym upadkiem obra¿a³ jej pamiêæ i teraz drêczy³o go poczucie winy, tak silne, jakby zdradzi³ j¹ z inn¹ kobiet¹.

Nina, lustrzane odbicie matki, dawa³a mu powód i szansê odrodzenia, stania siê na powrót cz³owiekiem, jakim by³ przed katastrof¹. Móg³by znów staæ siê kim godnym, by byæ jej ojcem.

Najna, Nina, czy j¹ widzia³?

Przegl¹da³ w my³ach skarbiec wspomnieñ o dziewczynce i odczuwa³ ukojenie. Jego zaciniête d³onie stopniowo siê rozlunia³y.

Ostatni¹ godzinê lotu spêdzi³ na lekturze dwu z czterech artyku³ów o Teknologik, które poprzedniego popo³udnia wydrukowa³ w redakcji.

W jednym z nich natkn¹³ siê na informacjê, która wprawi³a go w os³upienie. Trzydzieci dziewiêæ procent akcji Teknologik nale¿a³o do Nellor et Fils, szwajcarskiej firmy zajmuj¹cej siê na wielk¹ skalê badaniami farmaceutycznymi i medycznymi, publikacj¹ ró¿nych materia³ów, a tak¿e filmem i mediami.

Za porednictwem Nellor et Fils Horton Nellor i jego syn Andrew inwestowali rodzinn¹ fortunê, ocenian¹ na cztery miliardy dolarów. Nellor oczywicie nie by³ Szwajcarem, tylko Amerykaninem. Ju¿ dawno przeniós³ g³ówn¹ siedzibê firmy za granicê. Co wiêcej, przed dwudziestu laty za³o¿y³ Los Angeles Post. Wci¹¿ by³ jego w³acicielem.

Przez chwilê Joe nie bardzo wiedzia³, co zrobiæ z tym niespodziewanym odkryciem, jak rzebiarz, który obracaj¹c w d³oniach kawa³ek drewna, zastanawia siê, co z niego wyrzebiaæ. Musia³ pos³u¿yæ siê swoimi narzêdziami umys³em i instynktem dziennikarskim.

Inwestycje Hortona Nellora dotyczy³y wielu dziedzin, a zatem to, ¿e mia³ udzia³y zarówno w Teknologik, jak i w Post, nie mog³o byæ uznane za ¿adn¹ rewelacjê. Prawdopodobnie by³o to najzwyczajszym zbiegiem okolicznoci.

Jako w³aciciel gazety nie zalicza³ siê do tych, których interesuje jedynie zysk; poprzez swego syna sprawowa³ kontrolê nad kierunkiem reprezento-

wanym przez dziennik i jego metodami. Jednak¿e w przypadku Teknologik wcale nie musia³ byæ a¿ tak zaangażowany. Jego udzia³y w tej korporacji by³y du¿e, ale nie zapewnia³y ca³kowitej kontroli, wiêc mo¿e nie wp³ywa³ w tak du¿ym stopniu na codzienne operacje, traktuj¹c organizacjê tylko jako ród³o inwestycji. Wcale nie musia³ wiedzieæ o supertajnych badaniach prowadzonych przez Rose Tucker i jej wspó³pracowników. A co za tym idzie, niekoniecznie ponosi³ odpowiedzialnoæ za katastrofê samolotu.

Joe przypomnia³ sobie spotkanie z Danem Shaversem, który w Post zajmowa³ siê kolumn¹ powiêcon¹ biznesowi. Shavers bezlitoñie scharakteryzowa³ szefów Teknologik: Niepoprawni autoreklamiarze, uwa¿aj¹ siê za co w rodzaju arystokracji biznesu, ale nie s¹ lepsi od nas. Oni te¿ odpowiadaj¹ przed Tym, Którego Nale¿y S³uchaæ.

Ten, Którego Nale¿y S³uchaæ. Horton Nellor. Wracaj¹c my¹ do tej krótkiej rozmowy uwiadomi³ sobie, ¿e Shavers zak³ada³, i¿ on, Joe, wie o zainteresowaniu Nellora korporacj¹ Teknologik.

Ponadto ich redakcyjny komentator, specjalista od ekonomii zdawa³ siê sugerowaæ, ðe Nellor ma do powiedzenia w sprawach Technologik równie du¿o co w sprawach gazety.

Joe przypomni³ te¿ sobie co, co powiedzia³a Lisa Peccatone, kiedy u Delmannów wspomniano o zwi¹zku miêdzy Rose Tucker i Technologik: Ty, ja i Rose, wszyscy powi¹zani ze sob¹. wiat jest ma³y, co?

Pomyla³ wtedy, ðe chodzi jej o to, i¿ katastrofa samolotu okaza³a siê punktem zwrotnym w ich ðyciu. Mo¿e tak naprawdê chcia³a powiedzieæ, ðe wszyscy pracowali dla jednego cz³owieka.

Joe nigdy nie spotka³ Hortona Nellora, który w ci¹gu ostatnich lat sta³ siê odludkiem. Widzia³ go oczywicie na zdjêciach. Miliarder, ju¿ po szeædziesi¹tce, mia³ przyprószone srebrem w³osy i okr¹g³1 twarz, przyjemne, choæ trochê nieokrelone rysy. Wygl¹da³ jak pulchna bu³eczka, na której piekarz wymalowa³ lukrem poczciwe oblicze pradziadka.

Nie wygl¹da³ na zbrodniarza. By³ powszechnie znany jako szczodry filantrop. Nie mia³ reputacji cz³owieka, który móg³by wynaj¹æ zabójców albo uknuæ morderstwo, by zachowaæ lub poszerzyæ swe imperium.

Ludzie ró¿ni¹ siê jednak od owoców: po zapachu skórki nie zawsze mo¿na poznaæ kryj¹cy siê wewn¹trz mi¹¿sz.

Pozostawa³o faktem, ðe zarówno Joe, jak i Michelle pracowali dla cz³owieka tego samego pokroju co ci, którzy chcieli zabiaæ Rose Tucker i w jaki, jak dot¹d niepojêty sposób doprowadzili do katastrofy samolotu. Z tych samych pieniêdzy, które od dawien dawna s³u¿y³y rodzinie Joego, op³acono jej morderców.

Jego reakcja na to, czego siê w³anie dowiedzia³, by³a tak z³o¿ona, ðe nie umia³ sobie z ni¹ poradziaæ, tak mroczna, ðe nie potrafi³ okreliæ jej charakteru.

Poczu³ w trzewiach oleiste macki md³oci.

Choæ przez ostatnie pó³ godziny patrzy³ w okno, nie dostrzeg³ nawet, ðe pustyniê poch³onê³y przedmiêcia, a one same zosta³y wch³oniête przez miasto. Ze zdziwieniem stwierdzi³, ðe samolot podchodzi do l¹dowania.

175

Ju¿ na ziemi, gdy pasażerowie zmierzali ku wyznaczonemu wyjciu, do którego przystawiano w³anie przenony rêkaw³ ³1cz¹cy, niczym pêpowina, kad³ub samolotu z terminalem, Joe spojrze³ na zegarek i obliczy³, ðe przybêdzie do Westwood dobre pó³ godziny przed umówionym terminem. Doskonale. Potrzebowa³ czasu, by dok³adnie spenetrowaæ miejsce spotkania.

Demi wydawa³a siê godna zaufania. By³a przyjació³k¹ Rose. Jej numer telefonu widnia³ na karteczce, któr¹ Rose zostawi³a dla niego w redakcji. Ale nie ufa³ nikomu.

W koñcu nawet jeli motywy Rose Tucker by³y czyste, nawet jeli trzyma³a przy sobie Ninê, by chroniaæ j¹ przed mierci¹ czy porwaniem, to nie zmienia³o to faktu, ðe przez ca³y rok separowa³a od niego córkê. Co gorsza, pozwoli³a, by myla³, ðe Nina nie ðyje, tak jak Michelle i Chrissie. Z nie znanych mu jeszcze powodów nie móg³ wykluczyæ, ðe Rose nigdy nie zechce zwróciæ mu jego ma³ej dziewczynki.

Nie ufaj nikomu.

Kiedy Joe wsta³ i ruszy³ ku wyjciu, zauwa¿y³ mê¿czyznê w bia³ych spodniach, bia³ej koszuli i takiego samego koloru panamie, który podniós³ siê ze swojego fotela na przedzie samolotu i zerkn¹³ na niego. Mia³ oko³o piêædziesi¹tki i by³ dobrze zbudowany. Gêsta grzywa bia³ych w³osów nadawa³a mu wygl¹d starzej¹cej siê gwiazdy rocka, co podkrela³ jeszcze kapelusze.

Mê¿czyzna wyda³ mu siê znajomy.

Joe myla³ przez moment, że to muzyk popularnego zespo³u albo aktor telewizyjny. Po chwili jednak by³ pewny, że widzia³ go nie na ekranie czy na scenie, ale gdzie indziej, niedawno, w jakich szczególnych okolicznościach.

Mister Panama przez u³amek sekundy patrzy³ mu w oczy, a potem odwróci³ wzrok, stan¹³ w przejściu między fotelami i ruszy³ do przodu. Podobnie jak Joe, nie mia³ większego bagażu, jakby wybra³ się w jednodniow¹ podróż.

Rozdziela³o ich omiu czy dziesięciu pasażerów. Joe ba³ się, że zgubi mę³czynę, nim zdo³a sobie przypomnieć, gdzie już go widzia³. Nie mógł³ jednakże przepychać się do wyjścia, nie wywo³uj¹c zamieszania. Wola³, żeby Panama niczego się nie domyli³.

Kiedy Joe próbowa³ skupiać się w myślach na charakterystycznym kapeluszu, natrafi³ na czarn¹ cianę, ale gdy odmalowa³ sobie tego cz³owieka bez nakrycia g³owy, od razu przypomina³ sobie ogolonych na ³yso cz³onków sekty, odzianych w niebieskie szaty. Jednak zwi¹zek między tymi obrazami nadal mu umyka³, wydawa³ się absurdalny.

Potem pomyła³ o ognisku na plaży, wokó³ którego stali minionej nocy cz³onkowie sekty. W³anie tam wyrzuci³ torbę od McDonalda z chusteczkami higienicznymi przesi¹kniętymi krwi¹ Charliego Delmanna. Wokó³ innego ogniska tańczy³y zgrabne dziewczyny w kostiumach k¹pielowych. By³o jeszcze trzecie, przy którym siedzieli surferowcy, otoczeni totemicznym kręgiem wbitych w piach desek. I jeszcze jedno ognisko, obok którego skupili się zauroczeni s³uchacze, kiedy postawny cz³owiek o szerokiej, charyzma

176

tycznej twarzy i bia³ej grzywie w³osów opowiada³ dwiecznym g³osem historię o duchach.

To by³ ten cz³owiek. Gawędziarz.

Joe nie mia³ w¹tpliwości, że to on.

Wiedzia³ też, że nie przypadkiem ich drogi przecię³y się dwukrotnie: na plaży i tutaj, w samolocie. Wszystko by³o ze sob¹ tajemnie powi¹zane na tym wiecie, gdzie najpowszechniejsz¹ form¹ dzia³ania jest konspiracja.

Kiedy w sobotę rano uwiadomi³ sobie ich obecność na plaży w Santa Monica, musieli obserwować go już od tygodni czy nawet miesięcy, czekaj¹c, aż Rose się z nim skontaktuje. W tym czasie poznali dok³adnie te nieliczne miejsca, w jakich bywa³: mieszkanie, kilka kawiarni, cmentarz i parę ulubionych plaży, na których uczy³ się od morza obojętności.

Gdy obezw³adni³ Wallacea Blicka, spenetrowa³ ich furgonetkę, a potem uciek³ z cmentarza, zgubili jego ład. Znalaz³ w swym wozie elektroniczny nadajnik i rzuci³ go na przejeżdżaj¹cy wóz ogrodnika, co zapewne sprawi³o, że znów stracili go z oczu. Niemal dopadli go w redakcji, ale zdo³a³ im się wymkn¹æ.

A zatem obstawili jego mieszkanie, kawiarnie i plażę, czekaj¹c aż się gdzie pojawi. Ludzie s³uchaj¹cy opowiadań o duchach byli przypadkowi, ale gawędziarz, który przy³czy³ się podstępnie do ich grupy, by³ na s³u³bie.

Wytropili go zatem jeszcze raz minionej nocy. Zna³ żargon prowadz¹cych obserwacji: odzyskali go na plaży. Pod¹żyli za nim do sklepu, z którego zatelefonowa³ do Maria Oliveriego w Denver i do Barbary w Colorado Springs. Potem udali się za nim do hotelu.

Mogli go tam zabić. Po cichu. Kiedy spa³ albo zaraz po obudzeniu, przystawiaj¹c mu do g³owy lufę pistoletu. Mogli upozorować przedawkowanie narkotyków albo samobójstwo.

W krytycznym momencie, na cmentarzu, byli gotowi go zabić, ale teraz już nie chcieli tego zabić. Może po prostu dlatego, że liczyli, iż znów zaprowadzi ich do Rose Marie Tucker.

Najwidoczniej nie wiedzieli, że w ciągu tych godzin, kiedy stracili z nim kontakt, był w domu Delmannów, i nie tylko tam. Gdyby zorientowali się, że widział, co stało się z Delmannami i Lisem, choć tego nie pojmował, prawdopodobnie by go wykończyli. Nie ryzykowaliby. Wykończyliby go z całkowitą skutecznością, jak to spokojnie określali.

W nocy umieścili w jego samochodzie kolejne urządzenie. We wczesnych godzinach rannych, jeszcze przed witem, zachowując bezpieczny dystans, jechali za nim na lotnisko w Los Angeles. Potem do Denver i być może jeszcze dalej.

Jezu.

Co wystraszyło sarny w lesie?

Joe czuł się głupi i nieodpowiedzialny, choć wiedział, że wcale taki nie jest. Nie mógł oczekiwać, że będzie w tej grze równie dobry jak tamci; nigdy.

177 12 Jedyna ocalona

przedtem nie uczestniczył w czym takim, za to oni grali w te klocki od dawna. Szło mu jednak coraz lepiej. Coraz lepiej.

Gawędziarz z plaży zdłżył już dotrzeć do wyjścia i zniknął w rękawie prowadzącym do terminalu. Joe bał się, że go zgubi, ale musiał utwierdzać ich w przekonaniu, że nie zdaje sobie z niczego sprawy.

Barbara Christman znajdowała się w straszliwym niebezpieczeństwie. Pierwsza rzecz, jaką powinien zrobić, to zadzwonić, by ją ostrzec.

Udając znużenie i cierpliwość, posuwał się wraz z innymi pasażerami do przodu. W rękawie, który był znacznie szerszy od przejścia między fotelami, zdążył wyprzedzić kilka osób, nie wzbudzając niczyich podejrzeń. Nie uwiadomiał siebie, że wstrzymuje oddech, dopóki nie odetchnął z ulgą, widząc przed sobą faceta w panamie.

W ogromnym terminalu było mnóstwo ludzi. Rzędy krzeseł przy furtek do poszczególnych wyjść były zapełnione pasażerami czekającymi w tych ostatnich godzinach weekendu na popołudniowe loty w różnych kierunkach. Rozgadani, rozemiani, pogrzeni w dyskusjach albo milczący pasażerowie wlewali się strugami z wyjścia i korytarzy, powódcami nogami, kroczyli pewnie, spacerowali, kuleli, posuwali się z wolna. Samotnicy, pary, całe rodziny, czarni i biali, Azjaci i Latynosi, czterech wysokich mężczyźni z wysp Samoa w czarnych filcowych kapeluszach, piękne kobiety o ciemnobrązowych oczach, w turkusowych, rubinowych czy szafirowych sari podkreślających ich zgrabne figury, inne w chodorach, jeszcze inne w dżinsach; mężczyźni w eleganckich garniturach, mężczyźni w szortach i jasnych koszulkach polo, czterech chasydzkich żydów, spierających się (przyjanie) nad najbardziej mistycznym dokumentem (mapa Los Angeles), umundurowani żołnierze, chichoczące dzieci, dwoje pogodnych staruszków na wózkach. Dwóch arabskich dostojników w tradycyjnych strojach poprzedzali, kroczyli gronie, ochroniarze, a z tyłu podążała wita turystów: czerwonych jak bekon, powracających do domu w oparach olejku do opalania, a także bladych, wydzielających wilgotną woń deszczowych okolic. Wreszcie, jak biały śnieg w odmętach tajfunu, żeglówka wynioła po tym czarnym morzu mężczyźni w panamie.

Wszyscy oni mogli być przebiegłymi, agentami Technologik czy innej, bliżej nieznannej instytucji, którzy obserwowali Joego ukradkiem, robili mu zdjęcia ukrytymi w torbach, walizkach i plecakach aparatami i porozumiewali się ze sobą przez niewidoczne mikrofony, ustalając, czy należy zostawić go w spokoju czy też zastrzelić na miejscu.

Nigdy nie czuł się równie samotny w tłumie ludzi.

Bojąc się tego, co może się stać, co być może już się stało z Barbarą, starał się nie tracić

178

CZÊÆ CZWARTA
BLADY OGIÊÑ

179

180

13

Cztery telefony nie by³y zainstalowane w budkach, tylko w plastikowych os³onach, które nie zapewnia³y stuprocentowej dyskrecji.

Wystukuj¹c numer Barbary w Colorado Springs, zacisn¹³ z ca³ej si³y zêby, jakby chcia³ zmia³dziyæ ha³as zat³oczonego terminalu, by móc siê skoncentrowaæ. Musia³ siê skupiaæ, a nie mia³ doæ czasu ani odpowiednich warunków, by porozmawiaæ spokojnie. Ba³ siê, æe pope³ni jaki b³id, który narazi j¹ na k³opoty.

Nawet jeli jej telefon poprzedniej nocy nie by³ na pods³uchu, to z pewnoci¹ od chwili jego wizyty to siê zmieni³o. Joe mia³ za zadanie ostrzec j¹ o niebezpieczeństwie, przekonuj¹c jednocześnie pods³uchuj¹cych, æe Barbara ani razu nie z³ama³a przysiêgi milczenia, która zapewnia³a jej i Dennyemu nietykalnoæ.

Kiedy telefon w Colorado zacz¹³ dzwoniaæ, Joe zerkn¹³ na gawêdziarza, który zatrzyma³ siê nieco

dalej, po przeciwnej stronie poczekalni. Sta³ przed wejciem do sklepu z gazetami i upominkami, poprawiaj¹c nerwowo kapelusz i rozmawiaj¹c z jakim Latynosem w br¹zowych spodniach, zielonej koszuli i czapce baseballowej.

Ukryty za zas³on¹ przechodz¹cych ludzi, Joe udawa³, że nie obserwuje obu mę¹czyzn, podczas gdy oni udawali, bez specjalnego powodzenia, że nie obserwuj¹ jego. Byli zbyt nieostrożni, zbyt pewni siebie.

Uważali go za nerwowego amatora, którym oczywiście by³, choæ mia³ nadzieję, że jest też kim wiêcej: cz³owiekiem nieustêpliwym i sprytnym, którym w dodatku kierowa³a ojcowska mi³oæ a zatem kim niebezpiecznym. Cz³owiekiem odznaczaj¹cym siê umi³owaniem sprawiedliwoci, nieznaney w ich wiecie koniunkturalnej etyki, w wiecie kieruj¹cym siê wy³1cnie zasadami pragmatyzmu.

181

Barbara podnios³a s³uchawkê po pi¹tym sygnale, gdy Joe zacz¹³ siê ju¹ poważnie niepokoiæ. To ja, Joe Carpenter powiedzia³.

W³anie

Zanim Barbara zd¹ÿy³a powiedzieæ co, co mog³oby zdradziæ ich zaÿy³oæ i fakt, że ujawni³a mu pewne rzeczy, Joe przerwa³ jej:

Pos³uchaj, chcê ci jeszcze raz podziêkowaæ za to, że zawioz³a mnie na miejsce katastrofy. Nie by³o to ³atwe, ale jeli mam kiedykolwiek odzyskaæ spokój, musia³em to zrobiæ, musia³em zobaczyæ na w³asne oczy. Przepraszam, jeli zamêcza³em ciê pytaniami o to, co naprawdê siê sta³o z tym samolotem. Chyba trochê mi odbi³o. Ostatnio wydarzy³o siê kilka dziwnych rzeczy, a ja po prostu puci³em wodze fantazji. Mia³a racjê mówi¹c, że na ogó³ wszystko jest takie, jak siê wydaje. Po prostu trudno pogodziæ siê z faktem, że mo¹na straciæ rodzinê przez co równie g³upiego jak katastrofa, awaria mechaniczna, ludzki b³1d, cokolwiek. Chce siê wierzyæ, że to musia³o byæ co o wiele wazniejszego ni¹ wypadek, gdy¹ gdy¹ bliscy tyle znacz¹. Rozumiesz? Cz³owiek s¹dzi, że stoj¹ za tym jacy dranie, że to nie mog³ byæ jedynie los, poniewa¹ Bóg nie zgodzi³by siê na co takiego. Ale kiedy powiedzia³a, że dranie s¹ tylko w filmach, da³o mi to du¹o do mylenia. Jeli pogodzê siê z tym wszystkim, to bêdê musia³ zaakceptowaæ fakt, że takie rzeczy siê zdarzaj¹, że nie ma kogo winiæ. Ycie to ryzyko, prawda? Bóg mimo wszystko pozwala, by umierali niewinni ludzie, tak¹e by umiera³y dzieci. I tyle.

Joe czeka³ w napiêciu na to, co mu odpowie, zastanawiaj¹c siê, czy zrozumia³a tê piln¹ wiadomoæ, któr¹ stara³ siê jej w tak zaszyfrowany sposób przekazaæ.

Po krótkiej chwili wahania Barbara odezwa³a siê:

Mam nadzieję, że odzyskasz spokój, Joe, naprawdê w to wierzê. Tyle ciê kosztowa³o, żeby tam pójæ. I nie³atwo przyj¹æ do wiadomoci fakt, że w końcu nie ma kogo winiæ. Dopóki upierasz siê, że istnieje kto, kto ponosi za co odpowiedzialnoæ, kto, kogo powinno siê postawiaæ przed s¹dem to mylisz tylko o zemście i jest z tob¹ coraz gorzej.

Zrozumia³a.

Joe zamkn¹³ oczy, staraj¹c siê zapanowaæ nad nerwami.

Chodzi o to, że ÿjemy w takich dziwnych czasach powiedzia³. Łatwo uwierzyæ w jaki spisek.

Łatwiej ni¹ spojrzeæ prawdzie w oczy. Nie toczysz sporu z pilotami, technikami, kontrolerami ruchu powietrznego czy z ludmi, którzy zbudowali samolot. Toczysz spór z Bogiem, Joe.

Z którym nie mogê wygraæ odpar³ otwieraj¹c oczy.

Gawêdziarz i kibic basebilla, stoj¹cy przed sklepem z gazetami, skończyli ju¹ rozmawiaæ. Gawêdziarz odszed³.

Nie nasz¹ spraw¹ jest zrozumieæ dlaczegò doda³a jeszcze Barbara. Musimy po prostu wierzyæ, że istnieje jaki powód. Jeli nauczysz się to akceptowaæ, to mo¿e naprawdê uda ci się odzyskaæ spokój. Jeste bardzo

182

mi³ym cz³owiekiem, Joe. Nie zas³u¿y³e na to, by tak się méczyæ. Bêdê się za ciebie modliæ. Dziêkujê, Barbaro. Dziêkujê za wszystko.

Powodzenia, Joe.

Niewiele brakowa³o, by i on ¿yczy³ jej powodzenia, ale mog³o to stanowiaæ dla pods³uchuj¹cego jaki znak.

Do widzenia po¿egna³ j¹ tylko.

Wci¹¿ napiêty do ostatnich granic, odwiesi³ s³uchawkê.

Ju¿ samo to, że pojecha³ do Colorado i zapuka³ do drzwi Barbary, narazi³o j¹, a tak¿e jej syna i ca³¹ jego rodzinê, na straszne niebezpieczeñstwo, choæ wówczas nie wiedzia³ jeszcze, jak powa¿ne konsekwencje mo¿e mieæ ta wizyta. Od tej chwili mog³o jej się przytrafiaæ wszystko albo nic i Joe czu³, jak w serce lodowatym ch³odem wkrada się poczucie winy.

Z drugiej jednak strony dziêki podró¿y do Colorado dowiedzia³ się, że Nina w cudowny sposób prze¿y³a. By³by gotów przyj¹æ na siebie moraln¹ odpowiedzialnoæ nawet za sto mierci, gdyby mia³o to oznaczaæ chocia¿by nik³¹ nadziejê ujrzenia córki jeszcze jeden raz.

Zdawa³ sobie sprawê, że uznanie ¿ycia jego Niny za cenniejsze od ¿ycia stu, dwustu, tysi¹ca ludzi jest czym strasznym. Nie dba³ jednak o to. Gdyby wymaga³a tego sytuacja, zabi³by ka¿dego, kto stan¹³by mu na drodze. Zabi³by nie jednego, lecz wielu ludzi, ¿eby j¹ ocalaæ.

To by³ odwieczny dylemat cz³owieka, który marzy o ¿yciu w spo³eczności, lecz w obliczu mierci kieruje się zawsze przede wszystkim instynktem obrony samego siebie i w³asnej rodziny. A przecie¿ on, Joe Carpenter, by³ tylko cz³owiekiem.

Odwróci³ się od telefonów i ruszy³ w stronê wyjcia. Kiedy dotar³ do szczytu ruchomych schodów, zerkn¹³ dyskretnie za siebie.

Kibic baseballa pod¹¿a³ za nim, w bezpiecznej odleg³oci, dobrze zamaskowany dziêki zwyk³emu ubraniu i zachowaniu. Tak zwinnie wpl¹ta³ się w t³um, że nie rzuca³ się w oczy bardziej ni¿ pojedyncza nitka w kolorowej tkaninie.

Zje¿d¿aj¹c ruchomymi schodami, i póniej, w ni¿szym terminalu, Joe ju¿ się nie ogl¹da³. Albo kibic szed³ za nim, albo jak przedtem robi³ to gawêdziarz, przekaza³ go innemu agentowi. Bior¹c pod uwagê ogromne rodki, jakimi dysponowali, nale¿a³o przypuszczaæ, że maj¹ na lotnisku znacz¹ grupê funkcjonariuszy. Nigdy nie zdo³a³by im umkn¹æ.

Pozosta³a mu dok³adnie godzina do spotkania z Demi, która, jak mia³ nadziejê, zaprowadzi go do Rose Tucker. Gdyby nie uda³o mu się spotkaæ z ni¹ o umówionej porze, straci³by mo¿liwoæ ponownego nawi¹zania kontaktu.

Wydawa³o się, że zegarek na jego rêku tyka g³ono jak stary budzik.

183

Na cianach betonowego parkingu dziwne zarysy udręczonych twarzy roztopiały się w zmutowane kształty fantastycznych zwierząt i krajobrazy z koszmarnych snów. Po tych wydrążonych przez człowieka grotach niosło się, niczym ryk smoka, echo warkotu samochodów z innych pięt. Honda Joego stała tam, gdzie ją pozostawił.

Choć w garażu znajdowały się przeważnie samochody osobowe, w pobliżu zaparkowano trzy furgonetki ani jednej białej a także stary volkswagen-minibus z zasłoniętymi oknami i pikap kempingowy, które mogły służyć za punkty obserwacyjne. Nie przyglądał im się dokładnie.

Otworzył bagażnik i zasłaniając go sobą szybko sprawdził, czy w zapasowym kole są pieniądze. Wziął ze sobą do Colorado dwa tysiące, lwiątkę gotówki zostawiwszy w hondzie. Biała, szara koperta spięta mosiężnym spinaczem zniknęła, ale leżała tam, gdzie ją zostawił.

Wsunął ją za pasek od spodni. Zastanawiał się, czy nie wziął ze sobą także małej walizki, ale gdyby przeniósł ją na przednie siedzenie, ludzie, którzy go ledzili, nie daliby się zapamiętać na jego przedstawienie, które im szykowało.

Już siedząc za kierownicą, wyciągnął z spodni kopertę, otworzył ją i powysuwał paczki studenckich banknotów do różnych kieszeni sztruksowej marynarki. Następnie złożył kopertę i schował do skrytki między siedzeniami.

Kiedy wyjechał tyłem ze swego miejsca, żaden z podejrzanych samochodów nie ruszył za nim. Nie musieli się spieszyć. Kolejny, ukryty gdzieś w hondzie nadajnik przesyłał zespołowi obserwacyjnemu sygnał, dzięki czemu wiedzieli, gdzie się akurat znajduje.

Zjechał przez trzy kondygnacje na sam dół. Opuszczając garaż wozy czekały w kolejce do okienek, gdzie pobierano opłatę. Posuwając się powolutku do przodu, zerkał co pewien czas w lusterko. Kiedy podjechał do kasy, w pewnej odległości za sobą zobaczył pikapa.

W drodze z lotniska nie przekraczał dozwolonej szybkości i nie próbował przejechać skrzyżowań na żółtym wietle. Nie chciał, by stracili z nim kontakt.

Celowo wybierał zwykłe ulice, a nie trasy szybkiego ruchu, zmierzał szybko ku zachodniej części miasta. Mijał kolejne przecznice obskurnej dzielnicy w poszukiwaniu miejsca, które by odpowiadało jego zamierzeniom.

Letni dzień był ciepły i bezchmurny, a słoneczne światło zaamywało się na brudnej szybie wozu stukami tęczy. Spryskiwacze i wycieraczki niewiele pomagały.

184

Mrując od blasku oczy, Joe omal nie przegapił komisju z samochodami. Sprzedaż wozów Gem Fittich. Nawet w niedzielę tu handlowano i parking był otwarty, choć zapewne nie na długo. Joe uwiadomił sobie, że szuka właśnie tego. Podjechał do krawężnika i zatrzymał się w pewnej odległości od komisju.

Stał teraz przed warsztatem samochodowym, który mieścił się w odrajanym budynku krytym falistymi blachami i wyglądał tak, jakby składał się z fragmentów innych domów, zdmuchniętych z powierzchni ziemi przez tornado. Warsztat był na szczęście zamknięty; Joe nie życzył sobie obecności czynnego mechanika.

Zgasił silnik i wysiadł z wozu.

Pikap nie by³o jeszcze widaæ.

Obszed³ szybko samochód i podniós³ maskê.

Nie potrzebowa³ już hondy. Przypuszcza³, że tym razem dobrze ukryli nadajnik i że musia³by go szukaæ ca³ymi godzinami. Nie mógł³ pojechaæ tym wozem do Westwood i zaprowadziæ ich do Rose, ale nie mógł³ te¿ go po prostu porzuciæ, gdy¿ od razu nabraliby podejrzeñ.

Musia³ tak unieszkodliwiæ hondê, by wygl¹da³o to na zwyk³¹ awariê, a nie celowe uszkodzenie. Ludzie, którzy go ledzili, na pewno, podnios¹ maskê wozu. Nie mógł³ po prostu wykrêciæ wiecy albo od³¹czyæ kopu³ki aparatu zap³onowego, gdy¿ od razu by siê zorientowali, że ich oszuka³.

Narazi³by tym Barbarê Christman na ogromne niebezpieczeństwo. Jego przeciwnicy zdaliby sobie sprawê, że Joe rozpozna³ w samolocie gawêdziarza i wiedzia³, że ledzili go w Colorado a zatem równie¿, że wszystko, co powiedzia³ Barbarze przez telefon, mia³o na celu ostrzec j¹, a ich przekonaæ, że nie przekaza³a mu ¿adnych wa¿nych informacji.

Od³¹czy³ ostro¿nie stacyjkê, ale nie wyj¹³ jej z obudowy. Pobie¿na kontrola niczego nie wykryje. Nawet gdyby zaczêli póniej szukaæ i znaleli przyczynê awarii, byliby raczej sk³onni przypuszczaæ, że stacyjka sama siê obluzowa³a. W ka¿dym razie mieliby w¹tpliwoci, co uchroni³oby Barbarê od k³opotów.

Obok przejecha³ pikap. Joe obserwowa³ go k¹tem oka.

Przez minutê czy dwie udawa³, że grzebie w silniku. Pukn¹³ w co, czym innym poruszy³. Podrapa³ siê w g³owê.

Nie opuszczaj¹c maski usiad³ za kierownic¹ i próbowa³ uruchomiæ silnik, ale oczywicie mu siê nie uda³o.

Wysiad³ z samochodu i znów zaj¹³ siê silnikiem.

Dostrzeg³ k¹tem oka, że pikap zjecha³ przed nastêpnym skrzy¿owaniem z ulicy i zatrzyma³ siê na niewielkim parkingu przed jakim pustym budynkiem fabrycznym z ogromn¹ tablic¹ NA SPRZEDA[¯].

Przez nastêpn¹ minutê Joe manipulowa³ przy silniku, przeklinaj¹c go siarczycie na wypadek, gdyby dysponowali mikrofonami kierunkowymi.

W koñcu zatrzasn¹³ maskê i z niepokojem popatrzy³ na zegarek. Sta³ przez chwilê niezdecydowany. Znów sprawdzi³ godzinê. Mrukn¹³: Cholera.

Zacz¹³ iæ w kierunku, z którego przyjecha³. Kiedy dotar³ do komisju, dla wiêszego efektu zawaha³ siê, po czym skierowa³ kroki do biura.

Teren komisju by³ obwieszony wyp³owia³ymi od s³oñca plastikowymi proporczykami w kolorze ¿ó³tym, bia³ym i czerwonym. Poruszane wiatrem, ³opota³y jak skrzyd³a kr¹¿¹cych w górze myszo³owów nad kilkudziesiêcioma samochodami, od ca³kiem jeszcze dobrych do stalowych wraków.

Biuro mieci³o siê w ma³ym baraku pomalowanym na ¿ó³to z czerwonym paskiem. Joe dojrza³ przez ogromne okno mê¿czynê, rozwalonego na fotelu z odchylanym siedzeniem. Ogl¹da³ co na przenonym telewizorku, opieraj¹c nogi w mokasynach o biurko.

Wszed³ po schodkach i otworzy³ drzwi. Do jego uszu dotar³ kwiecisty komentarz sprawozdawcy relacjonuj¹cego mecz baseballa.

Pomieszczenie sk³ada³o siê z pojedynczego, du¿ego pokoju i widocznej w rogu, za uchylonymi drzwiami, toalety. Dwa biurka, cztery krzes³a i metalowa szafka z szufladami na dokumenty by³y raczej tanie, ale wszêdzie panowa³a czystoæ i porz¹dek.

Joe s¹dzi³, że znajdzie tu kurz, ba³agan i atmosferê cichej rezygnacji.

Sprzedawca oko³o czterdziestki, o jowialnym wygl¹dzie mia³ żó³tawokasztanowe w³osy i by³ ubrany w br¹zowe spodnie i żó³t¹ koszulkê polo. Zdj¹³ nogi z biurka, wsta³ z fotela i wyci¹gn¹³ d³oñ.

Mi³o mi! Nie s³ysza³em, jak pan podjecha³. Jestem Gem Fittich.

Joe Carpenter. Potrzebujê wozu. Joe ucisn¹³ sprzedawcy rêkê.

Nie mó³g³ pan lepiej trafiæ ucieszy³ siê Fittich i wyci¹gn¹³ d³oñ w stronê telewizora.

Nie, nie, proszê nie wy³¹czaæ, niech sobie gra powiedzia³ Joe.

Jak pan im kibicuje, to nie radzê ogl¹daæ. Dostaj¹ w ty³ek.

W tej chwili zas³ania³ ich s¹siedni warsztat. Gdyby jednak pikap pojawi³ siê naprzeciwno, czego Joe niemal siê spodziewa³, i gdyby na wielkie okno biura nastawiono mikrofony kierunkowe, g³os dobiegaj¹cy z telewizora stanowi³by niez³¹ os³onê.

Ustawiaj¹c siê tak, by móc rozmawiaæ z Fittchem i jednocześnie patrzeæ na parking i ulicê, Joe spyta³:

Interesuje mnie najtañszy, w miarê sprawny wóz.

Kiedy zapozna siê pan z cenami w moim komisie, zorientuje siê pan, że można mnóstwo zaoszczędziæ, nie ograniczaj¹c siê do najtañ

Dogadajmy siê przerwa³ mu Joe, wyci¹gaj¹c z kieszeni paczki studolarowych banknotów. Jeli jazda próbna wypadnie zadowolaj¹co, kupiê najatañszy wóz na placu od razu, za gotówkê, nie ż¹daj¹c gwarancji.

Fittich lubi³ widok pieniêdzy.

No có¹, Joe, mam takie subaru, nieco wiekowe, ale jeszcze ca³kiem niez³e. Bez klimatyzacji, ale jest radio i

Ile?

No có¹, trochê w nie w³o¹cy³em, wiêc wyceniam je na jakie dwa tysi¹

186

ce sto piêædziesi¹t, ale panu sprzedam za tysi¹c dziewiêæset siedemdziesi¹t piêæ. Ten wóz

Joe zastanawia³ siê, czy nie spróbowaa zbiaæ ceny, ale liczy³a siê ka¹da minuta. Poza tym uzna³, że ze wzglêdu na to, o co zamierza³ poprosiæ Fitticha, nie wolno mu siê targowaæ. Przerwa³ sprzedawcy, mówi¹c:

Biorê.

Po tak kiepskim dniu Gem Fittich by³ wyranie rozdarty. Z jednej strony kusi³a go perspektywa sprzeda¹cy wozu, z drugiej za niepoko³y warunki umowy. Zrobi³ siê podejrzliwy.

Nie chce siê pan przejechaæ na próbê?

To w³aniê chcê robiæ. Sam odpar³ Joe, k³ad¹c na biurku dwa tysi¹ce gotówk¹.

Po drugiej stronie ulicy ukaza³ siê wysoki mêt¹czyzna, który nadchodzi³ od strony pikapa. Zatrzyma³ siê w cieniu przystanku autobusowego. Usiad³ na ³awce, choæ biuro zas³ania³y mu stoj¹ce na placu samochodu.

Sam? spyta³ zdziwiony Fittich.

Na biurku le¹cy ca³a suma Joe postuka³ znacz¹co w blat sto³u. Wyci¹gn¹³ z portfela prawo jazdy i poda³ sprzedawcy. Widzê, że ma pan ksero. Niech pan sobie zrobi kopiê mojego prawa jazdy.

Facet na przystanku by³ ubrany w koszulê z krótkimi rêkawami i lune spodnie. Nie mia³ niczego w rêku. A wiêc nie dysponowa³ silnym urz¹dzeniem pods³uchowym o du¹ym zasiêgu; po prostu obserwowa³.

Fittich pod¹cy³ za spojrzeniem Joego i spyta³:

W co siê pakujê?

Joe spojrz³ sprzedawcy w oczy.

W nic. Pan jest czysty. Pan tylko robi interes.

Dlaczego ten go^æ na przystanku tak pana interesuje?

Nie interesuje mnie. To tylko jaki facet.

Fittich nie da³ si^æ oszuka^æ.

Jeli chodzi o kupno, nie o próbn¹ jazd^ê, to musimy wype³nia^æ odpowiednie dokumenty, zap³acia^æ podatek, post^êpowaa^æ zgodnie z przepisami.

Ale to tylko jazda próbna powiedzia³ Joe. Spojrz³ na zegarek. Nie udawa³, ζ e mu si^æ spieszy; naprawd^ê zaczyna³ si^æ niepokoia^æ. No dobra, niech pan pos³ucha, panie Fittich, do^æ ju^z tych bzdur. Nie mam czasu. Wyjdzie pan na tym jeszcze lepiej ni^z na sprzeda^zy. A rzecz wygl¹da tak. Wemie pan pieni¹dze i schowa na samym dnie szuflady. Nikt nie musi wiedzia^æ, ζ e je panu da³em. Pojad^ê pa^ñskim subaru tam, gdzie musz^ê, to znaczy niedaleko, do West Side. Wzi¹³bym w³asny samoch^ód, ale umiecili w nim nadajnik, a ja nie chc^ê, by mnie ledzili. Zostawi^ê subaru w bezpiecznym miejscu, a najp^óniej jutro zadzwoni^ê do pana i powiem, gdzie stoi. Przyprowadzi je pan sobie z powrotem a b^êdzie to znaczy³o, ζ e wypo^zyczy³ pan sw^ój najta^ńszy w^óz na dzie^ñ albo troch^ê d³u^zej za dwa tysi¹ce dolar^ów wolne od podatku. Najgorsze, co mo^ze si^æ panu przytrafia^æ, to to, ζ e nie zadzwoni^ê. Ale wci¹ ζ b^êdzie mia³ pan pieni¹dze plus odszkodowanie za kradzie^z.

187

Fittich obraca³ w d³oniach prawo jazdy Joego.

A jak mnie kto spyta, dlaczego pozwoli³em panu wypróbowa^æ samoch^ód w pojedynk^ê, nawet jeli robi³em sobie ksero pa^ñskiego prawa jazdy?

Wtedy powie pan tak: Facet wygl¹da³ na uczciwego, mia³em jego zdj^êcie w prawie jazdy, a nie mog³em wyj^æ z biura, bo czeka³em na telefon od pewnego g^ocia, który by³ ju^z wczniej i zamierza³ kupia^æ najlepsz¹ bryk^ê na placu. Nie chcia³em stracia^æ takiej okazji.

Wszystko pan sobie wczniej obmyli³ stwierdzi³ Fittich.

Jego zachowanie uleg³o zmianie. Znikn¹³ swobodny, umiechni^êty sprzedawca, a pojawi³ si^æ podejrzliwy, twardy Gem Fittich.

Podszed³ do kserokopiarki i w³¹czy³ j¹.

Joe jednak wyczuwa³, ζ e nie do ko^ñca go przekona³.

Prawd^ê mówi¹c, panie Fittich, nawet jeli przyjd¹ tu i spytaj¹ o kilka rzeczy, to i tak nie mog¹ nic panu zrobia^æ, nic, czym chcieliby sobie zawraca^æ g³ow^ê.

Handluje pan narkotykami? spyta³ bez ogr^ódek Fittich.

Nie.

Bo nienawidz^ê ludzi, którzy to sprzedaj¹.

Ja te^z.

Niszcz¹ nasze dzieci, niszcz¹ to, co pozosta³o z naszego kraju.

Zgadzam si^æ z panem ca³kowicie.

Co nie znaczy, ζ e du^zo z niego pozosta³o Fittich zerkn¹³ przez okno na m^ê ζ czyn^ê siedz¹cego na przystanku. To gliny?

Niezupe³nie.

Bo ja popieram gliniarzy. To ci^ê ζ ka robota w dzisiejszych czasach, bronia^æ prawa, kiedy najwi^êksi przest^êpcy s¹ wr^ód tych, których sami wybraliśmy.

Joe potrz¹sn¹³ g³ow¹.

To nie funkcjonariusze jakichkolwiek znanych panu s³u^zb.

Fittich zastanawia³ siê przez chwilê, po czym przyzna³:

To by³a szczerza odpowied.

Jestem z panem szczerzy, jak tylko mogê. Ale spieszy mi siê. Prawdopodobnie uważaj¹, że chcê st¹d zadzwoniæ po mechanika albo wóz holowniczy. Wiêc jeli mam wzi¹æ to subaru, muszê robiæ to teraz, zanim siê zorientuj¹, o co mi naprawdê chodzi.

Rzuciwszy okiem na przystanek po drugiej stronie ulicy, Fittich spyta³:

Pracuj¹ dla rz¹du?

Wedle wszelkich znaków na niebie i ziemi owszem.

Wie pan, sk¹d ten problem z narkotykami? rozgada³ siê Fittich. Bo co najmniej po³owa obecnych polityków dosta³a forsê za przemykanie oczu, cholera, dranie sami je za¹ywaj¹, wiêc maj¹ to gdzie.

Joe milcza³, nie chc¹c powiedzieæ czego niew³aciwego. Nie wiedzia³, dlaczego Fittich jest tak wciek³y na w³adze. Obawia³ siê, że niechc¹cy co palnie i ze sprzymierzeńca stanie siê nagle jego wrogiem.

188

Marszcz¹c brwi, Gem Fittich odbi³ na ksero prawo jazdy. Zwróci³ laminowany dokument Joemu, który schowa³ go do portfela.

Sprzedawca znów podszed³ do biurka i zacz¹³ przygl¹daæ siê gotówce. Wygl¹da³, jakby siê waha³ nie dlatego, by obawia³ siê jakich k³opotów, ale z przyczyn natury moralnej. W koñcu westchn¹³, wysun¹³ szufladê i schowa³ do niej dwa tysi¹ce dolarów.

Z innej szuflady wyci¹gn¹³ kluczyki i poda³ je Joemu.

Joe odetchn¹³ z ulg¹ i spyta³:

Gdzie stoi to subaru?

Fittich pokaza³ mu wóz przez okno.

Za jakie pó³ godziny zadzwoniê pewnie na policjê i zg³oszê kradziej. Muszê chroniæ w³asny ty³ek.

Rozumiem. Przy odrobinie szczêcia bêdê ju¹ na miejscu.

Niech siê pan nie martwi, nie bêd¹ go nawet szukaæ. Móg³by pan nim jedziæ tydzieñ, a i tak by pana nie przydybali.

Mimo to zadzwoniê, panie Fittich, i powiem, gdzie go zostawi³em.

Spodziewam siê. A gdy Joe zbli¹y³ siê do drzwi, Fittich zatrzyma³ go niespodziewanym pytaniem: Panie Carpenter, czy wierzy pan w kres wszelkich rzeczy?

Joe przystan¹³ na progu.

S³ucham?

Ten nowy Gem Fittich, który wy³oni³ siê z beztroskiego sprzedawcy, by³ nie tylko powa¹ny i twardy; mia³ te¹ szczególny wyraz oczu pe³nych nie gniewu, lecz smutnej melancholii.

Kres czasu w naszym ¹yciu, kres tego mietniska, jakie zrobilimy ze wiata. Zdaje mi siê, że kto nagle zwin¹³ to wszystko i wyrzuci³ jak star¹ szmatê.

Przypuszczam, że kiedy nast¹pi koniec przyzna³ Joe.

Nie kiedy. Wkrótce. Czy nie wydaje siê panu, że dobro i z³o tak siê przemiesza³o, że ju¹ nie dostrzegamy miêdzy nimi ¹adnej ró¹nicy?

Tak.

Czy budzi siê pan czasem w rodku nocy i czuje, że to ju¹ nadchodzi? Jak wielka fala, wysoka na tysi¹ce kilometrów, która wisi nad nami, ciemniejsza ni¹ noc i lodowata. Te w koñcu runie w dó³ i zmyje nas z powierzchni ziemi?

Tak odpar³ Joe cicho, zamylony. Tak, czasem zdarza mi się to w rodku nocy.

Ta ogromna fala, która w ciemności wisia³a mu nad g³ow¹, mia³a swe ród³o w czym ca³kowicie osobistym w utracie rodziny. Wznosi³a się tak wysoko, że przys³ania³a gwiazdy i nie pozwala³a mu wejrzeæ w przysz³oæ. Nieraz pragn¹³, by go porwa³a ze sob¹.

Wyczuwa³, że Fittich, pogr¹żony w jakim moralnym niepokoju, też têskn¹ za wyzwolicielsk¹ apokalips¹. Joe stwierdzi³ ze zdumieniem, że sprzedawca samochodów czuje to samo co on.

189

To odkrycie wstrz¹snê³o nim, gdyż oczekiwanie nadci¹gaj¹cego końca by³o g³ęboko destrukcyjne. By³o chorob¹, z której sam wydobywa³ się z najwiêkszym trudem. Lêka³ się o spo³eczeństwo, w którym panuj¹ tak katastroficzne nastroje.

Dziwne czasy ci¹gn¹³ Fittich. Okrelenie podobne do tego, jakiego wczniej, w rozmowie z Barbar¹ uży³ sam Joe: Niesamowite czasy. Bojê się ich. Usiad³ w swoim fotelu, opar³ stopy o biurko i wróci³ do ogl¹dania meczu w telewizji. Lepiej niech pan już idzie.

Czuj¹c na karku dreszcz, Joe wyszed³ na parking i ruszy³ w stronê żó³togo subaru.

Mêżczyzna na przystanku spogl¹da³ niecierpliwie to w lewo, to w prawo, jakby nie móg³ się doczekaæ autobusu.

Silnik subaru zaskoczy³ od razu, ale trochê grzechota³. Ko³o kierownicy obraca³o się zbyt luno. Tapicerka by³a wytarta, a pachn¹ce sosn¹ poch³aniacze woni nie mog³y st³umiaæ kwanego zapachu dymu papierosowego, który przez lata wsi¹ka³ w plastik i dywaniki.

Nie patrz¹c w stronê cz³owieka na przystanku, Joe wyjecha³ z parkingu. Skrêci³ w prawo i ruszy³ w górê ulicy, mijaj¹c po drodze swój¹ hondê.

Pikap wci¹ż parkowa³ przed nieczynn¹ fabryk¹.

Pierwsze skrzyżowanie by³o puste. Joe zwolni³, nie na tyle jednak, by się zatrzymaæ, i w końcu wcisn¹³ peda³ gazu niemal do oporu.

Zobaczy³ w lusterku wstecznym, że mêżczyzna z przystanku pêdzi w stronê pikapa, który w³anie wyjeżdża³ ty³em na ulicê. Bez pomocy nadajnika musieli jechaæ tuż za subaru, ryzykuj¹c zdemaskowanie, które, jak s¹dzili, jeszcze nie nast¹pi³o.

Ujechawszy kilka kilometrów, Joe zgubi³ ich, przejeżdżaj¹c skrzyżowanie na żó³tym wietle, które w³anie zmienia³o się na czerwone. Kiedy pikap próbowa³ ruszyæ za nim, drogê zagrozi³y mu wozy wyjeżdżaj¹ce z przecznicy. Nawet jêk i grzechot silnika subaru nie móg³ zag³uszyæ ostrego pisku hamulców, gdy pikap o centymetry unikn¹³ kolizji z innym samochodem.

Dwadziecia minut póniej Joe pozostawi³ subaru na Hilgarde Street, przy kampusie uniwersyteckim, daleko od miejsca, w którym mia³ się spotkaæ z Demi. Ruszy³ szybko w stronê Westwood Boulevard, staraj¹c się panowaæ nad sob¹ i nie bieć, czym zwróci³by powszechn¹ uwagê.

Westwood Village jeszcze niedawno by³o uroczy¹ wysp¹ poród niespokojnego morza, które j¹ otacza³o, mekk¹ kupuj¹cych i teatromanów. Poród najciekawszej architektury Los Angeles, wzd³uż zadrzewionych ulic, prosperowa³y modne sklepy odzieżowe, galerie, restauracje, dochodowe teatry wystawiaj¹ce najnowsze dramaty i komedie, a także popularne kina. Przychodzi³o się tu, by się zabawiæ, popatrzeæ na ludzi albo się pokazaæ.

Póniej, kiedy rz¹dz¹ca miastem elita uzn³a socjopatyczne zachowania za legalny protest, rozpanoszy³o siê tu w³óczêgostwo, zaczêli siê krêciaæ cz³onkowie gangów i rozkwit³ jawny handel narkotykami. Spory o strefy wp³ywów zaowocowa³y kilkoma strzelaninami. Ludzie z³aknieni rozrywki i klienci sklepów uznali, że okolica zrobi³a siê już zbyt egzotyczna mo¿na tu by³o oberwaæ.

Teraz Westwood stara³o siê wróciaæ do dawnej wietnoci. Ulice by³y znów bezpieczniejsze. Jednak wiele sklepów i galerii nadal nie dzia³a³o, a do pustych lokali nie wprowadzili siê nowi w³aciciele. Atmosfera przygnêbienia mog³a towarzyszyæ temu miejscu jeszcze latami. Cywilizacja, budowana w ¿ó³wim tempie rafy koralowej, ulega³a zwykle upadkowi z przera¿aj¹c¹ szybko¹, ale jej odrodzenie dokonywa³o siê z najwiêkszym trudem.

W kawiarni panowa³ gwar. Z otwartych drzwi p³ynê³y aromaty egzotycznych potraw i muzyka samotnego gitarzysty, spokojna i odprê¿aj¹ca, choæ o doæ nu¿¹cym rytmie.

Joe zamierza³ przyjrzeæ siê miejscu spotkania i jego okolicom z drugiej strony ulicy, ale zjawi³ siê zbyt póno. Dwie minuty po szóstej sta³ przed kawiarni¹, na prawo od wejcia, tak jak mu polecono, i czeka³.

Zza zas³ony ulicznych ha³asów i dwiêków gitary dociera³ do niego cichy, pozbawiony melodii odg³os metaliczny brzêk. Od razu wzbudzi³ jego czujnoæ, choæ nie bardzo wiedzia³, dlaczego. Rozgl¹da³ siê nerwowo w poszukiwaniu jego ród³a.

Nad drzwiami kawiarni zawieszono kuranty wietrzne wykonane z co najmniej dwudziestu ³y¿eczek ró¿nych rozmiarów i rodzajów. Pobrzêkiwa³y w powiewach leciutkiej bryzy.

Niczym figlarny towarzysz dzieciêcych zabaw, jego pamiêæ wiod³a go przez gêsty ogród ostatnich wydarzeñ, pe³en cieni i wiat³a. Nagle przypomnia³ sobie wieszak z mosiê¿nymi garnkami i patelniami w kuchni Delmannów. Kiedy na krzyk Lisy wybieg³ z sypialni Charliego Delmanna i popêdzi³ korytarzem, pos³ysza³ ich brzêk i stukot. Wpad³ do kuchni i zobaczy³, że naczynia ko³ysz¹ siê na hakach niczym wahad³a. Nim podbieg³ do Lisy i ujrza³ cia³o Georgine na pod³odze, znieruchomia³y. Ale co wprawi³o je w ruch? Lisa i Georgine znajdowa³y siê na drugim koñcu d³ugiej kuchni, z dala od pobrzêkuj¹cych garnków.

Podobnie jak migaj¹ce cyfry na elektronicznym zegarku przy ³ó¿ku Charliego Delmanna, jak o¿ywione p³omienie trzech lamp naftowych na kuchennym stole, ta miedziana muzyka musia³a mieæ jakie znaczenie.

Czu³ siê tak, jakby lada chwila mia³ doznaæ nag³ego olnienia, które jak ostrze przebije skorupê niewiedzy.

Wstrzyma³ oddech, szukaj¹c w mylach ulotnych powi¹zañ, które nada³yby temu wszystkiemu jaki sens. Po chwili uwiadomi³ sobie, że przecucie olnienia powoli siê cofa. Stara³ siê przywo³aæ je z powrotem, ale zniknê³o.

Byæ mo¿e ¿adna z tych rzeczy nic nie znaczy³a: ani lampy naftowe, ani zegar elektroniczny, ani pobrzêkuj¹ce garnki. W wiecie ogl¹danym przez

okulary paranoi dwie zniekszt³caj¹ce soczewki, które nosi³ przez ostatnie pó³tora dnia ka¿dy spadaj¹cy liæ, ka¿dy szept wiatru czy gra cienia by³y ska¿one jakim z³owieszczym znaczeniem, które w rzeczywistości nie istnia³o. Nie by³ po prostu neutralnym obserwatorem ani reporterem, lecz g³ówn¹ ofiar¹ w swej w³asnej historii. Pomyła³, że byæ mo¿e nie powinien ufaæ swemu dziennikarskiemu instynktowi, skoro w tak drobnych, choæ niezwyk³ych szczegó³ach dopatruje siê ukrytego sensu.

Sun¹c na deskorolce, podjecha³ do niego wysoki czarnoskóry ch³opak w wieku oko³o osiemnastu

lat, ubrany w szorty i podkoszulek z inicja³mi uniwersytetu kalifornijskiego. Joe, ca³y czas zatopiony w mylach, nie zwraca³ na niego uwagi, dopóki ch³opak nie zatrzyma³ się przed nim i nie poda³ mu telefonu komórkowego.

Przyda się panu stwierdzi³ basowym g³osem.

Nim Joe zd¹ł³y³ odpowiedzieæ, deskorolkowiec odjecha³, odpychaj¹c się muskularnymi nogami od chodnika.

Telefon w d³oni Joego zacz¹³ dzwoniaæ.

Joe rozejrza³ się po ulicy, szukaj¹c wzrokiem czego podejrzanego, ale nic nie zauwa^ły³.

Telefon zadzwoni³ ponownie.

Tak? spyta³ Joe.

Jak się pan nazywa?

Joe Carpenter.

Na kogo pan czeka?

Nie znam jej nazwiska.

Jak się pan do niej zwraca?

Demi.

Proszê udaæ się na po³udnie, przejeæ skrzy^łowanie i przy nastêpnej przecznicy skrêciaæ w prawo. Pójdzie pan prosto, a^ł do ksiêgarni. Jest jeszcze otwarta. Wejdzie pan do rodka i poszuka dzie³u biografii.

Przerwano po³¹czenie.

Joe pomyła³, że nie czeka go mi³a pogawêdka przy kawie.

Wed³ug informacji na szklanych drzwiach, ksiêgarniê w niedziele zamykano o szóstej. By³o piêtnacie po szóstej. Joe widzia³ przez wielk¹ witrynê, że lampy przy wejciu s¹ zgaszone; pali³o się tylko wiat³o na ty³ach sklepu, ale kiedy pchn¹³ drzwi, okaza³o się, że nie s¹ zamkniête.

Przy ladzie sta³ samotny sprzedawca. Czarnoskóry, dobrze po trzydziestce, niski i chudy jak d^łokej, mia³ w¹sy i kozi¹ bródkê. Oczy za grubymi szk³ami w kocianej oprawce by³y wielkie jak u inkwizytora z koszmarnego snu.

Biografie? spyta³ Joe.

192

Sprzedawca wyszed³ zza lady i wskaza³ prawy k¹t sklepu, gdzie za rzêdami pogr¹łonych w cieniu pó³ek pali³y się lampy.

Zag³êbiaj¹c się w labirynt ksi¹łek, Joe s³ysza³, jak kto za jego plecami zamyka drzwi wejciowe.

W dziale biograficznym czeka³ na niego jeszcze jeden czarnoskóry mê^łczyzna. By³ jak potê^łny s³up hebanu wydawa³ się uosobieniem niepowstrzymanej si³y albo nieruchom¹ ska³¹. Twarz mia³ równie pogodn¹ jak Budda.

Rewizja zakomunikowa³.

Joe zorientowa³ się, że ma do czynienia z by³ym policjantem.

Odwróci³ się pos³usznie twarz¹ do ksi¹łek, rozsun¹³ nogi, opar³ się d³oñmi o pó³ki i wlepi³ wzrok w grzbiety tomów. Jeden z nich przyci¹gn¹³ jego uwagê: opas³a biografia Henry Jamesa, pisarza. Henry James.

Z jakich powodów to imię również wydawało się znaczące. Wszystko wydawało się znaczące, ale nic nie miało znaczenia. A już na pewno nie nazwisko dawno zmarłego pisarza.

Gliniarz zrewidował go szybko i profesjonalnie, szukając broni albo nadajnika. Kiedy nie znalazł niczego, powiedział:

Niech mi pan pokaże jaki dokument.

Joe odwrócił się od półek i wyciągnął z portfela prawo jazdy.

Policjant popatrzył na zdjęcie, potem na Joego, zapoznał się ze szczegółami rysopisu i skonfrontował je z oryginałem, po czym zwrócił dokument.

Niech pan idzie do kasjera.

Co?

Do faceta za ladą.

Chudy mężczyzna z kozią brodką czekał przy drzwiach wejściowych. Na widok Joego przekręcił klucz w zamku.

Ma pan telefon?

Joe chciał go zwrócić.

Nie, niech go pan zatrzyma poleci sprzedawca. Przy krawężniku stoi czarny mustang. Pojedźcie nim pan do Wilshire, a potem skręć na wschód. Kto się z panem skontaktuje.

Kiedy otworzy drzwi, Joe popatrzył na samochód i spytał:

Czyj on jest?

Powiększone przez grube soczewki oczy obserwowały go bacznie. Joe poczuł się jak bakteria pod mikroskopem.

A jakie to ma znaczenie?

Chyba żadne.

Joe wyszedł na ulicę i wszedł do mustanga. W stacyjce były kluczyki.

Dotarł do Wilshire Boulevard i skręcił na wschód. Samochód był niemal tak stary jak subaru, które nabył od Gema Fitticha. Silnik pracował jednak pewniej, wewnątrz było czystsze, a zamiast pochłaniać zapachów w powietrzu wyczuwał się lekka woń mentolowej wody po goleniu.

193 13 Jedyna ocalona

Gdy przejechał pod wiaduktem przy San Diego Freeway, zadzwonił telefon.

Tak?

Mężczyzna, który wysłał go do księgarni, teraz poleci mu:

Dojedźcie pan do oceanu w Santa Monica. Kiedy znajdzie się pan na miejscu, przekażę panu dalsze instrukcje.

W porządku.

Proszę się nie zatrzymywać po drodze. Rozumie pan?

Tak.

Zorientujemy się, jeśli pan to zrobi.

Byli w jednym z jadących obok samochodów, z przodu albo z tyłu albo i tu, i tu. Nie zadał sobie trudu, by ich poszukać wzrokiem.

Jego rozmówca ciągnął:

Niech pan nie próbuje kontaktować się z kimkolwiek przez telefon. O tym też się dowiemy.

Rozumiem.

Jedno pytanie. Chodzi o ten samochód, którym pan jedzie, dlaczego chciał pan wiedzieć, do kogo należy?

Szukaj¹ mnie naprawdę nieprzyjemni dranie odpar³ Joe. Jeli mnie znajd¹, to nie chcê, żeby jacy niewinni ludzie mieli k³opoty tylko dlatego, że skorzysta³em z ich wozu.

Ca³y wiat ma już wielki k³opot, cz³owieku. Nie zauważy³e tego? Rozmówca przerwa³ po³¹czenie. Z wyj¹tkiem gliniarza w ksiêgarni czy te¿ by³ego gliniarza ludzie, którzy ukrywali i chronili Rose Tucker, byli w porównaniu z draniem pracuj¹cymi dla Technologik amatorami o ograniczonych mo¿liwociach. Ale amatorami m¹drymi i sprytnymi, o niezaprzeczalnym talencie do takiej rozgrywki.

Gdy by³ już w Santa Monica, ale od oceanu dzieli³ go jeszcze kawa³ drogi, myl Joego powróci³a do grzbietu ksi¹¿ki z nazwiskiem Henryego Jamesa.

Henry James. I co z tego?

Po chwili przypomni³ sobie tytu³ jednego z najbardziej znanych utworów pisarza, W kleszczach lêku. Utwór ten królowa³ na ka¿dej licie najs³ynniejszych opowiadañ o duchach, jakie kiedykolwiek napisano.

Duch.

Niewyt³umaczalne o¿ywienie p³omieni lamp, migotanie cyfr na zegarze, stuk garnków i patelni, wszystko to wydawa³o siê w jaki sposób ze sob¹ powi¹zane. Gdy przypomina³ sobie te obrazy, z³atwoci¹ dostrzega³ w nich co nadprzyrodzonego, choæ zdawa³ sobie sprawê, że byæ mo¿e wyobrania p³ata mu figla.

194

Pamiêta³ te¿, jak pêdzi³ po schodach, us³yszawszy strza³, który zabi³ Charliego Delmanna, a ¿yrandol na korytarzu na przemian przygasa³ i rozb³yskiwa³. W strasliwym zamieszaniu, jakie potem nast¹pi³o, zapomni³ o tym dziwnym szczególe.

Teraz przychodzi³ mu na myl niezliczone sceny ze starych filmów, w których otwarcie drzwi miêdzy wiatem rzeczywistym a królestwem duchów by³o nieodmiennie poprzedzane pulsowaniem lamp elektrycznych albo przygasaniem wiec, choæ w pomieszczeniu nie by³o przeci¹gu.

Duch.

Myl ta wydawa³a siê absurdalna. A nawet gorzej, ob³¹kana. Duchy nie istniej¹.

Mimo to przypomni³ sobie teraz kolejny niepokoj¹cy szczegó³, swoje dziwne odczucie podczas ucieczki z domu Delmannów.

Wypada z kuchni, s³ysz¹c za plecami wycie czujników dymnych, biegnie korytarzem, mija przedpokój i dociera do drzwi. D³oñ na ga³ce. K³uj¹cy ch³ód dotyka jego karku, przewierca podstawê czaszki. Potem Joe pokonuje ganek, nie pamiêtaj¹c, że w ogóle otwiera³ drzwi.

Kiedy wytê¿a³ umys³, wydawa³o siê, że to równie¿ ma jakie znaczenie, ale gdy tylko powraca³y w¹tpliwoci, przecucie znika³o. Owszem, zamiast przejmuj¹cego ch³odu powinien czuæ na karku ¿ar ognia. Zgadza siê, to zimno by³o inne od wszystkiego, czego dotychczas dowiadczy³: nie rozlewa³o siê szeroko, przypomina³o raczej czubek sopla wydawa³o siê nawet ostrzejsze, niczym stalowy sztylet wyjêty z zamrażarki albo drut czy ig³a. Ig³a, któr¹ wprowadzono mu do krêgos³upa. Lecz by³o to tylko subiektywne odczucie, a nie obiektywna, dziennikarska obserwacja konkretnego zjawiska. Uleg³ wtedy panice i doznawa³ mnóstwa dziwnych wra¿eñ; nie by³y one niczym innym jak tylko reakcj¹ na skrajny stres. A jeli chodzi o czarn¹ dziurê w pamiêci miêdzy momentem, w którym po³o¿y³ d³oñ na ga³ce udrzwi, a chwil¹, gdy znalaz³ siê na ganku No có¿, da³o siê to bez trudu wyjaniaë

w³anie panik¹, stresem i olepiaj¹c¹ si³¹ zwier^êcego instynktu przetrwania.

Nie by³o ¼adnego ducha.

Odpoczywaj w pokoju, Henry Jamesie.

Gdy przeje¼d¼a³ przez Santa Monica, zmierzaj¹c w stronê oceanu, jego krótkotrwa³a wiara w istnienie czego nadprzyrodzonego os³ab³a, straci³a na sile. Powróci³ rozs¹dek.

A jednak myl o duchu nie dawa³a mu spokoju. Odnosi³ niejasne wra¼enie, ¼e w koñcu znajdzie racjonalne wyjanienie ostatnich wydarzeñ, wychodz¹c od teorii czego nadprzyrodzonego, teorii, któr¹ mo¼na udowodniæ i która by³aby równie logiczna jak precyzyjnie skonstruowana proza Henryego Jamesa.

Lodowa ig³a, siêgaj¹ca samego szpiku kostnego. Zastryk, szybka, przejmuj¹co zimna stru¼ka czego. Czy Nora Vadance poczu³a uk³ucie tej nierealnej ig³y, nim wsta³a od sto³u, by nastawiaæ kamerê?

195

Czy Delmannowie te¼ to czuli?

I Lisa?

Czy kapitan Delroy Blane to czu³, zanim wy³¹czy³ automatycznego pilota, uderzy³ pierwszego oficera w g³owê i najspokojniej w wiecie skierowa³ maszynê prosto w dó³?

Mo¼e nie duch, ale co równie przera¼aj¹cego i z³ego jak zjawa z otch³ani potêpionych co pokrewnego duchowi.

Kiedy Joe znajdowa³ siê dwie przecznice od Pacyfiku, telefon komórkowy zadzwoni³ po raz trzeci.

OK, niech pan skrêci w prawo, w Coast Highway, i jedzie tak d³ugo, a¼ siê z panem skontaktujemy odezwa³ siê ten sam g³os.

Po lewej stronie Joe widzia³ nad oceanem zamieraj¹cy blask s³oñca o coraz g³êbszym odcieniu ¼ó³ci.

Kiedy dotar³ do Malibu, telefon znów zadzwoni³. Skierowano go do SantaFe-by-the-Sea, nadmorskiej restauracji.

Niech pan zostawi telefon na siedzeniu pasażera i przeka¼e samochód pracownikowi restauracji. Bêdzie wiedzia³, kim pan jest. Zarezerwowano tu stolik na pañskie nazwisko informowa³ mê¼czyzna i wy³¹czy³ siê na dobre.

Wielka restauracja przypomina³a budowlê z suszonej na s³oñcu ceg³y, przeniesion¹ wprost z Nowego Meksyku. Mia³a okna z turkusow¹ obwódk¹, turkusowe drzwi i cie¼ki wy³o¼one p³ytkami z czerwonej gliny. Na grz¹dkach wysypanych bia³ymi kamykami ros³y kaktusy i dwa wrzosowce o ciemnozielonych liciach, z mnóstwem bia³ych kwiatów.

Latynos, który odbiera³ od niego kluczyki do wozu, by³ przystojniejszy ni¼ jakikolwiek wespółczesny czy dawny gwiazdor filmowy. Wodzi³ wko³o pow³óczystym, niemal pal¹cym spojrzeniem, które z pewnoci¹ æwicz³ przed lustrem z myl¹ o przysz³ej karierze filmowej. Tak jak uprzedzono Joego, Latynos czeka³ na niego i nie da³ mu kwitu na samochód.

Wnêtrze restauracji pyszni³o siê masywnymi belkami sosnowymi na suficie, cianami w kolorze wanilii i pod³og¹ z czerwonych p³ytek. Krzes³a, sto³y i pozosta³e umeblowanie, na szczêcie niezbyt po³udniowozachodnie w charakterze, by³y doæ luksusowe, za dekorator ograniczy³ swoj¹ paletê do klasycznych motywów nawajskich.

Bywalcy wydali tu ju¼ zapewne fortunê; Joe by³ ca³kowicie wiadomy, ¼e na tle tego wnêtrza

prezentuje się dość marnie. Nie goli się od chwili wyjazdu z Colorado, to jest od ponad dwunastu godzin. Ponieważ większo współczesnych gwiazdorów filmowych i reżyserów hollywoodzkiego stylu miodziowemu, niebieskie dżinsy akceptowano nawet w najelegantszych lokalach Los Angeles, ale jego sztruksowa marynarka była wymięta i obwisła od deszczu, a on sam wyglądał jak zmęczony podróżny albo pijak po alkoholowym maratonie.

196

Młoda hostessa, piękna jak gwiazda filmowa i bez wątpienia czekająca na rolę, która przyniosłaby jej Oscara, zdawała się nie dostrzegać w jego stroju niczego niewłaściwego. Zaprowadziła go do dwuosobowego stolika przy oknie.

Zachodnia ciana budynku była cała ze szkła. Plastikowe żaluzje przysłoniły blask zachodzącego słońca. Widok wybrzeża był niezwykle jego linia wyginała się ku północy i południu. Morze za było po prostu morzem.

Pańska towarzysza się spóźniła powiedziała hostessa, mając widocznie na myśli Demi. Prosiła, żeby zaczynał pan bez niej.

Joemu nie odpowiadał taki rozwój wypadków. Był z niego bardzo niezadowolony. Pragnął jak najszybciej nawiązać kontakt z Rose, pragnął dowiedzieć się, co ma mu do powiedzenia pragnął znaleźć Ninę.

Musiał jednak grać według ich reguł.

W porządku. Dziękuję.

Gdyby Tom Cruise przeszedł operację plastyczną, by poprawić swój wygląd, może stałby się równie przystojny jak kelner, który obsługiwał Joego. Na imię miał Gene. Odnosiło się wrażenie, że w białe rezylinki wszczepiono mu chirurgicznie białki.

Joe zamówił piwo i poszedł do toalety. Skrzywił się na widok swego odbicia w lustrze. Przypominał zarównanego bandziora z komiksów. Umył ręce i twarz, potem wygładził marynarkę. Wciąż jednak wyglądał jak osobnik, który powinien siedzieć w kontenerze na mieci, a nie przy oknie eleganckiej restauracji.

Wrócił na salę i popijał zimne piwo, obserwował pozostałych gości. Dostrzegł kilka sław.

Siedzący przy stoliku dalej bohater filmów akcji odznaczał się jeszcze większym zarostem niż Joe, a włosy miał zmierzwiłone jak mały chłopak, który dopiero co się obudził. Ubrany był w postrzępione czarne dżinsy i plisowaną koszulę od fraka.

Bliżej siedział aktor nominowany ostatnio do Oscara. Był tajemniczy poliszynela, że zażywał heroinę. Miał na sobie ekscentryczny strój wycięty z dna garderoby: czarne mokasyny bez skarpetek, zielone spodnie, sportową marynarkę w brązowe kratki i błonniebieskie dżinsy i koszulę. Pomimo tej pstrokacizny najmocniejszą barwę wydawały się mieć jego podbiegłe oczy i spuchnięte, rozpalone powieki.

Joe rozluźnił się i skupił na jedzeniu. Kukurydza purée i zupa z czarnej fasoli znalazły się na tym samym talerzu, tworząc różno-czarny deseń. Łosoś z grilla spoczywał na sałatce z mango i czerwonej papryki. Wszystko było wymienione.

Jadł, obserwując morze i gości. Nawet ci, którzy nie cieszyli się sławą, grali tak czy inaczej rolę.

Los Angeles było najbardziej olniewającym, najbardziej odrażającym, najelegantszym, najbrudniejszym, najmłodszym, najgłupszym, najpiękniejszym, najbrzydszym, najnowocześniejszym, najbardziej konserwatywnym,

197

altruistycznym, egoistycznym, pojętnym, ignoranckim, artystycznym, lubuj¹cym się w przestępczości, opętany na swym punkcie, chciwym, rozleniwionym, szalonym miastem na tej planecie. Dwa jakiegokolwiek jego fragmenty, tak różne jak na przykład Bel Air i Watts, były w jakiś tajemniczy sposób identyczne w swej istocie: tętniły szalonym g³odem, nadzieją i rozpacz¹.

Nim zakończy kolację deserem z mango i lodów, stwierdza³ ze zdumieniem, że patrzenie na ludzi sprawia mu przyjemność. Często spędza³ z Michelle popołudnia, spacerując po takich różnych miejscach jak Rodeo Drive i City Walk i obserwując przechodniów. Przez miniony rok jednak, zajęty sobą i własnym bólem, nie interesował się ludmi.

wiadomo, że Nina żyje i że być może ją odnajdzie, wyrwa³a go z tej skorupy, w której się zamkn¹³, i przywróci³a do życia.

Hostessę zastąpiła teraz rosła Murzynka w czerwono-złotej szacie, przybrana co najmniej kilogramem biżuterii. Przyprowadziła do siedniego stolika dwu mężczyzn.

Obaj goście byli ubrani w czarne spodnie, białe jedwabne koszule i czarne skórzane kurtki, delikatne jak jedwab. Starszy, około czterdziestki, miał wielkie smutne oczy i usta tak zmysłowe, że bez trudu podpisałby kontrakt na występowanie w reklamach szminek. Był dość przystojny, był dostatecznie kelnera tyle że jego nos, czerwony i zniekształcony, wiadczyło o nałogu picia. Nie zamykał też do końca ust, co nadawało twarzy bezmyślny wyraz. Jego niebieskooki towarzysz, o dziesięć lat młodszy, miał policzki różowe jak pupa noworodka i nie mógł zapanować nad nerwowym umięchem. Wyglądał na człowieka, którego trapi bezustanny brak pewności siebie.

Szczupła brunetka siedziała przy stole z aktorem-narkomanem zaczęła przejawiać zainteresowanie mężczyzn o ustach Micka Jaggera i pijackim nosie. Przypatrywała mu się tak intensywnie i uparcie, że zareagował równie szybko jak pstrąg na widok tustego robaka choć trudno było ocenić, kto tu jest pstręgiem, a kto przynętą.

Aktor-narkoman uwiadomił sobie zauroczenie swej towarzyszki i sam również zaczął przypatrywać się mężczyźnie o melancholijnych oczach, lecz w jego wzroku malowała się złość. Nagle wstał od stołu, niemal przewracając krzesło, i ruszył niepewnie przez salę, jakby chciał uderzyć swego rywala albo na niego zwymiotować. Skręcił jednak przed jego stolikiem i znikł w holu prowadzącym do męskiej toalety.

Mężczyzna o smutnych oczach zaczął już jeść krewetki ułożone na polencie. Nadziewał każdego skorupiaka na czubek widelca i przyglądał mu się z aprobatą, po czym wysysał go z lubieżną przyjemnością. Rozkoszując się leniwie każdym kęsem, spoglądał na brunetkę, jakby chciał dać do zrozumienia, że gdyby miał okazję pójść z nią do łóżka, to z pewnością wyuskałby ją z skorupy i pochłonął jak krewetki.

Brunetka czuła podniecenie albo obrzydzenie. Trudno było powiedzieć. W przypadku niektórych mieszkańców Los Angeles te dwa uczucia były równie nierozdzielne jak bliźnięta syjamskie. W każdym razie opuciła stół akto

ra-narkomana i przysunęła sobie krzesło, by usiąść z dwoma mężczyznami w skórzanych kurtkach.

Joe zastanawia się, jaki obrót przyjmie sprawa, gdy odwróci aktor powróci z toalety, bez wątplenia ze ładami białego proszku wokół nozdrzy, gdyż w obecnych czasach heroina była dostatecznie czysta, by można było ją wciągnąć. Zanim cokolwiek się wydarzyło, zjawił się kelner, ów cud o byszczących oczach, i poinformował Joego, że rachunek za kolację został już uiszczony i że w kuchni czeka na niego Demi.

Zaskoczony, zostawił napiwek i ruszył do holu, z którego wchodziło się do toalet i kuchni.

Wreszcie zapad³ zmierzch pónego lata. Na prostym jak rożen horyzoncie widaæ by³ s³oñce podobne do krwawego żó³tka, które przybiera już ciemniejszy odcieñ.

Kiedy Joe przemierza³ salê, w której wszystkie stoliki by³y już zajête, ta trójka ludzi brunetka i dwaj mêtczyni w skórzanych kurtkach co mu przypomnia³a. Nim dotar³ do holu, poczu³ ze zdziwieniem, że doznaje déjà vu.

Odwróci³ siê przed progiem sali. Zobaczy³ uwodziciela z podniesionym widelcem, poch³aniaj¹cego swym smutnym wzrokiem krewetkê, podczas gdy kobieta mówi³a co cicho. Nerwus o ró³owej twarzy patrzy³ na ni¹ uważnie.

Joe poczu³, jak jego zdumienie przeobraża siê w strach.

Nie móg³ przez chwilê poj¹æ, dlaczego zasch³o mu w ustach, a serce wali jak szalone. Potem ujrza³ w wyobraniu, jak widelec zmienia siê w nó³ sprêtynowy, a krewetka w plaster goudy.

Dwaj mêtczyni i kobieta. Nie w restauracji, tylko w pokoju hotelowym. Zamiast brunetki Barbara Christman. Jeli to nie byli ci dwaj, to kto zdumiewaj¹co do nich podobny.

Joe nigdy ich oczywiście nie widzia³, wys³ucha³ jedynie krótkiego, choæ wyrazistego opisu Barbary. Oczy psa myliwskiego, nos zaczerwieniony od trwaj¹cego latami na³ogu picia, grube wargi. M³odszy z nich, o ró³owej twarzy, na której bezustannie b³ika³ siê umiech.

Joe już od ponad dwudziestu czterech godzin nie wierzy³ w zbiegi okolicznoci. Wydawa³o siê to niemożliwe, ale ci z Teknologik już tu byli.

Ruszy³ czym prêdziej do holu, po czym wszed³ przez drzwi wahad³owe do rozleg³ego pomieszczenia, gdzie przygotowywano sa³atki. Dwaj mêtczyni w bia³ych fartuchach, którzy szybko i z wpraw¹ dekorowali pó³miski warzywami, nawet na niego nie spojrzeli.

Za drzwiami, w g³ównej kuchni czeka³a na niego potêtna Murzynka w obszernej szacie. Nawet jasna suknia i kaskady po³yskuj¹cej biżuterii nie

199

mog³y skryæ jej niepokoju. Matczyna twarz piewaczki jazzowej by³a ³adna, pe³na życia i jakby stworzona do okazywania radoci, ale w tej chwili kobieta nie przejawia³a chêtci do piewu czy miechu.

Nazywam siê Mahalia. Naprawdê mi przykro, że nie mog³am zjeæ z tob¹ kolacji, przystojniaku Joe. By³oby wspaniale. Jej zachrypniêty, seksowny g³os zdradzi³ j¹ jako Demi. Ale nast¹pi³a zmiana planów. Chod za mn¹, z³otko.

Z niezaprzeczalnym majestatem wielkiego statku opuszczaj¹cego nabrzeże, Mahalia ruszy³a przez gwarn¹ i nieskazitelnie czyst¹ kuchniê pe³n¹ szefów i ich pomocników, obok pieców, palenisk i grillów, przedziera³a siê przez parê, dym znad pieczonego miêsa i gryz¹cy oczy aromat podsmażanej cebuli.

Pod¹aj¹c za ni¹, Joe spyta³:

A wiêc wiesz o nich?

Pewnie, że wiem. Mówili o nich w wiadomościach. Pokazuj¹ rzeczy, od których staj¹ w³osy na g³owie, a potem próbuj¹ ci wcisn¹æ chrupki. Ten przeklêty pieni¹dz zmienia wszystko.

Po³oży³ jej d³oñ na ramieniu i zatrzyma³ j¹.

W wiadomościach telewizyjnych?

Zabito kilku ludzi, z którymi rozmawia³a.

Choœ zewsz¹d otaczali ich zapracowani kucharze w bia³ych fartuchach, mogli spokojnie rozmawiaæ, gdy¿ ich s³owa t³umi³ brzêk garnków, stukot brytfann, jazgot mikserów, wist trzepaków, szczêk pó³misków, szum, klekot, trzask, tarcie i skwierczenie.

Okrelili to inaczej powiedzia³a Mahalia. Ale to morderstwo, jak dwa razy dwa cztery. Nie o to mi chodzi odpar³. Mówiê o ludziach w restauracji.

Zmarszczy³a brwi.

Jakich ludziach?

O dwóch mê¿czyznach. Czarne spodnie, bia³e jedwabne koszule, czarne skórzane kurtki
Zaprowadzi³am ich do stolika.

Tak, zgadza siê. W³anie ich rozpozna³em.

Dranie?

Nie ma gorszych.

Zaskoczona, pokrêci³a g³ow¹.

Ale, kochanie, wiemy na pewno, ¿e nikt za tob¹ nie jecha³.

Za mn¹ nie, ale mo¿e za tob¹. Albo za kim, kto pilnowa³ Rose.

Sam diabe³ nie móg³by jej znaleæ, gdyby próbowa³ iæ naszym tropem.

Ale jako siê zorientowali, kto j¹ od roku ukrywa, i teraz zaciskaj¹ pêtlê.

Patrz¹c gniewnie, okryta stalowym p³aszczem pewnoci siebie, Mahalia rzek³a z naciskiem:
Nikt nie tknie Rose nawet palcem.

Czy ona jest tutaj?

200

Czeka na ciebie.

Poczu³, jak serce zalewa mu lodowata fala.

Nie rozumiesz. Ci dwaj w restauracji nie s¹ sami. Musi byæ ich wiêcej na zewn¹trz. Mo¿e nawet ca³a armia.

Tak, mo¿e, ale oni nie wiedz¹, z czym maj¹ do czynienia, z³otko. Na jej twarzy dojrzewa³o jakie postanowienie. Jestemy baptytami.

Pewien, ¿e siê przes³ysza³, Joe ruszy³ czym prêdziej za kobiet¹, która kontynuowa³a swój niepowstrzymany marsz przez kuchniê.

Dotarli do otwartych drzwi i przeszli do pomieszczenia, w którym czyszczono i obierano warzywa. O tak pónej porze nie by³o tu ¿ywego ducha. Dalej znajdowa³ siê magazyn o betonowej pod³odze, pachn¹cy wie¿ym selerem i papryk¹, wilgotnym drewnem i mokrymi kartonami. Na pó³kach wzd³u¿ prawej ciany, a¿ do niskiego sufitu, piêtrzy³y siê stosy skrzynek po owocach i jarzynach, pud³a, a tak¿e opakowania pe³ne pustych butelek po piwie.

Na wprost, pod czerwonym napisem WYJCIE Joe dostrzeg³ stalowe drzwi, teraz zamkniête, za którymi najwidoczniej parkowa³y wozy dostawców. Po lewej by³a winda.

Rose jest na dole.

Mahalia wcisnê³a guzik i drzwi od windy zaczê³y siê rozsuwaæ.

Co jest pod nami?

No có¿, kiedy by³a tam sala bankietowa i taras, mo¿na by³o urz¹dzaæ du¿e przyjêcia przy samej pla¿y. Potem wesz³y inne przepisy Teraz to tylko magazyn. Jak ju¿ zjedziesz na dó³, ka¿ê kilku ch³opakom poprzesuwaæ pó³ki i puste skrzynki. Zamaskujemy drzwi od windy. Nikt siê niczego nie domyli.

Joe, zaniepokojony perspektyw¹ znalezienia siê w pu³apce bez wyjcia, spyta³:

No dobrze, a jak przyjd¹ tu i jednak znajd¹ windê?

Chyba przestanê ciê nazywaæ Joe Przystojniak. Lepiej do ciebie pasuje Joe Zrzêda.

W koñcu na pewno tu przyjd¹, ¿eby siê rozejrzeæ. Mylisz, ¿e zaczekaj¹ do zamkniêcia restauracji, a potem pójd¹ sobie do domu? Jest tam na dole jakie wyjcie awaryjne? nie ustêpowa³.

Nie rozebraliśmy frontowych schodów, po których gocie schodzili na dó³. Zakryliśmy je tylko, tak ¿e nic nie widaæ. Ale jak zechcesz tamtêdy wiaæ, to wejdiesz prosto do restauracji. Bêdziesz widoczny jak na d³oni.

Kiepsko.

Wiêc jeli co pójdzie nie tak, uciekaj przez drzwi na taras. Dalej jest pla¿a i wybrze¿e.

To wyjcie te¿ mogli obstawiaæ.

Jest pod samym urwiskiem. Z góry nic nie widaæ. Powiniene siê odprê¿yæ, kochanie. S³usznœ jest po naszej stronie, a to co znaczy.

Niewiele.

Joe Zrzêda.

201

Wszed³ do windy, ale zablokowa³ drzwi stop¹.

Co ciê ³¹czy z tym lokalem, Mahalia?

Jestem wspó³w³acicielk¹.

Jedzenie jest doskona³e.

Mylisz, ¿e tego nie wiem? spyta³a dobrodusznie.

Kim jeste dla Rose?

Nied³ugo bêdê ciê nazywa³a Joe Ciekawski. Rosie jakie dwadziecia dwa lata temu wysz³a za mojego brata. Spotkali siê w collegeu. Nie zdziwi³am siê specjalnie, kiedy Louis okaza³ siê doæ pojêtny, ¿eby pójæ do szko³y, ale na pewno siê zdziwi³am, kiedy mia³ doæ rozumu, ¿eby zakochaæ siê w kim takim jak Rosie. W koñcu oczywicie okaza³o siê, ¿e jest jednak czystej wody g³upcem, bo cztery lata póniej siê z ni¹ rozwiód³. Rosie nie mog³a mieæ dzieci, a dzieci by³y dla Louisa bardzo wa¿ne, choæ facet, który mia³by odrobinê mózgu i zdrowego rozs¹dku, poj¹³by, ¿e Rosie to wiêkszy skarb ni¿ dom pe³en bachorów.

Nie jest twój¹ bratow¹ ju¿ od osiemnastu lat, a ty wci¹¿ chcesz dla niej ryzykowaæ?

A czemu nie? Mylisz, ¿e Rosie sta³a siê wampirem, kiedy ten dureñ Louis siê z ni¹ rozwiód³? Nie zmieni³a siê od czasu, gdy j¹ pozna³am, zawsze pozosta³a s³odk¹ istot¹. Kocham j¹ jak siostrê. A teraz czeka na ciebie, Joe Ciekawski.

Jeszcze jedno. Wczeniej, kiedy mówi³a, ¿e ci ludzie nie wiedz¹, z kim maj¹ do czynienia czy nie powiedzia³a: Jestemy babtystami?

Tak w³anie powiedzia³am. Nie chce ci siê pomieciaæ w g³owie, ¿e mo¿emy byæ twardzi, prawda?

No

Mama i tata walczyli w Missisipi z Ku-Klux-Klanem, kiedy mia³ ostrzejsze zêby ni¿ teraz, tak jak wczeniej robili to babcia i dziadek, i nigdy siê nie przestraszyli. Kiedy by³am ma³¹ dziewczynk¹, prze¿ylimy huragany szalej¹ce nad Zatok¹ Meksykańsk¹, powodzie i epidemie zapalenia mózgu. To by³y ciê¿kie czasy, nie by³o wiadomo, czy nazajutrz bêdzie co w³o¿yæ do ust, ale trzymaliśmy siê twardo, piewaj¹c chórem ka¿dej niedzieli. Amerykańscy marines nie s¹ o wiele twardsi od zwyk³ego czarnego baptysty z po³udnia.

Rose powinna dziêkowaæ Bogu za tak¹ przyjació³kê jak ty.

To ja mam szczęście odpar³a Mahalia. Podnosi mnie na duchu, teraz chyba najbardziej. No dalej, Joe, ruszaj. I zostañ tam z ni¹ na dole, dopóki nie zamkniemy lokalu i nie wykombinujemy czego, ¿eby was wyci¹gn¹æ. Przyjdê, kiedy bêdzie czas.

Przygotuj siê zawczasu na k³opoty ostrzeg³ j¹.

Id.

Joe cofn¹³ stopê. Drzwi siê zamknê³y.

Winda ruszy³a w d³³.

202

14

Znalaz³ j¹ wreszcie. Doktor Rose Marie Tucker. By³a teraz i tutaj zupe³nie sama na koñcu d³ugiego pomieszczenia, siedzia³a na jednym z czte

rech sk³adanych krzes³ przy porysowanym stole roboczym, pochylona, z rêkami na blacie i z³czonymi d³oñmi, czekaj¹c¹ w milczeniu, o oczach powa¿nych i pe³nych czu³oci znalaz³ wiêc tê ma³¹ kobietê, jedyn¹ ocala³¹ z katastrofy, strażniczê tajemnic, które Joe pragn¹³ za wszelk¹ cenê poznaæ, ale których zacz¹³ siê nagle lêkaæ.

Nie wszystkie ¿arówki pod kloszami zamontowanymi na suficie siê pali³y, tak i¿ pod³oga tonê³a w jasnych i ciemnych plamach, niczym w jakim podwodnym królestwie. Pod¹aj¹cy przed nim cieñ zosta³ z ty³u, po chwili znów siê wysun¹³ do przodu, rozp³yn¹³ w ka³u¿y mroku i znikn¹³ jak zapomniana dusza, by trzy kroki dalej wy³oniaæ siê w pe³nej okaza³oci. Joe czu³ siê jak skazaniec przemierzaj¹cy w drodze na egzekucjê betonowe lochy wiêzienia, z którego nie mo¿na uciec, a jednak przepe³niony g³êbok¹ wiar¹ w mo¿liwoæ³aski i odrodzenia. Gdy tak zbli¿a³ siê do prawdy, która podwignê³a Georgine i Charliego Delmannów z dna rozpacz¹ i unios³a ich na wy¿yny euforii, do prawdy o Ninie, jego myli k³êbi³y siê jak przeciwne nurty rzeki, w której, niczym³awice fosforyzuj¹cych ryb, przemyka³a nadzieja.

Z lewej strony piêtrzy³y siê pud³a z rêcznikami papierowymi i wiewcami na sto³y. Na prawo, w cianie, która wychodzi³a na pla¿ê i ocean, znajdowa³a siê para drzwi i rz¹d du¿ych okien, ale widok wybrze¿a by³ zas³oniêty przez metalowe ¿aluzje. Sala bankietowa przypomina³a bunkier. Odsun¹³ krzes³o i usiad³ naprzeciwko Rose.

Podobnie jak poprzedniego dnia na cmentarzu, teraz równie¿ kobieta emanowa³a tak charyzmatyczn¹ energi¹, ¿e jej drobna postaæ musia³a budziæ nieustanne zdumienie. Choæ mia³a nadgarstki cienkie jak dziewczynka, choæ

203

delikatne rysy, szczup³a szyja i drobne ramiona nadawa³y jej wygl¹d bezbronnego dziecka, wydawa³o siê, ¿e góruje nad Joem. Jej magnetyczne oczy przykuwa³y go do miejsca i przenika³y, a kryj¹ca siê w nich wiedza zmusza³a do pokory, mimo ¿e Joe nie uleg³by³atwo nawet cz³owiekowi dwukrotnie wiêszemu od niego.

Wyci¹gn¹³ do niej rêkê, a ona ujê³a jego d³oñ.

Strach i nadzieja odebrały mu mowę. Targany tymi sprzecznymi uczuciami nie potrafił spytać o Ninę.

Równie poważna jak na cmentarzu, Rose stwierdziła:

Wszystko przybiera swój obrót. Zabijaj każdego, z kim rozmawiam. Nic ich nie powstrzyma.

Moment, kiedy będzie musiał zapytać o swój młodszy córki, na razie się odsunął i Joe zdołał wydobyć z siebie głos.

Byłem wtedy w domu w Hanoock Park, razem z Delmannami i Lisą.

Otworzył oczy z przerażenia.

Nie chcesz chyba powiedzieć, że wtedy kiedy to się stało?

Tak.

Jej drobna dłoń zacisnęła się na jego rękę.

Widziałe?

Skin głowa.

Popełnili samobójstwo. Taki straszny czyn, istne szaleństwo.

Nie szaleństwo. Nie samobójstwo. Morderstwo. Ale jak, na Boga, zdołał się uratować?

Uciekłem.

Kiedy ich zabijano?

Charlie i Georgine już nie żyli. Lisa nadal przetrwała.

Więc nie był jeszcze martwa, kiedy uciekał?

Nie. Wciąż stała i paliła się, choć nie krzyczała, po prostu cicho cicho przetrwała.

Więc uciekał w sam porę. Prawdziwy cud.

W jaki sposób, Rose? Jak to z nimi zrobiono?

Spucił wzrok i nie odpowiadając na pytanie wpatrywał się w ich splecione dłonie. Po chwili wyszeptał, bardziej do siebie niż do niego:

Słodziłam, że od tego powinnam zacząć, od przekazania nowin rodzinom, które straciły w tej katastrofie bliskich. Ale to przede mną ten rozlew krwi.

Naprawdę był na pokładzie samolotu? spytał.

Znow spojrzał mu w oczy.

W klasie ekonomicznej. Rzeczywiście, miejsce B, nie przy samym oknie.

W jej głosie była prawda, tak jak w dźwiękach trawy jest blask słońca i deszcz.

Naprawdę oddalił się z miejsca katastrofy cała i zdrowa raczej stwierdził niż zapytał.

204

Cała i zdrowa powtórzył cicho, tym bardziej jednak podkreślając cudowność swego ocalenia.

I nie sama.

Kto ci powiedział?

Nie Delmannowie. Ani inni, z którymi rozmawiał. Wszyscy ci wierzyli i nie chcieli zdradzać sekretów, jakie im powierzył. Aby zrozumieć, jak się o tym dowiedziałem, musiałoby cofnąć się do tamtej nocy. Pamiętasz Jeffa i Mercy Ealingów?

Przez jej usta przemknęły białe umięch, gdy odparł:

Loose Change Ranch.

Byłem tam dzisiaj wczesnym popołudniem wyjątkowo.

To mili ludzie.

Prowadził spokojne, cudowne życie.

A ty jesteś dobrym reporterem.

Kiedy temat dużo dla mnie znaczy.

Jej oczy przypominają czarne, lecz wietliste jeziora. Joe nie wiedział³, czy to, co się w nich kryje, pogrze¹ go czy też wyniesie na powierzchnię.

Przykro mi z powodu tych wszystkich ludzi w samolocie pochyliła³ głowę. Przykro mi, że odeszli, nim dope³ni³ się ich czas. Przykro z powodu ich rodzin z powodu ciebie.

Nie wiedział³a, że narażasz ich na niebezpieczeństwo, prawda?

Nie, na Boga.

Więc nie jeste winna.

Ale czuję się odpowiedzialna.

Powiedz mi, Rose. Proszę. Przeby³em drug¹, bardzo drug¹ drogę, by to us³yszeć. Powiedz mi to co innym.

Ale oni zabijają¹ każdego, komu to mówi. Zabili nie tylko Delmannów, ale i innych, szcioro innych.

Nie przejmuję się niebezpieczeństwem.

Ale ja się przejmuję. Wiem, na co cię narażam, i muszę to brać pod uwagę.

Na nic mnie nie narażasz. Absolutnie na nic. I tak już jestem martwy przekonywa³ j¹. Chyba że to, co zamierzasz mi zdradzić, przywróci mnie do życia.

Jeste dobrym człowiekiem. Przez te lata, które ci jeszcze pozosta³y, możesz co zrobić dla tego spapranego świata.

Nie w moim stanie.

Jej oczy przepełnia³ teraz smutek. Nagle przerazi³ go tak głęboko, że chciał³ odwrócić od nich wzrok ale nie mógł³.

Ta rozmowa da³a mu czas, by dojść do pytania, przed którym się początkowo wzdraga³. Wiedział³ już, że musi je zadać, nim znów opuci go odwaga.

Rose Gdzie jest Nina, gdzie moja córka?

Rose Tucker zawaha³a się. Sięgnę³a wreszcie do wewnętrznej kieszeni granatowej marynarki i wyci¹gnę³a z niej fotografię zrobion¹ polaroidem.

205

Joe dostrzeg³, że jest to zdjęcie płyt nagrobnych z mosiężnymi tabliczkami noszącymi imiona jego żony i córek jedno z tych, które zrobiła poprzedniego dnia.

Dodaj¹c mu odwagi uciskiem, w³ożyła mu w dzień fotografię.

Zacz¹³ wpatrywać się w zdjęcie. Po chwili zauważy³:

Jej tu nie ma. Nie w ziemi. S¹ Michelle i Chrissie, zgadza się. Ale nie Nina.

Otwórz swe serce, Joe niemal szepta³a. Otwórz swe serce i umys³, co teraz widzisz?

Oto w końcu ofiarowywa³a mu dar odrodzenia, który wcześniej otrzymali od niej Nora Vadance, Delmannowie i inni.

Wpatrywa³ się w fotografię.

Co widzisz, Joe?

Grób.

Otwórz swój umys³.

Z nadzieją¹, której nie umiał³ wyrazić słowami, ale która przyprawia³a jego serce o szalone bicie, Joe bada³ wzrokiem trzymany w d³oniach kawa³ek kliszy.

Granit, br¹z wokół trawa.

Otwórz swe serce wyszepta³a.

Ich imiona daty

Wpatruj siê.

blask s³oñca cienie

Otwórz swe serce.

Choæ nie w¹tpi³ w szczerœ Rose, ta jej litania Otwórz swój umys³, otwórz swe serce zaczê³a brzmieæ g³upio, jakby kobieta by³a nie naukowcem, tylko guru New Age.

Otwórz swój umys³ nalega³a ³agodnie.

Granit. Br¹z. Wokó³ trawa.

Nie patrz tylko oczami. Spróbuj w i d z i e æ .

S³odycz oczekiwania zaczê³a gorzknieæ i Joe czu³, ¿e wyraz jego twarzy siê zmienia.

Czy ta fotografia nie wydaje ci siê dziwna? Nie znajdujesz czego niezwyk³ego nie w samym obrazku, któremu siê przygl¹dasz ale w dotyku? Czy nie nie czujesz czego szczególnego na skórze, gdy trzymasz j¹ w d³oniach?

Ju¿ mia³ zaprzeczyæ: po prostu polaroid, liski i zimny, gdy nagle poczu³ co dziwnego.

Najpierw uwiadomi³ sobie skomplikowan¹ fakturê w³asnej skóry. Nigdy dot¹d nawet nie potrafi³by sobie czego podobnego wyobraziæ. Gdy ciska³ zdjêcie palcami, czu³ ka¿de wygiêcie linii papilarnych, ka¿d¹ pêtelkê i okó³ek, najdrobniejsze zgrubienie i równie maleñki rowek na skórze opuszków zdawa³y siê mieæ swój w³asny niezwykle wra¿liwy system zakoñczeñ nerwowych.

206

Nie umia³ poj¹æ czy przetworzyæ wszystkich danych, które p³ynê³y do niego z fotografii. By³ poruszony jej g³adkoci¹, ale równie¿ tysi¹cami mikroskopijnych, niewidocznych dla go³ego oka zag³êbieñ na powierzchni papieru, dotkniêciem barwników, utrwalaczy i innych chemikaliów, z których by³ skomponowany obraz cmentarza.

Po chwili, w dotyku, choæ nie dla oka, obraz zyska³ na g³êbi, jakby nie by³a to po prostu dwuwymiarowa fotografia, lecz okno z widokiem na cmentarz, okno, przez które móg³ siêgn¹æ rêk¹. Czu³ na palcach ciep³o letniego s³oñca, czu³ dotyk granitu, br¹zu i uk³ucia trawy.

Sta³o siê co jeszcze dziwniejszego: poczu³ teraz kolor, jakby w jego mózgu skrzy¿owa³y siê przewody i popl¹ta³y zmys³y. Powiedzia³: Niebieski, i uderzy³ go nagle olepiaj¹cy wybuch wiat³a, a po chwili, jakby z oddali, us³ysza³ w³asny g³os: Jasny.

Wra¿enie b³êkitu i wiat³a sta³o siê szybko realnym, wizualnym doznaniem: sala bankietowa zaczê³a bledn¹æ i pogr¹¿aæ siê w jasnoniebieskiej mgie³ce.

Dysz¹c ciê¿ko, upuci³ fotografiê, jakby o¿y³a w jego d³oniach.

B³êkitna jasnoæ skurczy³a siê do rozmiarów ma³ego punkcika w centrum jego pola widzenia, jak obraz na ekranie telewizora po wy³1czeniu odbiornika. Ten punkcik zmniejsza³ siê coraz bardziej, w koñcu trwa³ jeszcze przez chwilê podobna do gwiazdki kropeczka wiat³a ale po chwili b³ysn¹³ w absolutnej ciszy i znikn¹³.

Rose Tucker nachyli³a siê ku niemu.

Joe wpatrywa³ siê w jej w³adcze oczy i dostrzeg³ co nowego. Tak, smutek i ¿al pozosta³y. Wspó³czucie i inteligencja równie¿. Ale zauwa¿y³ co jeszcze czy te¿ wydawa³o mu siê, ¿e zauwa¿y³. Jak¹ czêci¹ swej istoty ta kobieta pêdzi³a ku stromemu urwisku, jakby niesiona na grzbiecie oszala³ego rumaka-obsesji, i chcia³a poci¹gn¹æ go za sob¹.

Zdawa³o siê, ¿e czyta w jego myłach.

To, czego siê boisz, Joe, nie ma nic wspólnego ze mn¹. Boisz siê otworzyæ swój umys³ na co, w co przez ca³e ¿ycie nie chcia³e uwierzyæ.

Twój głos zauważył ten szept, powtarzając się zwroty: Otwórz swe serce, otwórz swój umysł, działaj jak hipnoza.

Wcale w to nie wierzysz zaprzeczając z typowym dla siebie spokojem.

Co jest na tym zdjęciu posłyszawszy w swym głosie nutkę rozpacz.

Co masz na myśli?

Substancję chemiczną.

Nie.

Halucynogenne narkotyki, wchłaniane przez skórę.

Nie.

Co, co wchłonięte przez skórę upiera się wprować mnie w odmieniony stan wiadomości.

Otarć dłonie o sztruksową marynarkę.

207

Żadna substancja nie mogłaby przeniknąć do twojego krwiobiegu tak szybko. Ani wpłynąć na twój umysł w ciągu zaledwie kilku sekund.

Tego nie wiem.

Ale ja wiem.

Nie jestem farmakologiem.

Więc skonsultuj się z jakimś specjalistą zaproponowałem bez cienia złośliwości.

Cholera.

Gniewał go, choć nie wiedział dlaczego, tak jak poprzednio nie umiał powiedzieć, dlaczego złości go Barbara Christman.

Im bardziej się irytował, tym ona była spokojniejsza.

Doznał synestezji.

Czego?

Rose Tucker, w której obudził się naukowiec, wyjął:

Synestezji. Występowanie różnych wrażeń zmysłowych przy bodcu działającym tylko na jeden zmysł.

Bezkot.

Wcale nie. Rozlega się na przykład kilka taktów znanej ci melodii, ale zamiast je słyszeć, widzisz jakiś kolor albo czujesz związany z muzyką zapach. Jest to dość rzadkie zjawisko, ale większość ludzi na widok tych fotografii doznaje czegoś takiego, jest to też powszechne wśród mistyków.

Mistycy! niemal splunął na podłogę. Nie jestem mistykiem, doktor Tucker. Jestem, albo byłem, reporterem kryminalnym. Dla mnie liczą się tylko fakty.

Synestezja nie jest tylko rezultatem manii religijnej, jeśli to masz na myśli, Joe. To naukowo udokumentowane doznanie, występujące nawet wśród ateistów. Trzewo myślicy ludzie też niejednokrotnie uważają, że to przejaw wyższego stanu wiadomości.

Jej oczy, przedtem jak chłodne jeziora, teraz wydawały się rozpalone. Odwrócił wzrok, bojąc się, że dosięgnie go jej wewnętrzny ogień. Nie był pewien, czy dostrzega w niej coś, czy też tylko chciał je dostrzec. Czuł się całkowicie dezorientowany.

Gdyby to naprawdę był jakiś rodek przenikający przez skórę tłumaczył z icie diabelskim spokojem efekt nieustannie tak nagle.

Nie odezwał się, pogrzebony w wewnętrznym chaosie.

Ale gdy upuścił zdjęcie, efekt znikł. Ponieważ to, z czym się zetknął, nie ma nic wspólnego z iluzją.

Gdzie jest Nina? dopytywa³ siê.

Rose wskaza³a na zdjêcie, które teraz leŹa³o miêdzy nimi na stole.

Popatrz. Zobacz.

Nie.

Nie bój siê.

Wzbiera³ w nim dziki gniew. Ten sam, który tak niedawno go przestraszy³. Teraz teŹ wzbudza³ w nim lêk, ale Joe nie potrafi³ nad nim zapanowaæ.

208

Gdzie jest Nina, do diab³a?

Otwórz swe serce powiedzia³a cicho.

Bzdura.

Otwórz swój umys³.

Jak bardzo? AŹ bêdê mia³ pustkê w g³owie? Czy tego chcesz?

Da³a mu czas, by siê uspokoi³. Potem odpar³a:

Niczego nie chcê, Joe. Spyta³e mnie, gdzie jest Nina. Chcesz siê dowiedzieæ czego o swojej rodzinie. Da³am ci fotografiê, Źeby móg³ zobaczyæ. Wiêc mog³e zobaczyæ.

Jej wola by³a silniejsza niŹ jego opór. Po chwili znów siêgn¹³ po zdjêcie.

Przypomnij sobie to uczucie zachêca³a go. Pozwól, by znów ciê ogarnê³o.

Nie powróci³o jednak, choæ obraca³ fotografiê na wszystkie strony. Wodzi³ po g³adkim obrazie opuszkami palców, ale nie móg³ wyczuæ granitu, br¹zu, trawy. Przywo³ywa³ b³êkit i jasnoæ, ale juŹ nie powróci³y.

Odrzuci³ fotografiê z niechêci¹.

Nie wiem, po co w ogóle to robi³em.

Irytuj¹co spokojna, umiechnê³a siê ze współczuciem i wyci¹gnê³a do niego d³oñ.

Nie odpowiedzia³ jej podobnym gestem.

Z³oci³o go jej zachowanie, zatr¹caj¹ce wed³ug niego o filozofiê New Age, ale jednocześnie czu³, Źe w jaki sposób zawiód³ Michelle, Chrissie i Ninê, gdyŹ nie umia³ po raz drugi pogr¹Źyæ siê w tej widmowej, b³êkitnej jasności.

Z drugiej strony jeli to doznanie by³o tylko halucynacj¹ wywo³an¹ rodkami chemicznymi albo hipnoz¹, to by³o pozbawione jakiegokolwiek znaczenia, a powtórne pogr¹Źenie siê w tym nie na jawie nie mog³oby przywróciæ do Źycia tych, których nieodwracalnie utraci³.

W jego umyle królowa³ chaos.

Wszystko w porz¹dku powiedzia³a Rose. Nasycona fotografia zazwyczaj wystarcza. Ale nie zawsze.

Nasycona?

W porz¹dku, Joe. W porz¹dku. Czasem trafia siê kto kto taki jak ty a wówczas jedynym przekonuj¹cym dowodem staje siê kontakt galwaniczny.

Nie wiem, o czym mówisz.

O dotyku.

Jakim dotyku?

Zamiast odpowiedzieæ, Rose podnios³a zdjêcie i zaczę³a mu siê przygl¹daæ, jakby umia³a bez trudu dostrzec co, czego Joe w ogóle nie by³ zdolny zauwaŹyæ. Jeli w jej sercu i mylach pojawi³ siê zamêt, to dobrze go skrywa³a, gdyŹ wydawa³a siê cicha niczym wiejski staw o bezwietrznym zmroku. Jej spokój tylko rozpali³ gniew Joego.

Gdzie jest Nina, do diabła? Gdzie jest moja matka córka?

209 14 Jedyna ocalona

Wsunęła spokojnie fotografię z powrotem do kieszeni.

Przypuśmy, Joe, że należą do zespołu naukowców przeprowadzających serię rewolucyjnych eksperymentów medycznych i że niespodziewanie odkrylimy co, co mogłoby dowodzić, że istnieje pewna forma życia po mierci.

Mnie trzeba by przekonywać trochę dłużej niż ciębie.

Jej delikatność stanowi irytującą przeciwwagę dla jego opryskliwości.

Nie jest to taki szalony pomysł, jak się wydaje. Odkrycia biologii molekularnej i niektórych dziedzin fizyki dokonane w ciągu kilku ostatnich dziesięcioleci zdawały się wyrażać na istnienie stworzonego wszechwiata.

Unikasz odpowiedzi na moje pytanie. Gdzie trzymacie Ninę? Dlaczego kazalicie mi się, że nie żyje?

Jej twarz zachowała niemal nieziemski spokój, a głos był kłujący.

Gdybyśmy dzięki nauce mogli poznać prawdę o życiu pozagrobowym, to czy naprawdę by tego chcieli? Większość ludzi bez wahania odparłaby tak, nie zastanawiając się, jak nieodwracalnie odmieniłaby ich ta wiedza, odmieniła wszystko, co do tej pory uważali za ważne, odmieniła ich przyszłość. I wówczas A jeli to objawienie miałoby w sobie coś niepokojącego? Chciałoby poznać prawdę, nawet gdyby była w takim samym stopniu straszna co podnosząca na duchu, budząca grozę i radość, głęboko niepojęta i owieczająca?

To dla mnie bełkot, pani doktor, wielkie nic, jak leczenie kryształami, kanały duchowe i matki stworki, które porwają ludzi do latających spodków.

Nie patrz powierzchownie. Staraj się zobaczyć.

Jej spokój, przefiltrowany przez czerwone soczewki jego gniewu, wydawał się narzędziem manipulacji. Joe podniósł się z krzesła i zacisnął pięści.

Co wiozła ze sobą do Los Angeles i dlaczego Teknologik zabił trzystu trzydziestu ludzi, by cię powstrzymać?

Próbuj ci to powiedzieć.

Więc mi powiedz!

Zamknęła oczy i skrzyżowała drobne, brązowe ręce, jakby czekała, aż ta rozszalała w nim burza przemienie, lecz jej pogodność tylko wzmacniała wicher jego gniewu.

Horton Nellor. Niegdy twój, a także i mój szef. Jak on w tym gra rolę? dopytywał się Joe.

Milczała.

Dlaczego Delmannowie, Lisa, Nora Vadance i kapitan Blane popełnili samobójstwo? I jakim cudem można uznać je za morderstwa, jak twierdzisz? Kim są ci ludzie na górze? O co tu u diabła chodzi? Cały się trzęsł. Gdzie jest Nina?

Rose otworzyła oczy i spojrzała na niego z niespodziewanym troską. Jej spokój wreszcie się zachwiało.

Jacy ludzie na górze?

Dwaj dranie, którzy pracują dla Teknologik albo jakiej cholerniej tajnej służby, czy czego tam jeszcze.

Skierowała spojrzenie ku restauracji nad ich głowami.

Jeste pewien?

Rozpozna³em ich, kiedy jad³em kolacjê.

Rose zerwa³a siê z miejsca, wpatruj¹c siê w niski sufit, jakby by³a w ton¹cej ³odzi podwodnej i w oczekiwaniu na pierwsze oznaki pêkaj¹cego kad³uba rozpaczliwie oblicza³a wielkoæ maj¹cego j¹zgnieæ straszliwego cinienia.

Jeli dwóch jest w rodku, to mo³na za³o³yæ, ³e na zewn¹trz s¹ inni doda³ Joe.

Dobry Bo³e wyszepta³a.

Mahalia spróbuje nas st¹d wyci¹gn¹æ po zamkniêciu restauracji.

Ona nie rozumie. Musimy wydostaæ siê ju³ teraz.

Zakry³a drzwi do windy skrzynkami

Nie obchodz¹ mnie ci ludzie ani ich cholerna broñ powiedzia³a Rose, obchodz¹c stó³. Jeli zej¹d tu po nas, to trudno. Niewa³ne, ³e umrê w taki sposób, Joe. Ale wcale nie bêd¹ musieli tu schodziæ. Jeli wiedz¹, ³e jesteśmy w tej chwili gdzie na terenie budynku, mog¹ nas dopaæ na odleg³oæ i zaw³adn¹æ nami.

Co?

Zaw³adn¹æ powtórzy³a ze strachem i ruszy³a ku drzwiom, którymi wychodzi³o siê na pla³ê.

Pod¹aj¹c za ni¹ zdesperowany, Joe dopytywa³ siê:

Co to znaczy zaw³adn¹æ?

Drzwi by³y zamkniête na dwie zasuwy. Rose odsunê³a górn¹.

Po³o³y³ d³oñ na ni³szym zamku.

Gdzie jest Nina?

Zejd mi z drogi.

Gdzie jest Nina?

Na litoæ bosk¹, Joe

Po raz pierwszy Rose wydawa³a siê bezbronna i Joe zamierza³ wykorzystaa³ tê przewagê, by wydobyæ z niej prawdê.

Gdzie jest Nina?

Póniej. Przyrzekam.

Teraz.

Z góry dobieg³ g³ony ³omot.

Rose westchnê³a, odwróci³a siê od drzwi i ponownie wlepi³a wzrok w sufit, jakby mia³ na nich w ka³dej chwili run¹æ.

Joe us³ysza³ nios¹ce siê szybem dwigu podniesione g³osy Mahalii i dwóch czy trzech mêt³czyzn. By³ pewien, ³e dobiegaj¹cy z góry ha³as to dwiêk odsuwanych i odrzucanych pustych skrzynek i pojemników, które zas³ania³y drzwi windy.

Wiedzia³, ³e gdy mêt³czyni w skórzanych kurtkach zorientuj¹ siê, ³e w budynku znajduje siê ni³sza kondygnacja, domyl¹ siê, ³e istnieje wyjcie na

pla³ê. Mo³e inni schodzili ju³ z wysokiego urwiska, by odci¹æ Joemu i Rose drogê ucieczki.

Nie zwa³a³ na to. Patrz¹c jej prosto w twarz, zdecydowany za wszelk¹ cenê uzyskaæ odpowied, straszliwie uparty, Joe nie ustêpowa³.

Gdzie jest Nina?

Nie ³yje odpar³a. Zdawa³o siê, ³e wypowiedzia³a te s³owa z trudem.

Akurat.

Proszê, Joe

By³ na ni¹ wciek³y, ÷e go ok³amuje, tak jak inni w ci¹gu minionego roku.

Akurat. Nic z tego. Za cholerê. Rozmawia³em z Mercy Ealing. Nina ÷y³a tamtej nocy i teraz te³ ÷yje.

Jeli wiedz¹, ÷e jesteśmy w budynku powtórzy³a Rose g³osem dr¹czym z niecierpliwoçi to mog¹ nami zaw³adn¹æ. Jak Delmannami. Jak Lis¹. Jak kapitanem Blaneem!

Gdzie jest Nina?

Znów rozleg³ siê ha³as winda o¹czy³a nagle i ruszy³a z szumem maszynierii w górê.

Gdzie jest Nina?

arówki pod sufitem przygas³y, prawdopodobnie winda poch³ania³a zbyt du¹o energii.

Gdy wiat³o utraci³o moc, Rose krzyknê³a z przerażenia i rzuci³a siê na Joego, próbuj¹c zwałiæ go z nóg, po czym chwyci³a go wciekle za rêkê, by otworzyæ doln¹ zasuwê przy drzwiach, któr¹ ca³y czas przytrzymywa³.

Rozora³a mu paznokciami skórê. Sykn¹³ z bólu i puci³ zamek, a wtedy ona jednym szarpniêciem otworzy³a drzwi. Owionê³a ich pachn¹ca oceanem bryza. Rose wybieg³a w nocn¹ ciemnoæ.

Joe popêdzi³ za ni¹ szerokim i d³ugim pomostem z drewna, nad którym górowa³a restauracja. Przy ka¹dy m kroku deski ³omota³y jak bêben.

Szkar³atne s³oñce gdzie nad Japoni¹ zstêpowa³o w krwawej powiacie do grobu. Niebo i morze na zachodzie przypomina³o dwa czarne ptaki, które stykaj¹ siê w locie, ptaki o g³adkich piórach i zmys³owych, poci¹gaj¹cych jak mieræ ksza³tach.

Rose by³a ju¹ u podnó¹za schodów.

Ruszaj¹c za ni¹, Joe zobaczy³ dwa tarasy, którymi schodzi³o siê do samej pla¹ży.

Rose, ciemnoskóra i ubrana na czarno, niemal zniknê³a w mrocznej geometrii schodów. Kiedy zeskoczy³a na blydy piasek, znów sta³a siê widoczna.

Pas wybrze¹za rozci¹ga³ siê w tym miejscu na jakie trzydziæci metrów, a fosforyzuj¹ce, spienione fale szumia³y wokó³ upiornie. Nikt siê nie k¹pa³ ani nie surfowa³ na tej niesamowitej pla¹ży, nie widaæ te³ by³o nigdzie ognisk ani lamp.

Niebo na wschodzie przypomina³o chorobliw¹ ÷ó³æ rozlan¹ na czarnej powierzchni, nieco wy¹żej unosi³a siê powiata nocnego miasta, nieruchoma i

pozbawiona sensu. Z okien restauracji pada³y na pla¹żê blado¹ó³te prostok¹ty okien, pokrywaj¹c piach pstrokacizn¹ blasku.

Joe nie próbowa³ zatrzymaæ Rose ani zmusiæ jej do wolniejszego biegu. Gdy siê z ni¹ zrówna³, zwolni³ kroku, by jej nie wyprzedziæ.

Stanowi³a jedyne ogniwo ³¹cz¹ce go z Nin¹. Irytowa³ go jej jawny mistycyzm, nag³e przejcie od spokoju do zabobonnego przerażenia; by³ wciek³y, ÷e teraz go ok³amywa³a, choæ wczemniej, na cmentarzu, kaza³a mu wierzyæ, ÷e w koñcu powie ca³¹ prawdê. Jednak ich losy by³y ze sob¹ nierozzerwalnie splecione, gdy¹ tylko ona mog³a go zaprowadziæ do córeczki.

Gdy biegn¹c po mokrym piachu na pó³noc mijali naro¹nik restauracji, z prawej strony, spod urwiska kto ruszy³ naprzeciwko nich: cieñ w nocnej czerni, szybki i du¹y niczym pozbawiona rysów bestia, która ciga ludzi w koszmarach przeladowca w korytarzach snu.

Uwa¹zaj! Joe ostrzeg³ Rose, ale i ona zobaczy³a nadbiegaj¹cego wroga i ju¹ zd¹czy³a robiæ unik.

Joe stara³ siê interweniowaæ, kiedy rozpêdzony ciemny ksza³t zast¹pi³ Rose drogê, ale zaskoczy³ go drugi mê¹czyzna, który rzuci³ siê na niego od strony morza. Facet by³ wielki jak futbolista, wiêc

obaj runêli na ziemiê z takim impetem, że Joe niemal stracił oddech, dysząc chrapliwie. Szczęśliwie upadli z dala od linní wody, na gęboki i miękki piach.

Joe wierzgał nogami, machał rękami, walił bezlitośnie kolanami, okciami i stopami, aż wyturlał się spod swego przeladowcy i stanął na równe nogi. W tym momencie usłyszał, jak kto znajdujący się nieco dalej krzyczy do Rose: Nie ruszaj się, ty suko!, a zaraz potem do jego uszu dotarł odgłos strzału, twardy i paski. Nie chciał myśleć o wizgu, który przemknął po plaży w stronę pomrukującego morza, o Rose z kulą w gówie i o tym, że na zawsze utracił Ninę, ale nie mógł obronić się przed tym, która niczym piętno tkwiła mu w mózgu. Jego przeciwnik klął, podnosząc się z piasku. Joe odwrócił się gwałtownie w jego stronę, gotów zmierzyć się z niebezpieczeństwem, pełen nienawici i szaleństwa, które przed dwudziestu laty wykluczyły go z ligi bokserskiej, pełen kipiłej wściekłości, która kazała mu dokonywać aktów zniszczenia w koczującym by teraz zwierzęciem, pozbawionym serca, szybkim jak kot i dzikim drapieżcą, reagował tak, jakby ten obcy był osobicie odpowiedzialny za kalectwo biednego, zreumatyzowanego Franka, jakby ten sukinsyn rzucił jakiś czar, by stawy ojca puchły i ulegały deformacji, jakby to on służył kapitanowi Blaneowi do ucha eliksir szaleństwa. Joe kopnął faceta w krocze, a kiedy ten jęknął i zgłuszył się wprost, chwycił drania za gówę i jednocześnie wałnął z całej siły kolanem w twarz, jak w balecie okrucieństwa. Posłyszał, jak nos tamtego pęka z chrzęstem, i poczuł ugryzienie. Męczyzna runął do tyłu na piasek, dawał się, plując krwią, chwytając oddech i pącząc jak małe dziecko, ale to nie wystarczało Joemu. Był teraz dzikszymi od zwierzęcia, dziki jak żywioł, był cyklonem gniewu, żalu i niezadowolenia. Kopnął tam, gdzie powinny być łeb, co zabiło go niemal tak samo jak czowieka leżącego na ziemi, gdy Joe miał na nogach tylko adida

213

sy, a nie buty o twardym czubku. Próbował stanąć przeciwnikowi na gardle i zmiędkując mu tchawicę, ale w ciemności stanął mu na piersiach. Nie bardzo sobie zdając sprawę z tego, co robi, ponowił próbę, by zabić tamtego, ale wtedy zaatakował go od tyłu trzeci napastnik.

Joe runął twarzą na ziemię, przygnieciony ciężarem nowego wroga czując na sobie niemal sto kilo. Z wykręconym w bok głową, plując piaskiem, próbował zrzucić z siebie męczyznę, ale tym razem na dobre stracił oddech, a wraz z nim całą swą siłę, leżał więc bezradnie.

Gdy rozpaczliwie starała się zapać powietrze, poczuł, jak jego napastnik przystawia mu do policzka coś zimnego i tępego; wiedział, co to jest, jeszcze nim usłyszał grobę.

Jeli chcesz, żebyś rozwalił ci głowę, zrobię to powiedział obcy, a w jego głosie syczałaby zbrodniczy nutę. Zrobię to, ty dupku.

Joe przestał się opierać. Walczył tylko o oddech, lecz męczący, który go przygniatał, nie zadowalała milcząca kapitulacja.

Odpowiedz mi, draniu. Czy chcesz, żebyś rozwalił ci łeb? Chcesz?

Nie.

Naprawdę?

Nie.

Będziesz grzeczny?

Tak.

Tracę cierpliwość.

W porządku.

Sukinsyn powiedział obcy wciekle.

Joe już się nie odezwał, tylko wypluł piasek i odetchnął głębiej, usiłując odzyskać siły i

zapanowaæ nad atakiem krótkotrwa³ego szaleñstwa, które go ogarnê³o.

Gdzie jest Rose?

Mê¿czyzna, który siedzia³ Joemu na plecach, te¿ oddycha³ ciê¿ko, zion¹c czosnkiem. Dawa³ Joemu czas na odzyskanie spokoju, ale i sam zbiera³ si³y. Pachnia³ wod¹ koloñsk¹ i dymem z papierosów.

Co siê sta³o z Rose?

Teraz wstaniemy powiedzia³ mê¿czyzna. Ja pierwszy. I ca³y czas bêdê do ciebie celowa³. Le¿ p³asko, tak jak teraz, dok³adnie tak jak teraz, dopóki nie stanê z boku i nie powiem ci, ¿eby siê podniós³. Dla podkrelenia swych s³ów jeszcze mocniej przycisn¹³ lufê do twarzy Joego, wierc¹c ni¹ niemal dziurê; Joe poczu³, jak wewnêtrzna strona policzka wgniata mu siê bolenie w zêby. Rozumiesz, Joe Carpenter?

Tak.

Mogê ciê wykoñczyæ i odejæ, jak gdyby nigdy nic.

Jestem spokojny.

Nikt nie mie mnie tkn¹æ.

Ja na pewno nie.

Chodzi³o mi o to, ¿e mam odznakê.

214

Jasne.

Chcesz j¹ zobaczyæ? Przypnê j¹ do twojej cholernej wargi.

Joe nie powiedzia³ nic wiêcej.

Nie wo³ali policja, co wcale nie dowodzi³o, ¿e s¹ fa³szywymi gliniarzami, tylko ¿e nie ¿ycz¹ sobie rozg³osu. Mieli nadzieję wykonaæ robotê szybko i czysto i wynieæ siê, zanim musieliby wyjaniaæ swoj¹ obecnoæ lokalnym w³adzom, co wpl¹ta³oby ich w machinê prawniczej biurokracji i mog³o siê skoñczyæ k³opotliwymi pytaniami na temat uprawnieñ. Jeli nie byli w cis³ym tego s³owa znaczeniu pracownikami Technologik, to na pewno sta³a za nimi jaka w³adza federalna, ale wynurzaj¹c siê z mroku nocy nie wrzeszczeli FBI! ani nie wykrzykiwali nazw ¿adnych innych s³u¿b, wiêc byli zapewne funkcjonariuszami jakiej tajnej organizacji op³acanej przez rz¹d, który przeznacz³ na te cele miliardy dolarów z nies³awnego Tajnego Bud¿etu.

W koñcu nieznamy puci³ Joego, uniós³ siê na jedno kolano, a potem wsta³ i cofn¹³ siê o kilka kroków.

Na nogi.

Podnosz¹c siê z piasku, Joe stwierdzi³ z ulg¹, ¿e jego wzrok szybko przyzwyczaja siê do ciemności. Kiedy ledwie przed dwiema minutami wybieg³ z sali bankietowej i ruszy³ pla¿¹ na pó³noc, mrok wydawa³ mu siê g³êbszy ni¿ teraz. Im d³u¿ej pozostawa³by lepy, tym trudniej by mu by³o dostrzec i wykorzystaæ szansê ucieczki.

Choæ przeciwnik nie mia³ ju¿ na g³owie zawadiackiej panamy i choæ wokó³ panowa³a ciemnoæ, mo¿na go by³o bez trudu rozpoznaæ: gawêdziarz. W bia³ych spodniach i koszuli, z d³ugimi siwymi w³osami, zdawa³ siê skupiaæ na sobie odrobinê wiat³a, co nadawa³o mu wygl¹d zjawy na seansie spirytystycznym.

Joe zerkn¹³ przez ramiê na restauracjê. Dostrzeg³ niewyrane sylwetki goci przy sto³ach, ale oni chyba nie wiedzieli tego, co dzia³o siê na ciemnej pla¿y.

Kopniêty w krocze, uderzony w twarz, unieszkodliwiony agent wci¹¿ le¿a³ rozci¹gniêty na piasku. Oddycha³, ale krztusi³ siê z bólu i wci¹¿ plu³ krwi¹. Próbow³ powstrzymaæ potok ³ez, wykrzykuj¹c chrapliwym g³osem przekleñstwa.

Rose! zawo³a³ Joe.

Zamknij gêbê nakaza³ ubrany na bia³o mêtczyzna.

Rose!

Zamknij gêbê i odwróæ siê.

Za plecami gawêdziarza zamajaczy³ jeszcze jeden cz³owiek, którego kroki t³umi³ piasek, nie by³ to jednak wys³annik Technologik, bo powiedzia³:

Trzymam magnum 0.44 desert eagle dwa centymetry od twojej g³owy.

Gawêdziarz wydawa³ siê równie zaskoczony jak Joe, który by³ wrêcz og³uszony takim obrotem spraw.

Wiesz, co to za broń? Wiesz, co pozostanie z twojej g³owy? mêtczyzna k¹tem oka zerkn¹³ na magnum.

215

Wci¹ fosforyzuj¹c jak duch, ale te¹ równie jak zjawa bezsilny, gawêdziarz, zaskoczony, nuci³ tylko jedno s³owo:

Gównno.

Jeden pocisk zetrze j¹ na proch, oderwie ci ten wielki ³eb od szyi, ot co grozi³ mêtczyzna. Ta broń wywala drzwi razem z framug¹. A teraz rzuæ swój¹ spluwê Joemu pod nogi.

Gawêdziarz zawaha³ siê.

Jazda.

Udaj¹c arogancjê, ten w bia³ym ubraniu odrzuci³ broń, jakby ni¹ gardzi³. Uderzy³a g³ucho o piasek u stóp Joego.

Podnie j¹, Joe powiedzia³ wybawca z magnum.

Schylaj¹c siê, Joe zobaczy³, że nieznajomy mêtczyzna og³uszy³ siwow³osego rewolwerem. Gawêdziarz osun¹³ siê na kolana, potem opar³ siê jeszcze na d³oniach, ale run¹³ na dobre dopiero po drugim uderzeniu i zary³ twarz¹ w piach, chowaj¹c w niej nos jak bulwê. Nieznajomy z magnum czarnoskóry mêtczyzna ubrany od stóp do g³ów na czarno pochyli³ siê, by obróciæ jego g³owê i upewniæ siê, że nieprzytomny napastnik siê nie udusi.

Agent o zmasakrowanej kopniakiem Joego twarzy przesta³ kl¹æ. Teraz, gdy nie móg³ go ju¹ s³yszeæ żaden kompan, znów zacz¹³ ³kaæ bezradnie.

Chodmy powiedzia³ czarnoskóry mêtczyzna.

Joe, na którym Mahalia i jej dziwaczna grupa amatorów robi³y coraz wiêksze wrażenie, spyta³:

Gdzie jest Rose?

Têdy. Mamy j¹.

Odprowadzany ³kaniem kontuzjowanego agenta, które rozchodzi³o siê niesamowitym echem po pla¹zy, Joe ruszy³ czym prêdziej z czarnoskórym wybawc¹ na pó³noc, tam, gdzie skierowa³a siê Rose, gdy ich zaatakowano.

Niemal potkn¹³ siê o jeszcze jednego nieprzytomnego mêtczynê le¹cego na piasku. By³ to bez w¹tpienia ten pierwszy, który ich ciga³ i który strzeli³.

Rose wci¹ by³a na pla¹zy. Kry³a siê w czarnym jak atrament cieniu urwiska. Joe ledwie j¹ widzia³. Mia³ wrażenie, że kobieta skrzyżowa³a rêce na ramionach, jakby w tê ³agodn¹, letni¹ noc dr¹a³a z zimna.

By³ zaskoczony fal¹ ulgi, jak¹ poczu³ na jej widok, nie tylko dlatego, że stanowi³a jedyne ogniwo ³cz¹ce go z Nin¹, ale te¹ po prostu dlatego, że by³a żywa i bezpieczna. Choæ denerwowa³a go i gniewa³a, wci¹ widzia³ w niej kogo wyj¹tkowego, gdy¹ pamiêta³ dobroæ w jej oczach, jej

delikatnoæ i w³sp³czucie, kiedy ujrza³ j¹ pierwszy raz na cmentarzu. Nawet w mroku i pomimo niskiego wzrostu mo¿na by³o w niej wyczuæ niezwyk³¹, siln¹ osobowoæ; roztacza³a wok³ siebie aurê tajemniczoci, ale tak¿e uporu i niezwyk³ej m¹droci dysponowa³a t¹ sam¹ moc¹, z jak¹ wodzowie i wiêci nak³aniali swych poddanych i wyznawców do niezwyk³ych czynów. I teraz, na brzegu nocnego morza, ³atwo by³o uwierzyæ, ¿e wynurzy³a siê z oceanicznych g³êbin, oddychaj¹c równie ³atwo powietrzem co wod¹, ¿e wysz³a na l¹d, skrywaj¹c niezwyk³e tajemnice innego królestwa.

216

Towarzyszy³ jej wysoki mê¿czyzna w ciemnym ubraniu. Jawi³ siê w tym mroku jako ledwie niewyrany kszta³t, tylko czupryna krêconych blond w³osów wieci³a nieznacznie jak pn¹cza fosforyzuj¹cych wodorostów.

W porz¹dku, Rose? spyta³ Joe.

Trochê siê pot³uk³am odpar³a g³osem, w którym brzmia³o napiêcie i ból.

S³ysza³em huk strza³u. Chcia³ jej dotkn¹æ, ale nie by³ pewien, czy powinien to robiæ. Po chwili stwierdzi³, ¿e trzyma j¹ w ramionach.

Jêknê³a z bólu. Joe chcia³ j¹ uwolniæ ze swych objêæ, ale poklepa³a go po plecach, by daæ mu do zrozumienia, ¿e pomimo swych obra¿eñ jest mu wdziêczna za okazan¹ troskê.

Czujê siê wietnie, Joe. Nic mi nie bêdzie.

W dali, na szczycie urwiska narasta³y krzyki. Od po³udnia dobieg³o wo³anie pobitego agenta wzywaj¹cego s³abym g³osem pomocy.

Wynosimy siê st¹d ponagli³ ich blondyn. Nadchodz¹.

Kim jeste³cie? spyta³a Rose.

Joe zdziwi³ siê.

Nie s¹ od Mahalii?

Nie odpar³a Rose. Nigdy ich nie widzia³am.

Ja jestem Mark przedstawi³ siê mê¿czyzna z jasnymi, krêconymi w³osami. A to Joshua.

Czarnoskóry Joshua powiedzia³ co, co brzmia³o jak Infiniface.

Niech mnie diabli wyrwa³o siê Rose.

Kto, co? Kim jeste³cie? dopytywa³ siê Joe.

W porz¹dku, Joe uspoko³a go Rose. Jestem zaskoczona, ale chyba nies³uszenie.

Chyba walczymy po tej samej stronie, doktor Tucker powiedzia³ Joshua. W ka¿dym razie mamy tych samych wrogów.

Gdzie z oddali, wpierw cicho jak szmer serca, ale po chwili coraz wyraniej, jak têtent kopyt pêdz¹cego na olep rumaka, dobieg³o ³up-³up-³up helikopterowego mig³a.

hoæ nie ukradli niczego prócz swej wolności, pędzili jak z³odzieje z³upem wzd³uż urwiska, które wznosi³o siê, opada³o i znów wznosi³o

pod niebo niczym wykres skacz¹cego poziomu adrenaliny w organizmie Joego.

Kiedy uciekali, Mark na czele, a Rose z ty³u, Joe s³ysza³, jak Joshua rozmawia z kim podniesionym g³osem. Zerkn¹³ przez ramiê i zobaczy³, że czarnoskóry mêtczyzna trzyma w d³oni telefon komórkowy. Us³yszawszy s³owo samochód, uwiadomi³ sobie, że ich ucieczka jest przez kogo planowana i kierowana.

Kiedy już siê wydawa³o, że umknêli, stukot helikopterowych ³opat zamieni³ siê w olepiaj¹c¹ rzeczywistoæ, mig³owiec wy³oni³ siê od po³udnia. Niczym promieñ rzucony przez diamentowe oko kamiennego boga rozgniewanego profanacj¹ wiêtogo miejsca, nocn¹ ciemnoæ przeszy³ strumieñ wiat³a, który omiót³ plażê. Pal¹ce spojrzenie zatoczy³o ³uk od piaszczystych zboczy aż do spienionej fali, i z powrotem, przesuwaj¹c siê bezlitonie w ich stronê.

Ponieważ piasek u podnóža ska³ by³ miêkki, zostawiali w nim bezkszta³tne odciski stóp. Jednak napowietrzni przeladowcy nie mogli wytropiæ ich po ladach. Plaża w tej okolicy nigdy nie by³a wyg³adzana, jak dzia³o siê to w miejscach bardziej uczêszczanych, wiêc wszêdzie widnia³y wydeptane ciêżki. Gdyby natomiast szli bliżej linii wody, tam, gdzie morze wyrównywa³o i utwardza³o piach, trasa ich uciezki by³aby równie widoczna jak w blasku pochodni.

Minêli kilka krêtych i stromych podejæ prowadz¹cych do wielkich domów na szczycie urwiska, których murowane fasady przymocowano do zbocza stalowymi wspornikami, a czêci drewniane przykrêcono wkrêtami do

g³êbokich pylonów i poziomych, betonowych s³upów. Joe raz zerkn¹³ przez ramiê i zobaczy³ nad jakimi schodami zastyg³y w górze helikopter, którego snop wiat³a myszkowa³ po stopniach i porêczach.

Przysz³o mu do g³owy, że od strony restauracji zd¹ży³a już wyruszyæ inna grupa pocigowa, która zapewne dotar³a na piechotê do plaży, by metodycznie j¹ przeszukiwaæ. Jeli Mark bêdzie prowadzi³ ich nadal w tym samym kierunku, to w koñcu znajd¹ siê w pu³apce, miêdzy helikopterem z przodu a pieszymi tropicielami z ty³u.

Najwidoczniej ta sama myl przysz³a do g³owy również Markowi, gdyż skierowa³ ich niespodziewanie ku drewnianym schodom z sekwoi biegn¹cym przez wysok¹ konstrukcjê, która przypomina³a rusztowanie wokó³ rakiet dawnego typu, z czasów, gdy Przym¹dek Kennedyego zwa³ siê jeszcze Przym¹dkiem Canaveral. Wygl¹da³o tak, jakby statek kosmiczny już odlecia³, a pozosta³a jedynie obudowana ze wszystkich stron próżnia.

Wspinaj¹c siê pod górê, oddalali siê od helikopetra, który jednak uparcie za nimi pod¹ża³. Dwa, cztery, szeæ, osiem kondygnacji schodów zaprowadzi³o ich na podest, gdzie wydawali siê straszliwie ods³oniêci. W koñcu helikopter zacz¹³ kr¹żyæ niespe³na trzydzieci metrów nad plaż¹ czyli jakie dziesiêæ metrów nad ich g³owami, gdyby stanêli na szczycie urwiska i ledwie sto piêædziesi¹t metrów na po³udnie od nich. S¹siedni dom by³ pozbawiony zejcia na plażê, co sprawia³o, że podest,

na którym stali, by³ jeszcze bardziej wyeksponowany. Gdyby pilot, zamiast patrzeæ w dó³, na owietlony reflektorem piasek plaży, spojrze³ w prawo, w stronê szczytu urwiska, dojrza³by ich bez trudu.

Wyższy podest by³ otoczony niemal dwumetrowym ogrodzeniem ze stalowych prętów, ostro zakrzywionych na zewn¹trz, by uniemożliwiaæ nieproszonym gościom wejście od strony plaży. Wzniesiono je dawno temu, gdy nie obowi¹zywa³y jeszcze lokalne przepisy.

Helikopter znajdowa³ się w tej chwili trochę ponad sto metrów na po³udnie, i z wolna przesuwa³ się do przodu. Zdawa³o się, że tkwi w powietrzu niemal bez ruchu. Wycie silnika i klekotanie ³opat mig³a by³o tak g³one, że Joe mógł porozumiewaæ się ze swymi towarzyszami tylko krzykiem.

Trudno by³o pokonaæ ogrodzenie, z pewnoci¹ nie przedostaliby się przez nie w ci¹gu minuty czy dwóch, jakie im jeszcze pozosta³y. Joshua wysun¹³ się do przodu ze straszliwym magnum w d³oni, strzeli³ w zamek bramy, po czym stworzy³ j¹ kopniêciem.

Ludzie w helikopterze nie mogli s³yszeæ huk bronii, a domownicy musieli go uznaæ za ha³as maszyny. W oknach panowa³a ciemnoæ i wszystko by³o tak nieruchome, jakby dom wieci³ pustkami.

Przeszli przez bramê i wkroczyli na rozleg³y, godny wielkiej posiad³oci teren niskie żywop³oty, rabaty ró³, fontanny, w których akurat nie by³o wody, cie³ki wy³o³one starymi p³ytami i owietlone blaskiem miedzianych lamp ogrodowych w kszta³cie tulipanów, wielopoziomowe tarasy otoczone balustradami z piaskowca. Ros³y tam te³ egipskie palmy i figi. Masywne

219

kalifornijskie dęby by³y podświetlone od do³u reflektorami punktowymi: z mroku wy³ania³y się w³adcze, srebrzystoczarne rusztowania konarów o fantastycznych formach.

Dzięki mistrzostwu iluminacji do żadnego zak¹tka nie dociera³ niepotrzebny odbłask. Romantyczn¹ posesjê kry³y spl¹tane p³achty cienia, zawi³e pasma jasności i nieprzeniknionego mroku, gdzie czwórka zbiegów by³a ukryta przed wzrokiem pilotów, choæ helikopter zbli³a³ się ju³ do szczytu urwiska, na którym wznosi³a się posiad³oæ.

Joe, który wszed³ w ład za Rose i Markiem na najni³szy taras, mia³ nadziejê, że na zewn¹trz domu nie zainstalowano detektorów alarmowych reaguj¹cych na ruch. Gdyby swoj¹ obecności uaktywnili czujniki zawieszony wysoko na drzewach albo na szczycie ogrodzenia, nag³y rozb³ysek wiat³a zwróci³by uwagê pilotów.

Wiedzia³, jak trudno by³o nawet pojedynczemu cz³owiekowi umkn¹æ przed spostrzegawczym okiem wprawnego i upartego pilota, zw³aszcza na stosunkowo otwartym terenie, takim jak ten, który nie oferowa³ tylu kryjówek co miejski labirynt. Gdyby ich dostrze³ono, nie zdo³aliby uciec.

Ju³ wczynie³ niczym niesiona na skrzyd³ach mew, nap³ywa³a od morza nadbrze³na bryza; teraz wydawa³a się silniejsza. By³ to jeden z tych gor¹cych wiatrów zwanych Santa Anas, które rodzi³y się w górach na wschodzie, u progu pustyni Mojave. By³ suchy, gwa³towny i przyprawia³ ludzi o gniew. Wród dębów narasta³ g³ony szept, a licy wielkich palm posykiwa³y, grzechota³y i trzaska³y, jakby drzewa ostrzega³y się nawzajem o szkwale, który mógł niebawem nadejæ.

Obawa Joego, że istnieje zewnętrzny system alarmowy, wydawa³a się nieuzasadniona – wspinali się pośpiesznie po kolejnej kondygnacji kamiennych schodków prowadz¹cych na wyższy taras. Teren wci¹ by³ ³agodnie owietlony i przykryty p³aszczem ochronnych cieni.

Daleko poza krawêdzi¹ urwiska widaæ by³ helikopter, który znajdowa³ się teraz na tej samej wysokości co oni i pod¹za³ z wolna na pó³noc. Uwaga pilotów wci¹ skupia³a się na plaży.

Mark poprowadzi³ ich obok wielkiego basenu. Oleicie czarna woda po³yskiwa³a p³ynnymi arabeskami srebra, jakby pod powierzchnią przep³ywa³y ³awice dziwnych ryb o fosforyzuj¹cych

uskach.

Nagle Rose potknęła się. Niemal upadła, ale odzyskała równowagę. Przystanąła chwiejnie się.

Wszystko w porządku? spyta zaniepokojony Joe.

Tak, czuję się wietnie, nic mi nie będzie zapewniła go, ale głos miałaby i chwiałaby się pod nią nogi.

Jeste ranna? dopytywała się Joe, kiedy Mark i Joshua stanęli przy nich.

Lekkie dranięcie odparła.

Rose

Wszystko OK, Joe. To przez te bieganiny i cholerne schody pod górę. Chyba nie jestem już w tak dobrej formie jak dawniej.

220

Joshua znów rozmawia przyciszonym głosem przez telefon komórkowy. Chodmy niecierpliwie się. Prędzej, prędzej, chodmy.

Poza urwiskiem, nad plażą, helikopter już prawie minął posiadłość.

Mark znów wysunął się na czoło, a Rose ruszyła za nim energicznie. Przebiegli pod dachem loggii przylegającej do tylnej ciany domu, gdzie piloci helikoptera nie mogli już ich dojrzeć, po czym dotarli do narożnika domu.

Zrobili ledwie jeden krok na ciężce wijącej się przez niewielki zagajnik melaleukasów o woschatej korze, gdy znaleli się nagle w olepiącym jasnym strumieniu wiatra z dużej latarki. Wartownik, który zagradza im drogę, zawołał:

Hej, kim u diabła

Działając bez wahania, Mark całym impetem ruszył na niego. Nieznajomy nie dokończył zdania i obaj mężczyźni aż jęknęli pod wpływem siły zderzenia.

Latarka odbiła się od pnia, spadła na ciężką i zakręciła się na kamiennej płytce. Cienie zawirowały niczym wataha psów cigających w lasy ogon.

Mark obrócił gwałtownie wartownikiem, wyrzucił mu rękę, zepchnął go brutalnie ze ciężki i grządek, po czym walnął nim o cianę domu tak mocno, że aż w najbliższym oknie zadźwięczała szyba.

Joshua podniósł latarkę i skierował ją na mężczyznę. Joe zobaczył, że umundurowany wartownik to ten chłop, po pięćdziesiątce. Mark nie pozwalał mu podnieść się z kolan ani ruszyć głową, zmuszając do patrzenia w dół, na ziemię, by później nie mógł ich rozpoznać.

Nie jest uzbrojony poinformowała Joshua.

Dranie wypluł z nienawici w głosie wartownik.

Kabura przy kostce u nogi? spyta Joshua.

Nie.

Ci durni wścieciele to cholerni pacyficy czy co w tym rodzaju. Nie chcę trzymać broni w domu, mnie też nie pozwalaj. No i oto skutki stwierdził wartownik.

Nie zrobimy ci krzywdy zapewnił Mark, odciągając go od ciany i sadzając na ziemi, plecami do pnia drzewa.

Nie przestraszycie mnie stawia się wartownik, choć w jego głosie wyczuwało się lęk.

Psy? dopytywała się Mark.

Wszędzie odparł wartownik. Dobermany.

Kłamie stwierdził z pewnością siebie Mark.

Nawet Joe wyczuł błąd.

Joshua podał latarkę Joemu mówiąc:

Kieruj strumień wiat³a w ziemiê.

Po chwili wyci¹gn¹³ zza paska kajdanki.

Mark nakaza³ wartownikowi wygi¹æ rêce do ty³u. Joshua spi¹³ mu nadgarstki kajdankami, tak że mêt¹czyzna zosta³ przykuty do niezbyt grubego pnia drzewa.

221

Policja jest w drodze mimo wszystko nie traci³ rezonu wartownik. Na pewno z dobermanami rzuci³ Mark.

Dranie powtórzy³ wartownik.

Mark wyci¹gn¹³ teraz rolkê banda¹za.

Zagry nakaza³.

Sam zagry jêkn¹³ mêt¹czyzna w ostatnim beznadziejnym gecie brawury, po czym zrobi³ to, co mu kazano.

Joshua obwi¹za³ g³owê wartownika trzy razy tam¹ samoprzylepn¹, mocuj¹c solidnie banda¹z w jego ustach.

Mark odczepi³ od paska wartownika co, co wygl¹da³o jak pilot od telewizora.

Tym siê otwiera bramê wjazdow¹?

Wartownik warkn¹³ przez knebel co nieprzyzwoitego. Zabrzmia³o to jak be³kot.

Pewnie tak.

Joshua uspokoi³ go:

Rozlunij siê. Nie ocieraj sobie nadgarstków. Nie zamierzamy obrabowaæ domu. Naprawdê. Chcemy tylko têt¹dy przejaæ.

Za pó³ godziny zadzwonimy na policjê. Przyjad¹ i ciê uwolni¹ dorzuci³ Mark.

Na przysz³oæ spraw sobie psa poradzi³ Joshua.

Owietlaj¹c drogê latark¹ wartownika, Mark poprowadzi³ ich ku frontowi domu.

Kimkolwiek ci ludzie byli, Joe cieszy³ siê, że s¹ po jego stronie.

Posiad³oæ obejmowa³a co najmniej trzy akry. Ogromny dom sta³ w odleg³oci siedemdziesiêciu metrów od muru granicz¹cego z ulic¹. Porodku kolistego podjazdu wznosi³a siê czteropoziomowa marmurowa fontanna: cztery szerokie muszle, ka¹da podtrzymywana przez skacz¹ce delfiny, du¹ze u do³u, ma³e na górze. Muszle wype³nia³a woda, ale nie s³ychaæ by³o pompy ani szumu kaskady.

Poczekajmy tutaj zaproponowa³ Mark i poprowadzi³ ich w stronê fontanny.

Delfiny i muszle otacza³ pó³metrowy murek zwieñczony szerokim obramowaniem z wapienia. Rose usiad³a na brzegu podobnie uczynili Joe i Mark.

Joshua, zabrawszy ze sob¹ pilota, rozmawiaj¹c przez telefon komórkowy, ruszy³ w stronê g³ównej bramy.

Ciep³y wiatr Santa Ana, niczym ogar, goni³ po ziemi licie i zwitki papierowej kory.

Jak siê o mnie dowiedzielicie? Rose zwróci³a siê do Marka.

Gdy kto przystêpuje do przedsiêwziêcia z funduszem miliarda dolarów, podobnie jak my odpar³ Mark trudno to ukryæ. Poza tym komputery i przetwarzanie danych to nasza specjalnoæ.

Jakie to przedsiêwziêcie? spyta³ Joe.

222

Odpowiedzi¹ by³o to samo tajemnicze s³owo, które pad³o z ust Joshuy na pla¹zy: Infiniface.

A co to znaczy?

Póniej, Joe przyrzek³a Rose. Mów dalej, Mark.

A zatem od samego początku naszego istnienia dysponujemy funduszami, które pozwalają leżeć obiecujące badania we wszystkich możliwych dyscyplinach nauki, i to na całym świecie, badania, które mogły doprowadzić do oczekiwanych przez nas odkryć.

Może tak powiedziała Rose ale wy działacie dopiero od dwu lat, podczas gdy większa część moich badań przez ostatnie siedem lat była prowadzona w największej tajemnicy.

Pani doktor, przed ukończeniem trzydziestego siódmego roku życia zdłżyła pani zajęć tak daleko, że jej badania stanowiły obietnicę dla nauki, po czym nagle pani praca utknęła niemal w miejscu, od czasu do czasu ukazywały się tylko drobne publikacje. Była pani Niagarą inwencji, która wyczerpała się niemal w ciągu jednej nocy.

I czego to dowodzi?

To klasyczny przykład naukowca, który został zaangażowany przez Pentagon czy inną rządową organizację w celu wprowadzenia całkowitej blokady informacji. Gdy dostrzegamy coś takiego, staramy się ustalić miejsce pracy naukowca, o którym słuch w ten sposób zaginął. W końcu zlokalizowaliśmy panią w Teknologik, jednak nie w którymś z jego powszechnie znanych i dostępnych instytutów. W głęboko ukrytym, biologicznie zabezpieczonym kompleksie niedaleko Manassas, w Wirginii. Zajmowała się pani czymś, co nosi kryptonim Projekt 99.

Joe, słuchajcie uważnie rozmowy, zobaczcie, że na końcu drugiego podjazdu otwiera się elektronicznie sterowana ozdobna brama.

Co wiecie o Projekcie 99? spytała Rose.

Zbyt mało przyznał Mark.

Jakim cudem wiecie cokolwiek?

Kiedy powiedziałem, że ledzimy aktualne badania na całym świecie, nie chodziło mi o publikacje i dane, do których ma dostęp każda biblioteka naukowa.

Innymi słowy penetrujecie systemy komputerowe, włamujecie się do nich, niszczyście zabezpieczenia stwierdziła bez nienawici w głosie Rose.

Jeli trzeba. Nie robimy tego dla zysku. Nie wykorzystujemy finansowo informacji, które zdobywamy. To po prostu nasza misja, poszukiwania, dla których powołano nas do życia.

Joe był zdumiony własną cierpliwością. Choć dowiadywał się różnych rzeczy, najważniejsza tajemnica pozostawała nadal głęboko ukryta. Mimo to był gotów czekać na odpowiedź. Niesamowite dowiadczanie z polaroidem wstrząsnęło nim. Teraz, gdy miał czas zastanowić się nad tym, co się wydarzyło, synestezja wydała się zaledwie preludium jakiego objawienia, które miało się okazać o wiele bardziej wstrząsające i uczące pokory, niż sobie to

wyobrażał. Wciąż pragnął poznać prawdę, ale teraz instynkt ostrzegał go, by dawkować jej po trochu, zamiast poddawać się jednej miarodajnej wszystkim fali.

Joshua przeszedł przez otwartą bramę i stanął na poboczu Pacific Coast Highway.

Nad wschodnimi wzgórzami widać było nabrzmią, różnorodny krajobraz. Zdawało się, że ciepły wiatr napływa w stronę z tamtej strony.

Była jednym z tysięcy naukowców, których pracę ledziliśmy, choć wzbudzała nasze szczególne zainteresowanie w związku z najwyższą tajemnicą Projektu 99 cięgnął Mark. Rok temu opuściła Manassas, zabierając ze sobą jakiś fragment badań i w ciągu nocy stała się najbardziej poszukiwaną osobą w kraju. Nawet po domniemanej mierci w katastrofie tego samolotu w Colorado. Jeszcze wtedy szukało cię mnóstwo ludzi, z użyciem znacznych środków. Próbowali odszukać martwą kobietę, co wydało nam się dość niezwykłe.

Rose milcza³a, nie zachêcaj¹c go do mówienia. Sprawia³a wraŹenie zmêczonej. Joe uj¹³ jej d³oñ. DrŹa³a, ale ucisnê³a go, jakby chcia³a zapewniæ, Źe nic jej nie jest.

Póniej zaczêlimy przechwytywaæ raporty pewnej tajnej s³uŹby raporty mówi¹ce o tym, Źe Źyjesz i dzia³asz w okolicy Los Angeles, i Źe kontaktujesz siê z rodzinami, które straci³y bliskich w katastrofie samolotu. Prowadziliśmy teŹ w³asn¹ obserwacjê. Mamy w tym dowiadczenie. Niektórzy z nas to byli wojskowi. W kaŹdym razie moŹna powiedzieæ, Źe obserwowaliśmy obserwatorów, którzy ledzili ludzi takich jak Joe. A teraz post¹pilimy chyba dobrze.

Tak. Dziêkujê odpar³a. Ale nie wiecie, w co siê wpakowalicie. Nie znajdziecie tu chwa³y jest tylko straszne niebezpieczeñstwo.

Doktor Tucker nalega³ Mark jest nas teraz dziewiêæ tysiêcy ludzi. Wszyscy ca³kowicie powiêcilimy siê temu, co robimy. Nie boimy siê. Wydaje nam siê, Źe mog³a odkryæ co niezwyk³ego, i Źe jest to ca³kiem inne od tego, czego oczekiwaliśmy. Jeli naprawdê dokona³a tego prze³omu Jeli ludzkoæ znalaz³a siê w punkcie zwrotnym dziejów, kiedy wszystko radykalnie i nieodwo³alnie siê zmienia to jesteśmy twymi sprzymierzeñcami.

Chyba tak zgodzi³a siê.

Łagodnie, lecz uparcie przekonuj¹c j¹ o ³¹cz¹cej ich wspólnocie celów, Mark ci¹gn¹³:

Pani doktor, oboje sprzeciwiamy siê si³om ignorancji, strachu i chciwoci, które pragn¹, by wiat pozosta³ w mroku.

Pamiêtaj, Źe nigdy dla nich pracowa³am.

Ale przesta³a.

Z Pacific Coast Highway skrêci³ samochód i zatrzyma³ siê obok Joshuy, który do niego wsiad³. Z ty³u nadjecha³ jeszcze jeden wóz, który, podobnie jak ten pierwszy, przejecha³ przez bramê i ruszy³ w stronê domu.

Rose, Mark i Joe wstali, gdy oba samochody ford, a za nim mercedes objecha³y fontannê i zatrzyma³y siê tuŹ przed nimi. Joshua otworzy³ w for

224

dzie drzwi po stronie pasażera, a zza kierownicy wysiad³a m³oda brunetka. Mercedesa prowadzi³ jaki Azjata oko³o trzydziestki. Wszyscy zebrali siê wokó³ Rose Tucker. Stali przez chwilê w milczeniu.

Bezustannie narastaj¹cy wiatr przemawia³ nie tylko szelestem listowia, graniem wierszczy w ga³êziach krzewów czy g³uch¹, podobn¹ do dwiêków fletu muzyk¹ dochodz¹c¹ spod okapów dachu. Radowa³ siê równieŹ w³asnym g³osem: niesamowitym zawodzeniem, które mrozi³o s³uchaczy, podobnym do przyt³umionego, ale przeraŹaj¹cego wo³ania kojotów, cigaj¹cych sw¹ ofiarê w jakim kanionie nocy.

W wietle reflektorów drŹ¹ca zieleñ rzuca³a nerwowe cienie, a bledn¹cy coraz bardziej ksiêŹyc przegl¹da³ siê w lni¹cej karoserii samochodów.

Joe, obserwuj¹c tych ludzi, którzy z kolei przygl¹dali siê Rose, zda³ sobie sprawê, Źe patrz¹ na ni¹ nie tylko z ciekawoci¹, ale i z podziwem, a nawet zachwytem, jakby by³a kim nadzwyczajnym. Kim wiêtym.

Jestem zaskoczona, widz¹c was wszystkich w cywilu powiedzia³a Rose.

Umiechnêli siê, a Joshua powiedzia³:

Dwa lata temu, gdy zapocz¹tkowaliśmy tê misjê, staraliśmy siê utrzymaæ to w tajemnicy. Nie chcieliby przyci¹gaæ uwagi mediów gdyŹ uwaŹalimy, Źe nie zostaniemy w³aciwie zrozumiani. Nie przewidzielimy jednak, Źe bêdziemy mieæ wrogów. I to wrogów tak bezwzglêdnych.

Tak potężnych doda³ Mark.

S¹dzilimy, że wszyscy bę¹d¹ chcieli poznać odpowiedzi, których poszukujemy gdybyśmy je kiedykolwiek znaleli. Teraz już wiemy, że tak nie jest.

Niewiedza to szczęście, dla którego niektórzy ludzie potrafi¹ zabijać odpar³a kobieta.

A więc rok temu opowiada³ Joshua zaczęliśmy ubierać się w specjalne szaty, by odwrócić od siebie uwagę. Ludzie widzi¹ w nas sektę albo tak im się wydaje. Łatwiej się nas akceptuje jako fanatyków. Można nas zasufladkować i wt³oczywać w jakiś schemat. Jako sekta jesteśmy mniej denerwuj¹cy.

Szaty.

Nosicie szaty, golicie g³owy stwierdzi³ zaskoczony Joe.

Owszem, niektórzy z nas robi¹ to od roku i tylko oni s¹ widoczni. To w³anie mia³em na myśli, gdy powiedział³em, że szaty s³u¹ odwróceniu uwagi: szaty, ogolone g³owy, kolczyki w uszach, jawne enklawy w miastach. Pozostali zeszli do podziemia. Tam możemy realizować nasze dzie³o bez obawy, że kto nas szpieguje, przeladuje czy infiltruje.

Chodź z nami zwróci³a się do Rose m³oda kobieta. Wiemy, że być może znaj³a drogę, i chcemy, by bez przeszkód ujawni³a j¹ wiatu.

Rose podesz³a do niej i po³o¹y³a jej d³oń na policzku, powtarzaj¹c gest, jaki na cmentarzu uczyni³a wobec Joego.

Niewykluczone, że przy³cz¹ się do was niebawem, ale nie dzisiaj. Potrzebuj¹ więcej czasu, by pomyśleć, zaplanować. Poza tym chc¹ jak naj

225 15 Jedyna ocalona

szybciej spotkać się z dziewczynk¹ dzieckiem, które stanowi centrum tego prze³omu.

Nina, pomyła³ Joe, a serce zdr¹ża³o mu jak cienie poruszanych wiatrem drzew.

Rose zbli¹y³a się do Azjaty i jego też dotkn¹ę³a.

Mog¹ powiedzieć wam tylko tyle Stoimy na progu, którego istnienie przewidzielicie. Przejdziemy przez te wrota, może nie jutro ani pojutrze, ani też w przysz³ym tygodniu, ale zapewne w najbliższych latach.

Podesz³a do Joshuy.

Ujrzymy wspólnie, jak wiat zmienia się na zawsze, zaniesiemy wiat³o wiedzy tam, gdzie istnieje wielka, mroczna samotność ludzkiej egzystencji. Gdy nadejdzie czas.

W końcu zbli¹y³a się do Marka.

Przypuszczam, że sprowadzi³e dwa wozy, dla mnie i dla Joego.

Tak. Ale mielibyśmy nadzieję

Po³o¹y³a mu d³oń na ramieniu.

Niebawem, lecz nie dzisiejszej nocy. Mam pilne sprawy, Mark. Wszystko, co chcemy osiągn¹æ, jest poza naszym zasięgiem do chwili, gdy spotkam się z t¹ ma³1 dziewczynk¹, o której wspomnia³am. Gdziekolwiek się znajduje, zabierzemy cię do niej.

Nie. Joe i ja musimy dotrzeć tam sami, i to szybko.

Możecie wzi¹æ forda.

Dzięk¹.

Mark wyci¹gn¹³ z kieszeni jednodolarowy banknot i wręczy³ Rose.

Numer serii sk³ada się z omi¹u cyfr. Skrel czwart¹, a pozosta³e siedem utworzy numer telefonu na obszarze oznaczonym kodem 310.

Rose schowa³a banknot do kieszeni d¹insów.

Kiedy bédziesz gotowa przy³czyæ siê do nas albo jeli znajdziesz siê w k³opotach, zadzwoñ pod ten numer i spytaj o mnie. Zjawimy siê, bez wzglêdu na to, gdzie bédziesz.

Poca³owa³a go w policzek.

Musimy jechaæ. Zwróci³a siê do Joego. Poprowadzisz?

Tak.

Mogê wzi¹æ twój telefon komórkowy? spyta³a Joshuê.

Poda³ go jej.

Gdy wsiadali do forda, wokó³ uderza³y wciekle skrzyd³a wiatru. Kluczyki by³y w stacyjce.

Rose, zatraskuj¹c drzwi, westchnê³a: O Jezu i pochyli³a siê do przodu, ³api¹c oddech.

Jednak jeste ranna.

Mówi³am ci. Trochê oberwa³am.

Gdzie?

Musimy przejechaæ przez miasto Rose zignorowa³a jego pytanie. Ale nie chcê zbli³æ siê do restauracji Mahalii.

226

Mo³esz mieæ z³amane ðebro.

Usiad³a prosto, a jej oddech trochê siê wyrówna³.

Dranie nie odwa³ siê ustawiæ na drodze blokady bez porozumienia z lokalnymi w³adzami, a na to nie maj¹ czasu. Ale mogê siê za³o³lyæ, ðe bêd¹ obserwowaaæ przeje³d³aj¹ce wozy.

Jeli masz z³amane ðebro, ryzykujesz przebicie p³uca.

Joe, do diab³a, nie mamy czasu. Musimy ruszaæ, jeli chcemy uratowaæ nasz¹ dziewczynkê.

Wlepi³ w ni¹ wzrok.

Ninê?

Napotka³a jego spojrzenie.

Tak, Ninê odpar³a, jednak na jej twarzy pojawi³ siê strach. Odwróci³a g³owê.

Mo³emy skierowaæ siê na pó³noc, jad¹c Pacific Coast Highway powiedzia³. Potem ruszymy w g³b l¹du wzd³u³ Kanan-Dume Road. To lokalna trasa, która dochodzi do Augora Hills. Stamt¹d mo³emy zjechaæ na 101 i ruszyæ na wschód, w kierunku 210.

Niech bêdzie.

Czwórka ludzi o przyprószonych ksiê³ycowym blaskiem twarzach i zmierzwionych wiatrem w³osach sta³a na tle skacz¹cych delfinów i rozedrganych drzew, patrz¹c na pasa³erów forda.

Joe dostrzeg³ w tej scenie co podnosi¹cego na duchu, ale i z³owieszczego, nie potrafi³ jednak okreliæ, jakie skojarzenia s¹ ród³em tych wra³eñ. Czu³ tylko, ðe noc pulsuje tajemnicz¹ si³, która wymyka³a siê jego zrozumieniu. Wszystko, na czym zatrzymywa³ wzrok, zdawa³o siê mieæ ogromne znaczenie, jakby znalaz³ siê nagle w stanie wy³szej wiadomości. Nawet ksiê³yc wygl¹da³ inaczej ni³ zwykle.

Kiedy Joe wrzuci³ bieg i ruszy³ sprzed fontanny, m³oda kobieta przystawi³a d³oñ do szyby tu³ przy twarzy Rose Tucker. Rose zrobi³a to samo. M³oda kobieta p³aka³a, jej mi³a twarz po³yskiwa³a w blasku ksiê³ycy ³zami. Sz³a obok samochodu, póniej, gdy nabiera³ szybkości, zaczê³a biec, ca³y czas trzymaj¹c d³oñ na szybie; dopiero, gdy minêli bramê, zosta³a w tyle.

Joe poczu³ siê tak, jakby wczynie, w którym momencie tej nocy, stan¹³ przed lustrem szaleñstwa, zamkn¹³ oczy, przenikn¹³ na drug¹ stronê i znalaz³ siê w królestwie snu. Nie chcia³ jednak wracaæ przez srebrn¹ powierzchnię zwierciad³a do starego, szarego wiata. Akceptowa³ ten inny wiat, byæ mo³e dlatego, ðe oferowa³ mu on co, czego pragn¹³ ponad wszystko i co móg³ znaleæ tylko po tej

stronie lustra nadziejê.

Rose Tucker, niemal leż¹c na fotelu obok, stwierdzi³a:

To chyba przekracza moje si³y, Joe. Jestem taka zmęczona i tak bardzo siê bojê. Tylko kto wyj¹tkowy móg³by udwign¹æ ten ciêżar.

Mnie wydajesz siê wyj¹tkowa zauważy³.

Zepsujê wszystko odpar³a wystukuj¹c numer na s³uchawce telefonu

227

komórkowego. Bojê siê, że nie starczy mi si³, by otworzyæ wrota i przeprowadziæ nas na drug¹ stronê.

Pokaż mi te wrota, zdrad, dok¹d prowadz¹, a ja ci pomogê zapewni³. Pragn¹³, by przesta³a mówić metaforami i poda³a mu suche fakty. Dlaczego Nina gra tak istotn¹ rolê w tej ca³ej sprawie? Gdzie ona jest, Rose?

Rose mówi³a do s³uchawki:

To ja. Zabierz Ninê. Zabierz j¹ natychmiast.

Nina.

Rose s³ucha³a przez chwilê, a potem powtórzy³a z moc¹:

Nie. Teraz, zabierz j¹ teraz, w ci¹gu najbliższych piêciu minut, nawet prêdziej, jeli ci siê uda. Skojarzyli mnie z Mahali¹ tak, i to pomimo wszelkich rodków ostrożności. Teraz to tylko kwestia czasu, i to niezbyt d³ugiego, kiedy dotr¹ i do ciebie.

Nina.

Joe zjecha³ z Pacific Coast Highway na lokaln¹ drogê do Augora Hills, pod¹żaj¹c przez nie zas³ane s³ożę ciemnej okolicy, sk¹d porywisty wiatr Santa Ana gna³ fale bladego kurzu.

Zabierz j¹ do Big Bear nakaza³a Rose swojemu rozmówcy.

Big Bear. Od chwili, gdy Joe rozmawia³ w Colorado z Mercy Ealing czyżby to by³o nieca³e dziewięć godzin wczemiej? Nina pojawi³a siê z powrotem na wiecie, cudownie przywrócona do życia, lecz ukryta w jakim niedostêpnym zak¹tku. Wkrótce jednak mia³a przybyæ do miasta Big Bear leż¹cego nad brzegiem jeziora o tej samej nazwie, do znanego mu dobrze kurortu w pobliskich górach San Bernardino. Teraz, gdy us³ysza³ nazwê miejscowoci, w której przebywa³a, jej powrót wyda³ mu siê bardziej realny. Wype³ni³o go tak s³odkie uczucie oczekiwania, że chcia³ krzyczeæ. Milcza³ jednak, powtarzaj¹c w mylach nazwê miasta, jakby obraca³ na wszystkie strony b³yszcz¹c¹ monetê: Big Bear.

Rose mówi³a do telefonu: Jeli bêdê mog³a dotrê tam za kilka godzin. Kocham ciê. Jed. Natychmiast.

Przerwa³a po³1czenie, po³oży³a telefon na siedzeniu, zamknê³a oczy i opar³a siê o drzwi.

Joe uwiadomi³ sobie, że rzadko pos³ugiwa³a siê lew¹ rêk¹, która spoczywa³a na jej udzie. Nawet w przyæmionym wietle tablicy rozdzielczej dostrzega³, że zaciniêta d³oñ lekko drży.

Co z twoj¹ rêk¹?

Daj już spokój Joe. To mi³o, że siê o mnie troszczysz, ale zaczynasz mnie męczyæ. Jak tylko dotrzemy do Niny, bêdê OK.

Milcza³ przez jaki kilometr. Potem poprosi³:

Opowiedz mi wszystko. Zas³uży³em na to, by wiedzieæ.

Tak, zas³uży³e. To niezbyt d³uga historia Od czego mam zacz¹æ?

Wielkie, kolczaste kule szar³atu obrabowane z zieleni przez bezlitosne s³ońce zachodniego wybrzeża, oderwane od swych korzeni przez

niszczyielsk¹ suchoæ kalifornijskiego lata, wydarte z ziemnych siedlisk przez wyjacy wiatr Santa Ana, wyskakiwa³y z g³ębokich kanionów i przelatywa³y przez w¹sk¹ szosê, srebrnoszare w wietle reflektorów. By³ to dziwnie melancholijny widok rodziny ostowatych szkieletów niczym wyg³odzeni i znêkani uciekinierzy szukaj¹cy schronienia przed okrutnym losem.

Zaczynij od tamtych ludzi. Co to za sekta? spyta³ Joe.

Wymówi³a jej nazwê: Infiniface.

To skrót od Interface with the Infinite, interfejs, po³¹czenie z nieskończonoci¹. Ale nie s¹ sekt¹, nie w tym znaczeniu, jakie przypisujesz temu s³owu.

To kim s¹?

Zamiast odpowiedzieæ, poruszy³a siê na fotelu, staraj¹c siê przyj¹æ wygodniejsz¹ pozycjê. Spojrza³a na zegarek i spyta³a:

Możesz jechaæ szybciej?

Nie po tej drodze. A w ogóle, lepiej zapnij pas.

Boli mnie lewy bok. Zmieniwszy pozycjê spyta³a: Czy mówi ci co nazwisko Loren Pollack? Geniusz komputerowy. Biedny facet, taki drugi Bill Gates.

Tak go czasem nazywa prasa, zgadza siê. Ale nie s¹dzê, by s³owo biedny pasowa³o do cz³owieka, który zacz¹³ od niczego, a zanim skończy³ czterdziesty drugi rok życia, mia³ już siedem miliardów dolarów.

Może i tak.

Zamknê³a oczy i prawym bokiem opar³a siê o drzwi. Czo³o zrosi³ jej pot, ale g³os wci¹ż mia³a silny.

Dwa lata temu Loren Pollack przeznaczy³ miliard dolarów na za³ożenie fundacji, któr¹ nazwa³ Infiniface. Wierzy, że wiele dziedzin nauki dzięki badaniom prowadzonym przy użyciu nowej generacji superszybkich komputerów, zbliża siê do odkryæ, które pozwol¹ nam obcowaaæ z rzeczywistości¹ Stwórcy.

Jednak wygl¹da mi to na sektê.

Och, mnóstwo ludzi uważa Pollacka za wariata. Ale ten cz³owiek odznacza siê wyj¹tkow¹ umiejêtnoci¹ ³¹czenia w jedn¹ ca³oæ badań różnorodnych nauk i ma wizjê. Musisz wiedzieæ, że istnieje ca³y od³am współczesnej fizyki, który dostrzega dowody na to, że wszechwiat zosta³ stworzony.

A teoria chaosu? spyta³ Joe marszcz¹c brwi. Zawsze s¹dzi³em, że to co prze³omowego.

Teoria chaosu wcale nie g³osi, że wszechwiat jest przypadkowy i bez³adny. To nadzwyczaj rozbudowana koncepcja, która, miêdzy innymi, rejestruje zaskakuj¹co z³ożone relacje w pozornie

chaotycznych systemach, jak na przykład pogoda. Wejrzyj głęboko w jakikolwiek chaos, a dostrzeżesz w nim ukryte regularności.

Prawdę mówiąc, nie mam o tym zielonego pojęcia przyznać. Moja wiedza opiera się tylko na filmach.

Większość filmów to maszynki do produkowania gupoty, podobnie jak polityka. Więc gdyby Pollack był tutaj, to by ci powiedział, że zaledwie osiem lat temu nauka szydziła z religijnej koncepcji stworzenia wszechwiata ex nihilo, z niczego. Wszyscy wiedzieli, że nie da się stworzyć czegoś z niczego, byłoby to pogwałceniem praw fizyki. Dziś rozumiemy znacznie więcej ze struktury molekularnej, a fizycy zajmujący się cząsteczkami tworzą materię ex nihilo bezustannie. Wciąż chrapliwie powietrze przez zacinięte zęby, pochyliła się do przodu, otworzyła schowek i zaczęła grzebać w jego zawartości. Miała nadzieję, że znajdzie aspirynę czy coś takiego. Pochłonęłabym wszystko.

Możemy się gdzie zatrzymać

Nie. Jed dalej. Po prostu jed. Do Big Bear jest jeszcze kawałek drogi. Zamknij schowek, ale wciąż byłaby pochyłona, jakby ta pozycja przynosiła jej ulgę. W każdym razie fizyka i biologia to dwie dziedziny, które najbardziej fascynują Pollacka, zwłaszcza biologia molekularna.

Dlaczego akurat biologia molekularna?

Gdyż im lepiej poznajemy żywe istoty na poziomie molekularnym, tym janiej rozumiemy, że wszystko zostało inteligentnie zaprojektowane. Ty, ja, ssaki, ryby, owady, rośliny, wszystko.

Zaraz, zaraz. Czy w ten sposób nie zaprzeczasz ewolucji?

Nie całkiem. Bez względu na to, dokąd zawiedzie nas biologia molekularna, znajdzie się miejsce i na darwinowską teorię ewolucji, choć może inaczej rozumianą i zmodyfikowaną.

Nie należysz chyba do fundamentalistów, którzy wierzą, że dokładnie pięć tysięcy lat temu zostaliśmy stworzeni z gliny i umieszczeni w Raju.

230

Z pewnością nie. Ale teoria Darwina została przedstawiona w 1859 roku, jeszcze nim dysponowaliśmy jakkolwiek wiedzą na temat struktury atomu. Darwin powiedział, że najmniejszą cząstką istoty żywej jest komórka, którą uważa za skupisko zorganizowanego białka.

Białka? Nie rozumiem.

Uważa, że powstanie tej podstawowej formy materii ożywionej zawdzięczamy najprawdopodobniej przypadkowemu procesowi chemicznemu, a pochodzenie gatunków może być wyjanione przez ewolucję. Dziś wiemy, że komórki są niezwykle złożonymi strukturami o tak precyzyjnych mechanizmach, że nie sposób uwierzyć w ich naturalny przypadek.

Wiemy? Chyba już dawno nie byłem w szkole.

Nawet w kwestii pochodzenia gatunków. No cóż, dwa aksjomaty teorii Darwina – ciągłość natury i zasada przystosowania się – w ciągu ostatnich stu pięćdziesięciu lat nigdy nie zostały potwierdzone przez choćby jedno empiryczne odkrycie.

Teraz już naprawdę cię nie rozumiem.

Pozwól, że ujmę to inaczej. Wciąż siedziała pochyłona, wpatrując się ciemne wzgórza i coraz janiej powiat nad rozległymi przedmiotami. Wiesz, kto to jest Francis Crick?

Nie.

To biolog molekularny. W 1962 razem z Mauricem Wilkinsem i Jamesem Watsonem dostał Nobla z medycyny za odkrycie struktury przestrzennej DNA – podwójnej spirali. Od tego czasu każdy postęp w genetyce, a także odkrycia niezliczonych rewolucyjnych metod leczenia, których będziemy

wiadkami w ci'gu najbliższych dwudziestu lat, to wszystko ma swoje ród³o w dokonaniach Cricka i jego współpracowników. Crick to naukowiec z krwi i koci, żaden spirytualista czy mistyk. Ale wiesz, co zasugerowa³ kilka lat temu? Te życie na ziemi mog³o zostać zaprojektowane przez pozaziemsk¹ inteligencjê.

Nawet m¹drale czytaj¹ popularnonaukowe pisma, co?

Chodzi o to, że Crick nie mógł pogodzić tego, co wiemy obecnie na temat złożoności struktury molekularnej organizmów żywych, z teori¹ doboru naturalnego, ale nie chciał sugerować istnienia Stwórcy w jakimkolwiek sensie duchowym.

A zatem odwo³ajmy się do niemiertelnych kosmitów o Boskich atrybutach.

Ale to niczego nie wyjania, rozumiesz? Nawet jeśli każda forma życia na tej planecie została zaprojektowana przez pozaziemskie istoty kto z kolei zaprojektowa³ te istoty?

Odwieczny problem kury i jajka.

Rozemia³a się cicho, ale jej miech przeszed³ szybko w kaszel, który z trudem st³umi³a. Przesunê³a się do ty³u, znów opieraj¹c się o drzwi, lecz gdy zasugerowa³, że potrzebna jej pomoc medyczna, spojrz³a na niego gniewnie.

231

Kiedy zapanowa³a nad oddechem, znów zaczę³a mówić:

Loren Pollack wierzy, że celem ludzkiego wysi³ku intelektualnego, celem nauki, jest poszerzenie naszego pojmowania wszechwiata, nie tylko po to, by zapewnić nam lepsz¹ kontrolê nad rodowiskiem czy zaspokoić ciekawość, lecz rozwi¹zać zagadkê istnienia, któr¹ postawi³ przed nami Bóg.

A rozwi¹zuj¹c j¹, sami staniemy się jak bogowie.

Umiechnê³a się, choć grymas bólu nie znikn¹³ z jej twarzy.

Mówisz teraz jak Pollack. On uważa, że dożyjemy chwili, kiedy jakiś prze³om w nauce dowiedzie istnienia Stwórcy. Co, co będzie jak interfejs z nieskończoności¹. Sprawí to, że zniknie roz³am między duchem a nauk¹, wyzwoli nas z w¹tpliwoci i strachu, uleczy z uprzedzeń i nienawici, zjednoczy nasz gatunek w poszukiwaniu zarówno duchowej, jak i umys³owej doskona³oci.

Jak w Star Trek.

Nie rozmieszaj mnie, Joe. To zbyt bolesne.

Joe pomyśla³ o Gemie Fittichu, sprzedawcy używanych samochodów. Obaj, zarówno Pollack, jak i Fittich wyczuli zbliżaj¹cy się koniec wiata takiego wiata, jaki znali tyle że Fittich widzia³ nadci¹gaj¹c¹ falê jako co mrocznego, zimnego i niszczycielskiego, podczas gdy Pollack jako najczystsze wiat³o.

A zatem Pollack ci¹gnê³a za³oży³ Infiniface, by u³atwić owo poszukiwanie, by leżać badania na ca³ym wiecie, zwracaj¹c szczególn¹ uwagê na projekty o pewnym no cóż, o metafizycznym aspekcie, którego sami naukowcy mog¹ nie dostrzegają. By mieć pewność, że ważne odkrycia s¹ udostêpniane innym badaczom. By zachêcać do realizacji programów, które mog³yby prowadzić do prze³omu, jaki od dawna przepowiada³.

A więc Infiniface nie jest religi¹.

Nie. Pollack uważa, że religie lic¹ się o tyle, o ile uznaj¹ istnienie stworzonego wszechwiata i Stwórcy, ale później grzêzn¹ w zawi³ych interpretacjach tego, czego oczekuje od nas Bóg. A Bóg w przekonaniu Pollacka, oczekuje od nas, bymy pracowali wspólnie nad poznaniem, zrozumieniem i odkrywaniem kolejnych warstw wszechwiata, bymy Go szukali aż staniemy się do Niego podobni.

Minêli już ciemne wzgórze. Znów pojawi³y się przedmięcia i wjazd na trasê, która mia³a ich

zawieæ na wschód.

Skrêcaj¹c i kieruj¹c siê ku Glendale i Pasadenie, Joe powiedzia³:

Ja nie wierzê w nic.

Wiem.

Aden mi³osierny Bóg nie pozwoli³by na takie cierpienie.

Pollack powiedzia³by, że b³d twojego rozumowania bierze siê z zawêżonego widzenia ludzkiej istoty.

Może Pollack ma g³owê pe³n¹ bzdur.

Joe nie umia³ powiedzieæ, czy Rose znów zaczê³a siê miaæ, czy te¿ z³apa³ j¹ kolejny atak kaszlu, w ka¿dym razie potrzebowa³a znacznie wiêcej czasu ni¿ poprzednio, by odzyskaæ panowanie nad sob¹.

232

Musisz iæ do lekarza nalega³.

By³a uparta.

Jakakolwiek zw³oka i Nina umrze.

Nie ka¿ mi wybieraæ miêdzy

Nie ma ¿adnego wyboru. W ka¿dym razie nie z mojego punktu widzenia. Jeli to mam byæ ja albo Nina to ona jest wa¿niejsza. Bo ona jest przysz³oci¹. Jest nadziej¹.

Pomarańczowy ksiê¿yc straci³ swój rumieniec, po czym w³o¿y³ surow¹, bia³1 maskê rozbawionego mima.

Ruch w ten niedzielny wieczór by³ spory, gdy¿ mieszkańcy Los Angeles powracali z Vegas i innych rejonów pustyni, za mieszkańcy tamtych okolic zmiierzali w przeciwnym kierunku, od strony miasta i jego pla¿: bezustannie przemieszczaj¹ce siê rzesze ludzkie w ci¹g³ym poszukiwaniu szczêcia, które trwa³o zazwyczaj bardzo krótko, weekend albo jedno popo³udnie.

Joe, zmieniaj¹c co chwila pas ruchu, jecha³ tak szybko i ostro, jak tylko pozwala³y na to warunki. Stara³ siê jednak pamiêtaæ, że nie wolno mu ryzykowaæ spotkania z drogówk¹. Samochód nie by³ zarejestrowany ani na jego nazwisko, ani na nazwisko Rose. Nawet gdyby zdo³ali udowodniæ, że to po¿yczony wóz, straciliby mnóstwo cennego czasu.

Co to jest Projekt 99? spyta³. Co oni do diab³a robi¹ w tym podziemnym kompleksie niedaleko Manassas?

S³ysza³e o Projekcie Ludzkiego Genomu?

Tak. Przypominam sobie ok³adkê Newsweeka. O ile dobrze zrozumia³em, naukowcy staraj¹ siê ustaliaæ, co kontroluje ka¿dy z ludzkich genów.

Najwiêksze przedsiêwziêcie naukowe naszych czasów uzupe³ni³a Rose. Opracowanie mapy ludzkich genów i wyszczególnienie sekwencji ³añcuchów DNA dla ka¿dego z nich. Czyni¹ ogromne postêpy.

Odkrywaj¹ nowe metody leczenia dystrofii miêniowej, stwardnienia rozsianego

Raka i w ogóle wszystkiego, to tylko kwestia czasu.

Uczestniczysz w tym?

Nie. W ka¿dym razie nie bezporednio. My, zatrudnieni przy Projekcie 99, mielimy bardziej

niezwyk³e zadanie. Szukalimy genów, które zdaj¹ siê byæ zwi¹zane z wyj¹tkowymi zdolnoœciami.

Mozart, Rembrandt albo Michael Jordan?

Nie. Nie chodzi o talent twórczy ani sportowy. Chodzi o zdolnoœci paranormalne. Telepatia. Telekineza. Pyrokineza. To d³uga i dziwna lista.

Jego reakcja by³a typowa dla reportera kryminalnego, a nie cz³owieka, który dopiero co by³ wiadkiem jakiego niewyt³umaczalnego zjawiska.

Nikt nie ma takich zdolnoœci. To science fiction.

233

Niektórzy ludzie osi¹gaj¹ bardzo dobre wyniki w przeró¿nych testach ujawniaj¹cych zdolnoœci psychiczne. Przewiduj¹, jaka karta zostanie wyci¹gniêta z talii. Na któr¹ stronê upadnie moneta. Przesy³aj¹ na odleg³oœæ obrazy.

Co, czym siê zajmuj¹ na Duke University.

Znacznie wiêcej. Kiedy znajdujemy ludzi, którzy osi¹gaj¹ szczególnie dobre wyniki w tych testach, pobieramy im próbkê krwi. Studiujemy ich strukturê genetyczn¹. Zajmujemy siê te¿ dzieciami maj¹cymi zdolnoœæ wywo³ywania niezwyk³ych zjawisk.

Na przyk³ad?

Chodzi o fenomen poltergeista, wykluczaj¹c naturalnie oszustwa. Choæ wydaje siê dziwny, tak naprawdê nie ma ¿adnego zwi¹zku z duchami. W niektórych domach, gdzie znajduje siê jedno lub wiêcej dzieci, mo¿na obserwowaæ fruwanie przedmiotów dooko³a pokoju i ektoplazmiczne zjawy. S¹dzimy, ¿e te zjawiska s¹ wywo³ywane w³anie przez dzieci. One po prostu niewiadomie wykorzystuj¹ zdolnoœci, o których same nie maj¹ pojêcia. Jeli udaje siê nam dotrzeæ do takich dzieci, pobieramy od nich próbki krwi. Gromadzimy bibliotekê niezwyk³ych typów genetycznych, poszukujemy wspólnych cech ³¹cz¹cych ludzi, którzy wywo³uj¹ wszelkiego typu zjawiska paranormalne.

I co odkrylicie?

Milcza³a, byæ mo¿e czekaj¹c, a¿ przeminie kolejny atak bólu, choæ jej twarz ujawni³a wiêcej duchowego ni¿ fizycznego cierpienia.

Ca³kiem sporo.

Joe wiedzia³, ¿e gdyby w wozie by³o dostatecznie du¿o wiat³a i gdyby móg³ spojrzeæ na swe odbicie w lusterku, zobaczy³by, jak jego opalenizna znika, a twarz powleka siê ksiê¿ycow¹ biel¹: nagle poj¹³, co kryje siê za Projektem 99.

Zajmowalicie siê nie tylko badaniem tego typu zjawisk.

Nie. Nie tylko.

Stosowalicie wyniki badañ w praktyce.

Tak.

Ilu ludzi pracuje nad Projektem?

Ponad dwustu.

Tworz¹ potwory stwierdzi³ drewnianym g³osem.

Ludzi poprawi³a. Tworz¹ w laboratoriach ludzi.

Przez jaki czas milcza³a. Potem znów siê odezwa³a:

Masz racjê. A po nastêpnej pauzie doda³a: Choæ prawdziwymi potworami s¹ ci sporód nas, którzy je stworzyli.

Ogrodzony i strzeżony teren, znany jako Quartermass Institute, obejmuje tysi¹c osiemset akrów wiejskich okolic Wirginii: pagórkowate ³¹ki, gdzie

234

pas¹ siê sarny, ciche zagajniki brzóz i buków ostoja drobnej zwierzyny Ÿyj¹cej poza zasiêgiem broni myliwskiej, stawy, po których p³ywaj¹ kaczki, i trawiaste pola pe³ne wysiaduj¹cych jaja siewek.

Choæ ochrona wydaje siê symboliczna, Ÿadne zwierzê wiêksze od królika nie umknie czujnikom rejestruj¹cym ruch i zmiany temperatury, mikrofonom i kamerom, które wysy³aj¹ nieskończony strumień danych do komputera przeprowadzaj¹cego bezustann¹ analizê. Nieproszeni gocie zdarzaj¹ siê tu rzadko, myliwi albo nastolatki szukaj¹ce przygód s¹ zatrzymywani, zanim odejd¹ sto metrów od miejsca, w którym wkroczyli na teren.

Mniej wiêcej w geograficznym rodku tego spokojnego obszaru wznosi siê sierociniec, ponury dwupiêtrowy budynek z ceg³y, który przypomina szpital. Przebywa w nim obecnie czterdziecioro omioro dzieci, wszystkie poniżej szóstego roku Ÿycia, choæ niektóre wydaj¹ siê starsze. Wszystkie urodzi³y siê bez udziału matek i ojców, narodzi³y siê w sensie jedynie chemicznym. Ōadne z nich nie zosta³o poczête z mi³oci, Ÿadne teŸ nie wysz³o na wiat z kobiecego ³ona. Jako p³ody przebywa³y w sztucznych ³onach, zanurzone w owodniowym p³ynie przygotowywanym w laboratorium.

Jak szczury i ma³py czy teŸ psy, którym otwiera siê czaszki i podczas eksperymentów zwi¹zanych z centralnym systemem nerwowym eksponuje siê mózg, jak wszelkie zwierzêta s³u¹ce nauce, sieroty te nie maj¹ imion. Opiekunowie pocz¹wszy od cz³onków ochrony, pe³ni¹cych teŸ rolê kucharzy, aŸ do naukowców, którzy sprowadzili je na wiat musz¹ pozostaæ emocjonalnie obojêtni, by móc w³aciwie wykonaæ sw¹ pracê. Dzieci s¹ oznaczone literami i zakodowanymi numerami, które wskazuj¹ okrelony indeks w bibliotece genetycznej Projektu 99, sk¹d wyselekcjonowano ich nadzwyczajne zdolności.

Tutaj, na drugim piêtrze, w po³udniowozachodnim naroŸniku domu, w pojedynczym pokoju przebywa ATX-12-23. Ma cztery lata, jest osobnikiem katatonicznym i nie panuje nad odruchami fizjologicznymi. Czeka w ko³ysce, ubrudzona w³asnymi ekskrementami, aŸ przewinie j¹ pielêgniarka. Nigdy siê nie skarŸy. ATX-12-23 nie wypowiedzia³a nigdy ani jednego s³owa, nie wyda³a teŸ nawet najs³abszego dwiêku. Jako niemowlê nigdy nie zap³aka³a. Siedzi nieruchomo wpatrzona w przestrzeñ, czasem siê lini. Jej miênie uleg³y czêciowemu zanikowi, choæ trzy razy w tygodniu jest poddawana æwiczeniom ruchowym. Gdyby jej twarz oŸywi³a siê choæ na chwilê, by³aby piêkna, ale niezmienna têpota rysów nadaje jej przeraŸaj¹cy wygl¹d. Kamery obserwuj¹ kaŸdy fragment pokoju i rejestruj¹ obraz przez dwadziecia cztery godziny na dobê, co moŸe wydaæ siê marnowaniem tamy z wyj¹tkiem tych zdarzaj¹cych siê od czasu do czasu chwil, kiedy martwe przedmioty otaczaj¹ce ATX-12-23 ulegaj¹ oŸywieniu. Gumowe kulki w róŸnych kolorach unosz¹ siê albo wiruj¹ w powietrzu, przelatuj¹ od ciany do ciany lub przez dziesiêæ czy dwadziecia minut kr¹Ÿ¹ nad g³ow¹ dziecka. wiat³o przygasa i rozb³yskuje, godziny na zegarze elektronicznym pêdz¹ w oszala³ym tempie, a pluszowy mi, którego dziewczynka nigdy nie dotknê³a, maszeruje czasem

235

po pokoju na swoich klocowatych nogach, jakby by³ wyposaŸony w jaki mechanizm umoŸliwiaj¹cy poruszanie siê.

A teraz zejdm¹y niŸej, na pierwsze piêtro, do trzeciego pokoju na wschód od windy, gdzie mieszka

pięćoletni osobnik p³ci m³skiej, KSB-22-09, który nie odznacza się żadnym ani umysłowym, ani fizycznym defektem. Wręcz przeciwnie, to pełen życia rudowłosa chłopiec o współczynniku inteligencji równym geniuszowi. Uwielbia się uczyć, codziennie uczestniczy w intensywnych zajęciach i już teraz osiąga poziom dzielnicy. Ma mnóstwo zabawek, księzek i filmów na wideo, poza tym uczestniczy w kontrolowanych zabawach z innymi sierotami, gdy twórcy projektu przywołują dużą wagę do tego, by wszyscy osobnicy, których władze umysłowe i sprawność fizyczna są w normie, wychowywali się w możliwie zwyczajnym rodowisku i atmosferze, biorąc oczywiście pod uwagę wszelkie ograniczenia Instytutu. Czasem, gdy bardzo się postara (a czasem bez żadnego wysiłku), KSB-22-09 może sprawić, by małe przedmioty ołówki, ołówek, spinacze, choć jak dotąd nic większego od szklanki znikają. Po prostu znikają. Wysyła je gdzie, w miejsce, które nazywa Sama Ciemność. Nie potrafi sprowadzić ich z powrotem ani wyjaśnić, co może oznaczać Sama Ciemność, choć nie lubi tego miejsca. Często trzeba go usypiać, gdyż miewa wyraziste koszmary, w których wysyła bezwiednie siebie, kawałek po kawałku, do Samej Ciemności najpierw kciuk, potem duży palec u nogi, następnie lewą stopę, z b i jeszcze jeden z b, oko z oczodołem, który robi się nagle pusty, w końcu ucho. Ostatnio KSB-22-29 doznaje zaników pamięci i napadów szaleństwa, które, jak się s¹dzi, są spowodowane długotrwałym zażywaniem rodka nasennego.

Z czterdziestu omiów sierot przebywających w Instytucie tylko siedmioro zdradza jakiegokolwiek zdolności paranormalne. Jednakże pozostałych czterdziestu jeden twórcy programu nie uważają za porażki. Każdy z siedmiu wybrańców po raz pierwszy ujawnił swój talent w różnym wieku między jedenastym miesiącem a pierwszym rokiem życia. Nie można zatem wykluczyć, że wielu spośród czterdziestu jeden pozostałych osobników rozwinię się dopiero w nadchodzących latach, być może nie wcześniej niż przed dramatycznymi zmianami w chemicznym składzie ciała, jaka zachodzi w okresie dojrzewania. Naturalnie ci, którzy dorosnąć nie przejawiają żadnego wartościowego talentu, muszą zostać usunięci z programu, gdyż zasoby finansowe Projektu 99, choć ogromne, nie są niewyczerpane. Jego twórcy nie określili jeszcze, w którym momencie to nastąpi.

Choć Joe wyczuwa pod palcami twarde plastik mokrej od potu kierownicy, choć słysza znajomy odgłos silnika, a koła trzymają się dobrze nawierzchni, czuje się tak, jakby przeszedł w inny wymiar, tak perfidnie amorficzny i wrogi rozświekowi jak surrealistyczne krajobrazy Salvadora Dalí.

236

Gdy zaczęło w nim narastać przerażenie, przerwał Rose.

To miejsce, które opisujesz, jest piekłem. Ty nie mogła uczestniczyć w czym takim. Nie jesteś do tego zdolna.

Czyby?

Nie.

Jej głos, w miarę mówienia, cichł coraz bardziej, jakby si³ tej kobiety stanowiły sekrety, które skrywała. Wraz z ich ujawnianiem opuszcza ją żywotność, tak jak Samsona z każdym uciętym puklem włosów opuszczały si³. W jej narastającym zmęczeniu wyczuwa się się s³odk¹ ulgę, jak przy konfesjonale, ale także s³abość, którą zdawała się akceptować, i cię rozpacz.

Jeli nie jestem do tego zdolna teraz to wówczas byłam.

Ale jak? I dlaczego? Jak mogła angażować się w te te okropności?

Duma. Chciałam udowodnić, że jestem tak dobra, jak s¹dzili, dostatecznie dobra, by przyjąć to

bezprecedensowe wyzwanie. Podniecenie. Dreszcz emocji wywołany wiadomością, że uczestniczę w programie, którego budżet przewyższa finanse Projektu Manhattan. Dlaczego ludzie, którzy zbudowali bombę atomową, pracowali nad nią, wiedząc, co robią? Ponieważ, jeśli my tego nie zrobimy, zrobi to ktoś inny w innej części świata, nie mamy wyjścia, musimy być pierwsi, by ocalić się przed nimi.

Ocalić się, sprzedajmy własne dusze? spyta.

Nie mam na swoją obronę nic, co mogłoby mnie usprawiedliwić powiedziałam Rose. Ale jest prawdą, że kiedy zgodziłam się w tym uczestniczyć, nikt nie wiedział, że eksperymenty znajdą się tak daleko, że zastosujemy wyniki naszych badań z takim zapasem. Wchodziliśmy w to stopniowo, etapami a potem wszystko potoczyło się siłą rozpędu. Zamierzaliśmy obserwować rozwój pierwszego osobnika w czasie drugiego trymestru życia płodowego ale nie uznawaliśmy go za prawdziwą istotę ludzką. Nie mieliśmy więc wątpliwości, że eksperymentujemy na osobie. A kiedy doprowadziliśmy jedno z dzieci do całkowitego rozwoju płodowego zauważyliśmy intrygujące anomalie w wykresie encefalogramu, co mogło dowodzić istnienia uprzednio nie znanych funkcji umysłowych. Musielimy więc utrzymywać je przy życiu, żeby zobaczyć, co osiągnęliśmy, zobaczyć, czy udało nam się przyspieszyć ewolucję o jeden gigantyczny krok.

Jezu.

Choć spotkałam te kobiety po raz pierwszy dopiero przed trzydziestoma sześcioma godzinami, budziła w nich uczucia niejednoznaczne i intensywne od niekłamanej uwielbienia, poprzez strach, aż do odrazy, która jednak zrodziła także żal, gdy dojrzałam w niej teraz żal ludzkiej słabości, tak widocznej w nich samym.

Chciałam się wycofać już na dość wczesnym etapie powiedziałam ale zaproszono mnie na prywatną rozmowę z szefem programu, który dał mi do zrozumienia, że nie ma mowy o rezygnacji. Okazało się, że to dożyłotnia posada. Już sama próba odejścia z Projektu 99 oznaczała samobójstwo i narażenie życia bliskich.

237

Nie mogłam pójść z tym do prasy, ujawniać wszystkiego, doprowadzić do zamknięcia tego całego interesu?

Bez konkretnego dowodu nie mogłam, a wszystko, co miałam, kryło się w mojej głowie. Jednak dwaj moi koledzy mieli pomysły, jak to wszystko zakończyć. Jeden z nich doznał akurat wylewu. Drugi został trzykrotnie postrzelony w głowę przez przypadkowego przestępcę, którego nigdy nie schwytano. Byłam jakiś czas tak przygnębiona, że zastanawiałam się, czy nie popełniłam samobójstwa i nie zaoszczędziłam im kłopotu. Ale wówczas pojawiła się CCY-21-21

Najpierw, rok przed CCY-21-21, przychodzi na świat męski osobnik SSW-89-58. Wykazuje zdumiewające zdolności w każdej dziedzinie, a jego historia powinna mieć dla ciebie ogromne znaczenie ze względu na twoje ostatnie przeżycia i kontakty z ludźmi, którzy się zadgali albo dokonali samospalenia i z powodu tragedii w Colorado.

Przed ukończeniem czterdziestu dwóch miesięcy SSW-89-58 wykazuje już zdolności językowe przeciętnego studenta pierwszego roku college'u i potrafi przeczytać trzystustronicową księgę w ciągu minimum jednej a maksimum trzech godzin, zależnie od stopnia trudności tekstu. Wyższa matematyka przychodzi mu z taką samą łatwością jak zjedzenie porcji lodów, podobnie jak nauka obcych języków,

poczłwszy od francuskiego, a skończywszy na japońskim. Jego fizyczny rozwój też przebiega w przyspieszonym tempie i przed ukończeniem czterech lat SSW-89-58 osiąga wzrost i proporcje siedmiolatka. Oczekuje się po nim zdolności paranormalnych, ale badacze są zaskoczeni skalą bardziej powszednich talentów w tym na przykład umiejętności odtworzenia każdego utworu na pianinie już po jednokrotnym wysłuchaniu i szybkości rozwoju fizycznego, który nie został zaprogramowany genetycznie.

Kiedy 89-58 zaczyna zdradzać zdolności paranormalne, okazuje się, że jest nimi obdarzony w sposób, który przekracza najmielsze oczekiwania. Jego pierwszym niezwykłym osiągnięciem jest umiejętność widzenia na odległość. Dla zabawy opisuje badaczom pokoje w ich własnych domach, których nigdy nie odwiedził. Oprowadza ich po muzeach, w których nigdy nie był. Kiedy pokazuje mu się fotografię pewnej góry w stanie Wyoming, wewnątrz której znajduje się supertajne centrum dowództwa lotnictwa strategicznego, opisuje z najdrobniejszymi szczegółami tablice ze schematem rozmieszczenia pocisków, znajdujące się w pomieszczeniu operacyjnym. Uważa się go za materiały na szpiega o nieocenionej wręcz wartości dopóki, na szczęście stopniowo, nie odkrywa, że z takim samym atwocią, z jak wchodzi do odległych pokoi, może przeniknąć do wnętrza ludzkiego umysłu. Przejmuje wadze nad swoim głównym opiekunem, także mu się rozebrać do naga, po czym, piejącego jak kogut, wysyła na korytarze sierocińca. Kiedy to, co

238

zrobi, wychodzi na jaw, zostaje surowo ukarany. Kara wzbudza jego sprzeciw, głęboki bunt i nienawiść. Tej nocy prowadzi obserwację domu opiekuna, po czym z odległości sześćdziesięciu kilometrów wchodzi w jego umysł. Posługując się ciałem tego człowieka morduje jego żonę i córkę, a potem jego samego zmusza do samobójstwa.

Po tym incydencie SSW-89-58 zostaje ujarzmiony potężną dawką rodka usypiającego wystrzelonego ze specjalnego karabinu. Podczas tej akcji giną dwaj pracownicy Instytutu.

Następnie przez osiem dni jest utrzymywany w stanie snu, podczas gdy zespół naukowców pośpiesznie projektuje i nadzoruje budowę odpowiedniego pomieszczenia dla swego pupila pomieszczenia, które umożliwi mu życie, a jednocześnie zagwarantuje odpowiednią nad nim kontrolę. Członkowie personelu domaga się natychmiastowej likwidacji SSW-89-58, jednak po zastanowieniu propozycja ta zostaje odrzucona. Każde przedsięwzięcie ma swoich krytyków.

Wejźmy teraz do pomieszczenia ochrony znajdujące się w południowo-wschodnim narożniku na parterze. W tym miejscu jako pracownik Instytutu musisz poddać się kontroli trzech strażników, którzy przebywają tu zawsze, bez względu na porę. Komputer zidentyfikuje cię po odciskach palców i porówna twój wzór siatkówki z tym, który zakodowano, gdy po raz pierwszy zgłosiłeś się do pracy.

Zjeżdżasz w dół windą, mijając po drodze pięć podziemnych kondygnacji, gdzie toczy się większość prac nad Projektem 99. Jednakże ciebie interesuje poziom szósty, a także niższe. Ruszasz długim korytarzem do samego końca i przechodzisz przez szare, stalowe drzwi. Znajdujesz się w zwykłym pokoju z prostymi meblami, gdzie przebywa trzech mężczyzn z ochrony, z których żaden nie zwraca na ciebie uwagi. Ludzie ci zmieniają się co sześć godzin, gdy musisz reagować prawidłowo na wszystko, co się tu dzieje, a także na wszelkie niuanse w zachowaniu kolegów.

Na jednej ze ścian dostrzeżesz ogromne okno, które służy to pomieszczenie z sąsiednim. Za szybą możesz często zobaczyć doktorów Louisa Bloma lub Keitha Ramlocka albo obu naraz przy pracy, gdy to oni są twórcami SSW-89-58 i nadzorują badanie i wykorzystanie jego talentów. Gdy nie ma akurat żadnego z nich, w pogotowiu oczekuje co najmniej trzech ich najbliższych współpracowników.

SSW-89-58 nigdy nie jest pozostawiany bez opieki.

Zjeżdżali w³anie z miêdzystanowej drogi numer 210 na miêdzystanow¹ 10, gdy Rose przerwa³a sw¹ opowieæ.

S³uchaj, Joe, mo¿esz rozejrzeæ siê za stacj¹ benzynow¹? Muszê skorzystaæ z toalety.

239

Co nie w porz¹dku?

Nie. Po prostu muszê iæ do toalety. Nie lubiê marnowaæ czasu. Chcê jak najszybciej dotrzeæ do Big Bear. Ale nie chcê te¿ zmoczyæ sobie majtek. Bez popiechu. Wytrzymam jakie dziesiæ kilometrów.

W porz¹dku.

I znów zaczê³a oprowadzaæ go po siedzibie Instytutu pod Manassas, jakby widzia³a na odleg³oæ.

Proszê dalej, do ostatniego pomieszczenia, gdzie stoi skomplikowany pojemnik, w którym ¿yje obecnie 89-58 i w którym, jeli nie zajd¹ ¿adne nieprzewidziane i fatalne w skutkach wydarzenia, spêdzi resztê swego nienaturalnego ¿ycia. Jest to co w rodzaju sarkofagu, przypominaj¹cego nieco stalowe p³uca, w jakich trzymano niegdy ofiary polio. Jak orzech w skorupie, 89-58 jest ca³kowicie zamkniêty tkwi miêdzy dwiema miêkkimi niczym materac, dopasowanymi do kszta³tu cia³a po³ówkami kapsu³y, która wyklucza wszelki ruch, nawet jednym palcem, pozwalaj¹c jedynie na zmiany w wyrazie twarzy i drobne drgnienie których i tak nikt nie widzi. Powietrze jest mu dostarczane przez rurkê w nosie bezporednio ze stoj¹cej na zewn¹trz butli tlenowej. Jest te¿ naszpikowany licznymi przewodami od kroplówek, tkwi¹cymi w obu ramionach i lewym udzie, przez które otrzymuje jedzenie, odpowiednio zbilansowane p³yny i ró¿norodne leki, które jego opiekunowie uznaj¹ za konieczne. Jest bezustannie cewnikowany, by zapewniæ efektywne wydalanie nieczystoci. Gdyby która z kroplówek czy innych przewodów zapewniaj¹cych ci¹g³oæ ¿ycia obluzowa³a siê lub przesta³a funkcjonowaæ, natychmiastowy alarm powiadomi opiekunów, którzy przyst¹pi¹ bezzw³ocznie do naprawiania szkód.

Gdy jest to konieczne, naukowcy i ich asystenci prowadz¹ z 89-58 rozmowy przez mikrofon. Kapsu³a, w której le¿y, jest wyposa¿ona w sprzêt audio 89-58 ma s³uchawki na uszach i mikrofon przy ustach. Personel mo¿e zredukowaæ jego g³os do szeptu, ale on nie ma mo¿liwoci uciszenia tych, którzy z nim rozmawiaj¹. Przemylny system wideo pozwala przekazywaæ obraz ³¹czami z w³ókna szklanego bezporednio na dwie soczewki zainstalowane w oczodo³ach uwiêzionego; mo¿na mu dziêki temu pokazywaæ fotografie a jeli to konieczne, tak¿e wspó³rzêdne geograficzne budynków i miejsc, do których ma zagl¹daæ na odleg³oæ. Czasem pokazuje mu siê fotografie ludzi, wobec których powinien podj¹æ takie czy inne dzia³ania.

Podczas obserwacji na odleg³oæ 89-58 opisuje szczegó³owo, co widzi w miejscach, do których go pos³ano, i pos³uszenie odpowiada na pytania opiekunów. Dziêki rejestracji rytmu serca, cinienia krwi, oddechu, fal mózgowych, drgania powiek i zmian w przewodnictwie skóry, mo¿na wykryæ k³amstwo

Od czasu do czasu ów szpieg bywa poddawany testom: wysy³a się go do odleg³ych miejsc, na temat których zebrano wcześniej wyczerpuj¹ce, wiarygodne dane; jego odpowiedzi s¹ bezzw³ocznie porównywane z posiadanym materia³em.

Da³ się już poznać jako z³y ch³opiec. Opiekunowie mu nie ufaj¹.

Kiedy 89-58 otrzymuje polecenie wejścia w umys³ określonej osoby, by j¹ zlikwidowa^æ lub sprawi^æ, by zamordowa³a kogo innego najczęściej obcokrajowca zadanie zostaje określone jako czarna misja. Nie tylko dlatego, że dochodzi do rozlewu krwi. Rzecz w tym, że 89-58, zamiast wkracza^æ do odleg³ych pomieszczeń, zag³ębia się w mroczne zakamarki ludzkiego umys³u. Wykonuj¹c czarn¹ misję, 89-58 opisuje wszystkie jej szczegó³y Blomowi albo Ramlockowi, z których przynajmniej jeden jest zawsze obecny. Po wielu takich wyprawach obaj naukowcy i ich wspó³pracownicy potrafi¹ bezb³ędnie określa^æ oszustwo, jeszcze zanim wykrywacze k³amstwa cokolwiek wyka¹l.

Urządzenia rejestruj¹ce aktywno^æ mózgu odzwierciedlaj¹ dok³adnie ka¹d¹ czynno^æ, w jak¹ 89-58 jest akurat zaangażowany. Kiedy zajmuje się jedynie patrzeniem na odleg³o^æ, wykresy różni¹ się znacznie od tych w czasie czarnej misji. Jeli ma za zadanie tylko obserwowa^æ jakie odleg³e miejsce, a zachowa się niepos³uszenie i wejdzie w umys³ osoby tam przebywaj¹cej, co robi cz^æsto z przekory albo dla sportu, jego opiekunowie natychmiast o tym wiedz¹.

Jeli SSW-89-58 odmawia wykonania instrukcji, przekracza granice zadania albo wykazuje jakiegokolwiek oznaki buntu, mo¹że zostac^æ ukarany w różny sposób. Przewody elektryczne powoduj¹ chwilowe porażenie czu³ych miejsc na ca³ym ciele. Do uszu mo¹że dotrze^æ przeraliwy pisk o wysokiej g³onoci. Wraz z powietrzem do wnętrza pojemnika mog¹ przenika^æ odra¹aj¹ce wonie. Różliczne rodki wywo³uj¹ bolesne, straszne reakcje i objawy gwa³towny skurcz mi^æni czy zapalenie nerwów które jednak nie zagra¹aj¹ życiu tego cennego osobnika. Indukcja paniki klaustrofobicznej poprzez odci^æcie dop³rywu powietrza jest równie¹ prostym i efektywnym elementem wdra¹ania dyscypliny.

Jeli 89-58 jest pos³uszny, mo¹że dostac^æ jedn¹ z pi^æciu nagród. Cho^æ otrzymuje przez kroplówk^æ podstawowe sk³adniki odżywcze węglowodany, proteiny, witaminy, minera³y czasem do ust doprowadza mu się specjalny przewód, by móg³ rozkoszowa^æ się smakowitymi p³ynami: col¹, sokiem jab³kowym, mlekiem czekoladowym. Po drugie, jako cudowne dziecko fortepianu czerpie wielk¹ rado^æ ze s³uchania muzyki, mo¹żna go więc uraczy^æ jakim nagraniem, od Beatlesów do Beethovena. Po trzecie, soczewki na ga³kach ocznych umo¹żliwiaj¹ tak¹że ogl¹danie filmów a dzięki swej pozycji 89-58 ma wrażenie, że znajduje się w samym centrum obrazu. Po czwarte, mo¹że otrzyma^æ rodki pobudzaj¹ce, które jak ka¹demu ch³opcu na wiecie, sprawiaj¹ mu przyjemno^æ. Wreszcie, a w³anie to lubi najbardziej, wolno mu czasem patrze^æ na miejsca, które chcia³by kiedy odwiedzi^æ. Podczas

241 16 Jedyna ocalona

tych wspania³ych wypraw, id¹c jedynie za w³asnym g³osem, doznaje poczucia ca³kowitej wolności ograniczonej tylko wyobrani¹.

Rutynow¹ obserwacj^æ kapsu³y i jej mieszka¹ca prowadzi zawsze co najmniej trzech cz³onków personelu, gdy¹ 89-58 mo¹że w określonym czasie kontrolowa^æ umys³ tylko jednej osoby. Gdyby który z tej trójki nagle oszala³ albo zacz¹3 zdradza^æ niepokoj¹ce symptomy, dwóch pozosta³ych

uruchomi³oby przyciniêciem guzika kroplówkê, aplikuj¹c 89-58 odpowiedni¹ dawkê rodka nasennego i pogr¹¿aj¹c go w natychmiastowym g³êbokim nie, który czyni go bezbronnym. Gdyby z jakich powodów okaza³o siê to niemo¿liwe, co jest jednak ma³o prawdopodobne, wciniêcie guzika ostatecznoci powoduje aplikacjê rodka usypiaj¹cego ze mierteln¹ dawk¹ trucizny, która zabija b³yskawicznie, w ci¹gu od trzech do piêciu sekund.

Trzej strażnicy po drugiej stronie szyby maj¹ do swej dyspozycji podobne guziki.

SSW-89-58 nie potrafi czytaæ w myslach. Nie jest telepat¹. Umie tylko st³umiaæ osobowoæ cz³owieka, w którego przenika, i zaw³adn¹æ bezwolnym cia³em. Wr³d badaczy Projektu 99 nie ma zgody co do tego, czy ten brak zdolnoci telepatycznych jest wad¹ czy b³ogos³awieñstwem.

Co wiêcej, kiedy zostaje wys³any w czarnej misji, musi znaæ miejsce pobytu swej ofiary, nim wejdzie w jej umys³. Nie mo¿e szukaæ obiektu po ca³ym wiecie, lecz musi byæ kierowany przez swych opiekunów, którzy ju¿ wczesniej zlokalizowali ofiarê. Dopiero kiedy zobaczy zdjêcie budynku czy pojazdu, w którym znajduje siê ów cz³owiek i gdy jego miejsce pobytu jest ju¿ w jego umyle geograficznie okrelone mo¿e dzia³aæ.

Jak dot¹d, jest równie¿ ograniczony do cian danego pomieszczenia i nie mo¿e cigaaæ skutecznie umys³u ofiary poza ustalonym wczesniej obszarem. Nikt nie wie, czym to t³umaczyaæ, choæ wysuwane s¹ przeró¿ne teorie. Jest prawdopodobne, ¿e niewidzialna jañ psychiczna, bêd¹c jedynie fal¹ energii pewnego rodzaju, w otwartej przestrzeni wypromieniowuje na zewn¹trz, rozchodzi siê, rozprasza jak ciep³o rozgrzanego kamienia w zimnym pokoju przez co nie mo¿e zachowaæ swego natê¿enia, mocy. 89-58 potrafi prowadziæ obserwacjê na odleg³oaæ w otwartej przestrzeni, ale tylko przez kr³tki okres. To ograniczenie martwi jego opiekunów, ale wierz¹ i maj¹ nadziejê, ¿e z czasem jego zdolnoci w tym wzglêdzie jeszcze siê rozwin¹.

Pojemnik jest otwierany dwa razy na tydzieñ, co pozwala opiekunom dokonaæ na swym pupilu zabiegów higienicznych. Trudno znieaæ ten widok. 89-58 usypia siê i pod³¹cza do guzika ostatecznoci, a nastêpnie obmywa siê go dok³adnie g¹bk¹, opatruje podra¿nienia skóry, usuwa z jelit resztki odchodów, czyci zêby, bada oczy, sprawdzaj¹c czy nie uleg³y infekcji, przemywa siê je rodkiem zawieraj¹cym antybiotyk i dokonuje siê wszelkich innych niezbêdnych zabiegów. Choæ miênie 89-58 s¹ codziennie stymulowane niskowoltowymi bodcami elektrycznymi, by przeciwdzia³aæ skutkom braku ruchu, przypomina on jedno z wyg³odzonych dzieci Trzeciego wiata, przeladowanego susz¹ i niepokojami politycznymi. Jest blady jak nieboszczyk

242

na stole sekcyjnym, wysuszony, o drobnym koæcu. Nigdy nie mia³ szans na prawid³owy rozwój; czasem podwiadomie zaciska drobne palce wokó³ d³oni krz¹taj¹cych siê przy nim pracowników i trzyma je mocno jak niemowlak, który chwyt¹ za matczyne kciuk.

Zdarza siê w takich chwilach, ¿e mruczy co niezrozumiale, lecz têskanie, popiskuje, nawet ³ka, jakby pogr¹¿ony w cichym, smutnym nie.

Kiedy dotarli do stacji Shella, przy dystrybutorach sta³y tylko trzy pojazdy. Kierowcy nalewaj¹cy benzynê mru¿yli oczy i przekrzywiali g³owy, zas³aniaj¹c siê przed piaskiem gnanym przez wiatr.

Stacja tonê³a w blasku wiate³ niczym plan filmowy. Co prawda nie byli poszukiwani przez s³u¿by, które mog³yby dostarczaæ ich zdjêcia lokalnej telewizji, ale woleli siê nie pokazywaæ. Joe

zaparkowa³ przy cianie budynku, gdzie kuli³y siê resztki cienia.

By³ niezwykle wzburzony, ugodzony w samo serce, gdy ζ zna³ ju ζ przyczynê katastrofy samolotu, to ζ samoæ mordercy i wszystkie zawi³e szczegó³y sprawy. Ta wiedza by³a jednak jak skalpel, który rozcina ledwie zablinion¹ os³onkê g³êbokiej rany. Tal zrodzi³ siê na nowo, a strata bola³a jak na samym pocz¹tku.

Zgasi³ silnik i siedzia³ bez ruchu.

Nie mia³am pojêcia, sk¹d siê dowiedzieli, ζ e lecê tym samolotem powiedzia³a Rose. Przy takich rodkach ostro ζ noci Ale od razu siê zorientowa³am, ζ e zacz¹³ penetrowaæ kabinê pasa ζ ersk¹ i szukaæ nas, gdy ζ przygas³y wiat³a, a z moim zegarkiem zaczê³o dziaæ siê co dziwnego. Mia³am te ζ niejasne poczucie czyjej obecności nauczy³am siê ju ζ rozpoznawaæ te oznaki.

Spotka³em kobietê, inspektora z Narodowej Rady Bezpieczeństwa Transportu, która przes³ucha³a tamê z kabiny pilotów, zanim ta uleg³a zniszczeniu w po ζ arze laboratorium. Ten ch³opiec siedzia³ w g³owie kapitana, Rose. Nie pojmujê dlaczego nie wy³uska³ tylko ciebie?

Musia³ zlikwidowaæ mnie i dziewczynkê, takie otrzyma³ zadanie, i choæ ze mn¹ nie mia³by ζ adnych problemów, z ni¹ posz³oby mu trudniej.

Ninê? zdumia³ siê Joe. Dlaczego mieliby siê ni¹ interesowaæ? By³a tylko zwyk³ym pasa ζ erem, prawda? S¹dzi³em, ζ e chcieli dopaæ j¹ póniej, bo no, bo by³a z tob¹.

Rose nie patrzy³a mu w oczy.

Mo ζ esz przynieæ klucz do damskiej toalety, Joe? Daj mi minutê. Opowiem ci wszystko w drodze do Big Bear.

Wszed³ do budynku stacji i wzi¹³ od pracownika klucz. Gdy wróci³, Rose ju ζ wysiad³a z forda. Opiera³a siê o przedni zderzak, odwrócona plecami do wiatru, kul¹c ramiona. Lew¹ rêkê przyciska³a do piersi, d³oñ jej dr ζ a³a. Pra

243

w¹ ciska³a klapy marynarki, jakby ciep³y jesienny wiatr przyprawia³ j¹ o dreszcz.

Mo ζ esz otworzyæ drzwi? spyta³a.

Poszed³ w stronê damskiej toalety. Ledwie zd¹ ζ y³ j¹ otworzyæ i zapaliaæ wiat³o, sta³a ju ζ przy nim.

Pospieszê siê obieca³a i przeliznê³a siê obok niego.

Spojrza³ przelotnie na jej twarz. Nie wygl¹da³a dobrze.

Zamiast wróciæ do wozu, Joe opar³ siê o cianê budynku i czeka³ na ni¹.

Wiedzia³, ζ e pacjenci w domach dla ob³¹kanych i szpitalach psychiatrycznych reaguj¹ na wiatr Santa Ana gorzej ni ζ na ksiê ζ yc w pe³ni, który widz¹ za zakratowanym oknem. Nie chodzi tylko o ζ a³obny wist, który przypomina krzyk niesamowitego myliwego w pocigu za równie fantastyczn¹ besti¹; o szaleństwo mo ζ e te ζ przyprawiaæ alkaliczny, podskórny zapach pustyni i wy³adowañ elektrycznych, tak ró ζ ny od woni, którymi nasycaj¹ powietrze inne, bardziej wilgotne wiatry.

Joe pojmowa³, dlaczego Rose otula siê i kuli. Tej nocy ksiê ζ yc i wiatr Santa Ana napawa³y cz³owieka dreszczem przera ζ enia, a ów dreszcz jeszcze wzmaga³o to, co us³ysza³ o bezimiennym, pozbawionym rodziców ch³opcu, który mieszka³ w stalowej trumnie i kr¹ ζ y³ niewidzialny po wiecie pe³nym ofiar niewiadomych jego obecności.

Czy nagrywamy?

Ch³opiec wiedzia³ o magnetofonie zainstalowanym w kabinie pilotów i pozostawi³ na tamie swój krzyk rozpaczy.

Jeden z nich to doktor Louis Blom. Jeden z nich to doktor Keith Ramlock. Robi¹ mi z³e rzeczy. S¹ dla mnie niedobrzy. Niech przestan¹. Niech mnie nie krzywdz¹.

Kimkolwiek by³ socjopat¹, psychopat¹, zbrodniarzem by³ też dzieckiem. Besti¹, istot¹ odra¹żaj¹c¹, wcieleniem grozy, ale i dzieckiem. Nie prosi³ o to, by się narodzi^æ, i jeli stanowi³ z³o, to dlatego, że nie wpojono mu żadnych ludzkich wartości, że traktowano go niemal jak przedmiot s³u¹cy do zabijania, że nagradzano go za dokonywanie zbrodni. Tak, by³ besti¹, ale besti¹ za³osn¹, zagubion¹ i samotn¹, która wędruje przez labirynt bólu i nieszczęcia.

Besti¹ za³osn¹, lecz straszn¹. I wci¹ż niebezpieczn¹. Besti¹, która tylko czeka, by jej powiedziano, gdzie może znale^æ Rose Tucker. I Ninê.

Ekstra.

Ch³opiec czerpa³ rado^æ z zabijania. Joe podejrzewa³, że jego opiekunowie nie kazali mu zabia^æ wszystkich pasażerów na pok³adzie samolotu. Móg³ to zrobia^æ w odruchu buntu albo dla przyjemności.

Niech przestan¹, bo jak się trafi okazja jak się trafi okazja, to wszystkich pozabijam. Wszystkich. Tak. Zrobiê to. Zabijê wszystkich i bêdê mia³ ubaw.

Przypominaj¹c sobie te s³owa, Joe wyczuwa³, że ch³opiec nie mia³ na myli jedynie pasażerów samolotu. Już wczynie³ postanowi³ ich zabia^æ. Mó

244

wi³ o jakiej apokalipsie, znacznie wiêkszej ni^ż zbiorowy mord trzystu trzydziestu ludzi. Có^ż móg³by uczynia^æ, gdyby dostarczono mu fotografie i współrzêdne nie tylko stacji wczesnego ostrzegania, ale i wyrzutni pocisków nuklearnych?

Jezu wyszepta³ Joe.

Gdzie tam, w mroku nocy, czeka³a Nina. Pod opiek¹ przyjació³ Rose, ale jeszcze nie ca³kowicie bezpieczna. Bezbronna.

Wydawa³o mu się, że Rose siedzi w toalecie już bardzo d³ugo.

Stukaj¹c w drzwi, Joe zawo³a³ j¹ g³ono, ale nie odpowiedzia³a. Zawaha³ się, zapuka³ ponownie, a kiedy us³ysza³ jej s³aby g³os, pchn¹³ drzwi.

Siedzia³a na brzegu muszli klozetowej. Zdjê³a blezer, a bia³a bluzka, przesi¹kniêta krwi¹, le³a³a w umywalce.

W samochodzie nie zdawa³ sobie sprawy, że Rose krwawi. Ciemno^æ i ubranie skry³y to przed jego oczami.

Wchodz¹c do toalety zauwa³czy³, że z kilku kawa³ków papierowego ręcznika sporz¹dzi³a co w rodzaju opatrunku. Przyciska³a go do lewego ramienia.

To ten strza³ na pla³cy powiedzia³ bezbarwnym g³osem. Trafili ciê.

Kula przesz³a na wylot wyjani³a. Mam dziurê na plecach. Ładn¹ i czyst¹. Nawet się tak bardzo nie wykrwawi³am, ból też jest do zniesienia, wiêc dlaczego s³abnê coraz bardziej?

Wewnêtrzny krwotok zasugerowa³, krzywi¹c się na widok jej rany.

Znam anatomiê odpar³a. Dosta³am tam, gdzie nie ma żadnych narz¹dów. Nie mog³o by^æ lepiej. Pocisk nie naruszy³ wiêkszych naczyń krwiononych.

Móg³ trafi^æ w jak¹ ko^æ i rozprysn¹æ się. A od³amek nie wylecia³ na zewn¹trz, tylko gdzie zboczy³.

Tak mi się chcia³o pi^æ. Próbowa³am zaczerpn¹æ wody z kranu. Ale jak tylko się schyli³am, to prawie zemdla³am.

Nie ma innego wyjcia zadecydowa³. Wali³o mu serce. Trzeba wezwaa^æ lekarza.

Zawie mnie do Niny.

Rose, do cholery

Nina mnie uleczy przerwa³a mu, odwracaj¹c pe³en winy wzrok.

Uleczy ciê? spyta³ zdumiony.

Zaufaj mi. Nina może zrobić to, czego nie potrafi żaden lekarz, żaden człowiek na ziemi.

W tym momencie choć jeszcze nie ca³kiem, nie do końca pozna³ przynajmniej jeden z sekretów Rose Tucker, ale nie zdoby³ się na odwagê, by uj¹æ ten czarny diament wiedzy w d³onie i przyjrzeæ mu się z bliska.

Pomó³ mi się ubraæ, a potem ruszajmy. Przekaz³ mnie w rêce Niny. W jej uzdrowicielskie rêce.

By³ prawie chory z niepokoju, ale zrobi³, o co go poprosi³a. Ubieraj¹c j¹ przypomni³ sobie, jak silne wrażenie wywar³a na nim w sobotê, na cmentarzu. Teraz wydawa³a się taka ma³a.

245

Wsparta na nim, chwiej¹c się w powiewach gor¹cego, nieustêpliwego wiatru, który naladowa³ wycie stada wilków, dotar³a do samochodu.

Kiedy usadowi³ j¹ na siedzeniu pasażera, spyta³a, czy nie może przynieæ jej czego do picia.

Poszed³ do automatu i kupi³ puszkê pepsa i soku pomarańczowego. Wola³a sok, więc go dla niej otworzy³.

Wziê³a puszkê do rêki, ale wcześniej da³a mu dwie rzeczy: zdjęcie grobu jego rodziny i z³o³ony banknot jednodolarowy, którego numer seryjny, po odjęciu czwartej cyfry, by³ identyczny z numerem telefonu Marka.

Zanim ruszymy, chcê ci wyt³umaczyæ, jak dojechaæ do chaty w Big Bear, na wypadek, gdybym nie dotrwa³a.

Nie opowiadaj bzdur. Dasz radê.

S³uchaj powiedzia³a z naciskiem. Znow promieniowa³a charyzm¹, która zmusza³a do pos³uszeñstwa.

Rejestrowa³ w pamięci opis drogi.

A jeli chodzi o Infiniface doda³a to im ufam, bo to moi, a tak³e Niny, sprzymierzeñcy, jak powiedzia³ Mark. Ale bojê się, że mog¹ byæ infiltrowani. Dlatego nie pozwol³am im jechaæ z nami. Ale jeli nikt nas nie bêdzie ledzi³, to może ten wóz jest naprawdę czysty, a ich system ochrony szczelny. Jeli dojdzie do najgorszego, a ty nie bêdziesz wiedzia³, gdzie się zwróciæ mog¹ byæ twoj¹ jedyn¹ nadziej¹.

Nie chcê tego wiêcej s³uchaæ. Dowiozê ciê do Niny na czas. W gardle i w piersiach czu³ ucisk.

Zaczê³a jej drzeæ prawa rêka i Joe nie by³ pewien, czy zdo³a utrzymaæ puszkê z sokiem. Ale da³a radê, pi³a ³apczywie.

Nigdy nie chcia³am ciê zraniaæ, Joe odezwa³a się znowu, gdy wjecha³ z powrotem na San Bernardino Freeway, kieruj¹c się na wschód.

Nie zrani³a mnie.

Zrobi³am jednak straszn¹ rzecz.

Zerkn¹³ na ni¹. Nie mia³ odwagi pytaæ, co to by³o. Wola³, by ten czarny diament wiedzy pozosta³ skryty w zakamarkach umys³u.

Nie chcê, by mnie nienawidzi³.

Nie odczuwam wobec ciebie nienawici.

Kierowa³am się dobrymi motywami, choć nie zawsze można by³o je znaleæ. A ju³, na pewno nie wtedy, gdy zgodzi³am się pracowaæ przy Projekcie 99. Ale tym razem moje motywy by³y uczciwe, Joe.

Mijaj¹c olepiaj¹cy blask Los Angeles i jego przedmieæ, a potem kieruj¹c się ku górskiej ciemności, w której mieszka³a Nina, Joe czeka³, a³ Rose mu wyjani, dlaczego powinien j¹ nienawidziæ.

A więc pozwól, że ci opowiem zaczê³a o jedynym prawdziwym sukcesie, jaki odnielimy.

Opuæ teraz namiastkê piek³a na dnie tych szeci³u podziemnych poziomów i zostaw ch³opca w jego pojemniku wjed wind¹ na sam¹ górê, do pomieszczenia ochrony, sk¹d zaczê³a siê twoja wêdrówka w dó³. Id dalej, a_z do po³udniowo-wschodniego naro_znika parteru, gdzie przebywa CCY-21-21.

Zosta³a poczêta bez mi³osnej pasji w rok po 89-58, ale nie by³a tworem Bloma i Ramlocka, tylko Rose Tucker. Jest uroczym, delikatnym dzieckiem o jasnej twarzyczce, z³otych w³osach i ametystowych oczach. Choæ wiêkszoæ _zyj¹cych tu sierot odznacza siê przeciêtn¹ inteligencj¹, CCY-21-21 ma bardzo wysoki IQ, wy_zszy mo_ze nawet od 89-58, i bardzo lubi siê uczyæ. Jest spokojn¹ dziewczynk¹, pe³n¹ wdziêku i wrodzonego czaru. Przez pierwsze trzy lata swego _zycia nie wykazuje _zadnych paranormalnych zdolnoci.

Pewnego majowego i s³onecznego popo³udnia, uczestnicz¹c w nadzorowanej zabawie z innymi dzieæmi, na trawniku sierociñca znajduje wróbla ze z³amanym skrzyde³kiem i wybitym oczkiem. Ptak le_zy pod drzewem, podryguj¹c s³abo, a gdy dziewczynka bierze go w swoje ma³e d³onie, nieruchomieje zalêkniony. Dziewczynka podbiega z p³aczem do najbli_zszego opiekuna i pyta go, czy mo_zna co robiæ. Wróbel jest teraz tak s³aby i sparali_zowany strachem, _ze porusza tylko dzióbkiem, nie wydaj¹c jednak_ze _zadnego dwiêku. Ptaszek jest w agonii, opiekun nie widzi dla niego ratunku, ale dziewczynka nie chce przyj¹æ tego do wiadomoci. Siedzi na ziemi, ciska delikatnie wróbla w lewej d³oni, a praw¹ g³aszcze leciutko, piewaj¹c mu cicho piosenkê o rudziku i po minucie ptak jest uleczony. Kostki w skrzyde³ku znów wydaj¹ siê mocno powi¹zane, a zranione oko przekszta³ca siê w jasn¹, czyst¹ kulkê. Ptak piewa i odfruwa.

CCY-21-21 staje siê centrum radosnego zainteresowania. Rose Tucker, doprowadzona przez koszmar Projektu 99 do myli o samobójstwie, odradza siê jak ptak i cofa siê znad otch³ani, w któr¹ ju_z spogl¹da³a. W ci¹gu nastêpnych piêtnastu miesiêcy prowadzone s¹ badania nad uzdrowicielsk¹ si³ 21-21. Z pocz¹tku jest to nieokie³znany talent, z którego dziewczynka nie potrafi korzystaæ dowolnie, ale z up³ywem ka_zdego miesi¹ca uczy siê, jak wywo³ywaæ w sobie i kontrolowaæ ów dar, a_z w koñcu umie go zastosowaæ, ilekroæ kto j¹ o to poprosi. Pracownicy Projektu 99, trapieni dot¹d przez ró_zne dolegliwoci, czuj¹ siê lepiej, ni_z kiedykolwiek marzyli. Wybranych polityków i wojskowych a tak_ze cz³onków ich rodzin cierpi¹cych na nieuleczalne choroby przywozi siê w tajemnicy do tego dziecka, by ich uzdrowi³o. Niektórzy pracownicy Instytutu uwa_zaj¹, _ze 21-21 to ich najwiêksze osi¹gniêcie, choæ inni twierdz¹, _ze na d³u_zsz¹ metê najbardziej interesuj¹cym i najcenniejszym tworem jest pomimo rozlicznych problemów, jakie nastrêcza 89-58.

A teraz przeskocz w czasie a_z do pewnego deszczowego dnia w sierpniu, piêtnacie miesiêcy po przywróceniu do _zycia rannego wróbla. U jednego z genetyków o nazwisku Amos stwierdzono raka trzustki, jedn¹ z najbardziej miertelnych odmian tej choroby. Dziewczynka, uzdrawiaj¹c

Amosa jedynie lekkim, przeci¹g³ym dotkniêciem, odkrywa w nim poza chorob¹ natury fizycznej jeszcze co, co dzia³a równie parali_zuj¹co. Mo_ze z powodu tego, co widzia³ podczas swej pracy przy

Projekcie, a może z wielu przyczyn, które nagromadziły się w nim przez pięćdziesiąt lat, Amos doszedł do wniosku, że życie nie ma sensu, że po śmierci nie czeka nas żadne przeznaczenie prócz pustki, że jesteśmy jedynie pyłkiem na wietrze. Owa ciemność, która go wypełnia, jest czarniejsza od choroby, ale dziewczynka leczy go także z tej dolegliwości, ukazując mu po prostu blask Boga i dziwne, trójwymiarowe paszczyzny wiatów istniejących poza naszym wiatem.

Ujrzawszy to wszystko, Amos jest tak przepełniony radością i zdumieniem, że na przemian mieje się i płacze, co w oczach obecnych w pokoju pracowników, Janice i Vincenta, jest oznaką niepokojącej hysterii. Kiedy Amos nakłania dziewczynkę, by także Janice wprowadziła w obręb wiatu, które ukazała jemu, 21-21 ponownie wykorzystuje swój niezwykły dar.

Janice jednakże reaguje inaczej niż Amos. Przepełniona pokorą i przestraszona, doznaje straszliwych wyrzutów sumienia. Dręczy ją smutek na myśl o życiu, jakie prowadziła, i żal wobec tych, których zdradziła i skrzywdziła, a jej przygnębienie jest przerażające.

Zamieszanie.

Kierownictwo wzywa Rose. Janice i Amos zostają izolowani w celu obserwacji. Co zrobiła dziewczynka? Relacja Amosa wydaje się radosną paplaniną niezrównoważonego, choć nieszkodliwego osobnika, ale jednak tylko paplaniną płynącą z ust kogoś, kto jeszcze niedawno był naukowcem o poważnym, jeśli nie posępnym, usposobieniu.

Zaskoczona i zaniepokojona uderzającymi odmiennymi reakcjami Amosa i Janice, dziewczynka zamyka się w sobie, trudno nawiązać z nią jakikolwiek kontakt. Rose, w odosobnieniu, przez ponad dwie godziny stara się nakłonić 21-21 do współpracy, i w końcu udaje jej się wydobyć z dziecka zaskakujące wyjawienie. Dziewczynka nie może zrozumieć, dlaczego to, co ujawniła Amosowi i Janice, wywarło na nich takie wrażenie, i dlaczego w reakcji Janice jest tyle euforii i samoudręki. Urodziwszy się ze wiadomości swego miejsca i celu we wszechwiecie, pojmując przeznaczenia, które stanęły jej udziałem w wędrówce przez nieskończoność, wyposażona w wiedzę o wiecznym życiu zawartym w jej genach, nie może pojąć straszliwej siły tego objawienia, gdy przynosi je ludziom, którzy spędzili życie w odmętach wtopliwości i rozpacz.

Rose też prosi o to objawienie, nie spodziewając się niczego więcej niż czegoś w rodzaju pokazu latarni magicznej, wędrówki po dziecięcych fantazjach o Bogu. I jest jej dane to objawienie. I zmienia ją na zawsze. Dotyk dziecięcej dłońi otwiera Rose na pełnię ludzkiej egzystencji. To, co przeżywa, wykracza poza możliwości opisu. Przepływa przez nią fale radości, które zmywają niezliczone smutki i niedole jej dotychczasowego życia, ale jednocześnie ogarnia ją przerażenie, bo nie tylko ma wiadomość obietnicy jasnej wieczności, ale też zdaje sobie sprawę ze wszystkich oczekiwań, jakie

musi spełniać przez pozostałe dni życia na tym wiecie i w innych wiatach, oczekiwań, które napawają ją strachem, gdy nie wie, czy im sprosta. Podobnie jak Janice, widzi wyrwanie każdej podłości, nieczystości, kłamstwa i zdrady, których się dopuściła, i wie, że ma w sobie jeszcze dużo egoizmu, mściwości i okrucieństwa; pragnie za wszelką cenę przewyciężyć swą przeszłość, dręczyć na myśl o harcie ducha, jakiego to będzie wymagało.

Kiedy wizje przemijają, a ona znów znajduje się w pokoju dziewczynki, nie ma nawet najmniejszej wtopliwości, że to, co widziała, było rzeczywiste, że było najczystsza prawda, a nie dziecięca iluzja przekazana dzięki jakimś szczególnym psychicznym zdolnościom. Przez niemal pół godziny nie może wykrztusić z siebie słowa, tylko siedzi roztrzęsiona z twarzą ukrytą w dłoniach.

Stopniowo zaczyna uwiadamiać sobie konsekwencje tego, co się wydarzyło. Po pierwsze: jeśli to

objawienie może być ukazane wiatu lub nawet tylko tym ludziom, których dziewczynka dotknie to wszystko, co jest teraz, odejdzie. Gdy już kto ujrzy nie uwierzy, lecz ujrzy że istnieje życie po śmierci, nawet jeśli natura owego życia pozostaje tajemnic¹ i jest równie przerażaj¹ca co wspania³a, to wszystko, co dotychczas by³o ważne, musi stracić znaczenie. Tam, gdzie przez ciemność wiod³a pojedyncza alejka, teraz widniej¹ rozleg³e trakty cudownych możliwości. Wiat taki, jaki znamy, kończy się. Po drugie: s¹ tacy, którzy nie powitaj¹ kresu starego porz¹dku z radości¹, którzy nauczyli się czerpać korzyści z w³adzy, bólu i poniżenia innych. Wiat jest pełen takich ludzi, a oni nie przyjm¹ daru dziewczynki. Będ¹ się bali jej i wszystkiego, co obiecuje. I albo upi¹ ją i odizoluj¹ w specjalnym pojemniku, albo zabij¹.

Jest obdarzona jak mesjasz ale jest też istot¹ ludzk¹. Potrafi uleczyć zamane skrzyd³o ptaka i przywrócić wzrok jego lepemu oku. Potrafi usun¹ć nowotwór z przeł¹artego chorob¹ organizmu człowieka. Ale nie jest anio³em okrytym szat¹ nietykalności. Jest z cia³a i krwi. Jej cenna si³a kryje się w delikatnej tkance wyj¹tkowego mózgu. Jeśli kto wpakuje jej w g³ow¹e kilka kul, dziewczynka umrze jak każde dziecko; martwa, nie będzie mog³a uleczyć samej siebie. Choć jej dusza przeniesie się w inne królestwa, ona sama będzie stracona dla tego niespokojnego wiata, który tak bardzo jej potrzebuje. I wiat nie zostanie odmieniony, nie nast¹ąpi czas pokoju i nie będzie końca samotności i rozpacz.

Rose szybko dochodzi do wniosku, że szefowie projektu będą optowali za likwidacj¹. Gdy tylko zrozumiej¹, czym jest ta dziewczynka, zabij¹ ją.

Zabij¹ ją, nim zapadnie zmrok.

Zabij¹ ją przed północ¹.

Nie będą ryzykować, umieszczaj¹c ją w specjalnym pojemniku. Ch³opiec ma moc niszczenia, ale 21-21 ma moc owieczności, która jest nieporównywalnie groniejsza.

Zastrzel¹ ją, cia³o oblej¹ benzyn¹, podpal¹, szernia³e koci gdzie rozrzuc¹.

249

Rose musi działać i to szybko. Dziewczynkę trzeba wykraść z sierocińca i ukryć, nim ją zniszcz¹.

Joe?

Zdawa³o się, że czarne góry maluj¹ce się na tle gwiazdznego pola erupcja dopiero co wynios³a ze skorupy ziemskiej. Ich grzbiety znaczący mroczny horyzont.

Joe, przykro mi. Jej g³os by³ s³aby. Przykro mi.

Pędzili na północ po drodze stanowej 30, na wschód od miasta San Bernardino. Od Big Bear dzieli³o ich osiemdziesiąt kilometrów.

Joe, wszystko w porz¹dku?

Nie by³ w stanie odpowiedzieć.

Na drodze, która wznosi³a się ku lasom, panowa³ niewielki ruch. Topole i sosny dr³a³y, dr³a³y, dr³a³y na wietrze.

Nie by³ w stanie odpowiedzieć. Móg³ tylko prowadzić.

Kiedy uparcie wierzy³e, że ta ma³a dziewczynka, która by³a ze mn¹, to twoja Nina, nie

wyprowadza³am ciê z b³êdu.

Z jakiego powodu wci¹¿ go oszukiwa³a. Nie potrafi³ zrozumieæ, dlaczego nadal ukrywa przed nim prawdê.

Kiedy znaleli nas w restauracji, potrzebowa³am twojej pomocy powiedzia³a. Zw³aszczajak mnie postrzelili. Ale nie otworzy³e swego serca i umys³u na fotografiê, któr¹ ci da³am. By³e taki kruchy. Ba³am siê, ¿e jeli siê dowiesz, ¿e to nie by³a twoja Nina wycofasz siê. Za³amiesz. Niech Bóg mi wybaczy, Joe, ale potrzebowa³am ciê. A teraz potrzebuje ciê ta dziewczynka.

Nina go potrzebowa³a. Nie jaka tam dziewczynka wyhodowana w laboratorium i obdarzona moc¹ przekazywania swych dziwacznych fantazji i zatruwania umys³ów naiwnym ludziom. Potrzebowa³a go Nina. Nina.

Jeli nie móg³ ufaæ Rose Tucker, to komu móg³ ufaæ?

Mów dalej by³ zdolny wydobyæ z siebie tylko te dwa s³owa.

Znowu Rose. W pokoju 21-21. Gor¹czkowo rozwa¿a, jak przemyciæ dziewczynkê przez system zabezpieczeñ równie szczelny jak w wiêzieniu.

Odpowied, kiedy ju¿ siê pojawia, jest oczywista i zgrabna.

Z parteru sierociñca prowadzi¹ na zewn¹trz trzy wyjcia. Rose i dziewczynka, rêka w rêkê, podchodz¹ do drzwi, które ³1cz¹ g³ówny budynek z s¹siednim dwukondygnacyjnym parkingiem. Uzbrojony wartownik przygl¹da siê nadchodz¹cej dwójce raczej ze zdziwieniem ni¿ z podejrzliwoci¹.

250

Sierotom nie wolno wchodziæ do gara¿u nawet pod opiek¹ doros³ych. Kiedy 21-21 wyci¹ga ma³ r¹czkê i mówi Ucinij, wartownik umiecha siê, wyci¹ga do niej rêkê i otrzymuje dar. Przepe³niony nagle niezmiernym zdumieniem, siada dr¿¹c bezwiednie i p³acze z radoci, ale i straszliwych wyrzutów sumienia, tak jak niedawno p³aka³a i dr¿a³a Rose. Nic prostszego ni¿ wcisn¹æ guzik na konsolecie wartownika, by otworzyæ elektroniczny zamek przy drzwiach i przejæ na drug¹ stronê.

W gara¿u czeka drugi wartownik. Jest zdumiony, zmieszany widokiem dziecka. Ono wyci¹ga do niego d³oñ, i po chwili jego pocz¹tkowe zaskoczenie zamienia siê w uczucie, którego nie mo¿na z niczym porównaæ.

Trzeci wartownik czuwa przy bramie wyjazdowej gara¿u. Zaalarmowany widokiem 21-21 w samochodzie Rose, nachyla siê do otwartego okna, by za¹¿daæ wyjanieñ i dziewczynka dotyka jego twarzy.

Jeszcze dwóch uzbrojonych wartowników strze¿e bramy prowadzi¹cej na szosê. Znikaj¹ ostatnie przeszkody, Wirginia stoi otworem.

Uciezka nie bêdzie ju¿ przebiega³a tak ³atwo. Je¿eli zostan¹ zatrzymane, odpowiedzi¹ na dar dziewczynki bêdzie ogieñ broni palnej.

Najwa¿niejsze, by jak najszybciej opuściæ teren Instytutu, znikn¹æ, zanim ochrona uwiadomi sobie, co siê sta³o z jej piêcioma ludmi. Zacznie siê pocig, byæ mo¿e wspierany przez lokalne, stanowe i federalne w³adze. Rose prowadzi szaleñczo, brawurowo, ze zrodzon¹ z desperacji wpraw¹, której nigdy przedtem nie zdradza³a.

Ledwie siêgaj¹c szyby wozu, 21-21 przygl¹da siê zafascynowana przep³ywaj¹cemu za oknem krajobrazowi i w koñcu mówi: Ojej, ale to wszystko wielkie. Rose wybucha miechem i dodaje:

Poczekaj, kochanie, aż zobaczysz więcej.

Uwielbia sobie, że musi rozgłosić wszystko tak szybko, jak to tylko możliwe: wykorzystaje media do ujawnienia uzdrowicielskiej mocy 21-21 i zademonstrowania jeszcze większego daru dziewczynki. Tylko siom niewiedzy i ciemności może zależeć na zachowaniu tajemnicy. Rose wierzy, że 21-21 nie będzie bezpieczna, dopóki wiat się o niej nie dowie, nie wemie pod swój opiekę, nie sprzeciwi się jej uwięzieniu.

Eks-szefowie Rose na pewno spodziewają się, że zechce ogłosić wszystko publicznie, i stworzy wokół sprawy rozgłos. Ich wpływ na media jest powszechny, a mimo to niewidoczny niczym pajęczyna cieni rzucana na powierzchnię stawu przez chmury i przez to jeszcze skuteczniejszy. Będ próbowali ją dopaść, gdy tylko się ujawni, by nie dopuścić do pokazania wiatu 21-21.

Zna reporterkę, której może zaufać i która jej nie zdradzi: Lisa Peccatone, dawna przyjaciółka z kolegi, pracuje w redakcji Post w Los Angeles.

Będzie musiała polecieć z dziewczynką do południowej Kalifornii im prędzej, tym lepiej. Projekt 99 to wspólne przedsięwzięcie prywatnych przemysłowców, kręgów związanych z obronnością i innych potężnych sił u szczytu władzy. Łatwiej zatrzyma się lawinę niż tę zmasowaną potęgę, a przeciwnicy

251

Rose zaczęła niebawem korzystać z wszelkich dostępnych środków, by zlokalizować ją i dziecko.

Próba ucieczki z lotniska Dullesa albo National w Waszyngtonie jest zbyt ryzykowna. Rose zastanawia się nad Baltimore, Filadelfią, Nowym Jorkiem i Bostonem. Decyduje się na Nowy Jork.

Dochodzi do wniosku, że im więcej przekroczy granic okręgów i stanów, tym będzie bezpieczniejsza, jedzie więc do Hagerstown w Maryland, a stamtąd bez problemów dociera do Harrisburga w Pensylwanii. Jednak z każdym przejechanym kilometrem nabiera pewności, że jej wrogowie skontaktują się z policją, która nada komunikat o podejrzanym samochodzie, i że zostanie zapanowana bez względu na to, jak bardzo oddali się od Manassas. W Harrisburgu porzuca samochód i przesiada się z dziewczynką do autobusu.

Gdy się już w powietrzu, na pokładzie startującej z Nowego Jorku maszyny Nationwide lot 353, Rose czuje się bezpieczna. Zaraz po wylądowaniu w Los Angeles spotka się z Lisą i zebraną przez nią grupą ludzi, a potem w mediach zacznie się burza.

Przy zakupie biletów Rose wyjania, że była zamierzona z białym, a 21-21 przedstawia jako swoją pasierbicę, Mary Tucker. Postanowiła, że kiedy już spotka się z przedstawicielami mediów, początkowo będzie posługiwała się kryptonimem CCY-21-21, gdyż jego podobieństwo do numerów nadawanych więźniom obozów koncentracyjnych skuteczniej niż cokolwiek innego scharakteryzuje Projekt 99 i od razu wzbudzi sympatię wobec dzieci. Uwielbia sobie, że będzie musiała razem z 21-21 wybrać dla niej imię, które, biorąc pod uwagę historyczne znaczenie tego dziecka, powinno przywoływać na myśl coś ważnego.

Po drugiej stronie wskiego przejścia siedzi matka z dwiema córkami, które wracają do domu z Los Angeles. Michelle, Chrissie i Nina Carpenter.

Nina, która jest mniej więcej tego samego wzrostu i w tym samym wieku co 21-21, bawi się grą elektroniczną dla przedszkolaków. 21-21 jest zafascynowana dźwiękami i obrazkami na małym ekraniku. Widząc to, Nina prosi Mary, by przesiadła się razem z nią na dwa siedzenia, wolne fotele, gdzie będą mogły grać razem. Rose waha się, ale wie, że 21-21 jest rozwinięta ponad swój wiek, poza tym zdaje sobie sprawę, że musi zachować dyskrecję, więc ustępuje. Jest to pierwsza niezaplanowana zabawa w życiu 21-21, pierwsza czysta gra. Nigdy przedtem nie uczestniczyła w czym

takim. Nina to urocze dziecko, s³odkie i towarzyskie. I choæ 21-21 jest geniuszem o umiejêtnoci czytania jak u studenta collegeu, uzdrowicielem dysponuj¹cym cudownymi mocami i dos³ownie nadziej¹ wiata, bardzo szybko ulega czarowi Niny, chce byæ Nin¹, t¹ wspania³¹ Nin¹, i zaczyna podwiadomie naladowaæ gesty i sposób mówienia tamtej dziewczynki.

Jest to bardzo póny lot, wiêc po kilku godzinach Ninê ogarnia sennoæ. Obejmuje na poæegnanie 21-21 i za zgod¹ Michelle oddaje nowej przyjació³ce zabawkê. Potem wraca na swoje miejsce obok siostry i matki, gdzie zasypia.

252

21-21, w uniesieniu radoci, wraca na swój fotel obok Rose. Przyciska ma³¹ elektroniczn¹ grê do piersi niczym bezcenny skarb. Nie bêdzie siê nawet ni¹ bawiaæ, gdy¿ boi siê, ¿e j¹ niechc¹cy zepsuje, a pragnie, by pozosta³a na zawsze taka, jak¹ dosta³a od Niny.

Na zachód od miasta Running Lake, wci¹¿ wiele kilometrów od Big Bear Lake, pod¹¿aj¹c wzd³u¿ linii gór obok kanionów, w których rodzi³ siê wiatr, w deszczu szyszek ciskanych przez sosny na asfalt, Joe nie myla³ o tym, czy fakt podarowania dziecku gry elektronicznej ma jakiegokolwiek znaczenie. S³uchaj¹c opowieci Rose, z trudem panowa³ nad wciek³oci¹. Wiedzia³, ¿e to bez sensu ¿ywiæ tak wielki gniew wobec tej kobiety czy dziecka, jednak szala³a w nim z³oæ, mo¿e dlatego, ¿e umia³ postêpowaæ w gniewie przyzwyczai³ siê do tego przez ca³¹ m³odoæ ale nie mia³ pojêcia, jak sobie radziaæ w smutku.

Nie chc¹c rozmawiaæ o wspólnej zabawie dziewczynek, zmieni³ temat:

Jak¹ rolê w tym wszystkim odgrywa Horton Nellor, prócz tego, ¿e posiada znaczn¹ czêæ Teknologik, a Teknologik siedzi po uszy w Projekcie 99?

Tak¹, ¿e ci dranie go lubi¹ Do takich jak on nale¿y przysz³oæ. Trzyma³a miêdzy kolanami puszkê pepsi, staraj¹c siê otworzyæ j¹ praw¹ rêk¹. Mia³a za ma³o si³y i nie panowa³a nad d³oñmi. Z trudem sobie poradzi³a. Przysz³oæ jeli Nina nie jeli nie zmieni wszystkiego.

Wielki biznes, wielki rz¹d i wielkie media, jedna wielka bestia, która chce nas wykorzystaæ. Czy o to chodzi? Gadanina radyka³ów.

Stuka³a g³ono zêbami o aluminiow¹ puszkê, a kropelka pepsi sp³ywa³a jej po brodzie.

Dla nich liczy siê tylko w³adza. Nie wierz¹ ani w dobro, ani w z³o tylko w go³e fakty. Choæ wziê³a spory ³yk, gard³o wci¹¿ mia³a suche. G³os siê jej ³ama³. A znaczenie faktów zale¿y od tego, czy przynosz¹ jak¹ korzyæ.

Wci¹¿ zalepia³ go gniew, gdy¿ pozwoli³a mu uparcie wierzyæ w istnienie Niny, ale nie móg³ patrzeæ, jak coraz bardziej s³abnie. Wpatrywa³ siê w drogê, na której ulewa sosnowych igie³ miesza³a siê z tumanami kurzu. Wcisn¹³ peda³ gazu, jad¹c tak szybko, jak tylko pozwala³y na to warunki.

Puszka wysunê³a siê jej z d³oni, upad³a na pod³ogê i potoczy³a siê pod fotel. Pepsi rozla³a siê na dywanik.

Coraz gorzej, Joe.

Ju¿ nied³ugo.

Muszê ci powiedzieæ, jak to by³o kiedy samolot run¹³.

Siedem kilometrów w dó³, z kaźd¹ chwil¹ coraz szybciej. Wycie silników, trzeszczenie skrzyde³, grzechot kad³uba. Przeci¹żenie wciska pasaźerów w fotele tak, że wielu z ich nie jest w stanie unieść g³ów niektórzy się modl¹, inni wymiotuj¹, p³acz¹, przeklinaj¹, wzywaj¹ Boga we wszystkich jego imionach, wo³aj¹ swych bliskich, tych obecnych i dalekich. Wiecznoæ spadania, to tylko siedem kilometrów, ale wydaje się, że runęli ku ziemi aź z księżyca

i nagle Rose pogr¹ża się w niebieskoci, milcz¹cej jasnej niebieskoci, jakby by³a ptakiem w locie, tyle że w dole nie rozci¹ga się ciemna ziemia, a wokó³ widaæ jedynie b³êkit. Ąadnego wraźenia ruchu. Ani zimno, ani gor¹co. Nieskazitelna, b³êkitna jak hiacynt kula, a ona w jej wnętrzu. Zawieszona. W oczekiwaniu. G³eboki oddech wype³niaj¹cy p³uca. Próbuje tchn¹æ tym powietrzem, ale nie moźe, nie moźe, aź w końcu

z oddechem g³onym jak krzyk, znajduje się nagle na ³1ce, wci¹ż w swoim fotelu, znieruchomia³a z przeraźenia, z 21-21 przy swoim boku. Las wko³o p³onie. Gdzie spojrzeæ, p³omienie liź¹ góry poskręcanych szcz¹tków. Łka jest niewyobraźalnym cmentarzyskiem. A 747 po prostu nie istnieje.

W przedostatnim momencie olbrzymim wysi³kiem psychicznym, dzięki swemu darowi, dziewczynka przenios³a je obie ze skazanego na zag³adę samolotu do innego miejsca, do wymiaru poza czasem i przestrzeni¹, i utrzyma³a w tej tajemniczej, zbawczej otch³ani przez jedn¹ straszn¹ minutę apokaliptycznego zniszczenia. Wysi³ek sprawia jednak, że 21-21 jest wyziębiona, drź¹ca, oniemia³a. Jej oczy, rozjanione refleksami ognia, patrz¹ gdzie w dal jak oczy autystycznego dziecka. Pocz¹tkowo nie moźe iæ ani nawet staæ, więc Rose musi podnieæ j¹ z fotela i wzi¹æ na rête.

P³acz¹c z żalu za zmar³ymi, których cia³a rozproszy³y się po nocy, drź¹c z przeraźenia na widok masakry, zdumiona swoim ocaleniem, miotana wieloma uczuciami naraz, Rose stoi z dziewczynk¹ w ramionach, ale nie jest w stanie zrobiæ nawet jednego kroku. Wtedy przypomina sobie migotanie wiat³a w kabinie pasaźerskiej i wirowanie wskazówek zegarka. Jest pewna, że pilot sta³ się ofiar¹ czarnej misji, dopadnięty przez ch³opca, który żyje w stalowej kapsule g³ęboko pod ziemi¹ wiejskich okolic Wirginii. Uwiadomiwszy sobie ten fakt, oddała się czym prędzej z miejsca katastrofy, mija p³on¹ce drzewa, zag³ębia się w otulony księżycowym blaskiem las, brnie przez rzadkie poszycie, póniej pod¹ża jelenim szlakiem, który jest teraz przyprószony srebrem i nakrapiany cieniem, aź do następnj¹ ³1ki, do grzbietu wzniesienia, sk¹d widaæ wiat³a Loose Change Ranch.

Nim docieraj¹ do zagrody, dziewczynka wygl¹da już nieco lepiej, choæ wci¹ż nie jest sob¹. Moźe chodziæ, ale przypomina kogo pogr¹żonego w letargu, zamkniętego w sobie, nieobecnego myłami. Kiedy zbliźaj¹ się do domu, Rose kaźe jej zapamiętaæ, że nazywa się teraz Mary Tucker, ale 21-21 mówi: Mam na imię Nina. Chcę byæ Nin¹.

S¹ to jej ostatnie s³owa, potem zamilk³a, byæ moźe na zawsze. Po katastrofie Rose znajduje schronienie u przyjació³ w Kalifornii, gdzie dziewczynka pi od dwunastu do czternastu godzin na dobę. Trwa to kilka miesięcy. Kiedy jest przytomna, nie przejawia zainteresowania cymkolwiek. Godzinami patrzy na krajobraz za oknem, na ilustracjê w ksi¹żce dla dzieci albo po prostu gdzie w przestrzeń. Nie ma apetytu, traci na wadze. Jest blada i wiotka, nawet jej ametystowe oczy zdaj¹ się

traciał kolor. Najwidoczniej wysiłek konieczny, by w momencie katastrofy przenieść siebie i Rose w bezpieczną kulę i ocalić, doszczętnie ją wyczerpał, zostawił pustką, o którą nie zabił. Nina nie wykazuje już paranormalnych zdolności, a Rose dręczy przygnębienie.

Nim jednak nadchodzi Gwiazdka, Nina zaczyna przejawiać zainteresowanie otaczającym ją światem. Ogląda telewizję. Znowu czyta książki. Zima przemija, a dziewczynka jest coraz mniej i je coraz więcej. Jej skóra odzyskuje dawny blask, a kolor oczu nabiera głębi. Wciąż milczy, ale wydaje się coraz bardziej reagować na to, co się wokół niej dzieje. Rose zachęca ją do rezygnacji z tego dobrowolnego wygnania, opowiadając codziennie o dobru, które może czynić, i o nadziei, którą może nieść innym.

W szufladzie biurka stojącego w ich wspólnej sypialni Rose przechowuje kopię wydania Los Angeles Post, którego pierwszą stronę poświęcono katastrofie samolotu linii lotniczych Nationwide. Dzięki temu pamięta o budzącej groźbę bezwzględności jej wrogów. Pewnego lipcowego dnia, jedenacie miesięcy po katastrofie, zastaje Ninę na brzegu łódka z gazetą w dłoniach. Dziewczynka dotyka fotografii Niny Carpenter, która dała jej grę elektroniczną, i umiecha się.

Rose siada obok niej i pyta, czy jest jej smutno, kiedy wspomina utraconą przyjaciółkę.

Dziewczynka potrząsa przecząco głową: nie, po czym naprowadza dłoń kobiety na zdjęcie. Kiedy Rose dotyka go opuszkami palców, zaczyna pogryzać się w niebieskiej jasności, podobnej do tej, w którą została przeniesiona tuż przed katastrofą. Jednakże to nowe miejsce jest pełne ruchu, ciepła, wrażeń.

Od dawna wiadomo, że zwykłe przedmioty zachowują resztkę energii psychicznej ludzi, którzy ich dotykali. Czasem jasnowidze pomagają policji w poszukiwaniu morderców, dotykając przedmiotów, które ofiary miały przy sobie w chwili zbrodni. Energia zawarta w zdjęciu jest podobna, ale inna – nie została pozostawiona przez odchodzącą Ninę, lecz przeniknęła w papier gazetowy.

Rose odnosi wrażenie, że zanurzyła się w morzu niebieskiego światła, morzu pełnym pływaków, których nie może dostrzec, ale których wyczuwa, gdy przelizguje się i nurkuje wokół niej. Po chwili wydaje się, że jeden z nich przeniknął przez Rose, zatrzymując się w niej na krótko, i kobieta już wie, że to mała Nina Carpenter, dziewczynka o krzywym umięchu, ofiarodawczyni gry elektronicznej – martwa i nieobecna, lecz bezpieczna, martwa i nieobecna, lecz nie utracona na zawsze, szczęśliwa i pełna życia gdzie

255

poza tę rojną od pływaków i niebieską jasność, która jest tylko punktem między różnymi etapami egzystencji.

Poruszona do głębi, jak wówczas, gdy w jednym z pokoi sierocińca po raz pierwszy poznała prawdę o życiu po śmierci, Rose cofa dłoń z fotografii Niny Carpenter i siedzi przez chwilę w milczeniu, pełna pokory. Potem bierze swoją wóchnię Ninę w ramiona i kołysze ją, przyciskając mocno do piersi. Nie jest w stanie mówić, ale i nie odczuwa potrzeby słów.

Teraz, kiedy ta wyjątkowa siła znów odrodziła się w dziewczynce, Rose wie, co musi zrobić, od czego musi zacząć pracę. Nie chce ryzykować, udając się ponownie do Lisy Peccatone. Nie wierzy, by jej stara przyjaciółka wiadomością ją zdradziła, ale podejrzewa, że to dzięki jej powłóczeniu z Post i z kolei dzięki powłóczeniu gazety z Hortonem Nellorem ludzie z Projektu 99 dowiedzieli się o obecności poszukiwanych przez siebie osób na pokładzie samolotu. Dopóki Rose i Nina uchodzą za martwe, musi wykorzystać swój status duchów, by działać tak daleko, jak to tylko możliwe, nie zwracając na siebie uwagi swych wrogów. Po pierwsze, Rose prosi dziewczynkę, by przekazała wielki dar niemiętelnej prawdy każdemu z przyjaciół, którzy po katastrofie, gdy obydwie przeżywały

za³amanie, udzielili im schronienia. Potem skontaktuj¹ siê z mêtami, ðonami, rodzicami i dzieæami tych, którzy zginêli na pok³adzie samolotu, przynosz¹c im zarówno wiedzê o niemiertelnoci, jak i wizjê ich bliskich w b³êkitnej przestrzeni. Przy odrobinie szczêcia uda im siê zanieæ to przes³anie tylu ludziom, æe gdy zostan¹ odkryte, dla ich wrogów bêdzie juæ za póno.

Rose zamierza zacz¹æ od Joego Carpentera, ale nie potrafi ustaliæ miejsca jego pobytu. Koledzy z redakcji stracili go z oczu. Sprzeda³ dom w Studio City. W ksi¹æce telefonicznej nie ma jego numeru. Znajomi mówi¹, æe siê za³ama³. Odszed³ gdzie, by umrzeæ.

Rose musi wiêc zacz¹æ pracê gdzie indziej.

Poniewaæ Post opublikowa³ zdjêcia tylko nielicznych ofiar z po³udniowej Kalifornii, a fotografie pozosta³ych by³yby trudne do zdobycia, Rose postanawia nie pos³ugiwaæ siê wizerunkami zmar³ych ludzi. Na podstawie nekrologów ustala natomiast miejsca pochówków i robi zdjêcia grobów. Wydaje siê s³uszne, by nasycony prawd¹ obraz, jaki przekaæe rodzinom ofiar, przedstawia³ nagrobki, by owe posêpne pomniki z br¹zu i granitu stanowi³y wrota, które pozwol¹ ujrzeæ, æe mieraæ wcale nie jest potêæna i przeraæaj¹ca, æe za tym smutnym progim sama mieraæ umiera.

Wysoko w omiatanych wiatrem górach, gdzie fale posrebrzonych ksiê¿ycowym blaskiem drzew rzuca³y na drogê garcie igie³, wci¹æ ponad trzydzieci kilometrów od Big Bear, Rose Tucker poprosi³a tak cicho, æe ledwie by³o j¹ s³ychaæ ponad wyciem silnika i szumem opon:

Potrzymaj mnie za rêkê, Joe, dobrze?

256

Nie móg³, nie chcia³ na ni¹ patrzeæ, nie mia³ odwagi nawet zerkn¹æ w jej stronê, gdyæ æywi³ naiwne i zabobonne przekonanie, æe dopóki nie zobaczy na w³asne oczy tej strasznej prawdy, któr¹ juæ dos³ysza³ w g³osie Rose, nic jej nie bêdzie, absolutnie nic. Mimo to spojrze³. Leæa³a bezw³adnie na fotelu, opieraj¹c siê o drzwi, z g³ow¹ na szybie taka przy nim ma³a, jak przy niej samej musia³a siê wydawaæ dziewczynka, któr¹ uprowadzi³a z sierociñca w Wirginii. Nawet w s³abym wietle deski rozdzielczej ogromne, wyraziste oczy Rose znów przykuwa³y uwagê jak wtedy na cmentarzu, gdy ujrze³ j¹ po raz pierwszy. By³y pe³ne w³oszczucia, dobroci i dziwnej, migocz¹cej radoci, która go niemal przestraszy³a.

Juæ niedaleko zapewni³ j¹. G³os dræa³ mu bardziej niæ jej.

Za daleko wyszept³a. Trzymaj mnie tylko za rêkê.

O cholera.

Wszystko w porz¹dku, Joe.

Pobocze drogi rozszerzy³o siê nagle, przechodz¹c w malowniczy parking. Zatrzyma³ wóz przed bezkresem czerni: twarde nocne niebo, zimny dysk ksiê¿yca, który zdawa³ siê promieniowaæ lodem, a nie wiat³em, i rozleg³a ciemnoæ drzew, ska³ i stromych kanionów.

Odpi¹³ swój pas, nachyli³ siê do niej i uj¹³ jej d³oñ. S³abo odwzajemni³a ucisk.

Ona ciê potrzebuje, Joe.

Jestem nikim, Rose. Jestem niczym.

Musisz j¹ ukryæ ukryæ daleko

Rose

Daj jej czas by jej si³a mog³a urosn¹æ.

Nie potrafiê nikogo uratowaæ.

Nie powinnam zaczynaæ tej pracy tak wczynie. Nadejdzie dzieñ, gdy gdy nie bêdzie taka bezbronna. Ukryj j¹ daleko niech jej si³a ronie. Bêdzie wiedzia³a kiedy nadejdzie czas.

Ucisk jej palców zacz¹³ s³abn¹æ.

Przykry³ jej d³oñ obiema rêkami, przytrzyma³ mocno, nie pozwala³, by mu siê wymknê³a. G³os jej zanika³, zdawa³a siê oddalaæ od niego, choæ siê nie poruszy³a.

Otwórz otwórz dla niej swe serce, Joe.

Zamruga³a powiekami.

Rose, proszê, nie ró³ tego.

Wszystko w porz¹dku.

Proszê. Nie ró³ tego.

Do zobaczenia, Joe. Póniej.

Proszê.

Do zobaczenia.

Potem by³ ju¿ zupe³nie sam tej nocy. Trzyma³ jej d³oñ, podczas gdy wiatr zawodzi³ g³uch¹ pieñ ¿a³obn¹. W koñcu, kiedy mó³g³ siê ju¿ na to zdobyæ, nachyli³ siê i uca³owa³ jej czo³o.

257 17 Jedyna ocalona

Dziêki wskazówkom, jakich udzieli³a mu Rose, droga by³a prosta. Chata nie sta³a ani w samym Big Bear Lake, ani na brzegu jeziora, ale wy¿ej, na pó³nocnych zboczach, usadowiona g³êboko wródsosen i brzóz. Popêkana i podziurawiona droga asfaltowa wiod³a do polnego traktu, na koñcu którego widaæ by³o bia³y, drewniany domek o dachu krytym gontem.

Sta³ pod nim zielony jeep, za którym Joe zaparkowa³ swego forda.

Chata pyszni³a siê g³êbokim, podniesionym gankiem, na którym sta³y obok siebie trzy bujane fotele. O balustradê opiera³ siê przystojny, czarnoskóry mê¿czyzna, wysoki i atletycznie zbudowany. Jego hebanowa skóra wch³ania³a miedziany blask dwóch nagich ¿arówek zainstalowanych pod sufitem daszku.

U szczytu czterech schodków prowadz¹cych z podjazdu na ganek sta³a dziewczynka, blondynka. Mia³a oko³o szeciu lat.

Joe wyci¹gn¹³ spod siedzenia broñ, któr¹ odebra³ siwow³osemu gawêdziarzowi po bójce na pla¿y. Wysiada³ z samochodu, wetkn¹³ j¹ za pasek d¿insów.

Miêdzy iglastymi zêbami sosen pokrzykiwa³ i powistywa³ wiatr.

Joe zbli¿y³ siê do podnó¿a schodków.

Ma³a zesz³a dwa stopnie ni¿ej. Jej spojrzenie ominê³o Joego i zatrzyma³o siê na fordzie. Wiedzia³a, co siê sta³o.

Mê¿czyzna na ganku zacz¹³ p³akaæ.

Dziewczynka odezwa³a siê pierwszy raz od ponad roku, od chwili, gdy niedaleko domu Ealingów wyzna³a Rose, ¿e chce, by nazywano j¹ Nin¹. Wpatruj¹c siê w samochód, wymówi³a cichym i cieniutkim g³osem tylko jedno s³owo:

Mama.

W³osy mia³a w tym samym odcieniu co Nina. By³a równie jak ona proporcjonalnie zbudowana. Ale w jej oczach nie by³o szaroci i chocia¿ Joe ze wszystkich si³ stara³ siê ujrzeæ przed sob¹ twarz

Niny, nie potrafi³ przekonaæ samego siebie, że to jego córka.

Znów wróci³ syndrom poszukiwania, i Joe chcia³ znaleæ to, co zosta³o utracone na zawsze.

Ksiê³yc na niebie by³ z³odziejem, gdy³ wieci³ s³abym odbiciem s³oñca, nie w³asnym blaskiem. I podobnie jak ksiê³yc, ta dziewczynka równie³ by³a z³odziejem. Nie promieniowa³a olniewaj¹cym wiat³em Niny, tylko jego bladym odbiciem.

Bez wzglêdu na to, czy by³a zrodzonym w laboratorium mutantem o dziwnych w³aciwociach umys³owych, czy te³ naprawdê nadziej¹ wiata, Joe w tej chwili nienawidzi³ jej i nienawidzi³ samego siebie za tê nienawiaæ, ale mimo wszystko nie móg³ czuaæ inaczej.

258

17

W oknach wista³ gor¹cy wiatr, a chata pachnia³a sosn¹, kurzem i czarnym osadem spalenizny, która zosta³a na ceglanych cianach wielkiego kominka po weso³ych p³omieniach minionej zimy.

Na zewn¹trz ko³ysa³y siê luno zwisaj¹ce przewody elektryczne. Od czasu do czasu uderza³y o ciany, a wtedy żarówki pulsowa³y i migota³y. Przypomina³o to Joemu przygasaj¹ce lampy w domu Delmannów. Pocz³ na skórze dreszcz.

W³acicielem chaty okaza³ siê ów wysoki, czarnoskóry mê³czyzna, który wybuchn¹³ na ganku p³aczem. By³ to Louis Tucker, brat Mahalii, który przed osiemnastoma laty rozwiód³ siê z Rose, kiedy okaza³o siê, że nie mo³e mieæ dzieci. W swej najczarniejszej godzinie zwróci³a siê o pomoc w³anie do niego. Widaæ po tych wszystkich latach, mimo że kocha³ sw¹ drug¹ żonê i dzieci, Louis wci¹ ż darzy³ Rose uczuciem.

Jeli naprawdê wierzy pan, że nie umar³a, że tylko przenios³a siê gdzie indziej, to po co p³akaæ? spyta³ zimno Joe.

P³aczê nad sob¹ odpar³ Louis. Poniewa³ odesz³a st¹d, a ja muszê czekaæ jeszcze tyle dni, by znów j¹ ujrzeæ.

W pokoju frontowym, tu³ przy progu, Joe dostrzeg³ dwie walizki. Znajdowa³y siê w nich rzeczy dziewczynki.

Sta³a przy oknie, wpatrzona w forda i okryta smutkiem jak szat¹ pokutn¹.

Bojê siê powiedzia³ Louis. Rose mia³a zostaæ tu z Nin¹, ale teraz nie s¹dzê, by by³o tu bezpiecznie. Wolê wierzyæ, że jest inaczej, ale mogli mnie namierzyæ, zanim zd¹ y³em zabraæ Ninê z poprzedniego miejsca. Wydaje mi siê, że kilka razy jecha³ za nami ten sam samochód. Potem siê zgubi³.

Nie musz¹ za panem jedziaæ. Dziêki swoim zabawkom mog¹ pana ledziaæ z odleg³oci wielu kilometrów.

259

Chwilê przed pañskim przyjazdem wyszed³em na ganek, bo mi siê zdawa³o, że s³yszê helikopter. W górach, przy tym wietrze, to chyba niemo³liwe?

Lepiej niech pan siê st¹d zabiera doradzi³ Joe.

Gdy wiatr ch³osta³ ciany domku elektrycznymi przewodami, Louis chodzi³ tam i z powrotem, od kominka do drzwi, przyciskaj¹c d³oñ do czo³a, jakby chcia³ st³umiaæ, zgnieæ w sobie myl o stracie Rose, by zastanowiæ siê spokojnie, co ma robiæ dalej.

S¹dzi³em, ¿e pan i Rose no, ¿e wy dwoje j¹ wemiecie. Jeli zaczynaj¹ siê ju¿ do mnie dobieraæ, to czy nie bêdzie bezpieczniejsza z panem?

Jeli dobieraj¹ siê do pana stwierdzi³ Joe to nikt z nas nie jest tu bezpieczny, tu i teraz, i nigdy wiêcej. Nie ma wyjcia.

Przewody ch³osta³y, ch³osta³y chatê, wiat³o znowu zamigota³o. Louis podszed³ do kominka i wzi¹³ do rêki d³ugi palnik butanowy na bateriê, który s³u¿y³ do rozpalania ognia.

Dziewczynka odwróci³a siê od okna, otworzy³a szeroko oczy i krzyknê³a: Nie.

Louis Tucker pstrykn¹³ w³icznikiem, a wtedy z wylotu palnika doby³ siê niebieski p³omieñ. miej¹c siê, mê¿czyzna podpali³ sobie w³osy, a potem koszulê.

Nina! zawo³a³ Joe.

Dziewczynka pobieg³a do niego. Pokój wype³ni³ siê odorem spalonych w³osów. P³on¹cy Louis zagrozi³ im drogê do drzwi.

Joe wyci¹gn¹³ zza paska spodni pistolet, wycelowa³, ale nie móg³ poci¹gn¹æ za spust. Ten cz³owiek nie by³ teraz Luisem Tuckerem; by³ ch³opcem-rzecz¹, sztucznym tworem, który siêga³ tu z oddalonej o piêæ tysiêcy kilometrów Wirginii. Nie by³o szansy, by Louis odzyska³ w³adzê nad sob¹ i zdo³a³ prze¿yæ tê noc. A jednak Joe waha³ siê, czy strzeliaæ, gdy¿ z chwil¹, kiedy Louis by³by martwy, ch³opiec dopad³by kogo innego.

Dziewczynka, dziêki swej sile, by³a prawdopodobnie nietykalna. A wiêc ch³opiec u¿y³by Joego i broni w jego rêku, by przystawiaæ lufê do jej g³owy i nacisn¹æ cyngiel.

Ale ubaw powiedzia³ ch³opiec g³osem Louisa, podczas gdy w³osy mê¿czyzny skrêca³y siê w p³omieniach, uszy czernia³y i skwiercza³y, a czo³o i policzki pokrywa³y siê pêcherzami. Ubaw powtórzy³, raduj¹c siê t¹ wycieczk¹ do wnêtrza Louisa Tuckera, który nadal zagradza³ wyjcie na ganek.

Mo¿e w chwili najwiêkszego niebezpieczeñstwa Nina mog³aby wys³aæ sam¹ siebie do strefy jasnej niebieskoci, tak jak zrobi³a to, nim 747 wry³ siê w³kê. Mo¿e pociski przeszy³yby tylko powietrze w miejscu, w którym sta³a. Nale¿a³o jednak za³o¿yæ, ¿e jeszcze nie ca³kiem wyzdrowia³a, ¿e nie by³a jeszcze zdolna do takiego wysi³ku albo ¿e nawet gdyby uda³o jej siê tego dokonaæ, tym razem os³abi³oby to j¹ mierzalnie.

Drugim wyjciem! krzykn¹³ Joe. Biegnij, biegnij!

Nina popêdzi³a do drzwi miêdzy pokojem frontowym a kuchni¹, która znajdowa³a siê na ty³ach chaty.

Joe wycofywa³ siê za ni¹, trzymaj¹c p³on¹cego mê¿czyznê na muszce. Mogli liczyæ tylko na to, ¿e póki ch³opiec bêdzie siê bawi³, zd¹¿¹ wydestaæ siê z chaty na otwart¹ przestrzeñ, gdzie jego zdolnoæ widzenia na odleg³oæ i przejmowania kontroli nad czym umys³em by³a, jak wynika³o ze s³ów Rose, powa¿nie ograniczona. Gdyby tylko porzuci³ zabawkê, jak¹ by³ dla niego Louis Tucker, w jednej sekundzie wszed³by w umys³ Joego.

Odrzucaj¹c na bok palnik, objêty p³omieniami pe³zn¹cymi po rêkawach koszuli i nogawkach spodni, ch³opiec-rzecz w ciele Louisa Tuckera wymamrota³: O tak, o rany, i ruszy³ za nimi.

Joe przypomniam³ sobie z ca³¹ wyrazistoci¹ dotyk lodowatej ig³y, która zdawa³a siê przewiercaæ mu kark, kiedy ucieka³ poprzedniej nocy z domu Delmannów. Ta niepowstrzymana energia przera¿a³a go

bardziej niż ucisk p³on¹cych ramion chwiej¹cego się na nogach widma. Czym prędzej wycofa³ się do kuchni, zatrząskuj¹c za sob¹ drzwi, co nie mia³o sensu, gdyż żadne drzwi ani ciana czy stalowe sklepienie nie powstrzyma³yby ch³opca, gdyby porzuci³ cia³o Louisa.

Nina przez tylne wyjście wymkn³a się na dwór. Natychmiast owion³a ją wilcza zgraja wiatru, który pofukuj¹c i popiskuj¹c wpad³ po chwili do chaty. Joe, wybiegaj¹c za dziewczynk¹ w noc¹ ciemno^æ, pos³ysza³ huk wy³amywanych drzwi między pokojem a kuchni¹.

Za chat¹ znajdowa³o się ma³e podwórko poroni³ête k³epami trawy. W powietrzu wirowa³y gnane wiatrem liście, ig³y sosnowe, drobinki kurzu. Wystarczy³o min¹æ drewniany stó³ z czterema krzes³ami, by znale^æ się w lesie.

Nina biegn³a już w stron³ę drzew, jej krótkie nóżki pracowa³y miarowo, tenisówki kłapa³y g³ono o tward¹ ziemi³.

Przestraszony, że w lenej g³uszy zgubi dziewczynk³, ale i przerażony obecności¹ ch³opca w ciele p³on¹cego m³ęczyzny, Joe wbiegn³ między drzewa, wo³aj¹c Nin³ę g³ono po imieniu i zas³aniaj¹c uniesionym ramieniem oczy przed ga³ęziami sosen.

Z nocnej ciemności za jego plecami dobiegn³ głos Louisa Tuckera, przyt³umiony, bo wydobywaj¹cy się ze spalonych ust, ale jednak zrozumia³y monotony rytm dzieci³ęcego wyzwania jak w zabawie w chowanego: Szukam, szukam, szukam, kryj się, szukam, kryj się!

Z prawej strony, zaledwie sze^æ czy osiem metrów dalej, w w¹skim, wype³nionym kaskad¹ ksi³ęycowych promieni przesmyku między drzewami Joe dojrza³ ch³ostan¹ wiatrem grzyw³ę jasnych w³osów, które p³on³y bladym ogniem odbiciem już odbitego wiat³a. Potkn¹³ się o spróchnia³y pień, polizn¹³ na czym mokrym, zdo³a³ jednak utrzyma^æ równowag³, przedar³ się przez k³uj¹cy, si³ęgaj¹cy pasa krzew i w końcu zobaczy³ Nin³, która odkry³a wydeptan¹ ci³ęk³ę szlaku jeleni.

Kiedy dogoni³ dziewczynk³, otaczaj¹ca ich ciemno^æ nagle się rozproszy³a. Po pniach drzew zacz³ę y pe³zn¹æ salamandry pomarańczowego wiat³a, ch³ostaj¹c ogonami po³yskliwe ga³ęzie sosen i wierków.

261

Joe odwróci³ się i jakie dziesięć metrów dalej zobaczy³ op³ętan¹ postac³ Louisa Tuckera m³ęczyzna by³ zanurzony od stóp do g³ów w p³omieniach, ale wci¹ż trzyma³ się na nogach, przedziera³ się przez zarol³, objaj¹c o drzewa, coraz bliż³ej; ledwie żywy, podpala³ suche ig³y sosnowe, po których st¹pa³ chwiejnie, zarol³ i drzewa, obok których przechodzi³. Jeszcze tylko pi³ęć metrów. Czua^æ by³o niesiony wiatrem odór p³on¹cego cia³a. Ch³opiec-rzecz krzyczy³ radonie, ale s³owa by³y zniekszta³cone i niezrozumia³e.

Pistolet, chociaż trzymany w obu d³oniach, drża³, ale Joe wystrzeli³ jeden, dwa, cztery, sze^æ pocisków, z których przynajmniej cz³ę dosięgn³a skwiercz¹cego widma. Run³o do ty³u, upad³o na ziemi³ i znieruchomia³o, nawet nie drgn³o.

Louis Tucker nie by³ istot¹ ludzk¹, lecz p³on¹cym trupem. Cia³o nie kry³o już umys³u, który ch³opiec mógł³ okie³zna^æ, a potem wykorzystac^æ i dr³czy^æ.
Gdzie teraz?

Joe odwróci³ się w stron³ę Niny i nagle poczu³ lodowaty ucisk na karku, uporczywe k³ucie, cho^æ nie tak ostre jak wówczas, gdy z³apano go niemal na progu domu Delmannów by^æ mo³że dlatego, że si³a ch³opca by³a na otwartej przestrzeni rzeczywiście mniejsza. Lecz ig³a tego psychicznego zastrzyku nie by³a jeszcze ca³kiem st³ępiona. Wci¹ż k³u³a. Przenika³a.

Joe krzykn¹³.

Dziewczynka wzię³a go za r³ęk³.

Lodowaty ch³ód wyrwa³ z niego swe k³y i odp³yn¹³ gdzie jak nietoperz.

Zataczaj¹c siê, Joe przy³o³y³ d³oñ do karku, pewien, że ma rozdart¹ skórê i krwawi, ale nie by³ranny. Umys³u te³ nikt mu nie zatra³.

Dotyk Niny ocali³ go przed opêtaniem.

Nagle z wysokich ga³êzi jakiego drzewa, dr¹c siê upiornie, run¹³ na dziewczynkê jastrz¹b. Zaatakowa³ g³owê Niny uderza³ z ³opotem skrzyde³ w czaszkê, stuk-stuk-stuk dziobem. Krzyknê³a i zakry³a twarz d³oñmi, a Joe waln¹³ napastnika rêk¹. Oszala³y ptak odfrun¹³ w górê, ale nie by³ to oczywiście zwyk³y jastrz¹b rozdra³żniony przez wiatr i gêstniej¹cy ogieñ, który narasta³ szybko za ich plecami.

Nadlecia³ znowu z przeraliwym kriiik! kolejna ofiara, w któr¹ wcieli³ siê ch³opiec z dalekiej Wirginii, napastnik o dziobie równie gronym jak sztylet; ci¹³ blask ksiê³yca niczym strza³a zbyt szybki, by stanowiaæ dobry cel dla broni palnej.

Joe wypuci³ z d³oni pistolet i osun¹³ siê na kolana, przyci¹gaj¹c dziewczynkê obronnym gestem do siebie. Tuli³ j¹, chroni¹c twarz. Wiedzia³, że ptak zaatakujê jej oczy. Ēe chce wydziobaæ jej oczy. Puk-puk-puk przez czu³e renice do cennego mózgu w g³êbi czaszki. Zniszczyæ mózg, a wtedy dziewczynki ju³ nie ocali ³adna si³a. Wydrzeæ z szarej masy to, co wyj¹tkowe i pozostawiaæ dziecko na ziemi, drgaj¹ce spazmatycznie.

Jastrz¹b uderzy³ i zatopi³ szpony w ramieniu Joego, przebija¹c materia³ marynarki i przewierca¹c skórê. Jednoczenie zanurzy³ pazury w jasnych w³osach Niny, bij¹c skrzyd³ami i uderzaj¹c dziobem w jej czaszkê, wci¹;

262

uderzaj¹c, z³y, że nie mo³e dosiêgn¹æ zakrytej twarzy. Wali³ teraz w rêkê Joego, by j¹ odepchn¹æ, wczepiony mocno w rêkaw i w³osy dziewczynki, zdecydowany nie daæ siê str¹ciaæ. Dzioba³, dzioba³, tym razem jego twarz, szukaj¹c oczu. Bo³e, p³omieñ bólu w rozdieranym policzku. Z³apaa³ go. Powstrzymaæ. Zgnieæ czym prêdziej. Łup, g³owa ptaka tu³ przy twarzy Joego, zakrwawiony dziób, tym razem dosiêgn¹³ brwi nad prawym okiem, za drugim ciosem na pewno go olepi. Joe zacisn¹³ d³oñ na szyi napastnika, a szpony ptaka rozdziera³y mu teraz mankiet, drapa³y nadgarstek, skrzyd³a uderza³y po twarzy. Jastrz¹b odchyli³ g³owê, straszliwy dziób spad³ na Joego, ale mê³czyzna zdo³a³ odparowaæ ten cios, zakrzywiony, ³ó³ty czubek min¹³ o dwa centymetry krwawi¹c¹ ranê, paciorkowate oczy spogl¹da³y okrutnie, szkar³atne od refleksów ognia. Zdusia³ go, zdusia³ w nim ³ycie, zgnieæ, zmia³d³zyæ wal¹ce dziko serce. Koci ptaka by³y cienkie i puste, dlatego móg³ lataæ z lekkoci¹ i dlatego mo³na je by³o bez trudu z³amaæ. Joe poczu³, że pier jastrzêbia pêka, i odrzuci³ go od dziewczynki, a potem patrzy³, jak ptak trzepoce siê na ziemi unieszkodliwiony, ale wci¹ ³ywy, ³opocz¹c skrzyd³ami, lecz niezdolny wznieæ siê w noc.

Joe odsun¹³ dziewczynce z czo³a spl¹tane w³osy. Nic jej siê nie sta³o. Oczy by³y nietkniête. Przepaja³a go дума, że zdo³a³ j¹ obroniaæ.

Oko zalewa³a mu krew z rozciêtej brwi. Nie widzia³ wyranie. Krew ciek³a te³ z rany na policzku, kapa³a z podziobanej i piek¹cej d³oni, a tak³e z nadgarstka.

Podniós³ pistolet, zabezpieczy³ go i wetkn¹³ za pasek spodni.

Gdzie z otaczaj¹cej ich gêstwiny dobieg³ krzyk zwierzêcego przera³żenia, który urwa³ siê nagle, a po chwili noc okrywaj¹c¹ zbocze góry przeciê³o, zag³uszaj¹c wycie wiatru, przenikliwe wycie. Co siê zbli³a³o.

Mo³e w ci¹gu tego roku, kiedy Rose siê ukrywa³a, ch³opiec uzyska³ wiêksz¹ kontrolê nad swoim talentem i teraz potrafi³ ju³ skuteczniej zabijaæ na otwartej przestrzeni. A mo³e skupiona si³a

psychicznego widma promieniowa³a niczym ciep³o z kamienia, jak wyjani³a to Rose, ale rozprasza³a się doæ wolno, dziêki czemu atak móg³ trwaæ d³uiej.

Wia³ porywisty wiatr, a huk ognia przypomina³ pêdz¹cy ekspres, wiêc Joe nie by³ pewien, sk¹d dobiega³ krzyk. Ch³opiec, w ciele niewiadomego napastnika, zbli³a się w ciszy.

Joe podniós³ dziewczynkê i wzi¹³ j¹ w ramiona. Wiedzia³, że dopóki starczy mu si³, musi nieæ j¹ na rękach. Gdyby sz³a obok niego, przedzierałoby się przez las o wiele wolniej.

By³a taka ma³a. Jej kruchoæ, przywodz¹ca na myl delikatny szkielet jastrzêbia, napawa³a go trosk¹.

Przylgnê³a do niego, a on próbowa³ się umiechn¹æ. W blasku diabelskich p³omieni jego rozgor¹czkowany wzrok i wymuszony uśmiech zamiast uspokajaæ, pewnie przera³a y.

Szalony ch³opiec w swym nowym wcieleniu nie by³ jedynym niebezpieczeństwem, jakie im grozi³o. Wciek³y wiatr Santa Ana pêdzi³ po zboczu

263

góry jasne fale wielkie, ³opoc¹ce ðagle p³omieni. Sosny, suche od gor¹cego, pozbawionego deszczu lata, o korze nas¹czonej terpentyn¹, wybucha³y ogniem jak polane benzyn¹ szmaty.

Drogê do chaty odcina³ p³on¹cy wa³ o szerokoci co najmniej stu metrów. Nie mogli obejæ tej po³ogi i schroniæ się za ni¹, gdyż rozprzestrzenia³a się coraz bardziej. Nie zdo³aliby przedrzeæ się przez zarola i pagórkowaty teren.

Ogieñ zbli³a się do nich bardzo szybko. Coraz szybciej.

Joe sta³ trzymaj¹c Ninê w ramionach, przykuty i przera³ony widokiem strzelistej ciany p³omieni. Uwiadomi³ sobie, że nie ma innego wyjcia i że musi zostawiæ samochód. Ēe bêt¹ musieli wydostaæ się z gór na piechotê.

Gnane wiatrem p³omienie rzygnê³y z g³onym ³uszszy na wierzcho³ki drzew nad ich g³owami. Przypomina³o to miertelny wystrza³ z futurystycznej broni wyrzucaj¹cej plazmê. Konary sosen eksplozowa³y, a przez g¹szcz mniejszych ga³êzi zaczê³y spadaæ bez³adnie p³on¹ce ðagwie igie³ i szyszek, zapalaj¹c wszystko na swej drodze. Nina i Joe znaleli się nagle w tunelu ognia.

Pêdzi³ z dziewczynk¹ w ramionach, byle dalej od chaty, przedziera³ się w¹skim szlakiem jeleni, przypominaj¹c sobie opowieci o ludziach w pu³apce kalifornijskich po³arów, przed którymi, póki szala³ gwa³towny wiatr, nie sposób by³o uciec. Mo³e jednak p³omienie nie rozprzestrzenia³y się przez gêtwinê drzew równie szybko jak przez suche zarola. Albo te³ sosny wch³ania³y ðar w wiêkszym stopniu ni³ mimozy, krzewy i trawa.

Gdy uciekali tunelem ognia, na niebie ³opota³y coraz to nowe p³omienne flagi, a wierzcho³ki drzew wybucha³y po³og¹. W dó³, niczym wietliste pszczo³y, spada³y roje roz³arzonych igie³. Joe ba³ się, że zapal¹ im się w³osy i ubrania. W miarê jak biegli przed siebie, tunel wyd³u³a³ się coraz bardziej.

Zacz¹³ ich przeladowaæ dym. Ogieñ, narastaj¹c, wytwarza³ w³asny podmuch, który potêgowa³ si³ê wiatru Santa Ana i lada chwila móg³ wywo³æ burzê ogniow¹. Gor¹ce porywy zasnuwa³y jeleni szlak najpierw strêpami, potem dusz¹cymi k³êbami dymu.

Zamkniêta z obu stron niczym klasztorny kru³ganek cie³ka prowadzi³a pod górê, i choæ nie by³a zbyt stroma, Joe straci³ dech szybciej, ni³ się spodziewa³. Ēar wyciska³ z niego strugi potu. Łapi¹c powietrze, wci¹gaj¹c w p³uca gorzkie opary i t³ust¹ sadzê, d³awi¹c się, krztusz¹c, wypływaj¹c gêt¹ i kwan¹ od ognia linê, tul¹c rozpaczliwie Ninê, dotar³ do grzbietu wzniesienia.

Pistolet zatknîty za pasek spodni uwiera³ go bolenie w brzuch. Gdyby móg³ utrzymaæ Ninê tylko jedn¹ rêk¹, wyci¹gn¹³by broñ i wyrzuci³. Ba³ się jednak, że upuci dziewczynkê, musia³ wiêc znosiæ ucisk broni.

Kiedy przekroczy³ w¹ski grzbiet wzgórze i ruszy³ cie³k¹ w dó³, odkry³, że podmuchy wiatru po tej

stronie nie s¹ już tak wciek³e. Cho^æ p³omienie przelewa³y si^ê przez szczyt wzniesienia, pr^êdko^æ, z jak¹ posuwa³ si^ê ogieñ, znacznie zmala³a, i Joe zdo³a³ opucia^æ niebezpieczn¹ stref^ê i wyprzedzi^æ na

264

wa³ê dymu. Czyste powietrze by³o tak s³odkie, ζ e smakowa³ jego ch³ód i czysto^æ z prawdziwym j^êkiem ulgi.

Joe trzyma³ si^ê na nogach tylko dzi^êki wysokiemu poziomowi adrenaliny, znacznie przekraczaj¹c sw³ój zwyk³y pu³ap wytrzyma³oci. Gdyby nie zbawcza panika, upad³by jeszcze przed szczytem wzniesienia. Bola³y go mi^ênie nóg. Ramiona pod ci^êżarem dziewczynki zamieni³y si^ê w o³ów. Wci¹ż jednak nie byli bezpieczni, wi^êc par³ uparcie przed siebie, potykaj¹c si^ê, chwiej¹c i mrugaj¹c za³zawionymi od dymu oczami a^ż nagle od ty³u zaatakowa³ go warcz¹cy kojot. Próbowa³ ugry^æ Joego, ale na szczecie chwyci³ tylko wciekle z^êbami po³y marynarki.

Nag³e uderzenie czterdziestu czy pi^êædziesi^êciu kilogramów psiej furii zachwia³o Joem. Run¹³by twarz¹ na ziemi^ê, przygniataj¹c sob¹ Nin^ê, ale na szcz^êcie ci^êżar kojota, który si^ê uczepi³ jego ubrania, dzia³a³ jak przeciwwaga, wi^êc Joe zdo³a³ utrzyma^æ si^ê na nogach. Marynarka rozdar³a si^ê, a kojot puci³ go i polecia³ do ty³u.

Joe zatrzyma³ si^ê gwa³townie, postawi³ Nin^ê na ziemi, odwróci³ si^ê do drapie^żnika i wyci¹gn¹³ zza paska spodni pistolet, dzi^êkuj¹c Bogu, ζ e go wczynie¹ nie wyrzuci³.

Kojot, widoczny na tle ognia obejmuj¹cego grzbiet wzniesienia, nie zamierza³ ust¹pi^æ cz³owiekowi. Podobny do wilka, ale szczuplejszy i smuklejszy, o du^żych uszach i w¹skim pysku, rozchyła³ czarne wargi i obna^ża³ k³y, by^æ mo^{że} bardziej przera^żaj¹cy od swego wilczego krewniaka, gdy^ż w jego czasce, niczym w¹ż, wi³ si^ê duch okrutnego ch³opca. Po³yskliwe, ζ ó³te oczy fosforyzowa³y.

Joe poci¹gn¹³ za spust, ale pistolet nie wypali³. Zapomnia³ go odbezpieczy^æ.

Kojot ruszy³ chy³kiem w jego stron^ê; nisko pochylony, zwinny, lecz uwa^żny, próbowa³ chwyci^æ go za kostki u nóg, wi^êc Joe cofa³ si^ê rozpaczliwie, by unikn¹æ ostrych k³ów. Jednoczenie odbezpiecza³ broñ.

Zwierz^ê okr¹ż³o go zwinnie jak w¹ż, warcz¹c, k³api¹c z^êbami i tocz¹c pian^ê z pyska. Zatopi³o k³y w jego prawej ³ydce.

Joe krzykn¹³ z bólu i odwróci³ si^ê, próbuj¹c strzeli^æ do bestii, ale obraca³a si^ê razem z nim, targaj¹c wciekle mi^êsieñ jego nogi, a^ż w koñcu by³ pewien, ζ e zemdleje z pal¹cego bólu, który, niczym seria elektrycznych wstrz¹sów, si^êga³ a^ż do biodra.

Nagle kojot puci³ go i odskoczy³ do ty³u, jakby przestraszony i sp³oszony. Joe odwróci³ si^ê w stron^ê zwierz^êcia, przeklinaj¹c je i wodz¹c za nim luf¹ pistoletu. Bestia nie zamierza³a już atakowa^æ. Zaskomla³a i rozejrza³a si^ê po nocnej ciemności.

Joe, z palcem na spucie, zawaha³ si^ê.

Odchylaj¹c do ty³u g³ow^ê i wpatruj¹c si^ê w migotliwy ksi^êżyc, kojot znów zaskomla³. Po chwili spojrze³ w stron^ê grzbietu wzniesienia. Ogieñ znajdowa³ si^ê nieca³e sto metrów dalej. Pal¹cy wiatr powia³ nagle z now¹ si³¹, a p³omienie skoczy³y wysoko w noc.

265

Kojot podniós³ uszy i nas³uchiwa³. Kiedy nap³yn^êa kolejna fala ognia, zwierz^ê przemkn^êo obok Joego i Niny, niepomne ich obecności, i da³o susa w pobliski kanion, znikaj¹c z pola widzenia.

Pokonany wreszcie przez wyczerpuj¹cy bezkres otwartej przestrzeni, ch³opiec straci³ w³adz^ê nad zwierz^êciem, a Joe wyczu³, ζ e w lesie nie kryje si^ê już ζ adne widmo.

Burza ogniowa znów przetoczyła się nad ich górami olepijącą falą promieni, apokaliptyczny ogrom, który przewalał się po lesie.

Z pogryzionych nog, okulały, Joe nie był już w stanie nieść Niny. Dziewczynka wzięła go za rękę i czym prędzej ruszyli ku pierwotnej ciemności, która zdawała się wypływać z ziemi i zatapiać rzędy drzew na dnie kanionu.

Miała nadzieję, że zdołają odnaleźć drogę. Jakkolwiek: ubit, żwirów czy poln, byle wyprowadziła ich z tej lenej matni, byle wiodła z dala od ognia i mogła ich zaprowadzić do przyszłości, w której Nina byłaby bezpieczna.

Przeszli nie więcej niż dwieście metrów, kiedy za ich plecami zaczął narastać grzmot. Gdy Joe się odwrócił, lękając się kolejnego ataku, ujrzał tylko stado galopujących ku nim saren, które umykały przed promieniami. Dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści zwierząt, zwinnych i szybkich, ominęło ich z obu stron; biegły z tętentem kopyt, z postawionymi uszami, rżąc i sapiąc. Czarne oczy lniły niczym zwierciadła, nakrapiane boki drżały, kopyta wzbijały w górę chmury bladego kurzu. W końcu stado zniknęło.

Z biciem serca, miotany emocjami, których nie potrafił określić, wciąż trzymając dłoń dziewczynki, Joe ruszył w dół po ładach sarnich kopyt. Zdłżył przejechać kilka kroków, gdy uwiadomił sobie, że nie czuje bólu w pogryzionej szyi ani też w podziobanych przez jastrzębia dłoni i twarzy. I już nie krwawił.

Przez drogę, a potem w tłumie pędzących saren, Nina go uzdrowiła.

W drugie rocznicę katastrofy samolotu linii lotniczych Nationwide Joe Carpenter siedział na cichej plaży na Florydzie w cieniu palmy i

patrzył na morze. Fale przybijały do brzegu spokojniej niż w Kalifornii, liść piasek z tropikalnymi odcieniami, a ocean nie przypominał już maszyny.

Joe był innym człowiekiem niż tamten, który uciekał przed ogniem w górach San Bernardino. Miała teraz dłuższe włosy, po części sztucznie rozżanjone, po części zbite od słońca. Zastosowała prosty kamuflaż i zapuściła włosy. Jego fizyczna wiadomość własnego ciała była teraz znacznie większa niż

przed rokiem, wiedzia³ zatem, że porusza się tak³e inaczej: z ³atwoci¹ i pe³n¹ odprężenia swobod¹, bez napięcia i przyczajonego gniewu, jaki nie opuszcza³ go w przesz³oci.

Mia³ teraz dokumenty na nowe nazwisko. Specjalicy z Infiniface w³aciwie nie fa³szowali dokumentów, raczej korzystali ze swej wiedzy komputerowej, by manipulowaæ systemem, który sam dostarcza³ prawdziwe papiery ludziom tak naprawdê nie istniej¹cym.

Przeszed³ też wewnêtrzn¹ przemianê, któr¹ przypisywa³ Ninie, choæ wci¹ż odmawia³ przyjęcia tego ostatecznego daru, jaki mog³a mu ofiarowaæ. Odmieni³a go nie przez dotyk, lecz przez swoje zachowanie, s³odycz i dobroæ, przez ufnoæ, jak¹ go darzy³a, przez mi³oæ życia i mi³oæ do niego, przez spokojn¹ wiarê w s³uszn^{oæ} wszelkich rzeczy. Mia³a zaledwie szeæ lat, ale w pewnym sensie by³a pradawna, gdyż pêpowina wiat³a ³czy³a j¹ z wiecznoci¹.

Przebywali wród cz³onków Infiniface, tych, którzy nie nosili d³ugich szat i nie golili sobie g³ów. Wielki dom, którego ty³ wychodzi³ na plażê, niemal o kaźdej godzinie dnia rozbrzmiewa³ cichym stukotem komputerowych klawiatur. Po tygodniu czy dwóch Joe i Nina mieli się przeprowadziæ do innej

267

grupy, zanosz¹c jej dar, który mog³o ujawniæ tylko to dziecko. Podróżowali bezustannie, by po cichu g³osiæ s³owo. Po kilku latach, kiedy dziewczynka bêdzie już dostatecznie dojrza³a, mieli przekazaæ to s³owo ca³emu wiatu.

Teraz, w rocznicê tragedii, przysz³a do niego na plażê, tak jak tego oczekiwa³. Usiad³a przy nim, pod ³agodnie rozko³ysan¹ palm¹. W³osy mia³a kasztanowe. By³a ubrana w róźowe szorty i bia³1 koszulkê z Kaczorem Donaldem na piersi i wygl¹da³a tak zwyczajnie jak kaźda szeciolatka na tej planecie. Podci¹gnê³a kolana i objê³a je ramionami, pogr¹żona przez chwilê w milczeniu.

Patrzyli, jak wielki, d³ugonogi krab przemierza plażê, wybiera sobie odpowiednie miejsce i znika pod piaskiem.

Dlaczego nie chcesz otworzyæ serca? spyta³a w koñcu.

Otworzê. Gdy nadejdzie odpowiednia chwila.

A kiedy nadejdzie ta odpowiednia chwila?

Gdy nauczê się nie odczuwaæ nienawici.

Kogo nienawidzisz?

Przez d³ugi czas nienawidzi³em ciebie.

Dlatego że nie jestem twoj¹ Nin¹.

Ale nie czujê już do ciebie nienawici.

Wiem.

Nienawidzê siebie.

Dlaczego?

Bo tak się bojê.

Nie boisz się niczego powiedzia³a.

Umiechn¹³ się.

Bojê się miertelnie tego, co moźesz mi pokazaæ.

Dlaczego?

wiat jest taki okrutny. Taki bezlitosny. Jeli istnieje Bóg, to znaczy, że torturowa³ mojego ojca chorob¹, a potem zabra³ go, gdy by³ jeszcze m³ody. Zabra³ Michelle, Chrissie i Ninê. Pozwoli³ umrzeæ Rose.

wiat to tylko pewien etap.

Ale diabelnie okrutny.

Milcza³a przez chwilê.

Morze szepta³o co przy brzegu. Krab drgn¹³, wystawi³ czu³kê z okiem, by spenetrowaæ wiat, i postanowi³ ruszyæ przed siebie.

Nina wsta³a i podesz³a do skorupiaka. Zazwyczaj by³y p³ochliwe i czmycha³y, gdy kto siê do nich zbli³a. Lecz ten nie uciek³ do kryjówki, tylko obserwowa³ dziewczynkê, gdy osunê³a siê na kolana, by mu siê przyjrzaæ. Pog³aska³a go po pancerzu. Dotknê³a jego szczypec, a krab jej nie chwyci³.

Joe patrzy³ i zastanawia³ siê.

Wreszcie dziewczynka podnios³a siê z kolan i znów usiad³a obok niego, a wielki krab znikn¹³ w piasku.

Jeli wiat jest okrutny to mo³esz mi pomóc go naprawiaæ odezwa³a siê znowu. A jeli Bóg tego pragnie, jeli pragnie, by wiat sta³ siê lepszy, to w takim razie wcale nie jest okrutny.

268

Joe nie odpowiedzia³.

Morze mieni³o siê b³êkitem, gdzie na niewidocznej linii spotykaj¹c siê z ³ukiem nieba.

Proszê poprosi³a. Proszê, we mnie za rêkê, tatusiu.

Nigdy przedtem nie nazywa³a go tat¹. Joe na dwiêk tego s³owa poczu³ w piersi ucisk.

Napotka³ spojrzenie jej ametystowych oczu. ³owa³, ³e nie s¹ szare, jak jego. Uciek³a wraz z nim przed wichrem i ogniem, przed ciemnoci¹ i przera³eniem, i Joe wierzy³, ³e jest dla niej ojcem, jak Rose Tucker by³a matk¹.

Wzi¹³ j¹ za rêkê.

I wiedzia³.

Przez jaki czas nie przebywa³ na pla³zy gdzie na Florydzie, lecz w jasnej niebieskoci, z Michelle, Chrissie i Nin¹. Nie widzia³ wiatów, które istnia³y poza tym obecnym, ale wiedzia³ ponad wszelk¹ w¹tpliwoæ, ³e istniej¹, a ich niezwyk³oæ przestraszy³a go, ale i podnios³a na duchu.

Poj¹³, ³e wiecznoæ ³ycia nie jest jednym z artyku³ów wiary, lecz prawem wszechwiata, równie prawdziwym jak ka³de prawo fizyki. Wszechwiat jest stworzony jako nieprzerwany ³añcuch istnienia: materia staje siê energi¹; energia staje siê materi¹; jedna postae energii przekszta³ca siê w inn¹; równowaga zmienia siê bezustannie, lecz sam wszechwiat pozostaje zamkniêtym systemem, który nigdy nie traci nawet cz¹stki materii czy fali energii. Natura nie tylko jest niechêtna wszelkiemu marnotrawstwu, ale wrêcz mu przeciwdzia³a. Ludzki umys³ i duch w najszlachetniejszych porywach mog¹ zmieniaæ wiat na lepsze; mo³emy zmieniaæ ludzk¹ kondycjê, dwigaj¹c siê ze stanu pierwotnego lêku, kiedy to zamieszkiwalimy jaskinie i dr³elimy na widok ksiê³ycy, na szczyty, gdzie mo³emy kontemplowaæ wiecznoæ i mieæ nadziejê, ³e pojmiemy dzie³a Boga. wiat³o nie mo³e zmieniaæ siê w kamieñ w³asnym aktem woli, kamieñ za nie mo³e sam z siebie wznieæ wi¹tyni. Tylko duch ludzki mo³e dzia³aæ wiadomie i konsekwentnie siê zmieniaæ; jest to jedyny element stworzenia, który nie jest zdany ca³kowicie na ³askê zewnêtrznych si³, a tym samym stanowi najpotê³niejszy¹ i najcenniejsz¹ postae energii. Na jaki czas duch mo³e staæ siê cia³em, lecz gdy ta faza jego istnienia dobiega kresu, cia³o przekszta³ca siê z powrotem w ducha.

Kiedy Joe powróci³ z jasnoci, z tego b³êkitu w innym wymiarze, siedzia³ przez chwilê dr³ic, z zamkniêtymi oczami, pogr¹ony w ujawnionej prawdzie jak krab zakopany w piasku.

Póniej otworzy³ oczy.

Jego córeczka umiecha³a siê do niego. Jej oczy by³y ametystowe, nie szare. Nie mia³a rysów tej drugiej Niny, któr¹ kocha³ tak g³êboko. Ale nie by³a te³, jak wydawa³o mu siê wczeniej, jedynie

bladym ogniem. Joe zastanawia³ siê teraz, jak móg³ pozwoliæ, by gniew przys³oni³ mu prawdziwy obraz tego dziecka. By³a cudownym wiat³em, niemal olepiaj¹cym w swej jasności, takim samym jakim by³a niegdy jego Nina i jakim jesteśmy my wszyscy.

269

Podziękowania

Prawdziwa Barbara Christman zosta³a nagrodzona: jej imieniem pos³u³y³em siê w tej ksi¹¿ce. By³a jedn¹ ze stu osób, które pisz¹c bra³em pod uwagê, dziwi mnie wiêc si³a tej postaci w niniejszej opowieci. Pocz¹tkowo zamierza³em j¹ sportretowaæ jako psychopatyczn¹ zabójczyniê; w koñcu jednak¹e musia³a zadowoliæ siê postaci¹ spokojnej bohaterki. Wybacz, Barbaro.

270

Spis treści

Czêæ pierwsza	
STRACENI NA ZAWSZE	7

Czêæ druga	
SYNDROM POSZUKIWANIA	43
Czêæ trzecia	
PUNKT ZERO	99
Czêæ czwarta	
BLADY OGIENŃ	179